

JERZY ŻUREK CASANOVA

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

## PAMIĘĆ

Przypomnienie ciężkie i mroczne jak koszmarny sen. . . Miał ją już pod sobą, kobietę o śpiewnym imieniu, którego nie potrafił wypowiedzieć bez śmiechu i o jasnej, jakby przezroczystej skórze, trzymał ją nagą w objęciach i czuł jak pa- znokcie żłobią mu plecy w rytm gwałtownych poruszeń bioder. Nie chciał, żeby się rozbiera- ła, wolałby powoli wyłuskiwać jej podniecające tajemnice z szeleszczących sukien, zrobiła to jednak sama z szybkością i determinacją, która nieco go zdziwiła u uznawanych za oziębłe kobiet północnej rasy. Z próżności jedynie, a któż by nie był, do diabła, próżny w takiej sytu- acji - uznał to za hołd dla jego męskich uroków. Była jego zdobyczą, kolejną ofiarą wyrafi- nowanych zalotów, sprawdzonych w sypialniach całej Europy, ale w końcu także przyjazną ludzką istotą, ofiarowującą mu swoje ciepło i tkliwość w tym kraju chłodu i podejrzliwości. Był jej za to po ludzku i po męsku wdzięczny, lubił ją, otwierając powoli i uważnie, szukając źródeł tej podniecającej tkliwości, a kiedy je odnalazł i zaczął dalej odkrywać, poszerzać i zgłębiać, już prawie kochał tę obcą kobietę o znajomym ciele.

Coś upadło za drzwiami, raz, drugi, dziewczyna szarpnęła się niespokojnie, ale on, bliski już spełnienia, niczego nie słyszał i nie czuł, jeszcze chwila i wystrzeli ognisty pocisk do swej szczęśliwej gwiazdy. Był gotów - gdy drzwi pękły z trzaskiem i groźnie wpadło do pokoju światło, a z nim chłód i ludzie, gromada ludzi. Dziewczyna umknęła spod niego, jak kocica spadła za łóżko, zostawiając go nagiego, wypiętego w stronę niebezpieczeństwa, tryskającego nasieniem w skołtunioną pościel. Był jeszcze zwierzęciem - zanim chłodne ostrze dotknęło bezbronnego karku, zanim zatrzeszczały zadarte do tyłu włosy i zanim oczy oślepiły od przy- stawionej do twarzy pochodni - na czworakach runął w stronę okna. Dziewczyna zaskowy- czała jak opętana i chciała go złapać - pomóc napastnikom czy uratować choćby kroplę tego świetlistego ciepła, które rozsiewał szczodrze naokoło - ale nie zdążyła. Szarpnął zasłonę i

bez zastanowienia - skoczył. Szyba rozprysła się na tysiąc krwawych cętek, wyleciał na balkon i zaraz - czując, że walczy o życie - porwał się do szaleńczej ucieczki.

. Balkonowy krużganek wokół pałacu, kolczaste krzewy, żwirowana alejka, potem niedbale brukowana droga, jakieś ciemne kształty zabudowań. Nie czuł najpierw chłodu ani bólu stóp, młócących zmarzniętą ziemię z taką samą zawziętością, co przed chwilą jego dziarska męskość gorący brzuch tej kobiety o jasnej, jakby przezroczystej skórze. Nie słyszał pogoni, niczego nie słyszał prócz łomotu krwi w skroniach i coraz głośniejszego, rozrywającego piersi oddechu. Co robić, dokąd biec? Daleko nie ucieknie, okryty tylko w strzęp zasłony. Musi się gdzieś ukryć, przeczekać, wywiedzieć co to było, co się, u diabła, stało. Zazdrosny mąż czy kochanek?

Przeskoczył jakieś ogrodzenie, jedno, drugie, potem zatrzymywany, popychany i obracany przez zwarzone chłodem gałęzie, przedarł się przez żywopłot. Bliski już wyczerpania biegł między rzędami kolących krzewów, z bolesnym żwirem pod stopami, nie musząc już wybierać kierunku ucieczki, coraz mniej ufny w jej szczęśliwy koniec. Poderwał się jeszcze raz, kiedy zobaczył dom, światło w kilku oknach, jakieś postacie przy półuchylonych balkono-

5 wych drzwiach. Już miał na języku: Jestem Giacomo Casanova, niech was nie zwiedzie strój i

okoliczności, kawaler szlchetnego rodu - gdy, jakby czekając na tę okazję, na tę chwilę powrotu do przytomności, przeszył go na wskroś nagły powiew mrozu, zatykając usta tępym, morderczym kaszlem.

Potoczył się gwałtownie do przodu, już bez zastanowienia poleciał do światła, do ciepła, do ludzi. Pomogą mu, muszą mu pomóc. Uciec, a może nawet wyjaśnić całe to nieporozumienie. Nie zrobił przecież niczego złego, u diabła! U diabła. Pietro, jego Pietro, co on tu robi, co. . . Ocknął się na środku pokoju, dygocąc teraz nie z zimna, a z przerażenia - co za makabryczny sen we śnie strasznym, koszmar w koszmarze - odwracały się do niego twarze tych, przed którymi uciekał, odsłaniały jedna po drugiej swą wściekłość i pogardliwy tryumf gęby mundurowych i przewodzącego im cywila, a wreszcie zza zasłony czesanych spokojnie włosów łypnęła, czy nie figlarnie, kobieta o śpiewnym nazwisku i przezroczystej skórze. Pie-  
kło!

- Jestem szlachcicem, panowie - wychrypiął w złowróznej ciszy - nie pozwolę się tak traktować.

Zaskrzypiały najpierw skórzane buty cywila, Pietro, ten tchórz Pietro skulił się pod ścianą. Krępy blondyn o wylupiastych oczach postąpił dwa kroki w jego stronę.

- Nie jesteś żadnym szlachcicem, panie Casanova - obnażona szpada błysnęła w rękę tamtego  
- jesteś wściekłym ogierem, , któremu przydadzą się cugle.

Błyskawicznym, ale i delikatnym ruchem szpady zerwał z niego resztki zasłony. Casanova szarpnął się, w odruchu wściekłości chciał się rzucić na tamtego z gołymi rękami, gołymi nogami, gołą piersią i gardłem gołym, ale zamarł przerażony widokiem ostrza wycelowanego w podbrzusze.

- A może tylko parszywym psem, , któremu trzeba będzie obciąć jaja. Pietro, ten tchórz Pietro ruszył mu na pomoc, odbił się od ściany i z rozcapierzonymi rękami skoczył między żandarmów, odtrącił jednego, drugiego. Trzeci, wysoki chudzielec, z niespodziewaną u takiego dryblasza chyżością, zamachnął się szablą i ciął z odchylenia tak straszliwie, że - Jezu przenajświętszy! - głowa Pietra przechyliła się nagle dziwnie, odskoczyła od szyi i niby piłka, którą widział kiedyś na angielskim dworze, potoczyła się pod nogi czeszącej włosy kobiety.

Zanim pojawił, co się stało, trzymał w nagich ramionach, jak niedawno tę kobietę, napinającą teraz twarz do straszliwego krzyku - ciepłego, , tryskającego krwią trupa.

Ocknął się zaniepokojony czy nie krzyczał przez sen. Ale nie - jego towarzysze podróży siedzieli nieporuszeni. Starszy, wyglądający na kupca, drzemał, szeroko rozdziawiając usta. Emanowała od niego bliżej nieokreślona, groźna i pocziwa zarazem siła. Krótkie mięsiste plecy, szczipione ze sobą szczelnie jak ogniwa łańcucha, rozwarta gęba wsysająca powietrze z hurkotem i mlaskaniem, a wyrzucająca je z impetem wulkanu. Cały świat można wchłonąć taką, gębą, przetrwać i wypluć w ciągu jednej sekundy. Nie zginie naród, który ma takich kupców, pomyślał bez zazdrości o przyszłość swojego. O ile to rzeczywiście jest kupiec. O ile to nie jest zupełnie ktoś inny. Cóż, nie zginie i państwo, które ma takich policjantów.

Drugi pasażer był znacznie młodszy, choć starał się wyglądać i zachowywać poważnie. Lodowata, lekko pogardliwa mina, widoczna troska o każdy szczegół ubrania i postawy, jak u wszystkich młodych, ambitnych i bez grosza ludzi, pragnących zrobić karierę. Prawie się nie odzywał od początku podróży, pochłonięty swoimi sprawami. Przeglądał jakieś dokumenty bankowe, na postojach zaś zniknął szybko i nawet jadał oddzielnie w swoim pokoju. Giacomo

był mu właściwie wdzięczny za tę powściągliwość. Sam wolał się nie wdawać w rozmowy. Po tym wszystkim co miał za sobą, wiedział przynajmniej jedno - tu, w tym strasznym kraju,

6 nie może być pewien niczego. Nagabywania kupca zbywał więc byle czym, jadł co mu dano,

spął gdzie się dało, nie rozglądał się, nie pytał. Im mniej go było, tym lepiej. Teraz jednak nie chciało mu się już dłużej milczeć. Nie chciał zostać dłużej sam z tamtym przypomnieniem. Odkasznął kurz zatykający gardło, ale i tak zachrypiał niewyraźnie.

- Daleko jeszcze do granicy? ? Młody człowiek był jakby przygotowany na to pytanie. Odpowiedział spokojnie, nie odrywając wzroku od swoich papierów.

- Granicę przejechaliśmy pół godziny temu. . Spał pan. Potrzebował chwili, żeby w to uwierzyć. A więc to już Polska. Wyrzwał zaciekawiony przez okno powozu, zakurzone i brudne jak wszystko dookoła. Nawet słońce nie potrafiło przebić tej szarości. Zrudziałe kępy paproci, potem bagniste zakole porośnięte wybujałą trawą, jeszcze dalej - stado chudych olch. . Nic nowego. Nic niezwykłego.

- A kontrola paszportów? ? Tamten oderwał wzrok od papierów, przyjrzał się Casanovie z ledwie ukrywaną irytacją. - Tu granica obowiązuje tylko w jedną stronę. Trzeba kontrolować, kto wjeżdża do Rosji. A kto z niej wyjeżdża - młodzieniec machnął lekceważąco ręką - to się i tak decyduje gdzie indziej i kiedy indziej. Groźba jest w każdym razie tu, nie u nas.

- O jakiej groźbie pan mówi? ? Nie spodziewał się niczego ciekawego - ale coś trzeba było zrobić z tą ledwie zaczęłą rozmową. Przejechał granicę, jest już panem samego siebie, może zrobić co mu się podoba. Nawet prowadzić nieciekawie pogaduszki.

- Małe narody są jak choroba. - Młodzieniec ożywił się wyraźnie, twarz wykrzywił mu lekceważący grymas. - Podstępnie zadają ciosy. Nasyłają swoich kupców, emisariuszy, macą w głowach motłochowi. Nie szanują władzy cesarskiej.

Giacomo spozjrzał tamtemu prosto w oczy - coś, czego nie robił od dawna, a czego, jak ostatnio sądził - nie będzie próbował już nigdy. Szpicel czy dureń? Niewiele wyczytał w dziwnie jasnych źrenicach. Zapewne i jedno, i drugie.

- Pan jest Polakiem? ? Mężczyzna poprawił się nerwowo na siedzeniu, jakby setna odpowiedź na to pytanie mu- siała się czymś różnić od poprzednich krew uderzyła mu do głowy mrocznym rumieńcem.

- Nie. . Dlaczego pan pyta? Jestem poddanym najjaśniejszej carycy Rosji. Mam ten zaszczyt. Szpicel z zawodu, dureń z urodzenia, pomyślał Casanova niechętnie. I w dodatku łże. Zatrzymali się na nocleg w małym litewskim miasteczku. Chmary bosych, obszarpanych dzieci, rozlatujące się domy, brodaci Żydzi ubijający przed zajazdem jakieś krzykliwe interesy. Dotkliwie czuł tu swoją obcość, bardziej może nawet niż tam, skąd wracał. W końcu, strasznych ruskich chłopów widział tylko z okien powozu, a służące na stacjach etapowych, rosłe, sprytne dziewczuchy, przypominały mu tokańskie czy bawarskie chłopki, zawsze gotowe do żartów i miłości. Teraz wcale nie miał wrażenia, że zbliża się do znajomych stron. Gdzieś tam daleko było Dreźnie, Paryż, rodzinna Wenecja. Tu można było zwątpić w ich realność, tu zresztą można zwątpić we wszystko, a cóż dopiero w istnienie tych bogatych, pięknych miast, pałaców, ulic wypełnionych szaleńczo barwnymi tłumami, gdzieś daleko, w innym świecie, może - poczuł lodowate ukłucie w sercu - nigdzie.

. Zamknął się, jak znowu milczący młodzieniec, w swoim pokoju w zajeździe i przeleżał, poddając się płytkiej, beztreściowej drzemce, aż do wieczora. Zadzwoił, żeby mu podano kolację, potem krzyknął w cienistą czeluść korytarza, ale nikt nie odpowiadał. Trzeba było samemu zejść na dół.

Na schodach zawahał się. Może powinien zawrócić, może każdy krok, każdy trzeszczący pod jego ciężarem stopień, przybliży go do jakiegoś kolejnego niebezpieczeństwa czekające- go tam w dole. Czyż nie powinien więcej nie kusić losu, ukryć się, przeczekać do rana?

7 Do sali jadalnej wkroczył z przykrym uczuciem, że się starzeje, że zaczyna bać się tego, co

jeszcze niedawno przyprawiało go o dreszcz podniecenia - niespodzianki, przygody, nawet niebezpieczeństwa.

Przy jednym ze stołów dostrzegł starszego towarzysza podróży, ale nie podszedł mimo zachęcających gestów tamtego. Obok dwóch brodatych cudzoziemców rozmawiało po niemiecku, też pewnie kupcy, bo kto inny zapędzałby się w taką głuszę. Młodszy uśmiechnął się do niego, wskazał miejsce przy sobie.

- Bitte. . O, nie, kupców miał już dosyć. Skłonił się uprzejmie, lecz usiadł samotnie pod oknem, zamówił mięso i wódkę, zresztą niewiele więcej było do zamówienia. Tutejszego piwa wolał nie ryzykować, a do wódki zdążył się już przyzwyczaić. Dla ognia, który zapalała w ciele, można było nawet ścierpieć jej paskudny zapach.

Wtedy - dawno temu, jak dawno? daleko stąd, jak daleko? - pierwszy łyk oparzył mu język, drugi, głębszy, zapalił płomień pod żebrami, trzeci obudził zmartwiałe od chłodu palce. Ścisnął mocniej kubek i wychylił go do końca. Rozległo się bicie dzwonów i krzyk ptactwa spłoszonego nagłym hałasem. Dwunasta. Świat powrócił boleśnie realny - wyszczerbiony kubek, palce porośłe brudem, liszaje wilgoci na ścianach i podłodze, zetlała kupka słomy w kącie, zasłana strzępem zasłony, którym okrył się w czasie ucieczki - to był teraz jego świat. Jak długo go tu trzymają? Który już dzień słyszy dzwony i prze- raźliwy wroni wrzask? Nie pamięta, nie wie. Ten kudłaty mnich mógłby mu to pewnie powiedzieć, ale milczy niewzruszenie. Tydzień? Miesiąc? Był nieprzytomny z zimna i głodu, stracił poczucie czasu. Wepchnęli go do celi prawie nagiego i zaryglowali drzwi. Tyle pamiętał. Później był chaos - myśli i doznań. Poznał każdy załomek swego ciała, każdy kawałek skóry, kiedy kulił się, szukając w sobie ratunku przed mrozem spelzającym w nocy ze ścian. Nikt do niego nie zaglądał, prócz ponurego mnicha, który przynosił mu czasem, raz o świcie, raz o zmroku, jakby według rytuału jakiegoś tajemniczego i morderczego postu, kawałek chleba czy kubek wody. Zapomnieli o nim, myślał ze strachem w chwilach świadomości, zostawia go tu aż do śmierci. I za co? Za jakąś głupią dziwkę. Miał setki lepszych od niej. Dla niektórych nawet warto byłoby trochę pocierpieć, ale na pewno nie tyle i nie dla tej.

Był już tak osłabiony, że nie miał nawet siły podczołgać się do okna. Aż tu niespodziewanie ten kubek wódki. Barbarzyństwo, ale jednak znak odmiany losu. Wypuszczą go teraz na pewno. Wypuszczą i przeproszą. Wypłacą odszkodowanie. Żadne pieniądze nie odwrócą tego, co przeżył, więc nie będzie skromny. Caryca jest zresztą hojna, wszyscy to mówią, niech tylko sprawa do niej dotrze, a dotrze, już on się o to postara, lepiej niż za pierwszym razem.

Ale jeśli. . . Kubek z łoskotem potoczył się po podłodze. Jeśli jest zupełnie inaczej niż my- śli. Jeżeli to. . . Gdzieś słyszał, że przed tym daje się skazańcom wódkę. Preraźliwy lęk dodał mu sił. Schwycił mnicha za obszerny rękaw habitu, tam w środku były jakieś swetry, ciepłe gałgany, to odkrycie rozwścieczyło go nagle.

Miał przed sobą jednego z tych, którzy zgotowali mu taki parszywy los, łotra, oprawcę, kata. Podniósł się na kolana, przybliżył twarz do twarzy tamtego.

- Jakiego ty masz Boga w sercu - wychrypiął z wysiłkiem. - Dlaczego nic nie mówisz? Co ze mną zrobicie?

Mnich łagodnie położył dłoń na jego głowie, potem otworzył usta i wydał z siebie prze-  
rażliwy skowyt. Zamiast języka miał ciemny, jakby porośnięty pl eśnią kikut.

Brodaty karczmarz nachylił się nad nim i wybelkotał coś chropawą francuszczyzną. Ro-  
zeźliła go ta poufałość.

- Czego chcesz? ?

8 Mógł się domyślić odpowiedzi po uśmiešku tamtego, tylko jeden rodzaj spraw upoważnia

do niego mężczyznę. - Dziewczynki. . Może wielmożny pan sobie życzy? Lepsze od wódki. -  
Macie tu kobiety?

? Uśmiezek stał się już uśmiechem, a poufałość troskliwością. - Prima. . Takie co jeszcze  
nigdy. Pierwszy raz. Teraz on się uśmiechnął. Ten refren słyhać było we wszystkich  
burdelach, jak Europa długa i szeroka. Więc jesteśmy w Europie. Nie miał właściwie ochoty  
na żadną dziewicę czy dziwkę, ale nie przestawał go opuszczać jakiś bezrozumny lęk. Może  
nie powinien być tej nocy sam. Choćby nawet miała mu towarzyszyć gruba dziewczucha o  
czerwonych nogach i spracowanych w polu rękach. Lepsze to niż chłód samotności.

- Dobrze. . Przyślij którąś. Później. Powiedział to pospiesznie, co innego bowiem przykuwało  
już jego uwagę. To, co do tej pory widział bezwiednie, mężczyźni przy sąsiednim stole,  
ubrani po tutejszemu, nie umiał jeszcze rozróżnić - z chłopska czy z pańska, zaciekało go  
nagle swą niezwykłością. Kiedy jadł, pił i rozmyślał z tępą niechęcią o czekających go  
jeszcze dniach podróży, nie działo się tym nic ciekawego, talerze krążyły po stole jak  
wszędzie, gwaru też było nie mniej. Teraz jednak wszystkie naczynia poszły w ką, a  
mężczyźni znieruchomiali nagle wpatrując się z natężeniem, jakby w oczekiwaniu  
objawienia, w surowe deski stołu. Dopiero po chwili zro-  
zumiał, że nie stół, a wyciągnięte

nad nim i jakby coś obejmujące dłonie jednego z nich, bezwężego młodzika, prawie jeszcze chłopca, skupiają ich uwagę. Zdumiewająca była także jego twarz, napięta, z kroplami potu na skroniach. Chłopiec oddychał mocno jak przy wielkim wysiłku, cierpiał i najwyraźniej z czymś walczył.

Casanova chciał już odwrócić wzrok, ta pantomima trwała zbyt długo, może to jakiś sekcjarze, których najdalsze odmiany kręciły się po tej części świata, głosząc jedyną prawdziwą wiarę - gdy spostrzegł, że palce młodzika rozchylają się powoli. Jeden po drugim, pokonując jakiś olbrzymi opór, oderwały się od siebie. Ale między nimi, w otulinie rozcapierzonych palców, ale nie dotykając już ludzkiego ciała, tkwiła błyszcząca moneta. Ponad stołem, między oddalonymi od siebie dłońmi, najzwyczajniej w świecie, a przecież cudownie, wisiał sobie miedziany grosz.

Prawdziwie się ucieszył, dawno już niczego nowego nie mógł dorzucić do swej kolekcji niezwykłości. Ostatni był karzełek Gwen, liliput z męskością dorównującą jego własnej, zostawiony przed tą podróżą na berlińskim dworze. W pierwszej chwili mężczyźni wyglądali mu na szulerów debatujących nad podziałem łupu, teraz czuł, że w tym co widzi, nie ma żadnego oszustwa, a jeśli jest, to tak wspaniałe, że warte każdych pieniędzy.

Wstał, żeby przyjrzeć się niezwyklej monecie z bliska, podniósł się lekko, już prawie pewien, że w przygnębiającej monotonii podróży czeka go coś naprawdę ciekawego, gdy rozpoczęło się wszystko w jednej chwili - prysły mizerne szybki w oknach i huk wystrzału wypełnił izbę. I zaraz drugi, trzeci, bliżej, dalej, trzask zamykanych na gwałt okiennic, krzyki, ktoś napierał z łomotem na drzwi. Moneta potoczyła się po stole, mężczyźni zerwali się na nogi. Młodzik tkwił najpierw w letargicznym otępieniu, ale już po chwili, jak wszyscy, trzymał w dłoni pistolet o długiej lufie. Dwaj zbrojni wpadli do izby, jeden trzymał się za krwawiące ramię.

- Żandarmi! ! Skoczyli ku swoim niemal przewracając grubego kupca. Casanova rzucił się na podłogę, jeszcze tego brakowało, żeby w tej nędznej mieścinie dopadła go jakaś zabłąkana kula. Nie myliło go przecucie, trzeba było na górze doczekać do rana. Po chwili nie był już tego taki pewien, bo i stamtąd zaczął dobiegać rumor przewracanych sprzętów i tupot podkutych butów. Mężczyźni w izbie kropili do okien na chybił trafił, dym zasnuwał wnętrze i szczypał w oczy. Ktoś czołgał się koło niego, odwrócił się, żeby nikogo nie mieć za plecami, zobaczył

9 młodzika wydłubującego coś lufą pistoletu ze szpary w podłodze. Moneta, ta cudowna mo-



neta. Mały miał ją po chwili w ręku, otarł z kurzu i włożył błyskawicznie do ust. Huknęło nad głowami i wióry poleciały z sufitu, tamci - kimkolwiek byli, żandarmami czy diabłami wcielonymi, podchodzili coraz bliżej, jeszcze trochę a wsadzą przez okno lufy swych karabinów i wystrzelają wszystkich jak kaczkę, myślał trwożnie, widząc, że ucieczki już nie ma, bo i od strony schodów rozpoczęła się palba. Dobrze byłoby chociaż wiedzieć, za co się ginie, ale widać, opatrność ma zamiar odmówić mu tego luksusu. Nagle zamilkło wszystko, ustała strzelanina, nawet jęki rannych i biadolenie karczmarza jakby zamarły na chwilę.

- Wychodź! ! Słyszał obok siebie gwałtowny, urywany oddech młodzika, kątem oka zauważył, że tamten majstruje coś przy pistolecie, napięty cały, gotowy do jakiegoś desperackiego czynu. Nie opierał się jednak, gdy Giacomo wyjął mu broń z ręki i odrzucił daleko, pod ścianę.

Słońce zachodu, purpurowe i groźne, świeciło im prosto w oczy, gdy wychodzili z karczmy na dziedziniec. Wszystko stało się tak gwałtownie i szybko, że teraz dopiero przyszła pora na zdziwienie. Skąd tu rosyjscy żandarmi? Granicę mieli przecież dawno za sobą.

Żołnierzy było kilkunastu, ubranych już po zimowemu, w obszerne szynele, w futrzanych papachach na głowach. Podnieceni strzelaniną i zwycięstwem, bagnietami mierzyli w piersi wychodzących. Jeden z nich, skośnooki, przytrzymał skrważoną rękę. Za ich plecami konie, spokojniejsze od ludzi, podskubywały chwasty pod zmurszałym płótem. Odbywało się to wszystko w przeraźliwym milczeniu, jakby i jedni, i drudzy wiedzieli dobrze, że żadne słowa na nic się tu nie zdadzą, jakby huk wystrzałów, odgłosy szamotaniny, jęki ludzi i rozbijanych sprzętów, należały już do odległej przeszłości, bo teraźniejszością rządzi bezwzględna, mściwa cisza, jednocząca na chwilę przed wyrokiem zwycięzców i pokonanych. Nawet niemieccy kupcy wychodzili bez słowa.

Chłopiec szedł tuż przy nim ze spuszczoną głową, unikając tryumfującego wzroku żołnierzy.  
- Kto strzelał?

? W cieniu uchylonych wrót stodoły stał młody, elegancki oficer, paląc spokojnie cygaro. Przyglądał się bacznie wszystkim. Starszawy kupiec powiedział coś do niego, ale oficer odsunął go gestem na bok. Przywołał jednego z zatrzymanych, mężczyznę w grubej skórzanej kurcie, powtórzył pytanie, zamachnął się. Mężczyzna zgiął się wpół i upadł na kolana u jego stóp. Wtedy potężne pchnięcie rozsadziło nieruchome do tej pory szeregi. Casanova omal się nie przewrócił, zahaczony impetem uciekających, żeby nie upaść, złapał się młodzika. Po chwili, widząc, co się dzieje, wzmocnił uścisk i już nie przytrzymał się, a trzymał, parował wściekle szarpnięcia tamtego. Trzech mężczyzn wyrwało się gwałtownie naprzód. Dwaj dopadli koni, trzeci z przedziurawioną bagnietą krtanią zwałił się ciężko w pokrzywy. Tamci byli już w siodłach, gdy huknęły strzały. Młodszy, wyrostkowaty jeszcze, z rozdzierającym

krzykiem zgiął się w siodle i jak bezwładna kukła opadł na koński grzbiet. Najstarszy z nich, w białej, podartej koszuli przedarł się przez szereg żołnierzy, wywracając dwóch najbliższych stojących, spiął konia mocno, jak do skoku i, wyprostowany w strzemionach, straszny i piękny zarazem, runął przed siebie.

Dosięgły go z tyłu dwie kule, dwie plamy krwi wykwitły na koszuli, jeździec wyprężył się konwulsyjnie, rozkrzyżował ręce i grzmotnął plecami i głową o koński zad. Nic nie było już w stanie zatrzymać przerażonego siwka, ciężkim galopem poniósł między domy bezwładnie zwisające ciało.

Chłopiec nie wrywał się już, lecz Casanova nie zwalniał uścisku, bo czuł rozpaczliwy szloch szarpiący tamtym. Sam był bliski szaleństwa. Zamknął oczy, żeby nie widzieć, co rozwścieczeni żołnierze robią z trupami. I co zrobią teraz z nimi. Boże, pomyślał, odejmij od nieprawości tego świata moje własne grzechy. Niech nie mieszają się z tą krwawą podłością. Wtedy mogę zginąć - jak tamci. . Lepiej zginąć, niż żyć na takim świecie.

10 Oprzytomniło go głośnie już łkanie małego. Zostawił go, strzepnięciem surduta przywrócił

porządek, zrobił krok do przodu. Wszystko poruszyło się razem z nim, niemieccy kupcy warknęli do siebie porozumiewawczo, pozostali zaczęli się trwożnie krzątać, ustawiać w szeregi, poprawiać ubrania, włosy, jakby od tego zależeć miało ich życie. I nie był pewien, czy nie zależało. Żołnierze z najeżonymi bagnietami wracali w ich stronę.

Oficer, błydy, przestraszony tym, co się stało, ważył w ręku szpadę, której nie zdążył użyć. Teraz, już.

- Panie poruczniku - powiedział Casanova spokojnie, jak do karcianego partnera - jestem kawaler de Seingalt, obywatel wenecki, mam polecenia od pułkownika Astafowa do Warszawy.

Oficer popatrzył wodnistymi, pozbawionymi życia oczami. - Wiem.

. Musiał ryzykować, nie było innego wyjścia. - Co tu się właściwie dzieje?

? Wahanie na twarzy tamtego decydowało może o ich życiu. - Rebelianci. . Nie dają nam spokoju. Szpada powędrowała jednak do pochwy, a niedbały ruch ręki zaczął na powrót tworzyć z rozgrzanych łatwym zwycięstwem zabijaków - karny szereg.

. - Mam też ze sobą służbę.

. Oficer skinął przyzwalająco głową. Mogą iść, nikt ich nie trzyma. Casanova odwrócił się, ale chłopca nie było już tam, gdzie go zostawił. Jeszcze przed chwilą bezsilny, teraz był skoncentrowaną siłą, biegł przez podwórze wielkimi susami, lawirując między żołnierzami. Huknął pojedynczy strzał, ale mały był już blisko zbawczego płotu, przesadził go i zaraz - ku uldze chyba wszystkich - zniknął w zaroślach.

. Oficer skrzywił się ironicznie. - Sam pan widzi, , co to za swołocz.

Astafow. . . Oszołomił go przepych pokoju, w którym pierwszy raz usłyszał to nazwisko. To już nie były surowe, brudne cele przesłuchań, gdzie go ciągnano co jakiś czas, wypyując o różne rzeczy bez ładu i składu, nie odpowiadając na jego pytania i protesty. Monumentalny, zakrywający całą podłogę czerwony dywan przywodził na myśl ogromną, zakrzepłą kałużę krwi. Zadrżał na to porównanie, ale natychmiast pomyślał, że przecież właśnie o to im chodzi. O strach, o nowe cierpienia, o upokorzenie. Szyderstwem było wzywać go tu, do tej eleganckiej komnaty, brudnego, głodnego, w podartym ubraniu. Zawsze dbał o strój i choć wiedział, że to nie najmądrzejszy powód, zniechęcił tych dwóch siedzących za stołem oficerów, najpierw za butwiejące od wilgoci łachy, w których kazali mu tu przyjść. Ręce miał skute na plecach, więc nawet ogarnąć się nie mógł.

- Jestem poetą i filozofem - zaczął, przekrzykując swój własny, skarłały nagle głos. Jednak swoje osiągnęli, bał się, naprawdę się bał. Jeszcze raz.

- Jestem obywatelem obcego państwa i żądam widzenia z moim konsulem. . - Zamknij pysk, , nikt cię na razie o nic nie pyta. Młodszy oficer, o brutalnej, poznaczonej śladami ospy twarzy, wychylił się z krzesła. - Zrozumiano?

? Starszy, durnowaty na pierwszy rzut oka i poczciwy, uciszył go ruchem dłoni. - Panowie, spokojnie, wszystko możemy omówić spokojnie. Przede wszystkim pozwoli pan, że się przedstawimy. Jestem pułkownik Astafow, a to kapitan Kuc, moja prawa ręka,

powiedziałbym, gdyby nie to, że kapitan sprawia mi czasem sporo kłopotu swoją porywczos-  
ścią. No, a pan?

- Co - ja? ? - Może i pan nam się przedstawi.

.

11 Czuł, że to ukartowana gra, kpiny z niego maskowane pozorną grzecznością, ale też spo-

kojna twarz Astafowa obudziła w nim jakąś niejasną nadzieję. Zmobilizował całą swą god-  
ność i odwagę.

- To jakaś potworna pomyłka. . Poskarżę się najjaśniejszej imperatorowej. Kuc, gdyby mógł,  
zabiłby go od razu, Astafow uśmiechnął się tylko. - Nie wiem czy będzie okazja. Na razie jest  
pan oskarżony o obrazę czci najjaśniejszej im- peratorowej, bo tak się u nas kwalifikuje gwałt  
na damie dworu.

- To kłamstwo. . Absurdalne kłamstwo. - Są jeszcze inne zarzuty. . - Astafow udawał, , że  
zagląda do papierów leżących na biurku. - Włamanie, opór wobec przedstawicieli władzy.

- Zostałem napadnięty. . - Przygotowywanie zamachów politycznych.

. Musi się opanować, musi. Chcą go przecież wyprowadzić z równowagi tą porcją nieokieł-  
zanego absurdu. Więc zamiast wykrzyzczyć żałośnie głośno swój protest, powiedział cicho  
lecz stanowczo:

- Nieprawda. . Spod maski dobroci błysnęło nagle wilcze oko - Astafow zerknął badawczo,  
przez chwilę jakby zastanawiał się jaką taktykę przyjąć, wrócił jednak do poprzedniej  
poczciwości.

- A czy ja mówię, że prawda. Po to tu jesteśmy, żeby wszystkie sprawy wyjaśnić. Ale samym zaprzeczeniem też do niczego nie dojdziemy. Tak?

- Tak. . - No, widzi pan. Jednym " tak " może pan nas bardziej przekonać niż tysiącem " nie " . - Podniósł się żwawo jak na swoją tuszę. - Zostawiam teraz panów samych. Nie jest pan, nie- stety, jedynym naszym kłopotem, panie Casanova.

Kapitan nie odzywał się, póki tamten nie wyszedł. Rozparł się wygodnie w fotelu, podłubał paznokciem w zębie, odsunął na bok papiery.

- Pokaż no tego swojego gwałciciela. . Zeznają, to jest - opowiadają , o nim cuda. Casanova drgnął instynktownie. Kątem oka zauważył, że przy drzwiach pojawiło się dwóch rostrych żołnierzy. Będą bić?

- To niegodne. . Na honor. Kuc zaśmiał się szyderczo. - Wyjmuj. . Na honor. Jakby teraz dopiero zauważył, że Casanova jest skuty, przywołał żołnierzy krótkim gestem, jak się przywołuje dobrze wytresowane psy. Jeden złapał Casanovę wpół, drugi zaczął mu ściągać spodnie. Giacomo był tak osłabiony, że pewno nawet nie czuli jego oporu. Nie znał słów pasujących do tej sytuacji, musiał więc użyć ich własnych. Bluznął przekleństwami, których nie rozumiał, a którymi łajali go zwykle strażnicy. Kapitan Kuc poderwał się roz- wścieczony z krzesła.

- Ty, , uważaj, jeszcze jedno słowo i pożałujesz. Podszedł bliżej, chuchnął na Casanovę nieświeżym oddechem. - A o mamusi to możemy razem porozmawiać, , ale o twojej. - Jej imperatorska mość. . . . - Milczeć!

! - . . . . dowie się o wszystkim! Oficer, uspokojony, że nie chodzi o obrazę majestatu, uśmiechnął się drwiąco. - Nie wyobrażaj sobie za dużo. . Nie jesteś znowu żadną znakomitością. A może jesteś? Żołnierz gmerający mu przy spodniach szarpnął ostatecznie, co miało spaść, spadło, a co się miało pokazać, pokazało. Kapitan zasępił się nieco.

- No, , no, na pewno jesteś. Puśćcie go.

12 Żołnierze odskoczyli niezgrabnie, potykając się o dywan i zostawili go tak ze spuszczo-

nymi gaciami i skutymi rękami, z trudem utrzymującego równowagę, modlącego się już tylko o to, żeby jego dyndas rozpoznał dobrze sytuację i nie próbował czasem teraz swoich sił. Kuc odzyskał pewność siebie, wrócił niespiesznie za biurko.

- A wiesz ty co my możemy zrobić z taką znakomitością? ? I z takim czymś? Wyszarpnął niespodziewanie szufladę. - Widzisz to? To wariat, pomyślał Casanova z rozpaczą, jest w rękach wariata. - Szuflada. Zwykła na pozór szuflada. My tu nie mamy wielkiego pola do popisu. Góry, jak to mawiają, niskie, morze płytkie, dziwki takie sobie, a forsy zawsze mało. Ale wystarczy się rozejrzeć naokoło siebie i zawsze można coś ulepszyć. Choćby taką szufladę. Niby zwy- czajną, a jednak niezwykłą. Bo widzisz - wkłada się do niej coś zupełnie niezwykłego.

. Zatrzasnął nagle szufladę z hukiem. Casanova zgiął się wpół jakby sparaliżowany prawdziwym bólem. Jezu, co tu chcą z nim zrobić?

- Rozumiesz teraz? ? Lepiej, żebyś zrozumiał. Zabiję go, pomyślał Casanova, niech mi tylko uwolnią ręce. Zaduszę drania, rozwalę mu łeb krzesłem. Knur wykastrowany, dziobaty dureń, glista, niewarta roztarcia obcasem. Potem niech się dzieje co chce.

- Co mam zrobić? - powiedział cicho zamiast tych słów nienawiści, podchodzących pod gardło.

Kuc klapnął na krzesło z zadowoleniem, już wiedział z kim ma do czynienia. - Tak już lepiej. . Ale od pytań to my jesteśmy. Przypatrzył się z satysfakcją upokorzeniu Casanovy i nagle warknął na żołnierzy. - Doprowadzić go natychmiast do porządku. . Co wy, kurwa, myślicie, że służycie w burdelu? Łapa, brudna, śmierdząca machorką i karabinowym smarem łapa, capnęła jego pieszczono- nego przez najdelikatniejsze usta i dłonie Europy, dyndasa i wepchnęła między resztki ele- ganckich niegdyś pantalonów.

Kuc nie czekał aż skończą. - Nazwisko?

? Ten rytuał znał już dobrze, wolał go od innych, przynajmniej mógł mówić prawdę. - Giacomo Casanova.

. - Dalej!

! - Urodzony w Wenecji, 2 kwietnia 1725 roku, z ojca Kajetana Józefa Jakuba i matki Zannetty Farusi.

- Dalej! ! - Jestem poetą i filozofem.

. - Tak? Nie chce się wierzyć, żeby poeta i filozof miał tyle na sumieniu. O ile, oczywiście, w ogóle ma coś takiego jak sumienie.

Ty go nie masz na pewno, pomyślał bez satysfakcji.

- Ta kobieta wciągnęła mnie w pułapkę. Nie wiem tylko dlaczego. - Jaka kobieta?

? - Ta, , u której mnie porwano. - Nazwisko?

? - Nie wiem, , wy powinniście wiedzieć. Kuc walnął otwartą dłonią w biurko. - Twoje nazwisko, , durniu. - Casanova. . Giovanni, Giacomo. Co innego znać jakiś rytuał, a co innego doświadczać go pod przymusem. Grudka piekącego wstydu podchodziła mu pod gardło.

- Kto cię tu przysłał? ?

13 - Nikt. . Podróżuję dla przyjemności i dla nauki.

- Łiesz. . Jesteś pruskim i francuskim szpiegiem. A ty murzyńskim Chińczykiem. Nie odezwał się, złamał reguły tej nierównej gry. Kuc podniósł na niego swoje krowie, nie pasujące do ponurej gęby, oczy. Poczzerwieniał na twarzy z wściekłości.

- Odpowiadać! ! - Nie jestem niczym szpiegiem. Jestem poetą i filozofem. Zajmuję się też matematyką i astronomią, a także rozlicznymi praktycznymi interesami.

- Tak? A przecież zatrzymano cię wcześniej jak się kręciłeś po pałacowym parku. Jaki to praktyczny interes cię tam sprowadzał?

Jak przed chwilą złodowaciał, tak teraz błyskawicznie odtajał. Więc o to im chodzi, tym się naraził na podejrzenia. Przypomniawszy sobie również skąd brała się w nim uporczywa, nieprzyjemna myśl, że gdzieś już spotkał swojego obecnego dręczyciela. Jak się tam znalazł, kto go wprowadził bocznym wejściem? Znowu grzęźnie, ale przecież naprawdę nie znał tego mężczyzny, przygodnego towarzysza nocnej eskapady. Mroźny, słoneczny ranek. Z manuskryptem, jedynym wartym uwagi owocem pustych petersburskich tygodni, z manuskryptem pełnym własnych i cudzych pomysłów uzdrowienia świata, krążył niespokojnie po alejkach parku. Aż doczekał się - w kobiecie otoczonej paradną oficerską świtą, korowodem pysznych, błyszczących złotem i srebrem kogutów, rozpoznał carycę Katarzynę. Była niższa i bardziej tęga, niż się spodziewał. Ale przecież uzdrowicielka świata nie musi przypominać anioła. Wystarczy, żeby nim była.

Gdy zdecydował się podejść i rozpoczął szybki marsz w ich stronę, z orszaku carycy, odłączyło się dwóch rosnących mężczyzn. Szli spokojnie naprzeciwko niego, tak zresztą jakby ich wcale nie interesował. Dopiero gdy się zrównali, okazało się, że jest inaczej. Capnęli go pod pachy, unieśli, odwrócili i trochę popychając, a trochę niosąc, powlekli między gęste zarośla. Wtedy zobaczył tego człowieka o wrogiej twarzy i krowich oczach. Teraz wiedział z kim go już wtedy zetknął los.

To kapitan Kuc, w ciemnym, cywilnym płaszczu bujał się lekko na nogach i dłużył zapałką w zębach. Wysłuchał z rutynowym znudzeniem raportu tamtych, kazał go zrewidować i machnął lekceważąco ręką. Niech się wynosi czym prędzej. Manuskrypt podarł na cztery części. Żeby cię tu już więcej nie widział. Wszystko.

- Mogło być gorzej - mruknął Kuc, nieco zaskoczony swoją rolą w tej historii, może zachował się wtedy niemądrze, za mało czujnie, lepiej było do tego nie wracać. Zmienił więc szybko temat.



- Co my tu jeszcze mamy? ? - udawał, że zagląda do dokumentów. - A tak - planowanie ucieczki z więzienia i próba ucieczki.

. - Nie wiem o czym pan mówi.

. - Nie myślałeś o tym? ? Taki specjalista, nie uwierzę. - Pan by nie myślał?

? Błąd, czuł to już, gdy wypowiadał te słowa, ale jakieś potwierdzenie własnej wartości, drobny odruch pychy, był mu teraz potrzebniejszy niż rozsądek.

- Ja? ? Boże broń! - Kuc zaśmiał się głośno, , zaraz jednak spowaźniał. Nowy odcień chytrości pojawił się na jego twarzy. Gotował się do kolejnego ataku. - My, widzi pan, panie Casanova, czy jak tam się pan naprawdę nazywa, traktujemy człowieka całościowo, nie oddzielamy jego myśli od czynów. Myśl o przestępstwie, zgodzi się pan, zawsze poprzedza zbrodniczy zamiar, a w końcu i zbrodniczy czyn. Logiczne - prawda? Dlaczego więc mielibyśmy tylko walczyć z karygodnymi skutkami, a zostawiać w spokoju przyczynę? Nieprawomyślne myśli, niech pan zwróci uwagę na te mądre słowa, nieprawomyślne myśli tak samo zasługują na karę, co ich zbrodnicze konsekwencje. Rozumiemy się?

- Nie. .

14 - Nie. . Szkoda. Będę musiał powtórzyć. Myśl o ucieczce, do której się pan w istocie przyznał. . .

- Nie przyznaję się do niczego. . Postąpił wzburzony krok do przodu, czujni żołnierze skoczyli w jego stronę, ale Kuc po- wstrzymał ich ruchem ręki.

- Daruje pan, ale trzymajmy się faktów. Myśl o ucieczce jest de facto próbą ucieczki. A to już poważna rzecz. Poważna i niebezpieczna. Sam wiesz, ile osób ginie przy próbie ucieczki. Choćby twój służący.

- Nie przyznaję się do niczego i żądam widzenia z konsulem mojego kraju. . Kuc starał się ukryć rozczarowanie, wściekłość wyzierała jednak z każdego jego słowa. - Nie powtarzaj się. I bez głupot. Konsula mu dajcie. Może, żeby ci przypomnieli, że to z weneckiego więzienia zwiąłeś jak szczur parę lat temu i że do tej pory cię szukają?

- Chcę się widzieć z konsulem. . Powtórzył to dobitnie. Musiał się czegoś trzymać, inaczej zdręczał go niepewnością i szatańską kazuistyką. Kuc już się opanował.

- A zresztą - proszę bardzo - powiedział z uśmiechem, z góry pewien efektu - przypuśćmy, że ma go pan przed sobą.

Giacomo odwrócił wzrok. Błazen. Niewart nawet spojrzenia. - Co, takie to niemożliwe? Możliwe, możliwe. Świat nie stoi w miejscu. Któregoś dnia, na przykład, pański dumny, ale ostatecznie dość mały kraj, staje się z Bożą i ludzką pomocą, naszym krajem. Bądź co bądź, nie takie rzeczy można sobie wyobrazić. Wtedy - kto wie? Może zasłużę na tytuł konsula. Twojego konsula. A jeśli to już się stało? Cóż my tu wiemy, zamknięci w tych murach, co się dzieje na świecie? Przyznasz, że musiałbym wówczas spojrzeć na ciebie mniej pobłaźliwie. Ta ucieczka z naszego więzienia. . .

- Proszę nie żartować w ten sposób. . - Jeśli kraj jest nasz to i ty nasz, więzienia nasze, nawet przestępstwa nasze. To znaczy przestępstwa wasze. Ale sądy nasze. To chyba logiczne, co?

Milczeć, nie odpowiadać, nie dawać tamtemu żadnej satysfakcji. Nie potrafił tego. Tygodnie odosobnienia zrobiły z niego gadułę.

- Żadne prawa nie działają wstecz w cywilizowanym świecie. . Kuc docenił jego dobrą wolę, wstał, przeszedł się kilka kroków, otaksował go jeszcze raz

wzrokiem. - Ano właśnie - ten wasz cywilizowany świat. Poczciwe rzymskie komunały, honory, wartości, cała ta gadanina o prawach człowieka. Jaja wam od tego gładzenia poodpadały. No, może akurat

nie tobie. Człowiek, pojedynczy człowiek, to jest nic, zero, śmieć. Palec, którym możesz najwyżej podlubać w nosie. A z pięciu takich palców dobrze pokierowanych, widzisz co masz?

Przystawił Casanovie zwiniętą pięść do twarzy. - Pięść, ot co! Ludzką masę trzeba ugniatać w takie pięści. Miliony pięści. To dopiero będzie prawdziwa cywilizacja. Przez siłę, bratku, nie przez rzymskie komunały. A jak ty właściwie uciekłeś?

Casanova zadrzał, sam nie był pewien - z zimna czy z lęku. Jakaś pułapka czaiła się w tym pytaniu, co ich mogą obchodzić tamte sprawy sprzed dziesięciu lat. Nie chciał ani milczeć, ani mówić, szepnął więc pokaszując:

- Z Pałacu Dożów? ? Przez dach. Kuc bawił się nadal zaciskaniem dłoni w coraz to bardziej szzerwieniałą pięść. Znieru- chomiął, z kulakiem wycelowanym w Casanovę.

- Głośniej. . To nie konfesjonał, a ja nie jestem twoim klechą. Nie miał już siły udawać, był bliski załamania. Jak wtedy, w Wenecji, gdy nie mógł wy- trzymać samotności. Ale wtedy uciekł, a teraz?

- Panowie, , czego wy ode mnie chcecie? Twarz Kuca była teraz nieprzenikniona. - Głuchy jesteś? ? Masz opowiedzieć jak uciekłeś z więzienia.

15 Żandarmi odjechali, zabierając ze sobą skutego mężczyznę w skórzanej kurcie i ciała za-

bitych, rzucone na chłopską furkę. Nikt im się nie przyglądał prócz Casanovy, pozostali chyłkiem wrócili do karczmy. Kupcy już znowu jedli i pili, hałaśliwością próbując dodać sobie otuchy. On nie miał na to ochoty. Z ulgą zamknął za sobą drzwi pokoju. Teraz, obiecał sobie, nic go stąd już nie wyciągnie aż do rana. Przeczucie nie myliło go, nie należało schodzić na dół, mógł spokojnie przeczekać całą strzelaninę w łóżku.

Chociaż. . . Trup znaleziony właśnie w korytarzu na górze, trafiony zbłąkaną pewnie kulą młody głupiec wlokący się za nim od Petersburga, ten nietowarzyski szpicel zwalony obok drzwi, które nieopatrznie otworzył, wiedziony odruchem strachu lub ciekawości, był akurat dowodem na coś przeciwnego. Pewnie trzeba było przeżyć wszystko, strzelaninę, śmierć pró-

bujących uciekać mężczyzn, maltretowanie pozostałych, strach o siebie i o tego dziwnego chłopca, ryjącego sobie teraz może kryjówkę w kapuscie.

Trzeba było pomóc tamtym, może ich nawet ocalić przypomnieniem pułkownika Astafowa, a siebie tym przypomnieniem na pewno przyprawić o ból brzucha i głowy. Ten makabryczny kapitan Kuc. . . Cóż, tak widocznie musiało być. Jego los miał się dopełnić kiedy indziej i - Boże, bądź miłościw - gdzie indziej. . . Byle nie tu, nie tu.

Ale co to właściwie było? O co chodziło tym nieszczęśnikom ściganym przez rosyjskich żandarmów we własnym kraju? Nie wyglądali na bandytów. Ale kto wie? Czy on na przykład wygląda na szpiega? A ci niemieccy kupcy? Diabli wiedzą, kim są naprawdę.

Niczego nie można być pewnym, pomyślał smętnie, kładąc się na chrzęszczącym sianem łóżku, gotów wytrwać tak aż do wyjazdu.

Następna myśl poderwała go jednak z powrotem. Gdyby to jego mózg przewierciła ta mała porcja ołowiu, wrzucono by go, jak tamtego, może nie bez zwyczajnej powagi, ale przecież, to jasne, i bez specjalnej troski, do jakiegoś bezimiennego dołu pod murem cmentarza w tej zapadłej mieścinie, której nazwy nie chce nawet znać, gdzieś na krańcu już nie Europy, ale po prostu świata. Nikt nie wiedziałby, kogo przykrył litościwy piasek, bo podróżuje przecież incognito, a jedyny może nieszczęśnik, który miałby na ten temat coś do powiedzenia, gnąłby obok, w sąsiedniej mogile. Nie powinien do tego dopuścić. Nigdy. Ci wszyscy, których kochał, nienawdził, a choćby jedynie mijał w drodze, ci dla których istniał tylko w przekazywanych sobie opowieściach, powinni wiedzieć, kim był naprawdę. Jak rozbitek na samotnej wyspie musi o sobie donieść światu. Z małego litewskiego miasteczka, gdzieś pośrodku drogi między Petersburgiem a Warszawą.

Od lat nie mógł się na to zdecydować. Teraz, gdy był sam, może bardziej sam niż w więziennym lochu, kiedy nawet jego dozorca z kulą w czaszce udał się do swojego nieba, nadeszła pora. Wyjął wszystko, co trzeba z torby, przyciął pióro i przyciągnął do łóżka kulawy stół.

" W obliczu Boga Wszechmogącego i Świętej Panienki, wiedziony przez całe życie ich, jak mniemam, życzliwością, przystępuję do spisywania swoich zasług i win, przygód pięknych i może grzesznych, niech mi więc dopisze pamięć i sumienie. Czterdzieści lat, które przeżyłem na tej ziemi. . . "

Zaraz, zastanowił się bez przyjemności, czterdzieści jeden raczej. Bo jak dokładniej obliczyć. . . Zniecierpliwilo go to odkrycie. Czterdzieści jeden to brzmi mało harmonijnie, żadnego wdzięku nie ma w tej liczbie. Po co w ogóle silić się na grobowy ton. Skreślił wszystko, co napisał. Trzeba inaczej.

" Niewiele zdołał wymyślić człowiek dla pogńebienia drugiego człowieka. Wilgotne piwniczne lochy, albo rozpalone poddasza służą od wieków temu samemu celowi - wyzbyciu człowieka jego człowieczeństwa. Piszę to ze znajomością rzeczy, bom doświadczył i jednego, i drugiego. Osadzony dziesięć lat z górą temu przez Inkwizycję w weneckim Pałacu Dożów,

16 zwanym także trafnie Więzieniem Pod Ołowianym Dachem, uwięziony pod nieznanymi

mi  
dotąd zarzutami - bo za takie nie mogę uznać posiadania ksiąg: " Kluczyk Salomona " , " Zecorben " , " Pecatrix " , które głupi mają za magiczne, mądrzy zaś za zabawne - zmuszony byłem uciekać z morderczo gorącego strychu przed perspektywą spędzenia w tym piekle, jakże w tej sytuacji nędznej, resztki mego życia. "

To już było lepiej. Ale nadal nie tak. Powinien chyba zacząć od początku, od sceny aresztowania, od tego straszego poranka, gdy zbiry Wielkiego Inkwizytora plądrowały mieszkanie, a on, starannie i bez pośpiechu, mył się, golił, cesał, a potem włożył koszulę z koronkami, białe pończochy, najlepszy jedwabny frak, pelerynę i ogromny kapelusz z białym piórem, jakby czekało go wesele, nie więzienie. Wiele miesięcy później, po wydrążeniu otworu w suficie celi, wyłamaniu ołowianych płyt dachu, wspinaczce i akrobacjach nad przepaścią Wielkiego Kanału, sforsowaniu wielu zamków i drzwi, pokaleczony dotkliwie przy wyłamywaniu ostatnich, stanął u podnóża wielkich pałacowych schodów i zaczął wkładać na swe znękane ciało, cały czas niesione w tobołku: jedwabny frak, koronkową koszulę, białe pończochy i kapelusz z białym piórem. I tak przyodziany przekroczył jedyne drzwi dzielące go jeszcze od wolności. Nie jak więzień, ale jak młody żonkoś. Cokolwiek może tylko zmęczony przygotowaniami do ślubnych uroczystości.

Wstał od stołu dość zniechęcony. Dziesięć lat to wieczność. Co ta historia ma wspólnego z nim dzisiejszym. Chyba tylko hemoroidy, których się wówczas nabawił po piętnastu dniach przymusowej wstrzemięźliwości.

Wtedy, w Petersburgu, pisał z większą przyjemnością. Po tygodniach osamotnienia i mroku miał wreszcie lepszą, widną celę i przyjaciela - kartkę papieru, z którą mógł rozmawiać,

wadzić się, fantazjować. Jeśli chcieli go pognać, jeśli polecenie Kuca miało być złośliwym żartem obliczonym na wyprowadzenie go z równowagi - to chybili. Opisywał swoją ucieczkę z coraz większą satysfakcją i na różne sposoby. I choć jedno realne więzienie tylko zamieniał w wyobraźni na drugie, to istniało przecież w tej podróży w czasie i przestrzeni coś ożywczego, pozwalającego mu odzyskać wiarę we własne siły - Pałac Dożów był nie w Petersburgu, a w jego ojczystej Wenecji, i poza tym, bądź co bądź, dało się z niego uciec. Nie spieszył się, dozował po- woli przyjemność opisu, wracał do początku, uzupełniał szczegóły, pogrubiał sufit i przydawał ciężaru ołowianym płytom dachu, mnożył napięcia i możliwości klęski, a kiedy był już blisko pałacowych drzwi - ostatniej przeszkody do przebycia, zaczynał wszystko od nowa, jeszcze i jeszcze raz, wiedząc i tak, że na końcu tej historii czeka go największa nagroda - wolność.

. Zaczęły go odwiedzać w celi najrozmaitsze osoby, generalskie szarże obwieszane orderami jak kukły na karnawałowej paradzie. W milczeniu oglądali go niczym zwierzę w klatce albo skazańca. Wreszcie, gdy kolejny raz balansował nad przepaścią Canal Grande, próbując wpełznąć w wylamane okienko zbawczą drabinę, został znowu wezwany do kapitana Kuca.

To już nie było pałacowe wnętrze jak poprzednio, ale raczej cela, większa tylko i lepiej wyposażona od normalnej.

Kuc nie odzywał się przez dłuższą chwilę, przyglądał mu się spod oka. Było w tym spojrzeniu coś z taksującego namysłu tamtych umundurowanych kukieł, szydzących swoją elegancją z jego łachmanów, kudłów i coraz bardziej dzikiej brody. Teraz ogolony i przyodziany w czyjeś za duże, ale jednak schludne ubranie, znosił to lepiej, a nawet było mu wszystko jedno, czy tamten się odezwie czy nie.

- Bić się umiesz? ? Kuc nie odezwał się lecz ciął. Jak świst pałasza doszły do Casanovy te słowa. Musi się za- słonić i ciąć samemu.

- Umiem. O ile może to powiedzieć ktoś, kto zwyciężył w trzydziestu pojedynkach i tylko w trzech został ranny.

17 Sztych nie wywołał większego wrażenia na Kucu, Casanova chciał ponowić uderzenie,

przypomnieć jakieś smakowite szczegóły, choćby ten, jak potykał się z dwoma Gaskończykami naraz i rozłożył ich jednym ciosem z półobrotu, ale oficer był szybszy.

- Zaraz się przekonamy. . Skąd wzięły się dwie szpady w jego rękach, diabeł tylko raczy wiedzieć. Na koniec jednej z nich nałożony był metalowy ochraniacz. Tę wyciągnął Kuc w stronę Casanovy, orientując się równocześnie, że więzień jest ciągle skuty. Podbiegł żołnierz, wielki wąsaty chłop, cuch- nący machorką i smarowidłem do butów i po chwili Casanova masował już obolałe nadgarst- ki i myślał mściwie, że, bez względu na wszystko, da tamtemu szkołę. Jeśli to była jakaś pro- wokacja to da się sprowokować, jeśli samobójcza próba to, zgoda - popełni samobójstwo, zabije Kuca, a potem mogą i jego zabić. Wszystko lepsze niż to powolne konanie w celi. Zważył w ręku broń, metalowy czop na końcu ostrza odbierał jej wdzięk i harmonijne wywa- żenie. Dotknął z rozczarowaniem jego tępej krawędzi.

- To tak jakbyś pieprzył przez szmatkę. - Kuc zaśmiał się hałaśliwie. - Mniej przyjemnie, ale czasem trzeba. A o sobie się nie bój - dodał spokojniej, próbując równocześnie palcem ostrze własnej szpady. - Nic ci się nie stanie.

. Odślonił się, tę głupią zniewagę łatwo było skarcić. - Ja się nie boję - powiedział Casanova, wkładając w to " ja " tylko tyle szyderstwa i dumy, by sztych był celny, ale i elegancki. Trafił, bo tamten pociemniał na twarzy i stanąwszy na- przeciwko więźnia warknął niecierpliwie:

- Gotów? ? Jeszcze tylko poprawić spodnie, musnąć dłonią włosy, przeżegnać się, nie, to - nie, tamten pomy- śli, że się naprawdę boi, więc tylko lekki skłon, żeby tradycji , tej matce honoru, stało się zadość i już.

- Gotów. . - Nacieraj.

. Casanova ostrożnie ruszył przed siebie, lepiej nie szarżować od razu, pobawić się trochę z tym pewnym siebie durniem. Skrzyżowali szpady raz, drugi. Kuc opuścił broń.

- No, , dalej. Tylko tyle potrafisz? Babę patroszysz czy walczysz? Zaraz zobaczysz kogo wypatroszę, skurwysynu, zaklął w myśli Casanova i rzucił się do gwałtownego ataku. Dwoma szybkimi ciosami zagnał Kuca w kąt pokoju i już miał wykonać swoje popisowe uderzenie, markowany cios na środek piersi, kończący się naprawdę w szyi, gdy tamten zamachał wściekle rękami.

- Won, , bydlaku. Kto cię prosił! Żołnierz z nastroszonym karabinem gotował się do uderzenia, nie był tylko pewien - ba- gnetem czy kolbą. Nie był także pewien czy dobrze słyszy i widzi, dopiero ponowne " won " i ręka kapitana wskazująca mu miejsce pod drzwiami, ruszyły go z miejsca. Kuc starał się opa- nować wściekłość. Nie tłumaczył się jednak, nie było przed kim.

- Dalej. . Starli się ponownie na środku celi, Casanova już oprzytomniały, spokojniej rozkładający siły. Dał się przyprzeć kapitanowi do ściany, poczuł jego kwaśny oddech na twarzy i ból w nadgarstku miażdżonym do niedawna kajdankami, a teraz rękojeścią szpady tamtego. Ze wszystkich sił odbił się od ściany, odepchnął Kuca tak mocno, że oficer, zawadziwszy jeszcze o fotel, znalazł się nagle na podłodze. Casanova opuścił szpadę, wyzwolony już z niedawnej zaciekłości. Nie będzie przecież atakował leżącego. Sprawa jest jasna - wygrał. To mu musi wystarczyć, choćby nawet znaczyło tutaj tyle co nic.

Kuc nie chciał mu jeszcze dać tej satysfakcji, przekręcił się na plecy i z wyciągniętą przed siebie szpadą czekał na Casanovę.

- No! ! Dalej! Giacomo zaskoczony postąpił krok naprzód, zaraz jednak cofnął się znowu. - No!

!

18 Wariat albo ryzykant, pomyślał, kątem oka widząc jak żołnierz przy drzwiach przestępuje

niespokojnie z nogi na nogę. Nie taki więc wariat i nie taki znowu ryzykant. Kusi do niego- dziwości, żeby go na tym złapać, upokorzyć, może nawet zabić. We własnej obronie, tak by się to później nazywało. Ten osilek przy drzwiach czeka tylko na taką chwilę. Musi ich zbić z tropu swoim spokojem i dystynkcją. Wyprostował się, ścisnął mocniej opuszczoną ciągle szpadę. Będzie strzegł reguł skoro oni ich nie uznają. Szlachetnością odparuje ich brak szla- chetności. Formą brak formy. Wyprostował się jeszcze mocniej, aż strzeliły stawy. Stał nieru- chomo i prosto, kpiąc z niezgrabnego leżenia jednego i zgarbionego kołysania się drugiego ze swych prześladowców.

- Nie godzi się - powiedział spokojnie, , pewny już sukcesu w tej rozgrywce. Kuc roześmiał się szyderczo.



- Nie godzi się przede wszystkim być durniem. . Trzeba wykorzystywać takie sytuacje. Casanova, starając się nie tracić przy pierwszej próbie całego swojego opanowania, przysunął się do niespiesznie gramolącego się na nogi oficera i prz ytknął mu koniec szpady do szyi.

- Tak? ? Nawet przez metalowy ochraniacz czuł pulsowanie krwi tamtego, gdyby nie ten ochraniacz porozmawialiby inaczej. I obyłoby się bez słów. Kapitan spaśował na twarzy, nie przestawał się jednak uśmiechać.

- Właśnie tak, , panie Casanova. Teraz było lepiej. Mógł przecież w czasie walki zdjąć ten kawałek metalu z ostrza, zajęłoby mu to ułamek sekundy, nie więcej, nie musiałby wtedy patrzeć jak ten prostacki pyszałek odsuwa spokojnie od siebie jego bezsilną, tępą broń. Gdyby miał teraz prawdziwą szpadę w ręku. . .

I nagle ją miał. Bo Kuc, dalej z uśmieszkiem, który uznał teraz nie za szyderczy, a za nieprzenikniony, podał mu swoją szpadę, sam zaś wziął do ręki ten kawał wykastrowanego żelastwa.

- Pobawiliśmy się trochę. . Pora się czegoś nauczyć. Casanova nie miał czasu na rozmyślanie. Przyjął postawę i czekał na to, co ma się stać. Może dopiero teraz groziło mu prawdziwe niebezpieczeństwo, więzień z gołą szpadą w ręku naprzeciw policjanta, to nie wróżyło niczego dobrego, ale co miał zrobić. Nie on ustanawiał reguły gry, tylko ten szaleniiec, tłumaczący coś teraz warkliwie żołnierzowi. Jednak tchórz, umawia się pewnie kiedy bagniet i kula mają pomóc szpadzie. Ledwie to pomyślał, wartownik wyszedł, zostawiając ich samych.

- Uważaj teraz. . Zobaczysz coś, czego jeszcze nigdy pewnie nie widziałeś. Ty zaczynasz. - Z przyjemnością.

. Z trudem ukrył drżenie głosu. Kuc jakby odczytał jego myśli, cofnął się o dwa kroki. - Nie obiecuj sobie za wiele. . Dobrze radzę. Jeszcze dwa kroki do tyłu i Kuc dotknął plecami ściany, ugiął nogi w kolanach i rozstawił je szeroko. Szpadę trzymał dziwacznie, ostrzem w dół, jakby nie kłuć nią zamierzał, a ciąć. Casanova ruszył z impetem, chcąc rozstrzygnąć walkę pierwszym atakiem. Zobaczy strach w oczach tamtego, to mu wystarczy. Nie musi go ranić ani zabijać. Przekona się bydlę, kto tu jest durniem, i co to znaczy igrać z honorem szlachcica.

Nie trafił, kapitan Kuc, już nie kapitan, już nie Kuc, ale po prostu diabeł wcielony uskoczył z przenikliwym krzykiem w bok, okręcił się błyskawicznie wokół i precyzyjnie wymierzonym kopnięciem wytrącił Casanovie szpadę z ręki. Teraz w jego znieruchomiałą szyję celowała szpada, w twarz chuchał zalatujący siarką oddech.

- No i co? Zrozumiałeś? My tu nie myślimy tylko o tym, jakby najwięcej zeżreć i naobłąpiać, jak wy tam w tej waszej gównianej Europie, my tu, widzisz, krzątamy się jak mrówki, szukamy czegoś nowego, zaglądamy sąsiadom przez płot, bo uczyć się trzeba choćby od dia-

19 bla, nawet od złotego diabła. My tu budujemy swoją potęgę, rozumiesz? To jest wielka rzecz,

tak wielka, że żadne ofiary nie są dla niej za małe. Rozumiesz, co do ciebie mówię, ty wenecki byku? Rozumiał tylko tyle, że zginie przy najbliższej próbie oporu, że ten szaleniec pchnie go w szyję bez wahania.

- Tak - wycharczał półprzytomnie. Zamknął oczy, nie chciał oglądać tryumfu na twarzy tamtego. Zakotłowało się coś wokół niego, teraz, zaraz się wszystko skończy, odjął ostrze pewnie, żeby wziąć lepszy zamach, mordercy, Najświętsza Panienko nie dopuść, żeby. . .

- Co tu się dzieje? ? To nie był głos Kuca. Pułkownik Astafow stał w drzwiach i patrzył na nich ze zdumieniem.

- Pan oszalał, kapitanie. Proszę natychmiast puścić więźnia. - Tak jest.

. Kuc sflaczał cały, spełzła z niego w okamgnieniu pycha zwycięzcy, ustępując miejsca poddańczemu zmieszaniu. Jak szakał wobec lwa, pomyślał Casanova, opierając się o ścianę, żeby nie upaść.

- Uprzątnąć mi tu zaraz ten bałagan. . Na nowo przywołany żołnierz rzucił się do sprzątnania, podnoszenia, poprawiania. Kuc poprosił o pozwolenie odejścia, na co pułkownik machnął tylko ręką, idźcie. Gdy już zamknęły się drzwi za kapitanem, gdy drewniany zydel stał znowu

w kącie, papiery wróciły na biurko, a wartownik na swoje miejsce, pułkownik Astafow rozparł się wygodnie w fotelu.

- Nic się panu nie stało, , miejmy nadzieję. Więcej stwierdzenia niż pytania było w tych słowach, trzeba by być głuchym, a nade wszystko głupim, żeby tego nie usłyszeć. Choć huczała mu jeszcze krew w skroniach, a nie- nawiść zatykała gardło, nie chciał być ani jednym, ani drugim.

- Nie. . - To dobrze, bardzo dobrze. Widzi pan z kim musimy pracować. To fanatyk. Utopista. Ta- cy jak kapitan Kuc stają się w końcu niebezpieczni dla porządku, o który tak walczą. Za wiele chcą wyrzucić do góry nogami. Zwykle albo kochamy władzę, albo się jej boimy. Albo mi- łość, albo strach, tak jest i było zawsze. A on chce - co za wariacki pomysł - żebyśmy kochali władzę ze strachu. Taka krzyżówka słonia z muchą, ordynarnie mówiąc. No, ale my ordynar- nie mówić nie będziemy. Dlaczego pan nie siada?

Casanova zerknął z niepewną czujnością, zydel stał w kącie, z dala od niego. Astafow ski- nął na żołnierza.

- Chce pan złożyć zażalenie? ? Znowu zobaczył wilczy błysk w oczach Astafowa, jak na pierwszym przesłuchaniu tak i teraz instynkt nakazał mu czujność.

- Został pan przecież źle potraktowany, , użyto wobec pana przemocy, tak? Usiadł z ulgą na twardym zydlu. - Tego bym nie powiedział.

. - Tak czy nie?

? - Nie.

. - Dobrze. . I żadnych uwag na temat śledztwa pan nie ma? - To jakieś tragiczne nieporozumienie. Oskarża się mnie o czyny, których nie popełniłem. Nie było żadnego gwałtu. Ja z tą damą poznałem się dużo wcześniej i pochlebiam sobie, nie musiałem uciekać się do podobnych metod.

Dobroduszny uśmiech kazał zapomnieć o wszelkich podejrzeniach. - Zgoda, panie Casanova, ale teraz mówimy nie o pańskich, ale o naszych metodach, mo- ich, no i powiedzmy także, kapitana Kuca. Czy do nich nie ma pan żadnych zastrzeżeń? Sko- ro nie, proszę podpisać to oświadczenie.

20 Litery rozjeżdżały mu się przed oczami w mrówcze, splątane ze sobą szeregi. Strzępy zna-

czeń docierały do jego świadomości, oświadczam, dobre traktowanie, zobowiązuję się, tajemnice śledztwa, przysięgam na Boga Wszechmocnego. Położył papier z powrotem na biurku. Nie usiadł, wiedział, że uprzejmości zaraz się skończą.

- Niczego nie podpiszę. . I żądam widzenia z konsulem mojego kraju. Pułkownik nie udawał już jowialności, ta część gry była skończona. - Czeka za drzwiami - powiedział z lekką irytacją i pchnął papier w jego stronę - No, te- raz podpiszesz?

Wyobrażał sobie weneckiego dostojnika jako staruszka, zmumifikowanego w dyplomatycznej służbie i nie zawiódł się. Miał wkrótce przed sobą zamiast Astafowa, suchego starszego pana, z trudem ukrywającego chęć zakończenia tej rozmowy ledwie się tylko zaczęła.

- Niewiele możemy w tej sytuacji zrobić dla pana, drogi panie Casanova. Pańska pozycja w naszym kraju była zresztą, powiedzmy, dość szczególnego rodzaju. Zdaje się, że jest pan nadal poszukiwany.

- Byłem więziony bezprawnie. . Niczego mi nie udowodniono. Zaczęli w dialekcie weneckim, teraz konsul, jakby go świerzbił własny język, albo żeby go łatwiej mogli zrozumieć ci, co słuchali pod drzwiami, przeszedł na francuski.

- Teraz nie da się tego, niestety, powiedzieć. Przynajmniej pan wie, o co jest oskarżony. Może to niewielka pociecha, ale mogę pana zapewnić, że i w tym kraju więźniowie poczytują to sobie za wyróżnienie. Trzeba było wziąć to pod uwagę zanim pan zaczął niebezpieczne amory.

Casanova chciał być przekonywający, ale brakowało mu już sił i ochoty. Niech mu dadzą spokój, odprowadzą do celi, twarda prycza bardziej będzie przyjazna niż ten dostojny rodak.

- Ta kobieta, ta dama - poprawił się szybko - nie stawiała mi żadnego oporu. O ile rozumie pan, co mam na myśli.

- Staram się. - Konsul uśmiechnął się kpiąco. - I nie mam w zasadzie powodu wątpić w to, co pan mówi. Ale ona twierdzi teraz co innego. Że pan ją przymusił i zgwałcił.

- Dziwka, , perfidna dziwka. - Ta kobieta, ta dama, należy w dodatku do dworek carycy, które powinny być jak westalki zanim imperatorowa nie wyda ich za mąż.

Ciężki śmiech, jak kaszel, odebrał mu na chwilę oddech. - A to dobre - nie wiedziałem, że pierdołę westalkę. Rozjechana była chyba przez pułk kawalerii. O ile rozumie pan co mam na myśli.

Stary człowiek podniósł się wolno z fotela, sięgnął po laskę i kapelusz. - Wątpię, czy ten argument wystarczy. I nawet nie radzę go panu używać. Bo to może być ostatni argument w pana życiu. Ta kobieta, ta dama, a w zasadzie ta panna, ma naprawdę nie- złe koligacje. I pięciu braci, którzy raczej nie podzielą pańskiej opinii.

- Nie pomoże mi pan? - Już ochłonał, starał się trzeźwo ocenić sytuację. Niepotrzebnie się łudził. Będzie zdany tylko na siebie.

Starzec zawahał się nad odpowiedzią. Ale tylko przez moment. Tu, w czterech ścianach celi, wobec wynędzniałego więźnia w butwiejącym od wilgoci ubraniu nie musiał zasłaniać prawdy pokrętnym językiem swojego zawodu.

- Nie, nie mogę. Nasze interesy w Europie mogłyby na tym ucierpieć. A do tego dopuścić nie można. W żadnym wypadku.

- W żadnym wypadku? To wszystko co ma mi do powiedzenia poseł mojej ukochanej ojczyzny? Włożył w to pytanie cały sarkazm i ból swojego położenia, ale głos załamał mu się żało- śnie. Starzec był już przy drzwiach, spojrzął na Casanovę życzliwiej.

- Naszej małej ojczyzny - dodał, stukając, żeby go wypuszczono. - A zresztą, nie wszystko. Niech pan pokłada ufność w Bogu.

21 Ufność w Bogu? Dawno już ją utracił. Nie da się przeżyć licząc tylko na przychyłność

Opatrzności i jedynie ludzie bez wyobraźni, a może i bez sumienia, uznają tę prawdę za bluźnierstwo. Pierwszy raz zrozumiał to któregoś wieczora w więzieniu Pod Ołowianym Dachem.

Stał na poddaszu, gdzie wypuszczano go na krótki, codzienny spacer i spoglądał uważnie w górę, ku okienku wycelowanemu na kawałek nieba. Mimo wieczora błękit wydawał się jeszcze nieskalany. Zbyt mało go było, by rozświetlić półmrok więziennego strychu, wystarczająco dużo jednak, by podsycić w nim chęć życia. Wpatrywał się w ten skrawek wolności, myśląc usilnie, jak znaleźć do niego drogę, bliski, czuł to chwilami wyraźnie, szaleństwa.

Nagle gruba, drewniana belka dźwigająca konstrukcję dachu, wyraźnie drgnęła, a raczej wygięła się w prawo i zaraz odprężając się ruchem wolnym i przerywanym, trzeszcząc i stękając, wróciła do dawnego położenia. Gdy jednocześnie sam zachwiał się na nogach, pojął, że to nie atak obłądu, ale wstrząs ziemi. A więc jego modlitwy zostały wysłuchane. Uwolni się, runą przekłete mury, których jest więźniem. Niech się zawali ten gmach podłości, niech jak trafiony w biegu człowiek, padnie na Plac Świętego Marka i rozsypie się w sterty gruzu i fontanny kurzu. On sam, w najgorszym razie zginie pod gruzami. Lepsze to niż takie życie bez życia.

Strażnicy, otwierający właśnie drzwi jego celi, tej rozpalonej od słońca klatki, do której miałby niedługo wrócić, zamarli pod ścianą z przerażenia, mamrocząc jakieś modlitwy. Dur- nie, do kogo się ośmielają modlić. I o co? O jego dalszą niewolę?

Gdy wstrząs powtórzył się, gdy jęknął ołowiany dach, skrzypnęły krokwie i zakołysała się podłoga, krzyknął ze wszystkich sił, jakby tym krzykiem zwiększyć mógł siłę uderzenia.

- Jeszcze raz, , jeszcze raz, wielki Boże! Ale mocniej! Strażnicy uciekli, przerażeni nagłym szaleństwem świata, ale grzmot zaraz ustał, krzyk umilkł i zamiast płatów metalu, kamiennych brył i drewnianych belek, sypnęła się na głowę Casanovy fontanna kurzu.

To już był koniec. Nic więcej się nie zdarzyło. Nie został wysłuchany. Jeszcze rok mieli go więzić w tych wrogich murach, zanim uciekł, by dziesięć lat później spowiadać się z tego czynu przed kapitanem Kucem. Ale od tamtego czasu chociaż wiedział, że może liczyć tylko na siebie.

" Dowiedziałem się później, że ów wstrząs w Wenecji był echem trzęsienia ziemi, które zniszczyło wówczas Lizbonę " .

Odłożył pióro zmęczony, ale i trochę zawiedziony tym, co mu się udało napisać. Któryż to już raz próbuje to opowiedzieć? Może o ten jeden raz za dużo? Skreślił ostatnie zdanie. Cóż to za nic nie znaczące ogólności. " Dowiedziałem się później " . . . Przecież za tym - " dowiedziałem się " - kryją się najpiękniejsze piersi, jakie spotkał do tej pory w życiu, a za " kiedyś " - wspaniałe londyńskie miesiące, które spędził pod jednym dachem z piękną Pauliną. Choć raz może sobie powiedzieć, że był głupcem nie z podłości, tylko z poczciwości. Ale co to za pocieszenie! Gdyby nie ta dumna poczciwość, wszystko w jego życiu potoczyłoby się może inaczej. Nie pozwoliłby jej wyjechać, zatrzymał przy sobie, poprzysiągł kochać na śmierć i życie. Może miałby teraz rodzinę, dom, biegającą po zagonach kartofli, które mógłby spokojnie uprawiać, gromadkę dzieci, równie jak te kartofle - dorodnych. . Na pewno nie byłoby go tutaj, na tym krańcu świata, nędznym i ponurym, gdzie wszystko sprzysięgło się przeciw niemu. Nawet - pacnął dłonią w stół aż zachybotła świeca - pchły.

. Spróbował jeszcze raz. " Dowiedziałem się później od pewnej bliskiej mi damy. . . " Nie, nie, to nie to. I nie tak. Szarpnął piórem po papierze aż prysnął atrament. Co było, to było, nie

22 będzie tego rozpatrywać więcej, bo oszaleje. A tu dla takich jest tylko najpodlejsze miejsce

pod cmentarnym murem. Był z siebie niezadowolony. Pisanie nie dało mu satysfakcji ani, tym bardziej, wytchnienia. Wziął się do tego za bardzo zmęczony, ot co. Dosłownie półżywy. Stąd co zdanie to inna sty- listyka, co akapit to inny wątek, płatanina myśli, wspomnień, czasów. Kobiety, więzienia, krowie oczy Kuca.

Musi jakoś uporządkować ten chaos, bo nikt, poza nim samym, nie będzie się w tym rozeznawał. Gdzie Rzym, gdzie Krym, a gdzie Petersburg. Skąd uciekł, a dokąd go dowleczono. Czyja była szuflada, a czyj konsul. Kogo kochał, a kogo tylko pierdolił. Tak. Więcej spokoju, więcej namysłu. Wtedy chaos sam ustąpi.

Może. Ale nie tu i nie teraz. Bo o jakim spokoju mógł myśleć, o jakim okiełzrywaniu chaosu, skoro tyle tego szaleństwa naokoło odkąd przekroczyli granicę- niegranicę: carskie wojska buszujące w królewskiej Polsce, cudowna moneta utrzymująca się sama w powietrzu, strzelanina w karczmie, smród wódki i prochu, rozpaczliwe drżenie chłopca, którego próbował ocalić i szpicruta oficera odmierzająca kroki wśród leżących trupów. A jeszcze powalony pod jego drzwiami szpicel. Prawdziwe szaleństwo. Ten bydlak Astafow miał chyba rację - to nie jest normalny kraj.

Napisał jeszcze: " Zacząłem notować w Polsce, w drodze z Petersburga do Warszawy, w przygranicznym miasteczku, którego nazwy nie znam. Skąd się tu wzięłem - to już zupełnie inna historia. " I odłożył pióro. Ale - do stu tysięcy wilczych pysków! - natrętnych myśli odłożyć się nie dało.

W dwa dni po rozmowie z konsulem został doprowadzony do Astafowa. Pułkownik nie odzywał się do niego dłuższą chwilę, nie proponował też krzesła. W jego zachowaniu było coś nowego, jakiś rodzaj zdecydowania, które może daje świadomość, że wyrok już zapadł. Teraz, pomyślał Casanova z drżeniem, zaraz dobiórą się do mnie. Może zaczną bić. Ostatecznie, jęki katowanych słyszał codziennie przez ścianę. Dlaczego mieliby oszczędzać jego. Jego, którego wyrzekł się nawet własny kraj. Niech biją. Umrze bez słowa skargi. Nie chce już żyć na tym świecie.

- Był pan kiedyś w Polsce? ? - Nie - odpowiedział machinalnie, , jeszcze zanim zrozumiał pytanie, poprawił więc zaraz - nigdy. Nigdy nie byłem w Polsce.

- Ale wybiera się pan tam w najbliższym czasie. . Ni to pytający, ni to twierdzący ton Astafowa zbił go zupełnie z tropu. Czego znowu chcą? Oskarżyć go o jakąś nową niegodziwość czy może. . . Krew uderzyła mu do głowy, nagła nadzieja oblała go falą gorąca. Uznał, że najbezpieczniej będzie mówić prawdę.

- Tak. . Przyznaję, że miałem taki zamiar. - Miałem? ? To już pan nie ma? Nie zobaczył spodziewanej drwiny w twarzy pułkownika. To również coś chyba znaczy. Rozmawiają o swych planach jak dwaj wolni ludzie. Chyba. . .



- Mam. . Jeśli mogę mieć. Astafow uchylił się od odpowiedzi, ale wszystko - uśmiech lekki na jego twarzy, umoczone w atramentem pióro, nieobecność wartownika przy drzwiach - wskazywało na to, że nie byłaby ona dla Casanovy niepomyślna.

- Co pan wie o tym kraju? ? Mógłby powiedzieć - miałem w Paryżu kochankę Polkę, piękną, czułą, podobną do Pauli- ne, gdybyś wiedział jak otwierała się przede mną miłośnie i jak krzyczała z rozkoszy w swym dziwnym szeleszczącym języku, zrozumiałbyś, że wiem o jej kraju więcej niż inni. Więcej też niż ci mogę powiedzieć.

23 - Niewiele. . Właściwie nic. Ma nowego króla.

- To już nie nic. . - Stanisława Augusta.

. Astafow wstał, nie z szacunku jednak do polskiego władcy. - Stanisław August herbu Ciołek. Ciołek. Tak go nazywają wrogowie. I przyjaciele, o których ostatnio zapomina. I wobec których się zapomina. Co jeszcze? Co o nim mówią w świecie?

Chciałbym powiedzieć, co w świecie gadają bez umiarkowania o tym królu - że był kochankiem carycy, no jeszcze nie carycy - wielkiej księżnej i że to ona wyniosła go na polski tron, ale wolał się ugryźć w język.

- Ambitny. . Rządzi dobrze. . . Instynkt zawiódł go tym razem. Wilcze były już nie tylko oczy, ale i cała twarz Astafowa. - Bzdury pan gadasz, panie Casanova. Król rządzi źle, a raczej nie rządzi w ogóle. Szerzy się anarchia, mnożą napady na naszych obywateli, kupców, podróżnych, dyplomatów. Zagrożone są nasze interesy. I honor. Rozumie pan?

Powinien opowiedzieć - a cóż mnie obchodzi wasz honor skoro wy depczecie po moim, o ileż mi bliższym. Cóż mi do waszych interesów skoro moje przez was przedstawiają się gorzej niż źle. Jak mam potępiać buntowników, skoro nie wiem przeciw czemu i komu się zbuntowali, jak oburzać się na napady i anarchię, skoro mnie samego napadnięto w kraju wzywającym do walki z anarchią. Dla tego wilka naprzeciwko powinien być jednak lisem, podkulić błyskawicznie ogon i zmykać zacierając ślady.

- Nie wiem czy w pełni rozumiem. Ale ja patrzę na to trochę inaczej. Ostatecznie - bo- gactwo świata nie jest niewyczerpane, myślę, że znajdę tam to, co wszędzie. Piękne kobiety, przyjaciół, przychylnego monarchę. - Przerwał na moment potrzebny do przełknięcia śliny. - Pieniądze.

Astafow usiadł znowu, w jednej chwili minęło całe jego podniecenie. Spojrzał na Casa- novę badawczo, jak szuler na szulera.

- Pieniądze? ? - Prawdę mówiąc - dużo pieniędzy. Pewne przedsięwzięcia gospodarcze przejściowo nie- udane, wyczerpały ostatnio moje zasoby. Tu nie chodzi zresztą o mnie. Ja nie kieruję się wła- snym pożytkiem. Sprawa, której służę, ma wielkie znaczenie, powiem bez fałszywej skrom- ności, bo każdy fałsz jest mi obcy, ma wielkie znaczenie dla całego świata. Między innymi dlatego przybyłem do pańskiego wspaniałego kraju, dlatego też chciałem rozmawiać z jej imperatorską mością.

- A cóż to ty - mason jesteś czy co? ? - Tu nie o to chodzi.

. - A o co?

? Dobrze. Mógł mówić, a to już dobrze. Skoro zaś mógł, to powinien mówić, mówić jak najczęściej. Więc mówił.

- Bez przesady - chodzi o przyszłość ludzkości. Jej imię - pataty, po niemiecku, ale ta na- zwa mi się nie podoba - kartofle. Proszę się łaskawie nie śmiać. To owoce rośliny, która nie wymaga wiele, wystarczy ją wsadzić do byle jakiej ziemi, a wyrośnie sama. W takim kraju jak pański, zlikwiduje raz na zawsze głód, wyżywi miliony ludzi i zwierząt gospodarskich, które mnożą się, zapewnią dostatek mięsa, skór, tłuszczu.

- Co pan mi tu za banialuki opowiada. . - To najprawdziwsza prawda, a nie banialuki. A krochmal do bielienia tkanin, mąka do wypieków, zabawki dla dzieci. . .

- Dość tych bredni. . Co to my - kartofla nie znamy? ?

- Za mało, za mało. Ten delikates z pańskich stołów, powinien być bogactwem wszystkich, powinno się rozszerzyć uprawy, oświecić chłopów, dać krajowi szansę.

24 - Hola, , hola, panie Casanova, nie to nas teraz interesuje.

Czuł, że Astafow waha się między gniewem i rozbawieniem, między chęcią zamknięcia mu ust a ciekawością. Nie było jeszcze tak źle.

- Pozwolę też sobie zwrócić pańską uwagę, że z bulw można bez t rudu pędzić naprawdę doskonałą wódkę.

- Mamy własne, , lepsze. Zaryzykował nawet samowolny krok do przodu. - Będzie o połowę taniej.

. - Jak nie mason, , to może Żyd! Połowę taniej? - Gwarantuję.

. - No, , dobrze, dobrze, przypuśćmy, że tak jest. A jaki w tym wszystkim jest pański interes? Wysłucha go, teraz już musi go wysłuchać. Chyba nie wszystko stracone. Los może się odwrócić. Taki pułkownik ma władzę, wpływy, potrafi kogo trzeba przekonać. Jeszcze przyda się ten kopczyk patatów, schowany przez nieszczęsnego Pietra w piwnicy zajazdu, jeszcze ciałem się staną opowieści o fortunie czekającej w tym kraju na odważnych. Godność - tego nie może teraz zabraknąć w jego twarzy.

- Moja firma, a raczej przedsięwzięcie, na czele którego stoję, może się zająć dostarcza- niem wyborowej rozsady z naszych wieloletnich upraw w północnej Francji, gdzie - zwrócę pana uwagę - klimat niewiele jest łagodniejszy niż tutaj.

. Musiał się spieszyć, dłoń pułkownika Astafowa uniosła się nad biurko i zastygła rozcapie- rzona jak do zadania ciosu.

- Mam też opracowany w najdrobniejszych szczegółach projekt loterii publicznej, która przyniosłaby spory dochód skarbowi i uciechę ludziom. Przez ponad rok zarządzałem taką loterią w Paryżu i śmiem sądzić. . .

- Dosyć! ! Dłoń spadła z hukiem, aż strużka papierów zsunęła się na podłogę. - Pieniądze damy. Wyjedźcie pan wkrótce do Warszawy. Trochę tylko pana poduczymy, wyposażymy i w drogę. Tak?

Czyżby naprawdę była jakaś szansa wyjścia z tej opresji cało. Może nawet z pełną kiesze- nią. Powinien powiedzieć i powiedział:

- Tak. . Zawahał się, tak łatwo nie warto się zgadzać. - Ale chciałbym wyjaśnić wszystko osobiście jej imperatorskiej mości.

. - To zbyteczne.

. Astafow jakby się przez chwilę chciał podnieść z krzesła i wyprężyć z uszanowaniem, ale zrezygnował w pół ruchu, opadł niezgrabnie z powrotem.

- Zresztą, właśnie jej imperatorska mość, miłościwie nam panująca Katarzyna Druga, poleciała pana naszej uwadze. Osobiście.

Musiał spytać i spytał: - Co. . . . mam zrobić? - Nic wielkiego. Dostanie się pan na dwór i postara zyskać zaufanie króla. Nie wątpię, że się to panu uda. Choćby przy pomocy kartofli.

- Patatów. . - Patatów.

. - I co dalej? - Nic. - Astafow zamilkł na chwilę jak wytrawny gracz, który gotuje się do zadania osta- tecznego ciosu. - Oczywiście, , dopóki nie dostaniesz dalszych instrukcji.

- Od kogo? ? - O to się teraz nie martw. Znajdziemy cię, kiedy będzie trzeba. Tylko nie próbuj nas oszukać. Mamy bardzo długie ręce. Lepiej żebyś w to uwierzył.

25 Chcą mu płacić strachem, skąpcy. Nie jest idiotą, nie pozwoli się tak traktować.

- Ale. . . - złapał się za serce, jakby teraz dopiero zrozumiał sens propozycji tamtego - na honor Wenecjanina! Mam być szpiegiem!

Astafow uśmiechnął się dobrotliwie. - Dajmy spokój z honorem. . Obaj wiemy, ile to warte. - Ile? Tamten z trudem udawał zdziwionego. - Co - ile?

? - Ile dostanę? - Za co?

? - Właściwie. . . . ciągle nie wiem za co. Pułkownik nie przestawał się uśmiechać. - Widzisz - tak i ja nie wiem, ile. Astafow, jakby rozmowę uważał za zakończoną, otworzył szufladę i zaczął w niej układać papiery z biurka. Tego było już Casanovie za wiele. Łotry, chcą go oszukać, nawet nie ukry- wają tego. Kochaj ich ze strachu, pracuj ze strachu, nakarm się strachem. Niedoczekanie. On tego gówna jeść nie będzie. Niech się sami najedzą, potwory. Ten, z jego chytrym uśmie- kiem nie lepszy od Kuca. Nawet szufladę mają wspólną. Przełknął głośno ślinę.

- A jeśli ja. . . . nie mogę się zgodzić. . . Szuflada zatrzasnęła się z hukiem. Raczej zobaczył niż usłyszał, opuszczające usta Asta- fowa ciche, złowieszcze:

- Co? ? Wolno, lecz nieuchronnie przytomniał z głębokiego i przykrego snu. Uciekał, był ścigany, sam. Nie widział nawet prześladowców, czuł tylko ich obecność naokoło, dotykali go niewi- doczni jak w dziecinnej zabawie, coraz śmielej i bardziej bezwstydnie. Osaczony nie mógł się ruszyć, przygniatał go jakiś ciężar, czyjś oddech łaskotał szyję. To nie był sen, ktoś leżał przy nim, bezgłośnie teraz i bez ruchu. Strach oprzytomnił go całkowicie - przyszli go zabić. Kompani Astafowa czy chłopca cudotwórcy? A może ci trzej zabici z wyrzutem, że ich nie ocalił? Ale nie - śmierć ma cuchnący oddech, , a przecież on czuje delikatny, ciepły powiew na szyi. Kobieta?

Ach, tak. Przypomni sobie obietnic karczmarza. Dziewica. Ulga nie by wielka. Po takim dniu tylko dziwki mu brakowa. Zorientowa si, e nie pi, poruszy si gwatownie i przygn wargami do jego doni. Odepchn j poirytowany - niech si wynosi, nie jest mu potrzebna, nie dzisiaj. Dzisiaj chce tylko spa. Spada z zka, ale zaraz bya z powrotem, szepczc co szybko i niezrozumiale. Jaka zawzita gwatownoc bya w jej ruchach, podnis si eby co zobaczy, ale zaraz opad na poduszki, stuknwszy nosem w jej ruchliwy okie. Rozgniewany, chcia j uderzy, nie trafi. Nie zniknła jednak, usiada na nim, ciszkajc go mocno i jakby rozpaczliwie kolanami. Jeszcze prbowa j dosignc, zrzucic z siebie, ale jej zdecydowanie byo wiksze, a donie szybsze.

Przesta si broni, ju nie on decydowa, co bdzie dalej. Podnis gow sublokator, kt- ry sam wie, co robi, wyprży si niecierpliwie, gotw zadawa i przyjmowa rozkosz. Zaw- sze mia wraenie, e ten zaborczy panek tylko cze przyjemnoci oddaje jemu, Casanovie. Nie widzia twarzy ani ciaa dziewczyny, w ciemnoci nawet wasne istnienie wydawao mu si mao realne, a jednak dawali oboje najdobitniejszy dowd ycia. Ale jeli to tylko pozr! Byo co niepokojcego w tej bezcielesnej, a cielesnej zjawie, ktra go zniewolia, co ze snu, ktory go drczy jeszcze przed chwil. Musi j zobaczy, musi obejrzec to ciao, z ktorym ma si zczyc. Zmac rk st, wiec.

26 Boe jedyny, a jeli to, co przyjmuje jako dowd ycia, jest jego przeciwistwem, jeli ta,

taczca na nim miosny taniec, dziewczyna, mierc zapowiada sw gwatownoci, jeli jest mierci sam? ypnie na niego biaym oczodoem, wyszczerzy szyderczo zy, niech no tylko rozbynie wiato.

Nie rozbynie - wieca wypada mu z rki i spada na podog. Nie musiao rozbysc - dziewczyna, jakby wiedzc, co si dzieje, nachylia si nad nim, zapachniay czym dziwnym jej wosy, a potem poczu na twarzy mae, ostro sterczce piersi. Zaira? Jego maa Zaira? Przyjechaa tu za nim z Petersburga. Ale po co? eby go kochac? Czy zabic? O innym rozstaniu nie chciaa przecie syszec. Ale to nie by zapach Zairy, nie pozwoliby jej przecie na- siknac kuchenn spalenizn. Do pioruna, boi si ju zwyklej tutejszej dziwki. Wmawia sobie jakie makabryczne bajdy, zamiast szybko jej dac zarobic i wreszcie spac.

Co byo jednak nie tak. Chciaa go przyjc, ale nie moga. Jej ciao nie umiao si przed nim otworzyc. Musi byc rzeczywicie nowicjuszka, pomyla ju bez niedawnej niechci, czujc jak ta myl zwiksza jego podniecenie. Pokae jej, co potrafi. Bdzie miaa o czym pamitac na cae ycie. Pochwyci dziewczyn w ramiona, dziwic si troch jak niespodzie- wanie wal istot przyjdzie mu posiac. Zdziwi si bardziej, dotykajc jej bioder szczupych i prostych jak u dziecka, a po chwili, gdy juz mia j pod sob, sta si samym zdziwieniem -

tam, gdzie spodziewał się znaleźć krzaczasty wzgórek, dotknął gładkiej, jedwabistej skóry. To na pewno nie była Zaira.

Odskoczył jak od wrzątku. Toż to nie dziewczyna, ale dziewczynka, dziecko jeszcze prawie, a może i nie prawie, a po prostu dziecko. Co prawda z piersiami, ale dziecko. Jak mógł tego wcześniej nie zauważyć. Oderwał się od niej, wyskoczył gwałtownie z łóżka i zaczął się ubierać w co popadnie, kto wie czy to nie kolejna pułapka, chcą go może oskarżyć o deprawację dzieci, a z tym sterczącym fanfaronem na wierzchu, żaden sąd nie uwierzy w jego niewinność. O, co to to nie, nie da się teraz wmanewrować w coś takiego. Spierze karczmarza po gębie za ten pomysł.

Z trudem, bo z trudem, ale wepchnął się w spodnie, szukał koszuli, gdy usłyszał, że mała, zostawiona w pościeli, płacze. I to nie chlipie wstydliwie, ale szłocha z coraz większą mocą i rozpaczą. Co, u diabła? Wyciągnął pieniądze, zważył monety w rękę, wybrał dukata. Niech chociaż to okrasi jej nędzne życie, może choć będzie go dobrze wspominać. Mała nie dała sobie jednak wcisnąć monety, zaciskała mocno piąstki, a gdy usi adł obok, zabębniła w jego pierś.

- Cicho - objął ją delikatnie, lecz mocno, nie próbowała się wyrwać, przyłgnęła do niego jak znieruchomiale z przerażenia dzikie zwierzątko - nie bój się, , nic złego ci się nie stanie.

Co się mówi do takich dorosłych dzieci? To samo co do wszystkich. - Kto ty jesteś?

? Nie odzywała się, pomyślał, że może nie zrozumiała - skąd by miała rozumieć po francusku - ale gdy chciał powtórzyć wolniej te słowa, posłyszał jej cichy, wåtłutki jak ona sama, głos:

- Sara. . - Kto cię tu przysłał, , Saro? Szarpnęła się z nieoczekiwaną siłą. - Nikt. . Ja sama. Uspokoiła się, więc zwolnił uścisk. Nie protestował, gdy poderwała się z łóżka i stanęła na nogi. A jednak było w niej coś z Zairy. Ta niepohamowana dzikość!

- Chcę cię zobaczyć. . Można? Poczł nagle jej drobne, ciepłe wargi na ustach. - Nie można.

. Już nie płaczliwie, a kokieteryjnie niemal cmoknęła go, zakręciła się na pięcie i rzuciła do ucieczki. Chciał ją pochwycić, ale złapał tylko powietrze. Była już w drzwiach, w mdłym świetle korytarza ujrzał jej niewielką, rozpedzoną postać z grzywą płomienistych włosów,

27 miotających się na wszystkie strony. Dopadła schodów, zaraz zniknie z oczu. Jakieś szaleń-

stwo nie pozwoliło mu dać za wygraną. Niepomny na zmęczenie i mocno niekompletny strój, wypadł za dziewczyną na korytarz. Klapiąc bosymi stopami, popędził w dół po schodach, mając w oczach tę ruchliwą rudą plamę, która zginęła nagle gdzieś na dole.

Jeszcze jedno schody, mrok coraz szczelniejszy, półotwarte drzwi, pewnie tam się schowała. Potknął się w progu i, tracąc równowagę, poleciał przed siebie w ciemność. Merde. Upadł na coś boleśnie, rozległ się trzask pękających desek, szurgot zsuwającego się ciężaru i zanim zdążył się podnieść, jakiś obły, bezwładny kształt wylądował mu na piersi. Nie była to na pewno Sara. Pomacał dłonią, raz, drugi, niedowierzanie przeszło w straszliwą pewność, od której jeżyły mu się włosy na całym ciele. O, święci pańscy, za co to wszystko! Zanim zdążył zmartwić z odrazy, zepchnął z siebie paskudny ciężar i zerwał się na nogi. Drzwi, jakby na jego życzenie, drgnęły od przeciągu i snop światła z korytarza pozwolił mu uwierzyć, że istotnie przed chwilą dźwigał na sobie kościotrupa. Kupa kości leżała teraz u jego stóp, a odłączona od tułowia czaszka szczyrzyła zęby w niemej pogróźce. Szaleństwo!

Odskoczył gwałtownie do tyłu, wyciągnął przed siebie ręce i na ugiętych w kolanach nogach - jak go uczył w Petersburgu skośnooki trener - czekał na atak.

. Nikt go jednak nie atakował, choć w ciszy, która nagle zapadła, wydawało mu się, że słyszy czyjś oddech.

- Sara. . Nic. Zawstydził się tego szeptu. - Sara!

! Nie było odpowiedzi, a i szmer oddechu jakby zniknął. Ostrożnie uniósł wieko najbliższej skrzyni - drugi kościotrup wytrzeszczył na niego puste oczodoły, zajrzał do następnej - trzeciej. Albo ogarnia go podstępnie obłęd, albo trafił do jakiejś jaskini zbrodni! Ostatecznie o karczmarskich mordujących swoich gości czytał nie raz w gazetach. Co gorsze - o zmyślających takie rzeczy szaleńcach także.



- Wolno wiedzieć, , co pan tu robi? Cichy głos karczmarza eksplodował w głowie z siłą pioruna. Łajdak, przyszedł go zamor- dować, jak tamtych. Sara była tylko przynętą, diabelską sztuczką tego potwora! O, nie, nie pójdzie im tak łatwo, zobaczą zaraz. Złapał dobrze uformowany goleń z podłogi i jak maczu- gę uniósł nad głowę. Gdy karczmarz, wyciągnąwszy przed siebie dłoń ze świecą, ostrożnie postąpił krok do przodu, Casanova skoczył na niego jak ranny żbik, wepchnął go do środka i trzymając za kark, zatrzaskał kopniakiem drzwi.

- Co to jest? ? Po coś tu przyszedł? Mów, bo ci łeb rozwalę. Żyd westchnął, zobaczywszy rozsypane na podłodze kości. - Wiedziałem, że będzie z tego jakie nieszczęście. Kupcy z Hannoveru wiozą to dla pani dziedziczki.

- Jacy kupcy, , dla jakiej dziedziczki? Co mi tu łiesz, draniu! - Aj, , co też wielmożny pan mówi. To szkielety dla pani hrabiny Rajewskiej. Do jej parku. - Co?

? Dopiero teraz uświadomił sobie, co go zdziwiło w kości, którą chciał rozwalić łeb nastają- cym na jego życie i szkielet mordercom - była nienaturalnie lekka i gładka.

. - To nie jest prawdziwe?

? - Łaki. Robią je z laki. Za jakie pieniądze! Żebym ja ich połowę obejrzał w życiu! Giacomo puścił karczmarza, nabrał głęboko oddech w płuca - szkielety z laki, do stu ty- sięcy piorunów! Został napadnięty przez kościotrupa z laki, nie, to chyba gorsze od szaleń- stwa - i wybuchnął gwałtownym, odprężającym śmiechem. To ci niemieccy kupcy handlują takim towarem. Paradne. Sam by czegoś takiego nie wymyślił. Co za wariacki dzień w wa- riackim kraju. Całe napięcie wykrztusił z siebie razem z tym śmiechem. Ale, prawda, było jeszcze coś. Jeszcze nie warto odkładać kościanej maczugi.

28 - Ty - co? ? Sumienia nie masz? Kogo mi miałeś przysłać?

Karczmarz zgiął się w przeproszającym ukłonie. - Wybaczenia proszę. . . . Nie dało się inaczej. Obie są zajęte przez pana oficera. - I kogo przysłałeś? - Nikogo.

. - Nikogo?

? Na tyle znał się na ludziach, żeby nie uwierzyć karczmarzowi, na tyle także znał siebie, by nie wątpić w to, co podpowiadał mu teraz instynkt - tamten nie kłamał. Pewnie, nie miałby żadnych skrupułów, by rajfurzyć Sarą, ale tym razem to nie była jego sprawka.

- Nikogo to nikogo - mruknął, , rzucając, goleń do najbliższej skrzyni. - A czy coś się stało, , łaskawy panie? Miał rację, tamten starał się opanować głos, ale aż go zatykało ze zdenerwowania. - Co się miało stać - hemoroidy spać nie dają.

. Karczmarz nie odezwał się już, postawił świecę na podłodze i zabrał się do sprzątanía. Przez chwilę jednak Casanova widział jego twarz spotniałą, skurczoną w dziwnym grymasie, twarz śmiertelnie przerażonego człowieka. Czego się tak boi? A raczej kogo? Może te kości wcale nie są sztuczne, za szybko chyba uwierzył staremu oszustowi. Sięgnął po leżącą u jego stóp czaszkę. Jęknęła cicho, gdy ją wziął do ręki, karczmarz zakasłał skwapliwie, ale on już wiedział, że jeszcze ktoś jest z nimi w tej sali. Oddech, który słyszał wcześniej nie był wcale złudzeniem. Sara? Chyba nie, to zwierzątko nie wytrzymałoby tak długo bez ruchu.

Trzymając w jednym ręku świecę, a w drugim, wysklepiony ludzkimi dłońmi - nie boskim tchnieniem - czerep, , rozepchnął kilka skrzyń i przecisnął się w stronę okna. Na prymitywnym posłaniu ze słomy leżał chłopiec, jego chłopiec cudotwórca. Lewą rękę owiniętą miał szmatą, nasączoną burymi plamami krwi. Oczy błyszczały mu strachem i gorączką. Nie poruszył się - z pokorą czekał na swój los.

Casanova tyleż usłyszał, co instynktownie poczuł niebezpieczeństwo. Nie miał czasu się odwrócić, ani miejsca, by odskoczyć, pchnął tylko całym ciałem stertę skrzyń obok. Zwaliste ciało karczmarza przetoczyło się mimo niego, śmieszne raczej niż groźne, zwałając się z trzaskiem pękających kości na podłogę. Giacomo zdołał, co prawda, utrzymać równowagę, ale świeca pękła mu pod palcami i gorąca stearyna chlusnęła na koszulę. Rozwścieczony sięgnął po szpadę, ale zanim uwolnił palce z oczodołów błazeńskiej czaszki, wróciła świadomość gdzie jest i co tu - półnagi i bosy, , robi. Kopnął więc tylko w wypięty zadek karczmarza.

- Durniu - powiedział przekrzykując chrypkę - nie odróżniasz człowieka od wilka? Prze- nieś go na górę, do mojego pokoju.

Czaszkę wetknął pod pachę jak trofeum. Wyprostował się aż trzasnęła stygnąca na pier- siach stearyna.

- I nie atakuj nigdy szlachcica od tyłu. Nazajutrz obudził się dopiero w południe. Miewał czasem takie ataki senności, ten więc nie zdziwił go wcale. Pocieszał się, że to oznaka zdrowia i młodości, niegdyś bowiem, po bardziej wyczerpujących hulankach mógł i dwie doby przespać bez przerwy, potem napić się wina i znowu, odrodzony, wracać do życia. Ostatnio wszystko się w nim rozstroiło. W wię- zieniu nie mógł zasnąć, teraz, bywało, chciało mu się spać bez opamiętania. A i przebudzenia nie były dobre. Nie pomagało wino, musiał walczyć z apatią i zniechęceniem do wszystkiego co miał w sobie i co widział naokoło. Tylko strach, że te obce, bezkresne przestrzenie wchło- ną go na zawsze, że nie obejrzy już nigdy swojego świata, zmuszał go do wstawania, mycia się, golenia, ubierania i czekania na odjazd. Zresztą, spał dalej w powozie, bo i cóż innego można było robić. Góry niskie, morze niegłębokie, dziwki takie sobie. . . Coraz lepiej pojmo- wał, co Kuc miał wtedy na myśli.

Ale od wczoraj. . . otrzeźwiło go nagłe przypomnienie. Otworzył oczy. Chłopiec leżał na prymitywnym posłaniu w kącie pokoju. Spał, a może był nieprzytomny. Świeża plama krwi

29 na gałganie, udającym bandaż, nie wróżyła niczego dobrego. Wysypiam się zamiast działać,

pomyślał i wygramolił się z łóżka pełen niechęci do siebie. Nadepnął na leżące na podłodze wczorajsze zapiski. Niech leżą, to ich właściwe miejsce. Cherlawe ćwierćprawdy i półklam- stwa.

Chłopiec nie spał i był przytomny. Nie poruszał się tylko, wpatrzony przed siebie mar- twym, niewidzącym wzrokiem. Błady i wystraszony budził współczucie, ale nie było też w nim niczego nadzwyczajnego.

- Nie bój się, , nic ci przy mnie nie grozi. Przyjrzał się z pewną nadzieją dłoniom chłopca, ale i w nich nie znalazł żadnej niezwykło- ści. Normalne, trochę zbyt szerokie dłonie kogoś, komu praca nie pogrubiała jeszcze skóry, a chęć podobania się kobietom nie kazała pielęgnować paznokci. A przecież dłonie te mogą działać cuda. Widział na własne oczy. Delikatnie zdjął pokrwawiony bandaż. Kula rozerwała rękaw kurtki, rozorała mięsień przedramienia, ale kości i nerwów chyba nie uszkodziła. Ob- macał ostrożnie palec po palcu, zginał je, rozprostowywał. Było lepiej niż się spodziewał. Tydzień, dwa i wszystko wróci do normy. Już on o to zadba. A wtedy. . . Cała Warszawa, co tam Warszawa - Wiedeń, Paryż,

będą ich rozchwytywać, prosić o pokazanie niezwykłego kunsztu drzemiącego gdzieś w tych brudnych palcach o połamanych paznokciach.

- Jak masz na imię? ? Chłopiec spojrzał pierwszy raz na niego, poruszył bezgłośnie wargami. Niech się lepiej nie męczy.

- Powiesz mi później. . - Jeremiasz.

. Głos był cichy, lecz wyraźny. Jeremiasz? Boże, nic tutaj nie jest na swoim miejscu. Nawet imiona.

- Piękne imię, , Jeremiaszu. Ale ja będę cię nazywał Pietro. - Jeremiasz.

. Nie chcą cię, Pietro, pomyślał, zdumiony szlachetnym tonem w głosie chłopca, Bóg mi świadkiem, że chciałem cię uczcić, ale nic z tego, nie chcą cię i mają rację, byłeś w gruncie rzeczy lajdakiem i złodziejem, nie miałeś poszanowania dla swojego pana i kiedy rzuciłeś się, żeby stracić dla niego głowę, to chyba cię właśnie szła opętał, albo ukąsiła pszczoła. Niech będzie Jeremiasz, no Jeremi. Było mu trochę głupio, chciał dać chłopcu imię służącego, chyba nie bez ukrytych intencji, a przecież cały czas wyższy cel powinien mieć na uwadze.

- Co to jest? ? - Dotknął jeszcze raz, przelotnie dłoni Jeremiego - Magnetyzm? ? Chłopiec poruszył bezradnie ramionami. - Ktoś cię tego nauczył, , pokazał ci to? - Ojciec.

. - Ojciec. . Co z nim? Rozpacz chłopca wystarczyła mu za odpowiedź, że też nie pojął t ego od razu, tam wczoraj był jego ojciec, który? Po chwili już wiedział - mężczyzna w białej koszuli rozkrzyżowany przez kule. Pamiętał jak objęli się przed opuszczeniem gospody i zwierzęcy krzyk Jeremiego, gdy ciało ojca opadło bezwładnie na koński zad. Teraz mały płakał cicho, bezradnie. Niech płacze. Przynajmniej raz w życiu bez wstydu. Bo nie wstyd mężczyźnie oplakiwać ojca. A cóż dopiero pół mężczyźnie, pół chłopcu.

- Zabiorę cię stąd. . Do Warszawy, może jeszcze dalej. A na razie załatwię coś do jedzenia. Ubrał się napędce i zszedł na dół. Trzeba się stąd wynosić i to szybko, pomyślał, mijając drzwi, przy których wczoraj znaleziono jego anioła stróża z przedziurawioną głową. Jakieś

fatum ciąży nad tym miejscem. Coraz więcej spraw nawarstwia się jak lepkie błoto pod stopami, gotowe go tu jeszcze unieruchomić na zawsze.

Salę starannie sprzątnięto i, gdyby nie ślady kul na powale i zasłonięte deskami okno, nic by nie przypominało wczorajszej strzelaniny. Było pusto. I do niego nikt nie wychodził. Może

30 znowu dzieje się coś, co wypłoszyło stąd ludzi. Zaniepokoiło go trochę, że nie widzi swojego

współtowarzysza podróży, jedynego jaki pozostał, ani woźniców, ponurych drabów nie odzywających się słowem do nikogo. Są pewnie na dziedzińcu, czekają spokojnie na niego. Niech poczekają, nie będzie jechał z pustym brzuchem. Usiadł naprzeciw zabitego deskami okna, nie mógł więc sprawdzić od razu czy ma rację. A jeśli nie ma? Nie usiadł dłużej niż ta myśl, ruszył do drzwi, dopadł ich już biegiem.

Powozu nie było. Gruby, pokraczny parobek wyciągał zmurszałe kołki ze zwalonego płotu, dwie małe świnię, pokwikując z uciechy taplały się w błocie. Nie było też wozów kupców z Hannoveru. Odjechali wszyscy. Łotry! Zostawili go wśród tej pokraczności, świń i błota. Niedoczekanie! Nie zostanie tu ani chwili dłużej. Ani chwili! Rzucił się z powrotem, tuż za progiem natknął się na karczmarza, natarł na niego wściekły, gdzie powóz, jakim prawem odjechał, dlaczego go nie zbudzili, bydlaki, łotry, zbójce, i nie zważając na tłumaczenia tamtego, że spał jak zabity i nie dawał się rozbudzić, trzasnął go w głowę, raz, drugi aż karczmarz zasmarkał się krwią i przestał rozumieć mówić, mamrocąc tylko jakieś pokorne słowa. Puścił go, jeszcze powala mu juchą ostatnią czystą koszulę, gdy zobaczył, że nie są już sami. Służba wyległa z kuchni, przyglądając się chyłkiem całej scenie. Ruda czupryna wychynęła zza pleców innych. Sara, to musiała być jego nocna zjawia. Dziewczynka była prawdziwie piękna, tyle zauważył mimo całego zamieszania.

Zrobiło mu się wstyd, ostatecznie może było tak, jak mówi ten nieszczęśnik, kto go tam wie, mógł spać jak zabity, coraz częściej mu się to zdarzało, może tak się człowiek zbliża do innej sennej nieuchronności, wyjął półkoronówkę i już ją miał dać karczmarzowi, kiedy pojał z twarzy przyglądających się im ludzi, z rozplamienionych ni to zadowoleniem, ni to grozą oczu Sary, z jawnych uśmiechów dwóch tęgich dziewczek, zapewne jego niedoszłych kochanie tej nocy, z lekliwie odwróconej głowy chudego służącego, że żadne z nich nie sprzyja staremu. Może więc nie na próżno strzelił tamtego w pysk. Położył monetę na stole.

- Śniadanie! ! Jedno tu i jedno na górę. Już uspokojony, bliski uznania, że ta nieoczekiwana komplikacja - choć nie zbliża go do celu - lepsza jest od monotonii dotychczasowej jazdy,

przyglądał się krzątającej wokół stołu dziewczynie. Ile mogła mieć lat? Trzynaście, dwanaście? Była ni eduża, nawet jak na swój wiek, ale bardzo foremnie ukształtowana. Szczuplutka, zwinna, miała w sobie naturalny wdzięk młodości i jakiś dorosły, poważny mimo uśmiechów, namysł na twarzy. Dziecko. Kobieta. I ten płomienny kopiec włosów, jak na renesansowych obrazach męczennic. Niejed- nego mężczyznę potrafi kiedyś zapalić.

Skąd jednak w nim pewność, że to właśnie ona była dziwną nocną zjawą w jego łóżku. I co miałyby znaczyć ta wizyta? Nie karczmarz ją tam przysłał. Wi ęc kto? Wymyśliła to sama? Nie była dziwką, ale i to, co próbowała z nim robić, nie pasowało do jej dziewczęcego wyglądu i zachowania. Co prawda, nie raz i nie dwa, zabawiał się z jej rówieśnicami - a, choćby Zaira, nie miała więcej niż trzynaście lat - ale to były już prawdziwe kobiety, dojrzałe w słońcu południa, a nie takie dzieciątko jak to.

- Ty jesteś Sara? ? Sara? Dziewczynka parsknęła radośnie. - Ja mam na imię Etel.

. Jednak nie. Był trochę zawiedziony, że przecucie oszukało go t ym razem. Życie nie jest takie bogate jak wyobraźnia. Ale jeśli to nie była ona, to kto? Na pewno nie któraś z dwóch tęgich dziewczuch, używanych przez karczmarza do takich posług. Rozejrzał się. Karczmarz obserwował go spod oka z bezpiecznej oddali. Etel wracała z dzbankiem kawy. Zdecydował się zanim podeszła. Musi przecież opisać to wszystko, wczorajsze pisanie zaściela co prawda podłogę, ale może dzisiaj, jutro, kiedyś, pójdzie mu lepiej. Nie musi się kępować dowodzeniem czegokolwiek. Więc to była Etel, na pewno Etel, coś niecoś pamięta przecież z tej nocy. Wszystko kruche, drobne, zwinne, jak jej ruchy, jak cała jej postać. Etel. Rudowłosa żydow-

31 ska dziewczyna z miasteczka nad rosyjską granicą. Doda jej kilka lat, trochę bioder i piersi i

weźmie najpierw delikatnie, by nie obrażać jej dziewczęcego wstydu, a potem gwałtownie, nawet dziko, żeby wyzwolić z niej kobietę. Tak, tak będzie. Ale jak było w istocie?

- Naprawdę nie jesteś Sara? ? Próbował ją objąć, ale dziewczynka wywinęła się sprytnie, postawiła przed nim dzbanek z kawą.

- Sara to moja siostra. . I oto miał je przed sobą obie. Przez moment nie dowierzał własnym oczom, ale czyż naj- większy racjonalista nie zwątpiłby w swoje zmysły, widząc to, co on widział - dwa identycz- ne rude stworzonka, przytulone czule do siebie i patrzące na niego z

nieoczekiwaną powagą. Jakby czegoś oczekiwały, chciały mu coś powiedzieć? A więc nie mylił go instykt - Sara to Etel, Etel to Sara. Bliźniaczki! Musiałby podwoić swój poprzedni zachwyty, ale skoro był cał- kowity? Zauważył tylko, że nawet byle jakie sukienki z workowatej tkaniny nie odebrały im wdzięku. A gdyby je naprawdę pięknie ubrać. . .

Etel pierwsza oderwała się od siostry, parsknęła śmiechem i zakręciwszy się na pięcie, pomknęła do kuchni. Teraz wydało mu się, że mógłby je odróżnić. Twarzyczka Sary była wyraźnie zakłopotana, oczy spuszczone, uśmiech raczej przerażony niż radosny.

- Proszę - wyszeptała spłoszona - bardzo pana proszę. . . . Nie musi o nic się martwić, ani o nic go prosić. - Saro - wstał i wziął ją za rękę - ja. . . . Rękaw sukienki odjechał w górę i zanim cofnęła rękę, a raczej ją wyrwała, zobaczył poni- żej łokcia rozległy, podeszły krwią siniac. Dziewczyna szarpnęła się i jakby zwiotczała, jak pokonany psiak z podkurczonym ogonem, poszła w stronę schodów. Poczekaj, chciał powie- dzieć, czego się boisz, co znaczy ten siniak na ramieniu, dlaczego uciekasz, ale zanim zdążył cokolwiek zrobić, dziewczyna z nową werwą pomknęła schodami w górę, a obok siebie zoba- czył zwałistą postać karczmarza.

- Konie, , dla jaśnie pana, zajechały. A, konie, dobrze, bardzo dobrze, sprawy wracają na swoje miejsca, trzeba jechać. Ale nie, jeszcze jedna sprawa.

- To twoje córki? ? - Te diabllice? Boże zachowaj. Nie moje. Takiego jednego chudego człowieka, ale on umarł. . .

- Sieroty? ? Karczmarz zawahał się, chciał być ostrożniejszy, ale nie bardzo wiedział skąd grozi nie- bezpieczeństwo.

- Jeść mają co. . . . - Stręczysz je?

? Tamten cofnął się na wszelki wypadek i złapał za głowę. - Piorun we mnie uderzył. Co te diabllice panu naopowiadały. One kłamią jak najęte. Taka niewdzięczność.

- Niczego mi nie opowiadały - mruknął Giacomo, prawie rozbawiony gestykulacją tamte- go - ale uważaj, to jeszcze dzieci. - Sięgnął do sekretnej kieszonki, do której sięgać nie powi- nien,

ale to była przecież nadzwyczajna okazja, wyciągnął dwie złote monety. - Dbaj o nie, bo warte są tego.

Może i jeszcze nie stręczy, ale bije - na pewno - pomyślał, przypominając sobie siniec na ramieniu dziewczyny, a widząc nagle wykwitły rumieniec - nie wstydu, lecz chciwości - na twarzy karczmarza, zwątpił czy, tracąc dwa dukaty, zrobił dla Sary i Etel cokolwiek. Do diabła - własnymi rękami nie zmieni całego świata.

32

JAZDA

Konie - zastanowił się przez chwilę, czy wybuchnąć śmiechem czy znowu dać komuś po pysku - dwie chude chabety, jedna przyprzężona do furki, druga osiodłana dla niego, czekały na podwórku. Woźnica w kożuchu i futrzanej mimo jesiennego upału czapie kurzył jakieś śmierdzące zielsko. Świniki zmęczone zabawą leżały pokotem w błotnistej kałuży. Gruby parobek stawiał płot z powrotem, łatając dziury gałęziami. Można było jechać.

Chłopiec zszedł o własnych siłach, ale umoszczono mu legowisko na dnie furki, zbyt słaby był, by jechać na koźle.

Chuda klacz złapała Casanovę za rękę wilgotnymi wargami. - A ty czego chcesz - mruknął, poklepując ją po pysku - czy to moja wina, że mam na tobie jechać. Nie ja ten świat urządziłem.

Ruszyli. Tego świata tutaj w ogóle chyba nikt nie urządził, pomyślał, gdy mijali zapadnięte w ziemi po strzechy koślawe domki, sterty nawozu wypływającego na ulicę, ludzi o ciężkim, sennym spojrzeniu. Są widać takie zakątki, gdzie ani Bóg, ani Rozum, ani Historia niczego jeszcze nie wskórały, strefy beznadziei, oazy dzikości. Poza czasem, poza granicami państw i narodów. Alternatywny świat, żyjący obok tego, w którym istnieją prawa, postęp, filozofowie. I w którym istnieje ukoronowanie wszechrzeczy, najdonioślejsze osiągnięcie ludzkiego ducha - sztuka. A jaki duch mógłby ożywić ten robaczywy kawałek materii, jakąż



sztuka mogłaby powstać tutaj? Chyba tylko sztuka przeżycia, praktykowana, owszem, zawzięcie przez tych nieszczęśników, kudłatych i bosych, schodzących mu powoli z drogi.

Musi o tym napisać do Woltera. Ten pyszałek, opętany ideą Rozumu, wyśmiejże pewnie jego małoduszne zwątpienie, wywiedzie je może z niewłaściwej diety albo z nadmiaru nasienia w organizmie, ale kto w końcu widzi świat w prawdziwej postaci, on, zapędzający się aż po jego najdziksze krańce czy zakopany w swej wiejskiej głuszy filozof? Napisał do Woltera pierwszy raz przed laty, poruszony jego głośnym protestem przeciwko trzęsieniu ziemi w Lizbonie, temu samemu trzęsieniu, którego jego, Casanovę, uwięzionego na rozpalonym strychu weneckiego Pałacu Dożów, napełniło najpierw słodczą nadzieję na uwolnienie, a potem, zaraz potem, goryczą zwątpienia w Boską życzliwość dla ludzi. Czyż nie podobny powód kazał chwycić za pióro filozofowi? Spotkali się wreszcie, chciałby powiedzieć - przypadli sobie do gustu, ale to nie była prawda. No, w każdym razie, niezupełnie prawda, prawda o tyle, że nadal wolał z Wolterem korespondować niż rozmawiać. Wszystko, co tamten mówił, było okrągłe, pełne, pewne siebie aż do obrzydzenia. Żadnej szczeliny na niepewność, na zło, na głupotę. A czy świat taki jest? Gdzie? Nawet nie w wiejskiej głuszy.

Dziwny stwór o dziecięcej, ale łysej i wielkiej głowie wyskoczył na pałakowatych nogach na środek drogi, i przyglądał im się z rozdziawioną gębą. Na sznurku ciągnął coś niekształtnego, jakby starą skórę albo kawałek łachmanów, w jakie był przyodziany. Gdy podjechali bliżej, gałgan przywiązany do sznurka poruszył się - był to chudy, drżący ze śmiertelnego strachu - szczur. Dwa nieszczęścia, oba bardzo ludzkie i bardzo zwierzęce, patrzyły na nich uważnie. Woźnica świsnął batem i zaklął soczyście. Stwór odskoczył w ostatniej chwili przed końskich kopyt, puszczając z rąk sznurek. Uwolniony szczur dał susa w drugą stronę i ciągnąc za sobą swoje pęta, pognął w przydrożne krzaki. Gonił go bezradny, zwierzęcy gulgot tamtego.

33 I jak tu nie zwątpić w rozumny porządek świata? Jak myśleć z nadzieją o nauce, postępie,

cywilizacji, których rozwój zapowiadał francuski filozof. Zwyczajnie, drogi przyjacielu, jakby słyszał jego głos, nie da się logicznie uzasadnić myśli, że i do tego zakątka rzeczywistości nie wkroczy kiedyś Duch Postępu, obuje tych ludzi, nakarmi, ufryzuje im włosy jak tobie, zadba o ich paznokcie, nauczy czytać i pisać, a wreszcie i używać kobiet na wyrafinowane sposoby. Tak będzie, tak musi być, to tylko kwestia czasu. Możesz mi wierzyć - tylko kwestia czasu. Świat nie ma wyjścia, musi się poruszać w tę właśnie stronę. Tak wskazuje logika, królowa nauk, a królowej przecież my, ludzie honoru, musimy słuchać.

Pięknie, ale może on jest akurat republikaninem i nie ma zamiaru słuchać żadnej królowej. A tym bardziej, hm, carycy, choćby to była tylko Caryca Nauk, a nie na przykład pewna kon-

kretna władczyni, do której mistrz czuje dość przecież nieoczekiwaną słabość. Gdyby się choć rozejrzył z kim tę słabość dzieli. . .

Przypomniał sobie ostatnie spotkanie z Kucem. Już było po wszystkim, szedł na prawie audiencję, nie na przesłuchanie. To miał być końcowy szlif, namaszczenie nowego człowieka, nowo pozyskanego bojownika o wspólną sprawę. Kuc nie nadawał się zbytnio do tej roli. Pomniejszony o strach, który wcześniej wzbudzał, był po prostu głupcem. Jego popisowe paradoksy o trzymaniu za mordę, uczeniu się od diabła i obciętych jajach nie miały już nawet chamskiego wdzięku, zresztą Casanovą znał je na pamięć. A jednak w końcu udało się Kucowi zadać mu celny cios. Wolter. Chyli czoła przed ich cesarzową, podziwia kierunek, jaki nadaje Europie, a nawet i światu. To chyba coś znaczy, nie?

- Każdemu, no, prawie każdemu wolno mieć własne zdanie - powiedział Giacomo ostrożnie, zanim przetarto mu brudną szmatą oczy, sam był przecież bliski podobnego błędu - a cóż dopiero komuś takiemu jak Wolter.

- Co cię z nim łączy? ? Kuc nie wytrzymał roli gawędziarza, był przecież z krwi i kości policjantem. To była ta szansa, na którą czekał Casanova. Pał licho ostrożność, cóż mu teraz może zrobić ten błazen. Nachylił się konspiracyjnie do Kuca.

- Nić. . Łączy nas pewna nić. - Co?

? - Nić porozumienia, właściwie nawet sprzysiężenia mającego pewien bardzo sekretny cel na uwadze.

- Na przykład? ? - Na przykład mamienie władców fałszywymi pochlebstwami.

. - Ty! - Kuc aż poczerwieniał z bezsilnej wściekłości - uważaj, bo cię to może drogo kosztować.

- Drogo kosztować, , to postaram się was, mój panie - ja! ! - powiedział wstając. . I nie odezwał się już do Kuca więcej.

Mijali ostatnie, chyba już nie zamieszkałe rudery. Jednak nie - dwie pokraczne staruszki śmiały się bezzębnymi ustami i pokazywały ich sobie powyginanymi od artretyzmu palcami. Uśmiechnął się do nich serdecznie, niech się zdziwią jeszcze bardziej.

To tylko sprawa czasu? A jeśli czas przyniesie coś zupełnie innego? Może ci tutaj nie zechcą czekać i ruszą pod prąd tego, co im obiecują filozofowie. Nie ich świat zniknie, ale nasz. Nie wytrzyma tego naporu masy, siły, brutalności. Nie rozum się rozprzestrzeni, ale głupota, nie dobro, ale zło. Duch Postępu nie nakarmi nikogo, bo sam zostanie pożarty w pierwszej kolejności. Nie my ich będziemy fryzować, ale oni zerwą nam peruki i ogolą głowy do gołej skóry. Nie my - pucować, lecz sami zarośniemy brudem. Nie my ich - uczyć wyrafinowanej

34 miłości, a oni nas codziennego gwałtu spracowanych samców. Kto wie jak to będzie?  
Nawet

najwięksi filozofowie mogą się mylić. Strząsnął z siebie te myśli, gdy tylko wyjechali z miasteczka. Otworzyła się przed nimi wspaniała, rozległa przestrzeń, przecięta wstęgą traktu i okolona na horyzoncie lasem. Chłó- piec spał, sprawiał ciągle wrażenie półżywego. Na szczęście był o słonecznie i ciepło, lekki wiatr pędził chmury na południe. Puścił konia klusem, poklepał klacz po szyi, zdumiony ła- godnością, z jaką go niosła. Jeszcze tylko ukłucie niepewności - co go czeka tam, za hory- zontem? Ostrzygą do gołej skóry, czy nałożą dwie peruki naraz?

Mógł teraz myśleć o czymś zupełnie innym. Na przykład o tym, że głowa pobolewa go od rana i w normalnym czasie i miejscu - w Pa- ryżu, Londynie, Dreźnie - nie ruszyłby się dziś z łóżka, przedrzemałby do wieczora, a może i do jutra. Albo, do diabła - przeciwnie, nie jest przecież stetr yczałym starcem, żeby się wyle- giwać beczynnym, wziąłby sobie do łóżka jakąś świadomą rzecz panienkę i kazał się leczyć wszystkimi znanymi jej sposobami. Któryś na pewno by pomógł, głowa ostatecznie jest tylko częścią ciała.

Albo wybrałby się - w Madrycie, Rzymie, Berlinie - na konną przejażdżkę. Tak jak teraz, ale jakże inaczej. Dosiadłby z wdziękiem, w świetnie skrojonym stroju do konnej jazdy, jakiegoś dobrze ułożonego dzianeta angielskiej krwi albo arabskiej klaczy, porządnie podkuty, nawykłych do młócenia kopytami zwirowanych alejek, nie zaś, jak ta chabeta pod nim, błotnistych traktów i leśnych wykrotów. Spotkałby dobrze urodzonych, skorych do filozoficznej pogawędki przyjaciół, nie jak tutaj - sowy, półgłówków i szpicłów. Zaraz by mu przeszyły wszelkie bóle.

Klacz jakby wyczuła obelgę, rzuciła łbem i zarżała donośnie. Wjeżdżali do niewysokiego sosnowego zagajnika, w zapadlinach między drzewami leżały już szkliste plastry śniegu. Obejrzał się - wóz z Jeremiaszem i bagażami toczył się wolno, prawie niezauważalnie, kilkaset metrów za nim. Wstrzymał konia, trzeba było poczekać.

Czemu zresztą - wrócił do poprzedniej myśli - nie połączyć tych obu możliwości. Wziąć panienkę na końskim grzbiecie. Nie próbował tego dotąd, ale przecież kiedyś trzeba spróbować wszystkiego. Nie obeszłoby się bez wcześniejszej przymiarki. Bo nie każda byłaby dobra w tej sytuacji. Ileż szczegółów musiałby zbadać. Mięśnie ud i brzucha, na przykład, muszą być mocne, by nie wypuścić go z niej w czasie harców, lecz nie nazbyt masywne, bo tęgich kobiet nie lubi ani on, ani żaden koń na świecie.

A dylemat między jego długością, a jej głębokością, wymagałby też wcześniejszych, starannych studiów, by nie narazić się później na wylecenie z siodła, najpierw z jednego, groźnego złamaniem jego sterczącego skarbu i zaraz potem z drugiego, prawdziwego, straszącego skreconym karkiem. Musi być więc też ciasna tam, gdzie trzeba, niewielka i ulokowana bliżej brzucha niż pośladków. Będzie jej wtedy łatwiej objąć go nogami i przytrzymać w sobie aż do samego końca. Przekonał się już dawno, mógłby powiedzieć bez fałszywej skromności, że w dzieciństwie, przekonał się - nie mogąc sięgnąć od tyłu, udającej sen kuzyneczki - że każda kobieta ma tę swoją stuloną muszlę we właściwym tylko sobie miejscu. Niżej, wyżej, z przodu, z tyłu i pomiędzy. Tak, tak. Żadnych reguł tutaj nie ma. Po oczach się tego nie pozna. Paulina byłaby dobra. No, tak, ale Paulina to co innego, jej nie narażałoby na podobne przygody. Kiedyś londyńska dziwka zaskoczyła go wzgórkami Wenery prawie na brzuchu, ale była ciężka i rozlazła, nie nadawałaby się do tej zabawy.

Binetti, o tak, ta potrafiła wszystko. Jeśli trzeba było - miała swoją dziurkę z przodu, kiedy indziej z tyłu, a czasami nie był pewien czy ma ją w ogóle. Chętnie ją właśnie poczułby teraz przy sobie. Wiedzieliby bez słowa, co robić.

Klepnął klacz w szyję. Jedziemy. Poczekamy na tamtych dalej. Ruszyli stępa. Tak będzie - ruszą stępa. Spokojnie, żeby mógł bezpiecznie wcelować w gorącą szczelinę, nabić dziewczynę na siebie i poczuć jej nogi na swoich udach, a ręce na szyi. Oczywiście siodło musi być

35 inne, może nawet zwykły pled przytulony do grzbietu konia. Wystarczyłby im najpierw rytm

końskiego chodu, spokojne falowanie, w górę, w dół. Odłoni jej piersi, niech i one zaznają pieśczoły.

Potem. . . Ponaglił konia niecierpliwie. Szybciej! Szkapą nie chciała go słuchać i dopiero dźgnięta kilka razy w boki piętami ruszyła do ciężkiego kłusa. Kłus - to właściwy rytm dla dojrzałej miłości, nie sztubackiego oszalałego trykania, ale wyrafinowanych, choć przecież nie sennych pieszczot, jakie doświadczony mężczyzna może ofiarować kobiecie. Trzeba wzmocnić uścisk, objąć ją szczelnie, żeby nie spadła przy zbyt gwałtownym ruchu, poczuć pod dłońmi jej pośladki. Już nie opasuje go nogami, przytulone do jego nóg, wbijają się mocno w koński brzuch, lecący nad ziemią w bryzgach błota, kamieni i trawy. I on napina uda aż do bólu, żeby nie wylecieć z siodła. Czy to jeszcze rozkosz czy już walka o życie?

Jeszcze. . . Tak, to musi być Binetti z jej wędrującą dziurką, wyskoczy nagle z niego, przekręci się nad końskim grzbietem i ponaglając klacz do biegu, wypnie pośladki. On chłśnie konia po zadzie mokrą od miłosego potu dłonią i runą wszyscy w szaleńczy galop. Wtedy dopadnie ją ponownie, dźgnie aż po samo gardło, wypełni sobą każdą szczelinę jej ciała i zmusi do wykrzyczenia wszystkich słów miłości, jakie zna świat. Potem niech się dzieje, co chce - niech zadławi ich coraz głośniejszy pęd powietrza, niech zwałą się na nich mijane w szaleńczym pędzie drzewa, niech ich ogłuszy chrapanie i zaleje piana z końskiego pyska.

Usłyszał jeszcze przeraźliwe rzenie klaczy, zobaczył jak jej grzbiet wygina się dziwnie do ziemi i poczuł, że coś wyrывa go z siodła z potworną siłą. Potem już niczego nie widział, niczego nie słyszał i niczego nie czuł. Kiedy się ocknął - nie wiedząc czy w piekle czy może tylko w czyścicu - ujrzał pochylone nad sobą, pełne przerażonego zatroskania, twarzyczki Sary i Etel. Skąd one tutaj? Uśmiechnęły się na widok jego otwartych oczu tak promiennie, że aż je z powrotem zamknął. To chyba raj. Boleściwe rzenie dobiegło gdzieś z oddali. Ziemia. Przypomnił sobie wszystko. Spadł z konia. Po prostu. Więc jednak ziemia.

To nie ma sensu, myślał kilka godzin później, nie ma sensu, że pozwolił im ze sobą jechać. Bóg jeden wie, co za kłopoty mogą z tego wyniknąć, a on kłopotów ma dość własnych, więc jak udźwignie cudze? Droga daleka, kraj dziki, jechać nie ma czym, bo chyba nie pokaże się na tej furze w Warszawie, coraz więcej uzbrojonych ludzi naokoło, a on zachowuje się bezrozumnie. Najpierw daje się ponieść koniowi, a zaraz potem sentymentom. Zapomina, że musi walczyć o życie naprawdę, dureń, pomyślał o sobie jak o kimś obcym. Odwrócił się mimo bólu w prawym barku - dziewczynki, niby wystraszone kurczaki, tuliły się do siebie w milczeniu, jakby nie oczekiwały niczego dobrego. Odeśle je przy pierwszej lepszej okazji. Szkoda, że nie zrobił tego od razu.

Ale - stało się. Przegonił woźnicę z kozła, niech się zajmie swoją narowistą szkapą i sam złapał za lejce lewą ręką, lewą, bo prawa bolała go przy każdym ruchu. Jeremi musiał usiąść i wpuścić Sarę i Etel koło siebie. I tak jechali.

Gdyby teraz widział go ktoś z jego przyjaciół, a choćby i wrogów. . . On, król salonów i sypialni, szlachcic pełną gębą, jeśli nawet nie z urodzenia, to z życiowej nobilitacji, powożący chłopską furą, pełną dziwacznych dzieci, w eskorcie bosonogiego i niemal już nie ukrywającego wrogości, woźnicy. Zarośnięty, obdarty, brudny. Upokarzany, śledzony, zamieniony w szpiega i wykonawcę nieznanych wyroków. Zapłakaliby nad nim jedni, porechotaliby drudzy. Pieprzy i jednych, i drugich. Musi się wziąć w garść i pokazać, na co go jeszcze stać. Byli już blisko, pałacowe budynki białły wśród gasnącej zieleni. Zrówna ten pałac z ziemią swoją fujarą, pomyślał zeskakując z fury, inaczej niech się nie nazywa Casanova. Inaczej niech się nazywa Żołędny Dupek.

Zatrzymali się pod murem opasującym pałacowy park, przy wartko płynącym strumieniu. Zeszli wszyscy do wody, nawet dziewczynki, pilnujące dotąd z rozpaczliwą wytrwałością

36 swoich miejsc na wozie, nawet Jeremi, ożywiony mimo całodziennego zmęczenia. Szmer

wody, chłód jej ciekących po twarzy kropel działały kojąco, ale to jeszcze nie była pora na odpoczynek. Musiał się ogolić i zmienić ubranie. Wyciągnął z wozu sakwojaż z przyborami do golenia. Aż jęknął, gdy spróbował unieść do twarzy brzytwę. Dziewczynki podbiegły błyskawicznie.

Nie odeśle ich, pomyślał po chwili siedząc sztywno na przydrożnym kamieniu i czując jak Eteł namydla mu policzki i goli go delikatnie i zręcznie. Zostawię tej hrabinie Rajewskiej, czy jak jej tam, dodał, gdy Sara obmyła mu twarz i osuszyła skórę rąbkiem koszuli. Potem ubrały go w jedwabie, obuły w lakierowane pantofle ze złotymi sprzączkami, pomogły włożyć szcudrze przypudrowaną perukę. Nie był już pewien czy zostawi je komukolwiek.

Chłopa odprowadził, dodając mu srebrnika za obietnicę milczenia, a im kazał spokojnie czekać pod pałacowym murem. Wreszcie był gotów. Stał u wylotu alei prowadzącej do pałacu, poprawił perukę, podciągnął trochę już luźne spodnie, odruchowo sprawdził czy dyndas jest usadowiony na odpowiednim miejscu - był - i ruszył dziarsko przed siebie, przypominając sobie półgłosem, że walczy o najwyższą stawkę.

W połowie drogi był już znowu młody, pełen energii i optymizmu. Z przyjemnością myślał o kolacji, na którą da się zaprosić tej jakiejś nieznannej hrabinie, pewnie niemłodej, grubej i brzydkiej. Musiał jednak przyznać, że pałac robił z daleka wspaniałe wrażenie. Takiej budowli z białego kamienia, o idealnie wyważonych proporcjach nie powstydziliby się nawet

Rzym czy Wenecja. Na dziedzińcu płonęły już pochodnie. W ich świetle błyszczały toalety kobiet, peruki mężczyzn i liberie służby. Dopiero teraz zwrócił uwagę na powozy ukryte w bocznych alejach, ćmiących machorkę woźniców, żujące obrok konie. Ach, tak, trafił na przyjęcie, to jeszcze lepiej, gwiazdy mu dzisiaj sprzyjają.

Chwilę potem zwątpił w tę przychylność, gdyż spomiędzy rozbawionych ludzi wyrwał się nagle potężny czarny pies i wielkimi susami rzucił w jego stronę. Nie było wątpliwości - pędził prosto na niego. Casanova zawahał się - wyciągnąć na bydlaka szpadę, czy, demonstrując wszystkim rycerskie opanowanie, narazić się na pożarcie. Nie musiał wybierać, głośny huk przetoczył się w górze. Pies, jakby mu przetrąciło kręgosłup, sflaczał i opadł na rozjeżdżające się łapy. Giacomo złapał za szpadę, chciał się rzucić w bok pod drzewa, uciec przed nieznanym niebezpieczeństwem, ale nie zdążył. Huk się powtórzył i nad jego głową - zamiast śmiertelnych kartaczy - rozprysnęły się girlandy kolorowych świateł. Pies, jak skarcony przez dziecko szczeniak, powlókł się z powrotem z podwiniętym ogonem.

Lepszego wyjścia nie mógł sobie wymarzyć. Szedł zwirowaną aleją, a potem dziedzińcem, a nad nim rozpinały się co chwilę jaskrawe gwiazdy, choinki, korony i amorki. Rzeczywiście niebiosa sprzyjają mu dzisiaj, ta iluminacja była jak na zamówienie. Nadał swojej twarzy wyraz eleganckiej stanowczości i podszedł do grupy dam najliczniej obleżonych przez służbę. Domyślił się, że pośród nich musi być właścicielka, hrabina Rajewska. Pokręcona staruszka w różowej sukni i jaskrawym makijażu? Wąskonosy upiór z wielkim kokiem na głowie? A może to rozlaźle babsko z wolem zamiast dekoltu?

Jednak nie, na szczęście nie. Hrabina była młodą jeszcze kobietą o uwodzicielskich ustach i wydatnych piersiach. Dobrze wiedział, ile znaczy pierwszy efekt, ale musiał zacząć głośniejszy niż powinien, żeby przekrzyczeć ogólny rejwach. Hrabina pozwoli, że przeprosi za najście, i przedstawi się. Jest hrabią de Seingalt, przybywa prosto z Petersburga, gdzie przebywał w sprawach państwowej wagi, winien jest właściwie łaskawej gospodyni wyjaśnienie za sposób, w jaki tu się znalazł. . .

Hrabina spojrzała na niego nieuważnie i roześmiała się, widząc jak dwa bliźniacze wyżyły wpadły do sadzawki w pogoni za gasnącym fantomem.

- Niech się pan czuje naszym gościem, , panie hrabio.

37 I nic, ani spojrzenia więcej. Będzie trudniej niż myślał. Cholerne iluminacje. Nie słysząc,

co się mówi i nie widać, do kogo. Stracił na chwilę pewność siebie. Wytrzymał jednak, nie zmieszał się z tłumem gości.

- Hrabia Orłow wspominał mi o pani. . . . - Pan zna hrabiego Orłowa? ? - staruszka w różowej sukni kurzym ruchem uniosła ku niemu głowę. Zanim zdążył odpowiedzieć, odezwała się hrabina.

- Czy nie sądzi pan, że nasze życie podobne jest do tych ognistych rac, trwa chwilę i gaśnie zanim zdołamy się nim nasycić.

We wzroku hrabiny dostrzegł tym razem błady ogień zainteresowania, nadzieję dla siebie, może nawet obietnicę. To już było coś. Postąpił krok do przodu, żeby lepiej widzieć. Piersi ma już z pewnością nieco obwisłe, pomyślał, a głośno powiedział:

- Trafna myśl i piękne słowa, hrabino. Niezależnie od tego, że smutne. Nie zapomniał uśmiechnąć się do staruszki. - Oczywiście, znam hrabiego Orłowa bardzo dobrze. Hrabina roześmiała się nagle, odkręciła na pięcie i bez słowa ruszyła naprzód zagarniając po drodze wszystkich. Został przez chwilę sam, z uśmiechem zastygłym na twarzy i hrabią Orłowem na ustach.

- Zabić króla? - Rzucił szpadę na podłogę aż zgrzytnęło kaleczone drewno. - Nigdy. Nie namówicie mnie do tego.

Giacomo był mokry od potu i wściekły. Orłow stał oparty niedbale o filar sali ćwiczeń, roześmiał się nienaturalnie.

- A kto pana namawia? ? Powiedziałem - unieszkodliwić, nie zabić. To nie to samo. - Powiedział pan zabić, hrabio. Orłow skrzywił się, zauważył może, że słup, o który się opiera, poczerniały jest od potu i brudu pokoleń ćwiczących tu fechtunek mężczyzn.

- Możliwe. Mój francuski czasem płata mi figle. " Unieszkodliwić " to jest właściwe słowo. Pchnąć w naszą stronę, skłonić do rozsądku, może nawet, bo ja wiem, nauczyć rozumu - to jeszcze lepsze słowa. Po co mielibyśmy czyhać na życie kogoś, z kim jeszcze niedawno do-



skonale się rozumieliśmy, komu pomogliśmy przy elekcji, za pewne, mówiąc między nami - dość konkretne obietnice. No, teraz on trochę o nich zapomniał. Wie pan, pierwsze lata upojenia władzą, zawsze każdemu wydaje się, że świat ścięło się do stóp, że można wszystko, o czym się zamarzy, że wróg jest słaby, a przyjaciele wyrozumieli. Rok jednak wystarczy. Trzeba panu Ciołkowi przypomnieć kim jest i co nam zawdzięcza. - Podszedł bliżej do dyżącego ciężko Casanovy - Mamy nadzieję, że panu tego przypominać nie będzie trzeba.

Boże, z czego stworzyłeś takich ludzi, z pazurów, zębów, rogów? - Imperatorowa wie o tym? Hrabia uśmiechnął się szydlerczo, jakby posłyszał te myśli. - Niech pan nie będzie dzieckiem. Inaczej bym przecież z panem nie rozmawiał o, bądź co bądź, tajemnicach wagi państwowej. I niech pan nie dziurawi podłogi - utrzymanie tej sali kosztuje mnóstwo pieniędzy skarbu naszego państwa.

Schylił się po szpadę, ale Orłow był szybszy, podniósł ją zręcznie, zawinął rękawy. - Zobaczmy czego tu pana nauczyli.

. Casanova wziął drugą szpadę od krępego instruktora, czekającego potulnie pod ścianą aż skończą rozmawiać - przyjął pozycję.

. Starcie było krótkie. Opanowanym od kilku dni unikiem Giacomo odsonił swój lewy bok, a gdy Orłow dał się na to nabrać, wykonał półobrót i z łatwością włożył mu szpadę pod ramię.

38 Gdyby chciał, gdyby chciał i był poza tym samobójcą, mógłby teraz tamtego bez trudu zabić,

nadziać na ostrze jak owada na szpilkę. Hrabia wiedział to także. Pobladł trochę, ale nie przestawał się uśmiechać.

- Nieźle, , zupełnie nieźle. Giacomo cofnął się, nie wypuszczał jednak szpady z ręki. Czegoś jeszcze ciągle nie wiedział. - Co będę musiał robić?

? Hrabia Orłow zdążył się już opanować, tym bardziej że mały instruktor stanął za plecami Casanovy. Spokojny o efekt, zdjął rękawicę i trzasnął Casanovę w twarz.

- Dojechać cało do Warszawy. . Z drugiej strony pałacu rozstawiono stoły, pełne mięs i napojów. Sama zastawa zdu- miała go swoim wykwintem. Porcelana delikatna, srebra angielskie, widelce i noże przy taler- zach. Nie spodziewał się tutaj takiego bogactwa i obycia. Zagapił się trochę, zresztą nie wy- padało mu asystować hrabinie zbyt natarczywie, niech sama nabierze na niego smaku, wyłą- dował więc przy końcu stołu. Po lewej stronie miał wyrostka o zadartym nosie, po prawej zaś beznadziejnie starą staruszkę, przy której tamta w różowej sukni wydawała się uosobieniem młodości. Oboje byli pewnie jakimiś dalekimi krewnymi gospodyni, zbyt dalekimi, by to miało jakiegokolwiek znaczenie, ale co robić - czarował kogo mógł.

. - Pewien mój paryski przyjaciel, lekarz - perorował, trzymając w ręku potężny sarni udziec - doktor weterynarii, więc człowiek w tej materii nader kompetentny, twierdzi, że zwierzęta mają w sobie niezwykłą biologiczną siłę, w którą wyposażyla je sama natura. To specjalny rodzaj magnetyzmu, który promieniuje na wiele metrów. Można go poczuć po pro- stu dotykaniem. Ciepło - zimno. Im cieplejsza bestia tym więcej w niej tej siły, czyli życia. Co prawda, bywają wyjątki od każdej reguły.

Skubnął kęs mięsa, było wspaniale dopieczone, przesycone delikatnie dymem ogniska. - Ten osobnik na przykład, , ciepły jest ciągle, ale życia to w nim już raczej nie ma. Ani słowem, ani uśmiechem nie skwitowano jego żartu. Trudno, nie musi im nadskakiwać. Przynajmniej się naje prawdziwego mięsa, nie tego śmierdzącego ścierwa, którym go karmili dotąd w parszywych zajazdach. Przynajmniej nasłucha się gwaru ludzkich głosów, szmerzą- cych w towarzyskiej rozmowie, nie żoldackich ryków. Przynajmniej odpocznie w rytm mu- zyki żydowskiej kapeli, a nie skrzypienia końskiej uprzęży.

No i napije się dobrego wina, a nie tego moczu szatana, który barbarzyńcy nazywają wód- ką. Tu, w wesołym, sytym i przyjaznym kącie wszystko, co przeżył przez ostatnie miesiące, a nawet dni, wydawać się mogło nierzeczywistym koszmarem, a ci wszyscy Kuce, Astafowo- wie, Orłowy, sennymi widziadłami, łatwymi do przepędzenia zwykłym sarnim udźcem.

Poczuł nagle na sobie czyjś uporczywy wzrok. Rozejrzał się ostrożnie, z wprawą człowie- ka tropionego. Z drugiego końca stołu uśmiechał się do niego porozumiewawczo rosyjski oficer, dowodzący wczoraj oblężeniem karczmy. Casanova oprzytomniał natychmiast. Nie ma czasu na odpoczynek. Na roztkliwianie się nad sobą.

- Co ciekawsze - jeszcze raz spróbował skupić uwagę sąsiadów - co ciekawsze, podobną siłę magnetyczną posiadamy my, ludzie. Tylko o niej nie wiemy. Ale mam dowody, że góry można przy jej pomocy przenosić. Jeśli się chce oczywiście. Co by państwo powiedzieli,

gdybym tak teraz odjął ręce od tego szlachetnego kawałka sarniny, a on mimo to, wisiałby nadal w powietrzu?

Uniósł lewą rękę w teatralnym geście, jakby za chwilę spełnić miał swoją zapowiedź, ale widownia była zadziwiająco obojętna. Chłopiec zerkał na niego odrobinę przelęknionymi oczyma, staruszka spokojnie oblizywała kostki. Chrząknął głośno, nie zareagowała. Jeszcze głośniej - nic. . Nachylił się do chłopca.

- Jest głucha? ?

39 Tamten nie odpowiedział, poruszył tylko niezdecydowanie wargami.

- Nie słyszy? ? Chłopiec przepowiedział znowu niemo jakąś kwestię, wreszcie zdecydował się. - Bardzo przepraszam, , ale nie rozumiem po francusku. Sarni udziec nie zawisł w powietrzu podtrzymywany magnetyczną siłą jego rąk, z łosko- tem walnął o srebrny talerz.

Ktoś położył mu rękę na ramieniu. - Znowu się spotykamy, , Herr Casanova. Kupiec z Hannoveru. Nie zauważył ich wcześniej, ale przecież musieli tu być od dawna. Ostatecznie jednak, nie sadza się kupczyków przy jednym stole ze szlachtą. Ale skąd ten ty- pek zna jego nazwisko? Nie przypomina sobie, żeby mu się przedstawiał. I co za poufałość.

- Niezbadane są wyroki opatrności, , Herr. . . Kupca już za nim nie było. Zobaczył tylko sylwetkę wysokiego mężczyzny, znikającą z kręgu światła.

Poirytował go ten epizod, obudził czujność. I w tym zakątku spokoju nie było. Najpierw ten oficerek, a teraz brodac z Hannoveru. Coś ich musi łączyć tajemną nicią. Ale co? Wstał od stołu, starając się nie zwracać na siebie uwagi. Wsunął jeszcze do kieszeni kawałek pierni- ka, wziął do ręki jabłko. W najgorszym wypadku jego dwór, przycupnięty teraz pod murem pałacu, naje się tym, co dostanie.

Przesuwał się pomiędzy rozbawionymi ludźmi, rozglądał uważnie. Jakiś służący, tyczko- waty dryblas o długich rękach o mało go nie wywrócił, chcąc się sam ratować przed upad- kiem, gramolił się teraz z powrotem, podtrzymywany przez równie chybotliwego franta w

przekrzywionej peruce. Służba pijana o tej porze? Trochę go to zdumiało, ale czyż świat nie powinien być równie przychylny dla wszystkich?

Poza kręgiem światła, przy schodach prowadzących do ogrodu stał y proste drewniane skrzynie, niedbale przykryte jakąś derką. Zapachniało żywicą i smołą. Wsunął rękę pod pierwsze z brzegu wieko. Ach tak, ta sama diabelska woń i piekielna zawartość. Szkielety z laki. Ten jeden, bez głowy, która drzemała teraz w jego torbie podróźnej, też musiał tu być. W gruncie rzeczy , ohyda! Zboczona zachcianka nienormalnych bab. Tam we wnętrzu jego ręka namacała coś chłodnego i śliskiego. Obrzydliwość! To na pewno nie była kość z laki. Odsko- czył aż huknęło wieko. Jakiś drab, drzemający za skrzyniami, podniósł się, groźnie coś bełko- cąc. Casanova nie zdążył się przestraszyć - zobaczył bowiem hrabinę, idącą w jego stronę. I drab ją zobaczył, zamilkł nagle i chyłkiem wycofał się na swoje miejsce.

- Dziwi się pan. . Hrabina patrzyła bez uśmiechu, jakby nieco speszona. Chciał zaprzeczyć, ale obmierzył mu już konwencjonalne pogaduszki, był na to zbyt zmęczony, a i sytuacja wyglądała na tyle niezwykle, że nie wypadało jej kalać banałami. Zresztą - on miałby się czemuś dziwić? Po tym co go ostatnimi czasy spotkało, dziwić mógłby się jeszcze chyba tylko swojemu zdiwie- niu. Uśmiechnął się, choć w gruncie rzeczy , chciał raczej wzruszyć ramionami.

- Pragnęłam tu stworzyć raj na ziemi, ogrody, pałac Diany, świątynie dumania, przypomi- nające także o przemijaniu. Tam spoczęłyby te. . . postacie. Ale - to już teraz nieważne.

. Chciałbym mieć twoje problemy, głupia kobietko, pomyślał. I twoje pieniądze. Na pewno nie wydałbym ich na fałszywe szkielety. Raczej na zupełnie prawdziwe ciała. Ale, gdy wzięła go za rękę zwyczajnym gestem, jakby znali się od lat, był już o niej trochę lepszego zdania.

- Niech pan nie myśli, że tak tu wygląda zawsze. W gruncie rzeczy nie przepadam za ludźmi, ale dzisiaj to specjalna okazja.

Suczka się oszczeniła, albo pan małżonek przysłał list z Paryża z żądaniem rozwodu? - To się czuje - odwzajemnił jej uścisk, myśląc smętnie, że jedyne co czuje naprawdę to jakieś obezwładniające zniechęcenie, znużenie paraliżujące myśli i zmysły. Niczego mu się w istocie nie chciało, a przecież teraz musi mu się chcieć wszystkiego, może to wino, a może po

40 prostu się starzeje, trzeba by jednak pamiętać, co ma tu do załatwienia i którą do tego dro-

ga, nie wolno mu leżeć, kiedy stoi i milczeć, gdy ma rozmawiać, bez koni nie wyrwie się z tej głuszy, nie zobaczy nie tylko Paryża, ale i Warszawy, a zresztą, te jej piersi nie są wcale najgorsze, może nawet świetne, na pewno nie miała dzieci.

- To właściwie pożegnanie. Wyjeżdżam stąd wkrótce. Tu się robi coraz niebezpieczniej. W lasach pełno zbrojnych. Nikt nie wie, co to za ludzie i czego chcą. A ja nawet nie chcę wiedzieć. Wyjeżdżam i może już nigdy tu nie wrócę.

Zaczynał się budzić. - Do Petersburga?

? - Żartuje pan - na razie do Warszawy.

. Wszystko, co w nim spało, oprzytomniało gwałtownie, co kładło się spać, podniosło szybko, wróciły zmysły i pamięć. Czuł, jak krew, prawdziwa krew, krąży mu znowu w żyłach. Był z powrotem sobą - mędrcom i siłaczem, sprytnym lisem i wymuszającym posłuch dla swej męskości bykiem, kawalerem de Seingalt i Giacomo Casanovą w jednej osobie. To była szansa, na którą czekał.

- Co za traf - powiedział, przysuwając się bliżej, żeby poczuła zapach francuskiej lawendy, która, zmieszana z potem, działała zawsze lepiej niż wszelkie lubczyki - dołączyłbym do hrabiny, ale obawiam się, że moje konie zbyt szybko nie przyjdą do siebie.

I ona się odmieniła, choć przyjęła grę z pozorną obojętnością, pewien był rumieńca podniecenia na jej twarzy.

- Takie ma pan marne konie? ? - Ciężko pracowały, , dzień i noc. - Niezdrowo tak się przemęczać.

. Uniosła niby przypadkiem rękę do góry. Piersi aż się prosiły, żeby je dotknąć. - Użyczy mi pani swojej karety?

? - Kto wie - może.

. I dalej nic, żadnego uśmiechu, żadnej na pozór szczeliny w jej opanowaniu. Ale on już swoje wiedział.

Puścił ramię hrabiny tylko na chwilę, żeby wydać dyspozycję staremu służącemu, wyglądającemu jak źle ostrzyżony pudel - tam, za bramą, czeka jego służba, niech się nimi zajmie. Stary był niezdecydowany przez moment, może nie dosłyszał, albo nie zrozumiał polecenia, ale, gdy ręka Casanovy na powrót usadowiła się pod pachą hrabiny Rajewskiej, wszystko już było w porządku, tak, oczywiście, jaśnie wielmożny panie.

- Znasz go? ? - Kogo?

? No, tak, otumaniony całodziennym zmęczeniem, winem i miłosną walką, to, co myśli, bierze za to, co mówi.

- Króla. . Waszego króla. Leżeli, odpoczywając, na chłodnej pościeli. Poruszyła nogą przerzuconą swobodnie przez jego pierś.

- Tak. . Zdaje się, jestem nawet jego daleką kuzynką. W pierwszej chwili omal się nie dał ponieść impulsowi ucieczki. Już się widział, jak wy- skakuje z łóżka, łapie co popadnie ze swoich rzeczy i pędzi przez pałacowe korytarze, przez pusty już dziedzinie, przez park - w las, byle dalej od kolejnej pułapki, zastawionej na niego przez kobiety związane z monarszym majestatem. Leżał jednak dalej. Cóż mu tu mogło gro- zić, to nie Petersburg, a król Polski, to nie cesarzowa Rosji. Już raczej trzeba by się obawiać zazdrosnego męża, gdyby nie fakt, że ten ponoć nie jest zazdrosny i od kilku lat mieszka z kochanką w Paryżu. Dureń, nie wie, co stracił. Uniósł głowę, żeby lepiej widzieć hrabinę.

41 Podglądał ją trochę w czasie miłości, trzeba było czymś wspomóc pamięć, a widok ich ciał

powleczonych siną księżycową poświatą, to może coś, co warto zapamiętać, a nawet opisać. Teraz też przyglądał się z przyjemnością jej mocnym udom, twardym, sterczącym pośladkom, aż proszącym, żeby je gładzić, klepać, miętosić i rozchylać. Tyle mógł zobaczyć, leżała tak jak ją zostawił, na brzuchu, z głową zanurzoną w pościeli. Tylko nogi przerzuciła przez niego, jakby chciała go w ten sposób zatrzymać. Ale on nie zamierzał przecież uciekać. Królewska kuzynka. Czy mógł trafić lepiej?

Położył dłoń na jej udzie i zaczął je delikatnie pieścić. Nie zmartwił się, że nie odpowiadała. Nie był jeszcze gotów, wołał ją teraz smakować i rozbudzać powoli. Miała zdumiewająco wspaniałe ciało - i umiała z niego korzystać. Oddała mu się wprawdzie pierwszy raz jak niedoświadczona dziewczyna, ale później - jakby tamto było tylko próbą jego możliwości - inicjatywa należała przede wszystkim do hrabiny. To on był jej zdobyczą, nie ona jego. I wcale mu nie przeszkadzało, że to ona rozebrała go, a potem kazała rozebrać siebie, ona całowała po całym ciele i kierowała jego ustami, że ona wreszcie, po tym pierwszym somnambulicznym akcie, dosiadła go i pilnowała potem, żeby on jej dosiadł. Takie potrafią być kobiety dojrzałe. Nieśmiałe i bezwstydne, niewinne i wyuzdane zarazem. Nie byłby sobą, gdyby nie potrafił tego docenić. Ale jednak jakaś drobinka męskiej dumy czuła się tą sytuacją urażona.

- Czemu pytasz? ? Chyba nawet w łóżku nie może się wyzbyć swoich władczych nawyków, walczy w niej uległość z przyzwyczajeniem do rządzenia. Teraz jego kolej. Pokaże, co potrafi naprawdę. Sięgnął ręką głębiej, do wnętrza uda. Drugą dłonią poszukał jej piersi.

- Jestem badaczem obyczajów. . Zjeździłem już całą Europę. Moja misja. . . Potknął się o to słowo, ale błyskawicznie odzyskał zdecydowanie. - Na prośbę króla Francji i królewskiego towarzystwa geograficznego przyglądam się ży- ciu różnych ludów, poznaję władców, dwory, ceremonie.

- Jesteś szpiegiem? ? Piersi, których delikatne zwieńczenia zaczęły twardnieć i powstawać pod jego palcami, zadrżały od cichego śmiechu.

- Raczej filozofem. To dość odległe profesje, możesz mi wierzyć. Mnie interesuje to, co najlepsze w człowieku, a nie to, co najgorsze.

- W kobiecie? ? - W człowieku.

. Poczul jej palce, a zaraz i usta na brzuchu. Nie na wiele moglo mu starczyc opanowania. - A co jest najwspanialsze w męzczyźnie?

? - To, , co masz na myśli. Szukal jeszcze jakichs słow, a tymczasem to, co miala na myśli jego nowa kochanka, pęcnialo coraz odwazniej. Chciala znowu cos powiedziec, ale przykryl jej usta dłonią.

- Najlepsze jest to, , co sluzzy innym. Przekrecil ja na plecy i zgiety w palak miedzy jej nogami, schodzil wargami coraz nizzej. Szarpnela sie, ale trzymal mocno.

- Umiejtnosc rzdzenia. Tym sie zajmuję przede wszystkim. Sztuka sprawowania wła- dzy. Zamierzam o tym napisac traktat.

Powiodl jezykiem wokol pepka. - Przedstawisz mnie królowi?

? - Kiedy tylko zechcesz!

! Glos jej stal sie nagle ulegly, napiety oczekiwaniem. Ale on sie nie spiesyl. - Byl kochankiem carycy? ? To prawda? Szarpnela sie jeszcze raz, silniej, chciala go zagarnac rękami, ale i tym razem nie zdoiala sie wyrwac z uścisku.

42 - Prawda. . Ale nie byla jeszcze carycą

Teraz mial ja juz blisko, najblizej jak tylko mozna. Wargami, koncem jezyka, nosem, bro- da, badal granice wzraliwosci swojej kochanki. Gladzil, pocieral, ugniatal, smakowal, ale tam, gdzie go czekano, nie zagladal jeszcze.

- To ona zrobila go królem? ? - Kochany, , chodz. To juz byl jek, skarga nie tylko ciata, ale i duszy. Moze wlasnie na te slowa czekal. Tak sie nie mowi do byle kochanka, pierwszego lepszego dziwkarza, kolekcjonera lozdkowych przy- god. Tak sie mowi do drugiego czlowieka. Rozmarzyl sie, rozluznil nieco uścisk, a wtedy ona zacisnela konwulsyjnie uda.



Niczego nie widział, niczego nie słyszał. Upadł cały w wilgotną, ruchliwą rozpadlinę, przyjazną, ale i groźącą uduszeniem. Wyrwał się resztą sił i osuwając co chwila w jej łapczywe wnętrze, piął do góry po krzaczastym, ostro pachnącym zboczcu. Chwycała go za uszy i przytrzymywała, ale on nie zrezygnował. Jeszcze nie była pora, jeszcze przecież chciał coś wiedzieć, o coś ważnego zapytać, cały jego los może od tego zależeć. Musi. . . Choćby miał stracić uszy.

- Słuchaj - wykrztusił, łapiąc oddech i czując jak jej gwałtowność udziela się i jemu - a macie w Warszawie francuską loterię?

I już było po nim. Wczesnym rankiem, w porze, gdy zaczęły się ledwie unosić mgły nad łąkami i tylko mdła jasność była zapowiedzią słonecznego dnia, w białym i boso wyszedł na taras pałacu. Nie czuł chłodu, ani wilgoci kamiennej posadzki. Poraził go widok, jaki się stąd roztaczał. Kolony potężnych drzew okalały łąki ciągnące się aż po horyzont. Stado saren pasło się spokojnie w oddali. Wielkie czarno- białe ptaki kołowały nad stawem. Tu nie trzeba dowodów, że Bóg istnieje, a prawa Historii są rozumne. Wszystko było na swoim miejscu, piękne, spokojne, bezpieczne.

Może, gdyby chciał, mógłby oglądać te poranki do końca swojego życia, u boku pięknej, czulej kochanki. Gdyby chciał. . . Zachnął się boleśnie - choćby chciał, inni zdecydowali już za niego inaczej. Nie może tu zostać, kochać tej wspaniałej kobiety, śpiącej teraz głęboko kilka metrów od niego, nie będzie karmić saren, kosić trawy na łące, a w bibliotece na piętrze spisywać swoich wspomnień. Ci inni. . . Niech i ich piekło pochłonie, skoro jego chcą skazać na potępienie.

Daleko, jak słabe pyknięcie, błysnął strzał. Stado saren rzuciło się do ucieczki, ptaki nad stawem, gwałtownie machając skrzydłami, wzbijały się w górę. Jakiś jeździec pojawił się na moment na skraju lasu i zaraz zniknął.

Teraz dopiero poczuł, że drży cały z zimna. Potwory, świnie, nie podda się tak łatwo. Zapłaci im jeszcze za wszystko.

Ubrał się po cichu, żeby nie budzić hrabiny i zszedł na dół. Nie chciał jej zresztą krępować swoją osobą, ranki rzadko kiedy sprzyjają nocnym kochankom. Będą mieli jeszcze dużo czasu, żeby się lepiej poznać. Tutaj, a przede wszystkim w drodze. Ileż to dni jazdy może ich dzielić od Warszawy? Pięć, dziesięć? Nasycą się sobą do pełna.

Na dziedzińcu było jeszcze spokojnie, tylko ogrodnik wyrównywał grabkami ślady kół w żwirze alei. Nie widać było innych skutków wczorajszej zabawy. Nie cała więc służba była w nocy pijana. Poszedł w stronę głosów, dobiegających z niskiego skrzydła budynku. Wszedł niepewnie do środka. Dwie bosa dziewczyny klęcząc szorowały kotły z resztkami jedzenia. Biła od nich taka pierwotna siła i zmysłowość, że zagapił się na nie niezupełnie bezinteresownie. Przygryzł wargę, poczuł krótki jak oddech, słodki smak wolności. Chciał spytać o swoich, o Jeremiego i dziewczynki, ale tamte, ledwie go usłyszały i zobaczyły, wybuchły takim śmiechem, że nie chciało mu się czekać aż przestaną. Co, u diabła, przejrzał się w szy-

43 bie, ubrudził się czymś czy krzywo włożył perukę? Ciemnota, mruknął cokolwiek dotknięty,

ale uraza była płytka. Wolał zapamiętać ich wypięte tyłki niż ten idiotyczny śmiech. Dotknął wargi ponownie, ale tamto wrażenie już nie powróciło.

Zaszedł jeszcze do stajni. Tak jak przypuszczał, w kącie jednego z pustych boksów znalazł całą swoją trójkę, śpiącą na posłaniu ze słomy. Bliźniaczki, jak zwykle, przytulone do siebie, dosłownie splątane rudymi czuprynami. Jeremi u ich stóp, wyprostowany, błady. Chłopiec jakby wyczuł jego obecność, cień uśmiechu pojawił się na szczupłej twarzy. Niech śpią. Nic ważnego ich dzisiaj nie czeka. A gdyby pojawił się karczmarz, służba hrabiny da sobie z nim radę.

Konie parskały przyjaźnie, gdy szedł wzdłuż boksów, pięknie byłoby wziąć któregoś i ruszyć na poranną przejażdżkę. Po wczorajszej przygodzie wolał jednak nie ryzykować. Zwolnił kroku, gdy zobaczył mundury rosyjskich żandarmów przewieszane przez ściankę boksu. Nie wypadało się już wycofać, wystarczyło tylko stąpać ciszej. Zresztą, co mu mogło grozić ze strony tych żołnierzy? Najwyżej chamstwo, a od tego się nie umiera. Podeszedł bliżej. Zwalone bezładnie ciała w brudnej bieliźnie wypełniały całe pomieszczenie. Rozrzucone szeroko nogi, gołe torsy jeden przy drugim, głowy ledwie wystające spod słomy. Straszne podejrzenie sparaliżowało go na moment. Pomordowani? W odwecie za tamtych zabitych Polaków, ktoś ich tu w nocy zarznął jak barany. Zaraz się jednak przekonał, że barany były żywe. Najbliżej leżący wybełkotał coś rozlewnie i tęsknie, może skargę do jakiejś bliskiej mu dziewczuchy, potem wypiął się i wypuścił w stronę Casanovy gejzer głośnego smrodu. Bydlaki! Pijane bydlaki! Jak mógł nie poznać tego od razu. Pijane śmierdziele. I takich boi się cała Europa. Niepotrzebnie. Wystarczy ich dobrze poić i będzie po kłopotcie.

Rozejrzał się za oficerem, ale tego tu nie było. Pewnie chrapie gdzieś w pałacu. Gorsze jeszcze bydlę niż ci tutaj.

Wyszedł tylnymi drzwiami nie niepokojony przez nikogo. W cieniu stajni stały wozy kupców z Hannoveru. Sześć, dziewięć, dwanaście. Nie przy- puszczał, że mogło być ich aż tyle. Część skrzyń już wyładowano, sporo jednak leżało nadal na wozach. Ktoś tu chyba zwariował. Po co komu takie ilości sztucznych trupów. Ile świątyń Diany może być w tym biednym kraju?

Podszedł bliżej. Czyżby i tu nie było nikogo przytomnego. Wyglądało na to, że nie było nikogo w ogóle. Może i racja, pomyślał, szaleńca by trzeba, żeby kraść takie rzeczy. A jednak wśród chaotycznie wyładowanych skrzyń coś przykuło jego uwagę. Delikatnej roboty, mediolańskiej może, a może drezdeńskiej, lektyka. Prawdziwe чудо. Szybki z kryształowego szkła, delikatne drzewiczki pokryte srebrną inkrustacją, drążki do niesienia z czarnego mahoni wybijanego również srebrem. Cacko w sam raz dla niego.

Rozejrzawszy się chyłkiem, wsunął się do wnętrza lektyki. Tu też wszystko było wspaniałe, miękkie, jedwabiste i przytulne. Namówi hrabinę, żeby ją kupiła dla niego. Ostatecznie wart jest chyba takiej drobnostki.

Ułożył się wygodnie, wyciągnął nawet nogi i nie wiedząc kiedy - usnął. Daleko nie uciekł - sen, w którym się wkrótce znalazł, nie był wcale przyjemniejszy od jego prawdziwych przeżyć.

Kręci się po wielkiej sali balowej, omijany przez strojne pary o obcych, nieruchomych twarzach. Im bardziej chce być z nimi, tym bardziej oddalają się od niego. I w końcu zostaje na środku pustego kręgu - sam. Dobrze więc - skoro jest sam to i sam zatańczy. Pokaże im, co to znaczy prawdziwy taniec. W ciszy, bo żadnej muzyki tu nie ma, tylko szelest szepców i pokasływań - robi zamach nogą do pierwszego piruetu, lekko, w tempie, nieruchomieje, by efekt był mocniejszy i w tym momencie widzi, jak przez salę pędzi w jego stronę łaciaty pies, z pyskiem wykrzywionym wściekłością. On wyrzuca przed siebie nogę i wtedy warczący

44 ciężar wpija mu się w łydkę. Nie może przerwać tańca, musi przecież wyrzucić dobre wraże-

nie - skąd pies w sali balowej, bydlę nie da się strącić, zeżre mu nogę, nie mówiąc o najlepszych spodniach - wiruje więc, podskakuje, składa ukłony z uczezionym łydką, warczącym jak jakaś szatańska orkiestra, kundlem.

Ocknął się z niemiłym uczuciem, że śni dalej. Warczenie nie zniknęło wcale. Wyrzął przez okienko lektyki. Łaciaty kundel z jego snu tarosił coś, co w pierwszej chwili Giacomo uznał za szczura. Ale tak wielki i do tego biały szczur? Boże, to przecież borsucza kita, magiczny talizman, który dostał od markizy d'Urfe! Skąd się wziął w pysku tego bydlaka?

Podniósł się gwałtownie, ale nie utrzymał równowagi. Zanim jednak opadł znowu na miękkie poduszki, zobaczył coś, co wzburzyło go do reszty.

Kufer, jego kufer, stał otwarty na skrzyni i niższy z hannowerskich kupców, z podchodzącym aż pod oczy zarostem, obmacywał paluchami rękawy podróżnego kaftana. Co ten dzikus sobie wyobraża. Że trafił mu się zapomniany skarb? Da mu zaraz po gębie aż polecą zęby. Szkoda, że nie ma szpady. . .

Wyskoczył z lektyki wściekły, gotów prać po pyskach, wrzeszczeć i batożyć. Głos uwiązał mu jednak w gardle, a nogi wparły się na moment w piasek podwórza - za plecami tej podłej, zarośniętej kreatury jacyś młodzi ludzie na wpół wojskowo ubrani rozbijali skrzynie z fałszywymi kościotrupami i wyciągali z nich poowijane w szmaty karabiny.

Brodaty kupiec nie spieszył się wcale widokiem Casanovy, spojrzął krótko i z powrotem zanurzył ręce w kufrze. Tego było już za wiele. Banda złodziei i przemytników! Zamierzył się nogą na psa, ale kundel umknął pod skrzynie razem z borsuczą kitą markizy d'Urfe.

- Stać! - wrzasnął kogucim głosem, wydobytym nieoczekiwanie gdzieś z głębi krtani. - Na co sobie pozwalacie!

Młodzi mężczyźni o prostackich twarzach, schyleni nad kolejną skrzynią, spojrzeli z ciekawości, bez cienia strachu. Co tu się dzieje? Taki spokój pod nosem rosyjskiego oddziału. Kto tu zwariował, oni czy on? Śni mu się to dalej czy co? Wolno ruszył przed siebie. Zaraz to sprawdzi. Ale uszczypnie nie siebie, ale tego brodatego typa i to tak, że mu się odechce grzebać w cudzych rzeczach.

- Gdzie to masz? - lufa pistoletu wyrzała nagle spod rękawa obmacywanego ciągle kaftana - gdzie masz dokumenty?

? Casanova poczuł się tak jakby to jego obmacywały owłosione łapska. - W dupie - mruknął i spokojnie podszedł bliżej. To był jego własny pistolet, a nie miał zwyczaju wozić nabitej broni. - Razem z tobą.

. - Ani kroku więcej - brodacz rzucił kaftan pod nogi Casanovie - ani kroku. Jak najbliżej podsunąć nogi, tę zasadę, wpajaną mu przez skośnookiego trenera, miał już we krwi, jak najbliżej, choćby nawet depcząc po własnym kaftanie. Reszta była prawie formidabłą - dwa szybkie ciosy - w przegub, w kark i kupiec wypuszczając pistolet osunął się na kolana.

- Widzisz - Casanova ze spokojem, nie zwracając już uwagi na tamtego, otrzepał zakurzony kaftan - nie podnoś ręki na bliźniego skoro masz słabe zdrowie. - Kątem oka jednak zauważył co zamierza brodacz, odkopnął więc broń dalej. - Słabe zdrowie i nienabyty pistolet.

. Nie był pewien czy tamten rozumie, co do niego mówi. Dodał więc po niemiecku: - A grzebać to sobie możesz we własnym tyłku.

. Ciekawych gości miewa u siebie hrabina, pomyślał, schylając się po pistolet i łypiąc czujnie na dziwnie nie zainteresowanych tym, co się przed chwilą działo, parobków przy skrzyżowaniach. Nie skoczyli wcale na pomoc kupcowi, widział nawet chyba jakieś uśmiešky na ich gębach, nie byli to więc ludzie tamtych. Więc kto? Służba hrabiny. Po co jej tyle broni? Kto

45 wie. Kto tu teraz cokolwiek wie. Cholera, czy mu nie zniszczyli kartofli? Nie, woreczek był

na szczęście na swoim miejscu. Czego tamten szukał. Jakich dokumentów? - Pozbierasz to wszystko i przyniesiesz do pałacu, rozumiesz? - machnął, podnoszącemu się z ziemi brodaczowi, pistoletem przed nosem. - Bo inaczej mogę ci zrobić pif, , paf.

Nacisnął spust dla zabawy, mierząc w lektykę. Huknął strzał, prawdziwy strzał, kryształowa szybka rozleciała się na drobiny. Casanovą zamarł na chwilę, ktoś nabił pistolet, więc ten bęczał mierzył do niego naprawdę, mógł go zabić, rozwalić mu głowę, zrobić dziurę w brzuchu. Boże, czy wiele brakowało? Gdyby atakując, popełnił choć mały błąd, albo postraszył tamtego nie dość skutecznie. . .

Kupiec nie czekał aż umilknie huk wystrzału, a Giacomo zrozumie, co się stało - poderwał się i ciężko, niezgrabnie rzucił do ucieczki. Kundel wypuścił z pyska resztki borsuczej kity i popędził za nim.

Santa Madonna, mógł zginąć zupełnie przypadkowo, jak pierwszy lepszy dureń, z ręki jeszcze większego dumia, który nie pojmuje nawet, co trzyma w dłoni. I to po takiej nocy, kiedy chciał zacząć nowe, wspaniałe życie.

Wściekłość dodała mu sił, dopędził brodacza po kilkunastu krokach, wymierzył mu tęgiego kopniaka, jednego, drugiego i tak, zbliżając się - trzeciego - i oddalając, zginając - czwartego - i prostując, sapiąc ze strachu - piątego - i wściekłości, wytoczyli się z za rogu stajni na dziedziniec.

Wartownik przy drzwiach wystawił przed siebie groźnie karabin na widok pistoletu Casanovy, chciał coś krzyknąć, ale nagle zwiotczał cały i z jękiem wypuścił broń. Dopiero wtedy trzasnął wystrzał i gromada jeźdźców wypadła z za pałacu, strzelając w biegu i wymachując szablami. Brodacz rzucił się na ziemię, zakrywając rękami głowę. To już nie były wczorajsze fajerwerki, kule odłupywały z drzwi pacyny drewna, atakujący byli coraz bliżej, niektórzy w niebiesko-białych mundurach, inni w zwykłych ubraniach. Polacy, pomyślał Casanova, waleczni Polacy! Nareszcie. Skończy się jego udręka, powie kim jest, wyjaśni wszystko. Ale jeszcze nie teraz, bo teraz, z wyciągniętym przed siebie pistoletem, mógł być dla nich co najwyżej łatwym celem.

Nie miał innego wyjścia - przeskoczył leżącego wartownika i wpadł do środka stajni. Pamiętał jeszcze tyle, żeby rzucić pistolet i schylić się - mogli go i Rosjanie w tym rozgardiaszu wziąć za napastnika. Zaskoczenie żandarmów było jednak całkowite. Kłęb półnagich, ciągle pijanych i rozespanych ludzi, zaczął się dopiero wytaczać z boksów, szarpiąc się, przewracając jeden drugiego, klnąc soczyście i wrzeszcząc. Wpadł z deszczu pod rynnę. Nie zwracali na razie na niego uwagi, ale już pierwsi z nich, krzykiem dodając sobie animuszu, łapali karabiny i w każdej chwili mogli je wypróbować na nim.

Wycofał się kilka kroków dalej i zamknął chyłkiem w jednym z końskich boksów. Widział stąd jak dwóch najtrzeźwiejszych żołnierzy zabrało się do barykadowania drzwi. Jakiś przerażony gniadosz zerwał się z uwięzi i szalonym galopem pędził to w tę, to w tamtą stronę stajni, rżąc przeraźliwie i wywołując szaleństwo pozostałych zwierząt. Klacz, z którą dzielił teraz kryjówkę, była na szczęście lepiej przywiązana i nie zdołała go dosięgnąć kopytami. Ale za chwilę, kto wie, czy go nie startuje w odwecie za wszystkie klacze, które dosiadał w życiu. Głupio byłoby skończyć jako dodatek do końskiego gnoju.

Trzasnęły pierwsze strzały, przez okna chyba, bo pył poleciał z sufitu. Nieoczekiwanie poczuł przy nodze coś ciepłego i drżącego. Spojrzał, hamując odrąę - pies, biało- czarna zjawa z jego snu. Odrzucił go nogą, jeszcze tylko tego bydlaka mu brakowało, pies jednak podczołgał się znowu. Reszty świata bał się znacznie bardziej niż Casanovy. Święty Marku! Co za sytuacja! Prosto ze snu wpadł w jakąś sakramencką pułapkę. Trzeba było zostać przy hrabini, a nie zgrywać subtelnego amanta. Hrabina, ona wyciągnie go z tego. Nie należy się tylko dać wcześniej zakatrupić.

46 - Nie dać się zakatrupić - rozumiesz - odezwał się do psa i w nagłym przyptywie energii,

pomysłowości i woli życia, wyskoczył z chwilowego schronienia. Tylne drzwi. Tam był ratunek. Pędził co sił, trzymając się lewej strony, pies za nim z podkulonym ogonem. Gdzieś tam, przed nimi powinien być Jeremi z dziewczynkami, chyba mają tyle oleju w głowie, żeby nie ruszać się z miejsca. Niechby dopaść choćby do nich. Wyprzedził ich szarżujący wściekle gniadosz, z tyłu dochodził łomot kroków i chrapliwe krzyki, tamci też dostrzegli drogę ucieczki i ponagleni strzelaniną i łomotaniem w drzwi, rzucili się do chaotycznego biegu. Miał teraz za sobą wyjąca ze strachu gromadę na wpół przytomnych i na wpół ubranych mężczyzn, a przed sobą tę szalejącą końską bestię, diabła wcielonego, toczącego pianę z pyska i wierzgającego groźnie wokół.

Wszystko trwało kilka sekund - koń przysiadł na zadzie, przerażony pędzącą na niego hurmą, okręcił się i skoczył w stronę wrót, które nagle zaczęły się szybko otwierać, odsłaniając kłęczący szereg żołnierzy z karabinami wycelowanymi do wnętrza stajni. Huknęła salwa, ale zanim kule zwały bliskie już wolności zwierzę, zanim rozległy się jęki trafionych ludzi, wołania o litość, rżenie ranionych śmiertelnie i głuche uderzenia martwych głów o ziemię, zanim rozległ się krzyk zwycięzców: Wiwat Zareba! , zanim to wszystko - straszne i niezapomniane - stało się, , łaciaty pies, sparaliżowany strachem, zaplątał się między nogi Casanovy i wywrócił go na moment przed tym, nim miała go dosięgnąć spokojnie wymierzona kula.

Prowadzili go oddzielnie, doceniał to wyróżnienie, zżymał się jednak trochę na asystę. Jest przecież przyjacielem, nie wrogiem. Nawet ci prości żołnierze, trochę dziwacznie ubrani i nazbyt niechlujni jak na jego wyobrażenia o wojsku, powinni to pojąć. Prawda, nie rozumieją po francusku, a jakichś nieskładnych tłumaczeń Jeremiego, dzieciaka przecież, nie mogli traktować poważnie. Nieważne zresztą, grunt, że żyje i nie jest nawet draśnięty. A wszystko inne zaraz się powinno wyjaśnić. Ten jeden, jedyny raz, może przejść się po dziedzińcu pod eskortą, jak więzień.

Niełatwo się było rozeznąć w chaosie, który tu nagle zapanował. Setki ludzi kręciły się po placu, konni, piesi, tabory zajeżdżały na rozległe łąki za stajnię. Zdumiała go potęga przybyłego oddziału, nawet dwie armatki zatoczono przed front pałacu. Tamci pokrwawieni, półnagzi i wytrzeźwiali już na pewno nieszczęśnicy, ustawieni teraz pod stajnią w kulawym szeregu, nie mieli żadnych szans. Tak jak ci Polacy wczoraj, pomyślał, jak my wczoraj.

Zobaczył hrabinę na tarasie, w otoczeniu kilku umundurowanych mężczyzn. Nareszcie. Gdyby nie jego własna głupota, stałby teraz przy niej, spokojny, uśmiechnięty, czarujący tych prowincjonalnych rębajłów swą światową ogładą, a nie laźł, jak lezie, pod strażą, obolały od upadku, utyłany cały w końskim gównie. Ale to się zaraz skończy.

Pomachał gwałtownie ręką - cóż to - nie zareagowała, a zanim zdążył spróbować ponownie, odwróciła się plecami i znikła w pałacu. Jezu, chyba go nie dostrzegła w tym tłumie, albo nawet nie poznała. Spokojnie, nic się nie stało. Jasne. Musi się najpierw doprowadzić do porządku, a dopiero potem pokazać hrabinie i temu, którego imię wykrzykiwali obszarpani żołnierze - Zarebie, , jakiemuś panującemu teraz nad okolicą Zarebie.

Ale rzeczy . . . kufer został przecież tam, przy lektyce, przy tych stertach broni, obejrzał się, ładowanych teraz na taborowe wozy. Musi posłać po niego kogoś, jakiegoś silnego żołnierza, z Jeremim, albo nie - niech się pofatyguje po to ten brodaty głupek, który chciał go okraść, a nawet zastrzelić, niech chociaż paroma kroplami potu zapłaci za to świństwo. A on, w zamian, może nie powie o niczym jego szefowi.

W chwilę później, gdy zobaczył obu kupców, poklepujących się jowialnie z oficerami Zareby, a na jego widok, skrzywionych ironicznie i wrogo, nie był już pewien czy potoczy się wszystko tak, jak myślał czy też zupełnie inaczej.

47 - Niech się pan nie poniża - oficer skrzywił się z niesmakiem, gdy Casanova po raz kolej-

ny rzucił się do drzwi - przyjdzie pora, , to nas wypuszczą. - Nie mam zamiaru czekać - kopnął tak silnie, że aż poczuł ból w stopie. Mocniej bolało go co innego, nikt nie słuchał jego protestów, wepchnięto go bez słowa do piwnicy wypełnionej beczkami z kapustą, śmierdzącej ostro kwaszeniną, zbutwiałym drewnem i potem tego rosyjskiego oficera, od którego nie może się uwolnić od kilku dni. Gdzie hrabina, zapomniała o nim, zapomniała jaką noc ze sobą przeżyli, pieprzy się może teraz z kimś innym. Kopnął jeszcze raz. Drzwi były jednak nieustępliwe, a ten, kto ich pilnował głuchy i niemy.



- Żądam widzenia z pułkownikiem Zarębą! ! Ile godzin tu siedzi? Trzy, pięć, ile jeszcze mają zamiar go trzymać? To na pewno sprawka tych gnid z Hannoveru, odpłaci im za to, niech no tylko się stąd wydostanie.

- Taki z niego pułkownik, jak ze mnie generał. Banda, nie wojsko. Pewnie nawet nie wystawili wartownika.

- I kto to mówi - prychnął Casanova - też chyba nie generał. Najwyżej porucznik, poruczniczyna, wódz pijanego stada, które daje się wybić bez walki, a przedtem pozwala sobie przesznuć przed nosem setki karabinów. Co innego zabijać bezbronnych ludzi. . .

Było mu wszystko jedno, jeśli tamten rzuci się na niego - zabije! Nie mógł już wytrzymać tego zamknięcia, niepewności, złych przeczuć. A pogardliwy spokój Rosjanina, jego nie wiedzieć czym podparte przekonanie, że nic złego stać mu się nie może, doprowadzał go do szału. Tamten jednak jakby wyczuł zamiary Casanovy, nie ruszył się ze swego miejsca na stercie sparciałych powrozów. Te straszne, bo prawdziwe, słowa tkwiły jednak między nimi, nie mogli ich tak po prostu zamilczeć.

- Nie dam panu w twarz, bo mi się nie chce wstawać - powiedział porucznik nagle uci- chłym, zmatowiałym głosem - a poza tym, to sprzeczne z moimi zasadami. Zdaje sobie jednak pan sprawę z tego, że w mojej służbie trzeba przede wszystkim słuchać rozkazów. W pańskiej, zdaje się, także.

Giacomo puścił tę zaczepkę mimo uszu, roześmiał się nawet. - Dajmy na to. Dajmy na to, że ktoś kazał panu nie zauważyć transportu broni, pod samym pana nosem przewiezonego dla Zaręby. I poświęcić swoich żołnierzy. Wolne żarty. Nikt w to nie uwierzy.

- A panu uwierzy, że jest pan zwykłym podróżnym? Cios był celny, ale chyba przypadkowo. Coś tam bąknął przedwczoraj o Astafowie, ale przecież mógł to być bluff, mało to osób znało pułkownika.

- Co pan chce przez to powiedzieć? ? - Właściwie tylko tyle, że to dziwny kraj, dziwni ludzie, a więc i rozkazy mogą być dziw- ne.

Nie widział go dobrze w półmroku jaki tu panował, ale był pewien, że na twarzy tamtego nie było uśmiechu. Albo miał przed sobą łagodnego wariata, oszalałego pod wpływem ostatnich przeżyć, albo działo się tu coś tak niezwykłego, że nie miał miary, żeby to ocenić. Wolał się więc wycofać, nie drażnić tamtego złościwością.

- Kiedy nas wypuszczą? ? - Jak tylko się ściemni.

. Skąd znowu ta kurewska pewność w jego głosie, chyba jednak wariat. - Nie kropną nas?

? - Nie.

. - Skąd to wiadomo?

? - Wiadomo. . Nigdy dotąd tego nie robili. Jeśli nie wariat, to co najmniej głupiec, dostanie po swojej oficerskiej gębie za te kpinki. Odwrócił się plecami do porucznika, podszedł z powrotem do drzwi. Wystarczyłoby pewnie

48 dobrze kopnąć, albo natrzeć barkiem, żeby wyleciały z zawiasów, ale co z tego - dalej była

żelazna krata, skutecznie likwidująca myśl o ucieczce. - Ja wcale nie żartuję - porucznik jakby wyczuł nieprzychylnie sobie rozterki Casanovy - choćby to nawet wyglądało na żart. Widzi pan, my tu co prawda, nosimy różne mundury, walczymy ze sobą, tropimy się wzajemnie, ale w gruncie rzeczy tworzymy wielką wspólną rodzinę. Niech się pan tak nie dziwi.

- Nie dziwię się - słucham - spojrzał znowu na porucznika, skąd u diabła, wzięło się nagle u tamtego cygaro. Szatańska sztuczka?

- W każdej rodzinie przecież zdarzają się nieporozumienia, niesnaski, nawet nienawiść. Ale to nie zmienia faktu, że jest się rodziną, a taka więź znaczy, że pewnych rzeczy robić nie wolno.

- Zabijacie się, , co można zrobić więcej? Porucznik zachnął się lekko, spodziewał się tego zarzutu. - Na małą skalę. Nie wiem, czy potrafi pan to docenić. Wielkiej krzywdy nie robimy, ani my im, ani oni nam.

Nie ma czym zapalić, miętosi cygaro w dłoni. Więc jednak tylko wariat. Niech sobie mówi, co chce. On powinien się raczej zająć piwnicznym okienkiem, spróbować, czy nie da się wyrwać kraty.

- Nie wierzy pan w to, co mówię. Ale to prawda, najprawdziwsza prawda. Istnieje między nami pewien stan równowagi. Jesteśmy wręcz potrzebni sobie nawzajem.

- Widzę to właśnie. - Giacomo skoczył i zawisł na moment na prętach kraty, niedaleko pod kępą zarośli, zobaczył fontanny piasku wylatującego jakby spod ziemi i bezładnie rzucone nagie ciało. - Chowają pańskich ludzi.

. - Niestety, takich wypadków nie da się wykluczyć. Ubolewam nad tym. Oni pewnie też ubolewają. Prości żołnierze, rozumie pan, nie zawsze potrafią opanować okrucieństwo. To zresztą szczegóły, nie należy ich wyolbrzymiać, bo straci się z oczu istotę rzeczy. Boi się, zauważył dopiero teraz Casanova mgiełkę potu na czole tamtego, on się po prostu

boi. - Żaden drapieжник, słyszał pan pewnie o tym, nie trzebi bezmyślnie zwierzyny, którą się żywi. Tak i my. Naprawdę. Gdyby Zaręba nas pokonał, zwali się tu tyle wojska, że zmiecie z powierzchni ziemi jego zbieraninę. On to dobrze wie. Dlatego kasa jak wytrawny wilk, celnie, ale rzadko.

- Czego on w takim razie chce - ten pański wilk? ? - Sławy. I ma ją. My ją mu zapewniamy. W zamian utrzymujemy względny spokój na granicy.

- Trzeba dużej wyobraźni, , żeby nazwać to spokojem. - Zgoda. Nazwijmy to raczej kontrolowanym niepokojem. Widzi pan, nam też nie bardzo jest na rękę pokonanie tego Zaręby, czy jak on tam się nazywa naprawdę. Zaszкодilibyśmy reputacji polskiego króla, któremu wcale nie zależy, żeby uchodzić za tyrana. A sami dostalibyśmy stokroć większe ciągi. Bo w nagrodę za waleczność, zesłano by nas na Kaukaz, wal- czyć z góralami, a tu wystarczyłby jakiś marny garnizon.

Wcale go nie uspokajały słowa porucznika, jego samego chyba także nie, skoro mówił co-raz głośniejsze i bardziej nerwowo.

- Nie rozumiem, , po co mi pan to wszystko mówi. Porucznik rozpałał się coraz bardziej, już prawie krzyczał. - Wy, , cudzoziemcy nie chcecie nas nigdy zrozumieć, głupstwa wygadujecie o Polsce i Rosji. - Co tu rozumieć - Polacy was nienawidzą i mają za co.

. Tamten poderwał się, chciał wstać, może nawet rzucić się na Casanovę, ale zakrztusił się kaszlem, zwiotczał i ucichł. Kiedy odezwał się znowu, nie było w jego głosie śladu poprzedniej agresji.

49 - Mówi pan, że nienawidzą. Może. Ale może nie więcej niż siebie samych. Pan myśli, że

ten Zaręba walczy z nami, z Rosją? Nie, on walczy z polskim królem, któremu pomagamy, tak jak pomagają mu tysiące polskich stronników i wojsko korony. A zatem on walczy z nami, jako z Polakami, to jest wojna bratobójcza, Polak walczy z Polakiem, dokładnie tak.

- Pańska dokładność budzi szacunek. . Jest pan zatem Polakiem? - Tak. . Z mojego punktu widzenia tak. Przypomniał mu teraz Kuca, zawsze nieobliczalnego w swoich reakcjach i przemyśleniach. Jakby na potwierdzenie tego podobieństwa porucznik zgryzł nagle koniec cygara i zaczął je gwałtownie żuć. Pora była go oprzytomnieć.

- To czego się pan tak boi, , panie poruczniku. Swój między swymi? Oficer nie odpowiedział od razu - Giacomo chciał go już spytać o hrabinę, kim ona tu jest, ale zanim ułożył pytanie, tamten wpał do ust kolejny kęs cygara - skrzywił się, ale nie wypluł zawartości.

- Boję się, że moje rachuby mogą być niedokładne. Wystarczy mały przechył i po równowadze. Jeśli Zaręba uwierzy w swoją wodzowską gwiazdę. . . Zawsze , był durniem. Ci Niemcy. . . Ta dostawa broni nie była uzgodniona. Słowem, jeśli się mylę, to po nas.

- Mnie proszę do tego nie mieszać - co on sobie wyobraża, że pozwoli sobie traktować jak byle oficera, jest obywatelem obcego państwa, które nie nastaje na niczyje granice i nie prowadzi z nikim wojny, poza tym jest tu gościem, a gościa nawet najdziksze obyczaje nakazują szanować, czy ten chudy przemądrzałek z gębą wypchaną papką z cygara nie wie o tym, czy tylko udaje - i niech pan wypluje zaraz to świństwo.

. Porucznik skrzywił się w groteskowym uśmiechu. - To na wszelki wypadek. Dostanę gorączki, a pan zacznie krzyczeć, że umieram. Może to ich oprzytomni. Nie wierzy pan w paradoksy - ja stracę przytomność, , a oni ją odzyskają.

Nie wierzył w paradoksy, nie wierzył w ogóle w to, co tamten mówił, tak było wszystko podszyte kpina i szaleństwem, ale wyłowił z tych słów najważniejsze - prawdziwą groźbę. Tu działa się coś więcej niż mógł się spodziewać, ważą się jakieś potworne czyny, świat może za chwilę stanie dęba, nikt nie będzie się zajmował jego losem, nawet hrabina, uwięziona pewnie w którymś z pokojów na górze, bezsilna bardziej niż on. Ale on nie musi, nie powinien być bezwolny i biernie czekać na cud.

Rozejrzał się uważnie dookoła. Musi być stąd jakieś wyjście. Pi wnica nie jest przecież przygotowana do przechowywania więźniów, a kapusty. I znalazł - wysoko nad głową ciemny kwadrat odcinał się od szarości sufitu, oczywiście - otwór zamknięty klapą. Tędy pewno wrzucają do piwnicy kapustę w porze zbiorów, zanim ją poszatkują i zakiszą w beczkach. Powinna gdzieś tu jeszcze leżeć drewniana pochylnia, po której zlatują kapuściane głowy, widział takie urządzenie w Niemczech, u bogatych chłopów, którym oferował i to z dużym powodzeniem, kartoflane rozsady. Ten cud się nie zdarzył - pochylni nie było. . Beczki. Gdyby ustawić jedną na drugiej, a na drugiej trzecią, miałby jakąś szansę. Natężył się, ale beczka ani drgnęła. Nie da rady.

- Niech pan pomoże - sapnął machinalnie, nie mając i tak nadziei, że podźwigną cokolwiek, drażniła go jednak obojętność, z jaką porucznik obserwował jego wysiłki - zobaczymy czy nie da się uciec tamtędy.

Oficer nie ruszył się z miejsca. - Niestety, nie mogę panu pomóc. To byłoby sprzeczne z zasadami, o których panu mówiłem. Ja ich pierwszy łamać nie będę. Jako jeniec nie mogę uciekać sam, nie powinienem też pomagać w tym panu. Chce pan wiedzieć dlaczego?

- Nie - warknął, , gotując się z wysiłku i wściekłości - toś ty taki? ? Podszedł, a właściwie zatoczył się pod jeszcze odczuwalnym ciężarem beczki, bliżej. - Wstawaj!

! - Ostrzegam, że będę zmuszony krzyczeć.

50 - Spróbuj, a ja nie ręczę za swoje zasady. Wstać!

Komenda poderwała porucznika, nafaszerowany cygarem i swym poczuciem misji gotów był znieść nawet mordobicie, ale Casanova odsunął go na bok i wziął do ręki zwój sznura, na którym tamten siedział.

Powróż był miejscami wyraźnie zbutwiały, miejscami tylko niepewny, ale rozsupłany i związany ponownie dawał pewną nadzieję. Obciążył podwójnym węzłem jeden z końców, wszedł na beczkę z kapustą, zamachnął się - i zaczęło się szaleństwo. Nie mógł trafić w hak wystający ze ściany tuż pod klapą. Lina zwijała się, miotła po całej piwnicy, waliła wściekle w sufit, świstała im nad głowami, a kiedy osiadła pierwszy raz na haku, zrzucił ją sam nieostrożnym ruchem. Wreszcie udało się, trzymał w ręku oba końce sznura liny. Był jednak tak wyczerpany, że musiał odczekać dłuższą chwilę zanim powrócą siły i będzie w stanie wspiąć się w górę. Oficer nie odzywał się, odwrócony tyłem kontemplował desenie wilgoci na ścianie.

Gdy jednak Casanova gotował się już do decydującego skoku, porucznik wyciągnął do niego skrzyżowane ręce.

- Proszę mnie skrepować. . Inaczej będę musiał panu przeszkodzić. Giacomo zaklął soczyście, a zaraz potem wiązaną przekleństw, jakich nie powstydzilyby się najdziksze weneckie męty wzmocniał powróż, którym musiał unieruchomić tamtego, a w końcu, najpotworniejsze z nich - wpakował mu szeptem w usta wraz z kneblem z kawałkiem koszuli. Traci tylko przez tego idiotę czas.

Wreszcie był u góry, jeszcze chwila niepewności, a nawet strachu, gdy klapa nie ustąpiła od pierwszego pchnięcia, ale kiedy ze wszystkich sił ponowił atak, drgnęła i dała się odsunąć na szerokość dłoni. Chwilę wcześniej widział siebie jak spada na beczki i kaleczy się boleśnie, teraz był już jednak pewien swego. Znalazł się w ciemnym pomieszczeniu, zbyt ciemnym, by mogło służyć do czegoś sensownego. Drzwiczki w ścianie zaparte były żelazną sztabą, ale wymacał drugie, zwyczajne, wystarczyło tylko nacisnąć klamkę. Znieruchomiał z ręką wyciągniętą przed siebie - tam w środku ktoś był, usłyszał kroki, przesuwanie sprzętów, wreszcie całkiem wyraźne głosy. Rozmawiało dwóch mężczyzn, po niemiecku. Nie miał wątpliwości, kto mu znowu wszedł w drogę. Osunął się na podłogę zniechęcony. Póki ci dwaj się

stąd nie wyniosą, nie ma żadnej szansy. Narobią takiego wrzasku, że cały pułk Zareby będzie na niego polował. Do piwnicy nie wróci, choć byle strażnik może w każdej chwili odkryć jego ucieczkę, nie wróci, kiszonej kapusty i rosyjskich poruczników ma dość na całe życie.

Posłyszał nagle swoje imię. Rozmawiają o nim. Niemożliwe. Przysunął się bliżej do drzwi. A jednak. Po chwili zamienił się cały w słuch, nie od razu jednak zrozumiał, co tam się naprawdę dzieje.

Najpierw śmiech, krótki, złośliwy. I głos chudego kupca, nabrzmiały jeszcze tym śmiechem.

- Cholera, , podobny to ty jesteś, ale do ogolonej małpy, do nikogo więcej. Drugi głos pełen był urazy, ale i podległości. - Nikt go tam przecież nie zna. . Ale mogę się w to nie pakować, skoro ci się nie podoba. Coś brzękło, jakiś przedmiot spadł na podłogę. - Dobra, dobra. Perukę będziemy musieli kupić nową, bo taki elegant nie chodziłby przecież w za dużej. No, a teraz pokaż się, przejdź się trochę, swobodniej, luźniej, pierś do przodu, głowa wyżej.

- Buty mnie piją. . - To i dobrze, , nie będziesz stawiał takich wielkich kroków. Drugi głos należący zapewne do tego złodziejaska, którego przyłapał niedawno na gmeraniu w jego kufrze, wystrzelił nagle głośną skargą.

- Nie, , to wszystko nie ma sensu. Nie potrafię. Pierwszy odpowiedział stanowczością.

51 - Musisz. . To rozkaz.

Rozkaz. To nie było słowo ze słownika kupieckiego. Ani ton. Ani niegłośne: - Tak jest - w odpowiedzi, ani stuknięcie obcasami tych za ciasnych butów. Pierwszy przyjął uległość drugiego, odezwał się teraz łagodniej:

- Teraz coś powiedz. . - Co?

? - Cokolwiek. . Spróbuj zapaplać jak te półgłówki. . . - Coś o kobietach?

? Pierwszy nie odezwał się od razu, jakby rozważał pytanie tamtego. Stęknął wreszcie bez zachwyty.

- Pewnie, , koniecznie o kobietach. A jeszcze lepiej - do kobiety. . Drugi chrząknął, szurnął nogą. - O, , pani, kocham cię. Pozwól, że złożę pocałunek na twoich różowych usteczkach. - Dobrze, , całkiem dobrze, szybko się uczysz. Jeszcze tylko więcej uczucia. Głos pierwszego był teraz napięty, pełen jakiejś niezwyklej wibracji. Półgłówki, tak ich zdaniem uwodzi się kobiety. Giacomo przytknął oko do dziurki od klucza, zobaczył kawałek ściany, ale zaraz czyjeś plecy zasłoniły wszystko. Cofnęli się, a wtedy dojrzał ich obu. Chu- dzielec, objąwszy wpół brodacza - ale już nie brodacza, a gładko wygolonego typka w prze- krzywionej peruce - całował go mocno w usta. Rozbawiłoby go może nawet teraz to odkrycie - ostatecznie męskie uczucia niejedno mają imię - gdyby nie zauważył, że to jego własną perukę ma ten małpolud na łbie i, że to jego podróżny kubrak miętoszą łapy namiętnego chu- dziełka.

Nagle starszy szarpnął się do tyłu i złapał swojego amanta brutalnie za włosy. - Nazwisko!

! Tamten zaniemówił, dopiero drugie szarpnięcie ocuciło go. - Casanova. . Giacomo Giovanni Casanova. - Ojciec?

? - Kajetan Józef Jakub Casanova.

. - Matka?

? - Zanetta Farusi.

. Giacomo poderwał się, gotów do jakiejś wścieklej szarży, ale zanim zdążył cokolwiek zrobić, przyszło na niego olśnienie. To wcale nie zabawa. Że też tego nie zrozumiał od razu. Ten wygolony małpolud, ta pokraka, którą gonił dziś rano kopniakami po podwórzu, najwyraźniej sposobi się do odegrania jego roli. Dlatego przebrał się w jego rzeczy, dlatego wygaduje teraz to wszystko. Myślą pewnie, że on tu będzie siedział nie wiadomo dokąd, a oni tymczasem załatwią jakąś swoją świńską intrygę. Nie mają szansy, partacze. Wystawi ich na pośmiewi- sko przy pierwszej lepszej okazji.



- Wystarczy. . Bierz broń i idziemy. Głos chudzielca był znowu spokojny i stanowczy. Szczęknęło żelazo o żelazo, szybkie kroki zadudniły po podłodze. Gdy wszystko ucichło, gdy przez moment ostał sam ze swoimi myślami, zimny pot oblał mu plecy. Dopiero teraz dotarło do niego, co ci dwaj fałszywi kupcy, ci pieprznięci przebierańcy, pruscy, ruscy, czy cholera wie jacy szpiedzy, planują naprawę. Zrozumiał, że chcą go obrabować nie tylko z pieniędzy, kubraka, peruki i nazwiska, ale przede wszystkim z życia. Idą go zabić, to pewne.

Szarpnął za klamkę, zamkniętą. Cofnął się i uderzył całym ciałem. W rumorze padających drzwi zdawało mu się, że jakby słyszy dobiegający z dołu huk wystrzału, ale to już nie było ważne. Całym swoim instynktem i całą inteligencją musiał teraz bronić siebie. Jak wiele razy w życiu. Jak wtedy choćby, gdy wydostał się z Pałacu Dozów. Uwolnił się z więzienia, ale nie był wolnym człowiekiem. Każdy przechodzień mógł go wydać, każdy gondolier wbić nóż w plecy, nie tylko bez obawy kary, ale i z pewnością nagrody. Wtedy musiał uciekać od źródła

52 dła zagrożenia, przekroczyć granicę, opuścić na długo rodzinne strony. Tu mógł również

spróbować ucieczki, porwać jakiegoś konia i pognać na południe, ale szanse miałby niewielkie. Takich lasów nie widział nigdy w życiu, wchłonęłyby go bez śladu. O ile nie roznieśli go wcześniej na szablach ci zabijacy z podgolonymi głowami, wśród których, grających w karty i śpiących na trawie kroczył wkrótce w stronę pałacu. Tam była teraz jego szansa.

Nikt na szczęście, nie zwracał na niego uwagi. Nie wyglądał zbyt okazale, ale nie tacy oberwańcy kręcili się po dziedzińcu. Obejrzał się - nikt go nie ścigał, oficyna, w której był trzymany, stała cicha, na uboczu rejdowca, który tu wszędzie panował. A wystrzał? Złudzenie, nic więcej. Tamci może go tam jeszcze szukają po piwnicach. Niech szukają, durnie. Będzie miał więcej czasu, żeby ich zdemaskować.

Nie musiał forsować żadnych drzwi, zakradać się przez okna albo przez dach - wszystko w pałacu było pootwierane i dostępne. Nie potrzebował szukać pułkownika Zaręby, zobaczył go już w pierwszej sali, ani walczyć o dostęp do niego, bo hrabina, która siedziała obok, skłoniła porozumiewawczo na Casanovę. Była elegancka, uśmiechnięta i wyraźnie nie speszona obecnością pułkownika. Nikt jej na pewno nie więził, czemu więc nie zadbała o jego uwolnienie? Nie było czasu na wątpliwości. Minał wianuszek otaczających Zarębę oficerów, zbliżył się, upokorzony trochę swoim wyglądem i sytuacją, ale zanim otworzył usta, hrabina szepnęła coś tamtemu do ucha.

Pułkownik Zaręba, przysadzisty blondyn o niezbyt inteligentnej twarzy człowieka czynu, ozdobionej imponującymi wąsami i równie imponującym nosem, oderwał zmętniały wzrok od map i spojrzał na Casanovę. Nie było to najpierw spojrzenie życzliwe, ale słowa hrabiny zmitygowały go widocznie, gdyż odezwał się niespodziewanie serdecznie.

- Wybacz pan, to - nie znalazł lepszego słowa - nieporozumienie. Zdarza się, bywa, wzięliśmy pana widocznie za kogoś innego. Słowem - niech pan siada.

. Palec pułkownika nie tylko wskazał fotel, ale i poderwał z niego otyłego oficera, kornie ustępującego miejsca Casanovie.

- Bili? - Zaręba poczekał na zaprzeczenie i chętnie je przyjął - no, niechby spróbowali. My nie jesteśmy dzikusami, za jakich świat chciałby nas uważać. Mam rację?

Hrabina uśmiechnęła się pięknie, oficerowie huknęli gromkie - Tak jest! - a Casanova bez przyjemności stwierdził, że nie wie, co odpowiedzieć. To nie była prosta sprawa, czuł, że byle pochlebstwem nie oszuka tamtego. Miał przed sobą prawdziwego odyńca, starego, mądrego odyńca, przywódcę, umiejącego wymusić posłuch i miłość swojego stada, ale i wojownika rozdartego ciągle między rozsądkiem a porywcznością. Co zwycięży w tej chwili? Zobaczył cień strachu na ustach hrabiny. Dopiero teraz się o niego boi? Perfidne babsko. Jeszcze niedawno te wargi. . .

- Świat przyznaje rację tym, , co o to dbają. Rzadko kiedy może wiedzieć, jaka jest prawda. Zaręba pojął sens słów Casanovy, spojrzał na niego uważniej, zmarszczył brwi, ale w końcu zdecydował się na obronę, nie atak.

- Tyran nami rządzi. . Niełatwo z nim walczyć uczciwie. Ale dla sprawy wolności nie ma za wielkich poświęceń. Jeńców na przykład wypuszczamy. Wiedział pan o tym?

Wiedział i nawet wiedział, dlaczego to robią. Ale dla nich nie wiedział, bo skąd miał wiedzieć. Więc nie wiedział.

- Widzi pan, , to nie pasuje do tego, co o nas wypisują. - Na mnie może pan liczyć, , nie opiszę niczego, czego nie zobaczę na własne oczy. Mała deklaracja nie mogła zaszkodzić, ani

też zobowiązywać do niczego. - To rozumiem, , to jest postawa człowieka honoru. Zaręba był wyraźnie zadowolony, hrabina już spokojna, rozluźniona. Czuł, że i między nimi rozładował jakieś napięcie, że ta prostolinijność, którą zademonstrował w kilku dobrze wymierzonych zdaniach, osłabiła naturalną rezerwę pułkownika. Ale w tym było jeszcze chy- ba coś więcej. Czyżby i tamten miał do hrabiny jakieś prawa?

53 - Pan Casanova pisze traktat polityczny o sposobach rządzenia. . Nie myślę się, prawda?

Jakby wyczuła jego myśli, obu im chciała zrobić przyjemność. Zaręba spoważniał, wyprostował się godnie.

- Niech pan pisze, ale niech pan pisze prawdę. O Ciołku i jego tyrańskich rządach, jak nas chce, panie, ograbić z wolności, nas, z dziada pradziada wolnych ludzi, zamienić w niewolników, w obcych sługusów, w pionki w tych szachach, w które on gra ze swoją moskiewską kochanicą.

Mapa, ta mapa w ręku Zaręby pociągała go teraz bardziej niż rozważania o sposobach rządzenia, bardziej nawet niż znowu już obiecujący uśmiech hrabiny.

- To właściwie dopiero projekt, niejasny zamiar, który muszę podeprzeć faktami. Ale jeśli tylko czas i zdrowie pozwolą. . .

- My jesteśmy do pańskiej dyspozycji. . Zaręba zakreślił dłonią łuk w powietrzu, pół świata było do jego, Casanovy, dyspozycji. Ale wszystko to oddałby za jedno spojrzenie na mapę, miętuszoną bezmyślnie przez pułkownika.

- Potrafię to docenić - starał się utrzymać na powierzchni konwencjonalnej rozmowy, zdawał sobie sprawę, że od niej zależy jego najbliższa przyszłość, ale korciła go głębia prawdziwych myśli, prawdziwych słów i odruchów. Gdyby mógł nie przejmować się teraz niczym, wyrwałby Zarębie tę kuszącą mapę, wiedziałby gdzie jest i którędy jechać na Warszawę, gdyby potrafił nie przejmować się nikim, wsadziłby hrabinie rękę pod suknię i przekonał się czy jej nocna namiętność przeminęła bez śladu. Zaczął od mapy. Zaczerwieniony od biegu oficer podszedł do pułkownika. Wtedy spróbował.

- Piękne liternictwo. . Można zobaczyć? Bez oporu, ale bez zgody Zaręby, wychylonego do tyłu, wsłuchanego uważnie w cichy raport oficera, wziął mapę do ręki, odwrócił ją do siebie.

- Czuje się wpływ gotyku, ale to nic nie szkodzi. Znam się trochę na tym, bo z zawodu jestem, a właściwie byłem, kaligrafem.

Ciemne plamy lasów. Ciemno, ciemno aż do samej Warszawy. W pojedynkę to śmierć. - Doprawdy? ? I zapewne pisze pan traktat o kaligrafii? Kolorowe esy-floresy, naniesione tuszem, wiły się w różnych kierunkach. Pewnie trasy oddziału Zaręby. Zielony celował od wschodu w Warszawę. To już było coś. Wyczuł kpinę i dziwną irytację w głosie hrabiny. Podniósł na nią wzrok. Nie mylił się. Była wyraźnie ze-złoszczona. Na niego czy może na Zarębę, ignorującego teraz wszystko i wszystkich!

- Nie myli się pani, , hrabino. Traktat o kaligrafii jest już nawet gotów. Nie uwierzyła mu. Cóż, prawda nie jest bardziej przekonująca od kłamstwa, coś niecoś już o tym wiedział. A traktat o kaligrafii to była jego najprawdziwsza prawda, o której mało kto chciał słyszeć. Szczególnie kobiety, przekonane jakby, że od brzusków, wypukłości i zawijasów liter do ich własnych brzuchów, pośladków i kędziorów, droga nie tylko daleka, ale w inną wiodąca stronę. Odwróciła głowę od okna. Posądza go o obojętność i odpowiada tym samym. Pewnie, powinienem ich powystrzelać wszystkich - palcem, a jeszcze lepiej kutasem. Albo rzucić się na nią na środku sali i zgwałcić na oczach Zaręby i jego sztabu, a potem opisać w traktacie o zgwałceniach. A czyż to przypadkiem nie ona dała największy do-wód obojętności, pozwalając mu tak długo żreć kapustę w jakimś zagrzybionym lochu. I to po przysięgach, wyznaniach i planach wspólnego wyjazdu. Jeszcze przed kilkoma minutami był więźniem i byłby nim do tej pory, gdyby sam sobie nie poradził. To kto tu jest obojętny - on? On, którego dłoń, spoczywająca na kartonie mapy, pełza równomiernie między udami hrabiny, dociera do miejsc najczulszych i najcieplejszych, tam dopiero pragnie się przekonać czy jej nocna namiętność była jedynie przywidzeniem. Skoro tego nie czuła - cóż więcej mógł jej wyjaśnić?

54 To już zresztą nie była pora na wyjaśnienia. Zaręba, spurpurowiały na twarzy, odesłał ruchem

ręki oficera i zerwał się na nogi. Teraz on był zwiastunem złych wieści i nie zamierzał tego ukrywać. Zaczął coś krzyczeć po polsku, pryskał śliną na prawo i lewo, wydając rozkazy, od których rozgadane oficerskie stadko rozpierzchło się błyskawicznie. Wtedy odwrócił się znowu do nich. Casanova nie mylił się wcześniej - miał przed sobą rozwścieczonego dzika, odyńca z małymi, pełnymi furii oczkami i wąsikami sterczącymi niczym gotowe do zadawania ciosów kły.

- Pan wie, co się stało? Zabito rosyjskiego oficera. Jeńca. Ktoś go zastrzelił. Tu, pod naszym bokiem.

Nie było w tych słowach szczeliny na żadną wątpliwość. A więc zabili tamtego. Huk, który słyszał z dołu. . . Boże, przecież mieli zabić jego!

- Chcą nas skompromitować przed światem, , łotry. My nie mordujemy jeńców, słyszy pan? Usłyszał znacznie więcej - pogardliwą poufałość, z jaką się traktuje rozpoznanego oszusta. Musiał się bronić i to natychmiast, bo wyrok już się gotował w gardle Zaręby. Zerwał się, zmuszając do godności skore do szczękania zębami, rozbiegane oczy i falujący głos.

- Na honor, , nie mam z tym nic wspólnego, panie pułkowniku. Chciał powiedzieć to, co wie, kiedy mapa zsunęła się na podłogę, schylił się po nią błyskawicznie i w tym ułamku sekundy zrozumiał, że musiałyby wyznać wszystko nie tylko o tych pruskich błaznach, ale i o sobie. A tego przecież zrobić nie mógł. Bąknął więc tylko: - Proszę - i oddał mapę Zarębie.

. - A idźże, , do stu katów! Mapa poleciała płaskim łukiem na stół. - Kto panu pozwolił to oglądać!

! Uderzy mnie teraz, był tego prawie pewien, czuł już niemal na języku krew z rozbitej wargi. Wszystko przez tych cholernych przebierańców, odpłaci im jeszcze za wszystko, okradli go i chcieli zabić, a teraz leją po pysku cudzymi rękami za swoje własne winy. Hrabina wsunęła się między nich.

- Ależ panowie. . . . Panie pułkowniku. . . Zaręba opanował się szybko, zelżała w nim wściekłość, w głosie pojawiło się znużenie. - Ktokolwiek to był, pokrzyżował nasze plany. Nie możemy tu zostać. Trzeba uciekać i to jak najszybciej. Pan pojedzie z nami.

- Mój Boże, , jak to? Hrabina popatrywała z przerażeniem to na jednego, to na drugiego. Casanova za to odechnął, było mu w tej chwili wszystko jedno, gdzie i z kim pojedzie. Byle nie do piwnicy. I byle nie chcieli się zaraz z nim policzyć. Przeczekać tę pierwszą furję, kiedy nie szuka się winnych tylko wali na oślep. Potem, o, potem, wyjawi im kto zabił, nie odmówi sobie tej przyjemności, tylko spokojnie, spokojnie.

- Pan tu rozkazuje - powiedział prawie z ulgą, dokonując w myślach błyskawicznego przeglądu swojej sytuacji - hrabina stracona, pieniędzy nie ma, co z Jeremim i dziewczynkami, odnaleźć kufer, opróżnić pęcherz. Nie, najpierw pęcherz.

- Mogłabym i ja pojechać z wami. . To było coś więcej niż prośba, piersi jej omal nie wyskoczyły z gorsetu. Pięć minut. Gdyby miał chociaż tyle. Wzięłyby ją w pełnym galopie, bez żadnych wstępów i przystanków, jak taran, do utraty tchu. Potem można jechać choćby i na kraj świata. Zaręba inaczej ocenił ofertę hrabiny.

- Tu nikomu nic nie grozi. . Trupa też zabierzemy ze sobą. Prostak. Tępy Rębajło. Co taki może wiedzieć o kobiecej duszy? Niechby się już wyniósł, pozwolił mu chociaż pożegnać się czule z hrabiną. Kotłowało się wszystko naokoło, biegali ludzie, rżały konie na dziedzińcu, turkotały wozy. Lada moment i ich zagarnie ten pośpiech i pogna nie wiadomo dokąd.

- Pora się żegnać. .

55 Pora. Czy ten wąsaty bęcwał nie rozumie, że im przeszkadza. Może nie chce go spuścić z

oczu! Trudno. Niech będzie i tak. Wyciągnął rękę do hrabiny, ale Zaręba był szybszy - objął ją zdecydowanym ruchem i nieoczekiwanie zaczął namiętnie całować. Co, u diabła? Hrabina nie broniła się wcale, ani nie wyglądała na zdziwioną. Aż tak dobrze się znali? Czyżby i ten tępy wojak miał do niej jakieś prawo? Że też nie wpadł na to od razu - trykali się, gdy on wąchał kapustę i cudem uszedł śmierci. Na pewno. Teraz dopiero przejrzał. Nie szukała go wcale, nie chciała uwolnić. Gorzej - to może ona trzymała go w tej śmierdzącej piwnicy. Podła suka. Krew napłynęła mu do głowy, czerwona płachta zamigotała przed oczami, bić, siekać, mordować. Nie opanował się jeszcze, gdy oderwawszy się wreszcie od pułkownika, hrabina zwróciła się do niego. Musiała zobaczyć w jego oczach wściekłość, ale nie cofnęła się. Schylił się, niepewny ciągle - odgryźć jej rękę czy pocałować - gdy delikatnym ruchem wsunęła mu palec między wargi.

- To mój mąż, , głuptasie. A kiedy niepewny jeszcze - śmiać się z tej nowej prawdy czy też podbić nią swoją wście- kłość - chciał się cofnąć, , hrabina chwyciła szybko jego dłoń i położyła ją sobie na piersi.

- Może jeszcze kiedyś. . . . Czekający przy drzwiach Zaręba niczego nie widział ani nie słyszał. Do czasu jednak. Do czasu. Bo jeszcze kilka takich chwil i nie będzie mógł ukryć tego, co zacznie dziurawić i tak już dziurawe spodnie. Skrzyżował przed sobą ręce, jak do kajdan albo powrozów.

- Czy jestem aresztowany? ? Zaręba nie mógł już opanować zniecierpliwienia. Odprawił adiutanta z naręczem map i spojrzał niechętnie na Casanovę.

- Niech pan mi teraz głowy nie zawraca. . Idziemy. Nie zobaczył go już więcej. Zaręba ze swoim sztabem i doborowym oddziałem pognał szybko naprzód i tylko na postojach widzieli czasem ślady jego przemarszu - porozbijane nosy żydowskich karczmarzy, ogołocone z żywności wsie, świeże mogiły na miejscach jakichś niewielkich potyczek. Nie wiedział czy jest więźniem, jeńcem czy gościem tej sunącej na zachód, na Warszawę, gromady, ale też taka wiedza nie była mu już do niczego potrzebna. Przemieszało się wszystko w ogólnym bałaganie marszu, kolumny zbrojnych i wozów taborowych wlokły się żmudnie piaszczystymi drogami, to znów gnane pogłoskami o zbliżającej się pogoni, pędziły przed siebie aż pryskała piana z końskich pysków. Pogłoski były na szczęście nieprawdziwe, nikt ich nie ścigał, rosyjski oficer z cygarem w żołądku i kulą w głowie, zabrał zapewne swoją tajemnicę do któregoś ze świeżych grobów, uspokoiło się więc wszystko na pewien czas, tempo marszu zelżało i można było nawet nawiązywać znajomości.

Casanova nie próżnował. Odkąd, przekładając nogę przez wysoką burtę taborowego wozu, zobaczył uradowane jego widokiem twarzyczki dziewczynek, Jeremiego, rozdziawiony przyjaźnie pysk psa i zatrzaśnięte bezpiecznie wieko kufra, poczuł znowu przypływ sił i pewność, że najgorsze ma już za sobą. Był głodny i bez pieniędzy, ale nie przegrany. Zemstę postanowił odłożyć na później, choć na każdym postoju rozglądał się czy wśród koczujących nie ma tych dwóch obrzydliwców godnych jedynie stryczka i najbliższej gałęzi. Nie wszystko zdążyli mu ukraść, znalazł w kufrze zapasową koszulę, perukę i letni, co prawda, ale jednak zupełnie przyzwoity kubrak. Sara i Etel wyłatały mu spodnie, a Jeremi nad ranem przyniósł skądś kawał pieczonego baraniego udźca.

Wkrótce i problem pieniędzy przestał istnieć. Kosztowało go to kilka nieprzespanych nocy i trochę strachu czy nie porąbią go na kawałki ci zawadiaccy oficerowie, którym zaoferował swoje towarzystwo, gdy się zorientują, jak bardzo dopisuje mu szczęście w kartach. Przegrywali z hukiem, ale i z honorem, niektórzy odszukiwali go na wieczornych postojach, by grać i przegrywać dalej. Wkrótce miał już więcej pieniędzy niż mu zagrabiono. Toteż, gdy pewnego

56 mglistego poranka stwierdził zniknięcie woźnicy z koniem, stać go było swobodnie nie tylko

na kupno szkapy, ale i całkiem przyzwoitego gniadosza pod wierzch, dla siebie. Powoził odtąd z nieoczekiwaną wprawą Jeremi. Casanova zwykle odsypiał w dzień nocne obowiązki, na wygodnym posłaniu wymoszczonym na wozie przez Sarę i Etel. Myślał trochę o hrabinie, próbował nawet zapisać swoje ostatnie przygody, ale tylko poplamił się atramentem i zmarnował papier. Nie wiedział jeszcze, co sądzić o tej całej historii, a zbyt był ciągle obolały, żeby ją upiększać. Wieczorami dosiadał gniadosza i w towarzystwie uszczęśliwionego kundla ruszał na poszukiwanie oficerskich kwater.

Nie było jasne, co zamierza Zaręba. Jechali ciągle na zachód, ale kompani od kart śmiali się tylko, gdy ich pytał czy idą na Warszawę i udawali, że nie rozumieją po francusku. Choć działy jednak jakieś niejasne pogłoski o wojskach królewskich wysłanych im naprzeciw. Tabo- rowe ciury przestały się oglądać z niepokojem do tyłu, wypatrywały teraz niebezpieczeństwa przed sobą, nad głowami ciężko pracujących koni, ciągnących sterty wojennego dobytku i worki zboża, kapusty i soli. Co wieczór miał dłuższą do przebycia drogę. Albo tabory zwalniały, albo wojsko szło szybciej. Wreszcie któregoś razu musiał zrezygnować, po dwóch godzinach jazdy, nie znalazłszy nikogo. Choć noc była jasna, gwiazdzista, gdyby nie torujące im drogę powrotną poszczekiwanie psa, spędziłby pewnie ją całą w siodle. Ale i tak był potwornie zmęczony, gdy dotarł z powrotem do swoich.

Przykrył konia derką i wdrapał się na wóz. Jego miejsce, wymoszczone świeżymi gałązkami i słomą, było puste, czekało na niego. Dziewczynki poruszyły się w kącie, ale zaraz uci- chły, uspokojone. Położył się na plecach, ostrożnie, żeby nie trącić śpiącego w nogach Jere- miego.

Chciał zamknąć oczy, ale same otwały się szeroko. Miał nad sobą milczącą i obcą potęgę kosmosu. Roje gwiazd nieruchomych i martwych świeciły bladym, a jednak hipnotyzującym światłem. Poczul się nieswojo, niemal fizycznie dotknął go ciężar samotności. Nikogo nie ma i jest nikim. Nic nie jest czymś wobec tej potęgi, ale z pewnością najmniej on sam, zapomniany przez przyjaciół, zniewolony przez wrogów, wleczony przez przypadki z miejsca na miejsce. Co czeka go jutro, za rok? Ktoś to już zapisał tam w górze, czy zapisuje krok za krokiem, pospiesznie i niecierpliwie, zastanawiając się czy jeszcze warto?

Zmusił się do zamknięcia oczu. Ciemność podziałała kojąco, nie czuł się tak bezradny, a bolesny niepokój odchodził z każdą chwilą, coraz dalej i dalej. Nie powinien poddawać się słabości. Ma jeszcze w życiu to i owo do zrobienia. Może i on kiedyś stanie się dla kogoś ważny. Za sto albo za dwieście lat, ktoś będzie chciał o nim przypomnieć sobie i innym, znajdzie go na tym wozie, pod rozgwieżdżonym niebem, zrezygnowanego i przestraszonego i pewnie pomyśli, że nie warto, że samotności i lęku za dużo na świecie, żeby je jeszcze przywoływać z przeszłości.



Zacisnął powieki i jakimś nieznanym zmysłem zobaczył tego mężczyznę, najpierw w tłumie rozgorączkowanych, uciekających ludzi, dżgających w niebo, rozcapierzonymi w literę V, palcami, dużego, brodatego, w wełnianej czapce, przylegającej do czaszki, a potem w ciemnym pokoju, pochylonego nad kartką papieru, pokrytą w połowie dziwnym, brzydkim pismem. Zajrzał przez ramię. Czytał, nie rozumiejąc ani słowa.

" Zmusił się do zamknięcia oczu. Ciemność podziałała kojąco, nie czuł się tak bezradny, a bolesny niepokój odchodził z każdą chwilą, coraz dalej i dalej. Nie powinien poddawać się słabości. Ma jeszcze w życiu to i owo do zrobienia. Może i on kiedyś stanie się dla kogoś ważny " .

Co to miało znaczyć? Chciał jeszcze czytać, ale tamten uniósł nagle głowę i spojrzał w jego stronę z wyrzutem, ale i z, błakającą się w kącikach ust, nadzieją. Przez otchłanie czasu i przestrzeni tak wyraźnie poczuł to spojrzenie, tak mocno dotknął go wyrzut i zadziwiła nadzieja, że aż poruszył się, by zachręściła sośnina i szybciej wróciła rzeczywistość. Jest tu, gdzie był, ani o dzień, ani o metr dalej. Muszę się wziąć za siebie, pomyślał. Zaczynam chyba wariować.

57 Obudziło go głośnie trzaśnięcie drzwiami. Kapitan Kuc zamachiwał się właśnie, by zmia-

dżyć mu jądra jednym, dobrze wymierzonym kopnięciem, ale zniknął zanim zdążył zadać cios. Casanova, zlany zimnym potem, leżał chwilę nieruchomo póki nie zrozumiał, że to tylko sen. Huknęło znowu, to nie były drzwi, skąd drzwi w leśnej głuszy, gdzieś niedaleko strzelano, rżały konie, ktoś przedzierał się przez gęstwinę. Oprzytomniał w sekundę. Schwycił Jeremiego, podnoszącego się na kolana, dał znak dziewczynkom, żeby leżały cicho. Tu, za wysoką burtą wozu, byli najbezpieczniejsi. Wyrzwał przez grubą na palec szparę.

Dwaj jeźdźcy w biało-niebieskich mundurach spoglądali w ich stronę. Coraz ich więcej, uzbrojonych w dziwaczne, długie piki, wyłaniało się z lasu. Z ulgą stwierdził, że nie byli to Rosjanie. A więc tak wyglądają wojska polskiego króla. . .

Jakiś oficer Zaręby, zawieruszony między taborami, zaciął nagle konie i ruszył gwałtownie stojącym obok nich wozem. Próbował skrócić w pełnym biegu, gdy zobaczył, że i z przodu nadjeżdżają biało-niebieskie oddziały. Trysnęły spod kół fontanny zerwanego poszycia, oficer zleciał z kozła, a wóz, przełamany wpół, potoczył się jeszcze kilkanaście metrów, dusząc uprzężą przerażone konie i rozsypując w piach gościńca białe kopce cukru z rozpekłych wórow. Śmiech doleciał od strony jeźdźców i kilku ruszyło raźniej w ich stronę.

Oficer Zaręby, niemłody mężczyzna o wysoko podgolonej czuprynie, nie próbował już uciekać, oparł się zrezygnowany o drzewo i czekał aż do niego podjadą.

Nic gwałtownego się nie stało. Żołnierze zeskoczyli z koni, które, parskając z uciechy, nachyliły się nad rozsypanym cukrem i otoczyli oficera, o coś go pytając. Nie wyglądało to groźnie, nawet cygara pojawiły się w ich dłoniach, ale widział już w życiu niejednego niespodziewany strzał, niejednego błyskawiczny cios, zmieniający nagle sytuację. Wolał więc jeszcze poczekać. Niech najpierw tamci ustalą, co się dzieje. On jest tu tylko gościem. Nie będzie się wtrącał do cudzych waśni, nie musi. . .

Ktoś zbliżał się do wozu z drugiej strony. Czyżby po nich? Casanova przekreślił się ostrożnie, żeby lepiej widzieć. Sara i Etel patrzyły na niego z uśmiechem, może nawet z uśmieszkiem, pogroziły im palcem, niczego się już nie boją, smarkule. Stojnie odziany oficer zatrzymał się tuż przy nich. Był młody, butny, widywało się takich na każdym dworze, zawsze gotowych do zaczepki, szastających pieniędzmi, ociekających pychą. Od pierwszej chwili Giacomo poczuł do niego niechęć. Tamten, nie wiedząc, że jest obserwowany, stanął w rozkroku, wypiął dziwacznie brzuch i kiwnął na ordynansa, a potem na kurzącą cygara grupkę.

Ordynans, gołowąsy młodzik w liberii, podbiegł szybko, coś tam zgięty usłużnie rozpiął, coś odsuwał, wyciągał i w końcu z uszanowaniem stanął z boku, trzymając w dwóch palcach sflaczałego i jakby nierzeczywistego wśród tych wszystkich tkanin i ozdób, kutasa. Zanim zdumiony Casanovą odwrócił wzrok, struga moczu zadudniła na piasku. Kiedy spojrzął znowu, ordynans zaczął już powrotny rytuał, ale strojniś burknął krótko, dwa palce potrząsnęły trzymanym dzwonkiem - dopiero teraz można było chować. I spytać o coś przez ramię oficera Zaręby, wyglądającego jak obszarpaniec przy tych elegancko ubranych przeciwnikach. Tamten podszedł i mruknął odpowiedź, nie wyjmując cygara z ust.

Pyszałek poprawił mundur, bujnął się na nogach, jakby dla sprawdzenia swojej formy i z półobrotu walnął tamtego w twarz. Oficer Zaręby zatoczył się i byłby niechybnie upadł, gdyby nie złapał się w ostatniej chwili ich wozu. Sapał i pluł krwią i tytoniem tuż przy głowie Casanovy, jeśli inni rzucają się teraz do bicia, mogą ich bez trudu odkryć. Ale - nie. Strojniś, zainteresowany już tylko sobą, ruszył wolno w stronę lasu. Pozostali, formując się w marszowy szyk - za nim.

. - Kto to był?

? Oficer wyprostował się powoli, rozbite usta nadawały mu wygląd jakiegoś spotworniałego błazna. Skrzywił się na ich widok, ale zaraz uśmiechnął, widząc przerażenie dziewczynek i z wprawą sztukmistrza wyciągnął z ust wybity ząb.

- Branicki. . Hrabia Branicki. Najjaśniejszy sługa ich kurewskich mości. Katarzyny i Ciołka.

58 Casanova uniósł się trochę, ale nie rezygnował jeszcze z szeptu.

- O co im chodziło? ? Oficer splunął z impetem, pokrwawiona twarz rozciągnęła się w dziwnym grymasie.

- A, tak sobie pogadaliśmy. Jak Polak z Polakiem. Zmieniły się tylko mundury wokół. Wóz, beczka soli, worki cukru i tej cholerniej kapusty na wozie, kierunek i cel marszu pozostały te same. Byli zdobyczą wojenną, ale nikt się nimi nie zajmował. Tak jak i innymi maruderami Zaręby pozostawionymi swojemu losowi. Zmieszali się wkrótce z taborami Branickiego i tak, sznur wozów i ludzi, w których nie było ani cienia wojennego zapachu, włókł się wolno w stronę coraz bliższej - czuło się to w mijanych miasteczkach i wioskach - Warszawy. Spędzały ich czasem z drogi pstrokato odziane oddziały ułanów, ścigające Zarębę, który uchodził na północ, by zaszyć się w lasach pod pruską granicą. Tak przynajmniej twierdził tamten oficer, który zabrał się z nimi jako woźnica, a następnej nocy zniknął razem z gniadoszem Casanovy.

Strata mniej go dotknęła, niż myślał. Właściwie odżałował ją wcześniej niż się nawet przydarzyła. Był już zmęczony udawaniem samego siebie. W tym tłumie uzbrojonych ludzi, maruderów najdziwniejszych maści, bojowników najrozmaitszych spraw, opętanych politycznymi racjami czy choćby tylko chęcią grabieży, najważniejsze było po prostu przeżyć. Trzeba było się przystosować do otoczenia, przeczekać w cudzej skórze. Zrozumiał to w samą porę, gdy Jeremi zaczął znowu gorączkować i on sam musiał wleźć na kozioł.

Nie zabiegał już o niczyją znajomość ani o pieniądze, przestał się dopytywać dokąd jada i po co, a gdy jego o coś pytano - udawał niemowę. Rozmawiał tylko z żydowskimi kupcami, zamieniając sól i cukier na chleb, ale i to nie była rozmowa, a zażarty pojedynek na ceny, waluty i połajanki we wszystkich językach świata. W chłopskiej kurcie na grzbiecie, ze zmierzwionymi włosami i kilkudniowym zarostem na twarzy, którego nie pozwalał zgolić, powoził nędzną szkapiną, na którą normalnie nie chciałby nawet spojrzeć, a teraz musiał się gapić godzinami, nawet wtedy, gdy nie szczędziła mu najwyraźniejszych dowodów lekceważenia.

Nocami nie było lepiej. Niebo gwiazdziste zasnuły chmury i gdy tylko zaczynał się wpa-  
trywać intensywnie w ciemność, szukając choćby śladu tamtego niedawnego olśnienia - za-  
sypiał snem ciężkim i bolesnym. Niezmiennie dręczył go kapitan Kuc, nawet Wolter szepczą-  
cy mu pewnego ranka sprośności do ucha, miał jego twarz.

I tak - pokonany nocnymi koszmarami, otepiały od widoku końskiego zadu, przygnębiony  
nędzą chatynek ciągnących się od pewnego czasu wzdłuż drogi, brudny, głodny i zły na siebie  
i na świat cały, zobaczył wreszcie Warszawę.

Jak zjawą, jak cudowny fantom pośród oceanu szarości, stało na nadrzecznej skarpie mia-  
sto. Bił od niego niezwykły blask. Białe ściany domów, pałaców i świątyń, dachy kamienic  
pokryte świeżą miedzią, w jaskrawym słońcu dawały prawdziwie nieziemski refleks. Wszy-  
scy zerwali się z miejsc, nawet wymizerowany Jeremi, podtrzymywany przez obie dziew-  
czynki o szarych już raczej niż rudych czuprynach. On sam uniósł się na koźle i jeszcze przez  
chwilę nie był pewien czy to nie chorobliwy majak ma przed oczami. Nie - widok nie rozply-  
nął się w powietrzu, trwał nadal spokojnie i pięknie. Poczul jak krew zaczyna mu szybciej  
krążyć w żyłach. Ponaglił szkape, aż dziewczynki z Jeremim klapnęły na podłogę, śmiejąc się  
jednak i baraszkując.

Musieli jeszcze przebyć rzekę. Wisła, rozlana szeroko, robiła groźne wrażenie i choć kie-  
rujący tratwą flisacy unieruchomili wóz kłodami drzewa, musiał przez cały czas wisieć prze-  
straszonyj szkapie przy pysku, jego zaś nogi obłapiły Sara i Etel. Prąd znosił ich w bok, ale  
wiosła i drągi flisaków zbliżały do brzegu, do prymitywnej przystani z desek i kamieni. Wiel-  
ki pałac wznosił się w górze nad tym miejscem. Nie musiał pytać, żeby wiedzieć, jaki gospo-

59 darz górujący nad innymi, jak ten gmach nad całą okolicą, może w nim mieszkać. Setki  
okien,

złota iglica na wieży, kaskady czerwonych dachów opadających ku rzece. Król. Tylko król.  
Ciołek.

Nagły ból ścisnął mu szczęki. Szyderczy śmiech Kuca przypomniał mu wszystko. Szarpnął ze  
złością łbem parszającej szkapy. Niedoczekanie. Nikt go nie będzie szantażował. Jest wol-  
nym człowiekiem. Powie o wszystkim królowi, ostrzeże go, tak, to właśnie zrobi, zyska

uznanie i przyjaźń samego Augusta, nie Ciołka - Augusta. Zamieszka wtedy może w tym pałacowym kolosie, do którego podnóża właśnie dopływali.

Czuł się prawie tak jak w Wenecji, gdy wyrwał się z więzienia. Nawet pachniała ta wolność podobnie - potem, zbutwiałym drewnem i wilgocią. Tylko tam miał na sobie swój jedwabny frak, kapelusz z białym piórem, buty ze srebrnymi sprzączkami. Tu. . .

Sara pokazywała mu coś na brzegu, piaskarzy na pękatych łodziach, wozy czekające na towar układany na przystani?

- Co? ? Nie musiała odpowiadać. Teraz i on zobaczył między stertami rzeczy wyładowanych z tratw i łodzi piękną lektykę weneckiej roboty. Nie potrzebował nawet widoku młodszego z hannowerczyków, kierującego rozładunkiem, żeby wiedzieć, że to ta sama i żeby zrozumieć jak bardzo los mu teraz sprzyja.

Tamci dostrzegli go za późno, żeby uciekać. Młodszy, pokraczny małpolud w jego podróznym kubraku, dureń, urągający światu nawet chęcią podawania się za niego - Casanovę, rzucił się co prawda do wozu, pewnie po broń, ale chudy kamrat osadził go w miejscu rozkazującym warknięciem. Giacomo był spokojny, trzech poznani jeszcze na brzegu polscy oficerowie za jego plecami nie dawali tamtym żadnych szans.

Niedługo potem ruszyli. Z przodu kroczył młodszy, szeroko rozstawiając nogi pod ciężarem lektyki, z tyłu chudzielec kurczowo wczepiony w jej drążki. Casanova, rozparty w środku, w odzyskanej cudownie peruce, w białej koszuli i kubraku, popatrywał z ciekawością przez okno. Czuł, że polubi to miasto tak życzliwie go witające. Gdy jednak wkroczyli w oddzielające pałac od przystani rzędy zbutwiałych ruder i gdy zza dziurawego płotu wyszczerzył się do niego dzieciak z olbrzymią głową kretyna - to radosne uczucie nagle go opuściło.

. - Schnell, schnell - krzyknął, opuszczając szybkę. Patrząc bez satysfakcji jak ciężki tyłek fałszywego kupca zaczyna podrygiwać w niezgrabnym biegu, pomyślał z rozpaczą, że trzeba stąd uciekać, jak najszybciej i jak najdalej.

## ŁOWY

Nachylił się do lustra, żeby sprawdzić swój wygląd. Nowy służący, Wasyl, uniósł wyżej świecę, bo w tej części pokoju półmrok poranka był jeszcze zbyt gęsty. Dobrze, wszystko jest na właściwym miejscu. Stanowcze, lecz ujmujące spojrzenie, mądrość i trochę naiwne zdziwienie światem w kącikach ust, czoło sfałdowane lekkim, broń Boże nie nużącym, namysłem. Lustro musi sobie jednak kupić większe. W tym, z trudem można dojrzeć zgrabną i godną sylwetkę, odzianą w najlepsze paryskie jedwabie, a nóg silnych i smukłych zarazem w pantoflach ze złotymi klamrami, nie można się było nawet domyślić. Jedwab i pantofle sprowadził na kredyt przez tutejszych kupców, długi rosły codziennie, ale teraz nie będzie o tym myślał. Odwrócił się lekkim choć ciężko wystudiowanym ruchem, powiódł wzrokiem po swojej gromadce - Sarze i Etel, rozbrykanych od rana, cichym i ciągle jakby nieprzytomnym Jeremim, zaspanym Wasylu, a nawet rozczochranej babie wyglądającej z kuchni, ogarnął spokojnym, radosnym spojrzeniem własny d w ó r i powiedział dobitnie choć cicho:

- Król przyjmie mnie dzisiaj. . Przygotowywał się do tego spotkania od dawna, zabiegał o nie u księcia Adama, o którym wiedział, nieważne od kogo i od kiedy, że z racji rodzinnego starszeństwa więcej ma w róż- nych sprawach do powiedzenia nawet od króla. Ale w jego sprawie potrzebny był, nie najpo- tężniejszy nawet Czartoryski, ale sam król. Odwlekano moment tego spotkania, czuł to wy- raźnie, sprawdzano go pewnie. Nie nalegał odkąd to rozumiał. Czekał.

I doczekał się. Ranek był przyjemnie chłodny, w sam raz na spacer. Szczególnie że lektykę podarował księciu Adamowi, a na powóz czy najskromniejszą nawet kolaskę nie było go po prostu stać. Na razie, panie i panowie! Na razie. Starannie wystrojony, szedł więc wolno pustymi ulicami, omijając zdradliwe pagórki zestarzałego błota i pecyny końskiego łajna. Nie miał daleko, ale miasto było w tym miejscu jakby rozpekłe na dwoje - pachnące jeszcze świeżymi tynkami kamienice rozstępowały się nagle, ujawniając cały rząd zapadających się w ziemię chatynek, byłe jak skleconych kramów, połamanych drewnianych chodników, wytyczających szlaki wśród rozlewisk szlamu i gnojówki - między wspaniałymi pałacami, pojawiały się liche placyki, na których w ciągu dnia pełno było wozów z sianem, przekupniów i żebraków.

Od czego zacznie? Będą go na pewno pytać o Petersburg, o carycę. Sto razy odpowiadał już na te pytania, trochę zmyślał, trochę kłamał, ale bezpiecznie i niegroźnie. Teraz jednak - tego był pewien - musi być inaczej. Ale jak? Prawdy przecież nie powie nikomu na świecie, nawet sobie przypomina ją z niechęcią i niedowierzaniem.

- Won! ! Krzyknął na łaciatego kundla, który szedł za nim całą drogę, a teraz za blisko przysunął się do jego obleczonych jedwabiem i obutych w złotem szamerowaną skórę nóg.

Won! Tego słowa już się nauczył. Ileż to czasu minęło odkąd Kuc smagnał go nim po raz pierwszy? Wiek cały. A od wściekłego wycia Imperatorowej Wszechrosji, przyprawiającego niemal o utratę przytomności? Dwa wieki?

61 Może to wcale się nie zdarzyło? Do stu tysięcy par ognistych diablów - zdarzyło się! Ale

tylko wariat chciałby to opowiadać królowi, wielbiącemu ponoć nadal tę kobietę o tłustym ciele i obwisłych piersiach, której dosiadał, gdy były jeszcze młode i jędrne.

A Wolter? Co by powiedział na ten wrzask, na oszalałe od wściekłości rozkazy, na tryskające pianą przekleństw usta pierwszej damy Europy, zbawczyni świata, przyjaciółki filozofów? Pewnie nic. W milczeniu jest więcej mądrości niż w słowach.

Pożałował zaraz, że odgonił psa. Przyzwyczał się już do tego sąsiedztwa nędzy z przepychem - czyż cały świat nie wygląda podobnie - ale jeden widok wprawiał go nieodmiennie w przerażenie. W obłoku much, do połowy wkopany w ziemię i obłożony gnojem aż po szyję, stał nieszczęśnik z trudem już przypominający człowieka. Gdy pierwszy raz go zobaczył, pomyślał, że to jakaś barbarzyńska kara za równie barbarzyńską zbrodnię. Ale nie - ta żywa kupa gnoju, ten szerniały od brudu i robactwa, śmierdzący chyba całym odorem świata stwór, był tylko ofiarą swoich miłosnych zapałów, leczoną z francy ludowym sposobem. Sam księżę Radziwiłł, z którym zaniósł go pierwszy raz w ten smrodliwy zaułek, mu to powiedział, krzywiąc się w dziwnym uśmiechu mającym pokryć ni to odrazę, ni to zmieszanie, że musi taką rzecz wyjaśniać cudzoziemcowi. Podchmieleni i żądni prostych uciech, tu skończyli ich poszukiwania owego wieczoru i upili się w pałacu księcia na ponuro, aż do utraty przytomności.

A czekający zbawienia albo śmierci nieszczęśnik, dzień i noc stał na swoim miejscu, gnął na oczach gawiedzi, drwiącej z niego, ale też dokładającej mu gnoju i popatrującej ze strachem i z odrobiną współczucia. Każdego mogło to spotkać. Szczególnie tu, gdzie o zmroku, w karłowatych ogródkach, w chaszczach za rozwalonymi płotami aż huczało od dopadających się ciał, w kwiku, pisku, rechotaniu, tratujących krzaki i wałących pośladkami o ziemię.

Casanova przeżegnał się ukradkiem. Boże broń. Przed taką chorobą. I przed takimi medykami.

Ten widok, niemal codziennie nękaający jego wyobraźnię, skuteczniej chronił go przed miłostkami niż najgłośniejsze przysięgi. Oddalił dwie dziewczki, przysłane mu przez kobietę, u której wynajął mieszkanie, trzeciej skosztował, bo wydała mu się miła i chętna, ale jej główny i niosący zagrożenie trakt, zostawił w spokoju.

Gdybyż zrobił to wtedy z carycą, nie byłoby może tej strasznej sceny, która chyba tylko cudem skończyła się dla niego niegroźnie. Ale co - dobrać się tym samym wejściem, tak bez pardonu i bez wzbudzania podejrzeń, do najgroźniejszego tyłka Europy i to wtedy gdy frontowa brama stała otworem? Mogło go to kosztować głowę albo coś równie ważnego jak głowa. Mogło go też ozłocić albo ocalić, ale wtedy tego nie wiedział. Bliżej mu było do myślenia o karze niż o zapłacie. Po miesiącach więzienia i poniewierki nawet nadzieja podszyta była silniej strachem niż radością. Nie chciał niczego ryzykować. I zaryzykował wszystko.

Ten wściekły wrzask zapamięta chyba do końca życia. I oczy rozjuszzonego zwierzęcia, nabrzmiewające krwią. No tak, przeżył to z trudem. Ale teraz przynajmniej nie wygląda jak ten okutany po szyję w gówno nieszczęśnik. Czy gdyby sprawy potoczyły się inaczej, nie stałby tu obok albo zamiast tamtego? Wszystko możliwe. Co z tego, że jest cudzoziemcem i że wynaleziono już mniej barbarzyńskie metody leczenia wenerycznych przypadłości. Wystarczyłoby małe przesunięcie ogniwa w łańcuchu zdarzeń, jakiś mały przypadek, figiel losu, niezauważalne prawie drzenie boskiej ręki, kierującej jego życiem, żeby utkwic na zawsze w jakimś gnojnym dole. Gdyby na przykład dwaj hannowerczycy, zamiast się wystraszyć, dali mu po łbie gdzieś w ciemnym zaułku i to tak skutecznie, że straciłby nie tylko przytomność, lecz i pamięć i gdyby jeszcze przydarzyła mu się wcześniej jakaś niemiła przygoda ze zwykłą dziwką lub niezwykłą cesarzową, mógłby tkwić tu teraz w smrodzie i gnoju i patrzeć zmartwiałyymi oczami na jakiegoś wystrojonego franta, przejętego obrzydzeniem, a nawet zgrozą, ale pewnego także, że jego taki los dotyczyć nie może.

62 Gdyby, jeśli. . . Nie uwolni się od tych niepokojących słów. Tu na pewno nie. Ale jeśli po-

wiedzie mu się dzisiaj z królem? I gdyby nie czekać dłużej, nie liczyć, że tamci o nim zapomnieli. . .

Kto mu wtedy przyniósł wiadomość o wezwaniu do pałacu. Kuc? Nie, już się nim wtedy nie zajmował. Astafow? Też chyba nie. Bzdury. Coś się stało z jego pamięcią? Ten dziwny człowiek, nazywający sam siebie Pajakiem, z którym spędził kilka dni, klnąc najwymyślniej i złorzecząc cesarzowej, obiecywał Casanovie wszystkie z nią uciechy, ale to był więzień, poskręcany od nienawiści i żądzy niewolnik, a nie dworski posłaniec. Brał go najpierw za donosiciela, za policyjną kreaturę nasłaną, by wyciągnąć z niego jakieś kompromitujące wyznania. Ale nie - ten Pajak motał się najwyraźniej na samego siebie. Nienawidził carycy Katarzyny uczuciem wielkim i bezkompromisowym. Jej genealogię wywodził od samic najbardziej od-



rażających rodzajów zwierząt, zwłaszcza pospolitych insektów i pewnego gatunku błotnej świni żywiącej się własnymi odchodami, jej duszę wypełniał wszystkimi niegodziwościami świata, spośród których najdelikatniejsza miała moc śmiertelnego jadu, jej ciało oskarżał o smrodliwą niestrawność, gnilną puchlinę i weneryczne wrzody, z których największy, niczym zatruta perła w macicy małży, czekał co noc na inną ofiarę w najgłębszym miejscu jej wściekłego brzucha.

Stąpął nieuważnie i o mało się nie przewrócił. Ból w kostce oprzytomnił go. Do diabła! Toż to jest Warszawa, a nie ten przeklęty Petersburg. Kroczy sobie swobodnie ulicą, choćby nawet potykając się, choćby w towarzystwie kundla i półżywego syfilityka. Idzie na audiencję do samego króla, on - Giacomo Giovanni Casanova, wolny człowiek w wolnym kraju, goszczony przez polskiego monarchę. Tam nie był niczym gościem, zawsze tylko więźniem bez żadnych praw. O jakich więc posłańcach bredzi. O tych trzech zbirach, którzy wpadli pewnej nocy do celi i wywlekli go ze sobą bez słowa, jeśli nie liczyć krzyków Pajaka, katowanego w kącie przez czwartego łotra. Ostatni raz widział wtedy tego bezkompromisowego wroga cesarzowej Katarzyny, nawet pod razami nie przestającego jej wymyślać i przestrzegać Casanovę przed piekielnym jadem. Zapamiętał jego oczy, rozżarzone szaleństwem i cierpieniem, wystarczyło tylko przymknąć powieki, by wywołać je z pamięci.

Teraz nie musiał sięgać do pamięci. W zastygłej twarzy syfilityka drgnęła najpierw jedna, potem druga powieka i po chwili z brunatnej od brudu i zmartwiałej maski spojrzały na niego płonące bólem i szaleństwem oczy Pajaka. Znieruchomiał ze zdumienia. Czyżby? Jak mógł dotąd jego nie zauważyć? Ale skąd by on?

- To ty, bracie? - pomyślał raczej niż szepnął zaciśniętą krtanią. Tamten poruszył się i smród poruszonego ciała oprzytomnił Casanovę. Cofnął się zły na siebie. Za wiele mu się roi w głowie od rana. Musi dziś kogoś zerznąć jak należy, zaraz mu przejdą głupie urojenia.

Zrozumiał to sekundę za późno - oczy zgasły powoli, rozszalałe spojrzenie Pajaka zapadło się w głąb nagiej czaszki, ale ta sama siła, która je zniszczyła, spłynęła w dół i powoli rozwarła szerniałe usta. Zanim Casanova zdążył cokolwiek zrobić, bezkształtny bełkot, potwór na skarga we wszystkich językach świata, wydobyła się z gardła tamtego razem z bąblami brudnej piany. Tego już nie wytrzymał - to pęczniejące z każdą chwilą w zaropiałych ustach poczwary - Aaaaaaa. . . zaraz go dopadnie i obezwładni, zedrze z niego ufryzowaną perukę i surdut ze złoconymi guzikami, obrzuci gnojem koszulę z paryskiego jedwabiu, a wrzodami każdy centymetr ciała i zmartwiałego ze strachu i obrzydzenia zakopie po szyję w śmierdzącym błocie, żeby tu gnił po wsze czasy.

Poczuł z powrotem każdy mięsień, każdy nerw ciała, rzucił się w dół ulicy ze wszystkich sił, byle dalej od tej skargi czy ostrzeżenia nieszczęśnika, Pajaka, nie Pajaka? , nie chciał już teraz

wiedzieć, byle dalej od wrzasku wywołującego z pamięci także wściekły pisk tamtej rozjuszanej baby, która rządzi połową świata, a chce rządzić całym.

Zatrzymał się dopiero na schodach wiodących na plac zamkowy, zmylił rytm kroków i wołał stanąć niż się przewrócić. Przed zamkiem, a właściwie dużym pozbawionym wdzięku

63 pałacem, było jeszcze pusto. Wiedział, że przyjdzie za wcześnie, skąd mógł jednak przypusz-

czać, że przyda mu się ten czas, żeby odsapnąć po nieoczekiwanej przygodzie. Usiadł na kamiennym stopniu. Wypłuł kurz zatykający mu usta. Co za idiotyzm - znowu gnał na spotkanie koronowanej głowy biegiem.

Ale wtedy - co to był za bieg! Wlekli go po zamrzniętym placu, szturchali i nie żalowali kopniaków, jakby na stracenie wlekli, a nie na audiencję do cesarzowej. Miał wiedzieć, czuł każdym nerwem i każdym mięśniem, że jest nikim, że każdy najniższy sługa jej imperatorskiej mości może z nim zrobić, co zechce. Durnie, wiedział to i tak. W celi na tę naukę nie trzeba dużo czasu. Dobrze. Teraz jest nikim, nie muszą mu przypominać. Jest nikim nawet dla tych tępych żołdaków, niewinnych w swoim okrucieństwie na rozkaz. Ale zobaczymy co będzie potem. Nie wszystkim zamierza darować, kiedy już przekonają się, kim jest naprawdę. Kim? Na pewno nie nikim. Bo czy nikt mógłby wzbudzić zainteresowanie wielkiej Katarzyny, wszechwładnej imperatorowej, przed którą respekt czują najpotężniejsze trony Europy i skłania głowę Wolter? Wzywają go. I to po tylu tygodniach więzienia. Coś musiało się stać, myślał ślizgając się w dziurawych łapciach i walcząc z połami za dużego szynela, raz krępującego nogi, raz rozwierającego się na wszystkie strony na mroźnym wietrze, czyżby stary błazen, wenecki konsul coś zdziałał, albo ta perfidna dziwka, u której go zatrzymano, przyznała się jak było. Nie, to za błahe powody. Z pewnością zdarzyło się coś innego, ważniejsze-go.

Memoriał! Jego memoriał o sztuce rządzenia! Musieli go przeczytać, pojąć jak ożywcze myśli w nim zawarł, docenić ich nowatorstwo. Różne rzeczy mówią o tej wszechwładnej kobiecie, ale nie to, że jest głupia. Wszystko co najgorsze - tak, ale nie, że głupia. Zresztą czy jej podłość, wyuzdanie, okrucieństwo, byłoby czymś nadzwyczajnym na tym świecie, gdyby nie intelekt pozwalający dzierżyć władzę coraz mocniej mimo zatrwających opowieści, od których rosło oburzenie jednych, a ciekawość drugich. On sam, doświadczywszy wiele razy obmowy, należał raczej do tych ostatnich. Nie wierzył w opowieści Pająka i miał go od początku za szaleńca, opętanego przez nienawiść. No, bo czy znalazłaby się kobieta tak szeroka w swej kobiecości, żeby przyjąć w siebie męskość byka? Albo całego, najmniejszego choćby liliputa, z głową, rękami i nogami? Czy o nim nie opowiadano podobnych bajduł. . . Że dzie-

wice napoczyna tylko językiem, albo, że ma dębową protezę zamiast fujary. Bzdury, wierutne bzdury.

A przecież nie dla tych bzdur o bykach, liliputach, pułkach gwardii złożonych z jej jednocnych kochanków, przyjechał tu, do Petersburga, pomyślał, rozwścieczony kolejnym szturchańcem. Miał ambitniejsze plany niż chęć utrzymania się na zamarzniętym do połysku placu. Widział się raczej na najznacześniejszych salonach, a nie w plugawej celi, słyszał w dysputach z najtęższymi głowami tego coraz ciekawszego dla Europy, bo potężniejszego z roku na rok, mocarstwa, a nie w policyjnych połajankach. Nawet teraz, winni go wieść na najważniejsze pewnie w jego życiu i - kto wie, może także w życiu carycy - spotkanie, w pięknej kolasce, albo zakrytych saniach, okutanego w olbrzymi kozuch, żeby wszystko w nim rozgrzane było do czerwoności, a nie wlec jak zeszywniały z mrozu łachman.

Ale wszystko się jeszcze zmieni, dzisiejszy wieczór i noc, i jutrzejszy ranek, odwróca kartę. Pokaże tym tępych żołdakom bez krzty szacunku dla szlachcica, co naprawdę potrafi. Całej reszcie - też. Przecież to jasne - Katarzyna, wielka, mądra Katarzyna nie wie pewnie o wielu niegodziwościach, oszukują ją, nie mówią prawdy. Nie najlepiej to świadczy o systemie, który stworzyła i który tak podziwia Europa, ale cóż - nie będzie chował urazy. Kiedy się już wszystko dobrze skończy, spojrzysz na wszystko inaczej. Stanie się - jak przystało na człowieka honoru - wspaniałomyślny, daruje tym różnym Kucom, Astafowom, małpom w mundurach, nachodzącym go w celi i nawet trzem niedźwiedzim wlokącym go teraz przez plac.

64 Ale po chwili, wyprostowany nagłym ciosem w twarz, był już znacznie mniej pewien swej

przyszłej wspaniałomyślności, a wypluwając krew z rozbitych warg, nie był już pewien przyszłości w ogóle.

Plac zamkowy ożywał powoli, zmieniła się warta przed wejściem do królewskiej siedziby, Żydzi z workami towarów na plecach wracali do miasta, które na noc zamykało przed nimi swoje wrota. Żołnierze mieli szerokie, chłopskie twarze, ogorzałe od mrozu i wiatru na wiejskich bezdrożach, spoglądali przed siebie poważnie, ale bez śmiertelnego skupienia ludzkich automatów, jakie spotyka się zwykle w tej roli w Berlinie, Wiedniu czy Petersburgu.

Czy daleko od tej poczciwości do okrucieństwa? Przejechał palcem po wargach, jeszcze dawało się wyczuć zgrubienie nie zakłęsłej blizny. Wystarczy rozkaz i zamienią się w bestie. Dlaczego tu, w Polsce, miałyby być inaczej? Kilka gardłowych komend i rzucają się na niego bez zbędnych skrupułów i rozważań o istocie człowieczeństwa, powloką go przez plac, jak tamci, waląc po głowie i podcinając nogi dla zabawy. A jeśli na jego miejscu będzie więcej

ludzi, tłum pełen krzywdy i bólu - runą na ten tłum, krzyczący ze strachu i nienawiści, będą go tratować, masakrować, gonić do utraty tchu. Ile razy tak było? Ile jeszcze będzie? Choćby tutaj, na spokojnym teraz warszawskim placu, ile razy wzbije się w niebo bezsilna skarga ludzkiej gromady, gnanej po wąskich uliczkach starego miasta, bitej, kopanej i łzonej po tysiäckroć.

Dobry Boże, pomyślał, nie o to ci chyba chodziło, nie o taki porządek świata. Dlaczego jest zawsze dwóch łotrów na jednego Chrystusa. Dwóch oprawców na jedną ofiarę?

Może jednak tu będzie inaczej. Ten naród, zdążył już to zauważyć, nienawykły jest do bezmyślnego posłuchu. O jakim zresztą posłuchu mówić w kraju, gdzie nie wiadomo kogo słuchać, gdzie watahy partyzantów kpią z królewskiej władzy, a rosyjskie pułki szydzą i z króla, i z buntowników. Tu cenią coś innego niż posłuszeństwo. Spryt? Tak. Ale przede wszystkim bezczelność i lenistwo. Bezczelność ofiar i lenistwo łotrów. Jedni potrafią się bronić, krzyczeć o swojej krzywdzie, a drudzy wolą pieniądze i spokój niż orderzy za gorliwość w łotrowskim rzemiośle. Tylko wtedy można jakoś przeżyć.

Żydowski chłopiec z koszem pełnym świeżych bułek podszedł ośmielony jego zamiśleniem. Błady i wychudzony nie był najlepszą zachętą dla swego towaru. Bose nogi stawał szeroko pod ciężarem kosza. Casanovie zrobiło się go żal, nie mógł się jednak objadać na ulicy, przed królewską rezydencją. Lada moment zaczną się zjeżdżać inni, nie powinni go zastać chrupiącego bułkę w takiej bliskości majestatu, w zasięgu monarszego wzroku nawet, bo jeśli któreś z okien sypialni wychodzi na plac, to przecież rozbudzony król może zamiast jego kapelusza z piórem i złocistego kubraka zobaczyć tylko tę bułkę w gębie.

- Nein - powiedział w języku najlepiej się nadającym do odmowy. . Chłopiec nie odszedł daleko, może tu było jego miejsce pracy, a może nie miał już sił iść dalej, przycupnął przy swym koszu na schodkach ulicy, prowadzącej w głąb starego miasta.

Casanova wyprostował się aż zatrzeszczały stawy. Pokora ofiar. Łatwo tak myśleć jemu, który ma ją już za sobą. A jeśli ktoś całe życie dźwigać musi to brzemie, jak kosz z bułkami. A raczej i brzemie, i kosz pospołu. I liczyć tylko na lenistwo łotrów.

Kilka dni temu dwóch takich umundurowanych drabów o chłopskich gębach przyszło po Sarę i Eteł. Nie mógł najpierw zrozumieć, o co im chodzi. Zakaz przebywania Żydów po zmroku w mieście? Tak. Ale co to ma z nim wspólnego? Dziewczyna, z którą miał czasem przyjemność, sama pilnowała, żeby nie zostać na noc. Zdumiało go, gdy pierwszy raz chcąc ją zostawić do rana, usłyszał o tym zakazie. Ale w końcu, jak Europa długa i szeroka, pełno

było miast traktujących Żydów jako intruzów. To go nie zdziwiło. Jemu Żydzi nie przeszkadzali, a Żydówki wręcz sprawiały większą niż inne przyjemność. Nawet tu, jedyna, która mu zasmakowała, miała kruczoczarne włosy i zadziorne i pokorne zarazem oczy swojej rasy.

65 Zatrzymał ją raz czy dwa na noc, ale żeby zaraz robić z tego powodu alarm. . . Zakaz zaka-

zem. . Nie jemu wnikać w prawa kraju, którego jest tylko gościem. Tylko czego chcą od niego. Nie jest przecież Żydem. Więc?

Starszy rangą, może nawet oficer, zmieszał się trochę. Ale. . . Żadne ale, jest szlachcicem, skoligaconym z najpotężniejszymi domami panującymi Europy. Jeśli zdecyduje się uznać tę wizytę za najście, a pytania za obrazę, konsekwencje będą nieobliczalne. Król. . . Panienka? Jaka panienka, nie ma tu żadnych panienek. Poszukał wzrokiem Wasyla, pewnie ten bydlak doniósł. Wyrzuci go na zbity pysk i tak zresztą nie nadaje się do niczego. Żre jak słoń, a on nie jest dyrektorem cyrku, żeby trzymać słonia. Wasyl!

Odwrócił się, ale w drzwiach saloniku zobaczył ze zdumieniem nie służącego, ale obie dziewczynki, ubrane jak do drogi, z tobołkami w rękach. Niech stąd uciekają do kuchni i to już. Nie uciekły. W tej chwili! Ani w tej, ani w następnej, postąpiły nawet krok do przodu, patrząc mu prosto w twarz. Dopiero ten wzrok zdumiał go naprawdę. Nie było w nim nawet śladu osławionej tysiącletniej pokory, która ich pobratymcom pozwalała przetrwać nie takie szykany. To były cztery rozżarzone węgle - dumne, harde, oskarżycielskie. Co sobie u diabła, myślą, smarkule, że sobie nie poradzi z tą sytuacją, że je wyda na pastwę barbarzyńskim prawom. Jeśli one stąd zaraz nie znikną, to nie będzie miał wyjścia. Teraz dopiero zjawił się Wasyl, ze zdumiewającą przytomnością umysłu zawinał Sarę i Etel i wyniósł je z pokoju. Casanova odetchnął, ale tylko na moment. Ci dwaj ciągle tu przecież byli. Ktoś ich nasłał? Gospodyni? Musiał być więcej niż stanowczy. Radzi im odmaszerować i to szybko. Nikt nie będzie się wtrącał w jego sprawy, w sprawy wagi państwowej. Lepiej, żeby nie musiał ich o tym przekonywać. Więc - już ich tu nie ma. . Wasyl stanął znowu w drzwiach. I nie było. Wymacał w kieszonce dukata, nie był pewien czy nie ostatniego. I więcej nie będzie.

Łatwość, z jaką zlekli się jego podniesionego głosu i wzięli pieniądze, uspokoiła go trochę. Co jednak miało znaczyć zachowanie dziewczynek? W gruncie rzeczy wiedział co. Ten rozżarzony wzrok dostrzegł już u nich kilka razy. Zawsze, kiedy przychodziła albo odchodziła tamta. Smarkule! Bezczelne kozy! Nie pozwoli się szantażować nikomu.

Wpadł do nich, gotów pnieć się i wrzeszczeć, targać za rude czupryny i sieć różgami po buntowniczo wypiętych zadkach. Stracił przez nie ostatniego dukata, bez tego ich cyrku

skończyłoby się pewnie na krzyku. Ale usta otworzył tylko ze zdziwienia, a rękę uniósł, by podrapać się po głowie - nie było już śladu po młodocianych furiach, wybierających męczeństwo byle mu tylko dokuczyć - dwie skurczone rozpaczą sierotki siedziały, obejmując się na kanapie, a tysiącletnia pokora zasnuwała ich, nie tak dawno wściekłe oczy, łzami.

- Poszli sobie - wybełkotał - nie macie się czego bać. . Ale tamtej dziewczyny nie wezwał już więcej.

No, no roztkliwiasz się, Giacomo, pomyślał, wstając i otrzepując się z kurzu. Może byś raczej zajął się sobą. Bo skończysz co najwyżej jako sprzedawca bułek. . .

Pora już była najwyższa - zajeżdżać zaczęły powozy. Jeden, drugi, trzeci turkotał u wylotu ulicy. Kto przyjechał? Oślonił ręką oczy, żeby lepiej widzieć. Aha, księżę Sułkowski, drugiego, niskiego mężczyzny o prostackich rysach - nie znał. Nie miał właściwie ochoty podejść, księżę wynudził go parę dni temu kilkugodzinnym i bodajże nieskończonym, wykładem o pochodzeniu swojego rodu, ale cóż było robić. I tak już został dostrzeżony.

- Piękny poranek - Sułkowski, odprawivszy karetę wyszedł Casanovie naprzeciwko. Ten drugi pozostał przy swoim powozie, wsparty niedbale nogą na stopniu. Było w tym coś nieprzyjemnego, chyba nawet groźnego. Ale mimo wszystko każda znajomość mogła się przydać.

- Nie przedstawi mnie pan, , księżę? Sułkowski skrzywił się nieznacznie, ale zaraz zamienił ten grymas na uśmiech i zagarnął Casanovę ramieniem.

66 - Dajmy spokój ludzkim sprawom. . Popatrzmy przez chwilę na boskie.

Nie miał wyjścia, trzeba było się odwrócić plecami do miejsca, które go teraz interesowało najbardziej, patrzeć na Wisłę i zarośla przeciwnego brzegu, a przede wszystkim słuchać, słuchać tego nudziarza, rozprawiającego o pogodzie z namaszczeniem odkrywcy Ameryki. Że też wpadł w jego ręce. Nie wypada się odwracać zbyt często i popatrywać zbyt ciekawie, ale przecież słyszy, że zajeżdżają inni goście porannej audyencji, że coraz gwarniej i tłumniej jest przed zamkową bramą. Księżę zauważył jego zniecierpliwienie.

- Wy, ludzie Południa stajecie się coraz bardziej sługami materii. A kultura, którą daliście światu bierze się przecież z ducha, z boskiej idei, której nie wolno tracić z oczu. Teraz słyszy się tylko: - Liczy się fizyka - nie filozofia, pieniądz - nie i dea, ciało - nie dusza. Jak, a może - kto, , pogodzi te niebezpieczne sprzeczności?

Casanova uśmiechnął się, choć wolałby raczej wyszczerzyć zęby. - Kobieta. . Potrafi być wspaniałym połączeniem duszy z ciałem, a idei z pieniędzmi. - Pan żartuje, a sprawa jest całkiem poważna. Zaś będzie zapewne jeszcze poważniejsza, jeżeli będziecie ją zbywać żartami.

Wcale nie żartuję, pomyślał Giacomo, dzięki ci Boże, że stworzyłeś ciało, pieniądze i fizykę, tak, również fizykę. Czy to przecież nie grawitacja przyciąga jedno ciało do drugiego, pozwala opadać na siebie, łączyć się, przenikać. I jeszcze stokrotne dzięki za geometrię. Bo czyż nie natchniony geometra puści w ruch ten nieskończenie piękny układ figur i brył - linii ud, brzucha i piersi, ostrych, lecz aksamitnych w dotyku stożków, łagodnych półkul, napiętych pod ciężarem rozdzielającego je walca. Jak to wszystko mogłoby być tylko ludzkie?

- A wie pan, panie Casanova, do czego doprowadzicie? Tu właśnie, na tej ziemi zacznie się ozdrowienie europejskiego ducha, tu, nie gdzie indziej, zacznie bić żywy puls wiary, która zwróci znowu człowieka ku rzeczom wyższym niż schlebianie pragnieniom ciała. Nie wierzy pan?

- Czemu nie? ? Wszystko jest możliwe. Zerknął jednak przez ramię. Znał skądś mężczyznę w strojnym mundurze, wysiadającego teraz z powozu. Ach, tak. Leśna przesieka. Flaczek w palcach ordynansa, oficer Zareby zgięty wół po ciosie. Branicki. Pułkownik Branicki. Przestał już, widać, uganiać się za wrogami króla. Księżę Sułkowski nie przejmował się jego rozkojarzeniem, parsknął sztucznym nieco śmiechem.

- Nie wierzy mi pan, , nie wierzy. Mógłby pan chociaż lepiej udawać. O co mu chodzi, do diabła, kpi czy na serio chce go wplątać w te niestrawne rozważania. I czemu odciąga go od reszty towarzystwa, coraz gromadniejszego i coraz bardziej dostojnego.

- Przyznaję, , że wiara nie jest moją najmocniejszą stroną. I chyba nie będzie. Więc. . . Branicki przywitał się z mężczyzną wspartym niedbale o powóz. - Więc woli pan nie zaprzętać sobie głowy przyszłością.

. Coś, jakby daleka przestroga, zabrzmiało w tych słowach. Spojrzał badawczo. Ale nie - w twarzy księcia nie było nic podejrzanego.

- Owszem. . Ale bliższą. Na co właściwie czekamy? Sułkowski odplącił mu podobnym spojrzeniem, pokrywającym jakieś skłopotanie. I to ba- danie wypadło dobrze, bo objął Casanovę ramieniem i popchnął lekko w stronę pozostałych.

- Czekamy na właściwą chwilę, , panie Casanova! - To znaczy?

? - To znaczy, , że te, które teraz przeżywamy, są niewłaściwe. - Król jeszcze śpi?

? - To jest dobry przykład. Widzę, że pańska zdolność rozumowania nie doznała uszczerbku na petersburskich salonach.

Ukrył przykrość, jaką sprawiały mu te słowa. Na taką ironię, na granicy szyderstwa i zwy- kłego chamstwa, mogli pozwolić sobie tylko wysoko urodzeni, nikomu innemu nie uszłoby to

67 bezkarnie. Ale tam, na tych " salonach " , po których go nazbyt dosłownie wleczono, wbito by

tamtemu to szyderstwo głęboko w gardło, nie zważając na jego wysokie urodzenie. Pająk, ten oszalały z nienawiści do Katarzyny Pająk, też był jakimś księciem, nie mniejszym może od Sułkowskiego.

- No, niech się pan nie obraża. - Księżę uśmiechnął się pojednawczo. - Lubi pan, hm, po- swawolić rano?

A więc o to chodzi? Że też wcześniej nie przyszło mu to do głowy. Z króla jest podobno niezły ogier. Tam w Petersburgu mówili o tym z uznaniem, a hrabina, jego wspaniąta hrabina, zaśmiewała się do łez, gdy ją o to spytał. No tak. Gdy oni tu szlifują uroczyście bruk, przy- wdziewają dostojne miny, stroją się w mądrość i powagę, on tam wspina się pewnie na jaki



pękaty tyłek albo zjeżdża z czyjegoś miękkiego brzucha. Casanova mógł się już teraz odwzajemnić księciu Sułkowskiemu uśmiechem.

- Lubię i rano. Ale nie tak zapewne jak król. Wielka odnowa moralna zaczyna się od porannego pieprzenia. Całkiem niezłe. Ten program zbawienia świata będzie miał wielu zwolenników. A naród, który za nim pójdzie, na pewno nie zginie.

Księżę przedstawił go Branickiemu. Nie miał zbyt wiele czasu na ceremonie - tamten spojrzał nieuważnie, bez zainteresowania, bo coś innego skupiło już uwagę wszystkich. Mężczyzna o brutalnej twarzy wyprostował się służbiście, kilkoma susami dopadł drzwi nadjeżdżającego powozu, otworzył. Krew uderzyła Casanovie do głowy - ten kipiący od szamerunków mundur, twarz okolona bakami - zanim zrozumiał, że to nie pułkownik Astafow, przstraszył się nie na żarty. Skłął się kwieciście w myślach za ten odruch, ale zaraz zauważył, że ten dostojnik o butnym spojrzeniu, ledwie odwzajemniający ukłony, nie tylko jego wprowadził w zakłopotanie, graniczące u niektórych z paniką. Spojrzenia jednych umykały gdzieś w bok, lekko jednak, by przypadkiem, broń Boże, nie urazić nikogo, inne nateżone aż do bólu, szukały wzroku tamtego. Rozstąpili się wszyscy, gotowi przepuścić intruza czy zbawcę, ale on przyjął tę gorliwość z pogardliwym spokojem, ugiął kilka razy kolana dla sprawdzenia czy buty dobrze leżą, i nie ruszał z miejsca - uważnie słuchał szczekliwego raportu mężczyzny o brutalnej twarzy.

Nie było kogo spytać, Sułkowski zniknął gdzieś nagle, a Branicki przesunął się bliżej pyszałka w mundurze.

- Kto to? ? Stojący przed nim mężczyzna obrócił się na pięcie. Giacomo zobaczył twarz zezłoszczonego dziecka.

- Nikt. . Rozwścieczony cherubin zauważył jego zakłopotanie i cudzoziemski strój, uśmiechnął się niespodziewanie serdecznie.

- Czyli jego ekscelencja, ambasador imperatorowej Wszechrosji, hrabia Repnin, czy jak tam się ta bestia nazywa. . .

Carski ambasador! Do stu tysięcy piorunów! Czekali na carskiego ambasadora. Po prostu. Sułkowski zakpił z niego czy z samego siebie? "Właściwa chwila" . Właściwa chwila nadeszła wraz z właściwym człowiekiem. Śmieszne. Nic dziwnego, że aż się kłębi w tych

pochylonych unizenie głowach od rojeń o moralnym odrodzeniu. Ale niech łaskawie zaczną od siebie samych, pomyślał z wywyższością i ulgą, że nie tylko on w tym gronie ma słabość na sumieniu.

Nie zapomniał jednak gdzie jest, skinął głową w podzięcie, ale nie było już komu odbierać jego podziękowań. Ambasador, uznawszy demonstrację swej potęgi za zakończoną, ruszył dostojnie naprzód. Rozpierzchli się przed nim wszyscy, ale gdy tylko przeszedł, szpaler zasklepił się natychmiast, ożyły w nagłym marszu nogi i łokcie, wyciągnęły się szyje, zatrzęsły podbródki i brzuchy. Cherubin zwinnie zajął miejsce na czele korowodu, dwa nieprzekraczalne kroki za plecami hrabiego Repnina, który niespiesznie i jakby ociężale toczył się w stronę

68 zamkowych wrót. Jak paw, pomyślał Casanova, paw ciągnący za sobą wielki ogon. Ruszył i

on. Nie chciał być ostatnim piórem w tym ogniu. Wiedział wystarczająco dobrze, co się tu z piórami z ogona robi.

Przeżegnał się ukradkiem, żeby odgonić to przypomnienie, ale było już za późno. Zresztą - bywały gorsze, bardziej bolesne. Tu nie było bólu, tylko strach, zwierzęcy, rozsadzający wnętrzności strach. Niewiele z tego wszystkiego rozumiał. Wezwanie do carskiego pałacu przyjął jak oznakę zbawienia. Ale czy tak wygląda droga do zbawienia, przez mroźny, oblodzony plac, pod razami szydzących z jego cierpienia zbirów. Czy tak wygląda zapowiedź odmiany losu? A teraz? Wepchnęli go bez słowa do jakiegoś ciemnego i smrodliwego pomieszczenia i poszli sobie. Był już w pałacu, ale co z tego. Takiego, brudnego, w łachmanach nie pokażą go chyba cesarzowej. Musi być jednak przygotowany na wszystko. Skoro od tej rozmowy może zależeć całe jego życie.

Przede wszystkim koncepcja zjednoczonej Europy. Czyż narody tu mieszkające nie mają podobnych interesów, czyż nie staną się silniejsze razem, bogatsze, sprawiedliwiej rządzone, jeśli wspólny rozum najtęższych umysłów stworzy dla nich ustrojowe ramy. Kto zgłosi ten pomysł, kto mu poświęci najwięcej wysiłku, wejdzie jeszcze za życia w chwale do historii ludzkości.

Usiadł na podłodze, ale ta chwila wytchnienia była zwodnicza. Mógł zasnąć i dać się zaskoczyć nieprzygotowanym do walki o przyszłość. Swoją własną, a więc także - jak by to pozornie głupio nie brzmiało - o przyszłość świata. Tego by sobie nie darował. Zresztą zaczął go męczyć pęcherz. Podniósł się więc szybko, choć każdy miesiąc protestował w nim przeciwko temu gwałtowi, ruszył po omacku w stronę przeczuwanego okna. Mrok był niena-

turalnie gęsty i groźny. Zasłony, a może mur zamiast szyb. Coś szeleściło w przeciwległym kącie. Szczury?

Zacząć można od organizacji gromadzącej wszystkie państwa, duże, małe, nawet najmniejsze. Każde miałyby takie samo prawo głosu w najważniejszych sprawach. Cóż, wielcy zdani by byli na rozsądek małych, ale czyż ci mali są szaleńcami, żeby szkodzić silniejszym, a wielcy głupcami, żeby się teraz obawiać. Boskie i ludzkie prawa wołają o taki związek. A korzyści - zadziwią cały świat i skłonią go do rychłego przyłączenia się. Ileż wyschnąć może źródeł krwi i niesprawiedliwości, ileż szlaków kupieckich narodzić się, ile powstać arcydzieł. Zniknąć ma szansę nawet głód, ku chwale rządzących, a uciesze poddanych. On, Casanovą zna w tej kwestii pewne bardzo skuteczne, a proste rozwiązanie, które dzięki pomocy takiej powszechnej organizacji przyniosłoby bardzo szybko efekty. Bulwy patatów, zwanych w Niemczech kartoflami. . .

Przyspieszył nieoczekiwanie kroku. Parcie, które odezwało się przed chwilą lekkim śwędzeniem, spotężniało nagle aż do bólu. Przeziębili mu pęcherz, łotry. Co robić? Zgiął się wpół, ale to nie mogło starczyć na zbyt długo. Wszystko co było ważne jeszcze przed sekundą, przyszłość świata i odmiana jego własnego losu, namiętne tyrady do zasłuchanej coraz uważniej carycy, to wszystko zniknęło gdzieś natychmiast i dopiero, kiedy pierwsza struga, przynosząca ulgę, zapieniła się na podłodze, zaczęło wracać chaotycznie i wstydliwie. Chciało mu się płakać i śmiać nawzajem, gdy tak dzierżąc w dłoni krztuszący się z wysiłku flaczek, starał się celować jak najdalej od siebie. Zanim pojawił, że w coś trafił, potworny krzyk, iście piekielna eksplozja furii i strachu, uderzył w niego z szaleńczą siłą. Umarł na chwilę, potem sparaliżowany, wypuścił z rąk flaczka i spodnie, wreszcie, gdy wrzask powtórzył się - stać go już było na zwyczajny strach. Jest tu zamknięty z jakąś bestią, z potworem o zamaskowanych ciemnością kształtach. Jezu Chryste, śmierć dla niego przyszykowali, łotry, nie rozmowę z carycą. Ryczącą wściekle śmierć z wielkimi zębami i kolczastym językiem. Jakby z dusznego snu skoczył w przejrzystą, cuchnącą siarką i amoniakiem, jawę.

69 Zatoczył się i byłby upadł, gdyby ręce nie wczepiły się kurczowo w jakąś miękką materię.

Szarpnął całym ciężarem, zasłona odchyliła się nieco i w księżycowej poświacie, rozcinającej gwałtownie mrok pokoju, zobaczył Giacomo swojego prześladowcę - przycupniętą w kącie wielką kurę, z rozwartym ze strachu dziobem i uniesionymi kikutami skrzydeł. Nie miał siły się śmiać. I wcale niełatwo przyszło mu odnaleźć w pamięci nazwę tego dziwnego ptaszka. Pavo cristatus. Paw. Ale paw, który w miejscu wspaniałego ogona miał tępy, goły kuper.

Co to właściwie wtedy było? Chcieli go przestraszyć w tak dziwny sposób? Wątpliwe. Takiej finezji w dręczeniu ludzi nie podejrzewał u tych płaskonosych oprawców. Rąbnąć w twarz, skopać, albo powalić strzałem w potylicę - tak, to potrafią na pewno lepiej. Więc przy-

padek. I tak miał może szczęście, że nie wepchnęli go z workiem na głowie i związanymi rękami do jakiejś piwnicy, żeby przypomnieć sobie o nim po miesiącu. I o takich historiach opowiadał mu Pająk. Albo do którejś z wyściełanych marmurem sal, służących w zimie za wychodek. Mógłby zemrzeć od smrodu albo rozbić sobie głowę na gównianej ślizgawce. Więc przypadek?

Wtedy nie miał czasu ani ochoty o tym myśleć. Potoczyło się bowiem wszystko dalej tak gwałtownie i nieoczekiwanie, że cała przeszłość, a cóż dopiero wrzeszczący paw o wyskubanym tyłku, przestała się liczyć. Potem bał się tych przypomnień. I tak przywoływał je czasem w nocy strach, zwiastujący szaleństwo strach z tamtego mrocznego pokoju. Tu, w Warszawie zdarzyło mu się to tylko raz, ku przerażeniu dziewczynek, grających z nim potem w karty aż do świtu. To było dawno. Teraz, stąpając, jak inni, godnie, w dostojnym orszaku, czując przez delikatne podeszwy pantofli przyjazne ciepło pałacowego dziedzińca, mógł o tym myśleć, choć nie bez przykrości, jak o czymś, co się zdarzyło kiedy indziej i właściwie komu innemu.

Ale jednak - wpatrzył się uważnie w kark carskiego ambasadora, jakby tam miał znaleźć rozwiązanie - zakpili wtedy z niego. Ten paw pozbawiony urody i siły to miał być właśnie on. Zgnębiony i zszmaciały Casanova, potrafiący tylko wrzeszczeć ze strachu i upokorzenia. Tryumfujące prostactwo. Byczy, nabiegły krwią kark. Prostactwo. Ale jednak tryumfujące. Skąd mogli wiedzieć, co mu się przydarzy? A przecież wiedzieli. Może raczej przewidzieli. . .

Rozwścieczyło go to nieoczekiwane odkrycie, gdyby tylko mógł, sieknąłby czymś ostrym w odkrytą szyję carskiego dostojnika, prowadzącego ich na komnaty polskiego króla, niechby tamta krew ugasiała wrzenie jego własnej. Sama myśl o tym przywróciła mu szybko równowagę. Był już znowu sobą, bywalcem dworów, Europejczykiem, przedkładającym zawsze intelekt ponad przemoc.

- Pan, , słyszę, prosto z Petersburga. Wiedział już, że złośliwy cherubinek to bratanek króla. Uśmiechnął się szczerze . - Mam tę przyjemność.

Przystanęli na chwilę w obszernym przedpokoju, zamkniętym pięknymi, rzeźbionymi drzwiami. Repnin zniknął za nimi przed sekundą.

- Przyjemność? ? Co pan nazywa przyjemnością? Pepi, księżę Pepi, tak go nazywają. Zarozumiały chłystek, ale któż by nie był zarozumiały w jego wieku i w jego sytuacji. Lepiej go mieć po swojej stronie.

- To, , że mogłem stamtąd wyjechać. Księżę zaśmiał się hałaśliwie, aż kilka sędziwych i napiętych oczekiwaniem twarzy zwróciło się w ich stronę.

Z wolna, bezszelestnie, otworzyły się drzwi. Zamiast królewskiej sypialni ukazała się znowu amfilada jasnych pokoi, pustych i jakby nie zamieszkanymi. Ruszyli wszyscy z miejsca, Giacomo przesunął się nieco do przodu, nie musiał więc odpowiadać na głośny szept księcia Pepi.

- A czcigodna wujenka jak? ? Pieprzy się ciągle z kim popadnie?

70 Wykapany, ogolony, przejrzany od gardła aż po odbyty, ubrany w dziwaczny mundur ni to

huzara, ni to kozaka, spryskany najdoskonalszymi paryskimi perfumami, stał oto przed tą kobietą władającą połową świata. Słuchała, albo udawała, że słucha, nie patrząc na niego, skryta za potężnym biurkiem o nogach ze złota. Była pewnie kiedyś niebrzydka, co prawda w typie, którego nie lubił, choć czasem doświadczał - panien o surowych rysach i białym ciele, teraz jednak można było się tylko tego domyślać. W nalanej, jakby spuchniętej twarzy, w tęgiej sylwetce, osłoniętej zwiększającą jeszcze jej rozmiary, bufiastą suknią, nie dało się znaleźć niczego pociągającego. Pewnie gdyby mógł podejść bliżej, znalazłby i cień zarostu nad jej górną wargą. Ale nie podchodził, nie miał prawa postąpić dalej kroku. Jedno jej spojrzenie osadziło go w miejscu. Takie spojrzenie mogło zabijać. I pewnie zabijało. Tak, to była imperatorowa Wszechrosji, żelazna Katarzyna. Wolał więc nie ryzykować. Stał jak przed sądowym trybunałem i zamierającym ze zdenerwowania głosem wygłaszał swoją tyradę o przyszłości świata, o zjednoczeniu Europy pod wodzą najświetlejszych monarchów, o organizacji ludów zjednoczonych, która scali, co rozbite, połączy, co rozłączone.

Mówił to i coraz wyraźniej czuł, że jego cudaczny mundur jest przyodziewkiem błazna, a paryskie perfumy to nic innego jak odór kurewskiego stanu.

Rozbrojenie, to problem najważniejszy. Najsilniejsi powinni dać przykład. Gdy ograniczy się wojsko do niewielkich rozmiarów, nikt na nikogo nie będzie napadał, a pokój, cóż, tyleż jest potrzebny ludziom co miły. . . chciał powiedzieć - Bogu, ale poprawił się, ma przecież do czynienia z czytelnicką Woltera - właściwy Naturze. Skończył. Miał wszystkiego dosyć. Niech diabli porwą jego idiotyczne pomysły, Woltera i tę tłustą zmię, która spojrzała na niego znowu jak na wróbla wpuszczonego do jej klatki.

- Pięćdziesiąt tysięcy wystarczy na początek? ? Głos miała łagodniejszy niż cała postura. Czego pięćdziesiąt tysięcy? Dukatów, franków, kijów na grzbiet? I za co chce go to wąsate babsko nagradzać czy karać? Udał zastanowienie, choć nie był pewien czy nie sprawia teraz po prostu wrażenia idioty. Caryca wyjęła ręce spod stołu, wąski nożyk zaślśnił między jej palcami, w drugiej dłoni trzymała jabłko. Całe było po- nacinane ostrzem. Krople soku ciekły z owocu na błyszczący blat.

- Dobrze. Niech będzie siedemdziesiąt tysięcy. Siedemdziesiąt t ysięcy żołnierzy mniej w Europie. Ale w zamian za gwarancje od twoich mocodawców, że Turcja zostawi nas w spokoju na kilka lat. Pięć, powiedzmy.

- Pięć lat - powtórzył, nie bardzo wiedząc o czym mówi, jaka Turcja, jacy mocodawcy? Chyba znowu biorą go za kogo innego. Nigdy się nie skończy ten ponury sen?

- Wystarczy. . Później my się zatroszczymy o spokój Turków. Bierze go za kogoś innego, albo kpi sobie w żywe oczy. Jedno i drugie było groźne, co do tego nie miał wątpliwości.

- To bardzo chwalebne - zaczął ostrożnie, walcząc ze swym chrypiącym nagle głosem, ale zanim pozostałe słowa uwięzły mu w gardle, caryca lekceważąco machnęła dłonią.

- Ani trochę. . Użyjemy tych żołnierzy w Azji. Mamy tam jeszcze trochę wrogów. Wstała nagle, jakby uznając tę część rozmowy za zakończoną. Był a podobna do mebla stojącego za nią w rogu pokoju, błyszczącej złoceniami, ciężko się trzymającej na szeroko rozstawionych nogach szafy. Pół świata we władzy szafy, pomyślał złośliwie, co z psim uśmiechem na twarzy nie było takie łatwe. Pozbył się zaraz tego ochronnego uśmiechu, osta- tecznie nie ma się czego obawiać, nie jest przecież więźniem, t a audyencja świadczy o tym najdobitniej, jeśli nawet biorą go za kogoś innego, to przecież za kogoś ważnego, komu nale- ży się cześć i szacunek. A może to wcale nie pomyłka, zrozumieli swoją głupotę i chcą mu teraz ten błąd wynagrodzić.

71 Nożyk ciągle błyszczący w jej dłoni, nożyk do przecinania listów. List od Woltera. Kto

wie? Mógł się od kogoś dowiedzieć, co się dzieje, napisał do niej w obronie swojego przyjaciela. Tak. To było prawdopodobne. Świat nie jest przecież tak absurdalny, na jaki czasem wygląda.

Szafa ruszyła z miejsca aż zatrzęsły się wszystkie wypukłości, zakamarki i złocenia. Zdziwiło go, że nie wyglądała wcale niezgrabnie w tym ruchu, ciężar, który niosła był sprężysty, nogi silne. Znowu nie wiedział czego się spodziewać. Dotknęła go ostrzem nożyka w pierś.

- A tak między nami mówiąc, panie Casanova, nie zdaje się panu i pana przyjacielom, że natura naprawdę uznaje tylko walkę. Wy, masoni, tego nie widzicie czy nie chcecie widzieć? Natura to przemoc, krew, gruchotanie kości. Nie mam racji?

Chciał się skłonić z jakimś nieobowiązującym frazesem, jako mason może sobie pozwolić na tajemniczość, ale nożyk merdający w jej ręce i chrapliwy, coś nowego wieszczący głos, kazały mu znieruchomieć. Pęcherz, żeby tylko nie odezwał się pęcherz.

Dłoń Katarzyny, jej palce, paluchy obciążone pierścieniami, dłoń, na której skinienie czekają miliony ludzi, od tych tam za drzwiami, gotowych go wynieść na rękach albo zakatrupić aż po koronowane głowy w całej Europie, spoczęła na jego piersi. Pyknęły guziki, jeden, drugi, ostrze przejechało wreszcie po skórze. Nie poruszył się. Wiedział, że nie ma prawa.

- Krew - przytknęła mocniej dłoń - pot - przeciągnęła go drugą ręką - ślina. . A więc wszystko, co o niej szeptali, mówili, krzyczeli, to prawda. Szafa, rozpustna szafa. Będzie pieprzył rozpustną szafę.

Ale nie było to takie proste. Ku jego zdumieniu najpierw, a potem przerażeniu, broń odmawiała mu posłuszeństwa. Kobieta leżała przed nim rozpostarta na bufiastej sukni, nie skrywając niczego, a on jak pierwszy lepszy młodzik, nie potrafił zabrać się do dzieła. A przecież musiał. Inaczej koniec z nim, koniec. Im głośniejsze to powtarzał w myśli, tym szło mu gorzej. Gorączkowo próbował przypomnieć sobie coś podniecającego, ale nic, co potrafił przywołać, nie mogło zmienić tego, co czuł i widział naprawdę. Najśłodsze usta z ruchliwym językiem Pauline, sprężynująca cipka Binettii, wirujący tyłek i gardłowy śmiech dziwki z Hamburga, którą wziął zaraz po poprzednim kliencie, to było za mało, żeby odwrócić jego uwagę od nieforemnego brzucha i zwierzęcej szczeciny pokrywającej to, w co wdzierać się nie miał czym. Przywołał jeszcze na pomoc dwie Chinki, pieszczące się z nim w łaźni, pewien zapach, którym parowały, ich krzyki rozkoszy. Ale zamiast gołych brzuszków Chinek widział szczecinę, pod którą ostrymi kolcami czekają na jego wtargnięcie weneryczne wrzody, zamiast zapachu młodych ciał czuł jej nieświeży oddech, zamiast śpiewu miłości słyszał coraz potężniejszy i coraz groźniejszy ryk szalonego Pajaka.

- No? ? Pociągnęła go na siebie, próbowała okraczyć nogami, kopiąc przy tym i poszturchując. Jeszcze te piersi, płaskie, sflaczałe, z suchym wąwozem pośrodku. Nic już nie pomagało. Dyndas pozostawał dalej dyndasem, nie maczugą i ciągle bliżej był spełnienia potrzeb pęche- rza niż cesarzowej Wszechrosji. Do diabła, z prawdziwą szafą miałby mniejszy problem. Nic, kłapa, powszechne rozbrojenie zamiast wojny.

- Ja zaraz - wybełkotał w jakimś nieznanym pierwotnym języku, wyrwał rękę spod jej ciężkiego zadu, złapał, ścisnął, pomiętosił. Ta dziwka Catani nabita z tyłu na jakiegoś chłystka, uśmiechnięta do niego, niewinnie i czule, bezwolna Angielka, którą wygrał na jedną noc w karty od czekającego za drzwiami narzeczonego, garbus z wielką męskością w dreźnie- skim kabarecie. Coś, może jakaś nadzieja, cień nadziei, no! Niech tylko ten flakowaty dureń podniesie łeb i ruszy przed siebie. Wszystko mu już będzie jedno, pal diabli ostrzeżenia Pajaka. Wymłóci babę, aż ją będą musieli wynosić. A potem nie daruje i szafie, choćby nie wiem ile miała w sobie mieścić szuflad.

Szuflad! Mroźna igła przejechała mu po plecach. Szuflada Kuca! Potrzask dla jego bez- bronnego przyrodzenia, gotowy ścisnąć, miażdżyć, obcinać. Tępy ból brzucha, gdy zrozu- miał, do czego służy. I panika w kiszkach, gdy szuflada zatrzaskała się z hukiem o centymetry

72 od jego skarłatych nagle jąder i prawie wessanego do środka członka. Zgroza! Przecież ta

baba- szafa może szykować podobną pułapkę. Wykastruje go, zmiażdży, pochłonie. Już wiedział, że wszystko na nic. Cudu nie będzie. Koniec. Z nim i z całym światem. Nie zjedna jej dla europejskiej wspólnoty, ani dla rozbrojenia. Przeciwnie - będą się teraz zbroić na potęgę i jedni i drudzy i trzeci. Nowi żołnierze, nowe bronie, nowe wojny. Już ona o to zadba. Wzgardzone kobiety są straszne, a któraż z tych dotychczas wzgardzonych ma choćby cząstkę władzy tego obrzydliwego babska. Zgubi, postawi pod bronią cały świat. I to przez co? Przez jego przedwczesne rozbrojenie. On też zginął, przepadł, trzeba żegnać się z życiem.

Podniósł się nie bez trudu, bo kanapa chciała go jakby zmusić do powrotu, a wtedy leżąca pod nim kobieta, już nie cesarzowa, ale zniecierpliwiona jego opieszałością baba, sięgnęła sze- rokim, gospodarskim gestem pomiędzy jego nogi. Wyteżył siły całej wyobraźni, ale nie zdążył już wymyślić niczego. Sekundę później wiedział, że to nie była pieszczota, ale badanie.

Wycie, straszne wycie Pajaka wydobyło się z jego gardła, gdy pulchna dłoń stwardniała nagle w cęgi, mordercze kleszcze gotowe miażdżyć, rwać, psom rzucać na pożarcie. Szaleń- stwo!



Kuc kastrujący drezdeńskiego garbusa. Pająk z jądrami jak balony. Ból zgiął go w pół jednym ciosem, jednym paraliżującym błyskiem. Niczego nie czuł i nie rozumiał. Już na podłodze dopadło go jej pełne morderczej furii: Won! Won!

Otarł dyskretnie krople potu z czoła. Nie lubił tych przypomnień. Nie wracał do nich zresztą, bo nie nadawały się do niczego. Nie mógł w nich być ani prawdziwym bohaterem, ani prawdziwą ofiarą. Tylko Pająk potrafiłby go zrozumieć, ale Pająk gnije już pewnie gdzieś pod więziennym murem. Ci tutaj mogliby tego nie przeżyć - z oburzenia albo ze śmiechu. Choćby ten chłystek książę Pepi, miałby temat do tłustych kpinek. Tylko tyle by z całej histo- ryjki zostało, że nie dogodził carycy, skoro więc nie mógł liczyć na współczucie, wołał mi- czeć. Na razie. Bo kiedyś to na pewno opisze. Zemści się za wszystko, nie daruje tej potwor- nej babie. Nie oszczędzi żadnego szczegółu, a jeśli uzna za stosowne - doda kilka takich, że największe dziwki rozdziawią ze zdumienia gęby. Tak. Do diabła! Zrobi to. Niech potomni wiedzą w czyje ręce wpada władza nad światem. Znalazł się znowu koło księcia Sułkowskie- go. Teraz uczony nudziarz mógł mu się przydać.

- Przedstawi mnie książę królowi? ? Stali już w królewskiej sypialni, przegrodzonej potężnym parawanem, spoza którego do- chodziły stłumione odgłosy jakiejś krzątani- ny, szmer niespiesznej rozmowy, pokasływanie. Lada moment parawan powinien się odsłonić, a wtedy może być za późno, żeby zabiegać o cokolwiek. Sułkowski uciszył go gestem dłoni.

- To się okaże. . Ponoć nie czuje się dzisiaj najlepiej. Bywa i tak. Bywa i tak. Merde. Łatwo tak mówić o czyimś pechu. Znowu miałyby się skończyć na niczym. Po tylu przygotowaniach, wyczekiwaniu, znowu wszystko na nic? Przełknął z wrażenia ślinę.

- Jak to? ? - Ano tak. Panu z pewnością też się czasem przytrafi to i owo. Choroba nie wybiera - błysk złości przemknął na twarzy księcia - król czy zwykły śmiertelnik.

. To jeszcze ironia czy już - o sztylet wołająca - obraza. Król i zwykły śmiertelnik! To miało być do niego. Zwykły śmiertelnik! Ano, niech będzie. Nie cierpiał ludzi, okazujących swą wyż- szość w tak męczący sposób, ale co robić. Księcia Adama tu nie było, a poza Sułkowskim wła- ściwie nikogo więcej dobrze nie znał. Nie mógł jednak opanować rozczarowania.

- A hrabia Repnin? ? Jego sztylet był cienki i celnie wymierzony. Książę skrzywił się subtelnie, głos miał jednak mniej opanowany.

- Co Repnin? ? - Leczy króla? Bo siedzi u niego dość długo.

73 To ostrze sięgnęło głębiej. Sułkowski spoważniał, jakby docenił przeciwnika.

- To sprawy natury państwowej. . Nie nam je oceniać. Zamilkli, zawiedzeni nieco sobą. Casanova chciał już załagodzić swoją złośliwość, ale księżę odwrócił się do niego plecami i omijając stojących przed nim, przedostał się na czoło czekających. Powiedział coś do mężczyzny o wysoko wygolonym karku, potem poszukał wzrokiem Casanovy i pokręcił przecząco głową. Nic z tego, jednak nic.

Nic. Po co więc stoją dalej jakby wszystko było w porządku, zamiast zabrać się stąd w diabły. Na co znowu czekają. Czyżby była jednak jakaś nadzieja? Nie, to nie to. Pojął zaraz, że znowu się zagapił i zgrzeszył naiwnością. A przecież już raz reguły gry, jaka się toczy na tych pokojach, zademonstrowano mu bez żadnych osłonek. Jasne, skoro przyszli tu w orszaku carskiego ambasadora, nie mogą zabrać się stąd bez niego. No, cóż przeżyję i to, pomyślał z rezygnacją, lepsi od niego - rozejrzał się, miny sąsiadów nie zdradzały żadnego ożywienia - wytrzymują.

Sięgnął po chusteczkę, palce szukające delikatnego skrawka jedwabiu wymacały coś jesh- cze - okrągły, twardy kształt. Dukat, ostatni, jaki mu pozostał. Szarpnęło nim znowu rozgoryczenie. Sprawy natury państwowej. A on niby jakie ma sprawy do króla? Czy to, co miałby do opowiedzenia, nie ma wagi państwowej, dla jakich spraw tu przyjechał, chyba przecież nie dla własnej przyjemności, bo wtedy wybrałby zupełnie inny kierunek. Pustki w kieszeniach też są pozornie tylko jego problemem. Co zrobi, jeśli tamci opłacą go pierwsi? Może będzie musiał dotrzymać obietnicy. A wtedy to państwo bez króla. . .

Przyjrzał się ukradkiem dukatowi. Trochę takich krążków, a przestałby go uwierać panto- fel ze złotymi klamrami i drażnić skórę paryski jedwab, pospłacałby długi i zaczął myśleć o prawdziwych interesach. Czyż jego rewelacje nie są tyle warte?

Zdecydował się - opowie wszystko królowi. Wszystko - kto go tu posłał i po co? Potem niech się dzieje, co chce. Tak. Podrzucił dukat w dłoń, na szczęście! Niech mu ta decyzja przyniesie ich całe mnóstwo. Złoty pieniążek wleciał ochoczo w górę, ale kiedy miał spokojnie i pewnie jak w magicznych popisach Jeremiego, spocząć z powrotem w pięciopalcza- stej skarbonce, przekreślił się nagle, smyrznął koło kciuka i nie zatrzymany nawet przez dy- wan, potoczył się w stronę królewskiego parawanu. Merde, po stokroć - merde!

! Tego było już za wiele. Zachciało mu się sztuczek, idiocie. Tylko chwilę się wahał czy przekroczyć magiczną linię dywanu, ostatni dukat, tego nie może darować nikomu. Rzucił się gwałtownie w pogoń, moment niepewności mógł go drogo kosztować. Wywoskowana jak lustro podłoga zahuczała kompromitująco głośno, czuł, że wszyscy patrzą teraz na niego, ale trudno. Energicznie młócił obcasami, ale i tak na niewiele się to zdało. Choć moneta toczyła się resztką sił, to i parawan był już blisko. Casanova gruchnął na kolana, żeby nie wpaść jak pocisk do królewskiej sypialni, wyciągnął przed siebie ręce i plackiem runął na podłogę. Na próżno. Dukat wtoczył się pod parawan i zniknął.

Szpara była na szczęście duża, zerknął łapczywie i ucieszył się - pieniądze leżały w zasięgu ręki. Zaraz jednak zobaczył coś jeszcze, co przyćmiło nawet widok dukata. Delikatna, prawie kobieca stopa dyndała blisko podłogi, jakby czegoś szukając. Zastygł z wrażenia - król, to musiał być król. Noga króla, stopa króla, królewskie palce i pięta. A te czarne, rozstawione szeroko buciory czyje? - tylko tego carskiego pawia, hrabiego Repnina. Pod butem hrabiego coś tkwiło. Przyjrzał się uważniej - pantofel, jeszcze uważniej - pantofel z królewskim monogramem. To jego szukała myszkująca po podłodze stopa. Wymacała, szarpnęła lekko ku sobie, ale pantofel ani drgnął, przytrzaśnięty ambasadorskim obcasem. Szarpnęła mocniej - także bez rezultatu. A gdy Casanova chciał już wyciągnąć rękę po ostatni skrawek tego, co mógłby nazwać swoją własnością - królewska stopa zrezygnowała i szurnąwszy niepewnie po podłodze, wycofała się znów w górę, na łóżko.

Powstrzymał rękę. Na czworakach, z gardłem zaciśniętym nieznanym mu dotąd uczuciem, ruszył z powrotem. Dwóch służących o zaciętych, złych twarzach szło szybko w jego stronę.

74 Zapach poczuł już na schodach, skwaśniałe wino, czosnek i duszna wilgoć murów - to

było coś, czego nie musiał sobie przypominać. Przez ostatnie miesiące smakował wszystko z osobna - wilgoć w carskich lochach, kwaśne wino i kęsami jedzony czosnek w żydowskich karczmach po drodze, ale cóż to miało wspólnego z pielęgnowanym gdzieś pod językiem zapachem weneckich uliczek. Boże, Wenecja! Mgła na Canal Grande, cichy plusk wiosł, ostrzegawcze pokrzykiwania gondolierów i on, nie czujący chłodu, rozgrzany do czerwoności myślą o czekającej go zaraz miłości, albo wiele godzin później, ze zwiniętą potulnie męskością, zmęczony, senny, wypełniony już tylko błogą nadzieją odpoczynku. Boże - pozwól to przeżyć jeszcze choćby raz!

Otworzyła mu młoda, tęgawa dziewczyna o piersiach pogańskich bogiń płodności. - Mistrz w domu?

? Odpowiedziała coś śpiewnego po polsku i poszła przodem. Pośladki też miała potężne, wysoko sklepione, prawdziwe, jak mawiano w jego stronach z przedziwną mieszaniną podziwu i wzgardy - dupsko. Nie zapowiadało się źle. Najpierw ten swojski zapach na schodach, teraz równie swojskie, boskie kształty. Służącej, modelki, żony?

Zatrzymał się w progu pracowni. Tu już bił w nozdrza ostry smród farb i terpentyny. Nie to go jednak oszołomiło. Nie zauważył nawet w pierwszej chwili malarza pochylonego nad stolikiem w głębi, bo zewsząd, ze złożonych ram na ścianach i surowych jeszcze miejscami płatów naciągniętego płótna w kącie, z rozpoczętego wielkiego obrazu na sztalugach i małych obrazków stojących szeregiem pod oknem, patrzył na niego król. Spokojna o swoją ważność twarz, rzymski nos, ciemne oczy i brwi pod jasną peruką. Nie było wątpliwości - Stanisław August. Rex Poloniae. Szlachetność i dostojeństwo w rysach, dumna postać, odrobina pychy na wargach. Tak, taki powinien być król. I tak się powinno malować króla. Tak się maluje króla, gdy się jest królewskim malarzem.

A nogi? Jakiś wewnętrzny chichot kazał mu poszukać tej stopy, z którą zawarł niedawno znajomość, stopy w lekkim, rannym pantoflu nadepniętym obcasem hrabiego Repnina. Ale nóg nie było. Tylko na jednym obrazie, tym jeszcze malowanym, król, w hieratycznej pozie i wspaniałym stroju, przedstawiony był w całej okazałości, ale od kolan w dół jedynie kilka przypadkowych maznięć pędzlem markowało dostoje kończyny.

Malarz podniósł się wreszcie znad stołu, był krepny, prawie tęgi, niewysoki. Wielkie płótna maluje na szrudłach czy na drabinie, pomyślał Giacomo, czekając na uśmiech czy jakiś inny znak sympatii ze strony tamtego. Ale twarz z wyraźnymi śladami ospy, dziobata gęba właściwie, wpatrywała się w niego bez wyrazu, już więcej życzliwości mógłby dla siebie wyczytać z królewskich oczu. Trudno - sam sobie musi radzić. Nie pierwszy przecież i nie setny raz. Niewiele jednak zdążył powiedzieć.

- Wiem kim pan jest. . Nie wiem tylko, co pana do mnie sprowadza. Głos miał malarz chrapliwy, nieprzyjemny. Jeszcze jeden pech. Niczego co by pomogło wyrzesać z siebie lekkość i wdzięk salonowej konwersacji. Chyba tylko ta szerokozada dziewczyna przycupnięta teraz pod oknem, czyszcząca pędzle gałganami. Dla niej nie pozwoli się zbić z tropu.

- Miło odwiedzić rodaka. . A poza tym chciałem zamówić portret. Tamten uśmiechnął się nieoczekiwanie szeroko, nie było w tym jednak na szczęście nic obelżywego.

- Portret? Widzi pan co się tu dzieje? Mam zamówienia dla trzech takich jak ja. Ale dla rodaka może mógłbym zrobić wyjątek. O ile rodak jest odpowiednio zasobny.

Wyciągnął olbrzymie cygaro z kieszeni fartucha, którym był zakuty. - A jest?

?

75 Przynęta została złapana, to najważniejsze. A zbyć udawaną głuchotą impertynencję - to

już żadna sztuka. Przebić ją bez słowa ogromną, wysadzoną rubinami złotą papierośnicą pożyczoną wczoraj od księcia Sułkowskiego - sama przyjemność. Malarz obrócił z uznaniem papierośnicę w dłoni.

- Siadajmy. . Sam nie siadł jednak, przywołał skinieniem dziewczynę i objąwszy ją poufale, szepnął jej coś do ucha.

- Nie chciałbym sprawiać kłopotu - zaznaczył uprzejmie Casanova, moszcząc się w fotelu i popatrując już spokojniej na królewskiego malarza, któremu nie tylko gotów był przysporzyć kłopotów, ale chętnie by go nimi przywalił. I nie był pewien, czy nie przywali. A portret ostatecznie, zawsze się przyda. Miał teraz naprzeciwko siebie niedokończony obraz, stojący na sztalugach - król spoglądał w przestrzeń pewnie i godnie, nie bacząc wcale, że cały ciężar jego ciała i gronostajowego futra, pokrytego purpurowym aksamitem, dźwiga zamiast nóg kilka przypadkowych kresek.

Dziewczyna wróciła z butelką wina, włożyła też nową suknię o dekolcie podchodzącym aż po same sutki. Do pioruna, zrobiła to chyba dla niego! Zaniepokoił się tym raczej niż ucie- szył. Kretynka! Przecież ten zadowolony z siebie rodak też mógł to pojąć. A teraz żadne bzdury nie mogą mu wejść w paradę. No, adres wsunie jej cichcem na odchodnym. Malarz wypił swój kielich wielkim haustem. Nalał sobie znowu.

- Toskańskie - cmoknął i usadził sobie, zadowolony z takiego obrotu sprawy, dziewczynę na kolanie. Rozkraczony szeroko, z wielkim cygarem w zębach, kielichem wina w jednej i pulchną piersią w drugiej ręce, wyglądał teraz raczej na jakiegoś starożytnego satyra, nie zaś

bywalca królewskich salonów, o których obyczajach słyszy się, co prawda, różne rzeczy, ale na pewno nie te, jakie można zobaczyć tutaj. Satyr jakby wyczuł jego myśli. Pochylił się w przód, zagarniając jeszcze mocniej dziewczynę. Ze wzrastającym podnieceniem obserwował Casanova kątem oka pulsowanie wielkich cyców. Wyrwą się na wolność, czy nie?

- Coś panu powiem. - Malarz uniósł kielich do góry. - Toskania - to jest miejsce dla malarzy. Nie ta tutaj przeklęta dziura. Taka jest prawda.

Giacomo zanurzył na wszelki wypadek usta w winie. Trzeba przeczekać, zorientować się, do czego tamten zmierza. Bo, do czego zmierzała jego ręka wczepiona w lewą pierś dziewczyny, było coraz lepiej widać, palec za palcem podwładał skraj sukni.

- Wszystko tu marność nad marnościami. Z jednym wyjątkiem - ścisnął dziewczynę tak mocno, że aż poderwała się z wesołym kwikiem i zbierając w dłonie oba swoje wyjątki, odskoczyła w stronę sztalug, nie speszona wcale, gotowa do dalszej zabawy. Krowa. A ten jej byk co wyprawia? Rozlał wino. Wywrócił fotel. Popiół z cygara dmuchnął mu na spodnie. Zwariował czy co?

- Przepraszam, ale głupieję od tego wszystkiego. Widzi pan, co dzisiaj robiłem przez pół dnia.

Na stoliku stało pudełko z jasnego drewna, leżały dziwne metalowe przyrządy, walały się kawałki jakiegoś żółtego metalu. Malarz uniósł wieko pudełka. Przez chwilę Casanova wpatrywał się bezmyślnie w kopczyk połyskliwego proszku. Potem poczuł gwałtowne ukłucie w sercu - złoto, , prawdziwe złoto.

- Sam to muszę przygotowywać, sam się męczyć. Tak jakby nie mogli sprowadzić gotowej farby z Paryża albo z Hamburga.

- Złoto? ? Wiedział, że o to jedno słowo powiedział może za dużo, ale nie umiał się opanować. Malarz dmuchnął lekko w kopczyk. - Najprawdziwsze. Żaden barwnik nie potrafi go imitować. Ale sam muszę się męczyć z tym głównym.

76 Chciałbym mieć twoje kłopoty, rodaku, pomyślał Casanovą z zawiścią w sercu i uśmie-

chem zrozumienia na ustach. Malarz uniósł kawałek złotej sztabki błyszczącej spiłowanym bokiem.

- Mówią mi, że Botticelli też to robił sam. Ale, na rany Chrystusa, czy my, Toskańczycy, zawsze musimy być wykorzystywani.

Coś było w jego twarzy, ruchach, barwie głosu, co ostrzegło Casanovę. Musiał się mieć na baczności, przestać się wpatrywać rozmodlonym wzrokiem w złote bryłki, zapanować nad chęcią zważenia ich w dłoni. Jest przecież kimś, kto już nie ma takich pragnień. Zamożnym rodakiem, niech nawet będzie, że Toskańczykiem, bogatym krajanem Botticellego, Medyceuszów i kogo tylko jeszcze chce ten dziobaty ulubieniec króla. Pragnie zamówić portret. Z tym tu przychodzi. Z niczym więcej. No, może jeszcze z małą nadzieją. . . Bo nawet nie prośbą. Ale chwilę z tym poczeka, uspokoi oddech, poskromi szyderstwo, którym chętnie zbiłby z nóg tego hałaśliwego indora. Wszystko musi być spokojnie, naturalnie, od niechcenia. Niech no tylko półnagi kurwizjon przestanie się kręcić między nami. . .

Jeszcze jeden kielich, wino było dobre, ale i to, co dobre ma swoje granice. Nie mógł jednak odmawiać. Szczególnie, że nalewały te dwie piersi bliskie już całkowitej swobody.

- Wyśmienite - powiedział nowym, opanowanym głosem. Teraz spyta czy to z królewskich piwnic, a trzecim zdaniem dobije targu. Kawałek po kawałku, po co tu naprawdę przyszedł. Może lepiej - królewski napój z królewskich piwnic?

? Nie zdołał już powiedzieć niczego. Malarz roześmiał się nagle, bez przyczyny i opadł z powrotem na fotel.

- Podoba mi się pan, panie Casanova. Ja tu mam przynajmniej jednego rodaka dziennie. Ale pan to co innego. Im tylko w głowie, żebym ich zaciągał na królewskie pokoje, przedstawił, zaprotegował, pokropił najjaśniejszą łaską, czyli, co tu dużo mówić, dopuścił do koryta. I co oni sobie myślą? Czy ja wyglądam na wariata, na samobójcę, w najlepszym razie na idiotę? Jakże ja mam ich dopuszczać do koryta, skoro ono, po pierwsze: jedno dla wszystkich, a więc i moje własne, po drugie: prawie puste. Bo nasz król łaskawy, ale groszem nie śmierdzi. Ot co! Więcej rozmachu niż ramienia, powiadam panu, a wiem co mówię. Nie będzie mi byle łajza, choćby i największy rodak, wchodził w szkodę. Spuszczam ich ze schodów bez ceregieli. I tak mają szczęście, że nie dźgnę pod żebro. A powinienem, jak mi Bóg miły, powinienem.

Giacomo chciał zarazem wstać i zapaść się w fotel jeszcze głębiej, uciec stąd i tkwić dalej naprzeciw tego dziobatego diabła, tryskającego ciągle, prawdziwą czy udawaną wściekłością.

- Niech pan sam powie, panie Casanova, własnym dzieciom mam odjąć od ust, żeby na- paść tych darmozjadów?

- Ma pan dzieci? ? Złość ustąpiła nagle błazeńskiemu namysłowi. - Dzieci?

? O, nie, to nie taki głupiec, na jakiego chciał wyglądać. Pułapka była sprytnie nastawiona. Byle tylko wyjść z niej bez szwanku. Malarz rozpromienił się, łypnął w stronę dziewczyny.

- A czy to człowiek może być czegokolwiek pewien na tym świecie, , co, kotku? Kotek prychnął perlistym chichotem i dał się znowu zagarnąć owłosionej łapie. Te łapy, mocne jak obcęgi, dech mogły wytrząść z człowieka, nie musiały dźgać pod żebro, ani zrzu- cać ze schodów. Cóż to może być za artysta z takimi łapskami? Marny pacykarz, bufon, pro- stak pchający się na salony. Casanova przymrużył oko, by z odpowiednio arystokratycznym grymasem wydostać się z tej niesmacznej bredni, ale zaraz otworzył je znowu. I to jak najsze- rzej potrafił. Bo to, co nie udało się owłosionym łapskom kilka chwil temu, udało się teraz - dwa wielkie, białe cyce wykolebały się na wierzch i spokojnie wycelowały w jego stronę swoje ciemne ślepia. Dziewczyna umilkła na moment, zeszywniała, jakby i ją sparaliżowała niezwykłość sytuacji. W okamgnieniu, w mgnieniu tego bawolego ślepia, łypiącego bez-

77 wstydnie, stracił apetyt na arystokratyczne miny. Poczul gwałtowny przyływ podniecenia.

Dawno już nikt tak nie podziałał na niego. Chciał się uspokoić, że i tak będzie ją miał - spro- wadzi do siebie i wyobraza na wszystkie strony, choćby nie wiadomo ile i czego miała go kosztować - ale niewiele to dało.

. Satyr mruknął coś cicho, a kiedy dziewczyna, wolno i bez oporu, uniosła ręce nad głowę, zwilżył wargami jej sutki. Do diabła, ci Toskańczycy nigdy nie byli normalni! Co tu się dzie- je? A co się ma dziać - malarz mrugnął do niego, a potem nabrał palcami złoty proszek i lek- kimi, mistrzowskimi dotknięciami poproszył czubki piersi. Dziewczyna jakby się ocknęła,



kwiknęła, wierzgnęła, palnęła ozłoconymi cycami w gębę i choć tamten trzymał mocno, wyrwała mu się z objęć. Poleciała najpierw na Casanovę, wymachując rękami dla złapania równowagi. Chciał jej pomóc, ale było już za późno.

Jedną dłonią zahaczyła o perukę i - o, moce piekielne - zjechała z nią w garści w dół, drugą chcąc się dalej ratować przed upadkiem, zapaliła jeszcze większy ogień tam, gdzie chciał właśnie ugasić pożar. Tylko przez chwilę poczuł jej ciężar, ciepło, pot, zerwała się szybko i pogalopowała przed siebie, śmiejąc się głośno i potrącając wszystko, co stało na drodze.

Tamten za nią. Oblecieli pracownię wkoło zanim Casanova zdołał podnieść perukę i ocenić, którą stroną ma ją wcisnąć z powrotem na głowę. Piersiasty stwór nie dał się złapać, złościcyce śmigły po pokoju, aż wreszcie zastygły tryumfalnie między połami rozpiętego na rusztowaniu królewskiego futra z gronostajów. Malarz parsknął głośniejszym niż to w ogóle jest możliwe, a wtedy w drzwiach w bocznej ścianie stanął jak dostojna zjawia - król.

. Rzymskie rysy, ta sama, co na wszystkich obrazach, mina - spokojna, odrobinę - tyle ile przystoi królowi - pyszna, pewna swojej wartości. Strój na nim srebrny, złotem na piersiach i ramionach gęsto ozdobiony, w ręku długa mahoniowa laska dzierzona jak berło. Nie było wątpliwości. Stanislaus Augustus. Rex Poloniae.

Boże. Król, tak nagle, tak niespodziewanie, tak strasznie. A on potargany, bez peruki, z buntującym się tam w dole kutasem, zgroza. Poderwał się szybko, skłonił z rozpaczliwą energią, usiłując osłonić perukę kompromitującą wypukłość. Malarz i dziewczyna jakby nie zauważyli niczego, dopadli się znowu, piasnęli o siebie aż zafalowały groźnie orły na gronostajowym płaszczu, ale i oni zaraz ucichli. Wtedy ośmielił się spojrzeć ponownie.

Król stał w tym samym miejscu, jakby wahając się, co zrobić dalej. Krzyknie zaraz donośnym głosem na służbę i każde aresztować śmiałków, albo ruszy na nich sam, mahoniową laską wymierzając sprawiedliwość. Ale w twarzy króla nie było gniewu. Ani zaskoczenia. Ani rozbawienia. Nie było właściwie niczego. Jakby nie widział nikogo i nie słyszał wcale, co tu się działo. Mogły to być jednak tylko pozory, boski brak zainteresowania dla spraw maluczkich. Casanova czuł, że każda następna chwila może mieć się eksplozji i już bez buntu zgadzał się być jej ofiarą. Jak pech, to pech.

Wreszcie król ruszył przed siebie, wolno, dostojnie, jak przystało na monarchę. Stuknęła laska o podłogę i wtedy dopiero gęba malarza wyjrzała spod pachy dziewczyny. Teraz, święty Boże, teraz. Zamiast jednak krzyku, połajanek, rozkazów wydawanych stanowczym głosem, Giacomo usłyszał chrapliwy głos malarza.

- Spóźniłeś się pan dzisiaj. . To teraz poczekaś aż załatwimy pewną sprawę. Zamiast gromów z jasnego nieba trysnął pod sufit chichot pędzącej do drzwi dziewczyny. Zamiast chłodu stali przytkniętej do szyi, trzasku kołnierza podrywanego szorstką dłonią, razów buta obtłukującego pośladki, poczuł na twarzy kwaśny oddech malarza.

- A o portrecie zaraz pogadamy. . I tyle ich było. Ale wrócili zaraz przez niedomknięte drzwi - jej wysokim śmiechem, ba- sowymi pomrukami malarza i hurkotem przewracanych sprzętów. Król zdawał się nie zwracać na to uwagi, podszedł do okna i przysiadając na marmurowym parapecie, spojrzął pierwszy raz uważniej w stronę Casanovy. Ta piekielna peruka spadła znowu na czoło.

78 - Wasza wysokość wybaczy - wymamrotał niesłyszalnym głosem. Zanim zdołał nabrać na

nowo oddech w płuca i znaleźć słowa rozświetlające tę coraz mroczniejszą sytuację, śmiech i pomruki umilkły, a jęki, które się na ich miejsce pojawiły, zwiastowały początek jedyne rodzaju zapasów, jakie uznawał i do jakich, o zgrozo, ciągle był prawie gotów. Topił się w lodowatej wodzie, zamykał do lochu, stawał przed ryczącą ze śmiechu gawiedzią - nic. Ta sprośna dziwka, jęcząca dziko pod innym mężczyzną, coraz mocniej trzymała go w szachu. I to przed królewskim majestatem.

Próbował się ratować głębokim skłonem, ale jak długo można się kłaniać nawet królowi. Nie było wyjścia, ściągnął do końca perukę z głowy i trzymając ją nisko przed sobą wyprostował się z wolna. Może nie będzie wielką hańbą stawać przed królem z ogoloną głową. Mało to takich łysych, szlacheckich pał widuje codziennie jego królewska mość. A zresztą, niech się dzieje co chce. Jakie subtelności, jakie półtony, mogły tu jeszcze grać rolę skoro tamci za ścianą hałasowali coraz głośniejsze.

I on więc spojrzął odważniej. Król, wsparty niedbale o parapet, nie wydawał się przejęty sytuacją bardziej niż jego nieruchome oblicza w złotych ramach. Tylko wargi poruszyły się ledwo dostrzegalnie. Modli się, pomyślał Casanova, dlatego nic do niego nie dociera. Sięgnął teraz za pazuchę, wyjął coś co wyglądało jak gruby różaniec, uniósł do ust, ale zamiast ucałować - zgryzł z widocznym smakiem. Kiełbasa, nie żaden różaniec. Król po prostu je kiełbasę. Niebywałe. Kiełbasę. Cóż - nie takie upodobania władców świat musi znosić w pokorze - Casanova opuścił wzrok, żeby nie krępować jego wysokości. Nogi, swobodnie, nawet niedbale rozrzucone, ale zaraz - to nie były delikatne, małe stopy, pasujące do eleganckiego pantofla, które widział na podłodze królewskiej sypialni - to były prawdziwe kopyta obleczone w srebrną juchtową skórę. Czyżby to. . .

Teraz dopiero zmroziło go paskudne podejrzenie. Spojrzał jeszcze raz. Tak. Dał się nabrać. Boże, przecież każdy z tych królów, spoglądających dumnie ze ścian, wyglądał sto razy prawdziwiej od zajadającego kielbasę draba. Toż to po prostu malarski model, nie żaden król. A on przed tym przebierańcem omal nie gruchnął na kolana. Chciało mu się zarazem śmiać i ryczeć z wściekłości.

Dziewczyna krzyknęła ostro, z bólu już raczej niż z rozkoszy. To go otrzeźwiło. Peruka na łeb, ani spojrzenia więcej na kielbasianego błazna. Ruszył w stronę wyjścia tak gwałtownie, że wyrzwał biodrem w stolik z malarskimi przyborami. Pudełko drogiego proszku grzmotnęło o podłogę i jak piaskiem w tancbudzie, sypnęło pod jego stopy świetlistą strugą złota. Nie dbał już o to. Ze złotem na butach i gorzką śliną w ustach dopadł drzwi. Smród na schodach był już teraz tylko zwykłym smrodem.

Kilka dni później zobaczył tę dziewczynę na ulicy. Mignęła mu w tłumie przekupniów na Krakowskim Przedmieściu. Zawahał się chwilę czy za nią ruszyć. Miał właściwie dosyć wszystkiego. Pół dnia spędził na nogach, wydeptując najważniejsze przedpokoje, jakie zdążył poznać w tym mieście, chciało mu się jeść, piekły stopy i pusta ciągle kieszeń. W domu czekała zupa z raków nałowionych rano przez Jeremiego, dwie małe diablice, przepychające się między sobą, którą stopę która będzie masować, no i młody oficerek, płacący mu za lekcje dworskich manier, marne, ale jednak prawdziwe pieniądze. A jednak tamto przypomnienie było silniejsze. Ruszył za nią kiedy już dotarła do wylotu ulicy biegnącej ostro w dół w stronę Wisły. Przyspieszył kroku, a gdy zniknęła mu z oczu za rogiem - zaczął biec, klnąc się resztą rozsądku za to, co robi.

Przechodniów nie było wielu na tej ulicy, ale dziewczyny wśród nich nie zobaczył. Zaszła pewnie do któregoś ze sklepików schowanych w najbliższej bramie. Nie. Musiała więc zejść niżej, może była już tam w dole, zasłonięta wielkim wozem z beczkami, wytaczającym się powoli z jakiegoś podwórza. Tak, pewnie jest za tym wozem ciągniętym z mazołem przez dwa wychudłe woły.

79 Podbiegł znowu. Przystanął. Po co mu to. Przecież to zwykłe dziwisko. Nie takie tyłki i

piersi miał bez biegania. A jednak. . . Plunął na resztki rozsądku i ruszył energicznie w dół. Najpierw tylko szedł, szybko, zdecydowanie. Bruk był tu gruby i dziurawy, musiał uważać, żeby nie skrećić nogi. Długo tak nie wytrzymał - stromizna wytrąciła go z równowagi. Dał susa, żeby nie upaść, drugiego, żeby się wyprostować, trzeciego z czystej już przyjemności. Poleciał w dół jak strącony kamień. Na początku trochę się opierał, chciał miarkować tempo

tęgo biegu, wpierał z męczącą siłą stopy w bruk ulicy, ale rychło zrezygnował. Woły łupnęły na niego bielmami umęczonych oczu, dziewczyny nie było za wozem, nieważne, już nie, pokracyjny woźnica strzelał z bata, krzyk, ktoś krzyczy, czy to nie on sam?

Boże, nie być nigdy takim wołem, bydłem przykutym do ciężaru i bata, być ptakiem, wolnym, silnym, pędzącym przez świat z furkotem i radością. Jak on teraz. Chcieli go zbydlęcić, zmusić, żeby tańczył, jak mu zagrają. A on prawie dał się wykastrować, siedzi tu, włóczy się po pańskich przedpokojach, zamiast zrobić to, co każdy ptak zrobiłby już dawno - ulecieć, zniknąć, zwać z tego parszywego miejsca. Odkąd dopadła go ta myśl - już nie biegł, a uciekał. Coraz szybciej, szybciej. Wystarczyło tylko poddać się sile, która spychała go w dół, dać się jej nieść, prosto, nad brzeg. Tam zadba o resztę. Barką, łodzią, tratwą, czymkolwiek dotrze do Torunia, do Gdańska, dalej już sobie poradzi. Nie dostaną go. Odda koszulę z paryskiego jedwabiu, pantofle ze złotymi sprzączkami, bosa i w łachmanach całować będzie ziemię, która go przyjmie.

Rozłożył ręce - jeszcze chwila i uniesie się nad tym topornym brukiem, i uleci, poszybuje w stronę zbawczej wody. Uleci, albo gruchnie na kamienie z całej siły, bo strzelą ścięgna, napięte do granic wytrzymałości, nie wytrzymają płuca, wypełnione aż do bólu, zroluje po pochyłości jak trafiony w skoku jeleni i tyle będzie jego ucieczki. Musiał zwolnić. Na szczęście stromizna złagodniała i udało mu się opanować ten wiodący do zguby rozpęd. Skończył się też bruk, Giacomo biegł teraz koleinami rozjeżdżonego piachu. Usłyszał nie tylko swój ciężki oddech, ale i jakiś hałas z tyłu.

Zupę z raków zje w Paryżu, oficerek znajdzie sobie innego nauczyciela. A jego "dwór" ? Sara i Etel, i ten mały cudotwórca Jeremi? Do diabła! Poradzą sobie jakoś. To sprytna trójka. Nie zginą bez niego. To on z nimi ginie, ginie dzień po dniu, poddaje się, choć nawet nie wie, czy ma z kim walczyć. Przecież odkąd tu przyjechał nikt go nie nagabywał, nikt mu nie mówił, co ma robić, nawet widmo Kuca przestało go prześladować we śnie. Może i wszystko, co pamiętał z Petersburga było tylko snem, potwornym snem chwytającym za gardło przed świtem. Przed czym więc ucieka. Przed snem?

Okręcił na chwilę głowę, ten hałas nie malał, potęgował się jeszcze. Niewiele zobaczył - ktoś - kto? - łomotał o bruk w ciężkim biegu. Ma naśladowców, nie tylko jemu chciało się latać. Jezu, a może to ona, ta, którą stracił przed chwilą z oczu, chce go teraz dogonić. Wyobrażenie wielkich piersi podrygujących w szaleńczym biegu, było tak silne, że obejrzał się ponownie. Nie, pewnie, że nie. Trzej mężczyźni biegli w jego stronę. Śmieszne. Gdyby wiedzieli, że wcale nie zabawa była mu w głowie.

Wiedzieli. Zrozumiał to nieco później, już blisko brzegu, gdy piach pod stopami nabrał prawdziwego blasku, a załoga dużej, żaglowej łodzi spojrzała na niego przyjaźnie. Tamci

trzej wiedzieli o nim wszystko. Zobaczył to w przymrużonych od słońca i wściekłości oczach drabów, którzy zagrodzili mu drogę. Jak ponure zjawy wyskoczyli nagle zza krzaka wikliny. Musieli go wcześniej wyprzedzić, gdy on, smakując już swoją wolność, zwolnił kroku. Trzech morderców, czekających na rozkaz do ataku. Jeden, największy, z nożem w rękę, pozostali dwaj przykurczeni, jakby trzymali coś w zanadrzu. Nie przewidział czegoś podobnego, nawet nie wziął dziś ze sobą szpady.

I on poczuł przyływ wściekłości. Durnie. Nie wiedzą z kim zaczynają. Jego wolność mniej jest ważna od ich chęci zysku? Zaraz zobaczymy. Walnie tego z nożem i skoczy do wody. Zanim się zorientują - będzie już na łodzi. Żeglarze nie odmówią mu pomocy. Brako-

80 wało sekundy do decydującego skoku, gdy najstarszy z napastników, o krzaczastych brwiach

i barach tragarza, odezwał się chropawą francuszczyzną: - Gdzie? ? Gdzie ci się zachciewa? Zapomniałeś po co tu jesteś? To było chyba gorsze niż wyciągnięty nóż. Więc jednak. Co chciał zapomnieć, nie zapomniało o nim. Co przegnał ze snów, wróciło na jawie. To nie byli zwyczajni bandyci. Zwyczajni bandyci mogliby go najwyżej zabić. Ci chcą go jeszcze upodlić. Dłużej niż chwilę nie mógł się wahać. Nic się nie zmieniło. Rąbnie tego z prawej i pchnie go na tamtych. Ma dwie, trzy sekundy przewagi.

Zanim skoczył, jakaś postać przemknęła obok niego i rzuciła się pod nogi napastników. Boże, toż to Jeremiasz! Skąd się tu, do diabła, wziął? Prysnał piasek, posypały się przekleństwa. Po chwili było po wszystkim. Nożownik ukląkł, podcięty impetem ataku, ale zaraz przytknął ostrze do szyi chłopca.

- No! ! Pozostali dwaj nie musieli nawet wyciągać pistoletów, ale wyciągnęli - krzaczasty pogroził bronią załodze łodzi, a ten drugi wymierzył w Casanovę. W brzuch, bydlę, celuje, pomyślał zanim uniósł ręce w geście poddania. Zapamięta te gęby, odpłaci im się kiedyś, zbójcom. Pchnęli chłopca w jego stronę, a kiedy Giacomo schylił się, żeby go podnieść i on poczuł chłód stali na szyi. Znieruchomiał, żałując, że jednak nie rzucił się na nich wcześniej, zginąłby chociaż w otwartej walce.

Trzech żołnierzy na koniach wyjechało zza kępy krzaków. Dziwne baranie czapy na głowach, to nie byli Polacy. Ale i ten kozacki patrol sięgnie po szablę, kiedy zobaczy, co tu się dzieje. Nie sięgnął jednak - wystarczyło zdecydowane machnięcie ręki krzaczastego, by konie okręciły się na zadach i zawróciły. Ale i tak może zawdzięczał tym dzikusom życie, ucisk na szyi zelżał bowiem i już nie zapowiadał najgorszego. Może, chyba, bo, po co mieliby. . .

Gdy już obudził tymi wątpliwościami nadzieję, nożownik capnął go znowu za głowę, przeciągnął ostrzem po gardle i odskoczył. Casanova złapał się za szyję i krzyknął nie tyle z bólu, co z przerażenia. Krew, ma na dłoniach krew! Tamci zarechotali zgodnie, a krzaczasty splunął mu pod nogi i pogroził pięścią.

- Żebyś pamiętał. . " Z więzień, które poznałem w życiu, to było najbardziej komfortowe. Nie wiedziałem na- wet jak daleko sięga - granic Warszawy, Polski czy jeszcze dalej. W tej części świata granic nie traktuje się przecież serio. Sam sobie wyznaczyłem celę - nie wychodziłem z domu przez kilka dni. Musiała się zabiźnić rana na szyi, płytka zresztą i niegroźna, ale nie to było głów- nym powodem. Nie chciałem drażnić moich strażników, nie będąc do końca pewnym kim byli i czego ode mnie chcieli. Po prostu się bałem " .

Nie, nie. Te dwa zdania musi skreślić. Nawet przed sobą wolałby się do tego nie przyzna- wać, a cóż dopiero przed dziką zgrają ciekawskich, którzy rzucą się kiedyś na jego zapiski. Mało to będzie między nimi tchórzy, szukających wsparcia dla swojej małości, oprawców - dla okrucieństwa, zwykłych śmiertelników, podnieconych nawet rąbką prawdy, do której sami dotrzeć nie potrafią. A iluż znajdzie się wśród nich potomków jego prześladowców, roz- sianych wilczym nasieniem po całym świecie krewniaków wielkich inkwizytorów - carskich dręczycieli, rogaczy, nienawidzących go za swoją własną słabość. Nie da im tej satysfakcji. Nie robi z siebie tchórzliwego błazna.

Ostrze pióra skrzypnęło sucho po papierze. - Wasyl - krzyknął - atrament!

! Nogi. Może napisać coś o nogach. Paryskie pantofle miały swoje wady. Nie nadawały się na przykład do gonitw za królem, a tym bardziej do galopady po bruku. Starły mu pięty do

81 krwi, pokaleczyły palce. Wyrzuciłby je, ale nie ma drugich. To go peszyło nie mniej niż

krwawa pręga na szyi. Ale to też nie była prawda godna jego pióra. " Musiałem po prostu odpocząć, zastanowić się co dalej robić. Zawsze w życiu starałem się kierować rozumem. Tak i teraz, poradziwszy się rozumu, albo tego, co za rozum miałem, po- stanowiłem nie robić niczego. Nie znając bowiem reguł gry, w którą zostałem wplątany, mo- głem mniej krzywdy sobie wyrządzić siedząc w domu niż biegając po salonach. A cnoty do- mowe po tym, co mnie ostatnio spotkało, też były nie do pogardzenia. Czuła opieka Sary i Etel, wynagradzała mi wszystko. Jeremiego, którego ryzykancki czyn przybliżył mi do serca, zacząłem przygotowywać do występu, jaki, w co gorąco wierzę, obserwując cudowne możli- wości chłopca, zjedna mi bez reszty tutejsze towarzystwo. Nawet mrukliwa obecność Wasyla działała na mnie kojąco. Jedynym gościem z zewnątrz był ten młody oficer o zadartym

śmiesznie nosie, którego uczyłem sztuki zamiatania kapeluszem po ziemi. No, może nie jedynym. . . Miałem jeszcze ze światem jeden drobny rachunek do wyrównania, zanim zabiorę się do tych wielkich. Posłałem Wasyla po dziewczynę, nie będąc pewnym czy sobie z tą delikatną przecież misją, poradzi. Ale - czy to misja była mniej delikatna niż mi się zdawało, czy jego spryt większy niż można się było spodziewać - przyprowadził ją już za pierwszym razem.

Nie robiła ceregieli, toteż skosztowawszy raz jej wdzięków, posadziłem ją sobie na kolana i trzymając za te, doprowadzające mnie w pracowni malarza do szaleństwa, piersi, poleciłem, żeby reszty dokonała sama. Co też i uczyniła, ze skwapliwością nieproporcjonalną zupełnie do niewielkiej zapłaty, jaką - ku jej zawodowi - mogłem za coś takiego ofiarować. Zresztą, pewne rozczarowanie było i moim udziałem. Tamto prawie mistyczne podniecenie już się nie powtórzyło, miałem, co chciałem, ale nie swawoliłem wcale z perwersyjną diablicą, za którą gotów byłem uganiać się po ulicy jak pierwszy lepszy młokos, lecz ze zwykłą, tęgą dziewczuchą, jakich można mieć na pęczki. Ale rozerwałem się trochę, co w moim smętym położeniu też miało swoją wartość. Nawet moje słodkie dziewczątka, tygrysio na ogół zazdrosne, zatrwożone smutkiem swojego pana, przyjęły wszystko ze zrozumieniem. "

Huknął, postawiony z rozmachem kałamarz. Giacomo poderwał się gwałtownie, struga atramentu chlapnęła na stół, tuż obok jego rękopisu.

- Uwważaj, durniu! - warknął, ale to nie był Wasyl, ale któraś z tych smarkatych. Zanim zdążył się zorientować która, zmiotła rąbkiem sukni plamę i poleciała do drzwi z demonstracyjnie uniesioną głową. Skończą w przytułku, jak się będą tak do niego odnosić, niewdzięcznice. Skreślił ostatnie słowo, ale po krótkim namyśle, napisał je od nowa. Ważniejsza jest harmonia wywodu niż prawda.

Pół godziny później musiał jeszcze raz przywracać harmonię w tej części wszechświata, która zależała od niego. Lekcja nie szła im obojgu. Uczeń był wyjątkowo nieporadny, nie uśmiechał się jak zwykle, lecz z ponurą nerwowością wymachiwał kapeluszem, bez wdzięku się kłaniał, niezgrabnie odmierzał kroki. Casanova obserwował to obojętnie, zajęty bardziej rozmyślaniami o kolacji niż tajnikami dworskiego ceremoniału, ale w końcu poczuł się urażony. Ta niedorajda z zadartym nosem nie będzie kompromitowała jego mistrzostwa. Pośle Wasyla po wędzony ozór i wino, a temu tu smętnemu niedorostkowi udzieli prawdziwej lekcji.

- Poczekaj, poczekaj - podszedł do chłopca bliżej - wszystko na tym świecie powinno mieć sens. Nawet zwykły ukłon. A cóż dopiero ukłon dworski. O, ten dopiero posiada wielki sens. To nie skinienie głowy starej sąsiadce czy koledze z koszar. To jest rytuał, sztuka, która zmienić może całe twoje życie, panie Kotuszko, obdarzyć cię pieniędzmi, zaszczytami, wynieść na szczyty towarzystwa.

Chłopiec podniósł oczy, nie było jednak w nich życzliwości. Nie rozumie pewnie, co się do niego mówi. No to niech słucha aż zrozumie.

- Może cię też zepchnąć z tej drogi, jeśli ową sztukę zlekceważysz. Ale to byłby błąd, błąd, którego tacy jak my robić nie powinni.

82 Tacy jak my, kundle, dodał w myśli. Skąd właściwie w tym chłopcu przekonanie, że warto

na coś takiego wydawać pieniądze, których przecież nie może mieć za wiele. Kompleks prowincjusza czy wybujałe ambicje? Dał znak dłonią. Chłopiec zdenerwowany wykonał coś w rodzaju przysiadu raczej niż ukłonu. Wiedział to, poczerwieniał w oczekiwaniu na słowa Casanovy. Taka nieporadność mogła już tylko śmieszyć. Uśmiechnął się więc, poklepał chłopca po ramieniu.

- Tacy jak my, nie powinni się przede wszystkim peszyć. Spróbuj jeszcze raz. Ale powoli. Kręgosłup sztywny, tak, a ręka elastyczna. Tu dostojeństwo, a tu esy- floresy dłonią. Rozkrok nie za wielki. I uwaga na kapelusz - nie jest do zamiatania podłogi.

. Szkoda, że zapłatę wziął z góry i zdążył już wydać, mógłby się dzisiaj pocieszyć jakimś lepszym winem. Może zresztą uda mu się jeszcze coś wyciągnąć od tego nieudanego dworaka.

- Ale kark niżej, , jeszcze niżej. Ci, którym się kłaniamy, bardzo to lubią. Są przecież od nas ważniejsi, bogatsi, mądrzejsi, należy im się to. Ale nie trzeba przesadzać, bo wezmą nas za służalców, a ci, co stoją tuż za nami i zazdroszczą nam naszej pozycji, trzepną nas po tym za nisko opuszczonym karku. Więc kark nisko, ale głowa wysoko, wszystko widzieć, na wszystko reagować. O tak.

Wcale nie było lepiej. Zrobiło mu się już nawet żal chłopaka zawstydzonego własną nieporadnością. Ale nie powinien mu pobłażać. Za coś przecież wziął pieniądze. Więc jeszcze o treści i formie. To boska jedność i wara od jej dzielenia. Nie można się przymilać gestem, a odpychać ponurą miną, chcieć jedno, a wyrażać drugie. To urąga boskiemu i ludzkiemu po-



rządkowi świata. A jeśli chodzi o kapelusz, to pokaże jak trzymać i co z nim robić. Dwa palce z przodu, trzy od strony ronda. I proszę bardzo!

Żałował, że nie miał przy boku szpady, ten ukłon na nierówno pomalowanej podłodze, dorównywał najlepszym jego osiągnięciom. Czy ma przestrzec przed przypadkiem hrabiego Korfu, który z pełnym brzuchem, wybijając na dworze saskim pokłony przed księżną matką, pierdnął tak siarczyście, że do dziś z dala musi omijać granice księstwa. Po co? Temu małemu na pewno się to nie przydarzy. Zresztą - rosyjscy oficerowie nie takich rzeczy go nauczą.

. Chłopiec próbował go naśladować. No, już lepiej. Jeszcze kilka lat treningu i może coś z tego będzie. Tamten nie był skory do żartów na swój temat. Aż mu zbieła ze zdenerwowania zadarty ku górze nos.

- Ja chciałbym wyjaśnić coś bardzo istotnego. . Casanova spojrział zdumiony, już bardziej spodziewał się usłyszeć coś istotnego od swoje- go kapelusza. Ale proszę bardzo, niech mówi.

- W głębi duszy, ja - zawahał się Katuszko, ale znalazł dość siły, żeby dokończyć - ja gardzę tym wszystkim. To znaczy tym salonowym rytuałem, tymi płasami uwłaczającymi godności prawdziwie wolnego człowieka. . .

To było jak nagły sztych złamaną szpadą - ani piękny, ani nazbyt bolesny. Ale jednak nieoczekiwanie przykry. Hrabia Korfu z zadartym nosem! Giacomo odbił cios natychmiast.

- Tak? ? No to - pluń pan na to. . Ja się z tego powodu nie powieszę. Złamana szpada nie wyleciała z ręki, hrabia Korfu گیا się dalej w pokłonie. - Nie mogę, to jest - nie powinienem. Mam zamiar poświęcić się służbie publicznej. Więc muszę. . . trzeba poznać wszystkie sposoby. Ale jak tylko dojdę do czegoś, przestanę się tym przejmować. Chciałem, żeby pan to wiedział.

- Chwalebny zamiar - wycodził Casanova przez zęby, starając się nie roześmiać szyderczo - choć niebezpieczny. Znałem kiedyś kogoś, kto źle na tym wyszedł. Zresztą, nie warto wspomnieć. Podobasz mi się, panie buntowniku. Ale dość na dzisiaj. Przyjdź jutro, może będziemy mieli lepszy nastrój do salonowych płasów.

Odetchnął, gdy drzwi zamknięty się za tamtym. Dosyć niewoli. Obcych. Głupich zajęć. Przywołał Wasyla. Kazał sobie przygotować wodę, sam wsypał do cynowej balii zioła, niech

83 chociaż piekące pośladki przestaną mu doskwierać. Nieszczęsna pamiątka spod Ołowianego

Dachu. Tyle już lat przypomina mu tamto. Piętnaście dni po aresztowaniu nie mógł się wypróżnić, a wreszcie, natężając się i prac z determinacją walczącego o życie skazańca, nabawił się choroby, która tyleż budziła współczucia w ludziach, co wesołości. Cierpiał często, ale niedokuczliwie na ogół. Dziś jednak hemoroidy dopiekły mu boleśnie. Dotknął delikatnie obrzmienia. Do diabła, o wiele przyjemniej zajmować się czymś tyłkiem, niż swoim własnym. Potrzeba mi ruchu - pomyślał, klapiąc pośladkami o dno balii, moszcząc się w niej wygodnie - nie mogę dalej siedzieć tu jak w więzieniu.

. - Wina!

! Nagi był tylko od pasa, nie lubił ucisku zimnego metalu na plecach, wołał pozostać w koszuli, rozpiął się jednak, żeby swobodniej oddychać. Odprężenie przyszło równie nagle, jak odszedł ból. Zioła czyniły cuda. Ten paryski doktorek, który mu je zalecił, rudy cynik próbujący nieoczekiwanie na koniec wizyty zbadać go nie tylko palcem, znał się na swoim zajęciu. Co za ulga. Nawet kwaśny smak wina mu nie przeszkadzał. Wybredny będzie kiedy indziej, Ale z ukrywaniem się koniec. Jest wolnym człowiekiem, nie da sobą więcej poniewierać. Nie będzie się chował przed byle zbirami.

- Wasyl - cygaro! ! A to, czyż nie prawdziwy zbir? Po co się kryć przed innymi skoro takiego ma się pod bo-kiem. Bydlę wygląda poczciwie, ale kto wie - te łapy mogłyby wyginać podkowy. Nigdy nie wiadomo, ile rozumie z tego, co się do niego mówi, tylko na warknięcie reaguje doskonale.

- Szybciej! ! Tym razem nie poskutkowało, ale Casanovie nie chciało się już ponawiać żądania. Wasyl, odwrócony plecami, nachylał się nad stołem. Pewnie szuka czegoś do zeżarcia. Prawdziwe bydlę. Cały dzień tylko by trawił. Nic więcej nie obchodzi go na tym świecie. Ale niech szu-ka, niech je choćby nawet nogę od stołu. Błogość ogarniająca całe ciało warta jest każdej ce-ny.

A kiedy wreszcie i zaciągnąć się mógł ostrym dymem cygara, bliski był myśli, że niczego więcej już mu nie trzeba. No, chociaż. . . Można by jednak pomyśleć o jakiejś miłszej obsłudze. Niechby go teraz umyły jakieś delikatne, małe rączki, niechby współczuły jego cierpieniom, pogłaskały, objęły, a potem postawiły na sztorc.

Albo poczuć przy sobie piersi - nie jakieś ostro sterczące piramidy, dżgające go w usta, ale lekko obwisłe, dojrzałe cyce wdów lub portowych dziwek, słodkie w smaku i miękkie w dotyku. Zresztą nie. Nie pozwoliłby się teraz dotknąć nikomu. Wystarczy sobie sam. Po co miałby burzyć prawdziwie boski stan, w jaki się zdołał wprawić. Ten ktoś, ta kobieta, te kobiety może nawet, o lekko obwisłych piersiach i mocnych dłoniach, zmusiłyby go pewnie do odstawienia wina i zgaszenia cygara. Zamiast więcej, miałby mniej. A gdyby wino, czego wykluczyć nie można, wylało się na podłogę, a cygaro wpadło do wody - nie miałby już niczego, żadnej prawdziwej przyjemności. Więc - lepiej nie. Nie pośle po wdowę ani portową dziwkę.

Rozstawił swobodnie kolana, uśmiechnął się. Chociaż, gdyby przyszła, nie musiałaby wcale podchodzić za blisko. Mogłaby stanąć tam w kącie przy parawanie, wypiąć się w jego stronę i tylko oślepić go białą pośladków. Jak nie- gdyś, kiedy, dawno, niedawno, lata już temu całe, zrobiła Markolina, cudna Markolina, gdy grzmocił tę starą wariatkę markizę d'Urfe i o mało jej nie zagrzmocił na śmierć, wpatrzony w kusząco rozchylony tyłeczek jej służącej. Albo powinna położyć się na łóżku nadziana na własną dłoń, jak Corticelli, ta przewrotna dziwka, która zawsze potrafiła go w ten sposób roz- namiętnić. Albo jak Manon, która nie musiała nawet rozsznurowywać gorsetu, bo jej boskie piersi stawiały go do razu na baczność.

No, no i teraz niewiele mu brakowało. Jak jakiś obcy stwór, niepewny czy spotka przyjaciela czy wroga, wynurzało się powoli z wody wypukłe oko. Nie mógł się zdecydować, co

84 najpierw - napić się wina czy zaciągnąć cygarem. Poruszył się niespokojnie, aż chrupnęło w

kościach. Woda, przydałoby się więcej wody, żeby choć zakryć jednorożca szykującego się najwyraźniej do ataku i nie pozwolić ostygnąć tej, która go tak bosko rozgrzewała.

- Dolej. . . Życie jest jednak piękne. Trzeba tylko umieć korzystać z przyjemności. A przykrości topić w winie i gorącej wodzie.

- Nuże! ! Słyszał stukającego konwiami Wasyla, widział jego łapska unoszące w górę wiadro, ale nie od razu zrozumiał, co się stało, gdy smagnęła go po nogach i brzuchu lodowata struga. Szarpnął się tak gwałtownie, że trzasnęło pod palcami szkło kielicha i rozleciał się ogarek cygara. Wyskoczył z cebrzyka, krztusząc się własnym krzykiem. Do stu tysięcy wykastrowanych byków, co za torturę mu znowu przygotowali! Toż to napad, zasadzka. Chcą go zabić, doprowadzić do szaleństwa, pozbawić męskości? Zasłonił się odruchowo. Wystarczyło jednak spojrzeć na Wasyla, na jego pysk ścięty grymasem zdumienia, na wybałuszone ze strachu oczy, żeby pojąć, co się stało. Ta góra tłustego mięsa, ten azjatycki bałwan, połał go po prostu zimną wodą. Po prostu. Studzienną wodą, od której cierpły zęby. Casanova zatrzęsł się już nie tyle z zimna, co z wściekłości.

- Ty idioto! - wrzasnął, odzyskując głos - dumniu, kretynie. Co ty sobie wyobrażasz - z zimną wodą do szlachcica?

Ręcznik, szlafrok, poduszka. Odepchnął chcącego mu usłużyć Wasyla. Dość tego. Niech się wynosi. Ma go już po dziurki w nosie. Koniec. Wynocha. I to już. Zaraz. Jest zwolniony.

- Won! ! Gdy był już sam, znieruchomiał w fotelu zakryty po oczy poduszką. To przekłete miejsce. Parszywy kawałek świata. Gorzej było tylko w Petersburgu, ale tam już Bóg nie dociera więc i nie ma komu rzucić kłatwy. Wszystko potworne, wszystko. Zniewoleni ludzie, pyszniący się swoją wolnością. Brudne ulice, marne wino, kobiety niedostępne jak fortece, albo podle tanie. Król tańczy jak mu zagra caryca i rosyjski ambasador, przyjaciele trzymają w przedpokojach, kupcy oszukują, deszcz chłoscze bez ustanku. I ciągle ktoś chce go utłuc, albo zmusić do zbrodni. Nie ma prawdziwych banków, hoteli, giełdy. O loterii nikt nawet nie słyszał. Listy dochodzą jak chcą. I on chciał z takim krajem robić interesy. Jak, po co? Chyba zwariował. Trzeba prawdziwego kubła zimnej wody, żeby to zrozumieć?

I jeszcze jedno - jak długo te gęby pełne Polski, te łapy pełne szabel, te łby chętne do wy-pitki i do bitki, będą znosić obce wojska, panoszące się po kraju? Tu krew popłynie, nie pieniądze. Krew.

Dopiero teraz poczuł lepkość pomiędzy palcami i piekący ból. Skaleczył się przecież szkłem. Jest ranny, prawdziwie ranny. Obejrzał rękę. Niby nic groźnego, ale nigdy nie wiadomo. Słyszał już o takich, co tracili przytomność przy lekkim zranieniu i wykrwawiali się na śmierć. Bandaż, niech mu przyniosą bandaż. I ubranie, bo nie będzie przecież tkwił tu dalej półnagi.

- Tutaj, , do mnie! Bo wam umrę, pomyślał z mrowiącą skórę satysfakcją, umrę i zostaniecie wszyscy na bru- ku. Panienki pójda usługiwać do najnędnieszego burdelu, a panicz Jeremi będzie mógł po- kazywać swoje sztuczki w jarmarcznych budach. Chyba, że tego chcecie, to proszę bardzo, możecie nie przychodzić.

- Jest tam kto, , do diabła? Drzwi uchylły się wreszcie, ale zamiast ruchliwych twarzączek Sary i Etel czy jasnowło- sej głowy Jeremiego, zobaczył Casanova mroczną gębę Wasyla.

- A ty tu czego? ? Powiedziałem - wynoś się. . Jesteś zwolniony. Nie, tego już nie zniesie - nawet najmarniejszy sługa nie ma zamiaru go słuchać. Pode- rwany prawie szaleńczą siłą, skoczył do przycupniętego na progu Wasyla i wypchnął go za

85 drzwi. Z trzaskiem obrócił klucz w zamku. Dość tego. Musi być stanowczy. Samemu zacząć

wymierzać światu sprawiedliwość, nie czekać aż padnie ofiarą jej braku. Zaczął od służącego, ale od czegoś przecież trzeba zacząć, pomyślał, próbując obwiązać rękawem koszuli skrwa- wioną dłoń. Miał dziesiątki służących, lepszych i gorszych, okradających go i pracujących bez zapłaty, łajdaków i nawiedzonych, arogantów o duszach niewolników i trusiów z bandyc- ką przeszłością, ale żaden nie wywołał w nim takich gwałtownych uczuć jak Wasyl. No, mo- że Costa. Ale Costa, oby z piekła nie wyszedł, szubrawiec, okradł go, zniesławił i omal nie zaprowadził do więzienia. Mimo to, tamtemu darował, a temu już nie. Po tym co przeszedł, widocznie nie może znieść najmniejszej podłości. Swoją drogą, gdzie się podziały te smar- kule, których wszędzie pełno, ale nie wtedy, kiedy ich potrzebuje. Latają gdzieś pewnie po ulicach, gonią się z Jeremim, tak, tak, życie jest zabawą.

Merde! Zębami próbował zawiązać supeł. Życie może i jest zabawą, ale nie wtedy, kiedy on potrzebuje pomocy. Dobierze im się w końcu do skóry. Zaraza by to wzięła. . . Nachylił się głębiej. Jeszcze raz. Dobrze.

Niedobrze. Zajęty supłem nieuważnie tylko spoglądał w dół, między nogi, gdzie osłabły już jednorozec ułożył się do snu pomiędzy dwoma pagórkami. Teraz jednak, wytrzeszczone tym samym wysiłkiem co szczęki, oczy, dojrzały tam niżej podejrżane zaczerwienienie. No, nie. Jeszcze tego mu brakowało. Groza. W kąt poszły wszystkie inne myśli, zapomniał o Wa- sylu, hemoroidach i innych podłościach losu, nawet zraniona ręka przestała boleć.

Dotknął ostrożnie podejrzanego miejsca. Do stu tysięcy obwisłych kutasów - tak! Stwardnienie było wyraźnie wyczuwalne, choć jeszcze nie bolesne. Jeszcze - bo za kilka dni znajdzie ich wiele i dopieka mu gorzej niż nieszczęsne hemoroidy. A później - nie będzie żadnego później. Mało to razy wychodził z takiej opresji. Kuracja rtęciowa i po dwóch tygodniach wszystko mija bez śladu. Ale czy tu mają rtęć? I jakiegoś uczciwego lekarza? Ten Niemiec, mieszkający przy rynku, Holz, powinien być odpowiedni. Jeszcze dziś, teraz, zaraz, musi się tym zająć.

Zerwał się z fotela. Boże, po drodze do rynku ma tego nieszczęsnego potwora, zagrzebanego w nawozie. O, nie, nie, nie, niedoczekanie. Poruszy niebo i ziemię, a nie da się tak, tfu, zgnoić. Zrzucił z siebie resztkę okryć i zaczął się ubierać.

Która go zaraziła? Ta dziwka od malarza czy jakaś z tych wcześniejszych, których twarzy ani imienia już nie pamiętał? Tamta chyba nie. Nie stwierdził by tego tak szybko. Wszystko jedno. Z żadną nie będzie miał więcej do czynienia. To nie Corticelli, której udało się zarazić go kilka razy, sam nawet nie wie, dwa czy trzy. Tylko raz się przyznała, ale właśnie wtedy tak mu smakowała, że żył z nią pomimo to. Najgorsze, że teraz straci beczynnienie dwa tygodnie. Nie będzie mógł korzystać ze swej najsilniejszej broni. Kto wie, może przegapi największą w życiu okazję, która zawiodłaby go pomiędzy najpiękniejsze nogi świata, obdarzyła fortuną albo wprowadziła wreszcie na królewskie pokoje. Że też musiało mu się to przytrafić właśnie w tej chwili. Pech, pech i jeszcze raz pech. Dobrze chociaż, że zorientował się tak szybko. Rtęć go nie ominie, ale chociaż mniej się nacierpi. Tylko złapać doktora Holza. Ale znajdzie go, znajdzie, choćby go miał z piekła wyciągnąć.

Zdołał, posykując z bólu, włożyć bieliznę. Zabrał się do wkładania jedwabnych pończoch. Głuchy dźwięk, jakby ktoś walił głową o ścianę, rozległ się w głębi mieszkania. Coś stuknęło w drzwi. Wróciły dziewczynki, niech teraz poczekają, nie ma ochoty ich widzieć, zdołał jeszcze pomyśleć, zanim skamieniał ze zdumienia i przestachu, zobaczywszy jak drzwi uginają się pod jakimś strasznym ciężarem. Przyszli znowu po niego? Kto? Za co? Chciał skoczyć po szpadę, albo dopaść do okna, ale nie mógł zrobić kroku. Bezsilnie więc, z rozwiniętą pończochą w dłoni, patrzył jak drzwi wlatują z hukiem do pokoju, a na nich, z trudem łapiąc równowagę - Wasyl.

. Co, u diabła? Pomaga, ścierwo, jego katom? Do szpady za daleko, do okna już nie zdąży. Casanova wyciągnął przed siebie rękę z jedwabną pończochą, jakby chciał powstrzymać

86 brutalność napastników tym kawałkiem delikatnej materii, jakby mógł egzorcyzmować ich

wschodnią siłę skrawkiem zachodniego wykwintu. Niech mu przynajmniej pozwolą się ubrać, bez peruki nigdzie nie pójdzie, zna swoje prawa. Spojrzy swoim prześladowcom bez lęku w ich azjatyckie gęby! Ale nikogo więcej, poza lądującym z traskiem na kolanach, Wasylem - nie było.

A ten, wielki, ponury mężczyzna, z pokornie opuszczoną głową i rozwartymi błagalnie ramionami, jak jakiś monstrualny owad sunął w jego stronę po podłodze aż ucapił go pod kolana i sapiąc głośno i pociągając nosem zastygł tak w oczekiwaniu na cios albo zmiłowanie. Nagle wszystko stało się jasne. Temu żarłocznemu chłopisku nie wolno od niego odejść. Czyjeś niezadowolenie musiało być groźniejsze od jego, Casanovy, gniewu. Dobrze, że tylko drzwi na tym ucierpiały. To ponure zwierzę było najwidoczniej nie tylko jego służącym, ale i dozorcą. Powinien się właściwie tego spodziewać. Jak to było z najmowaniem Wasyla? Tak jakoś. Nawinał się sam pod rękę, przyniósł wodę, przytachał z targu pół barana, to i został. A, niech tam, wszystko mu jedno. Skoro jest w więzieniu, to i jakiegoś dozorcę mieć powinien. Mogło być gorzej. Jeśliby trafił na kogoś sprytniejszego, na lisa nie na bawołu. . .

- Pojmuję. Nie bój się. Coś niecoś już pojmuję - opuścił ręce, przed czym się tu jeszcze bronić, przed sobą samym? - Jedziemy na tym samym wózku. Nie ja cię nająłem, nie mnie cię zwalniać. O to chodzi? Na pewno. No to cię nie zwalniam.

Wasyl nie puszczał, wzmocnił nawet uścisk i mamrotał coś dziękczynnie w nieznanym Casanovie języku. Dobrze, dobrze. Niech wstanie. Wdzięczność jest obustronna. On też mu dziękuje za to, że był tak łaskawy i jeszcze go nie udusił. . . nie zatłukł, nie wyrzucił przez okno, czy co tam przyjdzie do głowy krwawym mocodawcom. No, już, już. Niech przestanie pyskować i zajmie się raczej jego ubraniem.

Słyszał coś niecoś o azjatyckiej wdzięczności, ale ta zdecydowanie przerosła wszelkie wyobrażenia. Nie mógł się ruszyć. Aż poczuł, że jeszcze ktoś jest w pokoju. Dopiero teraz naprawdę znieruchomiał. Przyszli go zabić. Już? Teraz?

- Cóż to, , Giacomo, zmieniłeś upodobania? Matko Przenajświętsza! Ten głos był jak struga wody, ale wody ciepłej, ożywczej, pobudzającej krew w żyłach - Binetti! Jak Boga kocham, Binetti! Skąd ona tutaj, po tylu latach, w takim momencie? Co za radość!

Odepchnął nogą Wasyla, podskoczył jak stał - w niedbale naciągniętej bieliźnie, z pończochą w zakrwawionej dłoni - złapał, ścisnął, obrócił. Ciepło tej kobiety, jej nagle przypomniany zapach. To jest ratunek, nagła odmiana losu, na którą czekał. Na pewno. Wrzasnął jak rozbrykany młokos.

- Binetti! ! Tyle razy go już ratowała z różnych opresji, wyratuje i teraz. Tyle razy dawała mu wszyst-ko, co miała, to i jeszcze raz nie odmówi. Ile lat dawał jej spokój. . . Cztery? Zakręcił się w koło. Pięć, chyba pięć.

- Puść! ! Ukłucie niepokoju odebrało mu na chwilę dech - czyżby nie dogodził jej ostatnim razem, zwiódł, nie oddał długów? W tym Stuttgarcie, przeklętym Stuttgarcie, gdzie go chcieli uwię-zić. . .

- Puść! ! Postawił ją posłusznie na ziemi i wtedy dopiero dostrzegł powód jej powściągliwości. Przy drzwiach stała, skromnie uśmiechnięta, młodzianka kruczowłosa piękność. Więc niespodzian-ko nie ma końca, świat jest bogatszy niż mu się dzisiaj wydawało. Binetti nie spieszyła się z prezentacją. Przyglądała mu się przez chwilę z uwagą, której wolałby nie wywoływać w ko-bietach. Co ona tu właściwie robi? Występuje w teatrze czy prowadzi burdel?

- Nic się nie zmieniasz. . Ostatnio wyglądałaś równie marnie. Pamiętasz?

87 Aktorka. Wybuchnęła jednak śmiechem tak gwałtownym i radosnym, że musiało w tym

być coś więcej niż tylko aktorstwo. No, jakże, jak mógł nie pamiętać! Utyłął się jak świnia mchem i błotem zsuwając się z dachu miejskiego aresztu, podarł ubranie w strzępy, złażąc po linie do śmierdzącej szczurami fosy. Gdyby nie ona, czekająca pod murami z pieniędzmi i całym jego dobytkiem, uratowanym od mściwej żądzy łotrów i oszustów, jemu zarzucających oszustwa i łotrostwa, zostałby może tą świnia i szczurem na zawsze. Tak, tak, pięć lat temu w Stuttgarcie nie wyglądał w istocie najlepiej.

Zawtórował jej głośno, pewny już, że nic złego go od niej nie spotka. Samo dobro zwiastowała ta roześmiana, piękna ciągle twarz, pełne piersi wyglądające śmiało z dekoltu, zgrabna, jak przystało na tancerkę, figura i piękne nogi, których rozkładaniem on, Casanova, zajmuje się właściwie całe swoje życie.

- Ty też zawsze ta sama - delikatnie objął jej pierś dłonią - nic dodać - i nic ująć. . Ucichła nagle, poddała mu się cała w tym uścisku, mógł teraz przyjrzeć się przez sekundę małej. Co



za wdzięk i świeżość! Tylko młodość potrafi tak nosić urodę. Śliczna. Śliczne dziecko. No, prawie dziecko, bo już i dziewczęce piersi rozpychały się w wycięciu białej sukienki. Zbyt wiele takich skromniutek dziewczyc miało za parę groszy, żeby się dać nabrać jeszcze kiedykolwiek na niewinny wygląd. Ale ciekawości nigdy oprzeć się nie mógł.

- Kto to? ? Binetti nie odzywała się przez chwilę, chciał już powtórzyć pytanie, kiedy wyraźnie wzruszonym głosem szepnęła:

- Kuzynka. . Moja kuzynka. Lili. Do diabła. Lili. To mogła być tylko dziwka. Zdarza się. - Dla mnie?

? Nie docenił wzruszenia w jej głosie. Odchyliła się do tyłu i pacnęła go otwartą dłonią w twarz, za mocno jak na żart, za lekko jak na prawdziwy policzek.

- Nie, , nie dla ciebie. - A czemuż to?

? - Bo nie.

. Nie żartowała, była poważna i jakby groźna, a tego już znieść nie mógł. - No, wiesz - zachnął się, obracając ją z wprawą zawodowego tancerza - kiedyś nie od- mówiłabyś mi takiej drobnostki.

- Trzymaj się od niej z daleka, , Giacomo, proszę cię! W tym głosie była już nuta uległości, ale czyż tylko o to mu chodziło? Jeszcze jeden obrót i blisko, za plecami usiłującej mu się już wyrwać Binetti, miał lekko zdumioną, piękną twarzyczkę Lili.

- A ty, , kwiatuśku, co o tym myślisz? Tym razem policzek zapiekł go prawdziwym bólem. Do diabła, przysięgli się dzisiaj wszyscy przeciwko niemu czy co? Binetti nie wyglądała jednak na wysłanniczkę jakichś tajemnych sił. Rozpłomieniona gniewem i dziwną udręką przypomniała mu dawną Binetti, za którą i z którą uganiał się po całej Europie. Zawsze miała coś w sobie z pogańskich bogiń, dla których kaleczono i zabijano. Dobrze, poddaję się. Nie to nie. Chciał być tylko uprzejmy. Ale już koniec. Wystarczy. A jeśli jej nie wystarczy, to proszę bardzo, tam jest szpada, niech sobie użyje do woli. On ze spokojem przyjmie wyrok losu. Przed śmiercią chciałby jeszcze tylko spytać o pewien drobiazg - za co go to wszystko

spotyka, dlaczego kobieta, którą całe życie kocha, a odnajduje po wielu latach, traktuje go jak najgorszego wroga. Zresztą, nie, niech lepiej nic nie mówi. Upadł z rozmachem na fotel. Lepiej odejść z czystą duszą, bez rany w sercu.

Chciał ją znowu objąć, ale Binetti uchyliła się delikatnie. - Rzeczywiście, , nic się nie zmieniłeś.

88 - Co ty mówisz - sapnął, ciągle próbując ją dosięgnąć - cały czas usilnie pracuję nad sobą.

Chcesz - popracujemy znowu razem. . - Może najpierw choć wstawisz sobie drzwi. . . . Jakie drzwi, a prawda - drzwi. Bałwan służący źle zrozumiał jego polecenie, przestawiali właśnie meble w mieszkaniu, kiedy przyszła. Ale po co im drzwi, niech cały świat dowie się o ich miłości, po co zamykać to, co powinno być otwarte, po diabła drzwi! Co zamknięte - otworzyć, co ukryte - odkryć, to jest logika prawdziwej miłości. Tylko takiej warto ulegać, takiej służyć - plół, nie zważając na jej ironiczną minę ani niezmienny między nimi dystans. Co tam dystans, wystarczą mu oczy, żeby sobie przypomnieć to żywe, gorące ciało, nie raz i nie sto razy jęczące pod nim z rozkoszy. Poczłł wzrastające podniecenie. Gotów był zaraz zapomnieć o stojącej przy oknie dziewczynie, a o doktorze Holzu zapomniał naprawdę.

- Skąd się tu właściwie wzięłeś? ? Skąd się wziął? Słuszne pytanie. Ale teraz niewiele lepsze od Wasylowego kubła zimnej wody. Z Rosji, z więzienia, z rozpacz. Ugryzł się w język. Nie wyglądało na to, by ktokol- wiek był zainteresowany jego odpowiedzią. Poczekał chwilę - nic. Binetti odwróciła się od niego, dotknęła lekko Lili, jakby chciała ją obudzić z letargu, potem kołysząc mocno biodra- mi podeszła do stołu. Niech się kochana przyjaciółka zdecyduje, pomyślał - chce go zmrozić czy rozpalić. A może co innego ją tu sprowadza. Interes?

- Piszesz coś? ? Całe lody Syberii, wszystkie kubły zimnej wody i stu doktorów Holzów, przywróciło go na ziemię. Nie chcą go. Niech i tak będzie. Na razie.

- A jakże - uśmiechnął się i ostrożnie podniósł z fotela - piszę. . Listy do dłużników. Do pioruna, najświętsza prawda kryła się w tym żarcie! Bo czy w istocie nie obdarzy przy- szłych czytelników tych zapisków bezzwrotnym i istic monarszym podarunkiem ze swego życia, a nawet czyż dosłownie nie sprezentuje wielkiej fortuny tym śmiałkom, miejmy na- dzieję - tyleż bezzcelnym, co zdolnym, którzy sami rzucą się do opisywania jego przygód. . . Binetti nigdy nie miała zbyt dobrego wzroku. Mógł więc sobie pozwolić na tę małą kpinę. Zaraz jednak omal tego nie pożałował.

- Ale charakter pisma piękny - zbliżyła dyskretnie kartkę do oczu - mogłabym cię polecić na dworze. . .

- Jestem autorem traktatu o kaligrafii - zaczął pospiesznie, ale coś w jej postaci nakazało mu uwagę. Nie uśmiechała się, nie krygowała. Może rzeczywiście. . .

- Znasz tam kogoś? ? Spojrzała krótko, spokojnie. - Wszystkich.

. Jak już, to już. Niech rozpali chociaż nadzieję do białości. Potem można będzie sobie stygnąć.

- Króla? ? - Króla.

. Boże, to może być prawda. Że król babiarz wiadomo wszystkim. A któż, jak nie cudzoziemskie aktorki smakują najlepiej. Binetti, a może i ta mała. To by wyjaśniało wszystko. Szykuje Lili dla króla? Ta mała. . . otaksował ją z wprawą końskiego kupca, gotów wyolbrzymić każdą skazę na jej urodzie. . . jest fantastyczna. Kogoś mu nawet przypomina. Och, nieważne. Ważne, że i królewskie łóżce nie onieśmieli takiego piękna.

- Przychodzi do was, , do teatru? - Owszem. . Też. Ale nie w tym rzecz. - A w czym?

? Poczul jej dłoń na twarzy. A więc jednak interes. Ale co, jak? O co jej naprawdę chodzi? - Potem ci powiem. . Teraz się lepiej ubierz. Nie będziemy dłużej siedzieć w tej norze.

89 Proszę bardzo. Gotów jest nawet przebaczyć jej tę " norę " . Przypadki zdarzyły, że nie może

przyjąć ich odpowiednio godnie. Równie niepomysłny układ gwiazd sprawił, że skaleczył się w rękę. Musi więc prosić je o pomoc. Chyba mu nie odmówią. Co?

Zatoczył się lekko, żeby wzmocnić wrażenie. Lili drgnęła, chciała ruszyć w jego stronę, podtrzymać go, cudne dziecko, że też królowi, nie jemu miał przypaść taki skarb w udziale - ale Binetti uśmiechnięta, owszem, zastopowała ją lekkim ruchem ręki. O, scalałaby ten nagły smutek z oczu, gdyby nie wyższe racje, które nakazują mu teraz powściągliwość. Wziął za rękę Binetti, za tę rękę, którą chętnie by jej teraz odgryzł, gdzie ten idiota Wasyl, zresztą po co mu teraz ze swoją azjatycką gębą, dobrze chociaż, że wziął ze sobą balię, ale i bez tego, rzeczywiście, bałagan tu okropny. On, Casanova, musi być jednak wyższy nad to, wznieść się ponad sytuację, opanować jej materialną nędzę duchową cnotą. Uwaga.

- Tak naprawdę - szurnął papierami po stole - piszę teraz sztukę. Właściwie już napisa-łem. "Kwartet czy trio - czyli Romans Elwiry". Taka sobie oryginalna historia, w której miałem kiedyś pewien udział. Nic nadzwyczajnego może, ale powodzenie u publiczności mrowane. Tu jest w ogóle jakaś publiczność?

Nie usłyszała pytania. Ale usłyszała to, co powiedział wcześniej. Złapała przynętę, tego był pewien. Wystarczyło na nią spojrzeć. Tak iskrzy bomba na kilka chwil przed wybuchem.

- Ile ról? - Ile tylko trzeba. A pierwsza dla ciebie. Nie musiał zbytnio kłamać. Trzeba będzie, to napisze coś naprędce, w najgorszym razie - przetłumaczy jakąś sztukę Goldoniego. Będzie miała co grać, jeśli o to chodzi.

- Nie, , już nie pierwsza. Binetti nie tyle wypowiedziała te słowa, co roztała je między zębami. - Co się stało?

? Przestał się krępować bałaganem i swoim dziwacznym przyodziewkiem. Teraz już był pewien, że to ona ma do niego sprawę. Co to może, u diabła, być?

- Nic. . Pociągnęła go nagle za parawan, spojrzała w oczy z determinacją kobiety gotowej na wszystko. Więc jednak na wszystko? Nie wyglądała tak olśniewająco jak mu się w pierwszej chwili wydawało, oczy nie miały już zawadiackiego blasku młodości, skóra nie była tak gładka i biała, jak ta, którą pamiętał. Dobrze, cokolwiek by to było, postawi jeden warunek - ta mała, Lili. Nic go nie obchodzi jej inne kombinacje. On, Casanova, nie jest gorszy od króla. A pod niektórymi względami, o czym chyba powinna wiedzieć, jest na pewno znacznie lepszy. Jedna noc na początek. Co jednak znaczy znowu milczenie Binetti, coś naprawdę ważnego musiało się kryć za tym, prawie przemocą wyrwanym z gardła - " nic ". Nic. To znaczy - "

wszystko ". To znaczy dla kobiety takiej jak ona, dla aktorki, dla starzejącej się aktorki. . .  
Był głupi, że się tego nie domyślił od razu.

- Rywalka? ? Nie rywalka - suka z wilczego miotu, , kurewski bękart bez zasad, aktorka od siedmiu bole- ści, tyłkiem walcząca o role, dworska wywłoka, żołnierski wycirus, szmata.

Ten szept miał siłę eksplozji, twarz Binetti, wykrzywiona wściekłością, stała się znowu drapieżnie piękna. Jak za dawnych czasów, gdy jemu czasami rzucała się tak do gardła. Boże. jeśli tamta była z wilczego, to ta już chyba z diabelskiego rodu. Ale też - rywalek nigdy jej nie brakowało, więc ta nowa musiała być chyba śmiertelnym zagrożeniem skoro wywołała podobną wściekłość. I cóż on - miałby pośredniczyć między dwiema furiami?

? - Ładna?

? Binetti błysnęła zębami w bolesnym uśmiechu. - Inaczej nie zwracałabym ci głowy, Giacomo. Piękna. No, no, to już było coś. Ale nie za wiele. Cóż ta Binetti sobie właściwie wyobraża, że on ma ciągle dwadzieścia lat i polecą bez opamiętania na byle pięknego kurwiszona? Zanim coś

90 powiedział, już wiedział, że polecą. Wiek, wyprężył się bezwiednie, poprawił gors koszuli, nie

ma nic do rzeczy. I kto tu właściwie bredzi o wieku? Binetti już znowu z zatroskaniem spojrzała mu w twarz. - Ale zimna. . Lodowata. Wyrachowana jak diabeł. - Same zalety - mruknął, , mocując starannie perukę - czego ty właściwie chcesz ode mnie?

? Pchnęła go głębiej za parawan, strzeliła okiem czy Lili niczego nie widzi i sięgnęła ręką w dół. Poczul mróz z ogniem, przesywający go w kroku.

- Tego. . Żebyś zamienił tę sukę w swoją niewolnicę. Wiesz, że potrafię się odplacić. - Zaraz, zaraz - prawdziwie zaskoczony jej gestem i propozycją, próbował jeszcze non- szalancji - tylko tyle?

? - Mało - sapnęła, , wzmacniając uścisk - no to dodamy jeszcze coś.

. To już była dawna Binetti, śmiała, pomysłowa, olśniewająco bezwstydna. Ale chyba nie myśli naprawdę. . . Myśli. Tutaj? Teraz? Zapłata z góry? Czemu nie, ma do niego zaufanie. A - drzwi! Nieważne. Przez szparę w parawanie zobaczył Lili opartą o parapet i obserwującą uważnie widok za oknem. Niechby poobserwowała choć przez chwilę swoją cioteczkę, zobaczyłaby coś naprawdę ciekawego. Ten drugi urósł w jej dłoni, wyprostował się, wyrzwał na światło dzienne. A Lili? Cicho, niech lepiej będzie cicho. Dobrze. Jeszcze przez chwilę będzie, ale potem wybuchnie śmiechem godnym tej sytuacji, bo to wszystko przecież pachnie żartem. Tak? Drasnęła go paznokciem w sam czubek. Na honor! To nie były żarty. Zabrała się do niego naprawdę. Tutaj. Teraz.

Ale nic z tego. Pech. Cholerny pech. Doktor Holz kłania się dyskretnie, lecz znacząco. Do stu tysięcy igieł za paznokciami! Holz! Nie może jej narazić na takie ryzyko. To chyba jedyna zasada, której przestrzega przez całe życie. Wbrew temu durnowatemu kutasowi, łaszacemu się do jej dłoni, niecierpliwemu i gardzącemu jakimikolwiek problemami. Rozanielony cymbał! Dziarski półgłówek dbający tylko o swoją przyjemność. Bezmózgi debil. A w końcu - prostacy zwyciężają filozofów. Ale nie dziś. Nie może mu na to pozwolić, poszczuje doktorem Holzem, a nie pozwoli! Ale i obrazić Binetti nie wolno. Ani przyznać się do prawdziwej przyczyny niezdecydowania.

- Jesteś z kimś teraz? ? Uścisnęła go mocniej, ale ta odpowiedź mu nie wystarczyła. - Znam go?

? - Wszyscy go znają.

. - Król?

? Tym razem pieśczęta była delikatniejsza. - Prawie. . Hrabia Branicki. Hrabia Branicki. Gorzka gruda utkwiła mu w gardle. Wszędzie pełno tego nadętego py- szalka. Kochanka Branickiego. Może powinien uważać, nie poczynić sobie tak bezpardonowo? Ale przecież to Binetti, jego Binetti. Omal nie stracił równowagi i rękawa koszuli, gdy szarpnęła go na siebie. W głowie miał dalej pustkę, żadnego pomysłu, nic. Ale czyż nie należy mu się jednak trochę przyjemności? I czyż to nie wszystko jedno, komu ją podkradnie?

- Twoje piersi - szepnął z uczuciem - muszę się z nimi przywitać. . Wyłuskał je sumiennie z wycięcia gorsetu. Czy to nie o nich marzył pół godziny temu, leżąc w cebrzyku z wodą? Czyż to nie ich aksamitne krągłości, tak jak lubił - lekko znużone swym ciężarem - wywołały spod wody owego jednookiego potwora, który i teraz chce nad nim zapanować i znaleźć u Binetti legowisko, z jakiego mu dzisiaj korzystać nie wolno. I dzisiaj, i może jutro, i - nie dopuść do tego losie! - nawet i dwa tygodnie. Musi oszukać ich oboje - i Binetti, gotową już odwrócić się i wypiąć wysoko sklepione pośladki i swojego zbuntowanego niewolnika, chętnego wbić się w nie bez ociągania.

Ktoś nagle zakasłał. Znieruchomieli na moment. Lili. To mógł być prawdziwy ratunek. - Kto to jest naprawdę?

?

91 Nie poznał własnego głosu, zaświszczały w nim wszystkie dziurawe płuca świata. Ale nie

miał wyjścia, musiał mówić, żeby i ona zaczęła mówić, a czy mówić nie znaczy - myśleć. . - Kto?

? - Lili. - Co?

? - Nie kuzynka?

? - Kuzynka.

. - Prawdziwa?

? - Tak.

. - Całkiem?

? - Całkiem prawdziwa.

. - Przysięgnij.

. - O, , Giacomo. . . Aż się zataczali od tych chaotycznych szeptów, ale na nic więcej jej nie pozwalał. Strącili na podłogę surdut z różowego jedwabiu. Merde. Tylko go nie usmodruchać. Bo jak, w czym, miałyby się pokazać na dworze. Chciał się schylić, ratować honor i elegancję, a przy okazji może wyrwać się z jej łapczywych rąk.

Nie zdążył, nie musiał, wcale już nie chciał. Znowu zobaczył Lili w prześwicie parawanu. Coś go ponownie zastanowiło w tym widoku. Pochylenie głowy, ułożenie ramion. Skąd znajome? I nagle błysk olśnienia! Trafił, ma! Toż to cała Binetti, młoda Binetti, czekająca na swoje wejście na scenę.

- Hej, , to jest przecież twoja córka! Nie chciała słuchać ani odpowiadać i kiedy już sam sobie podpowiedział w myśli - jeśli jej córka, to może. . . odepchnęła go gwałtownie i wciskając piersi w gorset, i zawijając z odzyskanym już dostojeństwem suknią ruszyła na pokoje.

Tak. Trafił. I to dwa wróble na raz. Ale czy tego nie pożałuje? Pewności nie ma. Pewne jest tylko w tej chwili jedno - wyraźna plama na różowym jedwabiu. Merde! Jego najlepszy surdut. W czym pojawi się na dworze? Trzeć, wycierać, zmyć szybko wodą. I spojrzeć co z Binetti, z tą nieoczekiwanie spotkaną Binetti, po której nie wiedzieć czego może się jeszcze spodziewać. Jest. Jakby nigdy nic, mówi coś do Lili, śmieje się bez cienia skrępowania, układa fałdy sukni, poprawia tamtej loki na czole. Troskliwa opiekunka i grzeczna uczennica. Mamusia i córeczka. Tak. Gdzie tu miejsce na wątpliwości. Święty Marku, jakie to proste. Trzeba być ślepcem i głupcem naraz, żeby tego nie zauważyć. Zaraz. Ile ta mała mogła mieć lat? Trzynaćcie, czternaście? W sam raz dla niego. Dlaczego mu się jej jednak odmawia?

Dosyć bredni. I tarmoszenia surduta. Nie jest jeszcze na razie praczka. Niech się tą różową szmatą zajmą potem dziewczynki. Włóży coś innego. Ale przede wszystkim coś jeszcze innego schowa. Nagłe przypomnienie, niczym igła doktora Holza, wszystkie igły wszystkich doktorów Holzów tego świata, dotknęły go boleśnie. Pomacał obrzmienie. Nie było mniejsze ani większe, ale niepokoju już się nie pozbył. Coś tam może w tej chwili zatruwa podstępnie jego krew. Doktor Holz. Jeszcze dzisiaj. Koniecznie. Holz albo sterta gówna po szyję.



Czternaście lat temu. Byli ze sobą? No pewnie. Paryż. Szampańskie lata. Tak by to wyglądało? Czemu nie? Mało to żywych pamiątek pozostawiał swoim kochankom? Chłopców na ogół rozpoznawał na pierwszy rzut oka, ale z dziewczynkami bywało już różnie. Leonia omal nie została jego żoną zanim wydało się, że jest po prostu córką. Po prostu! Ładne - po prostu. Kto to wie na pewno? Jeśli nie ma podobieństwa. One twierdzą, że wiedzą, ale one. . . Zielony, włoży ciemnozielony surdut. Będzie nawet bardziej pasował na wieczór.

Ale jeśli trzynaste, to już nie jego sprawka. Musiał uciekać z Paryża, ci szubrawcy, no, mniejsza z nimi. . . Kilka lat jej nie widział, a potem, gdzie to było - Londyn? Wiedeń? Wiedeń chyba nie, bo tam takie rajskie ptaki jak Binetti nie były dobrze widziane na dworze. Może nawet Neapol? Skądże. W Neapolu omal się nie ożenił z Leonią. Do dziś nie może odża-

92 łować, że dowiedział się o tym pokrewieństwie o dzień za wcześnie. Może więc i teraz nie

warto być zbyt ciekawym? Jeszcze tylko kapelusz z orlim, pardon - wie już, co tu robi wrażenie - z pawim piórem i można zaczynać nowe życie. Odsunął parawan, po co mu w nowym przedstawieniu stare de- koracje, ale zamiast zachwyconych twarzy kobiet zobaczył przed sobą zarumienionego po uszy Kotuszkę. A ten skąd się tu wziął? I czego chce?

Kapelusz, co kapelusz? Coś nie w porządku, odkleiło się pawie pióro? Nie, nie ten. On, Kotuszko, zapomniał zabrać swój kapelusz, dlatego ośmielił się wrócić. Ach, tak. No to niech go bierze śmiało, bez skrępowania. I prawdę mówiąc - zmyka. Szybciuteńko. Bo panie czekają.

- Ale pan. . . Nawet oczy mu poczerwieniały z wrażenia. O jakiej karierze może myśleć ten burak? Chyba tylko o cyrku.

- Ja się nie gniewam, , zdarza się. - Ale pan na nim stoi.

. Faktycznie, czuł coś miękkiego pod stopą, nie zdążył spojrzeć, a teraz już nie musiał. Binetti i Lili parsknęły śmiechem. Burak całkiem szerniał i nie nadawał się już do niczego.

- To mój uczeń, pan Kotuszko, księżę Kotuszko. A te panie to słynne aktorki, których talenty stworzone zostały, by opromieniać nasze życie.

- Nie jestem księciem. . Dureń, nie uczeń, kompromituje go tylko. Więc szybka lekcja formy, na najwyższym dworskim poziomie. Niech zobaczy jak można opanować każdą sytuację, nawet najmniej sprzyjającą. Opanowanie, trzeźwy umysł i zręczność. To przymioty mistrza. Niech patrzy, niech się uczy, niech nie robi takiej głupiej i onieśmiałej miny, zamiast walczyć. Walczyć, bo życie jest walką. Nawet jeśli przeciwnikiem jest kapelusz chrześzczący pod nogą.

Ot! Miękkim ruchem pantofla Casanova podbił sflaczałe rondo do góry, złapał je jedną ręką, a drugą równocześnie i szybko strzepnął kurz i nadał kapeluszowi fason.

- Proszę bardzo. . Pańska własność. W każdym razie nie moja. Uśmiechnął się czule do Binetti. - Nie o wszystkim da się to powiedzieć z równą pewnością.

. - Nie wiem, , o czym pan mówi. Kotuszko był dalej do niczego, jak pierwszy lepszy sztubak, a nie uczeń najlepszego na wschód od Sekwany znawcy dworskiej etykiety, miętosił w dłoniach miękkie rondo. Chłop, stary chłop. Wszyscy tu oni chłopci, nawet ci z rodowymi nazwiskami.

- Nie musi pan. . Wystarczy, że my wiemy. Prawda? Binetti odwzajemniła uśmiech, ale jakby nie mogła się jeszcze zdecydować, co nim okazać - uległość czy drwinę. Równie dziwnym szorstko- czułym gestem poprawiła kokardę na sukni Lili.

- Nie wyobrażaj sobie za dużo, , Giacomo. - Ja tylko głośno myślę. . Ciekawi mnie na przykład niewymownie ileż to lat może mieć nasza śliczna kuzyneczka.

Podszedł do Lili na kilka kroków, dalej wolał się nie posuwać. - Trzynaście.

. Nie miał zamiaru uwierzyć. Widział to, co w niej dojrzałe, pełne, dorosłe - piersi, biodra, usta. Ten kasek był już do schrupania nie od dzisiaj. Zobaczył też groźbę w oczach Binetti, ale cóż mu teraz matczyne fochy. . .

- A, , dziecko, samo mówić nie umie? Pozwolił sobie nawet na dotknięcie ramienia Lili. Aksamitna skóra, ciepłe ciało, krew pul- sująca z całą mocą młodości. Jego krew.

- Trzynaście. .

93 Akurat. Niech sobie mówią te małe usteczka, co chcą i co wiedzą. On wie swoje. A nawet

jak nie wie, to się domyśla. Ale - stop. Wystarczy zagadek na dzisiaj. Mnóstwo ważniejszych spraw ma teraz przed sobą. Niechże wreszcie stąd wyjdą, niechże Binetti pozna go z tym słodkim wampirem, któremu ma spiłować zębki, niechże przedstawią go wreszcie królowi i niech ona nie patrzy na niego jak na zbrodniarza przed zbrodnią.

- Dałbym głowę, , że więcej, ale po co ryzykować życie. To jeszcze mało, zbyt dwuznacznie. Musi ją rozładować naprawdę. Ma na to dwie sekun- dy. Bo już w trzeciej zostanie rozszarpany na strzępy.

- Cóż, omyłka to rzecz ludzka. I wybaczalna. Ale nie, panie Kotuszko, przy wyborze wina do deseru.

Już było dobrze, czule, po dawnemu. Nawet Kotuszko uśmiechnął się i zerknął odważniej w stronę kobiet. Binetti, zaróżowiona jeszcze od ich miłosnych zapasów, dała znak do wyj- ścia. Kochał ją zawsze taką, zabiegającą o wszystkich i zdecydowaną na wszystko, niewy- czerpaną w miłości i złowrogą w złości. I nawet teraz przez moment poczuł, że kochają nadal.

- Wierzy pan w cuda? ? - spytał Kotuszkę już w drzwiach. - Ja, to znaczy - chłopiec nie odrywał wzroku od nagle do niego zwróconej Lili - tak. Oczywiście.

- A ja - zawahał się Giacomo - raczej nie. Choć może - przypomniał sobie, że czeka go jeszcze wizyta u doktora Holza - może powinienem.

## KRÓL

Binetti uśmiechnęła się z wdziękiem kata, szykującego stryczek i zatrzymała jedną z dziewczyn zawzięcie kręcących piruety.

- Panna Catai. . Obecnie aktorka. Prezentacja nie zapowiadała niczego dobrego. Droga przyjaciółka chyba przesadza, zapomniała o ostrożności. Ale tamta. . . Wiedział coś niecoś o damskiej zawiści i o cenie, jaką się płaci za wejście między cudze ostrza, ale nie bardzo chciał ani potrafił ukryć, co czuje. Dziewczyna po prostu go olśniła. Lekko zdyszana przerwany tańcem, w krwistej sukni, podkreślającej śniadość skóry, parowała wprost zmysłowością.

- Giacomo Casanova, , obecnie widz. Starał się za jednym zamachem osłabić zaczepkę Binetti i ukryć swój zachwyty, ale koguci trył w głosie pokrzyżował te rachuby. Catai parsknęła głośnym śmiechem, który w innych okolicznościach uznaliby po prostu za obrazę i określiła się na pięcie, co kiedy indziej byłoby najzwyczajniej w świecie dowodem nieokrzesań. Ale teraz. . . Teraz widział to inaczej. Wiadział - mocne biodra, pośladki pięknie rysujące się pod suknią, strzeliste nogi zgrabnie lądujące na podłodze. Aż tak ją jednak śmieszy? Poczł ciepło wspartej nagle na nim Binetti, jej palce ścierające coś z policzka. Ach tak, szminka. Był pobrudzony szminką. Śmieszne. Binetti zrobiła to chyba specjalnie. Jakby chciała go ostemplować znakiem własności, dać Catai do zrozumienia, że jest już czyjś, zajęty, nie do wzięcia. Zaiste śmieszne. Sama go przecież szczuje na tamtą.

- Nie bądź taki skromny. . Nie jesteś tu widz, ale autorem. Skłoniłby się z elegancją dworaka obdarzonego niespodziewaną łaską, ale wołał nie tracić ich ani na sekundę z oczu. Tu się w każdej chwili mogło zagotować. Więc tylko mocniej ścisnął rękopis, przesunął go jak tarczę - na pierś. Kilkadziesiąt stron słownego puchu, bzdurka tym co dzień lżejsza im cięższe katusze zadawał mu bezlitosny Holz. Z rozpaczy, przez ostatni tydzień prawie nie wychodząc z domu, napisał komedijkę. Czyż to nie pomyślny znak?

Catai nie śmiała się już, podeszła bliżej aż poczuł zapach jej potu i ostrych perfum. - O - ca - le - nie dzie - wi - cy. . Ocalenie dziewicy. Głos miała niski, zmysłowy jako ona cała. - Dla mnie?

? - Tak.

. - Naprawdę?

? Tym razem zaśmiała się Binetti. Ale nie był to właściwie śmiech, ale gruda wściekłości z wierzchu tylko powleczonego ironią. Znowu nie mogła się opanować. Psuje mu szyki, idiotka. Ale może i to było w ich umowie? Dla równowagi zrobił krok do tyłu.

- To znaczy - dla wszystkich wspaniałych pań. . Karzeł w wielkiej peruce i aksamitnej liberii pojawił się w drzwiach i spojrzał pytająco na Catai.

- I wspaniałych panów - dodał Casanova, robiąc do dziewczyny oko. Catai, lekko czymś speszona, fuknęła najpierw na karła, a gdy się tym nie przejął, rzuciła w niego grzebieniem i skoczyła do drzwi. I tyle jej było.

95 Ocalenie dziewicy. Zaiste, zaśmiał się w duchu. Tylko śmiechu wszystko warte. Ani dzie-

wica, ani żadna ocalenia. Już dziś by ją miał, gdyby nie uciekła. I gdyby nie Binetti. Czujna jak zawsze zagroziła mu sobą drogę, gdy chciał ruszyć za tamtą. Nie wypadło przeciągać struny. Czyż nie jej obiecał pierwszeństwo. Dziesięć dni kuracji doktora Holza i ani chwili dłużej. Kochana Binetti.

Pociągnął ją na podłogę i zwiedził przez następne pół godziny wszystkie strony świata, przebył zwycięsko góry, pustynie i mokradła. Był szalony i niezmordowany. I Binetti starała się jak mogła, ale myślał ciągle o tamtej, a później już tylko o własnej nodze, przytrzymującej drzwi garderoby i ścierpiej tak potwornie, że o wiele za długo męczył się zanim z trudem skończył to, co tak brawurowo zaczął.

W dzień później, po niedługiej walce miał już pod sobą i tamtą, ucichła nagle, zmęczoną szamotaniną, a raczej pewnie zniewoloną jego urokiem, bo opór był przecież tylko pozorem, daniną dla konwenansu, niczym więcej. Nie śmieszyło go to nigdy nawet u zawodowych dzi-

wek. W tej grze wszystko mogło służyć do rozniecenia większego ognia. Także słowa, pozornie oschłe i obojętne, jakimi Catai przyjęła go w swoim buduarze, zagrożonym mnóstwem pstrokatych kobierców, stołem o kanciastych nogach i niewygodnym szezłagiem. Również śmiech, którym skwitowała jego wyznanie uczuć gorących i wielkich, wypełniających go od wczoraj, od ich pierwszego spotkania. I nawet jej nagła ucieczka od niego, przepychanki przy ścianie, gwałtowny rytm przyciągania i odpychania - wznęcały tylko jego namiętność. Znał dobrze ten rytm, wiedział, jakie rozkosze obiecuje.

Jakby jednak nie byli tu sami. Pstrokate dywany usuwały mu ziemię spod stóp, albo zadartymi rogami podcinały nogi, kanty stołu atakowały boleśnie golenie, a szezłag w najmniej odpowiednim momencie zagradzał drogę. Ale teraz uspokoiło się już wszystko, ucichło i zamarło w bezruchu. Odepchnął stół, wbił się mocno obcasami w podłogę, a kanciastość kanapy wypełnił spowolniałym wreszcie ciałem dziewczyny. Wygrał. Sama zrozumiała, ile soli trzeba do tej zupy, żeby nie przesolić. Zaraz będzie jego. Ze spokojem wielkiego łowczego sięgnął ręką po łup.

Eksplodowało nagle wszystko. Potworny ból poderwał go z miejsca, całe lody Syberii, całe płomienie piekieł grzmotnęły go w podbrzusze z morderczą siłą. Zanim zrozumiał co się stało, zanim usłyszał śmiech Catai i zobaczył jej kolano podciągnięte pod samą brodę, zgięty bólem w pałąk poleciał do tyłu i rąbnawszy plecami o stół, zwałił się na dywan, przetarty w tym miejscu do gołych desek. Ryknął tyleż z bólu co ze zdumienia. Co to jest? Co ta wariatka sobie wyobraża? Temperament temperamentem, gra grą, ale coś takiego. . . Boże, przecież gdyby nie ręka, którą bezwiednie osłonił swoją męskość, byłby teraz jak potępieńiec, albo - do stu tysięcy najsmrodliwszych diabłów - piałby jak kogucik.

. Nie jest tak źle. Podbiegła bliżej, zafrasowana już, czuła. Coś tam mruczy do niego czy do siebie, w jakimś miłosnym języku. Sama wie, że przesadziła. Ale na przyszłość niech uważa. On może się nie opanować tak szybko i żadna, choćby najbardziej pomysłowa uległość nic nie pomoże. Żadne mruczenie za uszami i łaskotanie językiem.

- Sto! ! Usłyszał coś, przesłyszał się, śni? - Co?

? - Sto dukatów. . I ani jednego mniej.

Dziwka! Sto dukatów. Sto parzących palce diabłów! Ale w końcu miał je. Zdobył dla niej, a jakże - pacta sunt servanda. Całego dnia na to potrzebował, dwustu przekleństw i trzystu zaklęć, by wreszcie wydrzeć brodatemu bankierowi tę sumę z gardła, pod zastaw dwumie-

96 sięcznych przesylek z Wenecji, jakie zaczął od niedawna otrzymywać. To lekkomyślność,

głupota, wariacja, przekonywał sam siebie - co będą jeść przez te miesiące - ale pokusa była silniejsza. I pewnego wczesnego wieczora, niedługo potem, miał znowu Catai przy sobie, tym razem w wielkim masywnym łożu. Sama mu wskazała miłosną pozycję - pokornie pochylone plecy, a pośladki, te pięknie wytoczone półkule - zuchwale wypięte w jego stronę. O, znał dobrze tę miłosną dialektykę, każącą cnotcie przyozdobić się w szczyptę wyuzdania, a dziwce udawać damę. Catai podobała mu się tak samo w obu rolach, ale miał pewne powody przypuszczać, że tylko jedną z nich traktowała poważnie. No, cóż, koniec końców - zapłacił, może więc bez zbędnych sentymentów sięgnąć po swoje. Byłaby piękną zdobyczą, pomyślał walcząc z nogawkami spodni, gdyby nie sto dukatów, które musiał zapłacić za tę noc.

I tak będzie piękną zdobyczą, zdecydował, czując pod dłonią ciepły kształt jej pleców. Dziewczyna nie była naga, jak kilka minut wcześniej, gdy pozwoliła mu przyjrzeć się sobie w kąpeli i gdy te pełne piersi, biodra i przepastna kępka czerni między udami postawiły go na baczność tak gwałtownie, że jak sztubak bliski był natychmiastowej eksplozji. Teraz okryła się czymś, jakąś powiewną szatą. Dobrze. Zerwie zaraz to świństwo i zobaczy co kupił za sto odjętych sobie od ust dukatów. A ona, ta harda dziwka nie doceniająca jego uczucia, przekona się, co zyskała, oprócz - obejrzał się machinalnie czy dukaty są na swoim miejscu - całkiem przyzwoitego stosiku złota.

A to co? Wyczuł pod palcami jakiś sztywny kształt, brzegi czegoś, co przylegało do ciała dziewczyny w zakątku, który był teraz jego celem. Szarpnął jedwab, lecz odsłonił nie skórę, ale skórzany gorset wciśnięty mocno w brzuch i pośladki. Co, u licha? Kpi z niego czy chce go bardziej podniecić. Zagarnął ją mocno do siebie, ale to nie było to, czego oczekiwał. Zamiast aksamitnej pupki - wartej nie sto, ale tysiąc dukatów - trykał bezsilnie w tyłek jakiegoś zeszywniałego ze starości capa. Szarpnął raz, drugi, nie pomogło. Poszukał palcami sprzączek, guzików, czegokolwiek, co mogłoby posłużyć do otwarcia tej kurewskiej zapory. Nie reagowała na jego gniewne pomruki, leżała bezwolna i jakby martwa. Ale nie była martwa. Pulsowało w niej ciepło, życie, rozkosz, każde dotknięcie jej ciała upewniało go o tym aż do bólu.

- Zdejmij to! ! Zamek, znalazł coś w rodzaju zamka. Merde! Toż to prawdziwy pas cnoty. Widział coś takiego kilka razy w życiu. Zawsze był to podniecający żart, kończący się znalezieniem kluczyka. Więc o to chodzi? Kluczyk, gdzie jest ten przeklęty kluczyk. Musi go znaleźć jak najszybciej. Jasne, taka jest jego rola w tej grze. Dlatego ona nie chce mu pomóc. Niech będzie. Niech się pobawi w odkrywając.

Na złotym łańcuszku między piersiami. Nie. Ale choć piersi nagie, napięte, sprężynujące pod palcami. Szybciej. Na rzemyku owiniętym wokół palca u nogi? Chyba nie, zaraz - na pewno nie. Uszy, włosy? Nic. Oczywiście - najzwyczajniej w świecie ściska go w dłoni. Więc - paluszek po paluszek zajrzemy do środka. Pusto. Pomacał się po głowie, pomny przygody z księżną Adolfiną, która wpięła mu niepostrzeżenie kluczyk w perukę. To przypomnienie przywołało inne, prawdziwie niesamowite. Francuska oberżystka i sztuczny ząb, otwierający jej skarbczyk. Ach, tak. Czyż nie jest to właśnie wyjaśnienie sprawy? Ma go w ustach. Dlatego tak dziwnie milczy. Szelma, prawdziwa szelma.

Nie broniła pocałunku, wysilił więc całe swe mistrzostwo, by rozchylić wprawnie jej wargi, a potem puścić w ruch język. Do diabła, podnieca się coraz bardziej, ale do celu wcale mu nie bliżej. Nie będzie przecież sprawdzał jej zębów. A może? Ona przesadziła to i jemu chyba wolno. A jak mu skołowacieje język to i palcami sobie pomoże. A może i jeszcze czymś.

Odepchnęła go tak gwałtownie, że aż stracił równowagę i zsunął się na podłogę. Zanim zdołał się podnieść i pokazać tej wariatce, jak się powinna obchodzić z dżentelmenem gotowym zapłacić za banalną w końcu usługę sto prawdziwych dukatów, zobaczył jej palec wycelowany pod łóżko. Tam? Uniósł falbanę narzuty i zajrzał. Niewiele było widać, ale jakiś

97 owalny kształt białiał na skraju przepastnej ciemności. Dotknął. Nocnik. Po prostu nocnik. To

znaczy, że co? Że kpi sobie dalej z niego? Chce przeciągnąć strunę? Do pioruna, może ją to drogo kosztować. Nie tylko te sto straconych dukatów. Nie pozwoli z siebie robić aż takiego dumnia.

Ale nie - w głosie dziewczyny nie było drwiny, gdy wychyliwszy się w jego stronę, szepnęła czule i z zażenowaniem, że chyba tam, tam wpadł ten przeklęty kluczyk, gdy szkowała się dla niego, musi wybaczyć, ale nie zdążyła, właśnie, chyba tam. Byłby się roześmiał, gdyby nie to skrzępowanie w jej głosie. Piękna przygoda, nie ma co. Może się odechcieć wszystkiego. Nie tylko pasa cnoty, ale i samej cnoty, choćby nie wiem jak wcześniej smakowała. Żebyż to choć był urynał, nie nocnik. Byle nie nocnik.

Zawahał się przez chwilę, ale wtedy ona przejechała palcami po jego grzbiecie, aż się cały na powrót miłośnie zjeżył. Teraz było mu już wszystko jedno. Wyciągnął rękę, powoli wsunął do środka. Nic. Nic. Ale jednak coś. Przy ścianie pustego naczynia wyczuł coś twardego. Jest! Jest ten cholerny kluczyk! Teraz nie było chwili do stracenia. Poderwał się jak tygrys i jak sto wściekłych tygrysów runął na łóżko. Catai próbowała umknąć, za późno, już mu teraz



nie będzie brykać. Złapał ją za nogę, przyciągnął, przewrócił na plecy. Od samego zapachu jej ciała można było eksplodować. Szaleństwo, po prostu szaleństwo! I zameczek, mały metalowy zameczek w miejscu innego miłosnego zamka, korek do butelki z najlepszym winem, który trzeba błyskawicznie odetkać.

Coś jednak dalej było nie tak. Zgrzytał zawzięcie kluczykiem o zamek, krzesał iskry z niecierpliwości - na nic. Nie mógł trafić w dziurkę. I nie z jego winy. Kluczyk był wyraźnie za duży. Wyrwała mu się w tym samym momencie, w którym to zrozumiał, wyskoczyła z łóżka ze śmiechem tak perlistym, że wreszcie pojął, że ma do czynienia z całkiem niezłą aktorką. Dalej gra, zwodzi go. Chce mu pokazać cały swój kunszt. Kiedy od tego jej kunsztu bolą go już jaja. A może być znacznie gorzej. Pamiętał, czym się skończyła poprzednia gonitwa. Ruszył więc za nią z pewnym ociąganiem. Pożałował zaraz tej chwili wahania. Catai dopadła bowiem okna, otworzyła je i zamachnęła się szeroko. Zdążył jeszcze złapać ją za rękę, ale to co w niej trzymała, wyleciało już w górę - błyszczący kluczyk na złotym łańcuszku odbił się od framugi i niespiesznie poszybował w dół, na ulicę. Do stu tysięcy zgaszonych knotów! To był ten kluczyk, którego szukał. . . Co ta zwariowana dziewczucha wyprawia. Jego też chce doprowadzić do szaleń- stwa? Może ją czekać niemiła niespodzianka, każda cierpliwość ma swoje granice.

Rzucił się do okna, wychylił energicznie jakby chciał skoczyć. Kępki rzadkiej trawy, kiepski bruk po lewej stronie. Za daleko, za ciemno, żeby coś dostrzec. Granice ma nie tylko jego cierpliwość, ale i pożądanie, stwierdził, napierając nagim ciałem na chłodny parapet. Stygł jak rozżarzony hufnal wrzucony do wody, sflaczał jak orzeł, któremu w locie opadły skrzydła, wiądnął jak kaktus zwarzony mrozem. Nie jest do diabła, sztubakiem, żeby mu nie szkodziły takie harce. Jakby wyczuła, co się z nim dzieje, objęła go z tyłu, przytuliła się czule. Nie śmiała się już, ucichła, wodziła wargami po jego plecach. Nie odwracał się, był trochę zły, a trochę ogłupiała sytuacją. Zaziębi się, a nie daruje komediantce. Dostanie zapalenia płuc, a nie przyzna się do fiaska. Zastygnie na sopel, a nie da się ośmieszyć.

Krótko wytrwał w tych postanowieniach. Usłyszał ciche westchnienie, a potem coś mokręgo pacnęło go delikatnie w kręgosłup. Boże, ona płacze! Co za dureń! Dureń i prostak. Przecież to było wszystko dla niego. A on nie docenił jej kunsztu, potraktował ją jak byle dziwkę, bałwan. Bałwan i cham. Przecież gdyby jej nie trącił, nie wypuściłaby pewnie kluczyka z ręki, chciała się tylko podroczyć, pobawić z nim. Już dobrze, dobrze, odwrócił się i miał ją - znowu w ramionach półnągą i mimo płaczu - rozplamioną. Cicho, cicho. Wszystko będzie jak trzeba. Przyniesie zaraz ten najważniejszy w świecie kluczyk, choćby musiał go wydostać spod ziemi, choćby trzeba było przekopać całą ulicę i przeszukać pół miasta. Zaraz. Rozpalał się znów pod jej coraz śmielszymi dotknięciami. Zaraz. Niech pocze- ka na niego małą chwileczkę. A nie pożałuje. I niech nie płacze, na wszystkie świętości ją

98 prosi. Każda jej łza go rani. A każda rana krwawi. Wykrwawi się. Będzie do niczego. A prze-

cież chyba nie o to jej chodzi. Nie jest taka okrutna. Jest piękna, mądra i dobra. I niech poczeka na niego - minutoczku!

! Skąd to słowo w mowie, której nie znał i znać nie chciał? Jakby jakiś diabeł kręcił jego językiem, jakby jakiś piekielny swąd osmalił mu wargi. Nieważne. Teraz ważne jest co innego. Kluczyk.

Nie było sensu się ubierać. Zaraz przecież wróci. Posadził ją na łóżku, nakrył jedwabną narzutą. Co nakryte, zostanie odkryte. Już zaraz, za mi. . . , niech będzie - za minutoczku. Okręcił się peleryną i potruchtał do drzwi. A, prawda, pantofle. Pełno kotów na schodach, wolał nie wleźć bosą nogą w ich szczyny. Schylił się, żeby włożyć buty, brodą dotknął prawie stołu. Stół. Był pusty. Stos złotych dukatów zniknął jakby go tu nigdy nie było. Zdażyła je schować. Ale kiedy i jak właściwie? Cały czas miał ją przecież przy sobie. Jeśli nie ona to kto? Tylko on był jeszcze w pokoju. Śmieszne. Śmieszne i nieważne.

Był już w połowie schodów, gdy usłyszał trzaśnięcie drzwi i szcękot zamka. Uwierzył w to dopiero, gdy dopadł klamki i szarpnął kilka razy. Na próżno. Coś się stało. Coś się stało strasznego. Ktoś był w mieszkaniu i napadł na nią. Potwory! Zbóje!

- Otwierać! - ryknął, czując krew w gardle. Ale zamiast krzyków rozpacz i rumoru rozbijanych sprzętów, usłyszał zza drzwi tylko jakieś niewyraźne kwilenie. Zmartwiał ze zgrozy. A zaraz z wściekłości, bo to kwilenie wydostało się z gardła i rozpękło na kwiecisty, zdrowy śmiech. Jakby jakiś szatan chciał się z niego naigrywać. Ale już pojął, że to nie szatan, ale ta przewrotna dziwka zrobiła z niego idiotę. Nie miał siły, żeby coś zrobić albo powiedzieć. Nawet śliny mu nie starczyło, żeby splunąć.

Potem nic już nie było proste. Nie mógł się zdecydować, co dalej robić. Był na przemian chory z nienawiści i z uwielbienia. Następnego dnia kręcił się koło domu Catai ze szpadą, chciał ją zabić, ale kiedy nie wychodziła, posłał jej przez teatralnego karła - kwiaty. Próbował ją udusić, gdy roznamiętnwszy go znowu na twardym szezłagu, zażądała następnej setki dukatów, ale zaraz rozluźnił uścisk, tyleż pod wpływem błagalnego spojrzenia jej gasnących oczu, co wrzasku karła, usiłującego mu wskoczyć na plecy. Miał zamiar ciągnąć ją przed trybunał za wyłudzenie, skompromitować, opisać w anonimowym pamflocie, ale dłużej niż minuty nie potrafił wytrwać przy tych postanowieniach. Szybko budziły się wątpliwości - a że wstyd, skoro się dał tak podejść prowincjonalnemu w końcu dziwusowi, a że groźba dla jego i Binetti starań na dworze, boć to przecież aktorka królewskiego teatru, a że przesada, jeśli nadal bardziej jej pragnie niż nienawidzi.

Wreszcie zdecydował się. Niech ją piekło pochłonie, a jego razem z nią - zapłaci. Jeszcze raz zapłaci! Było źródło, a nawet źródła, do których dotąd nie sięgał.

Nie szukał tamtych zbyt długo. Wystarczyło pomachać pięścią jednemu z drabów, włączających się za nim stale, a pojawili się sami. Tych dwóch mężczyzn nie znał. Brutalne gęby zdradzały profesję, niewiele jednak mówiły o szarżach. Nie patyczkował się więc. Potrzebuje pieniędzy. Jest człowiekiem, nie wielbłądem, jada codziennie, pije jeszcze częściej, czasem musi także zadbać o swoją służbę. A stroje? W łachmanach ma się dostać na dwór, króla ma olśnić gołym tyłkiem? Tak to sobie wyobrażają? Nie taka była - aż się zakrztusił tym obrzydliwym słowem - umowa.

. - Ile? Nie spodziewał się, że tak łatwo pójdzie, wymienił więc sumę bez namysłu. Starszy z nich prychnął lekko.

- Tylko tyle? ? Młodszy wykrzywił się w obraźliwie uprzejmym uśmiechu. - Proszę bardzo.

.

99 Merde! Nie dość, że bierze pieniądze od swoich prześladowców, to jeszcze wycenił się za

nisko. Wyrwałby sobie język, gdyby i tak nie było już za późno. Młodszy zbir wyciągnął przed siebie rękę z sakiewką dość pękatą, by pomieścić sumę znacznie większą niż sto dukatów. Idiota, mógł zażądać więcej! Nadstawił dłonie, ale strumień pieniędzy poleciał pod nogi tamtych, zaślnął blaskiem złota w brudnym piachu. Świnie! Co sobie wyobrażają? Odpłaci im zaraz za tę zniewagę, zębami będą podnosić dukat po dukacie. Złapał za szpadę, ale szpady nie było. No, tak - zastawił ją wczoraj w karczmie. Wenecki sztylet? Przegrał nad ranem w karty. Została tylko szpilka od kapelusza. Lepsza nawet od sztyletu.

- Dość - starszy dał krótki znak dłonią - wystarczy. . - Co wystarczy, , co znaczy - wystarczy? ? To nie jest sto dukatów. - Nie? ? A ile? Młodszy ściągnął w garści sakiewkę, nie po to wcale, żeby sprawdzić, ile w niej zostało. Zbóje! Nie sięgnie po szpilkę, nie zdąży.

- Nie wiem. . Niech sobie sami policzą, prostaki. Jakby to usłyszeli, postąpili krok do przodu. Giacomo nie miał się już gdzie cofnąć. Zbita gęstwina za plecami, która miała go chronić przed przy- padkowymi widzami, okazała się teraz pułapką.

- Ile? Młodszy zbir palnął go nagle sakiewką w podbrzusze, a gdy Casanova zgiął się z bólu, po- prawił pięścią w kark.

- No, , ile dostałeś? Co miał robić? Nie będzie nadstawiał głowy dla głupich paru dukatów. Na kolanach nie dyskutuje się o godności.

- Sto - wycharczał nieswoim głosem, czując jak znowu któryś z tamtych nachyla się nad nim. Ale już ich nie interesowało jego podbrzusze, kark, ani nawet odsłonięta do ciosu czasz- ka. Wielka łapa o popękanej skórze i brudnych paznokciach zanurzyła się w piachu i zagar- neła kilka złotych monet.

- A teraz? ? - Sto, , dokładnie sto. Było pięćdziesiąt sześć. Dokładnie. Dobrze i to. Niech sobie tylko świnię nie myślą, że po- zwoli się tak traktować. Jeszcze im wypruje kiedyś flaki. Złodzieje! Niejeden trybunał będzie miał z nich pociechę. Już on o to zadba.

Najpierw wołał jednak zadbać o siebie. Oddał dług księciu Lubomirskiemu, wykupił szpa- dę, sypnął złotem swoim rudym kucharkom, Jeremiemu sprawił nieco błazeński strój ze zło- tego atlasu, wreszcie wynajął powóz z woźnicą na całą zimę i - pewny uśmiechu fortuny - zasiadł do kart. Przegrał, wygrał i znowu przegrał. Zrezygnował z powozu i spłaty reszty dłu- gów. O Catai przypomniał sobie, kiedy miał już niewiele ponad połowę wyzbieranej z piachu sumy.

Co było robić? Honor to rzecz święta! I nie po to go już nadwerężył, żeby teraz zrezygno- wać w pół drogi.

Hannowerczyków też wiedział, gdzie znaleźć. Zobaczył kiedyś na ulicy tego krępego, tego - o błazeński pomyśle - który sposobił się do udawania jego - Casanovy. Poszedł za nim z ciekawości, co też mogą tu ciągle robić te marne kreatury. Nie wyjechali. Nie bali się zdema- skowania. Pewnie są zbyt małymi szpiczlami, by zagrażać komukolwiek. Albo zbyt wielkimi - rozmarzył się - by ośmielono się ich ruszyć. Tylko on potraktował ich odpowiednio. Wjechał do miasta powożąc parą pruskich agentów. Jeszcze teraz wykrzywia mu się gęba na wspo-

mnienie tej sceny. Gdybyż mógł to opowiedzieć księciu Pepi, albo - to by było, doprawdy pyszne - samemu królowi. . Może kiedyś. . .

100 Tu. Schludna, nieduża kamienica. Skromny szyld w bramie wiodącej na piaszczyste po-

dwórko. Rozejrzał się, czy jest inna droga ucieczki, ale zabudowa była szczelna. Chyba że po płaskich dachach. Ale niby dokąd? Tam dalej - to już sprawdził poprzednim razem - zaczynały się ogrody jego ekscelencji ambasadora króla Prus. Tego nadętego Wilhelma, który próbował zrobić go swoim sługą w jakiejś stajnią śmierdzącej szkole. Wyjątkowy brak taktu.

Czegoś takiego nie zapomina się nawet władcom. Nie będzie więc w żadnym wypadku szukał pomocy u ambasadora kogoś tak nieokrzesanego. Szczególnie że to przed jego ludźmi przyjdzie mu może zmykać.

" Drukarnia. Stein i synowie " . Proszę bardzo. Niech będzie drukarnia. Niech będzie nawet chlew, byle znalazł tu to, czego potrzebuje. Trudno coś dostrzec przez małe szybki w oknach, ale - tak - postać schylona nad jakimiś pakunkami, to był z pewnością ten drugi z hannowerskich " kupców " . Stein? Ciekawe, ilu będzie tych synów?

Zapukał i pchnął równocześnie drzwi. Ciemny przedsionek śmierdzący smarami i rozgrzanym metalem. Tu stracił kilka sekund. Wystarczyło. W sali ciasno zastawionej dziwaczными maszynami nie było nikogo, prócz ryżego wyrostka mieszającego wielką kopyścią farbę w beczce. I cisza. Zastanawiająca cisza w miejscu na ogół tętniącym życiem. Trafił więc chyba dobrze. Którędy zniknął tamten? Drzwi do mrocznego kantorku. No, tak. Poczekamy chwilę. W końcu drzwi służą tak samo do wychodzenia jak i wchodzenia. On swój ruch zrobił, teraz pora na nich.

Miał właściwie rację. Pomylił tylko drzwi. Bo to za jego plecami skrzypnęły zawiasy i ktoś wszedł do środka. Mały, pocziwie wyglądający staruszek, przyglądał mu się mrużąc oczy. Czym może służyć wielmożnemu panu? Tylko na chwilę dał się zbić z tropu. Mają tyle wyobraźni, żeby zatrudniać małych pocziwie wyglądających staruszków, nie tylko ponurych zbirów. No więc, chciałby coś wydrukować, Święta Panienko, oświeć umysł jakąś przydatną myślą - coś, na czym mu bardzo zależy, wspomnienia, a właściwie relację z podróży - tak, właśnie tak - pełną niesamowitych przygód, a nawet - dzięki, wielkie dzięki - morderstw. Jest cudzoziemcem i chciałby podzielić się tymi opowieściami z tutejszymi czytelnikami, których, nie wątpi, rzecz cała rozbawi, a może nawet skłoni do zastanowienia.

Staruszek stał się jeszcze mniejszy i jeszcze bardziej zakłopotany. Oni właściwie nie zajmują się takimi sprawami, drukują Biblię, tylko Pismo Święte, nic więcej. Ale może dać mu kilka adresów innych drukarni, które chętnie. . . O, niech nie rezygnują tak łatwo. To będzie głośna rzecz. Może nie tak głośna jak Biblia, ale miejscami równie ciekawa. Co powie, na przykład, na tajemniczą historię śmierci rosyjskiego oficera znalezionej w piwnicy z kapustą, historię, która przestaje być zagadką dopiero na ostatnich stronach. Żyła złota, prawdziwa żyła złota dla kogoś, kto doceni wagę takiego dokumentu. A on, zważywszy pilną potrzebę, w jakiej się ostatnio znalazł, sprzeda manuskrypt tanio, prawie za grosze. No, ale skoro to tu nikogo nie interesuje, rzeczywiście pójdzie gdzie indziej. Coś szurgotnęło za ścianą, niegłośnie ale wyraźnie. Rudzielec znieruchomiał nad beczką. Staruszek zaś wyprostował się powoli. Nie był ani tak stary, ani tak poczciwy, jak mu się w pierwszej chwili wydawało. To raczej on zatrudnia tamtych dwóch zbirów niż oni jego. Stein i synowie. Merde. Rzuć się na niego tutaj, czy poczekają aż wyjdzie?

- Ile? Nie przesłyszał się, nie pomylił - dopiął swego. Szybko skalkulował, to, tamto, ile mu potrzeba, ile utargują.

- Sto. . Żadnej reakcji. Cisza. Nie dadzą tyle. Przepadło. Znowu się wygłupił. Przełknął ślinę i mruknął zrezygnowany:

- Pięćdziesiąt. .

101 Mężczyzna patrzył gdzieś nad jego głową, nie wypadało się odwracać, żeby sprawdzić, na

co. Okno. Ktoś za oknem. Nagły błysk w oku, młodzieńczy i jakby drwiący nieco, był dowodem, że tamten dojrzał to, co chciał dojrzeć. A on - śni czy słyszy to, , co słyszy?

- Niech będzie. . Zgoda na sto pięćdziesiąt. I nic już nie było ważne od tej chwili - strach przed kpina, wierzycielami i własnym sumieniem. Nawet przyrzeczone przez Binetti zaproszenie na kolację do króla, nie zrobiło na nim spodziewanego wrażenia. Bardziej liczyły się bileciki, które wymienił z Catai i wszystko to, łącznie z czterokonnym powozem i nowym frakiem, co go z powrotem przywiodło do jej łóżka.

Tym razem nie musiał przypuszczać jakiegoś wściekłego ataku, a już ją miał na sobie, wreszcie taką, jaką chciał - nagą i uległą. Jeszcze chwila i dopnie swego, wbije się w to wilgotne futerko łaskoczące go teraz po brzuchu. Niebo, niebo w tej mokrej szorstkości, cud natury, boskie arcydzieło. I chwila, sekunda, przed spełnieniem warta więcej niż wszystkie spełnienia świata! Szaleństwo, prawdziwy kosmiczny szal. Nie widzieć nic - ciężar jej włosów na twarzy, niczego nie słyszeć - chłód dłoni obejmujących głowę, czuć tylko krew z rozbitych pocałunkami warg i ból wycelowanego w sufit oczekiwania.

Żadnych już skór, sprzączek, zamków - tylko sprężyste, nabrzmiałe ciepłem ciała, które zaraz przyjmie go w siebie. Przyłożył dłonie do jej piersi, lekko, pieszczotliwie je nacisnął. Ale dziewczyna nie poruszyła się, nie przesunęła tam, gdzie chciał. Jeszcze raz, mocniej. Co za piersi! Wystarczyć mogą za wszystko inne. Ale nie teraz, skoro i wszystko inne miał w zasięgu ręki. Już. Pora. Najwłaściwszy moment. Nie rozumie tego? Więc za ramiona, unieść ją lekko w górę i popchnąć do tyłu. Potem już tylko patrzeć jak galopuje i pilnować, żeby nie wypadła z siodła. Ale Catai zeszywniała nagle, nie poddała się jego dłoniom. Znowu zaczyna? Nie, po prostu lubi opór, to jasne. Powinien to zrozumieć od pierwszego spotkania. Nie patyczkować się, nacisnąć mocniej, dać parę razy po buzi i zerznąć panienkę bez dalszych ceregieli. Tylko, że to nie w jego stylu. Opór? Najwyżej szczypta oporu dla smaku, dla upiększenia kapitulacji. Pieprz, goździki, słodka cebula.

Siarka. Gorczyca. Pokrzywa. Zrozumiał to kilka minut później. Kiedy było po wszystkim i - do stu tysięcy złośliwych diabłów - po niczym. Znowu - co chciał się do niej dobrać, to odtrącała go gwałtownie, co już ją miał w garści, to wymykała mu się nagłym szarpnięciem, co wycelował, to pudłował. Już go to przestawało bawić, już go zaczynało parzyć ciemne zwierzątko skaczące mu po brzuchu i piersi. Była od niego silniejsza, stwierdził nie bez zdziwienia, silniejszą mocą swej furii i jakiegoś szatańskiego zdecydowania, krępowała mu ręce, ścisnęła udami boki. Wariatka! A cóż za nieprzekupny bies ją znowu opętał? Diablica! Jeszcze mu zrobi krzywdę tym tyłkiem zawzięcie skaczącym po całym ciebie, złamie mu jego panna, rozkwasi go, zamieni na miazgę. Mało się słyszy o takich przypadkach?

- Puść! ! Zaśmiała mu się w twarz, więc ucichł, zbierając siły. Dostyc tego, basta Zrzuci ją zaraz z siebie, rozkrzyżuje na podłodze i tak wygrzmoci, że naraz błagać będzie zmiłowania i żebrać o jeszcze.

Nie zdążył niczego zrobić. Dziewczyna sięgnęła nagle ręką za siebie, ucapiała go mocno i - do stu tysięcy złośliwych diabłów - po paru sekundach było już po nim.

. O, podłości nad podłościami! Nie zabił jej jedynie przez przypadek. Nie trafił w tę pędzącą do drzwi diablicę, tylko ścianę rozorał aż do cegieł. Nawet już nie skoczył za nią, na nic wię-

cej nie miał siły, w każdym razie nie na wyważanie tych cholernych drzwi, za którymi się schowała. Spalić wszystko, rozwalić, wyrzucić meble na ulicę. Z przerażającą go samego

102 trzeźwością wysmiał w myślach te chęci. Ale była to trzeźwość tępa, lepka, gorzka w smaku.

Żyć się z nią nie dało. Ani nie żyć. Butelki wina potrzebował, żeby usnąć tej nocy. Następny dzień przeleżał w łóżku, nie odzywając się do nikogo, a kiedy wstał - rozwrzeszczał się bez powodu na dziewczynki, podarł wszystko, co ostatnio napisał, dał w pysk Wasylowi za niedostatecznie zatroskaną minę. Nie dało się ukryć - żółć płynęła w nim nadal potokiem.

. Zaproszenie od Binetti przyszło więc w samą porę. Musi się opanować, pozbierać do kupy, przypomnieć sobie dobrze odkąd to i po co zabiega o spotkanie z królem. No i proszę - tylko Binetti dotrzymała słowa. Czyż nie jest godna wszelkich poświęceń? Dobrze chociaż, że zostały mu z tej ostatniej awantury powóz z czwórką koni i frak. Czy to nie sukces - nie dał się oskubać do ostatniego piórka! Przynajmniej na pierwszy rzut oka będzie ciągle przypominać siebie.

Wreszcie stało się tak, jak chciał, żeby się stało - siedzi jak chciał siedzieć - naprzeciw monarszego majestatu, naprzeciw króla jegomości, szczuplejszego i zdecydowanie młodszego niż na koronacyjnym portrecie. Kastrowałbym takich malarzy, co dodają człowiekowi lat, pomyślał mściwie, omijając wzrokiem równie nieprzyjazne spojrzenie dziobatego krajana. Miał teraz ważniejszy powód, żeby go nie lubić niż spapranie portretu i jawnie okazywana niechęć. Teraz liczyło się co innego. Ten tokański pacykarz siedział po prostu blisko króla. Jak inni, jak wielu innych. Ale akurat nie on, Casanova.

Bo niby było tak, jak chciał, żeby było - je kolację z polskim królem, dotarł na dwór, wszedł w najlepsze tutejsze towarzystwo, ale to miejsce. . . Na samym końcu stołu, daleko, za daleko, żeby zwrócić na siebie uwagę, żeby dołączyć czymś dowcipnym do głosów utytułowanych gaduł, przekomarzających się swobodnie z królem i z damami. O, damy! Te były dość szpetne. Chyba że nie były damami. Jak te, z którymi jego posadzono.

Odchylił się nieco do tyłu, żeby lepiej ocenić sytuację. Tak. Piękna pani Schmidt, żona królewskiego kamerdynera i kochanka samego króla. Już nawet na ten temat nie plotkowano, tak to było oczywiste. Twarz dosyć pospolita, ale piersi - zaiste godne monarszych hołdów. To nieco dalej. A obok. . . Z jednej strony, dzięki losie chociaż za ten wybór - Binetti, jego Binetti w szkarłatnej sukni, dodającej jej wdzięku cokolwiek dwuznacznego, ale za to ujmującej lat. Ale z drugiej strony. . . Do stu tysięcy par ognistych diabłów! Myślał w pierwszej



chwili, że zapadnie się pod ziemię, ucieknie, runie w histerycznym ataku śmiechu na bajecznie zastawiony stół. Catai! Włosy ufrызowane w zbocze wulkanu, prosta czarna suknia zdobiona złotem. Niewinne spojrzenie i piersi obnażone aż do sutek. Dziewica i dziwka, mniszka i najpodlejsza ladacznica. Za ile jest dzisiaj, za sto czy może już dwieście dukatów?

Nie zrobił niczego szalonego. Przywitał się, usiadł, a ona, jakby nigdy nic, obdarzyła go promiennym uśmiechem. Dobrze. Niech sobie będzie. Świat od tego nie zginie. I on nie powinien. Zrewanżował się także czymś w rodzaju uśmiechu choć nie był pewien czy nie za mocno odsłonił zęby.

Miał je więc obie obok siebie, piękne, ale usztywnione sytuacją, zapatrzone w królewski wierzchołek stołu, a nie w niego. O, to nie ciemna teatralna garderoba, gdzie mógłby takie zakłopotanie przerobić na miłosną komitywę. Tu, sam tkwi między nimi jak kołek w płocie i nawet ust nie ma ochoty otworzyć do nikogo. A gdyby? Binetti, coraz bardziej wobec niego zaborcza Binetti. Co by zrobiła, gdyby jej teraz wyznał ile pieniędzy kosztowała go już tamta. Albo że jego namiętność zawdzięczała ostatnio rywalce i niedomykającym się drzwiom? Wystarczy się nachylić i szepnąć jej to do ucha. Da mu w twarz przy królu? Wydziobie widelcem oko? Odgryzie nos?

A ta druga, Catai. . . Prowincjonalna geś, której się przewróciło w głowie, myślał jeszcze tydzień temu, wypchnięty ze śmiechem z jej sypialni. Bezczelna, niebezpieczna dziwka, wiedział już teraz, po tym co go spotkało ostatnio. Ocalenie dziewczicy! Już nie tyle śmiechu, co pogardy warte. Chyba że tą godną ocalenia dziewczicą, jest on sam, zadurzony jak prawiczek w pierwszej lepszej, o, nie, najgorszej z najgorszych - dziwce. Co sobie właściwie wyobrażał?

103 Urodził się wczoraj? Nic nie wie o teatrze? Po to pół życia spędził za kulisami, żeby teraz dać

się wodzić za nos jak zwyczajny dureń. Przecież takie jak ona wypuszcza się na scenę dopiero wtedy, gdy wygrzmocą je wszyscy mężczyźni za kulisami i połowa widowni. Dlaczego Catai miałaby być wyjątkiem? Dlatego, że jemu się coś pokręciło w głowie? Sentymentalny dziwkarz, szkoda gadać. Sentymentalny dziwkarz i przebiegła dziwka. Oto romans godny jego pióra. I tego parszywego życia, które tu musi wieść.

Nikt na niego nie patrzył, nie musiał więc dłużej udawać, że nie jest głodny. Zaczął od ostryg i omal tego nie pożałował, bo zaciśnięty nagle przełyk nie chciał niczego przyjąć i tyl- ko z największym trudem udało się Casanovie uniknąć kompromitacji. Miałby się z pyszna, gdyby tak wywalił na stół przed królewskim, bądź co bądź, majestatem, królewską, bądź co bądź,

ostrzygę. Ale może tam, u szczytu stołu, choć na chwilę przestaliby mleć ozorami, może choć wtedy zwróciliby na niego uwagę.

Co się z nim jednak, do diaska, dzieje? Chory jest czy co? A może to któraś z tych wiedźm rzuciła na niego urok? Strzelił okiem w lewo. Binetti? Czemu nie. Coś przecież mota niejasnego ta jego dawna przyjaciółeczka, jakieś nie do końca jasne intrygi przeciw Catai, z jego, co prawda udziałem, ale kto wie, komu może zaszkodzić naprawdę - swojej rywalce czy jemu. Najpewniej obojgu naraz.

A Catai? Zerknął w prawo z dyskrecją dobrze ułożonego dworaka. Z tej strony promieniował królewski majestat, zajęty teraz co prawda hałaśliwym śmiechem, ale ani o włos przez to nie mniej dostojny. Nie można go obrażać natarczywą ciekawością spojrzenia ani nazbyt wyraźną mimiką. W ogóle w tym gabinecie woskowych person lepiej zapomnieć o prawdziwych uczuciach. Ale i to stało się nagle niełatwe, bo Catai, jakby wyczuwając jego wzrok, odwróciła wolno głowę i spojrzała tak, że zapomniał o wszystkim innym, o Binetti, o królewskim majestacie i ostrzydze, tkwiącej ciągle gdzieś w gardle. Była w tym wzroku kpina i pożądanie, obietnica pieszczot i zapowiedź bólu, czułość i mroźny cień zdrady. Była skóra, pot, tajemne zapachy i słowa, których sensu nie rozumiał. Nie jeden, a sto uroków można rzucić takim spojrzeniem Wiedźma!

Ona też lubi ostrzygi. Wzięła jedną w palce i z nieoczekiwanym raczej dla tej sprawy dostojenstwem niosła ją do ust. Kpi sobie z jego manier czy może usiłuje podrażnić wyobraźnię. Jeszcze gorzej! Nie chodzi wcale o to, co ona ma w palcach, ale na palcu - misternej roboty brylant w złotym gniazdku. No tak. Do stu tysięcy diabłów! Gdy on truje się najtańszym winem, wprasza na obiady i kryje przed wierzycielami. . . To na pewno jego dukaty, jego stracone kolacje z szampanem, pantofle z genueńskiej skóry i kapelusze z wenecką koronką. Jego pieniądze! Jego brylant! Jego głupota! Przymknął oczy, żeby jej nie zabić wzrokiem.

Boże, ten polski król jest albo bardzo uczony, albo bardzo dowcipny. Nic nie je, pije tylko wino i co chwila cytuje jakichś mało znanych rzymskich poetów. Marcyllis. Piliusz Młodszy. Kto o nich słyszał? Rękopisy syrenajskie? Istnieją chyba tylko w jego wyobraźni. Cztery tezy o względności cnoty i bezwzględności niecnoty Symplicjusza. No, tak, to zabawa. Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Pewnie znają już ten punkt programu towarzyskiego wieczoru. Musi się włączyć, powiedziec coś równie oryginalnego, zwrócić na siebie uwagę króla. Druga taka szansa może się już nie zdarzyć.

Cnotliwa cnota nudzi, cnotliwa niecnota zmysły budzi. Piąta teza Symplicjusza, znaleziona w jego papierach pośmiertnych. Albo teza szóstą, zaszyfrowana w pięciu poprzednich: Gdy cnota króluje, niecnota dwór oblega. Otworzył już usta, ale zdecydował się tylko na łyk wina. Nic. Pustka. Ni lęku, ni chęci. Niczego nic. Niecnota siostrą niemocy.

Przesadził mocno - to prawda, pomyślał spokojniej, patrząc na wesołą twarz króla, zadowolonego z jakiejś riposty siedzącego przy nim biskupa. Trochę pieniędzy trzeba było zostawić, nie szastać nimi do końca. Nie musiałby się dzisiaj włóczyć z pustym żołądkiem po parku i teraz ryzykować zadławienie. Trzeba było. . . Dwieście dukatów jak z palca strzelił. A

104 nawet więcej. Ale powóz komuś odstąpi i jakoś to będzie. Nie ma czego żałować. Było, mi-

nęło. Nie pierwszy i nie ostatni raz. Tylko czy było warto. No, cóż - poprawił się w krześle jakby to pytanie uwierało go wręcz fizycznie - głupcem się albo jest, albo tylko bywa od czasu do czasu. Widać doczekał swojej chwili i on. Zdarza się. Nie pierwszy i nie ostatni raz. Z Charpillon w Londynie poszło mu o wiele gorzej. Perfidna suka! Też trafiła na jego chwilę słabości. Trzeba było ją kazać wychłostać po pierwszym oszustwie albo wsadzić do więzienia za długi, a nie dawać się wodzić za nos. I ten fryzjerszyk, na którym ją w końcu przyłapał! Co za brak gustu, okropny wąsik, zapadnięte piersi i pałakowate nogi. Karykatura mężczyzny. I z kimś takim przyszło mu konkurować. Ich szczęście, że nie miał przy sobie szpady. Charpillon. Tak. Wiele się przez nią nacierniał. Ale nikt przedtem, żadna z kobiet, których znał przecież setki, żadna dama, dziwka czy panienka nie potrafiła go tak jak ona postawić raptownie na baczność, błyskawicznie zamienić w bezmózgi dyszel, w armatę z zapalonym lontem. Nikt i nigdy przedtem. Ale teraz - trącił mimowolnie Catai łokciem, przeprosił, ale zanim odwrócił wzrok, zobaczył jak jej palce odsuwają brzeg, zakrytego dla innych wachlarzem dekoltu i jak zza rąbka tkaniny wyskakuje tryumfalnie na wolność ciemny sutek - ale teraz, do kroćset, tak. Tak. Diablica!

Co się z nim dzieje? Odebrało mu rozum, że tak beczynnie i głupio siedzi. Tygodniami zabiegał, żeby się móc znaleźć przed królewskim obliczem, niejedno fałszywe pochlebstwo, niejedną okrutną odmowę i niejeden prawdziwy dukat go to kosztowało. Za dużo, żeby teraz grać niemowę. Zapomina o co idzie ta gra? O twoje życie, idioto - powtarzał sobie kilkakrotnie, ale nawet to przypomnienie nie mogło go zmusić do działania, było właściwie niegroźne, beztreściwe, jakby skierowane do kogoś innego. Więcej realności było w miękiszu ostrygi niż w tych niejasnych ostrzeżeniach. Nawet Binetti, nawet Catai wydały mu się znowu obce i dalekie, jak z dawno zapomnianego snu.

Matko święta, jest chyba chory. Mógłby zachęcić króla do swojej koncepcji loterii publicznej, sprawdzonej na całym świecie - a łyka ostrygi jak wróbel muchy, chciałby poruszyć wyobraźnię wszystkich cudownymi właściwościami kartofla - a porusza jedynie szczęką, powinien oczarować tych poważnych i zatroskanych o los kraju mężów opowieścią o drucie koleczastym, zdolnym powstrzymać każdą napastniczą armię - a sam tylko siedzi jak drut sztywny i milczący.

Ojciec święty, jest chyba stary. Nie ma pieniędzy, swobody decydowania o sobie, co gorsze, ochoty na nic. Stary dziad zdolny tylko do przeżuwania. Zabiją cię, dziadu, zrobią z ciebie pośmiewisko, psom rzucą na pożarcie. Broń się, póki jeszcze możesz.

Wolter, czy to nie jest temat zdolny roziskrzyć takie towarzystwo? Albo magnetyzm zwierzęcy, opowie im o Jeremiaszu, czemu nie, zaplanuje pokaz tych cudów na dworze, olśni wszystkich blaskiem prawdziwej niezwykłości. A spodnie z rozporkiem z przodu - czyż to nie jest sprawa do dyskusji w tak niebanalnym gronie. Jeśli i to zawiedzie, da się może uprosić paniom i po raz setny opowie o ucieczce z więzienia Pod Ołowianym Dachem.

Nic z tego. Nie zna żadnego Woltera. Struś się czymś albo kimś. Na wspomnienie kartofli chce mu się rzygać. Śpi. Nic nie wie o magnetyzmie i spodniach z rozporkiem. Ledwie pojmuje, gdzie jest - choćby w więzieniu, , choćby i na stercie kolczastego drutu. . .

Poczuł najpierw łaskotanie, potem dopiero dotarło do niego, że to palce Binetti przyczaiły się na jego lewym udzie. Binetti, o moja biedo, choć ona nie zapomniała o nim. Ale chyba trochę przesadza, nie boi się obrazy królewskiego majestatu? O, ten majestat, roześmiany i skory do żartów nie dba chyba za bardzo o swoje dostojeństwo, ale nigdy nie wiadomo. Na dworze Fryderyka co wieczór nie był pewien, czy wyląduje za swoje opowiadki w skarbcu czy w lochu. A tu nie chodzi o opowiadki. Tu chodzi. . . Drugie dotknięcie musnęło prawe kolano. Catai. Tu chodzi o coś znacznie poważniejszego. Zmówiły się czy co? Bzdura, prędeż wydrapałyby sobie oczy niż przyznały do takiej wspólnoty. To dwie tygrysice, niezdolne do dzielenia się łupem. W każdym razie - żywym łupem.

105 Krew zaczęła w nim żwawiej krążyć, błyskawicznie mijało odrętwienie. Ma życiową szan-

se, musi coś zrobić. Bez pieniędzy, bez przyjaźni króla, bez znajomości na dworze - zginie. Rozszarpia go wszyscy na kawałki. Zagryzą. Zelżą. A najpierw te dwie piękne bestie próbujące już pazurów na jego udach. Pierwsza ostrożnie, delikatnie, milimetr po milimetrze zbliża się do miejsca, w którym przestanie to być tylko niegroźną zabawą. Druga, szybciej, gwałtowniej, już jest prawie u bram. Małpi wrzask. Kosmiczne trąby. Chrząst miażdżonych kości. To mu grozi. Horacy. Wzór. Dwór. Horacy?

- Jeżeli pan, kawalerze, nie podziela naszego zdania, czemu nie powie swojego? Książd Gigiotti. Skąd go zna? Biedny księżulek. Gdyby wiedział, jaka rywalizacja trwa te- raz pod stołem. Horacy by się uśmieł. Ale, u diabła, one nie mogą się spotkać u celu. Źaden geniusz poezji nie odda tego, co się potem będzie działo. Ostatnia chwila. Horacy. Smętny dworak bez jaj. Impotencki lizus. Pedał udający ogiera.

- Skoro książd sobie życzy usłyszeć, co myślę o Horacym - wstał nagle, już znowu pełen inwencji i żaru - to przyznam, iż moim zdaniem są poeci, którzy lepiej rozumieli ducha i język dworu. Parę jego dzieł, którymi zachwycacie się państwo, poczytując je za wzór dobrego smaku i wytworności, to w gruncie rzeczy tylko niesmaczna satyra.

Obudził się, to najważniejsze, rozdzielił harpie gotowe go rozerwać na strzępy. Teraz tylko nie zmarnować chwili, którą los mu przyznał. Król już patrzy na niego, uśmiecha się wcale nie zdawkowo.

- Jakże to tak, kawalerze - księżulek Gigiotti był naprawdę zdumiony, niemądry, poczciwy księżulek, takiego mu było trzeba - toć połączenie taktu z prawdą w satyrze to szczyt artystyzmu.

- Horacy nie miał z tym trudności, skoro za jedyny cel, nawet w satyrach, obrał kadzenie cesarzowi Augustowi. Ten zaś nieśmiertelność zawdzięcza opiece, jaką otaczał pisarzy owych czasów. Oto, co wśród naszych koronowanych władców uczyniło modnym jego imię, tak, że często woła je od własnego.

Stał, patrzył na nich z góry, więc i mówił z góry. Ale czy nie przesadził, toż właśnie ten król, przybrał sobie imię Augusta! Czyżby miał przegrać zanim rozpoczęła się gra?

- Kogóż to masz pan na myśli, jeśli wolno wiedzieć? Król, król odezwał się do niego? Już się nie uśmiecha, ale czyż można się uśmiechać mó- wiąc?

- Na przykład szwedzkiego króla, który zwał się Gustaw. - A jakież związek istnieje między Gustawem i Augustem?

? - Jedno jest anagramem drugiego.

. Brnąć, brnąć, nie poddawać się, a świat będzie znowu należał do niego. Widzą to wszyscy? Czują jak leci? Jak się zbliża do swojego przeznaczenia? Bo czyż ten król polski o trudnym do wymówienia nazwisku, dla świata zważy się Stanisławem Augustem, nie jest jego przeznaczeniem? A on czy nie jest przeznaczeniem króla?

- Gdzieżeś pan wyczytał takie ciekawe rzeczy! ! - W pewnym manuskrypcie w Wolfenbuttel.

. Sam się przestraszył czy nie przesolił, ale król docenił tę dowcipną aluzję do swoich niedawnych popisów erudycji, zaśmiał się krótko i zartobliwie pogroził Casanovie palcem. O, ten palec, to był dopiero palec. Długi, wysmukły, rozświetlony brylantem pierścienia. Godny najgodniejszej dłoni. Do podparcia zafrasowanego czoła, wskazywania drogi całym narodom, a i znajdowania najtajniejszych zakamarków kobiecego ciała. Ten królewski palec był dla niego przychylny, obiecywał, dawał nadzieję. Czyż nie rozumie tego Binetti, szarpiąca go za surdut od kilku chwil. Siądzie, siądzie, jak przyjdzie pora. A Catai, jego wspaniała, diabelska Catai. Skryta za zdawkowym uśmiechem, myśli pewnie, że zwariował. A niech myśli, co chce. Ona i ci wszyscy kulturalni starcy ze zdumieniem popatrujący na perorującego przed królem śmiałka.

106 Nie siądzie. Choćby miał tak stać do końca przyjęcia, choćby go mieli wyprosić. Nie sią-

dzie, nie zapadnie się znowu w bezmyślną niemoc, nie da się beznadziei, grożącej tym, że pewnego ranka znajdą go na którymś z miejskich śmietnisk z nożem w plecach, albo z powrozem na szyi. Nie siądzie, nie zatka gęby, nie zniknie sprzed ich oczu. Czyż nie słyszą, ci panowie tak czuli na każdą literacką aluzję, prawdziwego dramatu w głosie? Czyż nie widzą te łase na błahy dowcip damy, jego rzymskiej pozy? Czyż nie czują wszyscy, że walczy o życie? Nie tylko o swoje życie, o nie. O życie króla także, a więc przecież i o ich wszystkich los. Tak, tak, przeznaczenie wybrało go na swe narzędzie. Nie sękaty łapy oprawców Katarzyny, ale sam rozumny Duch Historii popchnął go do działania. Ma teraz w rękach los nie swój tylko, nie króla ani tych wszystkich zgromadzonych u królewskiej kochanki ludzi, ale całej Polski, co tam Polski - Europy. Europy? Całego, czekającego na jego decyzje i słowa świata!

Król prychnął krótko. - Na honor. Może znasz pan jednak jakąś sentencję Horacego, która zadowoliłaby twój wymagający gust.

- Owszem - co robić. Boże, niech się uda - znam. " Coram rege sua de paupertate tacentes plus quam poscentes ferent " .

Sekunda milczenia miała dla niego ciężar wieczności. Ale za to wesołe królewskie - Słusznie - lekkość nagrody. Ile dostanie? Sto? Może i dwieście. Mniej chyba nie przystoi. Ani dać, ani wziąć.

- Co, , co on powiedział? Jej krowiasta wysokość, pani Schmidt, domagała się wyjaśnień od siedzącego obok bisku- pa. Wyczuła groźbę dla swoich interesów?

- " Ten, co kryje się ze swą biedą przed królem, więcej dostanie niżli ten, co prosi " . Niechętny wzrok królewskiej kochanki nie wróżył niczego dobrego. Pięćdziesiąt. O ile w ogóle.

- Bardzo słusznie, , panie kawalerze. Król to król. Byle kochanka nie będzie mu dyktowała co ma robić. Dwieście. Może nawet więcej. Świata, Europy, Polski, tym nie zbawi, ale siebie - kto wie. . . .

Niewiele więcej pamiętał z tego wieczoru. Jeszcze jakąś sprzeczkę Binetti z Branickim w korytarzu, ale cóż go to teraz mogło obchodzić. Zjawił się u Catai zadowolony z siebie, podniecony tkwiącym w kieszonce surduta wekslem z królewskim podpisem. Jednak dwieście. Noblesse oblige. Jak na początek to całkiem nieźle. Co tam nieźle. To świetnie, Giacomo, pomyślał, gdy któryś z jej karłów wprowadził go do sypialni, pachnącej wszystkimi pokusami świata. To wspaniale, zdecydował, gdy Catai pojawiła się w drzwiach. Czekwała na niego. Ciemna, przezroczysta suknia pozwalała nie tylko domyślić się kształtów dziewczyny, ale i zobaczyć w ułamkach sekundy, w rytmie kocich kroków napięte kusząco piersi, mocne uda, które pokonały go niedawno i niewzruszony ciągle ciemny trójkąt między nimi. Była naga pod suknią. Domyśliła się. Czekala.

- Po coś przyszedł? ? Nie odpowiedział od razu. Usiadł na łóżku, bujał się na nim chwilę, wreszcie zdjął pantofel z nogi i przyjrzał mu się uważnie, jakby w tym zakurczonym kawałku skóry tkwiła tajem- nica filozoficznego kamienia, smyrgnął nim na bok. Niech dzisiaj nie zaczyna.

Drugi but. Czy to, co odczuwa, to jeszcze pożądanie czy już nienawiść? Nie dała mu czasu na zastanowienie. Pokornie i czule usiadła obok, pozwoliła się objąć, pocałować. Dobrze. Zapomni, co było. Nie będzie psuł sobie przyjemności, na którą czekał tak długo. Później, później zapłaci jej za wszystko. Tak - za wszystko. Policzy się z nią jak z nikim w życiu. Oszuka, zdemaskuje, wystawi na pośmiewisko. Jak nigdy ma na to ochotę. Ale bez przesady,

107 do diabła, nigdy nie byłem mściwy, pomyślał, czując pod dłonią zatykający dech ciężar jej

piersi. Czego chce właściwie od tej dziewczyny? Czy można mieć do drapieżnika pretensje o pazury? Szczególnie teraz, gdy pazury zostały schowane i choć wyczuwał w niej jeszcze coś niejasnego, był już pewien, że wygrał.

Czy lubi cukierki? Och, lubi, lubi i to w każdej postaci. Delikatnie odsunęła jego dłoń wciśkającą się pomiędzy uda. To proszę, niech się poczęstuje. Wysunęła lekko język z ciemnym guziczkiem cukierka na końcu.

- Weź. . Wziął. Prawdziwy cukierek. Zapowiedź innych słodocy. Na zgodę. Wyczuła pewnie, że zaczyna go złościć. Oblaskawiona żmija gotowa całować, a nie kąsać. Pięknie. Sama włożyła mu język między wargi i wepchnęła cukierek. Podskoczyło w nim wszystko od tej pieśczoły. Śliska wilgoć, mrok, piekło.

Naparł na nią, ale niewiele zyskał. Znowu zaczęła mu się wymykać, odpychać jego łapczywe ręce, podciągać się na łóżku coraz wyżej i wyżej. Dziś nie, to niemożliwe, źle się czuje, niech przyjdzie jutro, zobaczy, że nie pożałuje. Łazł za nią, nie zważając na te słowa ani na kuksańce spadające na jego ramiona. Nie jutro - dzisiaj i to teraz - zaraz. Przekona się, ile dotąd straciła. Zatrzaski pryskały pod palcami. Cholera! Rozporek nie stawiałby takiego oporu, szkoda, że nie włożył swoich najnowszych spodni.

Nie, nie, powinien już iść, ona go bardzo prosi. Co, jak, jakim to niby sposobem? Teraz, kiedy suknia zwinęła jej się na udach i już nie w wyobraźni, ale przed samymi oczyma ma cel swojej wielodniowej podróży. Jakżeby go mógł poniechać. Jakże nie nachylić się nad tym zdrowiem, nie zanurzyć w nim do utraty tchu, jakże nie zgłębić go aż do dna.



- Gorzki cukierek? ? Co? A tak, gorzki, rzeczywiście trochę gorzki. Nawet bardzo gorzki. Ale co to ma teraz za znaczenie? Niech się nie przejmuję głupstwami tylko mu pomoże. Widzi chyba, że się zaplą- tał w nogawki. No, a przynajmniej niech mu nie przeszkadza. Jakby słyszała, co myślał - znowu się poddała. Złapała go mocno za głowę, przyciągnęła do siebie. Nie od razu zrozu- miał, co to za miłosne zaklęcia szepta mu w ucho.

- Wiesz, , co to jest? Nie wie i nie chce wiedzieć. Wie już tylko, czego chce od niej i że to dostanie. - Strychnina.

. Przesłyszał się, zwariował, majaczy w koszmarnym śnie. - Co?

? - Właśnie to - strychnina.

. Dziwka dziwek! Poderwał się, wierzgnął jak oszalały i wypluł wszystko przed siebie. Wszystko? Jakie wszystko? Czuł ciągle gorycz na wargach, w ustach, całe gardło piekło trucielskim jadem. Zapluje się na śmierć, a nie wyrzuci z siebie tego świństwa. Strychnina! Konwulsje i piana na ustach. Widział kiedyś w Wenecji szczury konające od trucizny. Tfu! Jeśli ma skonać to nie sam. Udusi tę podstępną dziwkę, zatłucze ją zanim sam padnie.

- To żart? - wychrypiał resztą nadziei, że coś obudzi go nagle z koszmarnego snu. Catai nie odpowiedziała, przyglądała mu się spokojnie choć nie bez ci ekawości. Jak on wtedy plą- sającym śmiertelnie szcurem? Idiota! Odskoczył od niej, a powinien ucałować za ten kudłaty łeb i trząść nim do ostatniego tchu swojego ale i jej. Niechby choć wiedział, kto go wysłał w tę daleką podróż. Kto się nią posłużył? Którzy z jego prześladowców? Za ruble czy za talary?

Tfu! Już nie patrzyła. Rzuciła się do drzwi aż zadudniła podłoga. Ruszył za nią, niezgrab- nie jednak i wolno, bo musiał przytrzymywać spodnie rękami. Ledwie zrobił kilka kroków - wróciła spłoszona czymś bardzo, prawie przerażona. Czyżby było z nim tak źle? Już się nie boi jego wściekłości. To znaczy. Boże. . .

Owinęła się wokół niego szczelnie. Natychmiast musi stąd iść, trzeba mu zniknąć, zaraz, już, nie ma chwili do stracenia. Ona żąda, błaga, wytłumaczy mu wszystko później. Koszula,

108 kamizelka, szybciej! Co? Teraz chce go się pozbyć, trucicielka. Niedoczekanie. Padnie tu,

gdzie go zamordowała. Buty. Ani mu się śni. Wino? Jeszcze jej mało. Czego ta kobieta od niego chce? Jedną truciznę ma popić drugą. A może? No, tak - to pewnie odtrutka. Posmakował językiem. Może.

Głos jej kipiał niepokojem. Żart, to był żart, nie jest chyba przy zdrowych zmysłach jeśli myślał, że chciała go otruć. Ale teraz nie ma czasu na wyjaśnienia. Teraz - pociągnęła go do okna - musi stąd zniknąć. Nie lubił podnosić ręki na kobiety, ale nie miał innego wyjścia. Zamachnął się szeroko. Catai uchyliła się i sama zdzieliła go pięścią w nos. Tego było już za wiele. Chciała odskoczyć od niego, ale tym razem zdążył zaczepić palcami o jej perukę, szarpnąć aż zaskowyczała z bólu. Jezu, to półtyse stworzenie było bez włosów jeszcze piękniejsze. Gdyby mogła zabijać spojrzeniem, wilby się już w śmiertelnych konwulsjach, długich i najpotworniejszych jakie ludzkość potrafiła do tej pory wymyślić.

- Idioto, nie rozumiesz, że on zaraz tu będzie. - Kto?

? - Co kto? ? Ktoś. Kto nie powinien cię tu zastać. Wydrze jej ten zatruty jęzor z gęby, to przestanie się, wiedźma natrzęsać z porządnych ludzi.

- Król - krzyknęła, widząc krwawe bielmo w jego oczach. - Zaraz tu będzie król. . Tego by nie wyśnił w najdzikszym, najbardziej pijanym, śnie. Król! Nie było chwili do stracenia. Co za sytuacja. Nie wiedział, że sięga po królewską własność. Straci wszystko, co mógł zyskać. Ba - kto wie czy nie życie. Bo co tamci, te wszystkie dybiące na niego świnię, zrobią, kiedy król uzna jego tu obecność za zniewagę, kiedy odtrąci jego przyjaźń - szatan jeden raczy wiedzieć. Mogła go, idiotka, wcześniej uprzedzić.

Do drzwi. Za późno - jakiś ruch słyhać było od strony schodów. Okno. O, nie, nie. Nie jest samobójcą. Niech go raczej zabiją za obrazę królewskiego majestatu albo za niewykonanie zadania, ale sam nie będzie z siebie robił mokrej plamy na bruku. A czy to zresztą on komuś wszedł w szkodę, czy jemu trują uprawy? Na honor! Gdzie jest powiedziane, że tamten ma tu większe prawa niż on. Jeszcze zobaczymy. On, Casanova, przyjmuje wyzwanie. Ostatecznie, nie w takich sypialniach i nie z takimi rywalami przyszło mu już wygrywać. Niech się tylko ogarnie. Nie może przecież przyjąć króla w opadających gaciach.

Nie pozwoliła mu na bunt. Pod łóżko. O wstydzie! Gorsza byłaby już tylko szafa. Czy jest postacią z głupiej farsy, żeby pchać go pod łóżko. O ironio losu, o hańbo najgorsza z obrzydliwych, na co mu przyszło! Dobrze, już dobrze. Włazi. Jest artystą, zrobi to dla sztuki. Czyż prawdziwa sztuka nie jest zbudowana na cierpieniu? Tylko niech go już nie popycha, nie szturcha, sam wie wystarczająco dobrze, co się dzieje. Lepiej niech sobie poprawi perukę, bo wygląda jak czupiradło. Klasa - to jest to, czym się w życiu trzeba bronić przed upodleniem. Nawet pod łóżko można wejść z klasą - pomyślał, pełznąć coraz głębiej w mroczną szczelinę. Buty. Tak. Bez butów nie dałoby się z klasą wyjść. Surdut. Oczywiście. Dobrze, że mu go wrzuciła. W surducie, w butach - cóż to będzie za wyjście. Brakuje mu tylko szpady i kapelusza. Trzasnęło okno. Po chwili znowu. Co tam się dzieje?

- Cicho. . Był cicho. Był cicho, kiedy oni byli cicho. Jakieś szepty tylko, ciche pomruki, pojedyncze słowa bez związku, dochodziły do jego znękanych uszu. I był cicho, kiedy oni stali się głośni. Stęknęła podłoga, łóżko zajęczało pod nagle padającym ciężarem. I w nim coś bezgłośnie jęknęło. Święty Onufry, patronie rogaczy, na co to mu przyszło. Umrze chyba raczej, aniżeli to zniesie. Cóż z tego, że król. Zwykły rabuś zabierający mu zdobycz. Ale gdyby wyskoczył teraz i przegnał tego jurnego królika, oskarżyliby go pewnie o zamach i skrócili o głowę. To dziki kraj! A zresztą - czy we Francji zrobiliby inaczej? Gorzej, mogliby uciąć nie tylko głowę.

109 Był więc cicho, ale przynajmniej był. Czy to nie najważniejsze? Reszta jakoś się przecież

ułoży. Skrzypnęło wreszcie wszystko i rozkołysało się w jednostajnym rytmie. Nietrudno się było domyślić, że właśnie się ułożyło. Dziwka z piekła rodem! Pieprzy się na nim, wypina prosto na jego gębę ten swój rozcapierzony tyłek. Niedoczekanie. Przekręcił się w drugą stronę, powoli, bo podłoga była pod łóżkiem pełna drzazg, a nie miał zamiaru stracić nie tylko kochanki, ale i spodni. Ledwie się ułożył, łomot ustał, żeby się po chwili, znowu nad nim pojawić. Cholera! Uwzięli się na niego. Waruje teraz pewnie przed tamtym na czworakach, na kolanach i łokciach szoruje po łóżku. Zatkanął rękami uszy, żeby chociaż tego wszystkiego nie słyszeć, ale wyobraźnia nie dała się już powstrzymać. Bo przecież jeśli tak, to ma ją nad sobą w całej samiczej okazałości, z piersiami zwisającymi swobodnie, rozłożonymi nogami, z ustami otwartymi z rozkoszy. Tfu, zgiń, przepadnij! Myśleć o czym innym. O czym, o czym, o czym? O czymś strasznym, zniechęcającym, obrzydliwym aż do wymiotów. Byle nie dopełniła się jego hańba i nie zapragnął jej takiej, jaka kołysała się nad nim, nabita na królewskiego rogała.

Syfilityk zakopany po szyję w gnoju. Gnicie, rozpad, smród. Pałakowate nogi Katarzyny, czarne znamię między udami, włosy na piersiach. Tfu, tfu, po trzykroć - tfu! I po trzykroć - na próżno. Znikąd ratunku. Potężniał i twardniał z każdą chwilą. Jeszcze trochę i przebiję deski tą swoją włócznią, albo wywróci ich razem z łóżkiem. . Albo i. . .

Czemu nie? Mógłby się do nich dołączyć. Przecież ją prawie ma na sobie, niewiele trzeba więcej. Niechby rozciągnęła się nad nim jak teraz, niechby dotykała go spotniałymi czubkami piersi, a w usta włożyła bezwstydną język. Już on by się dogadał z tamtym, zostawił mu tę mniejszą, droższą dziurkę, a sam zadowolił się traktem dotąd uczęszczanym. Wtedy dopiero zrozumie, co mogła stracić. A i on przekona się wreszcie, co jest naprawdę warta. Bo - ile, to już mniej więcej wiedział.

Perfidna dziwka! Jęczy jak potępiona. Tak jej smakuje jurne królisko, czy robi to, żeby je go pognać, zrównać z podłogą. Niedoczekanie! Jeszcze zobaczy, jaką dostanie za to zapłatę. Psiakrew, zaraz. Do stu tysięcy zgasłych knotów! Znowu ma zamiast głowy kutasa. Przecież to on będzie potępiony, jeśli. . .

Gdzie pieniądze? Nie zgubił ich chyba w tym zamieszaniu. Stół? Byłby najgłupszym z głupców. Surdut? Pomacał rękami naokoło. Jest. Nie ma. Niczego nie ma w kieszeniach. Jeszcze by brakowało, żeby ten królewski frant płacił jego pieniędzmi. Uczciwie zarobionymi, na honor! Kamizelka, gdzie ta cholerna kamizelka?

Zmacał w ciemności śliski materiał, szarpnął do siebie. Zawadził o coś twardego kantem dłoni. Chwila niepewności była krótka jak uczucie niepokoju, że tamci nad nim coś usłyszą.

Merde! Znowu ten nocnik. Niezłe towarzystwo załatwiła mu na dzisiejszą noc. Za tyle nadziei. I za tyle pieniędzy. Za to, co dla niej zrobił, za tyle uwielbienia i zachodu, ta stękająca bezczelnie bladź, dała mu szansę, żeby się zapoznał z jej nocnikiem. Coraz trudniej było wytrzymać. Kamizelka wyslizgiwała się z palców, łóżko trzeszczało jakby się miało zaraz zawalić, podniecenie przeradzało się w nim gwałtownie we wściekłość. Gdzie ten cholerny weksel?

Nie daruje. Wydrze jej pieniądze choćby i spomiędzy nóg. Zmusi do śpiewu piękny gardziołek, nawet jeśli go miał poderżnąć. Sztyletem jej podziękuje za tyle uprzejmości. Napisać kuplet. . .

Jest. Jest ten bezcenny teraz papier, który jutro zamieni na bręczące monety. Szczęście, że chociaż z pieniędzy nie dał się do końca ograbić. No i że nie wyrócił nocnika. Miałby się z pyszna! Jego upragnione dukaty mogły się przecież zamienić w bezkształtne zygzaki atramentu. I co - do króla by poleciał po pokrycie szkody?

? A czemu by nie? Przede wszystkim - czemu by nie wykorzystać tej chwili. Chciał się dostać w najbliższe otoczenie króla - no to się dostał. Zdziwiliby się jego ponurzy prześladowcy - jak blisko. Skóra w skórę, o mało co. No, to dalej, wio, niech korzysta z sytuacji, bo druga

110 taka już mu się na pewno nie przydarzy. Nuże! Błysnęła w ciemności gęba Kuca.  
Zgnoimy

cię, jakbyś chciał oszukiwać! Musiał oszukiwać, musiał walczyć o życie. Ale teraz - czyż nie miał okazji, o której tamci by śnili. Mógłby tego, trzęsącego dziarsko tyłkiem króla nadzieć na szpadę jak na rożen i nawet sumienia za bardzo nie pobrudzić.

Tylko im, zdaje się, wcale nie o to chodzi. Chcą go porwać i postraszyć. Proszę bardzo! Knebel w usta, sztylet przy wątrobie i naprzód - ogrodami ku rzece. Tam na byle jaką barcę i dalej, diabli wiedzą gdzie. Ale to już sprawa diabłów, nie jego.

A co z królewską strażą? Może nie ma żadnej straży? Ci rabusie cudzych kochanek lubią ryzykować. No, tak. Zgłupiał chyba. Nie będzie robił, co mu każą byle zbiry. Ma chyba jeszcze swój honor nawet i pod łóżkiem. Różnie można walczyć o życie. Choćby i znosząc miłośny galop na własnej kochance nad głową. I nie oszaleć od tego, nie ryczeć z bólu i nie porozwalać wszystkiego. Już prawie polubił swój niespodziewanie odkryty heroizm, ale głośny trzask łóżka przywrócił go do rzeczywistości. Merde, jeszcze mu się zwał na łeb.

Gdzie uciekać? Głębiej pod ścianę już nie miał ochoty. To mogłaby być pułapka w pułapce. Gdyby grzmotnęła dębowa konstrukcja, zgmiotłaby go jak pluskwę. Zginać pod szczytkami zwalonego łóżka - toż to byłaby uciecha dla jego wrogów. Nigdy! Zresztą, gdzieś tam w ciemności czyhał na każdy jego nieostrożny ruch ten piekielny nocnik - nie było sensu włączyć głębiej. Zaczął się więc przesuwac z powrotem, tam skąd kilka minut temu wyruszył, ponaglany piskami dziewczyny. Minut? Sekund czy może godzin? Znowu chyba tylko diabli wiedzą. . . Czas to przyspieszał jak szalony - zgiełkiem, łomotem, falowaniem, to nieruchomiał - jak teraz - w ciszy, , szeptach, szeleście pościeli.

I on znieruchomiał w pół drogi. Został odkryty czy po prostu skończyli? Sflaczał królewski kolek czy tylko zastygł w groźnym oczekiwaniu? Jego wysokość zwali na swojego rywala wrzask, tupot podkutych butów i chłód żelaza przy skórze czy wróci spokojnie na jej tyłek? Gdyby mógł - Giacomo przestałby w ogóle oddychać. Gdyby potrafił - modliłby się do jej kurewskiej niskości o pomoc. Niechby zakręciła zadkiem jak kołem w ruletce, niechby znowu skusiła tamtego do gry. Przecież i ona sporo ryzykuje. Może nawet więcej od niego. Kocha-

nek pod, bądź co bądź, królewskim łóżkiem! Toż to kryminał, zniewaga majestatu, co najmniej niełaska i plotki w całym mieście. A jemu może nic wielkiego się nie stanie. Może po prostu - cóż za cudowna możliwość - deportują go z tego kraju, odstawią do granicy i choć pewnie dadzą na pożegnanie parę razy po łbie - to jednak puszcza, puszcza, czyż jest piękniejsze słowo - wolno! ! I nawet zbiry Katarzyny nie będą w stanie go zatrzymać.

Rien ne va plus. Został wysłuchany. Znowu wszystko wiruje, stęka, trzeszczy. Po strachu. Można oddychać. Spokojnie, spokojnie, powoli. Deportacja może jeszcze poczekać. Teraz byle dalej od tych groźnych trzasków. I od nocnika. O, tak, tak. Mieliby mimo wszystko zabawę, gdyby go takiego wyciągnęli spod łóżka, porozpinanego, zmierzwionego, lekko woniącego nie swoimi grzechami. Z trudem powstrzymał chichot. Do stu tysięcy rogaczy! Zgłupiał chyba ze szczętem skoro go to śmieszy. Co w tym do śmiechu? Co tu w ogóle jest wesołego? Że go sponiewierali, zamienili w tchórzliwego śmierdziela?

Nic, na pewno nic. Ale im bardziej się o tym przekonywał, tym mocniej jakieś piekielne piórko łaskotało go w gardle, a twarz zaczęła się wykrzywiać końskim grymasem. Widział już siebie, gramolącego się na wierzch - jakieś rozmemłane straszidło z zawzięcie szlachetną miną. Nagle chciało mu się nie śmiać, a ryczeć ze śmiechu, paraskać z niespodziewanej radości i walić się z uciechy po udach. Podsunął się na sam skraj łóżka. Już nawet nie słyszał tego, co działo się nad nim, nie myślał o nich, o niebezpieczeństwie, na które się naraża. Niech przynajmniej zobaczą jego roześmianą twarz, a nie sfatygowaną perukę. A zresztą, niech się dzieje, co chce. On i tak nie wytrzyma więcej, eksploduje zaraz ile sił w płucach, zatrafi jerychońskim śmiechem, aż szczapy polecą z dębowego łoża, a tamci pofruną w górę, pod sufit i błagać go będą, żeby przestał.

111 Powietrza, choć trochę powietrza. Odsunął kłęb zwisającego z łóżka muślinu, ostrożnie

wyrzwał na zewnątrz. Ochota do śmiechu przeszła mu równie nagle, jak się pojawiła. Ćmił się w pokoju matowy ogienek świecy, ale nawet gdyby go nie było - wystarczyłby najlżejszy ślad księżycowej poświaty, żeby zobaczył to, co zobaczył.

Miał przed nosem, przed oczami, przed całym sobą - but. Ale nie był to but butów, królewski pantofel godny delikatnej stopy prawdziwego monarchy, ale pospolity plebejusz, złożony bucior o wielkości łodzi. Giacomo nie musiał sobie przypominać skąd zna ten widok. Zmartwił tylko na sekundę. Z jasnością i mocą pioruna dotarła do niego myśl, że został oszukany. To łże- król, a nie król prawdziwy, nie Stanisław August, ale jego nędzna, wielkonożna imitacja. Zgroza! Piekło na ziemi! To on wyciera pod łóżkiem kurze i pozwala sobie ujeżdżać kochankę dla takiej kreatury! A ona! Szatan wcielony nie kobieta! Diablica z piekłem pomiędzy nogami, kurwa kurw, parszywa suka!

Szarpnął się gwałtownie aż przytrzasnął zębami język. Zabije! Za dużo kpiny na tym świecie. Zaraz będzie jej mniej. Niech no tylko dopadnie szpady. Przedziurawi ich na wylot. O, tak. Zepnie stalowym ostrzem na zawsze tę ponadziewaną na siebie parkę.

Coś pacnęło go w wrywającą się na świat głowę, aż peruka zjechała na oczy. Zobaczyła go pewnie, ale wszystkiego jej mało - chce się bawić dalej. . No to on jej zaraz pokaże zabawę, jakiej jeszcze nie widziała i więcej w tym życiu nie zobaczy. Na czworakach dopadł okna. Szpada. Parapet śliski jak od potu. Nie ma. Ze szpadą czy bez szpady, niech się stanie, co się ma stać.

Złapał wiszący koło pieca ciężki pogrzebacz. Teraz mógł się już odwrócić. Mógł się też wyprostować swobodnie. Nie będzie się skradał jak szubrawiec, spojrzy w twarz nikczemnikom, niech widzą z czyjej ręki giną. O, tak, dokona zemsty z podniesioną dumnie głową.

Wyprostował się, odwrócił, spojrział. To było więcej niż się mógł spodziewać w najwściekleszych myślach.

Unosiła się i opadała na badylastych nogach tamtego, zgięta w przód, z głową pochyloną w stronę okna, w jego stronę. Domyślił się tego właściwie zanim cokolwiek dojrzał - tylko nagie ramiona i plecy błyszczały w półmroku. Nie widziała go, ale zaraz odgarnąwszy włosy nagłym gestem - zobaczyła. Nie było w tym spojrzeniu ani zdziwienia, ani gniewu, ale coś znacznie gorszego - uśmiech. I - zanim zdążył to, co widzi, zrozumieć - poderwała się gwałtownie, wyrzuciła ramiona w górę i odsłoniła przed nim ciężkie, rozkołtysane piersi i lśniący od potu brzuch. Gwałtowny ruch podniósł ją dalej - przegięła się w tył i wsparta na rękach, rozłożyła szerzej kolana.

Ludzie, diabli, koniec świata! Pogrzebacz sam dźwignął się w górę. Ciemno, czarno przed oczami, popiół w ustach. Świetlista rozpadlina pod krzaczastym wzgórzem! Upragnione piekło, słodki ocet, wilk z wyszczerzonymi zębami. Zabije, żeby nie oszaleć!

Coś - szczur? przemknęło za nim pod ścianą, skoczył do przodu, gotów walić, dźgać, ze- trzeć na miazgę wszystko, co ma przed sobą - tych dwoje zwierzaków, pokój pełen ich szep- tów i potu, cały, bolący jak rana świat, w którym przyszło mu żyć, za czyje winy? Parszywy świat, w którym on musi walczyć o swoje pazurami, sprytem i wekslem na dwieście dukatów, a inni tylko leżą i mają. Teraz dopiero Catai zobaczyła go naprawdę. Krzyknęła z przerażenia, chciała wstać, wyrwać się tamtemu, wyslizgnęła się już nawet, ale król - nie król, nie wiedząc

co się z nią dzieje, wiedząc tylko, co dzieje się z nim samym, trzymał mocno za biodra. Straciła więc tylko równowagę i upadła z impetem na plecy. Nogi, jej cudowne nogi, wierzgnęły w górę i rozleciały się na wszystkie strony świata. Miał ją, jaką chciał mieć kiedyś, rozwartą ufnie, gorącą i wilgotną zarazem, czekającą na cios, ale, u diabła, nie na cios pogrzebaczem. Piekło, stokrotne piekło!

Chciał się zamierzyć, ale coś złapało go z tyłu za nogi. Szarpnął się, zrobił tylko spętane pół kroku i jak podcięte toporem drzewo, leciał, z każdym ułamkiem sekundy coraz szybciej w dół, ku upadkowi. Chciał się bronić, wypuścił pogrzebacz i rozcapierzył palce, ale klęska

112 była coraz bliżej. Leciał prosto na jej nagi brzuch, jeszcze chwila i wpadnie cały w tę roz-

wartą szczelinę, do której jeszcze niedawno się modlił, a która teraz napawała go strachem, to szatańskie dziursko wchłonie go całego, z opadającymi spodniami, z butami i wekslem na dwieście dukatów, wessie i strawi jak bagno albo wrząca lawa. Przegrał, zginął. Zaraz doleci tam na swoją zgubę.

Ale nie doleciał. Dłoń szukająca rozpaczliwie oparcia namacała coś twardego i wielkiego jak główka kapusty albo głowa karła. Poczul jeszcze tylko ostry ból, skąd ból? w tyle głowy. Jasny, piekący ból. I więcej nic.

113

## UCIECZKA

Zwały kleistego śniegu, ciemno, obco, chłodno. Zima nastąpiła tak nagle i gwałtownie, że zaczął myśleć o samobójstwie, ale gdy równie nagle ustąpiła, poczuł się niespodziewanie rześko i energicznie. Przede wszystkim oczyścić piec, bo o mało się nie podusili przy pierwszych próbach ogrzewania. Po drugie - przykryć piachem i słomą kartofle w piwnicy. Jeszcze by tego brakowało, żeby zmarzły albo zgniły. Poza tym buty, mocne buty zamówić natychmiast, przecież te paryskie rozpuszczą się lada dzień w tej mieszaninie śniegu i końskiego łajna, w której tonęły ulice. Jeszcze papier, bo tu zimy długie, wieczory nudne, będzie miał czas na pisanie. No i podnieść opłatę panu Kotuszce, cnota cierpliwości także wymaga nagrody.



Zgromadził wszystkich przed sobą, powiódł po nich niedobrym okiem. Te dwie małe mogłyby trochę ujarzmić swoje ogniste kudły, wczoraj znalazł w zupie włos jak postronek, gdyby oczywiście przyszło komuś do głowy robić rude postronki. Jeremi, niechby się wreszcie odezwał i zgubił gdzieś tę żalosalną minę, od której chce się już rzygać. A Wasyl, szkoda gadać, ten nadaje się tylko do chlewu.

Co z tego, że wszyscy wpatrzeni w niego pokornie, z ufnością. No, tak. Tu nawet jak się coś człowiekowi uda, to i tak jest nieudane. Kochają go, ale to on musi się troszczyć o byle głupstwo, o piec, o kartofle i o papier. Nim się nikt nie przejmuje. Owszem, pielęgowali go kiedy leczył niedawno guzy na głowie. Sara i Etel swoimi małymi paluszkami wypolerowały mu do połysku czaszkę ogoloną przez lekarza. No, tak. Ale nie rozumieją, że nie znosi milczenia, żalobnych min, włosów w zupie i brudu za paznokciami.

A po szóste. . . Otrzeźwił go własny głos. Rozumu mu chyba ubyło przez tę dziurę we łbie ledwie co zatkaną. Bogać tam - po szóste! Po pierwsze i najpierwsze z pierwszych! Zając się musi tym, co najważniejsze, a cóż jest ważniejsze od niego samego. Zapomniał, co mu grozi? Może przez resztę życia znosić wszystko, byle nie tu, nie w tych ponurych kramach, gdzie nie ma czego szukać ktoś prawdziwie wolny. Musi się stąd po prostu wyrwać, a nie opatrywać piec na zimę i umawiać się na lekcje manier z Katuszką. I się wyrwie. Nawet wie jak.

- A po szóste. . . Boże, że to mu wcześniej nie wpadło do głowy! Płasnął dłonią w kolano. Bo nie miał na karku głowy, ale balon napompowany głupotą. Może więc przysłużył mu się karzeł Catai, że mu ten balon rozwalił pałką. Powinien za to podziękować pięknie, czemu nie. Podziękuj, podziękuj. Niech no go tylko dopadnie.

Głupiec pozostanie głupcem. Wasyl cofnął się o krok, gdy Casanova sięgnął ręką do tyłu. To i dostał za swoje - tamtym po sztuce złota, Wasylowi srebra. Więcej mu się zresztą nie należy. Nic mu się nie należy. Judaszowi jednemu, ludzkiej larwie ze smoczym żołądkiem.

- Jestem z was zadowolony. . Ale zadowolony był tylko z siebie. Nawet z tego, że się do nich uśmiecha choć nagły strach przed tym, co zamierza, zaczął mu zwierać szczęki. Odprawił ich zdawkowo, byle jak. Nie chciał, żeby się domyślili, że to pożegnanie. I, że zdecydował o tym ledwie przed chwilą.

114 Powinien się chyba skradać cichcem, przemykać pod płotem, ale nie chciał sobie odmówić

ostatniej może parady. Omijając kałuże uliczki, przy której mieszkał, wydostał się na ruchliwy o tej porze i w miarę suchy Trakt Królewski. Słońce, nieco zwiędłym, ale jednak nadspodziewanie silnym jak na tę porę, blaskiem, rozbierało ludzi z kokonów wczorajszych, na mróz wyciągniętych ubrań. Tylko przekupki, zatulone w szczelne zawoje chustek i szmat, trwały przy swoim. Powinien pewnie unikać tego traktu, smyrnąć do ambasady bocznymi uliczkami, ale czyż musi rezygnować ze wszystkiego w życiu? Zobaczą go? No to niech go zobaczą. Może to i lepiej dla jego sprawy. Niech zapamiętają go takiego, w kapeluszu z pawim piórem, przy szpadzie, mężnie sunącego na spotkanie przeznaczenia. Nie jest szczurem, żeby się kryć przed ludźmi. No i nie pobrudzi sobie zaudto francuskich pantofli.

Nie uszedł daleko sam. Nie wiedzieć skąd wzięło się uczucie, że jest obserwowany, ale skoro już przyszło mu to do głowy - i on rozejrzał się uważniej. Sami nieznajomi, nędznie na ogół ubrani, ale w końcu nie musi go śledzić znajomy elegant. Nawet nie powinien. Jakiś po-wóz z zaciągniętymi firankami znieruchomiały u wylotu ulicy. Miał wrażenie, że widział go już blisko domu. No więc i znajomy elegant może wchodzić w grę. Który? A diabeł to jeden wie. On nie musi. Dość ma już zagadek i osobników chętnych do wścibiania nosa w jego sprawy. Skończy z tym dzisiaj raz na zawsze.

Niech sobie obserwują - ci, czy tamci, czy jeszcze kto tylko chce. Wszystkich wystawi do wiatru. Choć - kołatało w nim niespokojnie - nie do końca jeszcze wie, jak. Ale czy nie był w większych opałach. Czy spod Miedzianego Dachy wiedział jak się wy dostać zanim sposób sam się nasunął? Boże święty, wiedział tylko, że chce uciec, bo inaczej umrze. To wie i teraz. Czegóż chceć więcej. A zresztą - ma już przecież i pomysł. Tak zuchwały, że przyćmi pewnie tamtą ucieczkę. Tylko jak, jak się do niego zabrać?

Przystanął. Wystawił twarz do słońca. Może tak? Zamknie na chwilę oczy, policzy do dziesięciu, przywoła na pomoc wszystkie zmysły. Coś się na pewno potem zdarzy. Raz, dwa. . . jakiś znak, trzy, cztery. . . coś, co mu pokaże drogę. . . pięć, sześć. . . musi tylko dobrze patrzeć, siedem, osiem. . . coś jak błysk, jak strzał w środek tarczy. Albo pierwsza chwila we wnętrzu kobiety. Albo ta, tuż przed spełnieniem, ostatnia. . . Dziewięć. . .

Coś szarpnęło go za rękaw. - Pan kupi!

! Dziesięć. Żydowski chłopiec z koszem bułek. Psiakrew, musiał mu się teraz napatoczyć. Niech się wynosi, czy on wygląda na głodnego. Zaraz. A jeśli to jest to, na co czekał. Jakaś upragniona wskazówka, znak od Boga, hm, od którego Boga? No, od Boga wszystkich Bogów, taki przecież na pewno też istnieje. Przyjrzał się chłopcu uważniej. Czy to nie ten sam, który zaczepił go kiedyś na placu przed zamkiem? Podobna mizerota, skóra i kości, nędzarnik z

koszem bogactwa, którego mu nie wolno dotknąć. Co mu chce przekazać? Że ma się trzymać jego pobratymców? Jasne. Jeszcze dziś wynajmie woźnicę. Niech czeka w pogotowiu. Może nawet będzie musiał uciekać w przebraniu. Czemu nie? No to zawczasu kupi chałat, brodę i jarmułkę. Bardzo proszę. Saul Casanower, pobożny Żyd z Drezna wraca do domu po załatwieniu interesu w Warszawie, jakiego interesu? Marnego interesu, bo jakie inne można robić w tych czasach.

- Masz! ! Wysłannicy niebios warci są każdej zapłaty. A cóż dopiero jednej bułki. Zapłacił, wybrał największą z koszyka, podał chłopcu.

- To dla ciebie. . Chłopiec spieszył się wyraźnie, ale po chwili wahania objął prawie miłośnie bułkę chudymi palcami i zanim Casanova zdążył odwrócić się i odejść - włożył ją z powrotem do koszyka. O, nie, nie, daje mu nie tylko pieniądze, ale i bułkę. Ma ją zjeść. Przecież na pewno jest głodny. Nie? Mały pokręcił głową. Nie. Ciekawe. Ale mimo wszystko, niech je. Przecież zapłacone, pieniądze w kieszeni, o co jeszcze chodzi. Nie. Nie może, nie wolno mu? Nie. Co nie?

115 Tak czy nie? Nie. Coraz bardziej ciche i przerażone było to " nie " , ale bułka nadal leżała w

koszyku. Dobrze, albo ją je, albo oddaje. Oddał. Bez słowa, jakby nawet z ulgą. Cóż, widocznie wysłannicy niebios są nieprzekupni. Albo już w dzieciństwie okaleczeni przez nędzę i strach przed nędzą. Tylko co warte takie ich niebiosy?

Może za wcześnie otworzył oczy? Bo teraz dopiero, z trzeszczącą świeżością bułką w dłoni, zobaczył to, co musiało go poderwać do czynu. Karzeł Catai, ten wystrojony teatralny błazen, miesił pracowicie błoto trzewiczkami po drugiej stronie ulicy. Nareszcie. Nareszcie ten cholerny świat stał się odrobinę prostszy. Wsadził z impetem bułkę w sam środek koszyka i rzucił się przed siebie.

Gdyby się nie potknął i nie zatoczył na wóz z opalem, miałby już pewnie tamtego w garści, mógłby go wytargać za uszy, rozkwasić mu nos albo kopnąć w tyłek i patrzeć, razem z rozbawioną gawiedzią, jak toczy się groteskowa ludzka kula po pochyłości ulicy. Ale stało się, zaczępił butem o nierówność bruku i tylko cudem, kalecząc dłonie o kolczaste sągi drewna, uniknął upadku. Nie upadku - runięcia na twarz w błoto zaprawione końskim łajnem, prawdziwej katastrofy, ruiny, ośmieszenia przed całym miastem. Poczł przyływ wściekłości. Nie zważając na ból, wyszarpnął z sągu spore polano i tak uzbrojony ruszył przed siebie.

Mały człowieczek zniknął, ale odwrócone głowy przechodniów i powietrze wibrujące jeszcze od uderzenia ciężkich drzwi wskazały Casanovie kierunek. Jedno potężne pchnięcie aż ramię zatrzeszczało w stawach, stęchły półmrok bramy, schody, galerie schodów. W lewo czy w prawo? Gdzie się podziąła pokraczna bestia? Co za wariat wymyślił tę płataninę krużganków i schodów. Jest! Tupot, cichy jak szelest przesypywanego żwiru, przetoczył się nad głową. Schody, uważać na płaczącą kroki szpadę. Jeszcze jedno potknięcie i nie opanuje się, będzie musiał tamtego po prostu zabić. I tak bliski był tej chęci. Leciał pod górę ciężko, z coraz wyraźniejszym wysiłkiem, dla animuszu waląc drewnianą pałą w balustradę. Diabeł zemsty poszukujący ofiary. Ale ofiara wciąż była nieuchwytna. Jakimś cudem wcale się do niej nie zbliżył. Gdy już mógł zobaczyć cokolwiek - na ostatnich stopniach piramidy schodów - dostrzegł daleko, w rogu krużganka otaczającego dziedziniec, podrygującą sylwetkę biegnącego karła. W ułamku sekundy i ten widok zniknął, jakby był jedynie wytworem jego wyobraźni. Umilkło również wszystko, słyszał tylko łomot krwi w skroni i cichnącą wibrację balustrady. Coś tu było nie tak.

Jakim sposobem tamten uciekł tak daleko? Kucyk miałby być szybszy od rumaka pełnej krwi? Chyba nie zgłupiał jeszcze do reszty. I chyba nie zwariował. Nie jest z nim na razie tak źle, żeby wszystko uznać za urojenie. Czyż zresztą tylko takie urojenia należą mu się od losu. Piękniejszych nie było? Choćby na przykład tajemniczych kobiet, wabiących go do siebie. Nawet w szaleństwie ma chyba prawo spodziewać się czegoś odpowiedniego, a nie karłowatej pokraki. Ale to jednak nie dla urojeń ryzykuje przepocenie koszuli, rozmycie makijażu i zgubienie paryskich pantofli, nie dla zjawy zrobił z siebie dyszącego potwora z pałą w rękę. To był przecież karzeł z krwi i kości, ten sam, który jemu krwi upuścił i porachował kości nie tak dawno temu. Skręcił w bok czy przyczaił się za zakrętem?

W połowie drogi Casanova przystanął. Topniejący śnieg huczał w rynnach. A jeśli to właśnie brał za tupot tamtego? A podrygująca postać na końcu korytarza? Czy to nie pies, wielki pies przestraszony odgłosami gonitwy? Żaden człowiek, tym bardziej karłowaty, nie mógł przecież tak błyskawicznie się oddalić. Więc co - frunął?

? Wychylił się przez balustradę i zrozumiał wszystko. Było ich dwóch. Jeden, przyczajony pewnie wcześniej za drzwiami, pędził teraz przez podwórze do furtki ukrytej w ścianie bluszczu. Drugi sunął krużgankiem w tę samą stronę. Dwóch. Że też się nie domyślił od razu. W teatrze zawsze plątało ich się kilku, a u Catai oczywiście było nie inaczej, tylko on miał na oczach kurewskie bielmo. Dwóch. Dwóch karłów. To prawie tyle, co prawdziwy mężczyzna, normalny przeciwnik. Ścisnął mocniej polano w jednej, a rękojeść szpady w drugiej dłoni i poleciał z powrotem w dół.

116 Ale nie miał już szansy dopaść ich tutaj, na tym niespodziewanie ogromnym, klasztornym

może, dzielnicy. Był zaledwie w połowie drogi, gdy oni dopadli furtki, zawisli na klamce i wczepili się w nią z taką determinacją, że nie puścili nawet, gdy drzwi otworzyły się wreszcie i poleciały z impetem na ścianę. Pozbierali się jednak i, popychając jeden drugiego, smyrnęli przez wysoki, żelazny próg. I tyle ich widział.

Uliczka była niespodziewanie wąska, niespodziewanie nie dla weneccjanina, którego w tej mierze nic zaskoczyć nie mogło, ale dla kogoś, komu się wydawało o, że zna już, co nieco, to miasto. Wąska i pusta. Ani śladu tych, których gonił. Ślepe mury nie dawały szansy ukrycia się, więc mogli prysnąć tylko w lewo, gdzie był pewnie zakręt albo przecznica. Nieraz musiał uciekać takimi uliczkami, nauczył się więc trochę ich logiki. Zakręt. Ale dalej nikogo. Dwa psy tylko, wychudłe i wyliniałe wydzierały sobie bez przekonania jakiś krwawy ochłap. Czyżby? Był zbyt wściekły, by zaśmiać się z tego przypuszczenia. A jednak nie wybrał źle. Coś tu jeszcze było interesującego. Powóz. Czarny powóz tarasujący wylot ulicy. Sztywny woźnica na koźle w amarantowej liberii. Kogo tu licho przywiodło? Zasłonili cały widok, tamtych dwóch pokurczów na pewno z tego skorzystało. Zwolnił nieco kroku, schował kij za plecy, nie musi od razu wyglądać na barbarzyńcę.

Miał rację. Gdy już był na wysokości tajemniczego pojazdu - firanki szczelnie zasłonięte, dobrze, nie interesuje go to, ma ważniejsze sprawy na głowie - zobaczył znowu w perspektywie ulicy dwie znajome sylwetki. Teraz już mu nie ujdą. Chciał się jeszcze raz poderwać do biegu, ale drzwiczki otworzyły się nagle, boleśnie uderzając go w bark. Co, u diabła, jeszcze ktoś szuka guza? Czy to nie ten sam powóz, który wcześniej zauważył przy targowym placu? A jeśli?

- Uważaj, , kochany, strasznie dziś ślisko. Boże, przecież to. . . Wcale nie speszona tym spotkaniem, uśmiechająca się do niego pro- miennie. Ale siłę tego promienia znał już aż nazbyt dobrze. Nie było powodu do uprzejmości. Uciekną mu.

- Czego chcesz? ? Catai nie odpowiedziała od razu, może zaskoczona jego obcesowością. A może. . . Ileż powo- wodów znajdzie taka kobieta, żeby zrobić to czy tamto? Nie jego sprawa, nie będzie się wię- cej głowił nad zawilościami duszy tej dziwki. Już mu uciekli. Ale zaraz, przecież to jasne, nikt inny tylko ona ich wysłała na wabia, żeby go ściągnąć w to dziwne miejsce. Znowu coś knuje. Szkoda czasu, nie wyciągnie z niego nawet talara.

- Nie wsiądziesz? ? Zimno. Pochylił się, żeby oprzeć kij o stopień powozu. Jeśli szykuje coś wrednego, niech wie, że nie jest bezbronny. I nie będzie robił tego, na co ona ma ochotę.

Choć przecież jeszcze przed chwilą latał jak oszalały, gonił za karłami po ulicy, dla jej, okazuje się, zachcianki. Ale to już koniec. Szlus. The end.

- Bolało? ? Bardzo? Poczł jej dłonie na głowie, kapelusz spłynął na podłogę powozu. Och, długie delikatne palce objęły go czule jak nigdy dotąd. Ale te palce naprawdę drżały. Wzruszyła się jednak. Dopadły ją wyrzuty sumienia. Skoro tak, bardzo proszę, nie będzie odmawiał odpowiedzi. Niech zobaczy, co mu się dostało zamiast jej pieszczot. Ściągnął zdecydowanym ruchem perukę z głowy, wycelował w jej stronę ciemną szramę nad uchem. Proszę. Wystarczy? Koniec pokazu.

- Boże! ! Ujął go jednak dramatyczny ton jej głosu. Co za odmiana. Gra znowu, czy coś się rzeczy- wiście stało? Ten jej czarny strój, czarny powóz.

- Są rany, które bolą bardziej niż rozwalony łeb - powiedział, mocując z powrotem perukę i kapelusz, czując, że znowu zaczyna grzeszyć głupotą. Ale te paluszki, ale ten głos na-

117 brzmiały cierpieniem. . . Wyprostował się aż chrupnęły kości. Paluszki niech się zajmą sobą, a

głos zamilknie. Albo szybko mówi, o co chodzi. Bo przecież o coś jej na pewno chodzi. - To było nieporozumienie, , Giacomo, uwierz mi, fatalne nieporozumienie. . . Tego jeszcze brakowało - fatum rozparte na ogryzku tego osiłka. Nie ma zamiaru słuchać bredni.

- Poczekaj. . Podniosła się, żeby go zatrzymać. Gdyby ją teraz wysuplać z futra i ciężkich tkanin, tak wychylona do przodu, ze zniżoną pokornie głową i wypiętymi pośladkami, byłaby gotowa przyjąć w siebie zalotnika. Albo nawet dwóch.

- Ja. . . . Chciałam cię prosić o dyskrecję w tamtej sprawie. Zdaje się, że się nie przesłyszał, warto więc może zatrzymać się chwilę dłużej. - To dla mnie bardzo ważne. . Giacomo, proszę. - Wybierasz się do klasztoru?

? Zaśmiała się głośno, pewna już swego. Ciekawość nie pozwalała mu teraz odejść. Kogo się boi ta tygrysyca, skora zawsze kpić z całego świata? Diabli raczą wiedzieć, kto ma jeszcze udziały w jej tyłku.

- Zostaniemy przyjaciółmi, , prawda? To tylko nieważny wstęp. Postawił nogę na stopniu. -  
To znaczy?

? - Bardzo mi zależy na twojej dyskrecji.

. - Obrażasz mnie.

. Zaśmiał się w duchu. Obgadałbym cię z największą rozkoszą, gdyby nie to, że sam ryzykuję gorsze ośmieszenie.

- I na twojej przyjaźni. - Jak bardzo?

? Zaczął się targ, zrozumieli to oboje. Catai nie opuściła wzroku. - Zrobię wszystko, , co zechcesz, Giacomo. Krew uderzyła mu do głowy. Tak? No to zaraz zobaczymy, czy mówi prawdę, czy też znowu chce go oszukać. Jak wszystko, to wszystko. Już, natychmiast. Po co odkładać ofiarę na ołtarzu przyjaźni. Ołtarz trochę twardy, ale bywają gorsze. Nie raz go zresztą wypróbowali, ale przecież nigdy nie razem. Więc niech nareszcie ta dziwka i jemu pokaże, co na- prawdę potrafi. Nie będzie się krygował, ułatwi jej robotę. Jak przyjaźń to przyjaźń. Odbił się ze stopnia i wylądował z impetem we wnętrzu powozu. Zatrzasnął drzwi, ostatecznie zimno było rzeczywiście - chociaż w tej kwestii nie kłamała - i sprawdzwszy dyskretnie czy pod kanapką nie czyha oddział garbusów z maczugami, całym ramieniem, z rozmachem, sięgnął pod jej suknię. Przyjaźń osła ze źmiją nie może przecież przybić erać form tanich czy banalnych. O, bracia mściciele, to, co ma w ręku - wilgotne i ciepłe, szorstkie i miękkie zarazem - na pewno nie jest banalne. I na pewno nie tanie, o tym zdołał już się przekonać wcześniej.

Nie broniła się, ale i nie ułatwiała mu niczego. Więc niech będzie i tak. I w tej potrawie znajdzie smak dla siebie, spokojna głowa. Tylko niech ona nie bredzi o przyjaźni, kłoda jedna. Nie ma o niej pojęcia. Jak i o wielu prawdziwie subtelnym sprawach. Choćby te perfumy - duszne jak oddech piekła albo swąd przypalonej kapusty. Prowincjonalna intrygantka, gęś godna tylko nadziania na rożen, sopel lodu, bałwanica z kamiennymi oczami i rękami z patyków. Przynajmniej nie wytrzęsie z niego przyjemności zbyt szybko. Niech sobie będzie lodowata.

Ale dopiero, gdy z udawanego podniecenia, z szarży niby namiętności, z tego podgrzewanego złością i chęcią zemsty gorąca, zaczął się zapalać naprawdę, przekonał się, że i ona nie zamarła do końca. Sapnęła głośniejsz, raz, drugi, wierzgnęła nogami, tymi swoimi pięknymi nogami, aż poleciały iskry i szybki w drzwiach zabrzęczały ostrzegawczo. Były to jednak wszystkie satysfakcje, jakie miał w tym miejscu otrzymać. Gdy bowiem zanurkował już mię-

118 dzy jej odsłoniętymi piersiami, a ręka sunęła po coraz solidniejszą pieczęć, gotową przybić to,

co ona chciała nazywać przyjaźnią - Catai złapała go mocno za głowę i wyszeptwała coś niewyraźnie.

- Co? ? - Wszystko co zechcesz, Giacomo. Ale tylko raz. Nie szkoda okazji? Przyjdź wieczorem, po teatrze.

Jeszcze mógł się zatrzymać. Więc tak to ma wyglądać. Dalszy ciąg komedii? - A co potem?

? - Potem zapomnimy o wszystkim.

. W jej głosie nie było ironii, ani zresztą chęci na to, o czym mówiła. Boi się, wyraźnie boi o swoją skórę. Ktoś jej zagraża potężniejszy od byle przygodnego kochanka, którym przecież nie zdążył nawet zostać. Kto? Przecież nie na nędzna królewska imitacja, ta parodia prawdziwego człowieka, beka mięsa niezdolna do własnego życia.

- Dlaczego to? ? - Bo ja cię o to poproszę.

. A jeśli boi się samego króla? Mógł się przecież interesować wyczynami swojego sobowótora. A może i swojej kochanki. Diabli i to najbardziej diabelscy z diabelskich wiedzą, co tu się naprawdę dzieje. Maskarady, udawanki, nie wiadomo, kto jest kim. Komedie omyłek, jak u tego pocziwca Goldoniego. Tylko dla niego, Giacomina, nie ma dobrej roli. Błazen z pętlą na szyi? I to z pętlą zaciskającą się coraz mocniej? To nie z tej sztuki. Komedie omyłek. Boże, zaraz, to jest prawdziwy pomysł, prawdziwe wyjście, szansa na ocalenie. Że też wcześniej o



tym nie pomyślał. Musi grać w komedii omyłek, żeby nie zostać na zawsze błaznem albo wi-  
sielcem.

O, święty Rozumie, o wielki Carlo! Dzięki wam za wybawienie. Już wie nie tylko, co ma  
robić, ale i jak.

Chłód decyzji sparaliżował go na moment. Wyprostował się jednak, ogarnął, opatulił ją  
futrem. Był teraz znowu salonowym bawidamkiem, kochankiem kochanków, królem życia  
myślącym tylko o przyjemnościach. Uśmiechnął się lekko i patrząc Catai prosto w twarz, wi-  
dząc, jak różne odcienie niepokoju w jej oczach przechodzą w zdziwienie, a wreszcie w roz-  
bawioną zgodę, powiedział szybko i prawie radośnie:

- Dobrze. . Ale i ja mam swój warunek. Tym razem pod łóżkiem będzie on. Patykiem,  
ułamany na najbliższym skwerze, oczyścił pantofle z błota i wrócił na główną ulicę. Catai  
chciała go podwieźć, ale wolał być ostrożny. Dość nieprzypadkowych przypad- ków. . .  
Wystarczy ten, który już mu się przydarzył. Swoją drogą - paradne, ocali go ta, która go  
chciała przywieść do zguby. To będzie jego zemsta, jego tryumf. Za kilka dni wspomni już  
może wszystko jak nierzeczywisty koszmar. Gdzie? W Krakowie, Gdańsku czy we Wrocław-  
wiu? Z Krakowa ma blisko Wiedeń, ale Wiedeń, to nie było dla niego ostatnio miłe miasto.  
Już lepiej Wrocław, na dreźnieńskim dworze ma przyjaciół. A Gdańsk? Morzem dotrze wszę-  
dzie. I do granicy tędy najbliżej. Musi to dobrze przemyśleć. Jeszcze ma trochę czasu. Do  
wieczora.

Cieszył go tym razem tłum na ulicy, pokrzykiwania przekupniów, ruch, gwar, pstrokaci- zna.  
Boże, ci ludzie nic nie wiedzą, że stał się wolny, że jest już prawie złudzeniem, bo niby sunie  
tu między nimi, skacze jak inni między kałużami, omija jak wszyscy resztki topniejące- go  
śniegu, ale naprawdę już gdzie indziej pędzi przygięty do końskiej grzywy, rozchlapuje  
płytkie potoki, skacze przez rowy i zmurszałe płoty, z ostrym zapachem zwierzęcej skóry w  
nozdrzach i chichotem diabelskim w gardle, że się udało, że wygrał, że wystawił ich do wia-  
tru jak najgłupszych durniów.

119 Dobrze wycelowana pecyna błota siadła mokrą plamą na kolanie. Jakiś oficer  
przegalopo-

wał obok jak szalony na kasztance z zadartym do góry ogonem. Merde! Rozbój w biały dzień.  
O mało go nie rozjechał. Sprać po pysku takiego bałwana. Więcej! Wyzwać na pojedynek.  
Jeszcze więcej! Wrzucić do koryta z błotem, niechby spróbował jak smakuje. On już wie.

Popluwając na chusteczkę starał się usunąć plamę. Jak tak dalej pójdzie, to zanim dotrze tam, gdzie chciał dotrzeć, nie będzie się nadawał do pokazania nikomu. Piekielne błoto!

Roztarł w palcach kleistą grudkę. A gdyby tak wykorzystać tę bezużyteczną materię, mieć coś z niej. Może pieniądze, może tytuł do sławy. Tak, tak, dlaczego nie? Koryta z błotem. To może być pomysł. Duże, płytkie koryta, napełnione lepka zawiesiną. A w nich po kolana dziewczyny w samych tylko koszulach. Albo nagie. Ale nie - lepsze będą w koszulach. Dużo koryt, dużo dziewczyn i ludzie naokoło. Najlepsze towarzystwo, ale i hołota. Tłum z biletami w rękach. Tak, trzeba będzie płacić za ten widok. A głównie za to, że zaraz wszystko ożyje - dziewczyny rzucają się na siebie, zaczną mocować, chlapać błotnistą mazią. Coraz to która łąduje z piskiem w błocie, próbuje się podnieść, oblepiona szczelnie i podniecająco mokrą tkaniną, nie może, łapie więc drugą za nogę i razem łądują na czworakach. Tu dopiero rozgrywa się prawdziwa walka, tu dopiero pokaże się jej prawdziwy sens. Te wypięte zady, te cyce bujające się swobodnie, te rozkraczone w zapasach nogi, rozgrzeją do białości hołotę i najlepsze towarzystwo. Żadna nagość nie będzie tak ekscytująca jak oblepione błotem cielska. Każdy postawi swój maszt na baczność. A on będzie tylko inkasował od tych durniów pieniądze i pilnował, żeby dziewczyny nie były za chude.

Więc jednak Wrocław. Tam się to na pewno spodoba. A potem Drezno. Choćby i miał czekać do lata. Tam. Bo tu nie ma zamiaru czekać nawet do jutra.

Pod sklepem Meinla zobaczył spokojnie już stojącą kasztankę i zaraz potem plecy oficerka, który tak niedawno gnał na niej jak szalony. Złość mu już właściwie przeszła, w końcu dzięki tamtemu wpadł na, kto wie jak złotodajny, pomysł. Bóg z nim. Nie warto tracić czasu. Ale myślał jedno, a zrobił drugie. W jakimś nie do opanowania odruchu nienawiści tego, który się wlecze w błocie do tego, co nad nim pędzi, tego, co jest spętany do tego, co wolny - ruszył naprzód, gotów wywołać awanturę.

Zwolnił kroku i przestał miętosić rękojeść szpady dopiero, kiedy w swoim prześladowcy rozpoznał Katuszkę. A ten co tu robi? Czai się na kogoś, napada na ludzi, żeby ich olśnić nabytymi u niego manierami? Nie miał wcale ochoty na to spotkanie, zaczął się wycofywać, ale został już zauważony. I to nie przez wychylonego zza muru aż do granic równowagi Katuszkę, ale przez wychodzącą ze sklepu Lili. Jezu, cóż to za zjawisko? Sam wdzięk, słodycz, młodość radosna aż do bólu. Dziecko, panienska, kobieta w jednym ciele. Chwała Stwórcy za to dzieło! Wyprostował się machinalnie, poprawił perukę. Lili pokiwała mu ręką i uśmiechnęła się tak promiennie, że oniemiałby, gdyby akurat chciał coś mówić. To śliczne dziewczątko kocha się w nim. To przecież widać gołym okiem. Nie pierwszy raz widzi takie spojrzenia. I miejmy nadzieję, nie ostatni. Ale gołym okiem zobaczył także co innego, co go w istocie na chwilę pozbawiło głosu.

Kotuszko zrobił tylko krok do przodu i wszystko nabrało dwuznaczności. Ten krok to było sto kroków w jednym, sprężone, wibrujące jakąś dumną usłużnością i nadzieją, którą ten jej uśmiech i podniesiona ręka rozpałały do czerwoności. Oblał się pewnie rumieńcem aż po nasadę włosów. Zakochany głupiec. Nietrudno było zgadnąć, że wziął spojrzenie Lili do siebie. Stratuje wszystko za ten uśmiech, ochlapie błotem wszystkich przechodniów świata za prawo niesienia kilku pakunków, które trzymała w drugiej ręce. Ale nie to naprawdę zbiło Casanovę z tropu. Świat jest pełen Kotuszków, ale takiego blasku, jaki się pojawił na twarzy dziewczyny, tego rozbawionego zdumienia, błysku bezbrzeżnej ochoty na wszystko i za każdą cenę, o, tego nie spotyka się często. Skądś zna to jednak. Skąd? Boże mój - z lustra! Czy nie siebie rozpoznaje w tym spojrzeniu, nie swój grymas ust i uniesienie powiek. Chryste, ma więcej z tym aniołem wspólnego niż myślał. Niech Binetti mówi, co chce.

120 - Czemuż to pan nie zachodzi już do nas, , do teatru?

Pan, pan, jak to idiotycznie brzmi. Ale - ojciec - to ci dopiero błazeńskie słowo. Nie zachodzę do teatru. . . Bo jestem zaszczutym psem, durniem z rozwaloną - czaszką, więźniem, który nie ma już ochoty udawać wesołka, biednym człowiekiem, córeczko. Opanował się, odklonił speszonemu Kotuszce.

- Sprawy na dworze mnie zatrzymują. . . . Tak, szlifowanie parkietów, czepianie się klamek, wyjadanie resztek z pańskiego stołu, to bardzo absorbujące zajęcia. Patrzyła mu w oczy z oddaniem. Odwrócił wzrok. Jeszcze wy- czyta te myśli. Co za wdzięk, jaka niewymuszona zalotność. I ten zaczerwieniony ciągle ko- łek przy niej. Nie dla ciebie ona, chłopaczku. Ani nie dla mnie.

- Cioteczka. . . . - Aha, , cioteczka? - Cioteczka gniewa się chyba za to na pana.

. To było może ostrzeżenie, choćby nawet mimowolne. Powinien być czujniejszy, a nie wgapić się w Lili z czułością ojca i ciekawością kochanka zarazem, tym bardziej, tym bardziej że do żadnej z tych ról nie miał na razie prawa. I trzeba było raczej obserwować co się dzieje wokół, kto wchodzi, a kto wychodzi z magazynu Meinla, niż zastanawiać się, o ile podwyższy Kotuszce opłatę w odwecie za tę jego głupią minę i jeszcze głupsze nadzieje. Zanim zorientował się, co się dzieje, zapłacił za wszystko sam.

To nie była cioteczka, ani mateczka, ani nawet ta Binetti, którą znał od lat i - zdawało mu się - poznał dość dobrze. To była furia okutana w zawoje strojnych chust i peleryn, kula armatnia, sypiąca iskrami przed wybuchem, trucizna wrząca w kryształowej kolbie. Co się stało? No, może zaniedbał ją ostatnio trochę, ale czyż nie wiedziała, co się z nim działo. Zła, że

stoi z Lili? Gdzie napisane, że mu nie wolno. A sama idzie z Tomatisem, z tym dyrektorskim dupkiem, który ośmielił się odrzucić jego, CA- SA- NO- VY, sztukę! Uśmiechnął się swobodnie, nie muszą wiedzieć, że na pożegnanie. Ale rozstanie wypadło inaczej niż myślał. Spod zwojów i peleryn wysmyknęła się, masywna jak na kobietę, silna ręka i z rozmachem palnęła go w twarz, w ten uśmiech szeroki i pożegnalny.

- Błazen. . Tak nie był przygotowany na coś podobnego, że aż się zatoczył i wsparł na Tomatisie. Cień rozbawienia na tej gębie i zabije gada. Ale nie. Dyrektor teatru był co najmniej zdziwiony, jeśli nie przerażony, tym, co się stało. A Binetti zakreśliła się w miejscu, zagarnęła swoimi pelerynami i zwojami Lili i poleciała wściekła w stronę powozu. Katuszko za nimi. Pozostało uwolnić się od Tomatisa i iść się utopić do Wisły. Bo już chyba nic więcej mu nie zostało. Lepsze to niż obłąd. A chyba tak się zaczyna obłąd. Tym, że się przestaje cokolwiek rozumieć.

- Niech pan wybaczy naszej gwiazdzie. . Tomatis puścił go i próbował ominąć, gotowi jeszcze odjechać bez niego. - Rzucił ją Branicki. . I to dla tej drugiej, Catai, rozumie pan? Stać go było tylko na niepewne, schrypnięte: - Co?

? - A tak, , tak, dla Catai, właśnie dla niej. Nie wiedział pan? Zły był już tylko na siebie. - Nie.

. - Trzeba i na tamtą uważać. Gra teraz dziewicę, a hrabia jej rycerza. Niezła dziewczica z niezłego burdelu, wiemy coś o tym, panie Casanova, co?

Za to poufałe " co " , zarobiłby Tomatis w gębę jeszcze kilka minut temu. Ale teraz. . . Niech sobie gada co chce, byle poszedł w diabły. Byle go zostawił samego ze sobą. Ze sobą. Czyli z nikim. Bo co z tego, że rozumie teraz więcej, a może nawet wszystko, że wie kogo i czego boi się Catai, że może pojąć wściekłość Binetti, a nawet powody, dla których ten wygolony pro-

121 stak Branicki, wolał jedną od drugiej. Ale, na Boga, dlaczego za to wszystko dostaje ciągle po

łbie i po pysku właśnie on? Gdzie jest takie prawo, gdzie sprawiedliwość? Dotknął ostrożnie nosa. Następnego, który go zechce uderzyć - zabije!

! Psy były chude, wynędzniałe, brudne. Choćby ten czarny kundel o skołtunionej sierści. Tylko uszy nastawione czujnie świadczyły, że nie zamarły w nim jeszcze wszystkie instynkty. Dygotał ze strachu, ale sygnał, płynący od polci koniny rzuconych niedbale pod murem pałacowych schodów, był silniejszy. Pies ruszył więc powoli przed siebie, strzygąc uszami i miękko stawiając łapy. Ostrożności nie starczyło na długo, zapach jedzenia poderwał do biegu i tego nieszczęśnika. Kiedy dotarł do połowy żwirowej alei i mógł zobaczyć nie tylko krwistą końską kość, ale równie krwawe ciała poprzedników, odciągnięte za fontannę, było już za późno na ucieczkę. Huknął strzał, kundel zrolował aż żwir prysnął na boki, chciał się jeszcze podnieść, ale nogi rozjechały się bezradnie, klapnęła w dół głowa i ciało znieruchomiało cicho i ostatecznie.

- Dobry strzał. . A trafić do celu w ruchu to wcale nie takie proste. Chce się pan przekonać?

- O, nie, dziękuję bardzo. Bronią palną nie władam najlepiej. Ambasador Repnin oddał strzelbę służącemu, wziął drugą, nabitą. - No, , to jest okazja poćwiczyć. Naprawdę pan nie chce? Kpi ze mnie, pomyślał Casanova, dobrze wie, co się ze mną dzieje. Odmówił, czując suchość w gardle i rozpacz w duszy. Jak ten nieszczęsny pies, wpakował się w śmiertelną pułapkę. I tylko nie wiadomo, z której strony padnie strzał. Repnin opuścił strzelbę lufą do dołu. Wyrzwał przez balustradę tarasu, aż jego zwaliste ciało omal nie rozsadziło paradnego munduru. Tam w dole trwało jakieś poruszenie. Spojrzał i on. Barczysty żołnierz w szarym szynelu zbierał zakrwawione trupy psów, unosząc każdego i pokazując jak najszlachetniejszą zdołbycz.

- Ciekawa historia. Kiedy leżą już dwa, żaden następny nie da się skusić. Trzeba dopiero zabrać ścierwa. A jeden ich wcale nie wzrusza. Dziwne, prawda? Do dwóch razy sztuka?

Tamten nie żądał odpowiedzi, nie zwracał już na Casanovę uwagi. Zrzucił futro, którym opatulał go służący, rozepchnął się łokciami, jakby jeszcze raz poważnie i groźnie poświadczyc chciał prawo własności do tej przestrzeni wokół, dał znak wolną ręką i zamarł w oczekiwaniu. Psi zgiełk szalał za bramą ogrodu.

Do dwóch razy sztuka? Proszę bardzo. Wyciągnie błazna spod łóżka czy tamten sam wylezie, namówiony przez Catai na jakieś zbiorowe przepychanki? Wszystko jedno. I tak musi go ogłuszyć i związać. Spojrzeć w jego królewskie oczka i zobaczyć jak się powlekają mgłą nieświadomości. Zerknąć też na jej roznamiętnioną buzię i zatkać ją kneblem, którego jeszcze pewnie nie smakowała - gałganem do zmywania podłogi. Tylko czy uniesie draba? Napiął mięśnie jakby dla sprawdzenia czy da radę. Musi. Nie ma innego wyjścia.

Zgiełk ucichł nagle i następny pies stanął na skraju zwirowanej alei. To nie był zabiedzony psi strzep, jak jego poprzednik. W czujnym pochyleniu trójkątnej głowy czuło się ostrożność myśliwego, nie ofiary, w sztywności opuszczonego w dół ogona był nie strach, ale zdecydowanie. Musiał być kiedyś potężny, ale i teraz olbrzymie łapy i mocno rozrośnięte piersi mogły budzić respekt. Ambasador aż cmoknął z zachwytu.

- No, , dalej. Dawaj! Casanova odwrócił głowę. Bezmyślne okrucieństwo tej zabawy zbiło go zupełnie z tropu. Jak zacząć rozmowę z kimś takim. Może lepiej się wycofać, kropnąć dla niepoznaki ze strzel- by Panu Bogu w okno i pożegnać się pod byle pozorem. Tylko skąd tu teraz wziąć bezpieczny pretekst. A zresztą - taka okazja już mu się nie przydarzy. Jutro może być daleko stąd. Po drodze podrzuci im w umówione miejsce tego związanego i ogłuszonego durnia, błazna uda- jącego Stanisława Augusta, łze- króla o wielkich stopach, które jego akurat przydepnęły dość

122 boleśnie. Trochę potrwa zanim się zorientują, że wróbla trzymają w garści, nie orła.  
Zanim

sprawa się wyda, on, Casanova, będzie już pod pruską granicą. Konia tylko musi znaleźć do- brego. A najpierw powóz, ale z tym nie będzie kłopotu.

- Dawaj! ! Barczysty żołdat uniósł drągiem krwawe ochłapy. Pies ruszył, ale nie pędził jak głodny szaleniec najkrótszą drogą do celu. Czuł niebezpieczeństwo, stawiał łapy ostrożnie jakby sta- pał po najdelikatniejszym jedwabiu, a gdy się wydawało, że idzie tak na pewną zgubę, pod lufę strzelby rzeźnika w generalskim mundurze - skręcił nagle i dał nura w gęstwinę krzewów okalających alejkę. Jego brunatny grzbiet migał przez chwilę między gałęziami, potem znikł, by pojawić się kilka metrów dalej. Hrabia Repnin zaklął, znowu wychylił się przez balustra- dę. Wystarczyłoby kopnąć celnie w ten potężny zadek i byłoby jednego szubrawca mniej. Własny tyłek roztrzaskałby mu głowę o marmurowe schody. Ale nie. Musi, jak ten pies, szu- kać ocalenia chyłkiem, sprytem, przebiegłością.

Więc nie traktem, a krzakami, polami, lasem. W przód, w bok, w tył. Być tu, a pokazać się tam. Kołować, kluczyć, mylić ślady. Raz gnać, a raz przycupnąć gdzieś cicho. I nie na Wro- cław jednak. Na Gdańsk. Będą sobie mogli do woli potrząsać swoimi pukawkami, wypatry- wać oczy, kląć i wychylać się przez balustradę. Jak się już wyrwie, to nie da się złapać.

Pies, ponaglany krzykami niewidocznej z tarasu służby, wyjrzał znowu z krzaków. Był bliżej celu, ale żeby go osiągnąć, żeby zanurzyć pysk w krwawej słodyczy nagrody, musiał pokonać kilkanaście metrów otwartej przestrzeni, ten wyzwirowany placyk, na który jego poprzednik

wjechał na rozwalonym brzuchu. To był cud albo wyuczony odruch - psisko rzu- ciło się najpierw w tył, by po chwili gwałtownie zawrócić i popędzić przed siebie krętą, pełną nawrotów i pętli drogą.

Będzie jechał tylko nocami. W dzień odeśpi to w ukryciu. Zmyli pogonie. Lepsze życie sowy niż żadne. I wszystko lepsze niż otwarte przestrzenie.

Pies przywarł do ziemi równo z błyskiem, strzał przeleciał nad nim, kosząc gałęzie krzaków po drugiej stronie alei. Teraz dopiero wojownik pokazał, co potrafi. Odbił się potężnym susem, aż żwir prysnął na boki i skoczył do przodu z szaleńczą siłą. Już nie kluczył, nie szukał przy ziemi osłony przed kulą. Jakby wiedział, że drugi strzał nie padnie zanim on nie schwyci zdo- byczy. Może wiedział, ile trzeba czasu na ponowne załadowanie, może był ułożony do polowa- nia i instynktownie czuł, ile trwa przerwa po każdym pudle. Pędził więc swobodnie, parł przed siebie całą siłą swych mięśni i chęci życia, prawie leciał muskając grunt łapami.

Panienko Przenajświętsza! Tak pędzić, tak się wzbijać do lotu! Być psem, koniem, naj- marniejszym ptakiem. Nie zostać tu ani chwili dłużej.

Jeszcze piętnaście metrów, dziesięć. . . Ambasador sięgnął po drugą strzelbę. Przymierzył i w ułamek sekundy później rozpedzone ciało psa zaryło ze skowytem w ziemię. Krwawa świ- nia, rzeźnik. Casanova cofnął się, żeby nie wiedzieć, co dalej zrobią z tymi zmaltretowanymi szczątkami. Był cały spocony z przejęcia i obrzydzenia. Śmierć. Tak wygląda śmierć. Czy ten morderca chociaż wie, że zabił nie psa, a życie, prawdziwy Boży dar, prawdziwe piękno, cud natury. Barbarzyńskie bydłę!

Hrabia Repnin odwrócił się jakby na dźwięk tych niewypowiedzianych obelg. Spojrzał na Casanovę kpiąco.

- Wyobrażam sobie, co pan teraz myśli. Azjata, barbarzyńca, krwawy hrabia. No, no, po co zaprzeczać? Znam cały ten repertuar. Wiem, co ludzie o mnie mówią. Choć w tej spra- wie można wierzyć szpiclom. Polaczkowie to sentymentalny naród, co nie znaczy, że mniej okrutny od innych. Ale nam nie darują niczego.

Opanuj się, machnij lekceważąco ręką, zmyj z twarzy wszelkie ludzkie uczucia - zostaw szyderstwo i obojętność. Zaraz się wszystko zadecyduje. Całe twoje życie. Albo śmierć.

- Wie pan, ich poprzedni król, saski osiłek, który nimi gardził, o wiele bardziej niż my, całymi dniami się w to bawił. Nawet mu się nie chciało wychodzić na dwór, siedział w fotelu

123 i z okna ubijał te bydlęta. Oni uważają go za wielkiego króla, chociaż niczym więcej się wła-

ściwie nie zajmował. No, ale nie był Ruski, to już samo w sobie jest tutaj zaletą. Był teraz prawie poczciwy, tylko kpiące oczy kazały mieć się na baczności. I nowa, nabita strzelba w dłoni. Nie ma jeszcze dosyć?

- Ja im chociaż daję szansę. I tak by zdechły z głodu gdzieś pod płotem. A tu - jeśli wy- grają - jeśli wykażą się czymś naprawdę nieprzeciętnym, mają niezłą kość w nagrodę, a rów- nież i darowane życie. No, powiedzmy - Repnin dał, jak poprzednio, niedbały znak ręką służbie - do następnego razu.

. Więc nie ma dosyć to generalskie bydlę. I kpi z niego głośno, dobrze wie przecież, że on, Casanova, sam miota się między kością a lufą strzelby. Jak te nieszczęsne psiska. Do następnego razu. . . Nie będzie następnego razu. Nie wystartuje w biegu po ochłap, pryśnie w krzaki i tyle go będą widzieli. A na koniec wytnie im taki kawał, że długo go popamiętają. Wykaże się czymś tak nieprzeciętnym, że się udławiają tą swoją kością.

- Pan jest Francuzem? ? - Nie, , Wenecjaninem. Dobrze wie, kim jestem, ale cóż to szkodzi jeszcze raz podkreślić, że nikiem. Bezpańskim kundlem, ot co!

- Wenecja to mały, , ale bogaty i dumny kraj. Ryzykował. Odezwał się bez przyzwolenia. Dał się ponieść emocji. Błąd. Błysk w general- skim oku nie był już tak łagodny jak przed chwilą.

- Wy południowcy, , też jesteście sentymentalni. Bardziej jeszcze jak ci tutaj. Może i błąd. Ale co ma robić. Dać się bezkarnie obrażać? Przecież to próba. Musi być twardy, jeśli chce przetrwać. Lepiej zresztą mówić niż wyrzygać z obrzydzenia. Nie będzie czekać dłużej. Powie co ma powiedzieć, czy tamten chce czy nie. Przecież to powinno być ważne głównie dla nich, nie dla niego. Przecież. . .



- Ekscelencjo, , pragnąłbym. . . Szybki, zniecierpliwiony gest generalskiego palca pozbawił go na moment odwagi. No do- brze. Ale zamknie oczy, pomodli się raczej o spokój i precyzję słowa, nie będzie więcej pa- trzył na to paskudztwo. Niech się ekscelencja sam bawi zabijaniem. Nie zamknął jednak oczu, przeciwnie - otworzył je ze zdumienia szerzej. Nie mylił się. Tam w dole, z furtki w bramie wleciał na śmiertelną alejkę biało- czarny kundel, jego łaciaty towarzysz drogi do Warszawy, jego pies. Zawieruszył się niedawno, nie wyglądał więc marnie, z normalną też pogodą ducha merdał radośnie ogonem. Jeszcze i to. Jak tu się teraz modlić o spokój, mając przed oczyma ten zadowolony, nie wiedzieć czemu i rozglądający się za zabawą pysk. No to już! Nie ma przecież wiele czasu. Musi się trochę przygotować, przebrać na drogę, wynająć powóz, prze- ćwiczyc na Wasylu obezwładniający cios w ucho. O to chodzi. Musi zdążyć na czas. Choćby ryzykując, chwilowe przecież, niezadowolenie ekscelencji. O to chodzi. Bo przecież nie o tego merdającego przygłupa. Zaczerpnął oddech jak przed nurkowaniem.

- Jestem gotów do wykonania zadania, , ekscelencjo. Ambasador odwrócił się powoli, złowrogo. - Jakiego zadania? ? O czym pan mówi? Kto panu w ogóle pozwolił się odzywać. - Wybacz pan, , ale waga sprawy nie pozwala mi czekać. Tamten nasiąkał irytacją jak gąbka. Podszedł bliżej, ale strzelby nie wypuścił z ręki. - Jakiej sprawy?

? Teraz. Choćby go te słowa miały sparzyć w gardło. - Dzisiaj wieczorem mam porwać króla. . Nie wiem tylko jeszcze dokąd go mam dostarczyć. - Jakiego króla?

? Wewnętrzny wybuch rozsadził prawie tę twarz, szcerwieniła naraz, nabrzmiała jak wrzód przed pęknięciem.

- No. . . . polskiego. Stanisława Augusta.

124 Łaciaty ruszył. Jeszcze nie teraz, idioto. Kat ma jeszcze strzelbę przed sobą, choć celuje te-

raz w brzuch twojego pana, nie w twój. A niech celuje w co chce, przewaga jest już po jego, Casanovy, stronie. W innej sytuacji rozparłby się teraz w fotelu, przerzucił nogę na nogę, może nawet wpakował do ust garść rodzynek, a może i fig, i spokojnie czekał na odpowiedź na swoją ofertę. Mój Boże, przecież nie co dzień ma się taką propozycję. To jest sensacja, prawdziwy cud dla tych zawodowców od prowokacji i intryg, dojrzały owoc, jaki im wpada w ręce. A kogo naprawdę ma im zamiar podrzucić zamiast króla, to już zupełnie inna sprawa.

Mało to cudów podszytych jest fałszem, a owoców robaczywych. Nie było na czym usiąść, oparł się więc tylko swobodnie o balustradę. Kieliszek koniaku byłby też nie do pogardzenia. Kazałby podać coś rozgrzewającego, nadęty pyszałek, zamiast wgapić się w niego tak onie- miałym wzrokiem.

- Kto pana tu przysłał? ? Chłód, wiejący z tych słów jeszcze go nie przeraził. Nie rozumie gruby dureń, co się do niego mówi. Chce im dostarczyć polskiego króla, ich wroga, opornego Ciołka, którego trzeba nauczyć rozumu. Tyle jeszcze pamięta z wykładów w petersburskich lochach. Dobrze. Powie. Nic tak nie ubarwia kłamstwa jak odrobina prawdy. Ale za chwilę. Może warto podbić cenę. I Łaciaty zyska kilka metrów życia.

- Właściwie jestem związany przysięgą. . - Nazwisko?

? Ktoś tu chyba przesadził, źle pojął sytuację. I im bardziej lufa strzelby wrzynała mu się w gardło, tym boleśniej doskwierał nie ból, ale coraz silniejsze podejrzenie, że pomylił się on sam.

- Pułkownik Astafow. . . . Czego jeszcze chce, niech zabiera to żelastwo, bo gotowe samo wystrzelić. I śmierdzi mu, bydlakowi, z ust. Wszystko może wytrzymać tylko nie to.

- Błazny. . Petersburgie błazny. To było warknięcie wściekłego zwierza, a nie słowa dyplomaty. Repnin cofnął się jednak, ucisk lufy zelżał nieco i dopiero teraz napłynęła groza. Odstrzeli mu głowę, ta beczka stęchła- go łaju! Ale jeśli nie - jutro się przekonamy, kto tu jest błaznem. Kiedy się zorientują, że im przywiózł królewskiego sobowtóra. Ciołka numer dwa, Jego Ekscelencję Nikogo. Cała Euro- pa będzie wyc z śmiechu. . . Już on się o to postara. A może i ten purpurowy ze złości bydlak też jest tylko marną imitacją, a nie prawdziwym ambasadorem Jej Cesarskiej Mości, Jego Ekscelencją hrabiną Repninem? O co chodzi? Głuchy jest? Nie pojmuje sytuacji? Chyba jed- nak nie strzeli. Walnie na odlew? Psiakrew! Będzie go musiał wt edy zabić. Przysiągł sobie przecież. Boże, bądź miłościw. To tak wygląda ich wdzięczność? Ale co się stało. Pomylił adres czy co?

- Tfu, , niedobrze się robi od tych durniów. Ambasador westchnął raczej niż splunął. Krzyknął coś gardłowo po rosyjsku do służącego i cofnął strzelbę. Teraz Giacomo mógłby mu ją wyrwać bez trudu, palnąć go w łeb kolbą, albo rozwalić to cielsko jednym strzałem. A potem - trudno. Rzucił okiem na boki. No, tak, żywy toby stąd raczej nie uszedł. O nie. Ale Łaciaty? Zgroza! Ten psi idiota wolno, merdając ogo- nem, zbliżał się do krwawej nagrody. Kto tu naprawdę wpadł w pułapkę? Ten pies czy on? Złapią go, wsadzą znowu do jakiegoś

lochu, powłoką może gdzieś na Sybir. Nie, tego już nie wytrzyma, niech raczej zabiją go od razu. Ale bez walki się nie da.

Już obliczał siłę pierwszego skoku, już czuł w dłoni chłód lufy, puchnącej w rękojeść potężnej maczugi, gdy Repnin odwrócił się nagle do niego plecami i rzucił strzelbę służącemu. Świat znowu wrócił na swoje miejsce. Ano, tak, powyglupiała się ekscelencja, a teraz przystąpi do rzeczy. Pewnie każdego tak sprawdzają. Ale on nie ma ochoty ani czasu na bzdury. Może się rozmyślić i wtedy koniec interesu, panowie. Róbcie go sobie z kim innym. Merde, żeby tylko tamten bydlak o wielkich stopach nie zaczął wrzeszczeć, jak go będzie wyciągał spod łóżka. A Catai? Może ją przeleci zanim dobierze się do jej pseudokrólewskiego amanta.

125 Szkoda byłoby stracić taką okazję. Coś mu się należy za tyle starań. Ale czas, śmiertelny

wróg przyjemności. . . No to dla ulżenia nerwom koncertowo, w trzy minuty. A jakże. Wyprostował się i poprawił ubranie, pewny już swego. Zobaczysz czy ta nadęta kłoda umie się uśmiechać. Bo tylko uśmiech pasuje teraz do sytuacji. Wiwat Łaciaty! Nie tylko uratuje życie, ale jeszcze się naje. A on? Za kilka dni w Gdańsku wyda ucztę, upije się z każdym, kto mu się nawinie.

Jeśli to był uśmiech, to niczym się nie różnił od wilczego grymasu. Ambasador odwrócił tylko głowę, zaparty mocno nogami pozwalał ordynansowi zapinać futro.

- Astafow czy nie Astafow. Ten, kto pana tu przysłał, zrobiony jest palcem albo czymś jeszcze gorszym.

Żołądek podjechał do góry, wszystko na nic? - Co sobie te świńskie mordy myślą? Że Repnin to kto? Zwiędły kutas, czekający na ich poradę, jak się dobierać do kurwy? Bo to jest, zdaje się, pańska specjalność.

Buldog, prawdziwy buldog, nawet piana w kąciku ust nie była przywidzeniem. Gdyby nawet chciał coś powiedzieć, to nie mógł, gdyby mógł - nie wiedziałby co.

. - Zbyteczny trud. A co i jak poza tym robić w Polsce też wiem sam. Ich gówniane pomysły mi niepotrzebne. Jak Repnin będzie chciał tu kogoś porwać, króla, księdza czy innego błazna,

to go porwie. To im pan powiedz, tym swoim mądralom. Nie będzie się oglądał na nikogo i na nic. A takich pomocników niech zafundują raczej swoim żonkom.

Mimo wszystko, jeszcze raz, coś, jakieś słowa, ostatnia próba, strach. - Wydawało mi się jednak, że okazja. . . Nie został zaszczycony ani spojrzeniem, ani gestem, zwałisty kark poczerwieniał tylko mocniej.

- Wynoś się pan, , pókim dobry. - Ja. . . - Won!

! No i zawaliło się. Resztką sił zmuszał się, żeby nie biec, resztką świadomości rozpoznawał wnętrza, korytarze, skośnookie twarze służby, drzwi. Odetchnął dopiero na schodach przed ambasadą. Skryty za marmurową kolumną, dyszał ciężko jak po biegu. Wolno docierała do niego świadomość klęski. Nie udało się. Opuściło go szczęście. Przegrał, do jasnej cholery. Nie wypuszczą go z rąk tak łatwo. Ale kto? I tego już teraz nie wiedział. Wszystko jest niepewne, niejasne, pełne zagadek. Ten grubas wyśmiewał się z pułkownika Astafowa. Więc co, kto tu naprawdę decyduje o wszystkim? I czego w takim razie chcą od niego? Oparł rozpalone czoło o chłodny marmur. Szczęście. . . Już wycofując się, zobaczył przez moment, jak niezmiennie zadowolony z siebie Łaciaty sunął z krwawym ochłapem w pysku do zbawczej furtki w murze. Chociaż jemu się udało! Ale na jak długo? Do diabła, wszystko na tym świecie tak wygląda? Tylko tak - podle, , okrutnie i niesprawiedliwie?

Otrzeźwiły go jakieś krzyki. Czyżby pogoń? Wymacał rękojeść szpady, zupełnie machinalnie odebranej z rąk ordynansa przy drzwiach i ostrożnie wyrżał. Jacyś ludzie szamotali się na schodach. Mężczyzna w obszernym lisim futrze starał się złapać za kark dwóch niepozornych frantów w wyliniątych wilczych szubach. Bój był zażarty, ale krótki. Lis ucapił wierzgające wilcze szyje, przegiął je do siebie.

- Ja wam pokażę, , łotry. Ja was oduczę donosić. Potoczyły się po schodach nieforemne, wielkie czapy, zaświeciły podgolone łby, pędzące ku sobie siłą nie własnej woli, by uderzyć z rozmachem czołem w czoło. Jęknęło piskliwie, stęknęło głucho. Lisisko zamachnęło się nogą i dalejże kopniakami przetrzepywać wilcze futra, aż tamci, trzymając się za obolałe głowy, rzucili się do bezładnej ucieczki.

- Zdrajcy! !

126 Zwycięzca otrzepał demonstracyjnie ręce i pogroził pięścią umykającym stworom. Był te-

raz, z uniesionymi w górę ramionami, w owijających się wokół ciała kłębach lisich futer, prawdziwie piękny. Piękny i szlachetny. Ukłucie zazdrości nie poprawiło Casanovie humoru. Ten półbóg gromiący na schodach rosyjskiej ambasady donosicieli, mógł przecież i jego tak potraktować. Huk byłby na całe miasto. A wstyd na całą Europę. Zwariował chyba, żeby tu przychodzić w biały dzień.

Gdy brakło już przeciwników, mężczyzna odwrócił się i ruszył zadowolony do drzwi ambasady. Teraz dopiero Casanovą mógł go lepiej zobaczyć i poczuł jak krew uderza mu do głowy. Ta twarz tyleż piękna, co brutalna, te wąsiska okalające brodę jak postronki. . . To był Branicki, hrabia Branicki, zdradliwy amant Binetti i jego zwycięski rywal do wdzięków Catai. Zgroza! Szlachetny i piękny piął się po schodach w górę człowiek, którego on powinien nienawidzić.

Tego było już nadto. Półprzytomny z gniewu i upokorzenia skoczył przed siebie nie bardzo wiedząc dokąd i wcale tego nie chcąc wiedzieć.

Oprzytomniał pod jakimś ciemnym murem. Trząśnięcie z zimna i zdenerwowania. Pantofle przemokły do cna. Tylko patrzeć jak nasiąknięta błotem podeszwa oderwie się i będzie musiał człapać dalej boso. Dokąd? Byle dalej od tego złowrogiego muru. Gdzie jest? Chyba niedaleko od ambasady. Ulica zaczynała tu schodzić gwałtownie w dół. Do rzeki, pomyślał, do rzeki, która go uratuje. Ale nie uszedł daleko.

Brama była uchylona, w budce wartownika nikogo. Tam w głębi, piętrzyły się jakieś marnie zabudowania, byle jak do siebie przytulone okratowane budy. Nie musiał się niczego domyślać. Nagle wybuchła kaskada ujadania, wycia i prawie ludzkiego płaczu, uświadomiła mu aż nadto wyraźnie, gdzie jest. To było więzienie, psie więzienie wyłącznie z celami śmierci, które opróżniał wedle swojego kaprysu ten opasły kat w generalskim mundurze.

Nie bardzo wiedział, co robi, wciskając się między ciężkie skrzypła bramy, ale kiedy wydało mu się, że w szalejącym zgiełku psich głosów słyszy pełen nadziei szczekot Łaciatego, pozbył się wahania. To będzie zemsta na jego prześladowcach, a może nawet odkupienie grzechów, do których go te świny zmuszały i dobry uczynek wart jakiejś prawdziwej nagrody - szybkiego konia, przyjaznych ludzi, szczęścia na granicy. Bóg przecież widzi wszystko, nie tylko jego upadki i grzechy.

Psy wariowały przeczuwając ratunek, a jemu omdlewały zgrabiałe ręce, mocujące się z żelaznym skoblem. Przekłęte zimno. Nie da rady. Jeszcze raz kogoś zawiedzie. Gdzie Łaciaty, nie może się pewno dopchać? Wielki wilczur z wyszczerzonymi kłami miotał się na samym przedzie. Jeszcze nie był zagłodzony, jeszcze nie zabito w nim instynktu walki. Trzeba znaleźć jakieś wyjście. Gdyby miał coś ciężkiego. Jezu, nie wytrzyma wzroku tego wilczura! Spróbował walnąć rękojeścią szpady, raz, drugi. Skobel drgnął jakby, za mało jednak, żeby drzwi puściły. Psy przycichły nagle, a w zgiełku, który zaraz powrócił, pojawił się jakiś nowy, groźniejszy ton. Obejrzał się w stronę bramy - spokój. Nikogo. Uderzył jeszcze raz. Psy cofnęły się, nie przestając ujadać. Nawet wielki wilczur odstąpił od ogrodzenia, z najeżonym grzbietem i obnażonymi dziąsłami, znieruchomiał w głębi. Boją się szpady?

Wyczuł raczej niż usłyszał niebezpieczeństwo. Uchylił się wyćwiczonym ruchem w lewo, ale właśnie z tamtej strony padł cios. Gdyby nie klinga, po której ześlizgnęło się ostrze bagnetu, byłoby już pewnie po nim. Nie miał czasu, żeby się z tego cieszyć - wielkie ciało w śmierdzącym machorką szynelu zważyło się na niego. Psy zaskowyczały, ale prawdziwy skowyt wzbierał i w jego gardle. Nie pozwoli się tak! Niedoczekanie. Ze wszystkich sił starał się odwrócić, ucaić coś, nie dać tamtemu odskoczyć, bo drugiego ciosu bagnetem już nie uniknie. Nie widział napastnika, czuł tylko coraz mocniej jego uchwyt na szyi i napór potężnego cielska. Klinga szpady utkwiała między żelaznymi sztachetami. Wolną rękę wyrzucił do tyłu,

127 pochwycił coś, ścisnął - czapka. Jeszcze raz - trafił, wyrwie mu się tylko z krwawym skal-

pem. Tamten przypierał go jednak do ogrodzenia, próbując równocześnie odwrócić karabin. Bagnet tu już na nic. Kolba, kolba jest potrzebna, żeby zrobić z niego miazgę. Dlaczego? Za co? Co za krwiożerczy szatan na niego napadł. Psom rzuci na pożarcie! Boże, nie zawaha się. Tym samym psom, które on. . . Braciom psom, braciom w krzywdzie i w męce. Czyż nie jest ścigany jak one, trzymany w klatce, skazany na zagładę przez tych samych wrogów. I czyż nie ma zębów i pazurów?

Wściekły warkot wydobył się nagle z głębi gardła Casanovy. Klapnął z całej siły szczęką i zaczął szarpać rękaw napastnika, kąsać go i dziurawić zębami. Krztusił się mechatym suk-nem, śliną i smrodem, ale był coraz bliżej skóry, mięśni, krwi, coraz bliżej bólu. Jeszcze chwila i rozszarpie tę rękę pozbawiającą go oddechu, a pazurami rozorze walącą go rytmicznie czaszkę.

Nie zdążył - kolba karabinu rąbnęła z rozpędu w skobel klatki, udało się draniowi odwrócić broń, Casanova starał się uchylić, ale drugie uderzenie był o już celniejsze. Klinga szpady,

zaparta między żelaznymi prętami ogrodzenia, trzasnęła sucho i złamała się tuż przy rękojeści. Zabije mnie, bracia, rozbije mi głowę kolbą, ten barbarzyńca nie odstąpi zanim mój mózg nie tryśnie na ziemię, nie wystarczą kły i pazury, ani wasz w niebie chyba słyszalny, wrzask! Czarna piana zalewać mu już zaczęła oczy, gdy poderwał się w paroksyzmie wściekłości i grozy, nie będzie tak, nie skończy tu jak najmarniejszy kundel, jeszcze ma parę rzeczy w życiu do zrobienia. Jeszcze się policzy z tą całą bandą, jeszcze. . .

Wyszarpnął kikut szpady w górę i zanim cios kolbą pozbawił go na chwilę przytomności, dźgnął do tyłu, raz, drugi, trzeci. W kark Kuca, w szyję Astafowa, w nalany pysk Repnina. Tak, tak, tak. Sfora poderwała się ze skowytem, skobel puścił i kłęb rozwścieczonych zwierząt wytoczył się z klatki. Zobaczył jeszcze jak wielki wilczur pędzi w ich stronę i przestał widzieć cokolwiek.

Co się dzieje? Coś ciepłego przejechało mu po ręce. Spał? Kto go śmie budzić? Poruszył się i o mało nie upadł. Boże, stoi wczepiony rękami w żelazny płot, dlaczego, gdzie? Jeszcze raz to wilgotne ciepło na dłoni. Łaciaty, znalazł się Łaciaty. Boże święty! Odwrócił się aż ból w karku odezwał się gwałtownie i mocno.

Oprzytomniał natychmiast. Kilka, oszalałych z wściekłości i głodu, bestii szarpało, warcząc i przysiadając na zadach, krwawe szczątki w szarym szynelu. Kilkanaście innych, czujnie węsząc, czekało na swoją kolej.

To nie był sen. I jeszcze nie szaleństwo. Schylił się, choć w głowie pulsowała mu ognista kula i rzucił kamieniem. Posłuchały, jeszcze wiedziały, co to strach. Jego pies zaskomlał niecierpliwie. Ocalił życie. Zabił człowieka. Łaciaty miał rację. Trzeba było uciekać, tu przecież w każdej chwili mogli pojawić się ludzie.

- Kto to? ? Zamarł z woreczkiem w dłoni pełnym tylko do połowy. Idą po niego? Ale nie - szmer był łagodny, jakieś szepty, delikatne obmacywanie ściany przy schodach. Tak się nie przychodzi arestować przestępcy. Po chwili już wiedział. Nie potrzebował nawet mdłego światełka świecy, żeby poznać Etel i Sarę. Skąd się tu wzięły? Przypadek, czy zauważyły, że ktoś jest w piwnicy?

Uklękły obok niego poważne, skupione, szepcząc coś w nieznanym mu języku, może modlitwę. Złapał palcami płomyk, lepiej, żeby przypadek nie wszedł mu teraz w paradę, bo może być to parada już ostatnia. Tamten trup nie był przywidzeniem. Szukają go pewnie. Tylko w ciemności ma takie same szanse jak oni. Światełko zgasło, ale i tak przez chwilę miał wrażenie, że płomienne czupryny dziewczynek wystarczą za świece. Przytuliły się do niego, ob-

128 jęły, zaczęły pochlipywać. Mrok zgęstniał aż do bólu. Boże, skąd one wszystko wiedzą.

Ucieka, zostawia je, ale czy ma jakieś lepsze wyjście? Chyba tylko sznur na szyję. Kartofel rozlaźł mu się w dłoni. Cholera, zaczęły gnić. Już dawno trzeba było przysłać tu Wasyla z piaskiem i słomą. Pal to teraz diabli! Weźmie, ile może. Reszta niech gnije. Co robią? Chcą mu wytrzeć dłoni? O, nie, zbędna fatyga. Już nie jest ich eleganckim panem. Jest zbiegiem, ubranym w łachy z piekła rodem, wojłokowe buty i bezkształtne spodnie Wasyla, w sam raz dobre, żeby rozmazać na nich kartoflaną zgniliznę. Ale ruchliwe paluszki objęły go i tak, szukały cierpliwie wejścia do jego zaciśniętej pięści. Jakież magiczne zaklęcia? Kto jak nie Żydzi wiedzą na ten temat wszystko?

Dopiero, gdy poczuł w dłoni dwa twarde i ciepłe od ich ciał krawki zrozumiał, jak był głupio niedomyślny. Oddawały mu dukaty, którymi je obdarował rano. I jeszcze coś, jakiś papier, może list, napisały do niego list. Co sobie te smarkate wyobrażają. List może zabrać, choć nawet nie przypuszczał, że umieją pisać. Ale pieniądze - zwariowały chyba, nie bierze pieniędzy od kobiet. Stracił może jedwabne spodnie ale nie honor. Kto tu bardziej potrzebuje pomocy. On da sobie radę. On zawsze. . . Nigdy. . .

Wziął. Nie chciał, ale wziął. Rozpuściłyby się całe we łzach. Ale już na górze, gdy pocałował je na pożegnanie zupełnie poważnie - w usta, wsunął któreś z nich - było za ciemno, żeby być pewnym, Sarze czy Etel - do kieszonki fartuszka pierścień z szafirem, który niedawno wydostał z zastawu. Na zdrowie. Im na pewno bardziej się przyda niż jemu. Pierwszy lepszy rabuś ściągnąłby mu go z palca.

Ruszył ostro i przez kilkanaście minut starał się myśleć tylko o tym, żeby nie upaść, nie połamać nóg i nie kłąć za głośno, kiedy był bliski i jednego, i drugiego. Ale gdy zatrzymał się, żeby ominąć z daleka jakieś oświetlone latarniami cienie, z przyjemnością i ciągłym wzruszeniem dotknął kieszeni z dukatami.

Jeszcze coś tam było. A - list od nich. Może sobie wyobrazić te wyznania w koślawej francuszczyźnie. Przeczyta jutro. Daleko stąd, miejmy nadzieję. W jakiejś zapluskwionej kajucie albo zgoła na tratwie z ledwo okorowanych pni. Ale, ale - list był wyraźnie zapieczętowany, mógł to wyczuć nawet przez kieszeń. To coś innego niż myślał. Herbowej pieczęci chyba się jeszcze nie dorobiły. Wyciągnął szybko zmięty papier, ocenił go palcami - drogi. I ten zapach wytworny, salonowy. To na pewno nie był list od dziewczynek. Trzeba być idiotą, żeby coś podobnego pomyśleć. Od Catai? Nie. I pisać nie lubi i zapach za mało suczy. Od brodatego bankiera, że terminy weksli właśnie wygasły? Za gruby na jednozdaniową senten-



cję wyroku. Ano tak - od księcia Sułkowskiego - pół kilo aforyzmów o cnocie jako esencji bytu. Niech się wypcha swoimi mądrościami. Może kiedyś odpowie mu rozprawą o niecnocie, ale teraz musi myśleć nie o tym jak ratować czyjąś duszę, ale jak cało wynieść z tego wszystkiego własny tyłek.

Pieczęć choć wyrazistą, trudno było rozpoznać palcami. Giacomo nie mógł już opanować ciekawości. Może to coś ważnego. Skrzesał na moment ogień. Błysk światła wystarczył, żeby zobaczył pieczęć króla. Rozerwał szybko pakunek. Teraz potrzebował chwili spokoju i trochę więcej światła. Schował się w jakimś zagłębieniu muru i gwizdnął na Łaciatego. Ma go ostrzec, gdyby ktoś się zbliżał. Śmierdziało tu jakoś dziwnie, ale nie miał teraz czasu na szukanie lepszego miejsca. Wparł się więc mocno plecami w mur i przy pełgającym świetle pałacej się wstażki, starał się odcyfrować nerwowe, pospieszne pismo. Czyje? Schylił się, żeby lepiej zobaczyć.

Stanislaus Augustus. Rex Poloniae. List od samego króla. Boże, czyż to możliwe? W takiej chwili. O mało go nie przegapił. Jak te małe idiotki mogły mu nic o tym nie powiedzieć. Król. Król do niego pisze! Ile dni, tygodni, miesięcy, czekał na taki znak.

" Wielce mi drogi panie Casanova " . Czy to możliwe? Nie tylko możliwe, ale prawdziwe. A czemuż by zresztą nie. Czemuż nie " drogi " po tylu podchodach, komplementach, listach z ofertami przyjaźni i interesów dla królewskiego skarbu. Jak nie - " drogi " , skoro bez wielkiej

129 zachęty i żadnej zapłaty zaczął sporządzać dla króla traktat o historii Polski, a drugi, o Wene-

cji, miał już prawie na ukończeniu. " Rozliczne zalety i zdolności " , tak, tak, aha, " doceniając " . . . Dziwne trochę, bo dotąd żaden jego pomysł - ani loteria, ani drut kolczasty, ani spodnie z rozporkiem z przodu, nie zainteresowały króla. Nie mówiąc już o ziemniakach czy manufakturze włókienniczej. Nieważne. Szybko, o co chodzi, bo wstażka zaraz zgaśnie. " Chętnie obejrzymy proponowany przez pana pokaz magnetycznych zdolności człowieka " . No, no, więc to, o co się starał od dawna, zdarzyło mu się właśnie teraz. A raczej ma się zdarzyć, zaraz, niech to świństwo nie gaśnie akurat w tym momencie. " Jutro, po zmroku " . Ano, to już wie.

Schowwał list za pazuchę. Za późno, mój królu. Dzban się przelał. Uciekać mu trzeba, a nie popisywać się na dworskich salonach. Magnetycznych zdolności nie człowieka, ale psa, żeby nie dać się wytropić i samemu wywęszyć niebezpieczeństwo. Choć, z drugiej strony. . . Mógłby pokazać wreszcie, co potrafi Jeremi, zyskać tym sukcesem - bo to musi być sukces - taką

pozycję na dworze o jakiej do tej pory nawet nie śmiał myśleć. A królewski autorytet ochroni go przecież przed prześladowcami.

Jeszcze się nawet nie zawahał, to tylko kuszący cień niepewności przedłużał sekundy odpoczynku. Przyjemnie było oprzeć się o mur i pomarzyć. Gdyby jeszcze nie ten smród. . . Przywrócił go do rzeczywistości Łaciaty, warcząc i nie chcąc podejść bliżej. Zwariował bydlak, czy co? Warczy na królewskiego ulubieńca? Smród mu się nie podoba? Odkąd to stał się taki subtelny?

Strasliwe podejrzenie zburzyło nagle wszystko. Widział już kiedyś Łaciatę w takim stanie. To załamanie muru, ten smród. France piekielne! Poznaje już to miejsce. Stoi, jak stał tamten, zakopany po szyję w gnoju, patrzy jego oczyma, czeka, jak i on czekał - na ocalenie czy koniec? Uciekać, zanim nie zostanie tu na zawsze, zanim nie pojawią się ludzie z łopata- mi pełnymi nawozu i uklepią z niego przylepionego do ściany bałwana, gnijącą kukłę, której żaden król w niczym nie pomoże. Merde! Tylko to go może czekać.

Jeszcze moment przerażenia, gdy kaftan zaczepił o jakiś występ muru, a buty zaczęły się ślizgać po dziwnie miękkiej nierówności i poderwał się do szaleńczego biegu. Pędził przed siebie, niewiele widząc i słysząc, potykając się i padając, padając i wstając, utyłany w błocie i mokry, byle stąd dalej i dalej.

Oprzytomniał przy rogatkach. Nóg nie czuł tylko dlatego, że wyraźniejsze było klucie w płucach. Nawet Łaciaty dyszał głośno i wywalił język ze zmęczenia. No, dobrze, teraz trzeba ruszyć mózgiem, nie nogami. Okazja nadarzyła się sama - wóz pełen grubych kłoców. Casanova przysiadł na stercie, objął kuferek rękami. Woźnica nawet się nie odwrócił. Dostanie parę miedziaków to i do okrycia coś mu pożyczycy.

Uspokajał się powoli. Będzie co będzie. Nie wie nawet dokąd jedzie, ale czy to teraz waż- ne. Odzyskiwał wzrok i słuch. Chłupot błota pod kołami, parskanie koni, ciche skrzywienie belek - to była teraz jego rzeczywistość - nie te parszywe lęki skryte pod sercem. Co za nie- samowita noc. Gwiazdzista i ciepła, choć blade łachy śniegu leżą już na polach wokół drogi. Położył się na wznak, nie zważając na ostre krawędzie sągów.

Odnalazł wzrokiem gwiazdę, której szukał. A więc tu jest pocieszycielka wędrowców - Gwiazda Polarna, wyraźnie jaśniejsza od otoczenia i poprzez to jakby bliższa. Czyli jedzie na północ. Gdańsk. Bardzo proszę, może być Gdańsk.

Już prawie nie czuł niepokoju. Tylko zmęczenie i znowu jakieś niejasne poczucie czyjejs obecności, zbyt nikłe jednak, żeby się nim miał przejąć. Jeśli to te ciekawskie oczy, które śledzą wszystkie jego kroki, nie przepuszczają żadnej słabości ani klęski, jeśli to ten niematerialny ktoś, kto powstał może tylko w jego wyobraźni albo sumieniu i dręczy go swą dociekliwością, o ile nie pogardą, jeśli to więc on - ten skurczony nad kartką papieru brodaty ponu-

- rak - to ma dla niego złe wiadomości. Wszystkiego się wyprze. Zaprzeczy i zada kłam. Powie, że nie pamięta i w ogóle, jak można opowiadać o nim podobne rzeczy . A żeby nie zo-

130 stawiać miejsca niedomówieniom albo oszczerstwu - sam to kiedyś wszystko opisze. Po

swojemu. I tyle będzie jego, ile sam zechce. Tyle przeżyje, ile się zdecyduje opowiedzieć, nie więcej. Jak zechce to wyprze się tego, że tu w ogóle był. Kto to sprawdzi? Mało to oszustów i durniów kręci się po świecie, myląc wszystkich ze wszystkimi. Prawdę zna i nazwie tylko on. I niech sobie potem różni ponurzy brodacze bredzą, co chcą, niech sobie ostrzą do woli pióra na opisach jego zabłoconych spodni i sponiewieranej duszy, niech nie zapominają o popierdywaniu dychawicznych szkap i smrodzie dziegciu, którym pociągnięto belki pod jego plecami.

On, Giacomo Giovanni Casanova, zaprzeczy temu jasno i uroczyście. Opuścił Warszawę królewskim powozem, w asyście honorowej straży, żegnany łzami kobiet, żalem mężczyzn i ulgą rogaczy. Tak będzie, bo tak było. Tak.

Zamknął oczy, a kiedy je znowu otworzył, ktoś świecił mu latarnią prosto w twarz. - Wstać! I odpowiadać jak pytają! Klęczy - dlaczego - w błotnistym rowie, jakieś cienie zbliżają się czujnie i groźnie. Co się dzieje? Spadł z wozu, dał się podejść mordercom czy tylko rabusiom?

- No i co, , znowu zachciało ci się ucieczki, panie Casanova? Poznaje głos, poznaje tę szyderczą gębę oświetloną od dołu trupim światłem. Kuc. Kapitan Kuc. Diabeł Kuc we własnej osobie. Chce coś powiedzieć, ale głos więźnie mu w głębi krtani.

- Nam nie można uciec. . Chce wstać, ale nogi odmawiają posłuszeństwa. - Chyba tylko do grobu.

. Uciszy ten kpiący głos choćby miał zginąć, pchnie szpadą prosto w spróchniałe zęby. Ale zamiast szpady wyciągnął z pochwy zardzewiały kikut o długości kciuka. Jezu, złamał dziś szpadę. I zabił człowieka. Przyszli wyrównać rachunki.

- No, , dobrze, swoją odwagę już nam pan udowodnił. Teraz pora popisać się rozwagą. Twarz Kuca odskoczyła jak balonik pstryknięty palcem. Zamiast niej błysnęły w ciemności mroźne oczy pułkownika Astafowa. A więc są tu wszyscy. Czego chcą od niego? Zrobił, co chcieli, powiedzmy - chciał zrobić. Niech się spytają swojego ambasadora. Tej beki tłuszcz- czu, psiego bohatera, świńskiego ryja.

- Milczeć. . I robić to, co każemy. Jutro masz być na dworze. To twoja życiowa szansa. - A jeśli nie?

? Latarnia wahała się, rozdwoiła, roztroiła swój blask. Otoczyli go ze wszystkich stron, podnieśli z ziemi kopniakami. Chcieli mu wyrwać kuferek, ale trzymał mocno, więc tylko rozpruli ściankę i łapczywie zanurzyli we wnętrzu ręce. Najpierw rąbnął w błoto skowyczący z bólu Łaciaty, a potem, jeden po drugim, toczyły się w dół, pod niecierpliwe nogi, pod czekające buciory prześladowców, jego ukochane kartofle. Barbarzyńcy, nie wiedzą co robią! Stać! Niech raczej jego zabiją. To przecież przyszłość świata, ratunek dla głodnych, nadzieja dla spragnionych, kamień filozoficzny dostępny dla każdego. Nie rozumieją tego, durnie?

Chciał złapać ostatnie sztuki, ale ziemia ruszyła nagle spod stóp, znowu był na wozie, znowu czuł pod stopami grube belki i widział plecy woźnicy zaganiającego konie batem do szaleńczego biegu. Tamci zapadli się w ciemności, jeszcze tylko mrugały chwilami w oddali nikłe światełka, jak oczy wilka, albo jak blask potępieńczych dusz. Co za diabelski pęd. Jakby lecieli - żadnych wstrząsów, szum powietrza tylko rozrywający uszy. Wyciągnął rękę w stronę woźnicy. Dwa kroki jakby nad przepaścią. Dokąd? Dokąd tak pędzi? Powiedział to, choć słów nie słyszał. Nie słyszał też odpowiedzi, więc dotknął pleców tamtego. Dokąd jedziemy? Zrozumiał tylko pierwszą część odpowiedzi. Do Piotrkowa. Drugie słowo było szeleszczącą płataniną spółgłosek, jakąś tajemniczą mieszaniną szu- sza- szo, udającą szept, ale brzmiącą

131 nader złowrogo. Co? Woźnica odkręcił nagle głowę. Spod chłopskiej baranicy łypnęła na

niego rozdarta szeroko w krzyku gęba Kuca. - Do Piotrkowa, , panie.

Ocknął się nagle z tymi słowami w uszach. Nic nie pędziło ani szumiało. Łaciaty tylko ob-  
szcze kiwał od niechcenia konie. Stali w jakiejś szerokiej ulicy. Woźnica mruczał coś po pol-  
sku do kilku oberwańców, z ciekawością zagląających do środka wozu. Casanova podniósł  
się niezdecydowanie. Spał, po prostu zasnął. Gdzie jest? Dojechali do jakiegoś miasta. Do  
Piotrkowa? To nie po drodze do Gdańska. Zupełnie w drugą stronę. Rozejrzał się uważnie. W  
stronę Wiednia. Może być Wiedeń. Więc może być i Piotrków.

Ale to nie był Piotrków. Mimo półmroku zrozumiał to szybko. Znał dobrze tę ulicę, co-  
dziennie kręcił się po niej wiele razy. A gdyby miał jeszcze jakieś wątpliwości, wystarczyło  
spojrzeć w lewo, by dojrzeć blask ogniska straży przed królewskim zamkiem. To była War-  
szawa. Porwali go z powrotem? Chłopak chce dostać nagrodę? Wszystko wokół trwało jed-  
nak sennie i cicho. Woźnica niespiesznie objaśniał coś gapiom. Nie, nie, tak się nie porywa  
groźnych przestępców. Zaczynał pojmować, co się stało. Sam sobie zafundował tę przejażdż-  
kę z powrotem. Pomylił kierunki. Wsiadł do pierwszego lepszego wozu, zamiast sprawdzić  
dokąd jedzie.

Zeskoczył z wozu i ostrożnie - ale bardziej się już bojąc o kuferek niż o życie - podszedł do  
grupki mężczyzn. Woźnica miał młodą, wcale nie przypominającą Kuca, twarz wieśniaka.

- Do Piotrkowa. . Szuszaszo. Nie zrozumiał znowu tego szeleszczącego słowa, więc chłopak  
wskazał biczyskiem ułożo- ne na wozie potężne bele, a potem śmiejąc się do swojej widowni,  
okręcił rzemień wokół szyi i wywalił daleko język. Szubienica. Teraz rozumiał. Przespał się  
na szubienicy. Zmorzyło go na śmiercionośnych słupach. I zdawało mu się, głupiemu, że  
kanty są w nich najdokuczliw- sze, nie zaś możliwość przzerwnięcia sznura. Boże, czemu ze  
mnie szydzisz tak okrutnie. Czemu pomagasz tej zbrodniczej bandzie, a nie mnie? Nic  
przecież złego nie zrobiłem.

Opanował się szybko. Lepiej nie skarżyć się na los. Widocznie tak miało być - zamiast  
ucieczki - wycieczka. Gwizdnął na psa. Witaj w domu, Łaciaty. Chociaż ty masz jakąś ko-  
rzyść z tego parszywego dnia i równie parszywej nocy. Ale - dotknął listu od króla na piersi,  
jakby chciał sprawdzić czy i to nie było przywidzeniem - może nie tylko ty.

.

## CUDA

Więc - tak. Zgoda, proszę bardzo, chętnie, zaszczyt to wielki. Ale i - nie. Pośpiech jest wrogiem prawdziwej sztuki, wykluczone, żeby już jutro obrażać królewski majestat czymś, co jeszcze wymaga kilku dni, tygodnia może, przygotowań, a i środków - bądźmy szczerzy - niemałych. Trzeba ubrać chłopca, pomyśleć o rekwizytach, o małym podeście z kurtynką,

imitującym prawdziwą scenę. Wszystko w najlepszym gatunku i stylu. Niezwykłość nie znosi przecież zwykłości, nieprawdaż?

Wytrzymał bezczelne spojrzenie królewskiego intendenta, ale miał czego chciał. Pięć dni i pięćdziesiąt dukatów. No, mogło być lepiej, choć bywało i gorzej. Ubrał Jeremiego w jedwabny obcisły strój, ale nie był zadowolony z efektu. Nieoczekiwanie grube uda chłopca i jeszcze mniej oczekiwana wydatna męskość, skutecznie odwracały uwagę od uduchowionej twarzy i dziecięcej smukłości torsu. Cóż za dziwadło z tego Jeremiego. Pół chłopiec i pół mężczyzna, a granica zaczyna się pod brzuchem kopcem granicznym tak trywialnie cielesnym, że nie sposób było go pokazać na królewskim dworze. To, co najwyżej, przebrany parobek, a nie tajemniczy mag, nieziemskie zjawisko, nadprzyrodzony duch w ludzkiej skórze. Trzeba odziać go na wschodnią modłę - bufiaste szarawary, turban na głowie z błyszczącym kamieniem. Tak, tak będzie dobrze.

Ale nie było dobrze. Niby wszystko szło jak trzeba - po krótkim, i z dnia na dzień - coraz to krótszym skupieniu, Jeremi brał między palce któryś z przedmiotów leżących na stole - grzebień, cygareto, tabakierkę i po chwili pozwalał mu zawisnąć między rozcapierzonymi dłońmi. Pocił się przy tym i sapał jakby siły, które mu na to pozwalały, brały w ten sposób odwet. Ale - jakkolwiek by to brzmiało dziwnie - nie było w tym widoku niczego nadzwyczajnego. Żadnego misterium, żadnej tajemnicy. Ot, grzebień - cygareto, tabakierka, wiszące w powietrzu. Jak? Właściwie jakoś tak normalnie, zwyczajnie, może nawet - byle jak. W pierwszej chwili Casanova zawstydział się tej myśli. Czyż to nie gruboskórność i świętokradztwo tak obcesowo podchodzić do prawdziwego cudu. Ale znał to dworskie towarzystwo. Cud to musi być cud. To nie może być posapywanie w kącie spoconego parobka. Szarawary choćby i ze złota, turban niechby i wysadzany diamentami, nie wystarczą. Tu trzeba prawdziwego cudu, żeby spostrzegli prawdziwy cud. I on, nikt inny, musi o to zadbać.

Przede wszystkim - nie grzebień, cygareto, tabakierka. No, może na początek, póki mały nie nabierze pewności - tak. Ale później - precz z tym drobiazgiem. Wszystko musi być duże i widoczne z daleka. Srebrny świecznik, złoty talerz, dzbanek na wodę. I nie byle jaki, zaśniedziały truposz - odrzucił naczynie zagapionym w dłonie Jeremiego Sarze i Etel - ale lśniące cacko, olbrzymi klejnot świecący własnym blaskiem i blaskiem misterium, jakie się wokół

niego rozgrywa. Niech się przestaną gapić, a wezmą do czyszczenia. Jak dzbanek, to może i czajnik. Da radę? Żył na skroniach Jeremiego napęczniały, wielkie naczynie z fantazyjnie wygiętym dziobem wahało się jakby zamierzało upaść, ale, gdy chłopiec przybliżył do niego dłoń, czajnik znieruchomiał i tkwił w powietrzu przez kilka sekund, nie przytrzymywany żadną widzialną siłą. W porządku. Tego już nie sposób nie zauważyć. Nawet z końca sali, nawet zza pleców sąsiada. A jak się nie da oczyścić, to pomalują wszystko złotą farbą. Tolskański malarz będzie musiał odstąpić trochę swojego drogiego proszku.

133 Dalej - jeśli jest możliwy ruch, niech go będzie jak najwięcej. Skoro ciężki czajnik opadał

wolno, zanim osadziły go w miejscu zbliżające się dłonie, to może coś lekkiego wzleci do nich w górę. Jezu, bukiet suchych kwiatów frunął na wysokość głowy Jeremiego. Zegarek - wolno, mozolnie jak czas przezeń odmierzony, piął się wzwyż, aż spadł gwałtownie w nadstawioną dłoń Casanovy. Ma dość? Widać, jak jest zmęczony, ale jeszcze tylko chwila. Jeszcze jedna próba. Cygaro. Ale teraz zapalone, z żarzącym się ogi eńkiem i nitką dymu. Widoczne nawet w ciemności. Dobrze. To już jest coś. Każę specjalnie przygasić świece. Srebrny krzyżyk z Chrystusikiem? Świetnie, wspaniale. Łzy pociekły po policzkach Jeremiego, ale krzyżyk stał w powietrzu niewzruszenie, Jezus tracił przytomność z bólu, odkupywały się ludzkie grzechy. Bene! To będzie finał pokazu, mistyczne zwieńczenie wieczoru. Niech i biskupi jękną z zachwytu i przestaną węszyć we wszystkim szatańskie sztuczki. Tylko krzyż musi być solidniejszy. Najlepiej złoty, wysadzany brylantami. Pożycz. Z tym nie będzie tu kłopotu.

Chwalił Jeremiego, klepał go po policzkach, przycinał mu włosy, żeby zmieściły się pod turbanem, ale nie mógł się pozbyć jakiegoś bliżej nieokreślonego niepokoju. Sam mu nie wierzy? Sam nie jest pewien, czy dotyka tajemnicy czy ulega mistyfikacji. Ale o jakiej mistyfikacji może tu być mowa? Czyż nie widział na własne oczy, pięć, dziesięć, dwadzieścia razy, jak zastygają w powietrzu między palcami chłopca najrozmaitsze przedmioty, czyż nie wodził naokoło nich dłońmi, żeby sprawdzić najgłupsze podejrzenia niedowiarków - czy jakieś niewidzialne nitki albo rozciągliwy klej nie tłumaczą całej sprawy - i oprócz delikatnego ciepła nie poczuł niczego.

To brylant prawdziwy. Ale nie w ciemnym zaułku, zza pazuchy, będzie się nim chwalił, ale na królewskim dworze. Żeby zalśnił blaskiem oślepiającym nie tylko głupców, ale i sceptyków, trzeba go jeszcze wspaniale oszlifować. I dać mu odpowiednią oprawę.

W nocy już wiedział, jaką. Przysniła mu się Florencja, zaciek na ścianie, pod którym po- znał dziwnego żebraka- filozofa i jego sztukę. Aż usiadł w pościeli z wrażenia. Albert czy Albrecht? Sięgnął po wino. Wszystko się w życiu przydaje. Nawet znajomość z florenckim żebrakiem, którego imienia nie mógł sobie przypomnieć. Ale to, czego go tamten nauczył, o -

to tak. Zdębieją, jak zobaczą. Zdecydował się. Odstawił butelkę po pierwszym łyku. Sam też pokaże, co potrafi. Musi być od rana w formie. Czasu już zostało niewiele. Dwa dni i tylko jedna noc.

Dziobaty malarz o mało się na niego nie rzucił, kiedy się dowiedział, o co chodzi, ale królewskie polecenie zastopowało i jego. Proszę bardzo, skoro to konieczne. Złotej farby też nie będzie skąpił. Dla króla wszystko. Zawołał dziewczynę jakimś miękkim, nieznanym Casanovie imieniem, a kiedy weszła, rozczochrana, z wielkimi piersiami z trudem spętanymi koszulą, wskazał jej już bez słowa drzwi. Zwariowałem chyba, pomyślał Giacomo, widząc błysk obłądu w oku malarza, zabije mnie, kiedy tylko będzie mógł. Każdy by zabił, mruknął do siebie prowadząc dziewczynę do powozu i zastanawiając się, jak ją trzeba będzie ubrać.

Mniej szczęścia miał z Binetti, ale i ona w końcu musiała się zgodzić. Syczała na niego najwymyślniejszymi przekleństwami, ale nie była tak głupia, żeby odmówić Lili debiutu na dworze, choćby przy tak niecodziennej okazji. Jeszcze pięć dukatów za wynajęcie sali i drugie tyle obiecane krawcom za suknie.

Wnętrze przypominało, co prawda, bardziej stodołę niż salę prób, ale nie było czasu narzekać. Zgromadził wszystkich przed sobą, porozdzielał role. Jeremi to jedno, on z dziewczętami - drugie. Kolejność ustali w ostatniej chwili. W obu wypadkach mają właściwie do zademonstrowania to samo - tryumf ducha nad materią, nowe możliwości tkwiące w ludzkiej naturze, z pogranicza sztuki i cudów. Najpierw Jeremi. Zmęczony jakiś, jakby nieprzytomny. Ale strój na nim dobrze leży, niech się tylko wyprostuje, nie garbi tak beznadziejnie, bo bardziej wtedy

134 przypomina przestraszonego uczniaka niż potężnego maga. Nie rozumie co się do niego mó-

wi? Racja, nie rozumie przecież po francusku. Chyba tylko Lili. . . Nieważne. Co będzie trzeba - zrozumiem. . Sam im wszystko pokaże. Nie tylko Jeremiemu da szansę, sobie też. Zaraz się o tym przekonają.

Wasył z krzesłem na plecach czekał na ten znak. Już. Postawił z hukiem mebel na środku sali. Swoją drogą i tego osiłka warto będzie wykorzystać. Niech asystuje Jeremiemu, tak. I to nie sam, najlepiej z Lili, ktoś przecież musi podawać chłopcu rekwizyty. Niewinność i występki, piękna i bestia. Dobrze, to zrobi wrażenie. Dotknął ramienia dziewczyny Toskańczyka.



- Jak ci na imię? ? Przebrana w strój pasterki wyglądała wystarczająco ponętnie, żeby budzić zainteresowanie, a jednocześnie na tyle skromnie, by ją można było pokazać w towarzystwie. Ale oczy na niego patrzyły krowie.

- Paula. . Wybawiła ją z kłopotu Sara. Boże, Paula, Pauline, los jest szyderczy, żeby obdarzać imieniem jego londyńskiej miłości tę prostą dziewczkę. Ale czyż to nie dobry znak? Popchnął lekko Paulę w stronę krzesła. Niech siada. Siadła. O, tak. O to mu chodziło. Te rozstawione szeroko łody, ten zad rozpierający spódnice i piersi, wyrywające się z bluzki. . . Nikt nie pomyśli, że łatwo ją będzie ruszyć z miejsca. A co dopiero unieść w górę samymi palcami.

Pokazał dziewczynkom, co mają robić. Nie było to skomplikowane, ale i tak patrzyły na niego jak na cudotwórcę. Skrzyżować wskazujące palce, podejść zgodnym rytmem do siedzącej Pauli i unieść ją jednym wspólnym ruchem w górę. Sara i Etel z przodu, biorą Paulę pod kolana, on i Lili z tyłu, pod pachy. Zaraz spróbują jak to pójdzie. Wcale nie poszło. Paula kolebnęła się w przód, majtnęła nogami ciągniętymi w górę przez ambitne dziewczynki, ale ani o centymetr nie uniosła się z miejsca. On to wiedział, ale one wyraźnie się zmartwiły. Bene. Niech zwątpią, to ich późniejsza wiara będzie tym mocniejsza. Bez trudu przekonał je, a potem przekona królewską publiczność, że cudu by trzeba, żeby zmusić to rozwalone w krzesle cielsko do lotu. I on, Casanova, da im ten cud.

Niech się skupią wokół niego, przestaną szeptać i pociągać nosami. Wyrzuci przed siebie rękę, czy to widzą, tę dłoń do nich skierowaną, magnetyczną siłą przyciągającą ich dłonie, czy czują, zaproszenie do połączenia wszystkich duchowych i fizycznych mocy, czy to wiedzą? Już widzą, ale jeszcze nie czują i nie wiedzą. Więc cierpliwie nakłada ich dłonie na swoją, syka na Paulę, próbującą zobaczyć, co oni tam robią za jej plecami, a wreszcie nakłada z góry drugą dłoń. Nieruchomieją wpatrzeni jak na komendę w jeden punkt - w pierścień z szafirem na jego palcu.

Skupić wszystkie siły, myśleć tylko o czekającym ich zadaniu. To najważniejsze. Ta niezwykła chwila przemieni ich w uduchowionych siłaczy. Wierzył w to i jakąś cząstką świadomości - nie wierzył. Jak w sen. Bo też i było coś z sennej nierzeczywistości w tym, co go teraz wypełniało. Nie tylko niedowierzenie. Przede wszystkim bolesny niepokój przed tym, co nastąpi, lęk nie przed kompromitacją, ale wprost przed śmiercią. Jakby nie dźwignąć miał z nimi rozłożystą Paulę, ale skoczyć w bezkresną, lodowatą przepaść. Przeżył to już od czasu Florencji wielokrotnie, ale każdy raz był pierwszy. Dlatego nie lubił się chwalić tą umiejętnością, w pozornie błahej zabawie można sobie bowiem zrobić krzywdę i to najgorszą z możliwych. Czuł to przy każdej próbie, toteż decydował się na nie tylko wtedy, kiedy i tak stał już nad przepaścią.

Czy one czują to samo? Muszą, bo inaczej nic się nie uda. Wibrowało w nim wszystko, sterta dłoni ciążyła jak ołów, gdy wreszcie mógł zadecydować półgłosem:

- Już! ! Tym razem to był jeden rytm, jeden harmonijny ruch, skrzyżowane palce trafiły, gdzie trzeba, cielsko dziewczyny zakołysało się opornie jakby pięć Pauli usiadło naraz na tej jednej, ale

135 ułkucie zwątpienia trwało tylko ułamek sekundy, ciężar zniknął nagle i kłocowate nogi, potężny

zadek i piersi jak bochny, poszybowały, prawie bez wysiłku, wysoko w górę. Molto bene! Dziewczynki pisnęły z zachwytu i, nie zważając na Paulę, kończącą swój lot na podłodze, rzuciły się ścisnąć Casanovę i błagać go o następną próbę. Udało się. Żyj! Będzie dobrze. Kolejny raz umknie znad przepaści. A przecież to tylko pierwsze podejście. Jeszcze poćwiczą, poćwiczą - mają dzień i noc przed sobą, jeszcze zmuszą Paulę do fruwania. Oniemieją dworskie pawie i papugi, wprost oniemieją na ten widok. Objął Jeremiego, nieśmiało przysuwającego się do nich.

- Widzisz - i ty możesz się czegoś ode mnie nauczyć. Niedługo byli sami. Najpierw zajrzeli dwaj aktorzy z teatru. Zniknęli zanim zdołał ich przegonić, ale to oni z pewnością ściągnęli hałaśliwą resztę. Casanova zeszytniał nieco na widok Catai w czułej komitywie z Branickim, ale ostatecznie on nie ma już z nią niczego wspólnego. Niech się raczej martwi Binetti, sztucznie ożywiona, pozwalająca się adorować jakiemuś młodemu fircykowi. Reszty nie znał, ale bez trudu można się było domyśleć kim byli, a jeszcze łatwiej - kim chcieliby być. Ryknęło całe towarzystwo na widok jego grupki i dalejże wchodzić, podchodzić z przodu i zachodzić z tyłu, tykać go, dotykać, a i podtykać ręce do całowania, a pytać, a wypytywać, co, jak, i po co. Już myślał, że nic gorszego go nie spotka, gdy drzwi rozleciały się z hukiem na boki i na rżącym ze strachu koniu wpadł do sali książę Pepi z równie pijanym kompanem w oficerskim mundurze. Oficer zsunął się, a właściwie spadł z siodła i wdał się natychmiast w szarpaninę z aktorami, książę zaś rzuciwszy cugle fircykowi Binetti, podszedł do Casanovy.

- Koń, , rozumie pan, poniósł. Bratanek króla, pomyślał, taka posada pozwala na wszystko. Uśmiechnął się więc tylko mile, prosimy bardzo, zapraszamy. Najchętniej wsadziłby opojom petardy w tyłek, takie, ja- kimi w dzieciństwie nadziewali przed Bożym Narodzeniem króliki i wystrzelił ich daleko stąd, ale nie pora była na podobne zachcianki. Bratanek króla. To jakby sam król.

- Nie kłam, Pepi. To klacz, nie koń. Mam ci to udowodnić? Oficer zaczął się wrywać trzymającym go aktorom. Branicki stęzał na twarzy z wściekłości.

- Panowie, spokoj. Tu są damy. - Gdzie, gdzie? - zarechotał oficer i zaczął błazeńsko przewracać oczami i rozglądać się ostentacyjnie wokół. - Nie widzę.

. Książę Pepi próbował powiedzieć coś mitygującego, ale rechoł tamtego bez trudu zgasił jego niemrawy bełkot. Przeżona klacz szarpnęła firecykiem aż poleciał na ścianę, a kiedy w przyływie desperackiej odwagi chlasnął ją cugłami po pysku, strzeliła spod ogona jak z armaty, a raczej jak z baterii armat odpalanej jedna po drugiej. To już była katastrofa. Zabije księcia, pomyślał Casanova, widząc jak ciemne plamy na twarzy Branickiego sinieją coraz bardziej, zwiastując nieuchronne nieszczęście. Boże, księciobójstwo, to przecież prawie królobójstwo. Wina spadnie na wszystkich, którzy przy tym będą. I ich nie ominie kara. Chciał coś zrobić, powstrzymać nadciągające wypadki, ale nie bardzo wiedział, jak się do tego zabrać.

- No, no, no, coraz piękniej. Na słówko, książę. . . Nie zabije, chwała Bogu, w gębę tylko wytnie smarkacza, albo zruż od ostatnich. Branicki wsadził ręce za pas i ryknął głośniejszym głosem niż przed chwilą książęca klacz:

- W tył zwrot! ! I już was tu nie ma! Jezu! Książę zabije za takie słowa, krew się poleje hrabiowska, zrozumiał Giacomo, obserwując jak uśmiech tęższe na ustach księcia Pepi w nieodgadniony grymas. Mokra plama zostanie po Branickim. Strzeli mu w łeb z pistoletu, albo rozłupie szablą. Toż to książę, pra-

136 wie król, nie da się tak traktować nikomu. Te palce sunące po guzikach munduru w dół już

kogoś dusiły, miażdżyły, ścierały na proch. Zaraz dotrą do szabli i nic nie zatrzyma przeznaczenia. Chciał się rzucić pomiędzy nich, zepsują mu wszystko, tu kryminałem pachnie, a nie występem na dworze - ale nie potrafi zrobić kroku.

Sekunda ciszy trwała jak wieczność. Grymas na ustach księcia stał się znowu uśmiechem, mętym jakoś, nieszczerym, ale uśmiechem.

- Ja . . . Matko Przenajświętsza, dzięki ci za pomoc! Nie zabije! Zbeszta tylko, pogrozi królewskim trybunałem, może i w pysk strzeli, ale czyż krew z nosa to prawdziwa krew, wspomnieć na- wet nie będzie warto.

- Przepraszam. . . . Sen to czy jawa? Pięść rozprostowała się wzdłuż lampasów, stuknęły obcasy, książę zasa- lutował komediancko omal się przy tym nie wywracając i zagarnął ramieniem, rwącego się do bitki kompana. Zanim się jednak odwrócił, zanim zrobił nakazany przez Branickiego " w tył zwrot " , spojrział nieoczekiwanie trzeźwo w twarz Casanovy i jakby uchyliwszy na moment maskę, mrugnął do niego porozumiewawczo.

Gdy tylko drzwi zamknęły się za nimi, świta Branickiego zaczęła bić brawo i wiwatować. Skądś znalazł się szampan, kieliszki. Sam się napił, żeby pokryć zmieszanie. Catai wyraźnie unikała jego wzroku. Może i dobrze. Niczego mądrego nie można chyba teraz wyczytać na jego gębie. Koński smród i prostackie wiwaty. Jego stadko pod ścianą, przestraszone, niezdolne już prawie do niczego. Przy Lili Binetti, kwocząca jak matka czy rajfurka? A może i jedno, i drugie. I ten czerwony z zadowolenia indor na środku sali, przyjmujący hołdy lekkim skinieniem głowy. Majestatyczny, piękny i dobry. Prawdziwy pan z panów, hrabia z hrabiów, samiec nad samce. W niego, nie w Casanowę, wpatrzone są teraz oczy wszystkich kobiet, tamtemu obiecuje ognistym piruetem Catai to, czego skąpiła jemu. Do diabła, zaczynam za- zdrościć byle durniowi, pomyślał i kazał Wasylowi iść po krzesła. Pora była pokazać, co po- trafia. I niech przyniesie kilka wiader trocin. Błoto pod nogami nie sprzyja koncentracji.

Ale i trociny nie sprzyjały. Opóźniał jak mógł prawdziwe próby, gadał, objaśniał istotę rzeczy i jej marginesy, próbował skupić na nowo onieśmielone dziewczynki, ale czuł, że to daremny trud. Nie było już tak jak przedtem. Paula znowu zaciążyła im w rękach, klapnęła tyłkiem o podłogę. Ktoś się zaśmiał, uciszony przez damskie głosy, ale gdy w drugiej próbie udało im się tylko wywrócić krzesło, nie było już komu uciszać wesołków. Merde. Najchę- niej wściekłyby się na swoje przerażone pomocnice, ale dobrze wi edział, że to nie ich wina. Wszystko przez niego samego. Nie potrafił się skupić, zaczarować, jak wcześniej, ich woli. Bezkształtny galimatias wypełniał głowę - czego chciał książę Pepi, Jeremiego im nie pokaże przed jutrem, a jakby uciec przez Litwę, w tamtych stronach nikt by go nie szukał, tak, nikt prócz wilków, musi kupić szpadę, dopilnować Wasyla, żeby buty wyczyścił nowym smaro- widłem, któraś z nich ma spocone dłonie. . . To nie były myśli zdolne unieść w powietrze co- kolwiek, a cóż dopiero taki wór cielesności jak Paula. I jeszcze drwiące spojrzenia osmalające plecy, gdy się tylko odwrócił. I coraz głośniejsze pomruki Branickiego, rozwalonego w fotelu jak pięciu hrabiów, dwóch książąt i co najmniej jeden król naraz.

Do pioruna, on więdnie, a tamten się rozrasta z chwili na chwilę, on omdlewa z bezsilno- ści, a tamten puchnie od pewności siebie. Tak nie może być. Nie może być, że tu coś gaśnie, bo tam tryska zdrowiem, tu jest małe, bo tam coraz większe. Cóż to? Jemu, pierwszemu ko-

gutowi Europy sflaczeje, a temu prostackiemu hrabiemu będzie tryumfalnie stał? Niedoczekanie. Coś musi zaraz zrobić.

Odprawił Paulę, niech poczekają z Jeremim na lepszą chwilę. Zaprosił na krzesło Binetti. Kastrowała go wzrokiem, ale dla Lili była gotowa na wszystko, gdyby mogła, sama frunęłaby do sufitu. Poszło lepiej, choć to nie lot był jeszcze, a powolne wznoszenie. Ale dla tamtego to nic - buczał dalej jak bąk w kieliszku. No to teraz grubego aktora z cygarem. O mało się nim

137 nie udławił, gdy poleciał w górę. Dalej nic - śmiech obraźliwy, choć bez adresata. Dobrze -

zobaczymy, kto ten śmiech zaraz połknie. Catai. Ten pomysł może go drogo kosztować, ale trudno. Tania to ona nie jest. Iść? Musi spytać o zdanie swojego pana i władcę, ale on dzisiaj łaskawy w swej tryumfującej wielkości - niech idzie, niech ten nieszczęsny kuglarz nie czuje się bardziej ośmieszony niż już jest. Więc idzie, siada i napięta cała z ciekawości i lekkiego niepokoju - czeka. A on zabiera się do niej jakby miał ją nadzieć na oczach wszystkich, a nie unieść z krzesła. Dziwka. Niech się nie odwraca, bo zobaczy za dużo. Na przykład błysk szaleństwa w jego wzroku. Niech siedzi, nie rusza się, czeka na niego. Zaraz do niej przyjdzie, zrobi co trzeba. Choć na kilka sekund będzie miał władzę nad tym wspaniałym ciałem, uniesie jej nogi, rozbuja piersi i pośladki. Na oczach tego ziewającego knura wsadzi jej pod pachę nie dwa palce, ale pięć, dziesięć, może nawet jedenaście.

Zebrał dziewczynki jednym gestem. Odżyło w nim wszystko, ustał bełkot w głowie i drżenie rąk. Jak marmurowy blat przyjęła wyciągnięta dłoń ich ciepłe spocone łapki. Lili była pierwsza, a gdy przygniótł wszystko z góry wiekiem drugiej ręki - ostatnia. Wyraźnie go kolkietuje, smarkula. Zauważył to nie bez przyjemności, ale teraz czas był nie na przyjemność, a na bolesne skupienie. Przymknął oczy. Z ciemności pod powiekami wyłoniła się inna ciemność - ostro pachnąca, szorstka w dotyku, skrywająca w sobie ognistą przepaść - wspólne wejście do nieba i piekła. Będzie ją miał. Jak tylko zechce.

Ruszyli i chyba rzeczywiście nie dwa palce jej wsadził w gorącą pachę, a pięć, dziesięć, może nawet wszystkie jedenaście, pewnie nawet nie poprzestał na palcach, a barkiem sobie pomógł, podparł głowę, a kto wie czy i nie kolanem, bo Catai bujnęła się z miejsca dziwnie skrzywiona, gwałtownie wywyższona z jego strony i ospale się wznosząca z drugiej. Jeszcze więc lecąc w górę, zaczęła opadać; celując jednym barkiem w górę, drugim wytyczała drogę w dół. I byłaby grzmotnęła boleśnie o ziemię, bo dziewczynki odskoczyły nagle - gdyby Giacomo nie złapał jej w ostatniej chwili. Ugięły się pod nim kolana, a zęby poznały kształt łokcia, ale nie puścił swojej zdobyczy.

To już było coś. Choć jeszcze nie to, co zamierzał osiągnąć. Klapnęły pojedyncze oklaski. Nie wypuszczając Catai z objęć, skłonił głowę tak energicznie, że trafił nosem w jej prawie odśloniętą i pachnącą jak tamta diabelska przepaść - pierś. Szarpnęła się jakby ją polał święconą wodą. Komediantka. Jeszcze wczoraj namawiała go na schadzki i przyjemności cokolwiek mniej niewinne. Co go dziwi? Ktoś zakaszlał głośno, a może sztucznie, ostrzegawczo się zaśmiał. Wiedział kto. I ona wiedziała zanim jeszcze jakikolwiek dźwięk wydostał się z gardła Branickiego.

- Puszczaj! ! Ten syk miał w sobie siłę trucizny. Postawił dziewczynę na podłodze i z przyklejonym do ust uśmiechem patrzył jak podbiega do hrabiego, jak się przytula, udając przestach. Byle tylko oswoić nadętą minę swojego pana i władcy. Dziwka. Ale w czym jest od niej lepszy? I on musi zabiegać o tego człowieka, bo i jemu Branicki zagraża. Czuł to teraz wyraźnie. Jeśli nie zdoła mu wepchnąć z powrotem szyderczego śmiechu w gardło, jeśli nie zderze z gęby pogardliwej miny, niczego nie uda mu się zrobić. Ani dziś, ani jutro na dworze. Nie będzie się mógł skupić, zepsuje wszystko. Zostanie mu tylko trzask walących o podłogę pośladek i wstyd piekący jak wyrok. To nie były żarty. W każdym razie nie dla niego. Trzeba było ru- szyć śladem Catai.

- Pozwoli teraz pan, hrabio? Hrabia nie pozwolił, bo jakżeż on, hrabia miał pozwolić na coś podobnego skoro jest hrabią. Ale też zaraz i trochę pozwolił, nie przestając być hrabią, bo jakżeż hrabia może całkiem odmówić prośbom i miłosnym prawie namowom dam, a i wiwatom panów. Więc trochę pozwolił, ale też nie całkiem. Bo jak może całkiem, skoro nie wiadomo, co to wszystko ma być, czy nie błazenada jaka, a raczej, co gorsze, wiadomo, że błazenada. Ale znowu - te minki

138 przypoehlbne, te prośby, te brawa rzesiste. Czegóz to on, hrabia, który książętom nosa ucie-

ra, ma się bać? Niczego mu przecież nie ubędzie. - No, , dobrze, niech będzie. A więc miał go już przed sobą, a nawet i pod sobą, bo Branicki w krzesle zmalął jakoś, skurczył się, przestał hałasować. Nie od razu jednak. Bo najpierw popisował się jeszcze trochę swobodą, wiercił, prycał, burczał coś pod nosem i miną dystansował się do całej sytuacji, a zwrócony twarzą do towarzystwa i ich peszył, i dystansował. Tak nie mogło być.

Jeśli jego nie opanuje, to i ich nie opanuje i nikogo. Ani teraz, ani potem, ani w ogóle. Ośmieszysz się tylko, straci życiową szansę. O ile nie coś więcej.

Casanova przeprosił więc uprzejmie, musi coś poprawić, a gdy Branicki uniósł się, lekko zdziwiony - przestawił krzesło bokiem. Na zupełnie odwrócenie tyłem nie miał jeszcze śmiałości. Ale i tak - przestanie mu bęwał płoszyć publiczność.

. Mógł już zacząć działać. Najpierw dla tych speszonych i zdystansowanych uczynił nad głową Branickiego kilka idiotycznych gestów godnych domorosłego zaklinacza węży. Bzdura i obraza dla jego intelektu, ale czyż nie trzeba najpierw odczynić uroku i przypomnieć im wszystkim, kto tu panuje nad sytuacją.

Tak. Kark byczy, ale głowa foremna, nieduża, jakby z innego ciała. Walnąć raczej czymś ciężkim niż dusić. Ale te czerwone znamiona na skórze, prześwitujące nawet przez włosy! A fe, dorosły mężczyzna oszepecony jak niedorostek. No, nie - krostowaty hrabia. Pogromca książąt obsypany trądzikiem. To może on nie hrabia, a hrabiątko, chłopiec - nie chłop, a jakże - cielak nie byk!

! Biedna Catai, wpuszczać coś takiego między nogi, coś takiego byle jakiego, niewyrośniętego, a małego i lekkiego jak piórko. Tak, lekkiego jak piórko. Wyrwie z niej bez trudu tego skarłatego pyszałka, wyrzuci go jak spętanego gołębia w górę i pozwoli latać. Na Boga, zrobi to, powali ich wszystkich na kolana. Niech widzą, z kogo naprawdę warto się śmiać. Zrobi to. Czuje w sobie przecież siłę zdolną przenosić nie szpetnych niedorostków, a góry, doliny, świat cały. I one to czują. I Sara, i Etel, i Lili, słodka Lili. Skupione, reagujące natychmiast na każde jego skinienie. Nie zagapia się, nie zgubią rytmu. Będą wreszcie jednym ciałem o czterech parach rąk. Hinduskim bóstwem, budzącym podziw i grozę. Cóż może Branicki przeciw nim? Poleci pod sufit zanim zdąży kwiknąć ze strachu, dalej, będzie chciał lecieć dalej, wyróżnie tym krostowatym łbem w belkę stropu i z rozwaloną czaszką runie do ich stóp. Niech tak będzie. Zapłaci za Catai. Nie inaczej. Tak.

Ruszyli szybko, zgodnie i już ich palce jak szpony zagłębiały się pod pachy i pod kolana Branickiego, już tylko sekundy, ułamki sekund dzieliły go od wylotu - gdy hrabia szarpnął się do przodu, o mało nie przewracając Sary i Etel.

- A dajcież wy mi święty spokój! ! I jak stanął, tak już nie siadł, nie zatrzymał się nawet, zagarnął swoich po drodze i bez słowa wytłumaczenia czy choćby tylko pożegnania, skierował orszak do drzwi. Casanova z trudem opanował gniew. Wsparł się jedną ręką o oparcie krzesła, drugą o ramię Lili. Nienawidził teraz Branickiego nie tylko za to, co przed chwilą zrobił i za Catai, ale za wszystkie grzechy świata, za wszystkich skrzywdzonych i poniżonych, za swoje i nie swoje biedy. Gdybyż miał teraz pod palcami chropowatą rękojeść noża i pulsującą grdykę tamtego, nie wahałby się wcale. Ale ta ulga nie była mu dana. Mógł tylko wczepić się mocno w szorstki aksamit oparcia i delikatnie, pieszczośliwie prawie - w gładki aksamit dziewczęcej skóry.

. - Zostaw ją w spokoju. . Ile razy mam ci to mówić. Nie gwałtowność ruchów Binetti, jej dziwaczne nawet w tym gronie nieopanowanie, ale błysk prawdziwego szaleństwa w oczach, upewnił go w dotychczasowych podejrzeniach. Lili. Jego Lili.

- Ani myślę. . I ona nie wahałaby się, gdyby miała teraz coś ostrego w ręku. To już nie była kochanka, której wszystkie zakamarki ciała znał na pamięć od lat, to już nawet nie była kobieta, godna w

139 starciu specjalnych względów - to był przeciwnik, bezwzględny i zdolny do wszystkiego. Ale

i on był gotów do walki. Co sobie to babsko wyobraża. Że może mu czegośkolwiek zabronić. W imię czego? Pomogła mu kilka razy w życiu. Ale czyż nie odplacił jej po wielokroć. Nie był wobec niej lojalny, czuły, nie sprzyjał jej intrygom? Więc czego chce teraz? Upokorzyć go bez przyczyny? Niech spróbuje! Odgryzie jej jęzor, jeśli będzie mleć za dużo.

- Ostrzegam cię, , żebyś nie próbował swoich sztuczek. - Nie widzę powodu.

. Wyczuła gotujący się w nim wybuch, opuścił ją nagle początkowy impet. Popchnęła lekko w stronę drzwi przestraszona i zawstydzona Lili.

- Jest powód, , Giacomo. Jasne, wreszcie trzeba będzie się przyznać. Wolalby teraz zmilczeć, zmusić ją do mówienia samą, ale, a nuż minie sposobna chwila i znowu niczego się nie dowie. Naprawdę chce się dowiedzieć, rzeczywiście chce potwierdzenia tego, co i tak wie? Chce.

- Słucham. . Nie powie. Już znowu go nienawidzi. - Czy ten powód jest twój czy może. . . . nasz wspólny? - Nasz.

. Wyrzuciła to z siebie gwałtownie, ale bez ulgi. A gdy zaczął okrągłe zdanie, w którym obok subtelnej pretensji o zatajenie przed nim faktów, miała się znaleźć wzniosła apoteoza jej



wspaniałej troski o tak piękny owoc ich miłości - przerwała mu. To nie wszystko. Chciałaby, prosi go, jednym słowem, niech wszystko będzie tak jak jest. Lili nie jest przygotowana na poznanie ojca. I wiele innych powodów. . . On musi to zrozumieć. Musi. Trudno, tak się ułożyło życie.

Przełknął urazę łatwiej niżby się do tego komukolwiek przyznał. Nikt ich jednak nie słyszał ani nie obserwował, przed nią zaś nie musiał udawać. Przykro mu - gdzież to musiało być, w Paryżu czy może w Hamburgu, a może tak celnie trafił w tarczę w tym fatalnym Stuttgartu, po tym jak wyrwała go z więzienia. Cierpi bardzo z tego powodu - skąd ma wiedzieć gdzie, skoro nie wie kiedy - serce mu krwawi, ale jeśli jej matczyne serce mówi, że tak trzeba - zgoda. Niech będzie tak jak chce ona. Objął ją delikatnie. Drobnej próby jednak sobie nie odmówi.

- Kiedy to było? ? - Czy to ważne?

? - Ważne. . Choćby dla Lili. - Jej wystarczy to, , co jej powiem. Boże mój, pomyślał, musiałem ją mocno zranić, skoro przez tyle lat ukrywała wszystko. Ale do niedawna umiała ukryć i tę urazę. I to tak doskonale, że ostatnio trzeba mu było się nawet nieco kryć przed jej zapałami.

- W Paryżu? ? Milczała, ale na jej twarzy pojawiło się coś na kształt uśmiechu. Jakby już ją mierziło udawanie srogości i chciała wrócić do zwykłej między nimi komitywy. Widocznie nie wszystko było okropne w tych wspomnieniach. Kochali się jak wariaci po całych dniach i nocach, rozstawali, spotykali po latach, znowu brali za siebie, znowu rozłączali. . . Czyż tu, w Warszawie było inaczej? Jest inaczej, ale to przecież tylko chwilowe nieporozumienie, nic więcej. Catai? Ale czy to jego wina? Sama go przecież na tamtą namawiała.

- Wszystko możemy sobie jeszcze wynagrodzić. . Zarumieniona od emocji, gniewna, ale już skłonna złagodnieć, wydała mu się ponętna jak nigdy. Mogą tu zostać, sala jest przecież wynajęta do jutra. A za scenką jest całkiem przytulna skrytka. Zaraz pozbędzie się wszystkich. I tak właściwie jest już po próbie. Ale jeszcze nic z tego. Wahala się najwyraźniej. Za wcześnie uznał się za zwycięzcę. O co chodzi? Ciągle mu

140 nie dowierza. Cóż to, ma go za głupca? Nie chce, żeby był ojcem Lili, to nie będzie, zna parę

ciekawszych zajęć w życiu, a poza tym nie zwykł pchać się tam, gdzie go nie chcą. - Dobrze. .  
Będzie jak dotąd. Tamtej sprawy po prostu nie ma. No, jest już lepiej. Binetti odetchnęła  
wyraźnie, a on ścisnął ją mocno za rękę. Skoro tylko o to szło. . . Mógłby się do niej zabrać  
nawet tutaj, na podłodze, na tych wilgotnych trocinach, czy to nie będzie podniecające?  
Dmuchał jej w ucho najbardziej uwodzicielskim szeptem:

- Nie myślisz chyba, że to mój debiut w roli dyskretnego ojca. I kres możliwości? Nie na  
takie słowa uspokojenia czekała. Strzelił kulą w płot. Wyrwała rękę z jego dłoni, sapnęła  
wściekle i okręciwszy się na pięcie, popędziła gwałtownie niczym klacz księcia Pepi do  
drzwi. Aż prysnęły w górę mokre wiórki, na które miał ją rzucić. Ale nie rzucił. O, święta  
hipokryzjo! Bez zakłęb o wierności nigdy się nie obejdziesz. Nigdy i nigdzie. Pewnie nawet w  
burdelu. Merde, może się wszystkiego odechcieć.

Ale nie odechciało się. Przeciwnie - czuł w sobie nieoczekiwaną i nadszpiewaną siłę.  
Zwolnił prawie wszystkich. Niech odpoczną porządnie przed jutrem. On jeszcze trochę po-  
pracuje. On i - zatrzymał ją już w drzwiach - Paula.

. Nigdy dotąd tego nie próbował, ale wiedział, że i coś takiego jest możliwe. Ten florencki  
łazik, który w podłej knajpie nad brzegiem Arno, pokazywał mu, dla pijackiego kaprysu albo  
nadziei zapłaty, swoje niezwykle możliwości, był nad ranem prawie nieprzytomny i mógł już  
tylko bezsilnie bełkotać na ten temat. Raz spróbował i nie była to próba udana. Ale teraz on,  
Casanova, przelotny uczeń, czuje się na siłach, żeby zrobić to, czego dotąd nie próbował na-  
wet próbować. Nic przecież dzisiaj nie było niemożliwe. Bo w rzeczy samej - jeśli koncen-  
tracja tak podwajała siły człowieka, że nawet wątle panienki mogły unieść na palcach kogo  
chciały, to czemu i on sam nie miałby spróbować unieść kogo chce. Sam.

Paula obejrzała się niepewnie. I na jej grubo wyrzeźbionej twarzy znać było zmęczenie.  
Czego chce od niej? Na wszelki wypadek uśmiechnęła się przyzwalająco. Co sobie, krowa,  
wyobraża? Wiadomo. Że jak rzucił przed nią swój płaszcz, to po to niechybnie, żeby na nim  
rozłożyła nogi. Nie wie, prostaczka, co to naukowy eksperyment? Zaraz się dowie. Tylko  
niech kucnie i stara się nie ruszać. Da jej znak, kiedy będzie gotów.

Też tak wtedy kucnął, podpierając piętami pośladki. Tylko pod stopami miał nie wełniany  
pled, a brudny nadbrzeżny piasek. Był zawiany i półżywy ze zmęczenia całonocnym pićciem.  
Wysłuchiwał nawiedzonego bełkotu tamtego z zachłannością młodości, która niczego nie  
chce sobie odmówić. Ta odrażająca choć piękna pewnie kiedyś gęba, słowa, z których połowę  
tylko rozumiał i palce wyczarowujące całe światy mimo podeszłych brudem paznokci - od-  
rzucały go i przyciągały zarazem. Chciało mu się już spać, ale jakże dla snu poświęcić osta-  
teczne wtajemniczenie. Ile to lat temu? Piętnaście, dwadzieścia? Więcej. Sam nie miał dwu-

dziestu. Boże. Tak dawno. A jakby wczoraj. Nie wczoraj - dzisiaj. Tylko, że dzisiaj niczego nie pił.

Dobrze. Już można spróbować. Trzy spokojne, ale zdecydowane kroki, niech uniesie się trochę, żeby mógł usadowić palce pod jej kolanami i dalej już jednym ruchem - bez bólu w kręgosłupie, bez strzykania w kościach - w górę. Ale jak w górę skoro ręce zaplątały się w spódnice i nie mogły trafić na właściwe miejsce. Niech to zdejmie zaraz. Szybciej, bo czas ucieka. Zdjęła i ułożyła spódnice starannie na kocu. I on zdjął wtedy, ponaglany pomrukami niezadowolenia, płaszcz i ułożył go starannie na piachu. Co teraz?

W samej koszuli wyglądała ulegle i pociągająco, tak jak i on musiał wtedy w samej koszuli wyglądać ulegle i pociągająco. Z pochyloną głową, z szyją odsłoniętą pokornie - czekała. Tak i on czekał.

Jaki ten kark niespodziewanie delikatny, pokryty ledwie widocznym meszkiem, jakie ciepło od niego bije. Trafił ustami na odsłoniętą skórę, pachnącą potem i tanim siarczanym my-

141 dłem. Natarł energicznie na to czekające cudu ciało, wsparł się pierśią o plecy, objął szeroko.

Ale tylko pogmerał przez chwilę przy kolanach i zanim zrozumiał, co robi, sam na kolana upadł i zapomniał o całym świecie, o twardej podłodze, o nadrzecznym piasku, duchowej sile i zwycięskim skupieniu. Już nie w górę chciał wyrzucić to ciało przed sobą, ale przeciwnie - wbić je w ziemię, przewiercić na wylot, zmieszać z trocinami i piachem. Ostatnia koszula zleciała przez głowę. Sapnęła teraz jak on sapnął wtedy. Rozstawiła kolana jak on rozstawił. Szarpnęła się jeszcze i on jeszcze się szarpnął, może to pomyłka, nieporozumienie, nie tak się przecież startuje do lotu. Ale to nie była pomyłka. Nie były pomyłką palce, zaciskające się lodowatą obręczą na szyi i inne, palącymi obcęgami rozwierające pośladki.

Dziwny, słodkokiśny ból dotarł aż do kręgosłupa. Co się z nim dzieje? Traci przytomność? I ona pisnęła, gdy pojęła, gdzie celuje, umilkła jednak zaraz, z napięciem czekając na wynik jego wysiłków, pokorna i zrezygnowana. Co widział wtedy? Dwa spuchnięte psie trupy wirujące przy brzegu. A ona? Brudną podłogę - to wszystko. Wszedł w nią powoli i mocno. Aż sam był zdziwiony swoją siłą. A zaraz potem gwałtownością. Musi to zrobić, musi, nie zmyje inaczej błota, nie zapomni gęby, naigrawającej się z jego zmieszania, piekielnego oddechu parzącego kark i śmiechu na koniec, rechotu nie milknącego nawet wtedy, gdy zepchnął tamtego ze skarpy w dół - w mętłą wodę Arno, tam, gdzie miejsce podobnych ścierw. Jeszcze musi zapomnieć nagły spazm wstrętu i chłodu, ogarniający całe ciało mimo płaszczka i

słońca wstającego nad Florencją. I strach, że coś się stało nieodwracalnie potwornego, że od tych uścisków pijanego wieprza, który go z czarował na chwilę i omamił diabelskimi sztuczkami - wyrośnie mu pysk zamiast twarzy, wypadną zęby, skwaśnieje oddech, a palce zamienia się w brudne szpony. Dawno już wymazał to z pamięci, ale teraz nagle wydało mu się, że jeszcze raz musi tamto wszystko zniszczyć, że musi dopaść tę dziewczynę tak jak tamten dopadł jego. Jej krzywdą zabić swoją. Inaczej ten brud w nim zostanie na zawsze, zajmie wszystkie myśli jutro w czasie pokazu, zrujnuje jego karierę na dworze. Zrobi to, choćby miał rozerwać dziewczynę na strzępy. Teraz. Zaraz. Już.

Rozjechały się pod nią nogi, zwała się jak kłoda na podłogę. Świat się znowu skończył. Jest wolny. I zmęczony. Położył się obok niej na plecach. Niech i utrudzony wojownik zazna chwilę odpoczynku. Niech opada powoli i spoczywa w spokoju.

Bzdura. Wszystko to bzdura. Nikogo nie skrzywdził. A już najmniej Paulę. Nie trafił na dziewicę, z pewnością robiła to już w ten sposób niejedynym razem. A i tamto, co było - bzdura. Musi być niespełna rozumu, żeby wmawiać sobie dramaty sprzed tylu lat, że nawet nie pamięta ilu. Czym się martwić? Głupią przygodą młodości? Ze z mężczyzną? A cóż w tym takiego nadzwyczajnego? Ostatecznie - pysk mu nie wyrósł, zęby ma własne, paznokcie wypielęgnowane, nieco gorzej z oddechem, ale trochę wody różanej nosi zawsze przy sobie. Zidiociał zupełnie. Do każdej specjalnej chętki będzie teraz dokładał łzawą historyjkę?

A tamtego ani przecież nie zabił, ani nie utopił, widział go potem w tłumie takich samych jak on łotrów, handlujących różańcami pod kościołem. I naprawdę nie ma powodu zajmować się kimś i czymś takim.

Podniósł się po pewnym czasie. Co z nią? Coś się jej może jednak stało. Leżała na boku, tam, gdzie ją zostawił. Posapywała lekko - spała.

. No, nie, nie, nie. Nie ma spania skoro jest robota. A on jeszcze nie skończył tego, co ledwie zaczął. Naprawdę czuje, że potrafi ją sam unieść. To, co mu przeszkadzało, znikło już bezpowrotnie. Musi spróbować jeszcze raz, teraz na pewno się uda. Spojrzała na niego spokojnie, pytająco. Boże, co za bzdury miał w głowie. Krzywda, jaka krzywda? Tak patrzy ofiara? Toż to sama wdzięczność na niego patrzy. No, powiedzmy, wdzięczność ze znakiem zapytania - czego zechce teraz?

Nie doceniał jej wtedy, za pierwszym razem, nie umiał się do niej zabrać. Zresztą, chciał głównie zrobić na złość temu jej aroganckiemu malarzowi. Tak. Rozłożyście, ale nabite ciałem pośladki, piersi, pełne i osunięte w dół na tyle tylko, żeby można marzyć o ich podtrzymaniu

142 - warte były fortuny. I jej spokojna zgoda na wszystko. Skąd do diabła, ta prosta dziewczucha

wie, że tego właśnie potrzebuje teraz najbardziej. Spokoju i zgody. Dość ma już awanturników i awanturnic, traktujących go przez cały dzień.

Koszulę niech włoży, ale więcej nic. Trzeba dać eksperymentowi jak najwięcej szans. Nauka przede wszystkim. Poprawił tkaninę zbyt ciasno opinającą krągłości Pauli, zawinął rękawy swojej koszuli. Trzeba się uczyć na błędach. Swoboda ruchów i koncentracja - to najważniejsze.

Odstąpił krok do tyłu i przymknął oczy. Trudno żeby miał się skupić, patrząc na jej brudne pięty i ponętnie wypięte pośladki. Ten błąd już popełnił. I skończył nie w górze, a na podłodze, nie między niebem a ziemią, a między pośladkami, po prostu. Oddychał głęboko. Czekał.

Nic nie nadchodziło, żaden dreszcz nie przenikał do mózgu, żadna smuga jasności nie przebiła głuchego mroku. Pustka, bezprzedmiotowe nic. Wyrwie się zaraz z tego, dotrze do czegoś istotnego, zobaczy może swoją przyszłość w błysku olśnienia. Jeszcze jeden oddech, aż do bólu w płucach. I zaraz, nie wiadomo skąd, pojawił się przyjaciel ciemności - strach. Tak pomyślał - przyjaciel ciemności - strach, zanim jeszcze odczuł go naprawdę. Ale to nie był niczyj przyjaciel, tylko wróg i to śmiertelny. Przeczucie bólu straszniejsze niż sam ból, bezkresne pole i stada ptaków krążące w opętającym rytmie, spokojny krok oprawców, wyszczerzona pogardliwie gęba Kuca. Uciekać stąd, ocknąć się, nateńczyć wszystkie siły. Bo pochłonie go to pole, stanie się niewolnikiem grząskiego strachu i pogardy coraz brutalniejszych mocodawców.

Więc wzlot - nie więznące w błocie nogi, zryw - nie marudna zgoda na wszystko. Raz, dwa, trzy. Ostatni wdech. Ale " cztery " nie było już tak zdecydowane, a " pięć " przełamało się wyraźnie na pół. Stracił impet jak tylko ją dotknął. Delikatny zapach potu i ciepło od niej bijące, odebrały mu chęć oporu i kazały znowu myśleć o czymś innym. Po co uciekać dalej? To była jego ostoja, jego ostateczny ratunek, początek i koniec, matka i kochanka, pocieszycielka strapionych, karmicielka głodnych, kryjówka dla ściganych. To rozłożyste ciało, które trzymał w ramionach.

Więc znowu nie zdołał jej podnieść, zrezygnował jeszcze przed ostatecznym wyteżeniem myśli i mięśni, które mogłyby go przekonać, czy to potrafi. Opadł na kolana, ale teraz, zanim zdołał ją ucapić mocniej, przekreśliła się błyskawicznie na plecy i pociągnęła go na siebie. Koszula zadarła jej się wysoko, a i jego spodnie krótkiego tylko ruchu potrzebowały, żeby opaść na kolana. Pochylił się nad nią dalej pełen czułości i wzruszenia. Musi zatrzeć tamto wrażenie. Nie jest maniakiem ani gwałtownikiem. Potrafi uszanować każdą kobietę, kochać ją, wielbić. Tak, Paulo, tak. Niech go obejmie, ratuje ode złego, uśmierzy niepokój czający się ciągle gdzieś pod skórą - zasługuje chyba na to.

. Pierwszy dotyk, pierwsze zetknięcie najczulszych miejsc na ciele, zawsze było najważniejsze, ale teraz ledwie go odczuł. Tak była gotowa na jego przyjęcie, tak w niej wszystko stało się łagodne, ciepłe i wilgotne. To i on zanurzył się w niej delikatnie i schodził w dół powoli, prawie sennie. Nic nie mogło zakłócić tego rytmu. Ani jej twarde sutki pęczniejące pod wargami, ani nagły spazm bioder przynaglający go do bardziej zdecydowanego działania.

I tak - spokojnie i tkliwie - było do końca. Przytrzymała go mocniej, gdy zakwilił na jej piersi i to było wszystko. Cisza, ciepło, spokój. Świat znieruchomiał przyjaźnie. Czego chcesz więcej?

Staje się sentymentalny, pomyślał, złącząc z niej i szukając czegoś, czym mógłby się wytrzeć. A to już tylko krok od zupełnego zidiocenia, karmienia ptaszków zimą i zakładania przytułków dla upadłych dziewczyc. Ale i te myśli były tylko cieniem samych siebie, żartem raczej niż prawdziwą obawą. No, dobrze. Swoje dzisiaj już przeżył. Pora się zbierać do domu. Musi się przed jutrzejszym pokazem porządnie wyspać. Usnąłby i tutaj, razem z nią, ale noce były chłodne, a sala nieopalana. Urok prymitywu to już nie dla niego. Szczególnie że jutro powinien być w pełnej formie, musi błyszczeć, olśniewać, góry przenosić. Do domu. Jeste-

143 śmy ledwo żywi, stwierdził nie bez zdziwienia, zapinając spodnie. Rzeczywiście, nie docenił

Pauli wtedy, pierwszy raz, teraz dopiero zobaczył, co potrafi naprawdę. Ale i tego już dosyć. Szybko, do domu, do kolacji z grzanyim winem, do ciepłego łóżka bez żadnych kobiet.

Coś go jednak podkusiło. Może lęk, że to niepowodzenie zapeszy wszystko. Może resztki wibrującej jeszcze w mięśniach energii, albo nieoczekiwana lekkość, z jaką Paula uniosła się na kolana i żal, że taka okazja pewnie się szybko nie powtórzy. A może po prostu zwykła przekora. Sięgnął po płaszcz, na którym klęczała, naciągając na siebie wzorzystą bluzkę. Ale nie dosięgnął. Zmienił decyzję zanim palce dotknęły podłogi. Może dlatego mu się dotąd nie

udawało, że ona wiedziała o wszystkim, czekała, może mu nawet dobrze życząc, ale swoją nieodpartą cielesnością osłabiała jego duchową moc, ciążyła jak kloc ku ziemi, zamiast unieść się w górę jak piórko. A jeśli zrobi to zniecka?

Pół życia dałby, żeby się teraz udało. Wszystkie moce świata, na pomoc! Zrobił krok przed siebie i biorąc oddech jak przed skokiem w głębinę, schwycił półnągą Paulę pod kolana. Wszystko zniknęło w jednej chwili. Całe jego uniesienie okazało się mrzonką. Nic. Tylko piegi na jej szyi i śliski pot pod kolanami. Prawie nie drgnęła, ale gdy chciał się cofnąć, schwyciła go mocno za kostki u nóg. Jeszcze chwila i straci równowagę. Zwariowała czy jak?

- Zostaw! ! Nie posłuchała, chciał ją odepchnąć, a wtedy szarpnęła mocniej i zanim się zorientował - leżał jak długi na podłodze, a ona mościła się na nim okrakiem, bez żenady pokazując mu wszystko, co miała i sięgając dłonią tam, gdzie on teraz miał bardzo niewiele. Do diabła ro- gatego, tylko nie to, na dzisiaj starczy - ma dosyć, nie chce, niczego już więcej nie chce. Źle zrozumiała jego zamiary, nie o to chodziło, wręcz przeciwnie.

- Złaż! ! Nie rozumie, dziwka, po francusku. Cóż ona w ogóle rozumie prócz tego, że na nim siedzi i próbuje postawić na sztorc jego, pokiereszowany przez niedawne burze, maszt. A jednak wiedziała co nieco, bo kiedy usiłował ją z siebie zrzucić, zaśmiała się tylko i ścisnęła go moc- niej udami. W pysk by za taką bezczelność, ale jak w pysk, skoro skrzepowała mu ręce - jedną kładąc na jednej, drugą na drugiej piersi. Te piersi to było coś, czego nawet Catai mogła jej pozazdrościć. Więc - niech ją diabli - już nie chce uciec. Ale i zostać może będzie wstyd, jeśli wszystkie moce świata nie przybędą na pomoc. Niech to piorun strzeli, ta klęska może być gorsza w skutkach od wszystkich innych, które go tu spotkały. Jeśli malarzyna podesłał mu ją właśnie po to, żeby go skompromitować, to nie przepuści takiej okazji. Śmiech pójdzie, jak Warszawa długa i szeroka, po same niebo. Znał tych bezlitosnych dworaków jak siebie samego.

Więc ratuj się, Giacomo, skup się mocno, a podrzucisz ten namolny tyłek do samego sufi- tu. Dwie sekundy jeszcze, zamknąć oczy i przywołać wszystkie myśli i mięśnie do porządku, doczekać tego kosmicznego wiru, tej boskiej siły, która i góry przenosi, i z pchły może z robić tygrysa. Nie musiał patrzeć, żeby wiedzieć, że ciągle daleko do sukcesu. Ale i tam w mroku nie było nadziei. Stare strachy mogły go w każdej chwili przygnębić jeszcze bardziej. Ścisnął napierające na dłonie piersi. Raz, dwa, niczego nie zyskał. Idiotyzm. Szarpnął się znowu, prawdziwie wściekły, sam nie wiedział, na siebie czy na nią. Nie puściła go, ale to masywne, mocne ciało zachwiało się w posadach, odgięła się głęboko w tył i rozstawiła szerzej kolana, żeby nie wylecieć z siodła, jakie sobie na nim umościła. Uniósł głowę, niech mu chociaż będzie wygodniej. Mógł już teraz otworzyć oczy.

To, co zobaczył poruszyło go wreszcie, choć zarazem unieruchomiło na dobre. Szeroko rozłożone łądy kryły kwiatek rzadkiej urody, świetlista droga wiodła do najprawdziwszej, dziewiczej furteczki. Nie do wjazdowej bramy gotowej do przyjęcia pułku wojska, ani nie do furtki wyzywająco sterczącej w płocie, ale do delikatnej furteczki, za którymi przecież - nie gardząc jej mniej udanymi siostrami - ugania się przez całe życie. No, może niecałe. Odkąd Bettina. . . Ile lat miał wtedy, jedenaście? Coś takiego, był już przecież z Paulą kilka razy, a

144 niczego dotąd, dureń, nie zauważył. Dotąd. Bo teraz zauważył. Więcej - jak zaczarowany

wbił wzrok w ten cud natury nagle mu objawiony między nogami zwykłej polskiej dziewczyny. Znowu Catai mogłaby jej czegoś pozazdrościć.

Paula westchnęła głośno, żałośnie. Potrzebny był drugi cud. I - zanim zdążyła zrezygnować - stał się. Pchła przemieniła się w tygrysa, tygrys zawarczał, wysunął kły, skoczył. Teraz pokaże klasę. Dworscy plotkarze stracą język w gębie i będą się dławić niewydarzonym śmiechem. Uniósł się na łokciach, żeby jej pomóc, ale pchnęła go dłonią w pierś tak mocno, że aż walnął plecami o podłogę. Zwariowała? Było jednak za późno na bunt, już tam w niej siedział, chciał szaleć, walić głową o ścianę, skrzesać wielki ogień. Ale i to działo się teraz inaczej.

Nie on nadawał rytm, nie jego była początkowa ostrożność, ani narastające później zapamiętanie. Potrzebowała go akurat tyle, ile miała w sobie. Nie więcej. Żadnych wyznań, pocałunków, nawet zmiany pozycji. Ale i nie mniej, bo gdy chciał zemknąć chyłkiem, korzystając z jej uniesienia, capnęła go szybko i naprowadziła na właściwą drogę.

O, wszyscy diabli! Ten oszalały galop, łomot pośladek o jego uda, bezwstydnny chlupot śliskich ciał. Co to jest? Jakby jej ktoś ogień podłożył pod tyłek. A on, wielki mądrała, niby nie widzi, że jakaś zwykła dziwka traktuje go jak bezimiennego kutasa, jak przedmiot, z którym nie ma potrzeby się liczyć. Na co jej, na honor, pozwala? Czyż nie na to jednak, na co ona pozwalała przedtem jemu? No - tak, to ta dziewczucha, ta Paula, rżnie cię teraz, Giacomo, tak jak ty grzmociłeś ją parę minut temu. Ta myśl poruszyła go przez moment, ale na prawdziwe oburzenie nie miał już ani siły, ani ochoty. Niech się dzieje, co ma się dziać. Żadna różnica, kto jest na wierzchu.

Ale - hola. Trochę wolniej. Ostrożniej, bo mu pogruchoce kości. Żeby kości - jądra będzie miał jutro jak balony, dobrze, jeśli nie przekłute. I ciszej - wszystkie myszy wywabi z nor swoim skowytem. Merde. Czy to się nigdy nie skończy?



Potem znowu nie chciał, żeby się skończyło. A jeszcze potem poczuł, że skończyć się musi. Zaraz, już, z następnym podrzutem jej ciągle szalejącego ciała. Uniósł głowę, żeby widzieć jak wszystko wyleci w powietrze, jak ją wzbije w górę siła jego wybuchu, jak razem poszybują aż pod sufit, ciągnąc za sobą smugę kurzu i opadających trocin. I nagle - ponad jej wirującą pierś, w obramowaniu krzaczastej pachy, zobaczył oszałe oczy Jeremiego.

Chciał wrzasnąć, żeby się wynosił, wykrzyknąć jakieś stanowcze - Won! - jak śmie! - ale było już za późno. Tylko jakiś nieartykułowany spazm wydostał się z gardła. I koniec.

Nie koniec - jeszcze jej głos załamujący się dziwnym jękiem, jakby dławiącym kaszlem. Pierwszy raz to u niej słyszał. No, tak, warto było doczekać tej chwili, żeby się dowiedzieć, że nie potrafił jej przedtem dogodzić. Dlatego pewnie musiała się za to wziąć sama. Co z tego? Wszystkich ma zadowolić na tym świecie? Nie wystarczy niektórych?

Nie wypuszczał Pauli z objęć. Jeszcze chwilę. Umrze, jeśli będzie musiał zrobić cokolwiek. Choćby tylko odezwać się do Jeremiego. Czemu się ciągle gapi? Przed chwilą blady. Teraz czerwony jak rak po ugotowaniu. Każdy by się ugotował, mając taki widok przed oczami. Piękna, klasyczna budowa, jakiej nie powstydziliby się greccy rzeźbiarze. A może raczej - spocone dupsko, wypięte na niego bezwstydnie. Won. Dlaczego - won? Niech się nie gapi, tylko ściągnie z niego to cielsko. Jeszcze trochę i ducha przez nią wyzionie. Ledwo już dyszy i to bynajmniej nie z rozkoszy. A zresztą, niech się gapi. Przynajmniej się czegoś dowie. Rzeczywiście nauczy. On, w jego wieku, nie poprzestawał już na patrzeniu. A swoją drogą, skąd się tu szczeniak wziął. I co rzeczywiście widział?

- Dawno tu jesteś? Jeremi zabełkotał coś niewyraźnie, patrząc już tylko w podłogę. Miał nitki siana we włosach. Musiał spać za sceną. Nieważne. Ważne, żeby przeżyć do jutra.

- Dobrze. Zabierz Paulę do domu. Ja tu jeszcze trochę zostanę.

145 Nie bardzo pamiętał kiedy i jak znalazł się we własnym łóżku. Tak jak wcześniej nie był

pewien, po co został. Na pewno jednak nie po to, żeby w końcu natknąć się na bandę podpiętych birbantów w oficerskich mundurach i dać się pociągnąć na obchód jakichś brudnych i hałaśliwych knajp. Im nie chciał odmówić czy sobie? Nie ma co - świetnie mu poszło. Chciał

odpocząć, a zmęczył się tak, że ledwo zipie. Chciał uwolnić głowę od zbędnych myśli, a czuje teraz jej ciężar w dwójnasób. Chciał się napić - pił, pił, a obudził tylko potworne pragnienie. Jakiś demon przekory go opanował. Wiedział dobrze, czego nie powinien, a jednak to właśnie robił z dużym upodobaniem. Stawiał każdemu, gardłował we wszystkich językach świata, rwał się do bitki, a przede wszystkim wychylał kieliszek za kieliszkiem ohydnej wódki, której zapach przyprawić mógł o torsję, a smak o nagłą śmierć. Obudził się w środku nocy z przeświadczeniem, że i jedno i drugie może mu się zaraz przytrafić.

I jeszcze coś go musiało obudzić - jakiś dźwięk w głębi domu, ktoś kaszłał, przesuwano jakieś sprzęty. Może pożar. Niechby i pożar. Chociaż wody miałby pod dostatkiem. Bo teraz - ani kropli. Ten bęcwał Wasyl nie zadbał. Wasyl! - wrzasnął ze wszystkich sił, ale żaden dźwięk nie wydobył się z gardła. Jezu, może już jest po tamtej stronie, może to wcale nie ja- wa, ani nie sen. . .

Obmacał się gorączkowo - głowa, serce, nogi. Wszystko jest na swoim miejscu. Żyje. To najważniejsze. Guz nad czołem zejdzie do jutra. A nie - przykryje go toną pudru. Jeszcze jedno miejsce było obolałe, ale to już pamiętał dlaczego. Paula. Zadziwiająca Paula. Potężne cielsko z piczką Bettiny. O mało go nie starła na miazgę. Gdzie się podziała, powinna być przy nim, ukoić cierpienia, napoić, rozmasować głowę. O, wyciągnąć się teraz przy takim cieple, prawie chłodnym, wystudzonym od snu, rozplaszczyc się obok swobodnie i tylko chłonać wszystkie objawy życia. I tak odpoczywać. Potem dotknąć ją palcem, lekko, żeby tym wyraźniej poczuć ten dotyk, może nogę przerzucić przez jej nogi - upewnić się, że nie ucieknie - i tak dotrzeć do rana.

. Pić. Wszystko, cokolwiek, choćby wodę z miednicy. Ale i miednicy nie widział. Co za banda. Zdechnie tu z pragnienia i żaden z tych darmozjadów się nie ruszy. A są, są, przecież słyszy jak któryś ciągle kaszle. Wstał wolno, kręciło mu się w głowie i żołądek podjechał do gardła, ale lodowata podłoga pod stopami zaraz przywróciła równowagę. Otworzył drzwi do sieni, tu gdzieś powinno być wiadro z wodą. Namacał już metalowy kabłak nosilek i - po nim - kubek przytroczony do ucha wiadra, kiedy znowu, wyraźnie i z bliska usłyszał ten dźwięk, który wcześniej bezmyślnie brał za kaszel. Aż tak jest pijany, tak otępiał, żeby nie odróżnić miłosnego kwiku od suchotniczego charkotu. I nie poznać głosu, który tak niedawno świdrował mu uszy. Paula. Jeszcze przez chwilę nie dowierzał. Paula? Z Wasylem?

Kubek wypadł mu z ręki i z chlupotem pogrążył się w niewidocznej wodzie. Miał ochotę kopnąć wiadro z całych sił, ale opanował się. Ta piekielna wódka robi z niego durnia. Cóż to? Ma jedenaście lat i drżąc z zimna i emocji czatuje na korytarzu pod drzwiami Bettiny, która, nieczuła na jego szepty i pukania, milczy, nie wpuszcza go do środka, nie reaguje na zaklęcia, wiążące ich przecież na wieki od wczorajszej nocy? Jest ledwie rozdzielczym prawiczkiem w nocnej koszuli, który słyszy rumor wracającego gospodarza na schodach i widzi jak z hukiem otwierają się drzwi innego pokoju, pokoju tego krostowatego pokraki Bertiego i staje w nich ukochana Bettina, gorączkowo podciągając pończochy.

No, właśnie. Do końca chyba jeszcze nie zgłupiał. Nie ma nie tylko jedenastu lat, ale nawet i nocnej koszuli, tylko jakieś strzępy spodni rozpięte na brzuchu. Bił się z kimś, napadli go jacyś obwiesie? Zdawało mu się, że kilku podejrzanych typów łązi za ich kompanią od knajpy do knajpy. Dobrze chociaż, że pieniądze wydał wcześniej. Ale Wasylowi da po gębie, w najlepszym wschodnim stylu. Co to za bałagan w domu. Ani wody, ani nocnej koszuli, nie ma pod ręką. Za co mu, do diabła, płacą? Za zadawanie się z dziewczkami?

Cisza. Tylko w jego głowie huczy. Zanurzył rękę po łokieć. Woda była przeraźliwie lodowata, ale gdyby miał teraz wybrać między tym kubkiem źródlanej wody a najpiękniejszą ko-

146 bieta, nie wahałby się ani chwili. No, może chwilę, żeby sprawdzić czy nie da się jednego

pogodzić z drugim, ale już zaraz piły i piły, do utraty tchu. Wreszcie ulga. I znowu cisza. To najważniejsze. Musiało mu się coś przywidzieć, coś za świństwo hula teraz w jego mózgu. A zresztą, coś go może obchodzić jakaś nienasycona dziewczka, coś go może teraz obchodzić cokolwiek. Wrócić do łóżka i spać - zniknąć czym prędzej z tego świata - to wszystko, co chciał zaraz zrobić. Ale zrobił jeszcze coś innego.

Nagle przyszło mu do głowy, że cały ten żmudny i wariacki dzień, który tak skatował jego ciało i umysł, prowadził może do tej jednej, jedynej chwili, która właśnie nadchodzi. Uda się. Jemu może się udać. Czyż świat nie jest zbudowany z przeciwieństw, czyż nie po to on, Giacomo Casanova, był dzisiaj poniżony i sam się poniżał, by teraz doznać cudownego wywyższenia. A im niżej upadł, tym wyżej się wzniesie. Nikogo nie ma. Nawet ten brodaty diabeł, którego wścibskie oko czuje coraz częściej na ciemieniu, chrapie już pewnie w najlepsze. Tak widocznie być musi. Bez żadnych świadków pokaże swoją prawdziwą moc. Każda cząsteczka jego ciała już nią wibruje. Jeszcze kilka chwil, skupi wszystkie myśli i mięśnie do ostatecznego wysiłku, centymetr po centymetrze, stopa po stopie, oderwie się od kamiennej podłogi i zawisnie w powietrzu. A może nawet poszybuje wyżej, wzleci jak ptak? Gdyby nie ten idiotyczny sufit nisko nad głową. . .

Uniósł się, ale podłoga uniosła się razem z nim. Co to ma znaczyć? To jakaś złośliwość materii, strzegącej swoich praw. Do stu tysięcy chrapiących diabłów! On ma te prawa gdzieś, niech no tylko dobrze podskoczy to i podłoga usunie mu się spod nóg. Podskoczył, oderwał się od ziemi, ale nie zdążył nawet zatryumfować, a kamienny padół był już znowu pod nim. Tak nie? To zobaczymy jeszcze inaczej. Wymacał pod ścianą tępy kształt. Ława. W ciemności wszystkie strony świata zwały się w jeden wirujący kłęb i nawet nie ruszając się z miejsca, z trudem utrzymywał równowagę. Wgramolił się jednak na rozchybotaną deskę, wstał z ko-

lan, rozkrzyżował ręce. Jest orłem, orłem prostującym skrzydła nad przepaścią, w którą rzuci się zaraz tylko po to, żeby ją pokonać i okpić, gdy jednym uderzeniem mocarnym ramion wzbije się spokojnie w górę.

Skoczył. Najpierw trzasnęły kolana, ale tylko jedno zdążyło dotknąć podłogi. Złapał za coś, chciał się podciągnąć, żeby całkiem nie upaść, a może zacząć mozolny - już nie orli, a ludzki - wzlot, ale nie zdążył. Cała ściana ruszyła gdzieś nagle i zanim pojął, co się dzieje - uczepiony klamki wjechał wraz z drzwiami do niewielkiego pokoju. Było tu jaśniej niż na korytarzu, a i oczy przyzwyczajone już do ciemności widziały wszystko lepiej. Paula. Rozłożysta Paula, opleciona wokół czyichś nóg, bioder i pleców. Ale to delikatne, jeszcze chłopięce ciało to nie mógł być Wasyl. A niech ją diabli - Jeremi! Nie ma co, pojętny z niego uczeń. Paula i Jeremi. Spali albo udawali, że śpią. Nieważne.

Wycofał się cicho i zamknął za sobą drzwi. Znowu chciało mu się pić i kręciło w głowie. Przed wściekłością uchroniła go dopiero myśl, że trochę jednak - bądź co bądź - leciał.

. Dzień zaczął się nie najlepiej. Najpierw zwymyślał Wasyla, że nie napalił w piecu, a potem - że napalił, dym bowiem taki buchnął na pokój, że rozsądniej już było marznąć niż dać się zadusić. Ten przyływ żalnego rozsądku nie mającego przecież wiele wspólnego z prawdziwym rozumem, którego strażnikiem starał się być nim zanosło go do tych przeklętych krain, kosztował Wasyla tęgiego kopniaka i obietnicę następnych, jeśli nie sprowadzi mu tu zaraz kogoś do tego przeklętego pieca. Bolała go głowa i buntował się żołądek na samo wspomnienie świństw, które wczoraj zjadł i wypił. A teraz jeszcze oczy zaczęły łzawić od gryzącego dymu. Sodoma i Gomora. Zalał palenisko wodą i otworzył okno.

Przez chwilę było lepiej. Przynajmniej płuca mogły odetchnąć. Rozkaszał się pierwszym haustem świeżego powietrza, splunął, wytarł głośno nos. Coś zaszurgotało pod oknem, stłumione przekleństwa albo odgłosy dalekiej kłótni zawirowały wokół przez chwilę, jakiś męż-

147 czyzna ruszył z grupki przechodniów w tę stronę, ale napotkawszy wzrok Casanovy - zrezy-

gnował, wsparty o mur próbował zapalić cygaro. Zna go? Nie. Z daleka omija takie pospolite typy. Skąd więc niepokój? Bzdura. Świat - szary, bo szary - jak co dzień pozbierał się do - marnego, bo marnego - życia, przekupki na placu pokrzykują piskliwie, woźnice strzelają z batów, lecą na ziemię pęczki drewnianych szczap i konwie z mlekiem, wszystko jest jak było i będzie i tylko jemu zimny pot zrasza czoło podejrzeniem, że ktoś go znowu śledzi.

Zmarzył zanim dało się wywietrzyć gryzący swąd, wycofał się więc z pokoju. Zajrzał do kuchni, ale ani Sary, ani Etel nie było. Jest tak późno czy tak wcześnie? Dobrze, że nie jest głodny, bo i im mogłoby się oberwać. A Jeremi? Pokoik chłopca też był pusty. Gdzie się i ten podział? Kto mu poda miednicę, kto pomoże się ubrać? Przecież nawet schyla się z trudem. Darmozjady, nigdy ich nie ma pod ręką. W gruncie rzeczy był jednak zadowolony, że nikogo nie ma. Nie chciał ich wcale widzieć, a już najmniej Paulę i Jeremiego. Co mógł powiedzieć szczeniakowi - że nie buszuje się w sadzie bez zgody ogrodnika, , skoro sam tyle razy to robił? Obrócić zaś wszystko w żart - jedyny godny sposób uczczenia tej sytuacji - nie miał na razie siły.

Wrócił do siebie, ciągnęło go do tego okna nie tylko po to, żeby je zamknąć. Mężczyzny z cygarem nie było. No i proszę, znowu prawie się wygłupił. W każdym przechodniu o prostaczkich rysach i obejściu gotów widzieć swojego prześladowcę. Przejdzie mu to. W pierwszym burdelu Gdańska, Wrocławia albo Krakowa. Wychylił się głębiej, żeby się uspokoić do końca. Żydowski chłopiec z bułkami stał niedaleko, po drugiej stronie ulicy. Ten sam. Czapka głęboko wciśnięta na odstające uszy, skurczona od porannego chłodu sylwetka - tak. Koszyk tylko jakby większy, kopiato wypełniony bułkami, tą świętością, której chudemu zmarzlakowi nie wolno było tknąć. Casanovie zachciało się nagle jeść, czemu nie, nie jest wielbłądem, żeby żyć tylko o wodzie. Kiwnął na chłopca, który rozejrzał się najpierw niepewnie i dopiero za następnym ponagleniem ruszył z miejsca, uginając się pod ciężarem koszyka.

- Biorę wszystko. . Giacomo nawet nie bardzo patrzył, jaką monetę kładzie na stole, nieważne, położyłby i ostatnią. Jeszcze dziś przecież, przypomniał to sobie jak zgubione zaklęcie, będzie bogaty. Niech i ten nieszczęśnik, o gorejących oczach i przestraszonej minie, coś z tego ma.

- Razem z koszem. . Ktoś obcy mówi i myśli za niego. On sam, siedziałby tak jak siedzi, z szeroko rozwalonymi nogami i pochyloną głową, nic nie mówił i nie myślał, żuł tylko ten stos bułek, jedną po drugiej, aż by skończył albo pękł. Ale ten drugi chciał jeszcze czegoś innego.

- Ty też jedz. . Siadaj i jedz, mówię ci. Chłopiec zawahał się, zrozumiał wystarczająco dużo, żeby przycupnąć na krześle, bułek jednak nie tknął, nawet patrzeć starał się w inną stronę.

- Nie jesteś głodny? ? Był głodny, wystarczyło na moment złowić ten bolesny wzrok. - Nie wolno ci?

? Już nie głowę ale szyję widział w głębokim pochyleniu. Nie wolno, jasne, że nie wolno. Ale przecież zapłacone. To jak? I nikt nie widzi, ani się nie dowie. No.

- Jedz, , bo inaczej ciebie zjedzą. Urwał kęs bułki i wsadził małemu w rękę. - Co ty sobie myślisz? To nie jest świat dla wielbicieli postu i czcicieli zakazów. Tu trzeba mieć kły, pazury i pełny brzuch. Będiesz już stary kiedy to zrozumiesz. Szkoda czasu. Nie bądź głupi, bierz jak dają, dobrze ci radzę.

- Nie. . Ciche, powiedziane po polsku " nie " , zabrzmiało prawie jak wystrzał. Ten pierwszy otwo- rzył szerzej oczy - skąd w tym chucherku tyle zdecydowania. . Ten drugi zakrztusił się złością.

- Tak! !

148 Złapał ręką chłopca i wepchnął mu ten wrogi kęs do ust. Niech je, niech chociaż przez je-

den dzień nie patrzy na świat oczami głodnego kundla. I może do końca życia zapamięta swojego dobroczyńcę. Szczęki małego ruszyły niemrawo i kiedy Giacomo już myślał, że prawa natury zrobiły swoje i zaraz będzie tu świadkiem pożerania, połykania, krztuszenia się i mlaskania, chłopiec znowu znieruchomiał. Tylko w jego oczach pojawiły się łzy, coraz większe, coraz śmielej spływające po wypuczonych zakazaną bułką policzkach. Tego było za wiele! Ktoś zajrzał do kuchni przez otwarte drzwi. Jeremi. Do diabła z nim! Do diabła z nimi wszystkimi!

Wrzucił monetę do czapki małego i przymknął oczy, żeby ukryć narastającą w nim ponad wszelką miarę, bolesną i bezrozumną, wściekłość. Gdy zdecydował się znowu spojrzeć, chłopca już nie było. Niepewnie uśmiechnięty Jeremi stał przy drzwiach. W nocy też był taki gapowaty, czyżby? Jakoś sobie przecież z Paulą poradził. Chce się dowiedzieć co się tu dzieje? Proszę bardzo.

Pchnął dłonią koszyk z pieczywem, poprawił oburącz i patrzył zimno jak wali się wszystko na podłogę, jak rozsypują się z chrzęstem te parszywe bułki, którymi chciał naprawić świat choćby w jednym miejscu, jak się wała na grzbiet pod piecem, turlają pod stół i suną do nóg przestraszonego Jeremiego. Na kolana! Tak, na kolana smarkaczowi trzeba. Błagać jego o przebaczenie, a choćby tylko pozbierać rozrzucone śniadanie.

W pokoju było przeraźliwie zimno, ale teraz mu to już nie przeszkadzało. Oparł o szybę rozpalone czoło. Musi się uspokoić, doprowadzić nerwy do porządku. Dzisiaj nie wolno ulegać słabości. Pewnie ta miejscowa wódka, to pałace przetyk świństwo, odbiera rozum. Nic takiego się przecież nie dzieje. Jeremi? Pierwszy raz w życiu przespał się, chłopczyna, z kobietą, toż to miłe święto, a nie powód do awantury. Ten żydowski osioł. Powinien właściwie podziwiać go, a nie łąać. Mało kto wykazałby taki charakter.

Zamknął energicznie okno. Ulica była prawie pusta, jeśli nie li czyż dwóch okutanych w chusty chłopak, przycupniętych przy bańkach z mlekiem. Szpicel z cygarem w zębach to wytwór jego wyobraźni, nic więcej.

A piec, cholerny piec dający swąd zamiast ciepła? To, owszem, jest problem. Ale przecież nie aż taki, żeby przez niego wariować. Na wszystko znajdzie się sposób, cóż dopiero na głupi piec. Wasyl sprowadzi zaraz zduna i wszystko będzie w porządku. Zresztą, po co mu jakiś brudny mądrała, sam sobie z tym poradzi. Cóż to, nie wie, co to jest piec? Każde dziecko wie. Trzeba tylko zbadać czy coś nie zatkało komina.

Nagły przyptyw energii poderwał go do działania. Otworzył masywne drzwiczki pieca, zajrzał do środka, wsunął głęboko rękę. Ciekawe, czy tu w ogóle wiedzą, że stawianie pieców to prawdziwa sztuka i głęboka wiedza zarazem. Jeśli zlekceważy się tajemniczy związek między wysokością komina a rozmiarami paleniska, to można zbudować tylko taką maszynę do kopcenia jak ta. Ale może nie jest tak źle. Wrony mogły przez lato zagnieździć się w kominie. Właśnie. Światło padało z góry na wystygłe palenisko, ale chyba za słabo, wyraźnie za słabo. Nic już nie dawało obmacywanie rękami. Ugiął nogi, pochylił się i wsunął głowę do pieca aż po barki. Za mało. Pchnął mocniej, zadzierając jednocześnie oczy w górę. Udało się. Już z ramionami tkwił w mrocznym i zatykającym gardło spalenizną otworze. Co dalej? Nic. Tak nie zobaczy wiele. Ale i już nie chce. Chyba dopiero teraz zwariował. Kręci mu się w głowie od tego smrodu, byle nie kaszlnąć, bo sadza może go nawet zadusić. Niech diabli wezmą i piec, i tego kto go stawiał. A tego durnia, co teraz prawie do niego wlaźł, niech zaraz wyciągną i zostawią w spokoju. Szczególnie, że ktoś wszedł do pokoju, pewnie Wasyl przyprowadził zduna.

Wyrwał ramiona, ale głowy nie udało mu się już wyjąć. Jakieś łapska capnęły go mocno pod pachy i przytrzymały. Poczul smród tanich cygar i posłyszał przerywany sapaniem chi-

149 chot. To nie był Wasyl ze zdunem. Musiało ich być przynajmniej trzech. Dwóch przygwoź-

dziło go do pieca, chichot trzeciego dochodził jakby z głębi pokoju. Tyle był w stanie stwierdzić. Krew uderzyła mu do głowy, krzyknął i szarpnął się ze wszystkich sił. Na próżno. Popiół wzbil się z paleniska i zatkał usta, a zakleszczone w rękach tamtych ramiona omal nie wyrwały się ze stawów. Mają go. Mogą go teraz zarżnąć jak świnie. Już po nim. Jezu! Ból, jak błyskawica, rozerwie brzuch albo lewą łopatkę. I koniec. Koniec Giacomo Giovanniego Casanovy, durnia, z własnej woli wkładającego głowę w stryżek. Ale jeśli liczą na pieniądze, to się srogo zawiodą, bydlaki.

- Szukasz tam czegoś? ? Nie w brzuch, nie w dołek pod łopatkę - ktoś wbił mu teraz gwóźdź w samą czaszkę. Zna ten głos i ten chichot słyszał już nieraz. Gdzie, kiedy? Nie wie, niczego nie wie.

- A może chciałeś się przed nami schować? ? Co? Kuc. Kapitan Kuc. To jego złowieszcze "co" zapamięta chyba do śmierci. Do śmierci? A więc to nie bandyci. Coś znacznie gorszego. Przyszli go zabić? Tak od razu? Nie, to nie w ich stylu. Najpierw będą go łamać kołem, końmi włóczyć, łupić ze skóry. Boże, śniło mu się, że się od nich uwolnił. Poskarży się ambasadorowi. . .

- Nie trzeba było tam chodzić. My tu mamy własne sprawy i nikomu nic do tego, rozu- miesz. Nawet samemu diabłu.

Sameś diabeł, śmierzdielu. I w piekle twoje miejsce, pomyślał mściwie. Brakowało mu tchu, szarpnął się, uduszą go ci durnie po prostu dla kawału. Skąd mogą wiedzieć, że ten cholerny piec nie ma cugu.

- Spokojnie, , bo my też się możemy zdenerwować. Któryś z nich postawił nogę przy stopach Casanovy. Kopnie, a wtedy on złamie szczękę o żelazny ruszt. Lepiej się nie opierać skoro nie może ich zabić. Ale swój łyk powietrza zyskał. Ich sprawa, żeby doczekał następnego. Jak zdechnie to niczego się nie dowiedzą.

- Co ty tam masz dzisiaj wyprawiać na dworze? Jakieś sztuczki, co? Raz, dwa, trzy, zemdleje przy piętnastu. Nie zdzierzył jednak.



- To sztuka, prawdziwa sztuka - chrypnął wściekłością i sadzą. Nawet w piekle nie pozwolić z siebie oszusta. Dotarło. Głos Kuca zniknął, aby pojawić się znowu bliżej, po drugiej stronie. Może chce się bydlę, zamienić miejscami?

- Dobrze, dobrze. Mnie tam wszystko jedno. Żebyś tylko nie zapomniał, po co tu jesteś i komu obiecałeś służyć. A już my ci podeślemy na wieczór takich osiłków, że palcem słońca, nie Ciołka, podniosą.

Nie, nie, i jeszcze raz nie. Nie będzie służył durniom, choćby go mieli zabić. Natężył wszystkie siły, wypchnął z płuc resztki powietrza i krzyknął - jakby ten krzyk był wszystkim, co mu jeszcze pozostało na tym świecie.

- Nnniiiee! ! Ten głos, przeraźliwy krzyk zmordowanego ciała i skołatanej duszy, odbił się smolistym śladem na ścianie pieca, poszybował kominem w górę i natrafiwszy na jakąś niewidoczną przeszkodę, wbił się z powrotem w gardło Casanovy, przewiercił żołądek i brzuch, napęczniał siłą w szaleńczych skrętach i wystrzelił na świat głośno i smrodliwie.

Nie pamiętał, co było dalej. Coś miękkiego spadło na jego półprzytomną głowę i całkiem pozbawiło go przytomności. Ocknął się - godzinę później? kwadrans, minutę? - na kamiennej podłodze koło pieca. Był już sam. Złapał się za czaszkę - cała? Cała. Lewy pośladek piekł tylko świeżym bólem. Odplaci kiedyś za to Kucowi, za wszystko mu odplaci.

Chciał się podnieść, ręka natrafiła na jakiś pakunek, rozsypujący się pod palcami. Cóż to znowu? Nie do końca spopielony kłęb papierów. Obejrzał się - w piecu tkwił jeszcze jeden. Więc to na niego spadło - zagadka rozwiązana - coś takiego zatykało komin. Ten idiota. Wasyl! Pakował do pieca całe sterty papieru. Zaraz! Straszliwe podejrzenie dźwignęło go w górę. Sięgnął do pieca, niektóre karty były tylko nadpalone. No - tak. . Jego własne pismo! Zaraz. .

150 " Strażnik na to. . . sadza się skazańca na stołku, plecami do tej obroży, obejmującej mu

szyję. Zwój jedwabiu nakręcony na kołowrotek dusi go powoli, aż. . . " Jezu, jego zapiski spod Ołowianego Dachy. Dlatego nie mógł ich ostatnio znaleźć. A to?

" Odkryłem więc jej piękne piersi i porównałem z tamtymi, których uroki znałem już wcześniej. Spłonily się obie, a potem. . . "

Zabije! Wsadzi mu szpadę w gardło aż po rękojeść. Zbiry, same zbiry naokoło. Jego rękopisy, dzieło jego życia - w piecu. Zabić to mało - osobiście eskortować do piekła! Zbóje! Pochowali się wszyscy, nigdy ich nie ma, kiedy potrzeba. Żeby go bronić, żeby dbać o niego i jego sprawy. Podlece, policzy się z nimi zaraz. Złapał rękojeść szpady i nie dbając o to, że trzyma tylko jej kikut, potoczył się w stronę kuchni.

Byli wszyscy. I był też nieład jak po trzęsieniu ziemi, wszystko porzrucane, rozdeptane bułki na podłodze, wywrócone krzesła. Wasyl, czerwony z wysiłku, próbował postawić na nogi wielki stół. Sara i Etel ładowały bułki do miednicy, a Jeremi, przytrzymywany za nogi przez Paulę, zatykał szmatami wybitą szybę. Co tu się dzieje? Co wyrabiają? Niech się raczej złączą modlić, bo zaraz zrobi z nich siekaninę. Potrząsnął garścią, w którą zebrał zwęglony papier. Kto to zrobił? Kto? Kto go zamordował z zimną krwią? Gdzie zniknęli, kiedy potrzebował pomocy? A innych zdunów nie było, co, Wasyl?

Czy wie co zniszczył? Dzieło. Dokument. Świadecko epoki. W piekle się za to nie wysmaży, ponure bydło. W ułamku sekundy, jaki mu został do wścieklej szarzy, zauważył nagle podkute siniakiem oko Wasyla, splakane twarze dziewczynek i podarte spodnie Jeremiego. Te zbiry musiały i tu zrobić pogrom. Jezu, gotowi mu zepsuć efekt na wieczór. Pal licho manuskrypty, może gdyby było w nich więcej prawdy, lepiej by się paliły. Napisze nowe, niech no tylko wydostanie się z Polski. A teraz musi ich zebrać do kupy, a nie straszyć. Inaczej rozleżą się w szwach zamiast mu służyć w decydującej chwili.

Wyciągnął rękę w stronę Wasyla. Olbrzym zasłonił się bojaźliwie. W pysk? Dureń, niech no pokaże tę swoją mordę. Nie najgorzej. Trochę pudru i różu i nie będzie śladu. A jeśli będzie, to zafunduje mu na wieczór prawdziwie zbójcką przepaskę na oko. Ale z drogi niech mu schodzi, bo najlepsze chęci mogą nie wystarczyć. . . Następni! Ruszył krok przed siebie i zamarł z wrażenia.

Ze ściany naprzeciwko spoglądał na niego jakiś dziwaczny, czarny stwór, ze zwisającym nad uchem skalpem peruki, łyskający białkami oczu w istic diabelskiej twarzy. Nie zdążył rzucić się do ucieczki, gdy zrozumiał, że to on sam, w lustrze. On? Nie, to chyba niemożliwe. Dotknął ręką nosa. Tamten stwór z lustra czarną łapą palnął w wielki, jakby spalony nochal. A jednak. Coś zakwiliło w nim, nie był pewien - płacz czy śmiech. Spojrzał uważniej na zapłakane bliźniaczki. Takie łzy osuszy w parę minut - do wieczora nie zostanie śladu. Gorzej będzie ze strachem w oczach, ale i na to coś poradzi. Znowu zerknął w lustro. Zjawa nie zniknęła. Wpatrywała się w niego z zaciekawieniem równym jego własnemu. Już nie miał wątpliwości co go tak nieodparcie drapie w gardle. Wierzgnął głową i zanim pióropusz sadzy

zdażył opaść niżej, wzbil go ponownie w górę donośnym śmiechem, rykiem prawdziwym, jerychońską trąbą na jego prywatny użytek. Śmiał się tak, potrzęsając skudloną peruką, rozmazując palcami śliski brud na czole i policzkach, aż na ich twarzach pojawiły się rumieńce zdumienia, a na końcu, zaraz potem i oni zachichotali, pisnęli zatoczyli się w oczyszczającym śmiechu.

Pomógł Jeremiemu zgramolić się z parapetu. Objął go jedną ręką, drugą nabił na kikut szpady rozdeptaną bułkę. Trzymał ją chwilę przed sobą jak berło, zanim podał Pauli. Niech się pieprzy z kim chce, byle poszybowała dziś pod sufit. Teraz sięgnął do koszyka. Dla Sary i Etel. Niech ich podwójna moc potroi się wieczorem. Wasyl złapał bułkę ze zręcznością małpy. Będzie małpą, strasznym gorylem, niedźwiedziem ludożercą, syberyjskim tygrysem łaknącym krwi. Dla Jeremiego, prosto w usta. Musi go uratować, unieść choćby i tron. Musi.

151 Wreszcie kęs bułki i dla niego. Boże, jaką ma na nią ochotę. Z całym światem chyba walczył

ten żydowski smarkacz skoro odmówił sobie czegoś takiego. Nie jedli. Nie śmiali się już. Czekali na niego. Co zrobi. Co powie. Ugryzł kęs. Niczego nie ma.

- Dobrze. . Drugi kęs. Jest. - Wspaniale. . Czy są w ogóle wspanialsze rzeczy na tym świecie? Nie oddychali prawie. Byli jego bez reszty. - Są. . I my to musimy dzisiaj udowodnić.

152

LOT

Tyłu gości się nie spodziewał. Pstrokaty tłum przechadzał się i szumiał w jednej z głównych sal królewskiego zamku. Trochę osób znał i to dodawało mu otuchy. Ale po co ta reszta? Zakaszle każde skupienie, rozproszy chichotem najwyższy trans, ściąganie ich głupimi szeptami na ziemię. Ale - u diaska - miewał o wiele znaczniejszą i większą publiczność niż na tym, w końcu - prowincjonalnym, dworze i jakoś dawał sobie radę. Tyle że nigdy dotąd nie czuł w takiej chwili dotyku powroza na szyi.

Musieli tu być wszyscy. I ci od rubli, i ci od talarów, i ci inni jeszcze, których nie znał, a którzy polowali na jego tyłek. I te wszystkie panienki, damy i kurwiszony, na których tyłki on polował. Są. Catai w purpurowej sukni, otoczona ruchem - podskokami, wymachiwaniem rąk, gęsim dygotem szyj - adoratorów. Prawdziwa królowa, ale piekiel. Binetti, ledwie widoczna spod strojnej peruki, niespokojnie popatrująca w jego stronę. Lili, jego słodka córeczka, jest przy nim przebrana za pasterkę, ale wygląda jak anioł. A diabeł? Siedział blisko pułku jeszcze tronu, hycel z twarzą buldoga, obwieszony orderami, słuchający z pogardliwą miną raportu wyprężonego na bacność oficera. Jego ekscelencja hrabia Repnin. Ambasador najjaśniejszej imperatorowej. . . najciemniejszej kreatury, cuchnącej diabolicznie - świni w świńskiej skórze.

O, nie, nie, nie. Musi przestać. Bo się spali zanim trzeba będzie zapłonąć. I oni, jego fantazyjnie poprzebierane stadko, przycupnięte za kurtyną maleńkiej scenki, niech przestaną tak gapić się na wszystko, bo zgłupieją, speszą się i załamią przy pierwszej próbie. Skupienie, cisza, spokojne czekanie. Wasyl niech pilnuje, żeby nikt się nie rozchodził.

- Monsignore - zwrócił się do przechodzącego obok biskupa, którego pamiętał z ciętych i inteligentnych uwag z obiadu u króla - chciałbym zacząć tak: Z łaski miłościwie panującego króla Polski, Wielkiego Księcia Litewskiego, Ruskiego, Pruskiego, Mazowieckiego, Żmudzkiego, Kijowskiego, Wołyńskiego, Podolskiego, Podlaskiego, Inflanckiego, Smoleńskiego, Siewierskiego, Czero. . . Czerchowskiego. . .

- Czernichowskiego. . - No, właśnie. Czernichowskiego. I że z tej łaski mamy zaszczyt zaprezentować. . . Tak będzie dobrze?

Twarz biskupa nie wyrażała bynajmniej zachwytu dla pilności, z jaką Casanova przyswoił sobie łamiące język nazwy. Krasicki, biskup Ignacy Krasicki, przypomniał sobie nazwisko, to przy okazji, zdaje się, poeta czy muzyk.

- Król nie lubi takich ceregieli, panie Casanova. Ale jeśli pan lubi. . . Dobrze, że to wiedział. Nie trzeba mu było dwa razy powtarzać. Nie pchał się do wygłoszenia kwiecistych oracji, w których pominięcie któregoś z oficjalnych tytułów mogło być uznane za obrazę majestatu, a przedstawienie obco brzmiących liter groziło konfliktem dyplomatycznym. Czekał skromnie aż pojawi się niewielki orszak króla, aż usadowią się wszyscy i ten młody jeszcze, acz ze śladami zgorzknienia na twarzy, mężczyzna, da mu znak ręką, żeby zaczynać.

Skłonił się ceremonialnie, aż zabolowały go żebra, obtłuczone rano przez zbirów Kuca. To dla króla. . . A drugi skłon, równie piękny, choć już nie tak głęboki - dla książąt, hrabiów, bi-

153 skupów, ambasadorów, generałów i całej tej reszty, którą musi teraz pozyskać. Dojrzał wcz-

śniej Kotuszkę, te dwa skłony mistrza powinny go oduczyć na całe życie zadzierania nosa. Jezu, musi ich teraz prawdziwie oczarować, zmusić, żeby mu uwierzyli. Inaczej koniec, przejdzie na utrzymanie Kotuszki, o ile w ogóle będzie co utrzymywać.

Wszedł na płytki podest rozpoczynający scenę. Za sobą miał kurtynę z wiśniowego pluszu i schowaną za nią swoją dziwną trupe, której strach, przez plusz kurtynki, przez jego złotem wyszywany kaftan i przez jedwab koszuli, zjeżył mu skórę na plecach. No, spokojnie, spokojnie. Zaraz przekonają się, co potrafi.

- Najjaśniejszy panie - lewą rękę uniósł na wysokość piersi, odgiął dłoń tak, by ogarniała całą tę stronę sali - prześwietne panie i zacni panowie. Życie to wielka zagadka. Bóg ją zadał człowiekowi i Bóg tylko zna jej wszystkie rozwiązania. My, ludzie, poruszamy się po omacku po naszej ścieżce żywota, w mroku rozświetlonym czasem odkryciem nowych szczegółów boskiego planu.

Dość o Bogu, fioletowe suknie biskupów falują niebezpiecznie. Nie ma powodu do obaw, nie jest tak głupi, żeby ryzykować herezję. Lewa strona pomrukuje jeszcze swoim życiem. Szczupła blondynka o drapieżnej urodzie i sukni najstrojniejszej chyba w całej sali, śmiała się - czy nie z niego - niedbale tylko zasłaniając twarz wachlarzem. Poświęcił na nią mały palec. Ta nie będzie groźna.

- I właśnie pewien specjalny szczegół człowieczej natury, który Stwórca ukrył głęboko przed większością ludzi, a ujawnił go tylko niektórym - będziemy chcieli państwu pokazać.

. Groźniejszy jest ten wąsaty kloc, szepczący jej jakieś facecje - czy nie o nim - do ucha. Branicki. Na tego to i cała ręka nie pomoże. Dalej. Ale spokojnie, bez pośpiechu, niech zgubią najpierw te śmieszki i uciszą się sami. I król nie słucha uważnie, zajęty kręceniem na palcu wielkiego pierścienia z rubinem.

- Proszę się nie obawiać - to nie będzie kobieta z brodą, ani mężczyzna o dwóch głowach. Prawie ich miał. Zaśmiali się razem, to i razem ucichną. A on im pomoże wybrać moment. Już całą ręką, ale jeszcze zgiętą w łokciu, jeszcze przylegającą ciasno do ciała. Dobrze. Miał to, co chciał - ciszę. A zaraz będzie miał uwagę.

- Co to zatem będzie? Sam się zastanawiam, jak to nazwać. Cudem, tajemnicą, dziwac- twem natury? A czyż my wszyscy nie jesteśmy tym wszystkim pospołu?

Teraz już szybko. Bo mu się znowu rozejdą i rozszeptają. - Popatrzmy na przykład na nasze dłonie. Tak, dłonie. Co w nich nadzwyczajnego? Na po- zór niewiele. Skóra, paznokcie. Co więcej? No, może u niektórych piękne pierścienie.

Król przestał się bawić rubinem, spojrział uważniej. To już była pora na drugą rękę. Gia- como puścił skraj kaftana, zaplótł przed sobą dłonie powolnym gestem.

- A przecież jest coś czego w tych dłoniach nie widzimy, coś dla nich najważniejsze. Cie- pło - najjaśniejszy królu, przeświecne panie i panowie - ciepło. Przyczyna i skutek naszego istnienia. Boski dar, roznoszony z krwią po całym ciele. Nie widzimy go, ale możemy bez trudu wyczuć. A jeśli emanuje z nas nie tylko ciepło, a jeszcze inny rodzaj naturalnej energii, której zobaczyć nie można, poczuć się nie da, a która mimo wszystko istnieje? Jak się o tym przekonać? Jak się przekonać, że w każdym z nas tkwi biologiczna siła, o której nie mamy pojęcia? Jak udowodnić, że cielesny magnetyzm, bo tak uczeni nazywają tę nieznaną dotąd moc, jest czymś realnym i materialnym.

Zawiesić głos. Dwie sekundy, nie więcej. - Nie wiem.

. Wszystko dobrze. Westchnęli z rozczarowania, odęli się lekceważąco. - Ja nie wiem. Ale jak mawia mój przyjaciel Wolter - zawsze znajdzie się ktoś, kto wie. I kogoś takiego właśnie mam teraz zamiar przedstawić.

Ta ulga, ten szurgot nóg i podniecony pomruk, brzmiały jak anielskie chóry. Powinien uwodzić gawieź na jarmarkach. Wreszcie mógł uwolnić ręce - skąd mu się ten Wolter pła-

154 cze ciągle w głowie - rozpostrzeć je nad nimi - brednie z tą przyjaźnią - wziąć w ten sposób

wszystkich w ramiona - kilka razy ze sobą rozmawiali bez większej sympatii - zjednać ich do siebie, przyciągnąć rozcapierzonymi palcami, a potem, ścisnąwszy je w pięści - w gruncie rzeczy przemądrzały dupek - zjednoczyć!

! I tak, trzymając salę między rozpostartymi ramionami ustąpił krok do tyłu, i ostrożnie - żeby nie uronić nikogo - obrócił się w stronę scenki.

. - Przed królewskim majestatem i przed wszystkimi wspaniałymi gośćmi potomek tatarskiego chana i indyjskiej księżniczki Jeremiasz Wielki i jego równie egzotyczna świta. Voilà.

Wasył dosłyszał, zrozumiał, pociągnął za sznurek. Kurtynka rozjechała się na boki, ale widok jaki odsłoniła, zaskoczył go nieprzyjemnie. Gdzież wzniesione ramiona Jeremiego, w które miał oddać to, co już sam zyskał na tej sali? Chłopiec stał smętny, przestraszony, nerwowo skubiąc kraj za dużego na niego płaszcza z czarnego aksamitu. Jezu, żeby się tylko nie zaczęli śmiać. Na co czeka, smarkacz? A ta krowa, Paula? Czemu mu niczego nie podaje, po to jej zafundował suknię, jakiej by w swoim życiu na tyłku nie miała, żeby teraz wybałuszała oczy jak sparaliżowana. Jazda!

Zamiast Pauli ruszył Wasył, wręczył Jeremiu tabakierkę z głębokim pokłonem. Zbawca! Daruje mu te spalone papiery. Opuścił szybko ręce i cofnął się jeszcze bardziej aż poczuł na plecach aksamit kurtyny. Teraz. Zaraz. Wszystko się rozstrzygnie. Wóz czy przewóz. Góra czy dół. Zamknął oczy. Lepiej nie zapeszać. To, co się stanie - i tak usłyszy. Nie wytrzymał jednak przedłużającej się ciszy. Tak zbaranieli, że boją się mruknąć na widok cudu - wiszącej między palcami Jeremiego tabakierki? Spojrzał i zimny pot zrosił mu czoło.

Chłopiec pobladły i ciężko chwytny ustami powietrze, miesił palcami tabakierkę, nerwowo jednak, jakby go parzyła. To nie był ten sam Jeremi, który wczoraj zmierzył się nawet z miedzianym czajnikiem. Jeszcze się nie śmiali, ale wzbudzony już szmer nie wróżył niczego dobrego.

Jezus Maria! Tabakierka stuknęła głucho o podłogę, rozłożone dłonie Jeremiego trzymały tylko powietrze. Szybko. Dalej. Póki oni jeszcze nie wiedzą, co się dzieje. Klucz. Duży klucz z błyszczącego mosiądzu. Niechże się smarkacz weźmie w garść. Potrafi przecież. Niech za-

mknie oczy, jeśli boi się tyłu gapiów. Avanti! Jeremi przymknął powieki, jakby go słyszał. No, niech usłyszy jeszcze to zaklęcie - naprzód, ma ich los dosłownie w swoich rękach. Żyły na skroniach chłopca pociemniały, ale klucz tkwił nadal w dłoniach. Co się dzieje? Struł się czymś czy co? A jeśli i teraz. . . Ile może ważyć taki klucz? Niemało. Jak rąbnie, narobi huku. Nie dopuści do tego.

I nie dopuścił. Schylił się błyskawicznie i złapał klucz szybujący ku ziemi, ale najchętniej walnąłby razem z nim na podłogę i objąwszy łeb rękami, zawył z upokorzenia i rozpacz. Cóż po chęciach - poderwał się równie szybko, z trudem zachowując równowagę. Ktoś podał mu rękę, Paula, pobladła z wrażenia Paula. Zasłonił sobą Jeremiego przed salą, ale i przed nią. O, cholera, najbardziej cholerna z choler - przecież to jasne! Wszystko przez tę dziwkę. Zabrała małemu wszystkie siły swoim dupskiem, wysłała z niego, wiedźma, to, co najlepsze. Że też od razu nie przyszło mu to do głowy. A jeśli, do stu tysięcy par rogatych świń, jeśli wykończyła Jeremiego całkiem, jeśli raz na zawsze wykastrowała go z jego nadzwyczajnej mocy. . .

- Natura tego eksperymentu jest tak skomplikowana, a jego poszczególne stadia tak trudne do opanowania za jednym zamachem, że musimy wszyscy wykazać pewną cierpliwość. Proszę o nią uniżenie w imieniu Jeremiasza Wielkiego i nas wszystkich. O cierpliwość i sprzyjanie sprawie. Każda bowiem niechętna myśl czy, nie daj Boże, słowo, może spowodować katastrofę.

- A to jeszcze nie była katastrofa? ? Nie musiał zgadywać, który z wąsatych pysków się odezwał. Ten głos zdążył już poznać. Bezmózgi kloc. Jeszcze słowo, a wsadzi mu ten idiotyczny klucz, który parzy palce - w tyłek. Król gestem uciszył Branickiego, a może tylko zasłonił dłonią własny uśmiech.

155 Ale to w istocie nie była jeszcze prawdziwa katastrofa. Prawdziwa katastrofa zdarzyła się

w chwilę później, gdy Jeremi, nie czekając na jego znak, zaczął się mocować z wielkim miedzianym czajnikiem i w takt słów Casanovy, zdławionym głosem przekonującego salę o wyższości ducha nad ciałem - zwałił go sobie na nogi. Tu już nie było czego ratować. Spojrzał wściekle na Wasyla. Kurtyna!

Opuściło go szczęście. Kłapa. Zwis. Koszmarny sen na jawie. Stoi przed nimi nagi i bosi, ze spuszczoną głową, zapadłą piersią i zwiędłą marchewką zamiast potężnego dyndasa. Cze- go chce ta kałmucka gęba? Niech mu zejść z oczu ci nędzni pomocnicy, bo nie odpowiada za



siebie. Wsadziłby im teraz chętnie wszystkim klucz w tyłki, tylko tej dziwce Pauli nie, bo jeszcze by miała z tego przyjemność.

Jakiś ruch zaczął się na sali, odsuwano się od niego krok po kroku w stronę tronu, odwracano plecami, chowano twarze w wachlarzach. Binetti spojrzała wściekle jakby to z nią mu nie wyszło, a nie z całym światem. Słyszał śmiech Branickiego i Catai, widział niedowierzanie w oczach biskupa Krasickiego i pogardę na twarzy ambasadora Repnina. A król? Król wsparty na dłoni czekał. Jakby staranne klasyczne wychowanie i dworska etykieta kazały mu doczekać końca takiej sytuacji. To szansa. Ale co on ma z tą szansą zrobić - nagi, bosy, wykastrowany? Niegodny królewskiego majestatu.

Ktoś się jednak do niego uśmiecha. Książę Pepi. Uśmiecha się i mruga porozumiewawczo, jakby im razem udał się świetny dowcip. Ma go za dowcipnisia, a to, co się stało, za błazeński wygłup? Boże, czyż to nie jest znak, na który czekał? Będzie błaznem. Błaznom darowuje się katastrofy i kompromitacje, dopuszcza do tronu i sypialni. Ten dwór nie ma błazna. Nie miał do dzisiaj.

Skłonił się jeszcze raz, tak nisko, że musiał podeprzeć się dłonią, żeby nie upaść. Nie było źle, szum rozbawienia dodał mu sił.

A król? Jeszcze nic. Boże, miej w opiece błazna! - To była tylko próba. Jak wszyscy widzieli, zła konstelacja gwiazd i skomplikowany układ między Marsem a Wenus, uczynił tę próbę, hm - smyrnął rozgrzanym w palcach kłuczem w górę, złapał go zręcznie - chyba zbyt ciężką dla naszego niewielkiego Jeremiasza Wielkiego.

Nikt się nie zaśmiał, a on za śmiech, którym się do nich szczyrzył, chętnie naplułby sam sobie w gębę, a swoich marnych współników przegnał na cztery wiatry. I robi tak, jak mu życie miłe, niech no tylko przetrwa jakoś te katorżnicze chwile. Tamtych przegna, a sobie naubliża. Z motyką porwał się na słońce. To dobre dla durniów. Albo straceńców. Nieraz tak próbował. Ale teraz słońce wyżej, motyka cięższa, a on już nie ma wyjścia.

- Czy jest jakieś wyjście z tej sytuacji? - Jest. . Przez drzwi. Usłyszał to, czy sam powiedział. Ćmi mu się już w głowie z napięcia. - Są dwa wyjścia. Pierwsze czysto logiczne. Jeśli przyjąć, a czemuż mielibyśmy zaprzeczać boskim prawom logiki, że wyjątek, każdy wyjątek potwierdza regułę, od której jest odstępstwem, to możemy uznać to, co nieudane za nieistotne, a naszą próbę za udaną.

- Akurat! ! To ten toskański malarzyna, któremu wyjął z łóżka Paulę. Ośmiela się tak bezczelnie od- zywać? Też liczy na błazeńską czapkę? Ale przeliczył się. Król uśmiechnął się życzliwie i poprawił w fotelu, jakby przekonany, że teraz dopiero nastąpi coś naprawdę ciekawego.

- A to gdzieś pan wyczytał - u jakiego filozofa? ? - U rosyjskiego myśliciela, najjaśniejszy panie - księcia Żopskiego, którego miałem nie- dawno okazję uścisnąć, a nawet nie raz osobiście ucałować.

Aż mu tchu na koniec zabrakło, ale udało się - król zaśmiał się prawdziwie rozbawiony. . - A to drugie wyjście?

? - Drugie wyjście nie ma olśniewającej prostoty pierwszego. Ale za to obiecuje niezapomniane wrażenia.

156 - Znowu obiecanki. . Jak to mówią - obiecanki cacanki, , a głupiemu radość.

To wygolone bydlę ośmiela się na takie uwagi przy królu. Ale król jakby nie słyszał. A może to znowu nie król prawdziwy, tylko tamten łże- król o wielkich stopach. Zakpili z niego, błazna? Prawdziwy król Polski, Wielki Księżę Ruski, Pruski, Litewski i diabli już wiedzą jaki jeszcze, dopiero nadejdzie i wszystko zacznie się od początku: Jeremi, tabakierka, czajnik, śmiech.

- Cóż to będzie? ? Prawdziwy. Tylko prawdziwy potrafi z takim spokojem - nie słyszeć. No i te pantofle ze złotymi klamrami skrywające delikatną, niedużą stopę.

- Będzie to, , królu, kolejny dowód wyższości ducha nad materią. - Pokaż pan lepiej, , co naprawdę potrafisz. - Ale chyba nie przy damach?

? Branicki i ten przebrany za człowieka toskański pacykarz. Przesłał w ich stronę promienny uśmiech. Tak, tak, pieprzyłem twoją Paulę na sto pięćdziesiąt pięć sposobów, a jak mi się znudziła, to oddałem ją służbie. A o twojej Catai wiem więcej niż ty się dowiesz przez resztę życia.

- Nie ma powodu do niepokoju, łaskawi panowie. Właśnie chcę pokazać coś, co potrafię najlepiej ze znanych mi ludzi. A damy mogą być spokojne, nic nie uchybi ich godności.

Ponury błazen, nudziarz. Byle nie wpaść w ten ton. - Chyba żeby. . . . Błysk zainteresowania ożywił znużoną nieco twarz księcia Pepi. - Żeby? ? Chyba żeby coś nie wyszło? - Przeciwnie. . Chyba żeby mi się udało. Lepiej byłoby nie słyszeć tego uśmiechu i nie widzieć ich min, udających rozbawienie, a podszytych ledwie skrywaną pogardą dla cudotwórcy, który sam pokpiwa z tego, co obiecuje. Niech myślą, że jest błaznem, oszustem, bezczelnym wydrwigroszem, niech sobie myślą, co tylko chcą. Byle on doczekał swojej chwili.

Z łaski Stanisława Augusta, króla Polski, Wielkiego Księcia Litwy, Rusi, Prus i jakichś innych szeleszczących w ustach krain, doczekał. Królewska dłoń z rubinem jak kurcze jajo, uciśnięta wszystkich. Koniec błaznowania. I nagła pustka. Co? Kto? Na pewno nie Paula. To przez nią nic się nie udało. Nie chce jej nawet widzieć. Gdzie Lili i siostry? Krzesło jest. A kto na nim siądzie? Suknia niechby została. Ale żadnej cielesności. To przez jej nadmiar stoi teraz nad przepaścią. Biskup! Niebo mu chyba podpowiedziało ten pomysł. Biskup Krasicki. Czuł, że tamten nie odmówi. I choć chciał, niepewnie się wymawiając, to jednak - napotkawszy wzrok Casanovy - zgodził się ku radości świty księcia Pepi. Boże, pomyślał Giacomo, wyglądam pewnie jak zbity pies. Tylko biskup to zauważył, ale zobaczył we mnie jeszcze człowieka. I to człowieka oczekującego pomocy. A tamci, ta reszta, żadna tylko głupiej zabawy i plotek? Widzi psa i ma mnie za psa, co najwyżej za błazna balansującego na linie nad przepaścią.

Miał już więc siedzącego na krześle biskupa, rozdartego między niepokojem kościelnego dostojnika, stoicyzmem mędrca i chęcią zabawy skorego do żartów poety. Miał obie dziewczynki, Sarę i Eteł, ufryzowane i ubrane przez damy dworu, czekające, jak egzotyczne motyle, na jego znak, żeby poderwać się do lotu. Ale w nim samym ciągle wszystko było z ołowiu. Mógł się uśmiechać, kłaniać, popluwać chyłkiem na palce sposobiące się do akcji, ale tam w środku gruda bólu, lęku i urazy ledwie dawała mu oddychać. Nie udźwignie tych ludzi, nie wygra z ich obojętną wzgardą, a cóż dopiero z niemal jawnym szyderstwem. Prawie czuł już jak wali się ze swojej liny w przepaść, jak krzesło z biskupem wywraca się, a świątobliwe ręce i nogi chwytają co popadnie, by nie znaleźć się razem z nim na podłodze. Koszmar. To mu pisane? Nie tryumfalne wety, a ucieczka chyłkiem przy ścianie, a może i co gorszego, jeśli ktoś uzna, że dopuścił się obrazy królewskiego majestatu? A niech go posadzą do lochu,

157 odpocznie chociaż od tej szarpaniny. Oszalał? Nigdy. Nie dostaną go więcej. Nikt go nie do-

stanie. A już najmniej ci, którzy teraz czekają na jego klęskę. Szarpnął koszulę na piersiach. Powietrze też mu chcą zabrać?

Nagle wyprostował się. Kogo się boi? Czyż nie takich samych śmiertelników? Zedrzeć z nich tylko ich bogate stroje i tytuły i co zostanie? Stado przestraszonych ludzi. Zobaczył to - kryjący brzuchy mężczyźni z podgolonymi głowami i kobiety kulące się ze wstydu. Wystające łopatki, obwisłe piersi, pałkowate nogi tych chytrusek, śmiejących się z niego za zasłoną wachlarzy, kurze bicepsy, spróchniałe zęby i po świńsku zakręcone dyndasy przemądrzałych dworaków, Branicki owłosiony jak małpa, księżę Pepi z wyprostowaną laną, gotów dźgać kogo opadnie. I tylko Catai piękna jak zawsze, ze sterczącymi wyzywająco piersiami - jak kara czy obietnica nagrody? To wszystko niczym scena biblijnego sądu i nie oni - nędzni, grzeszni, mali - są w niej po stronie niebieskiego trybunału, a właśnie on, opanowany już, skupiony, jednym gestem mogący obrócić ich w popiół.

Uniósł ostrzegawczo rękę - nie znają dnia, ani godziny - ale zamiast groźby albo nawet wyroku, ostał się jedynie krótki znak dla dziewczynek. Tylko przez moment przytrzymał ich dłonie. Już! To ma być błysk, krzyk, lot!

I był. Nie widział przed sobą niczego prócz biskupiego fioletu, uciekającego nagle w górę, nie czuł ciężaru unoszonego ciała i nie słyszał okrzyków zdumienia i przestachu, kiedy bi- skup Krasicki, pofrunąwszy wyżej ich głów, lecąc w dół na złamanie karku, wylądował w jego nadstawionych ramionach. Tylko jakimś nieobecnym dotąd zmysłem pojął, że tym razem wreszcie wygrał.

Potem, długo potem, gdy już wszyscy chętni polecili w powietrze, głosząc swymi piskami przestachu i okrzykami zachwytu, chwałę dla jego sztuki i zabawa była skończona - król poprosił go ze sobą do gabinetu. Boże, ma to, o czym jeszcze godzinę temu mógł tylko marzyć. Byli sami. Gdzieś tam kręcili się dyskretnie służący, podając owoce i nalewając wino, ale to się nie liczyło. Sami. On naprzeciwko króla. Obserwował łączywie. Teraz wszystko już zależało tylko od niego. No i trochę od tego mężczyzny naprzeciwko. Stanislaus Augustus, Rex Poloniae. . . Był chyba trochę starszy niż wydało się Casanovie tamtego wieczoru, ale może to półmrok tak mu dodał lat. Trzydzieści pięć, sześć lat. Na pewno jednak mniej niż na koronacyjnym portrecie.

- Widział pan mój portret koronacyjny. . To nie było pytanie tylko stwierdzenie i to wydarło jego myślom. Jezu, musi uważać. To nie będzie zwykła rozmowa. Król pił lekkie wino, Casanova sięgnął także po kieliszek, choć teraz bez wahania wlałby w siebie szklanekę tej piekielnej, miejscowej wódki.

- O , tak. Piękny. Godny narodu, który wydał takiego króla. Poskutkowało. Może nie będzie tak źle. Trochę uprzejmości na początek, a potem przystą- pi do rzeczy . Tylko od czego zacząć. Manufaktura jedwabiu, drut kolczasty, loteria czy spodnie z rozporkiem? Bo czym skończyć - to wiedział dobrze. . Życie, jego własne życie.

- Prawdę mówiąc nie lubię czegoś takiego. . . . Za mało w tym prawdy. Zmartwił, zanim pojął, że król mówi o obrazie. Mógłby teraz przyszpilić toskańskiego bubka jakąś celną uwagą o jego braku wyczucia przestrzeni czy nazbyt krzykliwej palecie, ale nie czas na sprawy małe, gdy czekają wielkie. Wino nie było złe, ostrzygi jeszcze lepsze. Ma- nufaktura.

- Pański brat, , zdaje się też jest malarzem? Wie o Giovanim. Pięknie. Nie jesteśmy sami. - O tak. . I to bardzo cenionym. - Namówże go pan, , żeby i nas kiedyś odwiedził. - Z prawdziwą przyjemnością, , najjaśniejszy panie. Z prawdziwą przyjemnością to by sobie odgryzł język. Nawet tylko obietnica spotkania się z tym pyszałkiem braciszkiem i namawiania go do czegokolwiek była bardziej przykra.

158 - Mój brat gustuje co prawda w pejzażach, ale i malarstwo historyczne nie jest mu obce.  
A

historia tak wspaniałego kraju na pewno warta jest malarskiego wizerunku. Pisarskiego zresztą też. Przyznaję, że sam już zacząłem pisać coś na ten temat.

- Co pan wie o naszej historii? ? Otarł dyskretnie twarz. Kropla potu to czy już krew z jego poczerwieniałej twarzy? - Niewiele, ale liczę na pomoc waszej wysokości, no i na dokumenty z królewskiej bi- blioteki.

Stanisław August jakby zawahał się przed odpowiedzią. Chce go posłać do diabła? - Powiedzmy - że nie jest to wykluczone.

. Dobrze. Napisze. Dzieło. Historię Polski dla cudzoziemców. Czemu nie? To będzie jego prawdziwa przepustka do kariery na tym dworze, lepsza niż podnoszenie najtęższych nawet głów i najpoważniejszych tyłków. A że wie na ten temat co najwyżej tyle, ile, powiedzmy, książkę Pepi o historii Wenecji? A cóż to ma za znaczenie? Niejeden naród winszowałaby sobie takiego dziejopisa. Jeśli tylko dobrze zapłacą. . . Ale znowu - uwaga! Co znaczy dziwny

wzrok króla? I to wzburzenie, z trudem hamowane od początku ich rozmowy, a teraz gwałtownie wyładowywane na skorupkach ostryg.

- Polska to dziwny kraj. . Ale ma swoje zalety. Wiesz, na przykład, że tu u nas nie zabija się królów? Jest taki stary zwyczaj, może nawet przesąd.

Boże, po nim. Dał się uśpić jak ostatni smarkacz. " Wie o Giovanim " . Wie o Giovanim, to i wie o nim. Wyda go katom czy sam zabije? Nie takie rzeczy słyszał o wschodnich satrapach, a i widział już niejedno. Trudno. Ma prawo. Sam mu włożył w ręce. Ale chociaż odejdzie z godnością.

- Wspaniały to naród co ma takie przesady. . Król uśmiechnął się kwaśno, ale to nie sok z cytryny wykrzywił jego rysy. - Może. Ja nie mam takich złudzeń. Z tym akurat przesądem dziarsko się ostatnio walczy, bardziej dziarsko niż z prawdziwymi wrogami. No i któregoś pięknego dnia, któryś z moich wspaniałych rodaków palnie mi w łeb albo przebije szpadą wątrobę. Jakiś, czy ja wiem - Nowowiejski, Romejko albo, dajmy na to - Branicki.

. Matko Przenajświętsza, dzięki ci! A więc to nie o niego chodzi. Dureń. Spietrał się przy pierwszej okazji. Nerwy w strzępach. Napij się, Giacomo, i zacznij myśleć. Bo przegrasz nawet to, co już wygrałeś.

- Branicki? ? To przecież przyjaciel. - Chyba diabła. . Albo carskiego ambasadora, co zresztą na jedno wychodzi. Cały u niego w kieszeni. A kto płaci, panie Casanova. . .

To już było coś. Może nie Coś, ale coś na pewno. Tylko co? - O ile jednakże wiem, to znaczy - mówią o nim, że oszczędza polską krew, unika walki z buntownikami.

- A dajże pan spokój. Nie chce ich pokonać, żeby moja władza nie wzrosła. Póki im po- błaża, konfederaci trzymają mnie ciągle w szachu, a Moskwa ma nadal powód do interwencji. Tak to jest, mój panie.

Dziwne, dziwne. Skoro jednak król to mówi. . . Ale co w takim razie znaczyła ta scena na schodach rosyjskiej ambasady. Przecież widział to na własne ocz y i na własne uszy słyszał.

- Ale przypadkiem, pewnym osobliwym zbiegiem okoliczności, słyszałem, że obić nie- dawno szpicłów donoszących jego ekscelencji ambasadorowi Repninowi.

Król skrzywił się, a on zrozumiał dlaczego, zanim jeszcze ucichły ostatnie słowa. - Niech pan nie nazywa tego diabła ekscelencją. Przynajmniej przy mnie. Przynajmniej, gdy jesteśmy sami. A co do mojego przyjaciela Branickiego. . . Cóż w tym dziwnego, że prze- gonił jakiś marnych szpicłów. Obniżają jego cenę, biorą byle co w nagrodę. Oj, panie Casa- nova, czy to mój czy twój naród wydał Machiavella?

159 Usiadł wygodniej, upił łyk wina. To była nowa sytuacja. Wróg. Mieli wspólnego wroga.

Ten człowiek zagraża im obu. Jemu podbiera kochanki, a królowi władzę. Łeb mu uciąć, a nie robić dowódcą własnego wojska.

- Wróg. . To słowo brzmiało jak zaklęcie, nawet nie wiedział, że je wypowiedział. Stanisław August wstał nagle z fotela, podszedł do sekretarzyka, zastawionego jakimiś szpargałami.

- Nie on jeden. . Co miał zrobić? Wstać, iść za nim, znaleźć bezpieczny temat rozmowy? Najpierw dopić kieliszek, wino było naprawdę dobre.

- Nie lubią mnie tu. Niech pan nie protestuje, doceniam pańską uprzejmość, ale wiem, co mówię. I niech pan się nie rusza z łaski swojej. Też mam ambicje malarskie. Nieźle kiedyś rysowałem. No i teraz też staram się nie wyjść całkiem z wprawy. . .

Król będzie go rysował! Boże, czy dziś rano, z głową w piecu, okładany kopniakami przez łotrów, mógł to przewidzieć? Wyprostował się godnie - z profilu czy en face? Bardzo proszę. Po pierwsze zaszczyt. Po drugie - nie trzeba nic robić, ani nic mówić, jakby się siedziało w drugim rzędzie. Po trzecie - jakże łatwo przejść potem od rysunku do problemu manufaktury ręcznie malowanego jedwabiu.

- Nie lubią mnie. Jedyne co mi mogą darować to baby. Korzystam, owszem z tego przy- wileju, no ale nie można się przecież przez cały dzień zajmować babami, co?

Casanova uśmiechnął się swobodnie. To był temat, który naprawdę lubił. - Właściwie - jak by to powiedzieć - można. . Ale niezupełnie wypada. Parsknęli jak chłopcy, którym udał się psikus. Teraz to i loterię francuską mógłby dla siebie załatwić. Stanisław August spoważniał, nie gubiąc uśmiechu z twarzy.

- To by mi chętnie wybaczyli. Ale innych rzeczy - o , co to, to nie! Nikogo tu nie mogę zadowolnić. Dla jednych jestem szaleńcem zadzierającym z Moskwą, dla drugich tchórzem i rosyjskim utrzymankiem.

- Ależ najjaśniejszy panie. . . . Jeśli to ma być jego portret, to co powstało teraz, tymi gwałtownymi, aż zaskwierczał pa- pier, ruchami rysika. Ośle uszy?

- Myśli pan, , że przesadzam. Chciałbym, żeby tak było. Ale temu królowi nikt nie zamierza darować, że chce naprawdę rządzić. To ciemny naród, panie Casanova. Ciemny i zakochany w swojej ciemności. Paru moźnych pociąga za sznurki i nie pozwala na żadne prawdziwe reformy. Niech pan spróbuje tu mówić o rozwoju przemysłu albo o potrzebach armii. Liberrum veto. Tyle łaciny zostało w tych zakutych łbach. Jest co prawda trochę rozsądnych ludzi. . . ale tylko trochę, niestety. A sąsiedzi? Wszyscy czekają na sposobną chwilę, żeby nas zadławić i połknąć. Rosja. . .

W tej pauzie nie było miejsca na jego obecność. To wiedział. Nie odzywaj się, Giacomo, milcz, pozuj starannie. To są tematy niebezpieczne dla królów.

- To było, jest i będzie nasze nieszczęście. Wystarczy spojrzeć na mapę. Inni sąsiedzi nie lepsi, ale ten jeszcze w dodatku głodny. Póki my tutaj słabi, bezwolni i pijani, będą działać powoli, bo co im po takim niestrawnym kąsku. Ale jak tylko spróbujemy porządków, wzmocnimy gospodarkę i wojsko, pomyślimy o narodowej zgodzie - rzucą się nam do gardła. Niech się pan nie wierci, ostatecznie, to nie o pańskie gardło tu chodzi.

Żart to czy ostrzeżenie? Żart. Ale mądrzej chyba zamienić się w słup soli niż reagować na takie żarty. Przynajmniej rysunek na tym skorzysta.



- Tak więc - rozszarpią nas na kawałki jak tylko ruszymy z miejsca. A jak nie ruszymy - zrobią w końcu to samo. No i jak się to panu podoba?

- Przyznaję, że nie miałem o niczym pojęcia.

160 - Nie pan jeden. Mamy spore pole manewru, jak widać. Pozwolić się udusić czy dać sobie

poderznąć gardło. Ciekawe, co by nam poradził pański przyjaciel Wolter. Choć na razie radzi, zdaje się, naszym wrogom.

- Wolter nie jest moim przyjacielem. Różnimy się w zbyt wielu sprawach. A z tego co mówisz, najjaśniejszy panie, widzę, że w jeszcze jednej, bardzo ważnej.

- Nie wiedziałeś, że on koresponduje z imperatorką Rosji? Ale nie przesadzajmy, to tyl- ko takie górnołotne pogaduszki dwojga filozoficznych dusz. Z tym, że jedno z nich ma na każde skinienie trzysta tysięcy bagnatów.

Teraz chyba wyrosły mu zęby, długie, wilcze, sięgające aż do brzegu kartki. Pokaże je przy okazji Wolterowi, niech wie, gdzie są prawdziwe granice jego mądrości.

- To cóż nam pozostało, biednym Polakom? Ruszyć się - strach, a nie ruszyć - groza. Drzeć się o swojej krzywdzie na całą Europę? A któż przekrzyczy ryczącego niedźwiedzia. Ale jest wyjście, przynajmniej staram się wierzyć, że jest. Bieg w miejscu. Rozumiesz?

- Nie bardzo. . - To dość proste. Ruch przy pozorach bezruchu. Takie przebieganie nogami, żeby pobu- dzić krew do żywszego krążenia. Inaczej mówiąc - szlachetne fałszywe, kręctwa w dobrej wie- rze i drobne oszustwa na drodze do prawdy. Półśrodki i na przykład - półdupki. Wydawać tysiące na orgie, ale miliony na armię. Stawiać pałace, ale i biblioteki, teatry, szkoły. To, co dobre, robić chyłkiem, bez rozgłosu, co złe - z hukiem, na całe gardło, w pełnym świetle, panowie bracia. Niech wszyscy wiedzą, że Ciołek hulaka, babiarz i półgłówek. Niech to gło- szą jak najgłośniej. Może jeszcze da się utargować - rok, dwa. Parę gmachów publicznych, trochę mądrzejszych praw, kilka pułków wojska. Tak to wygląda, panie Casanova. Bieg w miejscu, ot co!

- Teraz rozumiem. . Rozumiem i podziwiam. Język mu zdrętwiał - od tych gładkich słów czy od wina? A co miał innego mówić? I co pić skoro niczego innego nie było?

- Na podziw to jeszcze za wcześnie. - Król odłożył rysunek, wyraźnie z niego niezadowolony. - Bo i tak, czego bym nie dokonał - chór drze się, żem tchórz, kunktator i zdrajca. Sam się czasem zastanawiam, czy nie mają racji. A na moje listy to ona nawet nie odpowiada.

Była jakaś niejasna intencja w tych słowach. Po co król mu to wszystko mówi? Chce go ośmielić czy onieśmielić swoją szczerością, żartuje czy jest śmiertelnie poważny, kpi czy o drogę pyta? Jezu, jak się wszystko pokreśliło. Gdzie tu miejsce na kartofle albo spodnie z roz-porkiem.

- Można będzie zobaczyć? ? Nie. Zrozumiał bez słowa. Nawet to pytanie zamarło mu na wargach. Krótki błysk gniewu wystarczył. Gniew był królewski, co się zowie, solidny, od ucha do ucha. Giacomo skulił się w fotelu. Popułnił błąd czy pułapka była wcześniej zastawiona? Czuł przecież cały czas, że coś tu jest nie tak. Dowie się pewne zaraz - co. A nie wie, naprawdę się nie domyślał? I jesz- cze to dziwne szczypanie języka.

- Widziałeś się z nią? ? To był głos zranionego mężczyzny, nie króla. A więc to wszystko prawda, co o nim mó- wili.

- Miałem ten zaszczyt być przedstawionym imperatorowej. . - Postarzała się, , jak mówią. Jasne, sypiał z gdańską szafą. Ale wtedy jeszcze była pewnie delikatną szafeczką na pre-zenty.

- Trochę. . - Wyobrażam sobie. . Jeśli choć cząstka tego, co o niej mówią, jest prawdą. . . A jest? Jest. I to najpotworniejszą z potwornych - pomyślał i uśmiechnął się przepraszająco.

. - Nie mnie o tym sądzić, , najjaśniejszy panie.

161 Król spojrzał łagodniej, jakby zawstydził się swojej ciekawości.

- Sprytnie. Znasz właściwe odpowiedzi na niewłaściwe pytania. Byłby z ciebie niezły dyplomata.

Albo szuler, dodał Giacomo w myśli, schylając głowę w podzięcie za dobre słowo. Szuler i to taki, który sam już nie wie, kiedy oszukuje. Albo błazen. Albo. . . zmartwił nagle - albo trup! Matko Przenajświętsza! Skąd mu to przyszło do głowy? Skąd takie słowo? Czy to ten moment, którego tak się obawiał? A jeśli nie zgaga, ale trucizna pali go w język, ależ tak, otruli go, niezłego dyplomate, rosyjskiego szpiega, niedoszłego zamachowca, godnego takiego losu! To jest jedyna prawda, reszta była makabrycznym żartem. Musi się ratować, może jest jeszcze jakaś nadzieja. Przecież przyszedł wszystko wyznać jak na spowiedzi. Osunął się na kolana, zwymiotować, to jedyny sposób, wypluć zatruty jęzor, wyrwać z siebie jadowitą zmię. Ale najpierw samemu pozbyć się żądła.

- Najjaśniejszy panie, , muszę coś wyznać, coś strasznego! Nie było już łagodności w spojrzeniu króla. Domyśla się czy wie. Jeśli czyta w jego my- ślach. . .

- Mów. . Nie zdąży. Już nawet najmniejsze słowo nie może się precyzyjnie przejść przez gardło. - Ja. . . - Zresztą - możesz nie mówić. Wiem wszystko o tobie. Też mam swoich ludzi, tam gdzie trzeba. I co zamierzasz?

Teraz dopiero poczuł się jak owad nadziany na szpilkę. Opuścił głowę jeszcze niżej. Król nie musi czytać w myślach. Wie. Wiedział od początku. Sprzysięgli się wszyscy. Niech ich piekło pochłonie za jego krzywdę. Nie ma już ratunku. Koniec. Co zamierza? A cóż może zamierzać owad nabity na szpilkę?

- Błagać o przebaczenie i łaskę. . O życie, do cholery. Może jest jakaś szansa, odtrutka, diabli wiedzą co. Nie mogą go tak za nic. Zupełnie za nic. Bo przecież przyznał się do czegoś, co jest w istocie niczym. Niczego naprawdę złego nie zrobił. I nawet nie miał zamiaru zrobić. Za co to więc, za co? O, nie, niech sobie truje tę swoją obwisłą kochanicę, tę koronowaną bladź, która ma go za śmiecia, albo jej sługusów, wysysających krew z porządnych ludzi. Ale nie jego, na Boga, nie jego. Jest obywatelem obcego państwa, nie pozwoli się tak traktować nawet królom. Jeszcze chwila i dotknie czołem podłogi.

- O łaskę i przebaczenie. . - Masz i jedno, , i drugie. Poczuł na ramieniu ręce króla, a zamiast piekielnych wyzwów delikatną woń jego per- fum. Cud, to dopiero cud prawdziwy. Król go podnosi z podłogi, sadza na fotelu, poklepuje po twarzy. Zemdlął czy zwariował, nie był już

pewien. Nieźle mu się jednak musiało pomie- szać we łbie. Posadzać tego nadzwyczajnego człowieka o coś takiego. Bo język go, cholera, szczypie. Niechby i mniej pił to i takich sensacji by nie było. Zgaga, ot co! Od tego się jesz- cze nie umiera. Ale zgłupieć można i to doszczętnie. Dobrze, że król zajęty czymś przy ko- modzie nie widzi jego durnej miny. Znowu zaczął rysować? Nie, rysik i kartka zostały na stole. Podejrzy, jak tylko ogarnie się trochę.

- A to na dowód, że nie chowam urazy. Domyślam się, że masz kłopoty. Oni chętniej stra- szą niż płacą.

Rulon złota, drugi, trzeci. To dopiero szok! Popłakać się z wdzięczności czy zapaść pod podłogę ze wstydu?

- Nie mam prawa tego przyjąć, , najjaśniejszy panie, ja. . . - Bierz. . Królowi się nie odmawia. Co prawda, to prawda. Przypadł więc do królewskiej ręki, tej ręki, którą wykrecić miał brutalnie, może nawet związać na plecach, dotknął wargami tę delikatną skórę, którą mógł

162 posiniaczyć, albo wręcz pokrwawić w szamotaninie. Niech z piekła nie wyjdą ci, którzy

chcieli go do tego zmusić. Co to za pieniądze? Dukaty czy ruble? A może holenderskie gul- deny? Sto? Dwieście? Nie wypada przecież teraz liczyć.

- Co mi miałaś zrobić? ? Udusić czy poderznąć gardło? To było jak cios w podbrzusze. - Boże broń!

! Boże broń, przyznać się teraz do czegokolwiek. Sto pięćdziesiąt będzie na pewno. - Utopić w łyżce wody?

? - Ja. . . . Rozejrzał się, jakby wokół szukał ratunku. Ale wszystko trwało obce i wrogie - stół, owo- ce na kryształowym talerzu, groźne czerwone wino i zamknięte szczelnie drzwi. A i ten dziw- ny uśmiezek na twarzy króla stężyć mógł w sekundę w grymas wściekłości. I nici ze wszyst- kiego. Powie, musi powiedzieć.

- Porwać. . Miałem porwać waszą wysokość. Już same te słowa mogły go zadławić, a cóż dopiero ich skutek. Ale król nie przestawał się uśmiechać.

- Porwać i co? ? - Tego nie wiem, przysięgam. Nie znam żadnych szczegółów. I przysięgam jeszcze, że nie zamierzam ich poznać. Jestem filozofem, nie bandytą.

Żyje. Żyje i żyć będzie. Ten młody ciągle mężczyzna naprzeciwno, o pięknej głowie, którą musiałby omotać kapturem i rzymskim nosie, łatwym do złamania byle jakim ciosem pięści - był wyraźnie poruszony jego słowami. Nie ujmie niczego, raczej doda.

- Wiesz dlaczego ciebie wybrali. . To nie było pytanie, ale zaprzeczył zanim to zrozumiał. Stanisław August ważył coś chwilę w myślach.

- Zdaje mi się, że ja wiem. Domyślam się, w każdym razie. Jesteś dla nich człowiekiem Zachodu, a Zachód, tam w Rosji, to nazwa wszelkiego zła. Jakieś parlamenty, prawa człowieka, gazety - czysta zgroza. To i ludzie stamtąd muszą być diabłami wcielonymi, zdolnymi do wszystkiego. Rozumiesz teraz?

Co tu rozumieć, wiedział przecież, jak było naprawdę. Diabeł wcielony sprząłby Kuca po pysku, a imperatorową wyzwał od kurew, a nie trząśł się przed nimi jak morska galareta.

- Nie wiesz, , panie, co to strach. - Myślisz, że nie wiem. . . A o czym ja z tobą przez cały czas rozmawiam? I jak sądzisz - po co?

Nie doda, chyba że po pysku. Król znowu się zbliżył niebezpiecznie. - Bo i dla mnie jesteś człowiekiem Zachodu. I to nie byle jakim. Pomawiają nas tam, u was, często o głupotę, barbarzyństwo, czasem o niewdzięczność, albo, co na jedno wychodzi - o uległość wobec potężnych sąsiadów. Może choć ty, filozofie, zrozumiesz coś więcej z tego, co się tu dzieje. Nie jesteśmy głupcami. My po prostu niewiele czasem możemy. . .

Co to za słowa, jasne i piękne, jakie mądre spojrzenie! I jakby tego było mało - najlepszy z najlepszych obywateli tego kraju, król Polski, wielki książę tuzina krain, od których imion bolą zęby, Stanisław August, przez przyszłe pokolenia nazwany może Wielkim, postąpił krok

do przodu i objął serdecznie jego, najmarniejszego z marnych, przelotnego ptaka, szpiega i oszusta, króla dziewic i wielkiego księcia tuzinów dziwek, od których wdzięków bolą jądra, Giacomo Giovanniego Casanovę, przez potomnych zwanego może Krzepkim. Co za chwila! Wszystko było warto znieść, żeby jej dożyć. Ktoś go wreszcie docenił. I to kto! Zostanie sekretarzem króla, jego prawą ręką, kanclerzem, diabli wiedzą kim jeszcze. Victoria! Odważemnił delikatnie uścisk.

- Rozumiem. . Wszystko teraz rozumiem. . . - Liczę na to, przyjacielu.

163 Już choćby za to jedno słowo będzie służył wiernie i mądrze. A tamtym zaśmieje się w

pysek. Niech go spróbują tknąć. Tyle władzy, żeby ich posiekać na kawałki to i ten król znajdzie. Już on mu w tym dopomoże. Na razie warto pomóc sobie. Złoto do kieszeni. I może ten portret. Więcej by mu przyniósł korzyści niż dukaty. Zaraz spróbuje. Teraz jeszcze milczeć. Nie wrywać się. W pokorze czekać. Zaraz padną najważniejsze słowa w jego życiu. Byle je zrozumieć. Od nazw urzędów w tym kraju też można stracić zęby.

- A teraz - król, , nagle spoważniały, odsunął go na odległość ramion. - A teraz - bierz, , co twoje i idź już. Z trudem przełknął uśmiech przygotowany już na inną okazję. Więc nie wszystko od razu. Niech będzie. Od razu tylko złoto. Nie tylko. Jeszcze przynajmniej portret.

- Wracaj jak najszybciej do swoich, , panie Casanova. Aż go cofnęło w stronę stołu. Cóż to znaczy? Jakże to tak? Kątem oka dojrzał królewski rysunek. Boże! Jego na nim nie było śladu. Tylko kilkoma kreskami naszkicowany fotel, na którym siedział. Wybełkotał coś, czego sam nie rozumiał.

- Nie martw się o nic, , dostaniesz, co trzeba. Żegnaj. Audiencja była skończona. Tyle pojął. Nie chce chyba, żeby go stąd usunięto siłą. Ale wróci, prawda? - szeptał do siebie, zgięty w pożegnalnym ukłonie, pragnąc, żeby i teraz król poznał jego myśli. Wróci na pewno. Jutro, pojutrze. Może nawet jeszcze dzisiaj. Któż jak nie on, rozumie kaprysy królów, sam jest cały z kapryśków, dziś to, jutro tamto. Chociaż złoto dziś.

- Najjaśniejszy panie. . . . Modlił się prawie, całując królewską dłoń. Tak, tak, żegna się z nim teraz, ze zwykłym śmiertelnikiem, żeby go później powitać jako kogoś zupełnie innego. Jutro. Omal nie rozkr- wawił warg o gorejący na palcu rubin. Jutro może i ten rubin będzie jego. . .

Już był przy drzwiach kiedy król podniósł głowę i głos. - Co do twojego wyjazdu - to jest rozkaz.

.

164

## POJEDYNEK

Jak znalazł się w teatrze - nie pamiętał. Gdzie jest - też uświadomił sobie dopiero, widząc że karły Catai pierzchają na jego widok. O, nie, nie, nie mają się dzisiaj czego bać. Nie zajmuje się już byle czym i byle kim. Jest przecież powiernikiem króla, a nie łowcą królików. Więc niech sobie króliki nie wyobrażają, że uszczknie choć trochę ze swojej wielkości, żeby się do nich zniżyć i dać im po łbie. Nie dzisiaj, panowie. Dzisiaj już nic go nie zmusi do zejścia w dół.

Grano jakąś sztukę po polsku. Było mu to nawet na rękę. I tak, w oszołomieniu, w jakim się ciągle znajdował, nie byłby w stanie oglądać czegokolwiek. Rozdawał ukłony na lewo i prawo, zerknął do najważniejszej łoży, ale króla jeszcze nie było. I to dobrze. Nie bardzo wiedział, co miały znaczyć te ostatnie słowa. Rozkaz? Przyjaciołom przecież nie wypada rozkazywać. A tak - nie ma króla, nie ma wątpliwości, jest tylko jego tryumf, aż nadto widoczny w spojrzeniach, jakimi go teraz obrzucali ludzie, ledwie przedtem zwracający na niego uwagę. Nie pierwszy raz doznawał takiej satysfakcji - małoż to razy w życiu musiał walczyć o swoje - ale musiał przyznać, że ta smakowała specjalnie. Księżę Pepi poklepał go bez słowa po ramieniu. Boże, jak niewiele trzeba, żeby wyobrazić sobie niebo.

Zawahał się na moment przed łożą Binetti i nie wszedłby pewnie bez zaproszenia, ale drzwi były uchylone i wydało mu się, że to kolejny cudowny znak, którego nie może przegapić. Wemknął się bezszelestnie, gotów całować, ścisnąć, głośno wyznawać swoją radość. Zauważył najpierw Branickiego, który siedział bokiem do sceny z dziwnie napiętą twarzą, w paradnym mundurze, błyszczącym w półmroku jak przyodziewek diabła. Binetti, wychylona w stronę sceny, uważnie obserwowała krzykliwy spektakl. Ale i w jej pozycji było coś mocno nienaturalnego. Pojął co, zanim się oboje zorientowali, że jest tu z nimi. Ręka Binetti jakby się oderwała od wygiętego w przód ciała, została z tyłu, między nogami hrabiego. Znał te palce dobrze, nie musiał się domyślać, jakie ognie tam krzesają, jakie budziły ze snu diabel-

skie moce. A więc to tak. Pogodzili się. Ma go znowu w swoich rękach i to nawet dosłownie. Wszystkiego najlepszego. Na zdrowie! O to jej przecież głównie szło.

Skłonił się, żeby ukryć uśmiech, bo nie był pewien, czy Branicki go jednak nie widzi. Polecam spodnie z rozporkiem, drogi hrabio. Przynajmniej w tej sprawie znajdziemy chyba wspólny język.

Parsknął śmiechem dopiero w garderobie Binetti, gdzie, jak słusznie przypuszczał, zastał rozpromienioną na jego widok Lili. Cudne dziewczątko! Coś więcej chyba niż dzikie porykiwania jej się od niego należało. Nawet jeśli by się nigdy nie miała dowiedzieć, że jest jej ojcem. Ale co? Pierścienia z rubinem nie odstąpi nikomu, szczególnie że go jeszcze nie dostał. Złoto? Trochę za młoda, żeby docenić jego wartość. A poza tym - mogłaby go źle zrozumieć. Rękopis? Ba, gdyby nie dokonał żywota w piecu. Cóż - pozostał t ylko śmiech. Ucałował ją w oba policzki, żeby nie myślała, że śmieje się z niej. Udzieli jej kiedyś, później, kilku światłych rad. Jak żyć, z kim i za co. A na razie niech chociaż to zapamięta - że był wesoły i czuły.

. Nie chciała poprzestać na policzkach, objęła go i nastawiła do pocałunku usta. To tak? Cały świat go dziś kocha. Nawet to niewinne dziewczątko, które powinno może nienawidzić. Musnął jej usta wargami, ostatecznie to każdemu wolno, nawet ojcu. Teraz ona roześmiała się cicho. Co ją tak śmieszny. Nie na taki pocałunek czekała? Mylił się co do niej? Może nie jest tak niedoświadczona, jak myślał.

- Król. . . .

165 Nie pomogło wiele. Przestała się śmiać, ale chichot ciągle błyszczał jej w oczach. Szarpnął

głową do tyłu. Najwyraźniej śmiała się z niego. - Najjaśniejszy pan. . . . Żaden autorytet, nawet królewski, nie zrównoważy śmieszności przekrzywionej peruki. Zrozumiał to, spojrzawszy przypadkiem w lustro. Boże mój, dziecko, zupełne dziecko. Poprawił włosy tak zamasyście, że zmiotł połą surduta na podłogę puzderko z t eatralną biżuterią Binetti. Szklane brylanty, szmaragdy i rubiny z chrzęstem wylądowały na dywanie i rozsypały się w świetlistą gwiazdę. Lili plasnęła w dłonie i rzuciła się łapać, zbierać, pakować wszystko z powrotem do mała- chitowej skrzyneczki, z radością tak wielką jakby specjalnie dla niej wymyślił nową zabawę.



Zniknęło wszystko. Mroczny świat naokoło. Karły, zdrajcy i przekrzywione peruki. Była tylko ta radosna istota, krzątająca się koło jego stóp. Krew z jego krwi. Przesłanie, jakie z głębi swoich łędźwi zostawi ludziom. Ogarnął go niezwykły spokój. Jakby i ciało, i umysł, niepomne tego, co z nimi dzisiaj wyrabiał, spoczęły nagle, zastygły w bezruchu, w nierzezywistej mgle, słodkiej i uwalniającej od zmęczenia. Mógł tak trwać w nieskończoność. Albo umrzeć. Albo dokonać czegoś niezwykłego. Tak. Teraz na pewno się uda.

Już chyba nie oddychał. Począł aż Lili przykucnie odpowiednio - to ciało wdzięcznie wypięte do niego, tkliwość tylko budzące, nie niszczycielskie pożądanie - i bez słowa ostrzeżenia ruszył naprzód. Nie zdążyła pisnąć, gdy, obejmując ją jak do jakiejś występnej miłości, czując przez chwilę jej ciepło i zapach, poderwał dziewczynę z podłogi i bez wysiłku, jak we śnie - wyrzucił w górę, aż po sufit. Wieczną chwilę zastygła na wysokościach, z rozkrzyżowanymi bezradnie ramionami i zadartą suknią, odsłaniając smukłe nogi w białych pończochach, potem runęła w jego uniesione ręce z całą mocą swego rozpalonego ciała i przerażonego zdumienia.

Victoria! Prawdziwa Victoria! Ma, czego chciał. Zrobił to! Na Boga żywego - zrobił! Tulił rozdygotaną Lili, niemal równie jak ona oszołomiony. Już nic, nic, wszystko dobrze. Chociaż ona wie, co potrafi. A kim jest? Powiedzieć jej. Czy będzie sposobniejsza chwila?

- Widzę, że przychodzę nie w porę. Jeśli śnił - to było prawdziwe przebudzenie. Branicki z jakimś drugim oficerem, o ogolonej głowie wyglądającym na przebranego bandytę.

- Zdaje mi się też, że się pan umizguje do tej młodej damy, panie Casanova. A więc tam, w łożu Binetti, widział go, musiał widzieć. Dlatego ma mord w oczach. Delikatnie odsunął półzywą z przejęcia Lili.

- Ależ, panie hrabio, czyż nie uważasz, że jest czarująca? Nie zbliżali się. Chcieli mu odciąć drogę albo mieć miejsce na wyciągnięcie broni. A najpewniej i jedno, i drugie. Branicki spurpurowiał od jego uprzejmości, szyja mu zaczęła pulsować jakimś zwierzęcym tikiem.

- Owszem, uważam i to tak bardzo, że sam mam wobec niej pewne zamiary i oświadczam ci, że nie zniosę żadnego rywala.

- Skoro tak, nie roszczę sobie najmniejszych praw. Odsunął stopą kolczastą złotą broszę. Kiedy indziej przyjrzałaby jej się uważniej, bo jak na imitację wyglądała nader prawdziwie, ale

teraz liczyły się ułamki sekund. Nic mu się nie może plątać pod nogami, kiedy się rzuci Branickiemu do gardła. A to gardło puchło z hamowanej wściekłości.

- Ostrożny z pana człowiek, panie Casanova, jeśli tak można powiedzieć. Schodzisz mi więc pan z drogi?

- Jeśli tak można powiedzieć. . . . Tę drugą mordę wyrzuci po prostu za drzwi. A hrabiowskiego pyszałka skosi jednym ciosem nóg, rozorze mu głowę kolczastą broszką ze sztucznego złota. Niech się przekona dureń, czym grozi drażnienie człowieka honoru.

- Jak najbardziej, panie hrabio. Jak najbardziej i jak najszybciej. Któż by się ważył rywalizować z człowiekiem o twoich zaletach.

166 Nie tego cię uczyli, Giacomo. Po co ten uśmiech. Masz być lisem, nie kundlem hałaśliwie

zapowiadającym atak. Ale czasem i lis musi wyszczerzyć zęby. To ponure wilczysko z podgolonym łbem tylko czekało na taką okazję. Aż mu się nos rozdał ze złości.

- Za tchórza mam tego, , kto przy pierwszej groźbie ustępuje z pola. Teraz. Każe mu wypluć tę zniewagę, wypluć i połknąć na nowo, przetrąci sięgające po szpadę łapy, z dupy nogi powyrywa, a wąsikami się podetrze. Spojrzał na Lili i zrozumiał, że nie zrobi niczego. . . . Dziewczyna zastygła w bezruchu jak sparaliżowana. I tylko złożone błagalnie ręce i zamglone łzami oczy prosiły o zmiłowanie - jego, nie tamtego rozindyczonego gburą. Cóż to znów? Nie chce jego krzywdy, to pewne, boi się o niego, słodkie maleństwo. Dobrze. Nie przestraszy jej jeszcze bardziej. Giacomo zdjął rękę z gardy szpady. Dla niej będzie i zającem. Wzruszył lekceważąco ramionami i zaczął iść do wyjścia sztywnym ze zdenerwowania krokiem.

- Tchórz wenecki! ! Był już za drzwiami, kiedy dopadły go te słowa. Zatrzymał się jak wryty. Ten awanturnik nie chce jego udawanego tchórzostwa - chce jego prawdziwej hańby. Wyczuł w nim wroga? Czy może rywala? Tak. Że też wcześniej tego nie pojął. Teraz, odwracając się powoli, zwyciężając opór mięśni i własne niezdecydowanie - zrozumiał więcej niż chciał. To widok Lili w jego objęciach tak rozszerzył tamtego. Ten bydlak i na nią ma apetyt. Mamusia mu nie wystarcza. A Binetti? Sprzyja tej sprawie? Kto wie. Może to dla Branickiego tak strzeże Lili przed innymi, nawet przed jej własnym ojcem. Świat jest jednak

nieskończenie obrzydliwy, pomyślał wściekle i skoczył z powrotem do drzwi. Zabije drania! Przecież to jeszcze dziecko. Sam może miałby skrupuły.

Jej już nie widział. Miał przed sobą tylko pogardliwie przymrużone oczy Branickiego i narzęta zadowoleniem gębę tego drugiego.

- Panie hrabio, dowiodę ci o każdej godzinie i w każdym miejscu, że wenecki tchórz nie boi się polskiego. . .

Chciał powiedzieć - polskiego magnata, miał już tego " magnata " na języku, ale jakaś zadra w gardle przemieniła wszystko w bezkształtny pomruk. Zakotłowało się, łysy kompan Branickiego złapał za szpadę, ale hrabia nie pozwolił mu na nic więcej. Sam zbladł i nie patrząc Casanovie w twarz, jakby wstydził się tych słów, wolno wycedził:

- Jutro o świcie przyślę po pana powóz. . Nie mógł się na nic zdecydować. Wymoczyć nogi, zwymiotować, napisać testament? W końcu spróbował wszystkiego naraz i teraz, nagi pod wełnianym pledem, patrzył jak zgięty wpół Wasyl wyciera szmatą podłogę. Czy nie poplamiał surduta? W czym miałby się jutro pokazać? W tym złotym? Wyglądałby jak błazen, a o świcie błazny tylko drażnią. A szpada? Skąd weźmie przyzwoitą szpadę? Tą paradną, z myszami można walczyć, ale nie z Branic- kim. Boże mój - szpada! Pół biedy, jeśli przyjdzie im skrzyżować szpady. Ale jeśli tamten wybierze pistolety - koniec. . Nawet z pogrzebaczem w ręku miałby więcej szans.

Przeszył go przejmujący dreszcz - nie był pewien - zimna czy przerażenia. Ktoś włożył mu do ręki szklankę z grzany piwem. Aha, Jeremi. Chociaż raz ktoś wyczuł w tym domu, czego mu potrzeba. Ale jak na Jeremiego to trochę za mało.

- No i co - bohaterze? ? Masz mi coś do powiedzenia? Niczego nie trzeba było tłumaczyć. Zrozumiał wszystko. Co mógł powiedzieć, smarkacz jeden? Że to nie jego wina? A właśnie, że jego. Akurat mu się zachciało baby we właściwym momencie. Kto jak nie Jeremi naraził Casanovę na kompromitację. Przez kogo musiał użyć wszystkich swoich mocy, żeby nie przegrać, a w efekcie wpędzić się w takie podniecenie, w takie psychiczne vibracje, że już sam nie bardzo wiedział, co robi. A jak się dowiedział, było po wszystkim - wyzwał Branickiego. Jezu, teraz będzie musiał wypić diabelskie piwo, nawa-

167 rzone przez tego nieudanego sztukmistrza. Dobrze choć, że to, które mu przyniósł, smaczne

jest i gorące. Ale i tak, niech mu lepiej zejdzie z oczu. Nie jest jeszcze w nastroju do przebaczenia, a łzy w oczach, tragiczne miny i tym podobne sposoby, mogą go tylko na nowo rozsierdzić.

Kotuszko. A ten skąd się tu wziął? Nie myśli chyba brać lekcji dobrego wychowania w środku nocy. Nie. Myśli o czymś innym, aż mu się twarz skręca z zafrasowania, a zadarty nos błady jest z przejęcia. Może chociaż ma cygaro? To byłaby godziwa cena za oglądanie takich widoków. Nie ma. No to niech się wreszcie odezwie, każde zakłopotanie ma swoje granice. Zaraz, zaraz, przyszedł mu się ofiarować jako sekundant? Na pewno. Pocziwy chłopiec. Ale cygaro też by się przydało do piwa. Niechże spocznie, niechże siada gdzie tylko chce, niechże zwali z fotela stertę pogiętych papierzysk i rozgości się. Wybaczy jego strój, ale zawsze zwykł okrywać się pledem w czasie medytacji. Może grzanego piwa? Ależ, naprawdę, proszę. Pojedynek. Co - pojedynek? Kotuszko odchrząknął i przyjął najbardziej uroczystą z uroczystych postaw, jakich go nauczono.

- Przyszedłem wyzwać pana na pojedynek. . Dobrze, że nie miał cygara w zębach, bo musiałby je chyba połknąć z wrazenia. Śni czy co? Ale dlaczego ciągle tak głupio. Teraz on zaniemówił.

- Mam powody przypuszczać, że nie traktuje pan z należyтым szacunkiem kobiety, którą darzę prawdziwym uczuciem. I w tej sytuacji nie pozostaje mi nic innego. . .

- Zaraz, , zaraz, o co to właściwie chodzi? I o kogo? Chyba nie o Binetti, tyle rozumu ma chyba malec w głowie. Catai. Jeszcze go- rzej.

- Chodzi o pannę Lili. . Kocham ją i nie pozwolę, żeby jej honor doznał. . . Już nie musiał słuchać. Lili! Uszy mogły rozboleć od tych napuszonych słów, ale jakież miły sens kryjących. Ten chłopiec kocha się w jego Lili. Giacomo sapnął z zadowolenia i ulgi, aż pled zjechał mu niebezpiecznie z ramion.

- Lili. - Panna Lili.

. Nie uśmiechać się, bo ten smarkacz gotów ciągle zrobić coś głupiego. Albo pomyśleć coś jeszcze głupszego. Ktoś mu powiedział o scenie w garderobie Binetti. Wie nawet kto.

- Ano tak - panna. Świetnie. Gratuluję wyboru. Panna naprawdę wspaniała. Mam dla niej wiele uczuć, powiedziałbym - ojcowskich. . Wstydz się, jeśli pomyślałeś co innego. Tak?

- Pomyślałem. . Ta powaga mogła rozczulić słonia. Ale bardzo z nią chłopcu do twarzy. Dziwne, że są jeszcze na tym świecie tacy poważni młodzieńcy.

- Głuptas jesteś. . Ale panna sam miód. Gratuluję. - Wybacz pan w takim razie moje zachowanie.

. Podniósł się z fotela. Takiej radości w głosie tamtego nie można było zostawić samej. Wyciągnął do Kotuszki rękę, ale zaraz zreflektował się - to mało - i objął go serdecznie całym ramieniem.

- Chciałeś się bić. . To mężczyźnie ujmy nie przynosi, tylko zaszczyt. Myślisz się żenić? - Z Bożą pomocą.

. A czemu nie? Ktoś taki na pewno nie skrzywdzi Lili. Zanudzi ją może, ale na pewno nie skrzywdzi. Naprawdę miły chłopiec. Trochę nieokrzesany, ale cóż to przeszkadza w tym wieku. Małą zostaje się później.

- Brawo. Bądź pewien, że i ja ci sprzyjam. A na dowód tego mam coś dla was na nową drogę życia. Odrzucił pled. Nagi do pasa, schylił się i sięgnął pod łóżko.

- Wyjeżdżam jutro, tak, muszę niespodziewanie wyjechać w interesach państwowej wagi i chciałbym wam powierzyć mój najcenniejszy skarb. Nie przesadzam - to prawdziwy skarb.

. - Ale w takim razie nie będę mógł, , nie będziemy mogli go przyjąć.

168 Rzygać się znowu chce. Od tego schylania. I od tej beznadziejnej poczciwości.

- Słuchaj, nie mów tak. Więcej odwagi, zdecydowania w życiu, a będziesz miał wszystko, co tylko zamarzysz. A od przyjaciół można brać nawet skarb.

Gdzie jest ten cholerny kufer? Tu go przecież wczoraj wepchnął. Jest. - Czuję, , mój drogi, że będziesz dzięki niemu sławny i bogaty, a twój naród będzie cię czcił jak bohatera. Ja nie żartuję. Tak będzie, jeśli tylko zastosujesz się do moich wskazówek. I jeśli się wszystko uda.

Jeszcze chwila i te słowa przestaną być czczą gadaniną. Wieko ustąpiło, ale w środku nie było tego, czego szukał. A przecież dałby głowę, że powinno być. Torba podróżna? No tak, zapewne. Chciał je mieć bliżej siebie i przelożył do torby. Bezwiednie, bo nawet tego nie pamięta. Ale co on w ogóle teraz pamięta?

- A uda się, , czemu miałyby się nie udać. Będziecie szczęśliwi i bogaci. Merde, tego już nie rozumiał. I tu nic. Wśród gałganów i pudełek z pudrem, nie mógł wy- macać ani jednego obłego kształtu jego cudownych rozsąd, przez lata doskonalonych karto- flanych piękności, świętych bulw, którymi chciał zbawić tę część świata, a najpierw chociaż własną kieszeń. Może ten idiota schował je gdzieś.

- Wasyl! ! Zanim służący się pojawił, to już nie było zimne jak lód podejrzenie, ale prawie pewność. Krew zalała mu oczy, gdy znalazł pusty woreczek rozdarty na pół. Wasyl! Po chwili już wie- dział, że żadnej nadziei nie będzie - to ponure bydlę z tępą rezygnacją wpatrywało się w do- wód swojej zbrodni i pokornie czekało na karę.

- Zeżarłeś? ? Doskoczył do Wasyla z furią jakiej sam po sobie się nie spodziewał, rozwarł mu szczęki i jak pogromca na arenie zajrzał w śmierdzącą cebulą paszczę. Oprzytomniła go zakłopotana mina Kotuszki. Ma go na pewno za wariata, zastanawia się tylko czy groźnego. Zatrzasnął ziejący trucizną wulkan.

- Zeżarł. Matkę i ojca by zeżarł, gdyby byli jadalni i gdyby ich w ogóle miał. Ale nie bój się - nie dam ci po mordzie, na co z utęsknieniem czekasz. Raz w pysk i po grzechu. O, nie, nie. Znajdę na ciebie lepszy sposób. Zobaczysz jutro. Jutro. A teraz won! Won, bo nie odpowiadam za siebie.

Jutro już mnie tu nie będzie, dostaniesz za swoje, żeś nie dopilnował, pomyślał mściwie, patrząc na niezgrabny odwrót olbrzyma. Ale do jutra jest jeszcze trochę czasu. Chyba nawet sporo.

- Stój! ! Przynieś koszulę. Migiem. Katuszko, zarumieniony jak panienka, też był już blisko drzwi. - To ja już pójdę.

. O, nie, nie zostanie teraz sam, za żadne skarby. Chyba nawet za te, które przepadły w paszczy Wasyla.

- Dobrze strzelasz? ? Chłopiec zaczerwienił się jeszcze bardziej, choć Casanova przysięgłby wcześniej, że jest to już w ogóle niemożliwe.

- Nieźle. . O ile tak mogę o sobie powiedzieć. - Ja fatalnie. To mogę na pewno o sobie powiedzieć. Wolałbym. . . To prostacka broń, zgo- dzisz się ze mną, nie przystoi ludziom honoru.

- Jednakże niekiedy, , przyzna pan, w okolicznościach. . . - Niekiedy. . Ale szpada, widzisz, zawsze jest godna szlachcica. Pokaż no swoją. Nic nadzwyczajnego. Zwykła, oficerska szpada. Ale lepsza od jego kikuta i od paradnego pogrzebacza. Pożyczy na jeden dzień? Nie wolno mu? Nie może? Jakież to prawo zabrania przysługi przyjacielowi? Może ludzkie, bo boskie na pewno nie. A które z nich jest ważniej- sze, jak myśli? No, właśnie. Zresztą, chodzi właściwie o chwilową zamianę, bo jego broń

169 doznała pewnego uszczerbku w okolicznościach, o których wolałby teraz nie mówić, bo i do

rana mógłby nie skończyć. To, co - załatwione? Załatwione. Ponownie mógł go objąć z niewymuszoną serdecznością.

- I jej zazdroścę, bo jest czego. No, cóż, chciałem wam jakoś pomóc na początek, ale nie wyszło. Musicie się zadowolić moim błogosławieństwem.

- I za to Bóg zapłać. Już go może podprowadzić do drzwi, delikatnie, a jakże, czemu ma nie być delikatny. - Miły jesteś, ale, widzisz, myślałem, że dam wam coś więcej. Co za pech. Miałbyś pan wielką dla siebie szansę.

- Może jeszcze, , z Bożą pomocą, znajdę inną. - Pewnie. Ale i tak szkoda. Wielka szkoda. Kartofle to przyszłość świata. Zobaczycie sa- mi. Albo wasze dzieci. Albo wnuki.

Kotuszko przystanął, uśmiechnął się jakoś dziwnie, jakby z wyższością. - Tu bić się będzie trzeba, , nie sadzić kartofle.

- Bić się? Żeby tylko nie na pistolety. Nie lubię huku.

- Bez huku świat by o nas zapomniał. A i nasi posnęliby. Musi być huk. - A dajże spokój. . Jeszcze i ty chcesz mnie straszyć. Woli być błaznem niż głupcem. Z kim to poczciwe chłopię chce walczyć? Z gnijącym ro- syjskim smokiem, napierającym na nich całą siłą nienasyconego brzucha? I czym? Nawet szpadę pożyczył nie wiadomo komu. Z gównem nie można się bić, drogi chłopcze. Nie da się. Oblepi cię, zanim się spostrzeżesz. Trzeba uciekać. To wszystko, co można. Nie powiedział tego. Wasyl przyniósł wreszcie koszulę. To był fakt sto razy bardziej realny niż jakiegokolwiek słowa.

- Nie będę panu zabierał więcej czasu. . Przyjdę się jutro pożegnać. To jest - przyjdziemy. . Przez rękawy koszuli świat nie wyglądał dużo głupiej niż normalnie. - Mam nadzieję, , że dożyję do tej chwili. Ugryzł się w język. Musi się pohamować. Gdyby sprawa się rozeszła, dotarłaby pewnie do króla, a wtedy. . . Wtedy zakażą co prawda pojedynku, ale jego uznają za tchórza, który spe- cjalnie wszystko rozgłosił. Odepchnął Wasyla, niezgrabnie próbującego - nie wiedzieć - udu- sić go czy wyrównać fałdy koszuli pod szyją.

- Pomyśleć, że gdyby nie ta małpa w ludzkiej skórze, ten, tak - smoczy pomiot, udający służącego i pańskie nazwisko mogłoby zabłysnąć w świecie, panie Kotuszko.



Zyskał najsubtelniejszy, ale i najchłodniejszy z ukłonów, jakich nauczył tamtego. - I ja mam nadzieję zastać pana jutro w dobrym zdrowiu. A nazywam się, panie Casanova - Kościuszko. . Tadeusz Kościuszko, do usług.

Na czubku tego ukłonu znalazła się pobladła mina i wcale nie serdeczne spojrzenie. A zaraz potem Kotuszek nienaturalnie sztywnym krokiem, zniknął za drzwiami. Casanova chłepnął resztę piwa. Co go ugryzło? Kotuszek czy Kościuszko? Cóż to, u diabła, za różnica! W każdym razie ma ważniejsze sprawy na głowie niż czyjeś fochy.

Ale z drugiej strony - szkoda zostawiać taką urazę. To może mu jutro przynieść pecha. A poza tym - a nuż Lili rzeczywiście zwiąże się z tym poczciwcem. . . Skoczył za Kotuszką, nie wypuszczając z ręki szpady. Po co kusić los, odda mu ją, jeśli się nie pogodzą. Za późno. Korytarz był już ciemny, gdzieś w dole trzasnęły drzwi. Nic to, dogoni go na ulicy, wykrztusi tego "Kościuszkę" choćby mu miało sparaliżować gardło.

. Nie dogonił - wpadł na kogoś omal go nie przewracając. Sam ledwie nie stracił równowagi i nie zleciał ze schodów na złamanie karku. Ale kiedy był już blisko katastrofy, objęły go czyjeś mocne ręce i owiał zaprawiony wódką oddech.

- Brawo, , panie Casanova, brawo.

170 A cóż tu robi książę Pepi? Do picia go na pewno nie namówi, jeszcze po wczorajszym pę-

ka mu głowa. A może - Boże, toż to by było najszczęśliwsze wydarzenie w jego życiu - król go przysła. Dowiedział się o pojedynku i rozkazuje wszystko odwołać. Będzie i z honorem, i bez bólu. Przesunął rękę ze szpadą na plecy. Jeszcze go książę weźmie za nieprzejednanego desperata i zrezygnuje ze swej misji.

- Książę tutaj? ? Zapraszam na moje skromne pokoje. - Nie teraz, , panie Casanova. Wolałbym, żeby, no wie pan, cicho sza, incognito, w pewnym sensie. Bratanek króla, to trochę jakby król, a król, musi przestrzegać prawa, więc, wiadomo - nie zezwoli!

Serce podskoczyło mu z wrażenia. - Nie zezwoli?

? Oddech księcia mógłby zabić konia. A to już było coś więcej niż oddech - to był szeroki, z trudem ustany, uśmiech. Wyczuł go raczej niż zobaczył.

- Powiedzmy, że nie zezwoliliby, gdyby o tym wiedział. Ale nie wie. I się nie dowie, mam nadzieję. No, nie ode mnie, w każdym razie. Ani nie od pana, co, panie Casanova? Nie potosiśmy dzika zapędzili do nory?

- Na honor, księżę. . . To nie jest wysłannik pokoju, już może nie kryć szpady. Merde. Czy tylko gorsze przy- puszczenia muszą się spełniać?

- Pan widział wtedy, że ja go tam, za bardzo nie tego. . . Polityka. Mnie nie wypada brać się z Branickim za łby. Majestat tronu i tak dalej. Ale pan - wal w łeb bez zastanowienia i patrz tylko czy jeszcze stoi. Przysłużysz się i królowi, i sobie samemu. Bo, jak nie, to on tobie mózg wydziobie, panie Casanova.

Żadne uściski, nawet księżęce nie bawią go teraz. Jeszcze się zwałą ze schodów, jak nim będzie tak miotał ten królewski krewniak. Może zamienią się, choćby na jeden dzień, rolami.

- Mój mózg, księżę, nie jest dla byle wrony. Pepi parsknął mu w twarz, nawet wytrzeć się nie było można, bo tamten unieruchomił mu ręce. Prychnięcie - zapomnieć, słowa - przeciwnie - zapisać jeszcze dzisiaj. Czyż nie są god- ne wielkiego wodza przed historyczną bitwą?

- Zuch. . . To lubię. Zanim Casanova zdążył się zorientować, co się dzieje, poczuł na ustach mokre i cuchnące jak spelunka rankiem, wargi księcia. Sparaliżowało go na moment tyleż z wrażenia, co odra- zy. Co to ma być? Jakiś tutejszy barbarzyński obyczaj czy może w ciemności smarkaczowi pomyliło się wszystko. Oswobodził rękę ze szpada. Nikomu nie da się obrazić.

- Bywaj. . . Bywaj. Odetchnął z ulgą. Pocałunek w usta. Zapomnieć. Nic się księciu nie pomyliło. Czyż nie tak żegnano w starożytnej Grecji czy Troi wojowników idących na śmierć? Na śmierć? Kto to powiedział? Jaki diabeł podszeptał mu do ucha to słowo? Słyszał za sobą jego oddech. To nie było przecież złudzenie. Księżę Pepi wciąż potrzasał jego ręką,

jakby nie wie- dzieć czemu pragnął przedłużyć ten moment. Czego jeszcze chce od niego? Giacomo odwró- cił nieco głowę. Czego chcą - bo tam w mroku czaił się jeszcze ktoś. Lodowaty pot oszronił mu plecy i wewnątrz dłoni. Na śmierć?

- Idę, mój panie, ale zostawiam ci kogoś, kto ci pomoże we wszystkim. Byku, pokaż się. Sapiąca zjawa oderwała się od ściany. To chyba ten sam typ, który wjechał z księciem do sali prób. Byk, prawdziwy byk. Po co mu ta kreatura? Nie potrzebuje niczyjej pomocy. Chyba tylko Pana Boga.

- Strzeżonego Pan Bóg strzeże, jak to u nas mawiają. Weź pan to, panie Casanova, pod uwagę.

Słyszą już jego myśli? Niczego przecież nie powiedział. Nie mógł wykrztusić słowa. Chropowata gula utkwiała w gardle, z wściekłości ledwie mógł oddychać. To tak? Udają

171 przyjaciół, a boją się, że ucieknie. Strażnika mu tu podsyła beczelny młokos, pod pretekstem

pomocy. I jeszcze Boga w to miesza. Niedoczekanie. Nie pozwoli, nie da się, nie da się nikomu. Ani Branickim, ani Pepim, ani tym bardziej wszystkim Bykom tego świata. Zobaczają z kim mają do czynienia. Wytarł wierz- chem dłoni usta. Jego na śmierć? Czy ten podpity zawadiaka wie, jak to smakuje? Chce się przekonać?

Skoczył za księciem z wyciągniętą przed siebie szpadą i z jakąś monstrualną płataniną w głowie. Sam nie wiedział - chce go zabić czy paść mu do nóg z wdzięczności. Przeciąg wi- jący od otwartych na dole drzwi i groźny pomruk sunącego za nim Byka, oprzytomniły go jednak szybko. Nachylił się tylko nad schodami, dudniącymi głucho pod stopami księcia Pepi i krzyknął nie swoim, kogucim głosem:

- Nawet szpady porządnej nie mam! ! Ciemność ucichła na chwilę, a potem sapnęła dalekim, jakby z zaświatów, echem: - Przyślę ci, , jaką chcesz. Choćby i ze złota. A na razie weź od Byka. Wziął. Tym chętniej, że chwilę wcześniej poczuł jej ostrze w okolicy własnej wątroby. Więc nie mylił się. Ma strażnika. Rozbroił go, ale drab wygląda na silnego. Szpada mogła na niego nie wystarczyć. Szczególnie że i ta była marna, niewiele lepsza od broni Kotuszki. Nie stać ich tu na nic ciekawszego? Niech wyślą paru kupców do Mediolanu, to zobaczą, co to znaczy prawdziwa szpada. Mógłby się właściwie kiedyś tym zająć. Wstyd, żeby królewscy

oficerowie nosili coś takiego u boku. Pięset sztuk na początek wystarczy. Powiedzmy piętnaście procent dla niego od sztuki. . . Wystarczy dwanaście. To by było? Byk szturchnął go w bok, mocniej chyba niż zamierzał, bo głos miał spokojny, pojednawczy.

- Szpada. . Dla mnie. Dobrze, dobrze. Jak już ma strażnika, to może lepiej, że uzbrojonego. Diabli wiedzą, co tu się jeszcze może zdarzyć do rana. Mało to zbirów na świecie. Br anicki też może mieć swoich. Podał Bykowi broń Kotuszki. A o interesie ze szpadami pomyśli kiedy indziej i gdzie indziej. I pewnie zrobi go gdzie indziej i kiedy indziej. Na razie niech lepiej pamięta, która jest czyja, bo jutro może mieć dwóch następnych furiatów w kolejce do pojedynku.

Jutro. . . Zatrzymał się w progu. Ile godzin mu zostało? Pięć? Sześć? Testament. Musi napisać testament. Ale przecież nie z tym sapiącym głośno i smrodliwie cerberem na karku.

- Skoro już tu jesteś, to bądź pan łaskaw nie wpuszczać do mnie nikogo. Mam kilka ważnych spraw do załatwienia.

I zatrzasnął tamtemu drzwi przed nosem. Kazał sobie jeszcze przynieść kilka świec, sam je zapalił, ale rozpacz nie stała się przez to ani o ton jaśniejsza. Zasiadł do pisania listów, ale szło mu niesporo i wkrótce zrezygnował. Co to ma być? Pożegnanie? Jeśli tak, to swoich przyjaciół w Wenecji, wspierających go od lat marnie, ale stale, nie chciał przedwcześnie smucić. Tym bardziej tych paru kobiet, na których pamięci by mu zależało. Jeśli się to dobrze skończy, opíše im rzecz całą aż pryskać będzie atrament. Ale teraz - bez pointy, opowieść wydała mu się diabła warta, płaska i niedowcipna. Za ciężka dla jego duszy. A jeśli się nie uda. . . Wystarczy testament. Też nie. Tylko tytuł udało mu się wykaligrafować pięknym pismem, którego ćwiczeniu poświęcał kiedyś całe miesiące. " Testament Mój " . Dalej szło już marnie, coraz marniej. Litery koślawiły się, dziu- rawiły papier, rozmywały się w bezkształtne kleksy, a i sensu w tej pisaninie było coraz mniej.

Bo i cóż to znaczy: "w pełni władz fizycznych i umysłowych " , skoro żołądek podchodzi mu do gardła, kolana dygocą, a myśli kołują jak żarłoczne sępy nad tym jednym, najważniejszym pytaniem - pistolety czy szpady. Wygrana czy przegrana. Życie czy. . . A gdyby nawet przebrnął przez tę idiotyczną formułkę - cóż może pisać dalej. Co ma takiego, czym mógłby

172 obdarować kogokolwiek. Rękopisy w piecu, ziemniaki w żołądku Wasyla, te kilka garści

złota i parę wykwintnych szmatek, zostawi domownikom jeszcze przed pojedynkiem więc na to nie trzeba żadnego pisma. A reszta? Buty z klamrami ze złota, kapelusz z orlim piórem i ubranie, które będzie miał na sobie? Zedrze to z niego służba Branickiego zanim jeszcze ustanie huk wystrzału i ustoi się błoto, w które się - Boże, nie pozwól - bezwładnie zwali. Tego był dziwnie pewien. Wystarczyło popatrzeć na tych rzeźmieszków i przypomnieć sobie, w jakim się jest kraju. Nawet szpady nie może nikomu zostawić. Raz, bo jej nie ma, dwa, bo nie zna nikogo godnego. Nie ma dziedzica, to fakt, który teraz do niego dotarł dziwnie boleśnie.

Tu i ówdzie były takie sugestie, gdzieś tam, w Paryżu, Wenecji, Zurychu, odnajdywał swój nos, szczękę, spojrzenie u rozmaitych zasmarkanych berbeci, pokazywanych mu bez specjalnej dumy przez kobiety, które kiedyś kochał. To były zwykle tylko aluzje, których on często starał się nie rozumieć, a one nie podtrzymywały. Pewności jednak na ogół nie miał i to, że nie chciał mieć, niczego tu teraz nie zmieniał. A Lili? Chociaż jej powinien zostawić jakiś znak po sobie, skoro już nie będzie mógł - Boże broń - o sobie. Ale co? Rozejrzył się po pokoju. To, co było jego, mieściło się w jednym kufrze i paru garściach. Przecież nie hawańskie cygaro, nie spinki z perłami, bo mu jeszcze będą potrzebne, ani komplet łyżek do butów w kształcie trąby słonia.

Sara i Etel! Daruje Lili opiekę nad nimi. Ot co! I Łaciatego jej daruje, niech nie wycho- wuje się dziewczyna tylko w otoczeniu wilków. I cudowny, miedziany pieniążek Jeremiego. Może chociaż jej przyniesie szczęście.

Coś jeszcze? Nic. Pustka w głowie. Atrament zastygł na końcu pióra włóknistą kroplą. Wytarł ją w rękaw koszuli. Napisać do króla? Powinien właściwie uprzedzić oszczerców i wytłumaczyć wszystko. Ale poza gładkimi frazesami, nic nie przychodziło mu do głowy, a to nie była przecież pora na frazesy. Tamci zresztą znajdą bardziej wymowne.

Nie pójdzie do nieba, jeśli Branicki go zabije, uświadomił sobie nagle z bolesną jasnością. Jeśli nieba nie ma ogóle, to pół biedy, pogodzi się z tym jakoś. Ale przecież jest - nie po to się ludzie męczą całe życie, żeby jeszcze ta nadzieja została i m odebrana. Tylko, że dla niego nie będzie tam miejsca. Nigdy nie było. Całe życie chciał być wśród najlepszych, zabiegał o łaski możliwych tego świata, ale kiedy je już zyskiwał, koniec końców, zawsze coś go spychało w dół. Jakieś oszczerstwo, zapomniany dług karciany, nie w porę wymówione nieszlacheckie pochodzenie. I od wielu już lat, pomyślał smętnie, wszystko do czego dochodzi, podszyte jest niepewnością i fałszem równej klasy co to jego rzekome " de " przed używanym czasem dla fantazji nazwiskiem Seingalt. Mama błaga prześladowuje go od lat. Gdyby świat choć w ułamku wiedział kim on jest naprawdę. Ale cóż - nie wie i nie chce wiedzieć. Tuzinkowy awanturnik. Tak skończy. Tacy, za życia czy po śmierci, nie zasługują na nic dobrego.

Tak? To niech chociaż jeden człowiek dowie się, że był awanturnikiem nietuzinkowym. " Wielce szanowny panie Voltaire! " O, nie, nie będzie zaczynał od wielce szanownych panów, dawno już minęła pora na konwencjonalne wygibasy. Szczególnie że to, co ma do powiedzenia, dalekie jest od uszanowania, a już tym bardziej wielkiego.

" Szanowny panie Voltaire! " Też nie tak. Więc po prostu: " Panie Voltaire! Piszę do pana z dalekiej, małej i nieszczęśliwej Polski, gdzie być może jutro zakończę swój niekrótki i niedługi, szczęśliwy i nieszczęśliwy żywot. Przyjechałem tu z Rosji, z imperium, którego władczynię darzy pan, pamiętam, czymś w rodzaju intelektualnej przyjaźni. Podobno można się przyjaźnić nawet ze żmiją, nie wiem. Pańskie seksualne upodobania nie są mi znane i, prawdę mówiąc, nie jestem ich ciekaw. Ale chcę pana ostrzec - ta pełna filozoficznej ogłady i politycznej subtelności żmija, to prawdziwa bestia, tryskająca ogniem i siarką. Przyjaźń z nią to szyderstwo z reszty świata i kpina z samego siebie. Reszta świata może pana nie obchodzić, ale czy warto być tak okrutnym wobec siebie. Przecież ludzkość się kiedyś o wszystkim dowie. Wkrótce - gdy bestia połknie już znieruchomiałych ze strachu i bezsily sąsiadów, czknie z przeżarcia i pochwali się, że korzystała z porad kulinarnych wielkiego francuskiego mędrca.

173 Jak pan się wtedy poczuje, panie Voltaire? Nie wie pan? To ja, człowiek osmalony tym węzo-

wym ogniem i zatruty siarczanymi wyziewami, powiem panu - jak wielki francuski głupiec. . " Aż trysnął atrament, kiedy sadowił tego " głupca " na papierze. Trzeba będzie przepisać jeszcze raz. A nawet dwa razy. Zrobi kopię i pošle ją do Wenecji. Niech prawda ma jedną szansę więcej.

Nie zdążył przepisać wszystkiego. Coś się działo w korytarzu. - Nie wolno, , powtarzam, nie wolno. Tubalny głos Byka dudnił głośno, ale ponad nim słychać było równie zdecydowane kobiece piski. Nie wypadało mu się tym interesować - powaga chwili, skupienie, nawet pełny pęcherz uznał za mało godny uwagi i wstrzymywał się bohatersko. Ale, do diabła - nie jest jeszcze nieboszczykiem! ! Kobieta u drzwi. Co ten pijany bęcwał z nią wyrabia? Poderwał się na równe nogi, szarpnął za klamkę. Zamknięta! Prawie oszalał z wściekłości. Uwięzili go, ośmielili się na takie grubiaństwo. Krwi, krwi trzeba, żeby zmyć hańbę. Porwał ze stołu szpadę i jeszcze raz natarł na drzwi.

- Otwierać! ! Głosy na korytarzu ucichły na chwilę, ale zaraz coś stuknęło głucho o ścianę i wrzawa jak- by stłumiona wybuchła na nowo. Co ten potwór jej robi? Dusi ją? - kogo, na Boga? Lili, jego słodką Lili? Binetti, która przyszła oddać mu ostatnią przysługę? Czy może Paulę, tęgozadą Paulę, która dostarczyła mu wczoraj tyle mocnych wrażeń? O każdą będzie walczył jak lew, wyrwie drzwi z zawiasów i będzie nimi walił debilowatego osiłka aż tamten

pojmie, że ko- bieta służy do miłości, nie do duszenia. Nie do duszenia, parszywy dupku, do miłości.

Natarł jeszcze raz z całej siły - nic - i kiedy już myślał o następnym ataku, z krzesłem w rękach, ze stołem, z łóżkiem - zawadził przypadkiem łokciem o klamkę i drzwi, te parszywe, wcale nie zamknięte drzwi, puściły. Cofnął się o krok, żeby ramię miało swobodę do zadania ciosu, uniosł rękę - nie do duszenia, wykręcania rąk, zadawania bólu! Nie musiał robić niczego więcej. Cielсны kłab przetaczający się przed drzwiami, rozdzielił się nagle, Byk prawie klęknął, ugodzony ciosem w podbrzusze, a kobieta w czarnej opończy wpadła z rozpędu w Casanovy ramiona. Z niemałym, a i niemiłym zdziwieniem, rozpoznał Catai. Nie do duszenia? Kto to, u diabła, powiedział?

Pchnął ją głębiej do pokoju. Ten stękający z bólu i wściekłości osiłek gotów im wszystkim głowy porozbijać. Wszedł ostrożnie na korytarz.

- Dobrze, , już dobrze. Powiedział to po polsku, nie bardzo wiedząc, co mówi. Ale słowa dotarły do tamtego z niespodziewaną siłą - przestał się gramolić w górę i jakby uszła z niego cała chęć, już nie tylko rozwalania łbów, duszenia i wykręcania rąk, ale po prostu życia - osunął się bezwładnie pod ścianę. Teraz dopiero widać było jak jest pijany. Merde, nawet strażnik trafił mu się nie- udaczny. Nie obronił go przed Catai.

- Co się tak gapisz? - W jasnym obramowaniu drzwi do kuchni zobaczył przestraszoną twarz Jeremiego. - Przynieść mu lepiej wody.

. Sprawiam chłopcu ból, pomyślał bez cienia współczucia. I dobrze. Na nic innego nie zasłużył. Wszyscy i wszystko nieudaczne.

- O co chodzi? ? Byłby naiwny sądząc, że Catai przejmie się jego obcesowym tonem. Nie usiłowała nawet, aktorka, tego udawać. Jak mamy kuglarz na trzeciorzędnym jarmarku wyciągnęła spod pele- ryny woreczek, którego nie musiał rozpoznawać, bo znał go lepiej niż wszystkie dziwki, jakie z niego obdarował.

- Mam zamiar wyrównać nasze rachunki. . Zważył w ręku pieniądze.

174 - Chwalebny zamiar. . To wszystko?

Była bardzo zdenerwowana, aż kropla potu pojawiła się na jej odsłoniętym wysoko czole. Chyba nie utrata pieniędzy tak ją poruszyła? Szukała jego wzroku, a kiedy znalazła, z diabelskim wdziękiem obnażyła zęby w uśmiechu.

- Przynoszę, , co pan zostawił. I ponadto - może to, , co pan chciał kupić. Uważaj Giacomo, chyba ten pijany Byk miał rację, próbując cię przed nią obronić, coś tu się zaczyna niedobrego.

- To znaczy? ? - To znaczy, , że może przysłałam dać ci się uwieść, panie Casanova. Zerknęła na drzwi czy zamknięte. I on jednocześnie z nią zerknął. Zdradził się tym spoj- rzeniem jak pierwszy lepszy szczeniak. Ale hola, niech nie wyobraża sobie za dużo. Jeśli on o czymś teraz marzy - to o opróżnieniu pęcherza.

. - O ile to dalej żarty. . . . - A jeżeli nie żarty?

? Pokusa była coraz silniejsza. Catai zrzuciła pelerynę, odgarnęła włosy do tyłu ze świadomością efektu, jaki miały na nim wyrzucić jej prawie odsłonięte piersi. To już nie Catai przeżyła się przed nim, ale jakaś szatańska kusicielka. Trzeba by być świętym, żeby jej się oprzeć. No więc - dobrze. Czemu nie miałby spróbować, co z tego wyniknie. Może ostatni raz. Ale ostrożnie, powoli. Nie wierzyć w ani jedno jej słowo. Zerznąć - tak, ale uwierzyć czemukolwiek - nigdy. Złapał ją za jedną z tych wycelowanych w niego piersi, brutalnie, byle jak, niczym kupiec, który taksuje dość marny towar.

- Ile? - Nie. . Prawie nic. Trochę dobrej woli. To wszystko. Błąd. Cofnął rękę, ale było już za późno. I ona to wiedziała. Coraz więcej w niej było śli- skiej i wilgotnej pewności siebie. Merde! Nie pójdzie jej tak łatwo.

- Dobrej woli, czyjej dobrej woli? Mojej? Tej to już pani okazałam zbyt dużo i zbyt wiele razy.



Możesz teraz fukać z oburzenia, Giacomo, gadać co bądź, udawać obojętność, ale to już się stało. Już prawie po tobie. Jeden lekceważący dotyk obudził płomień nie do ugaszenia. Musisz ją mieć. Teraz, zaraz.

- Nie będziesz się bił. . Ten głos nie miał w sobie nic z zalotności, był jak wojenny komunikat. Wie coś więcej? Jasne, przysyła ją Branicki. Stchórzył, podgolony łeb, stchórzył!

- Może dam się przeprosić. . - Nie o to chodzi. . Wyjedziesz rano. Nie będziesz się bił. - A to dlaczego?

? Ukartowali to razem, żeby mu potem po cichu dać po łbie w jakimś brudnym i zimnym zajeździe. O, nie, aż tak zaślepionym durniem nie jest i nie będzie. Nie ma takiego tyłka na świecie, żeby go do tego zmusić.

- Dlatego, , że ja cię o to proszę. Teraz ona położyła mu dłoń na piersi, miękko, pieszczotliwie, a kiedy zwarła palce i prze- jechała po skórze paznokciami, zrozumiał, że taki wszechwładny, zdolny go nawet pchnąć ku zagładzie, tyłek, istnieje i to dosłownie w zasięgu ręki. Przekleństwo! Nawet pęcherz ucichł z wrażenia i przestał walczyć o swoje.

- Aż tak ci na nim zależy? ? Skąd cielecy ton w jego głosie? Jest zazdrosny o tego knura? Ani trochę. Mówi coś, żeby mówić, żeby odwrócić uwagę od tego, co dzieje się bez słów nijakich, od gorącego mrowienia w miejscu, gdzie leżała jej dłoń, od gwałtownego budzenia się poniżej, od pęcznienia nieme- go, a tak lada moment wymownego.

- Może zależy. . I może nie tylko mnie.

175 Diabli nadali! Zależy, nie zależy, jej, nie jej, niechby i królom całego świata i pięciu taj-

nym policjom szło o ochronienie Branickiego. Nic go to nie obchodzi. Ten w dole niczego już nie chce słuchać, a tajemnic tej szatańskiej kobiety myśli szukać tylko między jej nogami. Bo jedynie tam jest najprawdziwsza prawda, nie w półkłamstwach i ćwiercaluzjach.

- Wyjedziesz bez przeszkód. . Wystarczy, że nie zrobisz mu krzywdy. Wystarczy, że tobie nie zrobię krzywdy, oszustko. A jeśli zrobię, to taką, że będziesz mnie błagać o powtórkę. Jeszcze się zawałał.

- Dlaczego mam ci wierzyć? ? Zwilżyła językiem wargi, ostentacyjnie, tak, żeby widział. Kropla potu załśniła u nasady jej nosa. Wie na pewno więcej niż myślał, diablica. Ruska, pruska czy austriacka.

- Nie bądź głupi. . Chodź! Chciał coś powiedzieć, ale ten z dołu był już silniejszy, zakneblował usta, wykrzywił twarz w głupowatym uśmiechu. Poderwał się jeszcze na moment, żeby zamknąć na klucz drzwi. Chłodny dotyk klamki, to przekłete piwo znowu przypominające o sobie przy każdym kroku, dreszcz pewności mrowiący skórę na plecach. Raczej ją zabije niż się pozwoli dalej zwodzić. Zdmuchnęła świecę, nakrył dłonią drugą i już trzymając dziewczynę w objęciach, czując wszystkimi zmysłami napierający na niego ciężar, wychylił się, żeby zgasić następną, ale Catai powstrzymała go. Niech się świeci. Gwałtowna, namiętna Catai! Aż jęknął, kiedy zjechała ręką w dół. Po wczorajszych wyczynach Pauli spodziewał się raczej bólu niż rozkoszy, ale to była rozkosz - płomienna i szarpiąca każdy nerw ciała zapowiedzią spełnienia.

. - No!

! Coś go powstrzymało mimo wszystko, wiedział co, ale wołał się sam przed sobą do tego nie przyznawać. Któryż zresztą z odcieni strachu czających się pod skórą, był najważniejszy, najbardziej bolesny? Może ten najprostszy, strach samej skóry przed rozdarciem ostrzem szpady czy zmiążdżeniem pistoletową kulą.

- Jaką broń wybrał? ? Catai, jakby nie słyszała pytania, nie zwalniając delikatnego ucisku tam w dole, objęła go drugą ręką i przyciągnęła do siebie. Poczul jej wargi na twarzy i twardo wsparte na nim piersi. Ale niepokój nie mijał. Znowu chce go wywieść w pole? Te piersi były przecież do kupienia, a wargi, jeśli nawet szczerze dotykają jego warg, to czyż nie przypominają mu czegoś nie- przyjemnego, co już tutaj przeżył. Ano, tak - pożegnalny pocałunek księcia Pepi. Odrobina śliny dla straceńca, dla żywego trupa. Tfu!

Chciał ją odsunąć, a odepchnął. Miał zamiar powiedzieć, a warknął. - Pistolet czy szpada?

? Zatoczyła się, ale jeszcze nie puściła go z rąk. - Co z tobą, Giacomo? Co to ma teraz za znaczenie? Wyjedziesz przecież, obiecałeś. - Nie wiem, co tu się dzieje naprawdę. Dygocze cały, płaczą mu się myśli i słowa. Ale ona, ona gra z nim dalej ostro. Stawka, wi- dać, jest wysoka. Uszy czy jaja Branickiego? A może jakieś tajemne interesy, od których tu duszno w powietrzu?

- Nic się nie dzieje. . I to nie przeze mnie. Przysunęła się znowu, pierś, wspaniała, boska pierś wspinająca się do jego ust. Ale, chwi- leczkę, chwileczkę, nie może teraz dać się zakneblować. Postąpił krok do tyłu, aż zatrzęsł się potrącony stół i zamigotała ostatnia zapalona świeca.

- Muszę napisać kilka listów. . . . Ktoś to wybełkotał za niego, ale już on sam mógł zobaczyć jak Catai rozjarzyła do czer- woności mdłe światelko świecy, jak półmrok roziskrzył się wszystkimi barwami jej wściekło- ści. Giacomo zatoczył się i tylko dlatego pazury dziewczyny minęły jego twarz.

- Ty świniou! ! Nie daruję ci tego!

176 To była czerwień, jadowita, gotująca się, krwawa. Co za przemiana? Miał teraz przed sobą

furię, gotową gryźć, drapać, kopać. Palce, które pieściły go przed chwilą i same domagały się pieszczoty, stały się szponami, oczy, gdyby potrafiły mogłyby zabijać, usta kaleczyć, nawet piersi, te olśniewające piersi, gotowały się, jak dwie maszyny piekielne, do wybuchu. Wyciągnął przed siebie ręce, nie będzie się przecież bił z tym rozszalałym babskiem, starczy idioty- zmów na dzisiaj.

I ona zatrzymała się nagle, jakby porażona tymi odpychającymi ją dłońmi. - Zaslugujesz na to, żeby cię przebił pierwszym ciosem. Ciosem, przebił ciosem. . . To był blask nie jednej ale stu świec, wszystko, co najlepsze, ciepło, śmiech, woda górskiego potoku na obolałe stopy i słonawy smak kobiecego wnętrza. Żyjemy, panie Casanova! Nie zadaje się przecież ciosów pistoletem, tylko szpadą. Szpadą, mój Boże, szpadą. Hej, chwileczkę! A dokąd to się ona teraz wybiera? Po co te miny? Wszystko będzie dobrze, naprawdę. Złapał ją wpół, gdy była już blisko drzwi. Będzie dobrze, obiecuje, szepnął jej do ucha, kiedy przestała się wyrывać. Będzie dobrze, pomyślał, ściągając z niej w pośpiechu suknię. Na szpady nie da Branickiemu szansy. Może nawet pozwoli się lekko zranić, zastanowił się w ułamku sekundy, gdy sprzączka jej gorsetu ukłuła go boleśnie. Merde, nie pozwoli. Błyśnie przy pierwszej okazji takim ciosem, że miednicę będą musieli podstawiać pod tego krwistego durnia. Nie na darmo rzeźnicy Astafowa uczyli go różnych azjatyckich sztuczek.

- Wyjedziesz? ? - Wyjadę, wyjadę. . . Ale najpierw wjadę, dodał w myśli, szamocząc się ze spodniami i lekko ją, naga już, zamykając się nieoczekiwanie wstydliwie przed jego wzrokiem, popychając w stronę łóżka. Wjadę i to tak, że zapamiętasz na całe życie. Cholerne gacie. Rozporek, to jest pieśń przyszłości, musi się tym kiedyś porządnie zająć. Szarpnął aż zatrzeszczały szwy, ale wreszcie był wolny. To, co się działo tam w dole, zaskoczyło i jego. Jakby jakaś tajemnicza sprężyna napięła do granic bólu i rozkoszy tę masywną strzałę, którą się ni gdy specjalnie nie chlubił, ale teraz - o święty przypadku - naprawdę powinien.

. Nie zepsuje sobie tej chwili zwierzęcym szaleństwem. O, nie. Nie jest już dawno chłopczkiem trykającym do utraty tchu i rozumu. Chce ją czuć szczególnie po szczególnie, chwila po chwili. Zwłaszcza to pierwsze dotknięcie, gdy jej przyzwolenie i jego zdecydowanie znajdują punkt, w którym nabiorą kształtu, zapachu i smaku. Tajemnica. Boska i ludzka. Skok w przepaść. Słodczy i cierpka zapowiedź spełnienia. Mrówcza rozkosz i lęk odkrywania. Nie ma większej intymności między dwojgiem ludzi. To, co potem, jest tylko rozpaczliwą powtórką, gwałtownym szukaniem smaku tej pierwszej chwili. Ileż razy bezskutecznym? Ale nie teraz, nie teraz przecież. Nie pozwoli na to. Może to - o, głupia, natrętna myśl - jego ostatni raz. A może - w nowym, wolnym życiu, jakie zacznie od tej chwili - pierwszy?

? Był więc uważny. Zakołatał do drzwi. Wszedł wolno i znieruchomiał zaraz z rozkoszy i zachwytu. Było tak jak sobie wymarzył. Szorstko i atlasowo zarazem, tkliwie i wyuzdanie. Pasowali do siebie. Pokaże jej, co wcześniej traciła. Rozłupie ją na pół, doprowadzi do szału, da się błagać o jeszcze. Wie to już? Wie. W półmroku jej oczy błyszczały dziwnym, magnetycznym blaskiem. Oboje wstrzymali oddech i zastygli zgodnie. Może warto było czekać tak długo, żeby doczekać czegoś tak wyjątkowego. Może. . .

Chciał iść dalej, ale ona stawiała nagle opór. Zwarła uda tak siłnie, że o mało z niej nie wyskoczył, jednocześnie jednak ramionami objęła go aż do bólu w płucach. Zaczyna swoje sztuczki? Chce go znowu wystawić do wiatru? Co za kurewskie misterium ma zamiar zagrać? Poderwał się znowu i znowu nigdzie nie wleciał. Dobrze. Będą walczyć do upadłego. Wiodocznie to lubi najbardziej. Kusi go z pewnością, drażni, żeby rozpalić do białości. Do diabła, żeby tylko nie przesadziła. Ale skąd, idiotka, ma wiedzieć, że tam, w głębi brzucha czai się groźba stokroć większa niż wszystkie jego mściwe myśli razem wzięte.

177 Chciał się ratować przed kompromitacją - ktoś mu przyniósł to piwo, te moczopędne po-

myje, Jeremi, no, temu się dzisiaj wszystko chyba źle kończy - polecieć w nią aż do samego dna, albo wyrwać się i uciec byle gdzie, kiedy uniosła się do niego i delikatnie dotknęła go

wargami. To było piękne. Piękne i nieoczekiwane. Poczul znowu przyptyw siły, ale nie protestował już, gdy powstrzymała go wilgotnym pocałunkiem.

Coś tu było jednak nie tak. Jego zmuszała do bezruchu, a sama dygotała cała lekko, drżały jej wargi, oczy popatrywały gdzieś w bok, w stronę drzwi. Durny głuszec. Zajęty tokowaniem stracił wszystkie zmysły, przestał widzieć, słyszeć i rozumieć. Coś się znowu działo na korytarzu, jakieś tupoty, szepty, coś przesuwano po podłodze. Uwierzył w realność tych odgłosów dopiero, gdy zobaczył oczy Catai. Były oszalałe ze zdenerwowania. Wie coś, czego on nie wie. Słyszy, czego on nie słyszał. Uniosła się w jego stronę nie z czułości wcale, unieruchomiła go nie pod wrażeniem jego miłosnej sztuki, ale żeby - o naiwności rozpalonego ogonka - słyszeć, , a może i widzieć lepiej. Co?

Zimny pot oblał go nagle. Przyszli go zabić. To zmowa. Branicki, słudzy Branickiego, karły Catai, łże- król, cała ta hałastra, nastająca na jego cześć i życie! Więc co - kolejny pocałunek śmierci? Erekcja skazańca? Tak, zatopiony w niej, związany jej ramionami i ogłuszony pulsowaniem krwi, był doskonałym celem. Wybiorą wątrobę czy serce. To ten pierwszy cios, którym mu groziła? Nie miał ochoty się bronić. Niech się dzieje, co chce. Bo czy nie ukojenie go w gruncie rzeczy czeka? Uwolni się chociaż od tej bandy i od zmęczenia, które miesza mu już w głowie. A taka śmierć - czyż nie stanie się godna jego życia?

Ale to był tylko moment. Wola życia szarpnęła nim razem ze zbuntowanym pęcherzem. I nie pomogła znowu zbudzona aktywność dziewczyny. Piekąca rozkosz, jaką przez sekundę poczuł, nie mogła go teraz zawrócić z drogi. Pęcherz skazańca! O, nie, tylko nie to! Drzwi zatrzeszczały cicho, jakby ktoś sprawdzał czy są zamknięte albo oparł się o nie nieuważnie. Więc to nie przywidzenia! Wyrwał się z niej tak gwałtownie, że nagle uwolnione ptaszysko walnęło boleśnie o poręcz łóżka. Chciała go złapać, ale był szybszy, ześlizgnął się na podłogę i łapiąc tylko spodnie i szpadę, zgięty wpół, pokuśtykał do drzwi. Przekłęte, świńskie piwsko. Przekłęty, świński pech. Zawsze na posterunku.

- Ja zaraz. . . . Za drzwiami nie było nikogo, jeśli nie liczyć pochrapującego Byka, ułożonego pod ścianą w karkołomnej pozycji, z twarzą nakrytą kolanem. Lepszego strażnika trudno było zaiste wymyślić. Coś jednak znowu usłyszał, jakby turkot przesypywanego grochu, albo tupot delikatnych stóp. Trzasnęły drzwi w tej części korytarza, gdzie był pokój Sary i Etel. No, tak, mógł się domyślić wcześniej. Będzie musiał im wreszcie złoć skórę. Ale nie teraz, do stu tysięcy pełnych pęcherzy, nie teraz!

Próbując zapiąć spodnie, tak, żeby nie siać zgorszenia, ale i nie zrobić sobie krzywdy, dotarł do narożnej izby. Nie było chwili do stracenia - zrzucił pokrywę potężnego kubła i wycelował w niewidoczną czeluść. Przez moment - straszny, bo rozjarzony wizją wybuchu, rozrywającego mu brzuch na strzępy - nic. Ale zaraz potem - ulga równa tamtej grozie, co tam

równa, sto, tysiąc, milion razy większa! Mógł już podnieść głowę. Ona! Zabije go. Skompromituje. Ośmieszy przed wszystkimi. Ale i tak warto było. Co to za dziwaczna rozkosz mu się przydarzyła. Dziwka, wspaniała dziwka! Wróci zaraz do niej, wszak to była tylko zakąska, nie kolacja jeszcze. Skąd światło? Uśmiechnął się do siebie. Nie bądź głupi, Giacomo, nie ruszy cię ani złym słowem, ani sztyletem wynajętego zbira. Spełni do końca swą kurewską powinność. Skąd to światło? Z okna naprzeciwko. Świeca? Skoro nawet pieniądze przyniosła. Ten podgolony łeb tak na nią działa? Ten, inny, podgolony, wąsaty, łysy - do diabła z nimi! Kto tam się w nocy szwenda po kuchni. Jeremi? Tak. Temu wszystkiego mało. Podjada nocami, jakby mu kto żałował jedzenia za dnia. Może wyrośnie z niego co najwyżej taki Wasyl. Wielkie, głupie chłopisko, prawdę mówiąc - zwyczajne bydlę. Stołek sobie mości. Pewnie, wygoda przy żarciu ważna rzecz. Ale co wyrabia tym sznurem? Co. . . ?

178 Był jeszcze daleki od swojego kresu - pienista struga leciała w dół z niezmienioną mocą -

kiedy z przerażeniem zrozumiał, co tam, przed nim, w półmroku kuchni, dzieje się naprawdę. Chciał rzucić się biegiem w tamtą stronę, ale musiał tkwić dalej w miejscu, bezradnie patrząc, jak chłopiec wolnym, ale jednostajnym ruchem, bez wahań i nerwowości, jakby chodziło o każdą inną zwyczajną czynność - wchodzi na stołek i zarzuca na belkę spory kawał sznura. Jeszcze przez chwilę miał nadzieję, że się myli, że to jakieś szczeniackie zabawy z liną, dowcip może szykowany wszystkim na rano - ale bezlitośnie jednoznaczny kształt pętli, który pojawił się przy głowie Jeremiego, przekonał go, że to nie żarty. Chciał krzyknąć, ale co tu pomoże krzyk, mury grube, okienka wąskie jak w fortecy. Szarpnął się, spróbował zastopować kaskadę, lecz zyskał tylko płamę na podłodze i irytująca świadomość, że stracił bezcenną sekundę. Szybciej, szybciej, chyba ten cholerny gejzer ma gdzieś swój koniec. Koniec. Co za parszywe, bezwzględne słowo. Jak ostrze szpady, jak wylot lufy tuż po strzale, jak, Boże, nie można do tego dopuścić - chrzęst sznura zaciskającego się na szyi. Nie! Co ten nieszczęśnik wyrabia!

Rzucił szpadą - ból palców przypomniawszy mu, że ją ścisną w dłoni - ale chybił. Okno nie rozsypało się na kawałki razem z potwornym widokiem Jeremiego wkładającego głowę w stryczek. Ściemniało światło, ledwie mógł cokolwiek dostrzec, ale nagły ruch tego cienia po środku, był jak cios w serce. Stało się. Boże Święty, zrobił to, zrobił. A on może tylko na to patrzeć. Świnia niemyta, dziurawa beka od piwa, żaloszny niewolnik swojego pęcherza.

Już nie. Już może, wszystko może. Wskoczył na korytarz aż tynk posypał się ze ściany. Pędził przed siebie jak oszalały, przytrzymując rękami zjeżdżające w dół spodnie. Schodek, zakręt, szorstka ściana, próbująca go zatrzymać. Odbił się od niej, odskoczył. Nie myślał o Jeremim, cały był ruchem, energią, lotem. Sekundy, mogą zdecydować sekundy. Już niedaleko, tamte drzwi zamajaczyły w końcu korytarza. Ale tu bliżej miał inne drzwi, o wiele bardziej upragnione! Rozkosz, szaleństwo, Catai! Niech mu tylko, do diabła, nie ucieka.

Zaczepił nogami o coś miękkiego i rąbnął jak długi na podłogę. Jezus, Maria! Nie zdąży. Pozbierał się jednak błyskawicznie, poderwał na czworaki i zaraz - rozpaczliwym wysiłkiem całego ciała, gubiąc myśli o dziewczynie, nie zważając na jęklive przekleństwa napadniętego Byka, opór mięśni i ból przygniecionej ręki - runął na tamte drzwi. Liczyły się już nie sekundy, a oddechy. Jest! Kołyszący się wolno cień. W tym ruchu była jeszcze jakaś nadzieja. Coś ty zrobił, gówniarzu, coś ty zrobił!

Umysł pracował precyzyjnie, każdy błąd mógł mieć teraz ostateczne konsekwencje, jeszcze więc zanim zobaczył wisielca, złapał ze stołu nóż. Ciało Jeremiego, skurczone i jakby powleczone szarością, kołysało się jednak wyżej niż przypuszczał. Uniósł je w górę, żeby rozluźnić stryczek, ale nie był w stanie dosięgnąć go nożem. Za późno zrozumiał swój błąd. Powinien do noża dodać stołek, wtedy dopiero miałby jakąś szansę. A teraz co? Chude nogi chłopca niebezpiecznie gięły się w jego uścisku, musiałby je puścić, żeby złapać stołek, ale wtedy cień życia, który - wierzył, chciał wierzyć, tuła się jeszcze w tym drobnym ciele, mógłby zniknąć bezpowrotnie. Co robić? Zimny pot spływał mu po plecach, dyszał ciężko i gorączkowo szukał rozwiązania. Ogarniała go rozpacz. Wkrótce nie będzie już nawet nadziei - omdleją mu ręce i ciepłe jeszcze ciało spadnie ponownie całym ciężarem w dół. Z jego, do diabła, winy. Winy? Kto tu mówi o winie.

Chciał krzyknąć o pomoc, ale zanim głos go usłyszał, ktoś wszedł hałaśliwie do kuchni za jego plecami. Nie zdążył się odwrócić, gdy coś świsnęło nad głową i ciało Jeremiego, uwolnione nagle, runęło miękko na niego, a obok upadł na kolana, powalony potężnym skokiem Byk. Skąd wziął tę zakrzywioną szablę?

Mógłbym mieć takiego syna, pomyślał, ruszając na sztywnych nogach naprzód. Coś ty zrobił, coś ty zrobił, synu? Położył chłopca na stole, przyłożył ucho do piersi. Żyje? Słyszał tylko łomot własnej krwi w skroniach. Nie było na co czekać. Jeśli istniała jeszcze jakaś szan-

179 sa, znał ją tylko Bóg. I on, pojętny uczeń doktora Gautiera, uznanego za te praktyki za depra-

watora młodzieży i wypędzonego z Paryża. Rozsupłał sznur z szyi, rzucił go ze złością na podłogę. Co za świństwo. Przecież ten chłopiec chciał się zabić właściwie przez niego. Przez jego pomysły. Zwierzęcy magnetyzm, cuda, lewitacje. Nadzwyczajne moce, a niemoc zwyczajna. Do diabła ciężkiego, mógł być dla niego lepszy. Gdyby wiedział. . . To jeszcze dziecko, pomyślał rozpinając gorączkowo koszulę na wątlej piersi Jeremiego. Chciał najpierw ucisnąć dłońmi te piersi, sztucznie pobudzić płuca, ale chudość chłopca przestraszyła go. Jeszcze mu coś złamie.

- Światło, zapal jakieś światła - krzyknął do Byka, gramolącego się z podłogi. To, co trzeba, widział i tak, wołał jednak wydostać i siebie, i chłopca z ciemności, która tej nocy miała w sobie więcej groźby niż tajemnicy. Niech zawoła wszystkich, pomyślał jeszcze, ale nie zdążył już powiedzieć. Nachylił się nad małym i zaciskając mu nos palcami, wdmuchnął całą zawartość płuc w półotwarte usta. I jeszcze. I jeszcze. I jeszcze. Doktor Gautier potrafił tak i ze sto razy. Tylko niżej, mocniej wpić się w wargi Jeremiego. Mój Boże, gdyby nie strach o chłopca i o swoją skórę, nie byłoby to wcale nieprzyjemne. Catai - czy to możliwe - kilka minut temu, smakowała całkiem podobnie. Życiem, nie śmiercią. Więc może? Na pewno. Jeszcze raz. Catai. Gdyby go teraz widziała, pękłaby chyba ze śmiechu. Ale niech zaczeka z tym śmiechem. Zobaczysz za chwilę. Zaczeka. Czeka? Czeka. Będzie jego nagrodą. Coś mu się chyba za to wszystko należy.

Nic mu się nie należy. Kula w łeb jutro rano. Chłopiec nie ruszał się nadal i nic nie wskazywało na to, by kiedykolwiek był do tego skłonny. Pacjenci doktora Gautiera już dawno by wstali i złożyli przed wybawicielem ceremonialny ukłon. Widział kiedyś coś takiego. Ale teraz widzi tylko zamknięte oczy chłopca i jego otwarte bezradnie usta. Gorzej - sam tracił dech, a może i przytomność. Czarna zasłona przykrywać zaczęła wszystko. Musi odpocząć, ale przecież nie wolno mu, skoro każda chwila może być decydująca. Musi. Zatoczył się mocno, ale zdążył przytrzymać stołu. Żołądek podszedł mu prawie do gardła. Spokój, spokój. Trzymaj się mały, jeszcze chwilę. Byle nie stracić przytomności, ani nie zwymiotować.

Ale była jeszcze gorsza możliwość. Giacomo dochodził już do siebie, gdy owionął go czyjś cuchnący oddech i jakiś ciężar zaczął go spychać na bok. Wyteżył wzrok, ciągle przy- cmiomiony pulsującą groźnie ciemnością. Nie musiał zgadywać. Zobaczył dziwnie uśmiechniętą gębę Byka nachylającą się nad Jeremim. Jezu, tylko nie to! Pijane bydlę. Przez takich wynaturzeńców zaszczuto doktora Gautiera. Won! Gdzie się pcha! Buda! Jeden chuch z tej śmierdzącej gardzieli położyłby trupem każdego. Chce mu się całować? Proszę bardzo - może jego pocałować w dupę. Ale od chłopca wara!

Nie mógł dosięgnąć Byka, czuł zresztą, że ręką obolała ciągle po upadku, może nie wytrzymać solidnego walenia po pysku, rozbijał więc nogę i kopnął z całej siły tamtego w kostkę. Nic wielkiego się nie stało. Chłopisko spuściło łeb po sobie i cofnęło się, mamrocząc coś pod nosem, bez gniewu jednak ani chęci rewanzu. Sam pewnie nie wie, co robi, tak jest pijany. Cud, że nie skaleczył Jeremiego swoim szabliskiem. A teraz - czy nie rozpląta go z tyłu znienacka? Ta myśl przywróciła mu znowu przytomność. Nachylił się szybko nad chłopcem. Wdech i wydech. Wdech i wydech. I spojrzenie czujne za siebie - czy nie leci na niego szablasy potwór. Nie zobaczył go od razu, bo zanim wzrok wyłuskał z półmroku układającą się w kącie do snu postać, drzwi otworzyły się ostrożnie i nikły blask lampy oświetlił przestraszone twarze bliźniaczek i wysoko nad nimi zawieszoną rozspaną gębę Wasyla. Ale i to przyszło o ułamek sekundy później.



Bo najpierw, coś się stało tu przed nim. Usłyszał to, poczuł? Pojął jakimś nieznanym zmysłem? Najpewniej wszystko razem. Ale co właściwie? Jeremi leżał dalej nieruchomo, cicho, martwo. Pobladła twarz zrobiła się jeszcze bardziej trupia. Więc gdzie ta nadzieja, tak przecież przed chwilą wyraźna. Oszustwo, wszystko oszustwo? Kiwnął ręką, niech wejdą, zdarzyło się nieszczęście, ot co. I wtedy Jeremi czknął głośno i otworzył oczy. Więc jednak - cud, cud się

180 zdarzył tej nocy. Dzięki Bogu i - wytarł dłonią usta - doktorowi Gautier. Chłopiec nie bardzo

chyba wiedział, co się stało, ale zobaczywszy Casanovę, zamrugął z przestachu oczami. Mnie się boi, mnie, którym dla niego jak ojciec, którym go chciał wielkim artystą zrobić, sławnym w całej Europie, którym różgi jednej nie złamał na jego grzbiecie, ani nie poturbował słowem po dzisiejszym kataklizmie. To taka zapłata za jego dobroć, za - ramieniem osuszał wargi - płuca wypompowane do cna? ? Myśli, że co? I że kto go wyrwał z tamtego świata? Jeśli sądził, że zwieje od swojego losu, to się mylił. Nikt nie zwieje. No, może prawie nikt. Bo niektórzy jednak zwieją i to już wkrótce. Sam zna takiego jednego.

- Witaj w domu. . Blady, lecz bez wątpienia radosny uśmiech Jeremiego rozproszył złość Casanovy. Może jeszcze coś będzie z chłopca. Chyba nie wszystko z niego wytrzęsła kłępa z tęgim zadem. Coś tam pewnie z tej niezwykłości jeszcze zostało, choć iskra może, nawet iskierka ledwie się tłąca, niechby, już on z niej zrobi strzelające w niebo ognisko. Pilnował go tylko będzie lepiej. Poklepał Jeremiego po twarzy. Niech leży, nie rusza się, aż dojdzie do siebie. Wywar z mięty. To go rozgrzeje na pewno. Sam by się czegoś gorącego napił - Sara rozpalala już ogień pod blachą - ale szkoda czasu. Tu dadzą sobie radę bez niego. A tam - czeka następny cud. Byle się tylko nie skompromitować. Ale nie - głupio to przyznać, jednak był ciągle podniecony. Wargi Jeremiego nie różniły się wiele od ust Catai. Przyjrzał się jeszcze przez moment jak Etel wyciera chłopcu chusteczką twarz. Teraz dopiero poczuł, jaki chłód tu panuje, a on przecież okryty jest tylko samą skórą. Półnagi i bosi musi wyglądać idiotycznie. Złapie zapalenie płuc, jak będzie tak dalej sterczał i jutro złośliwcy okrzykną go tchórzem. Niedoczekanie.

Ziąb nie ziąb, nic tu już po nim. Ciepłe łóżko z piękną, gorącą kobietą, czyż to nie będzie najlepsza nagroda. Każe jej się najpierw nakryć pledem, objąć mocno i trzymać, póki nie powie. To będą boskie chwile. Potem dopiero pozwoli rozgrzać się inaczej. Schylił się, żeby wyjąć jakiś uciążliwy paproch spomiędzy palców nogi, a kiedy się wyprostował, gruba, szorstka koszula spoczęła na jego gołych plecach. Obejrzał się ze zdumieniem. Wasyl. Owłosiony jak małpa i z miną, oczekującej na marchewkę małpy. No, no, doczekał się wielbicieli. Zamiast Catai - Wasyl. Myśli, że mu zapomni tamten kanibalizm. A zresztą - zapomni, już zapomniał. Uśmiechnął się do Wasyla, nieoczekiwanie nawet dla samego siebie i wyszedł,

żeby się nie roztkliwiać do reszty. Koszula śmierdziała capim potem i lepiała się do pleców, ale nie okazał odrazy. Następny jeszcze gotów włożyć głowę w pętlę. . .

Za drzwiami zerwał jednak z siebie cuchnące okrycie - co pomyśli jego prawie królewska kochanka, kiedy ją uraczy tym zapachem - i grzmotnął szmatą w ciemność korytarza. Chłapnie się wodą kolońską zanim ona cokolwiek poczuje, pomyślał, pewien, że rozstaje się ze śmierdzącym łachem na zawsze. Pół kroku później miał znowu tę koszulę na głowie. Ktoś go przytrzymał, ktoś okręcił rękawami szyję. Nawet się nie szarpał, nie próbował walczyć. W gruncie rzeczy spodziewał się tego. Przybyli go zabić. Zbiry Branickiego czy jakiegoś innego diabła. No, to już. Na co czekają. On jest gotów. Może choć ten ostatni dobry uczynek policzą mu w niebie. Jak tam jest? Jak tam jest? Sekunda za sekundą to pytanie wypełniło cały mózg. Jakby na tym świecie nic go już nie interesowało. Jak? Może ciemno, ale na pewno nie smrodliwie. Udusi się wyziewami Wasyla, zanim zdecydują się wsadzić mu nóż pod żebra albo poderżnąć gardło. Co jest? Niech robią swoje, ale niech przestaną go dręczyć. To koniec? Naprawdę? Chyba koniec. Skoro nawet nie ma siły się ruszyć. Już umarł?

- Dostyc. . Kto to powiedział? Dlaczego po francusku? Miejscowe zbiry nie były tak subtelne. Zna ten głos. Ale, co z tego - zna tysiące głosów. Ucisk na szyi zelżał nagle, jego mięśnie, napięte bezwiednie chyba, bo nie bronił się przecież, wystrzeliły śmierdzącą szmatą wysoko w górę.

- Brawo. . Brawo, panie Casanova. Nareszcie prawidłowy ruch.

181 Ognik cygara przesunął się w stronę jego twarzy. Nawet gdyby nie rozpoznał głosu, smród

mocnego tytoniu podpowiedziałyby mu rozwiązanie. Pułkownik Astafow. Zjawia to czy sen? Koszmar utkany z nerwów i zmęczenia?

- Oczywiście, nie mam na myśli wymachiwania koszulą, ani tym bardziej tych głupstw, którymi się pan popisывał na dworze. Ale zabicie Branickiego, to jest coś, pomysł godny pańskiej inteligencji.

Prawdziwy. Czyżby sprawy miały się już tak źle? Nie przyjechał tu chyba na wycieczkę. . . - Nie mam zamiaru nikogo zabijać. To pojedynek - powiedział bez przekonania. - Nie miałem innego wyjścia.

I teraz go nie miał. Czuł to plecami, za którymi czaił się ten drugi, chętny pewnie - tak jak przedtem koszulą - owinać mu szyję jedwabną linką albo złamać kark dobrze odmierzoną ciosem. Czuł całym ciałem, odrętwiałym nagle i niezdolnym do sprzeciwu, jakby już z góry wiedział, że nie ma to teraz najmniejszego sensu. Prawie widział uśmiech na twarzy Astafowa.

- W porządku, w porządku, pojedynki. Ale pojedynki rozmaicie się kończą. Założmy - to Branickiemu przydarza się coś bardzo niedobrego, dusza jego, że tak powiem, ulatnia się przez niewielki otwór, którego pan, panie Casanova, jest niezaprzeczalnym autorem. Co się wtedy dzieje, jak pan myśli?

- Nie wiem. . Usłyszał swój płaczliwy głos i aż się zrobił arogancki ze wstydu. - Nie wiem i nie interesuje mnie to wcale.

. - A to szkoda. Nawet więcej - błąd. Nie pierwszy zresztą dzisiaj. No, bo właściwie - cóż to - nie zaprasza nas pan do siebie, , do środka?

Cygaro podjechało blisko brody. Giacomo nie odezwał się, zahipnotyzowany ruchem rozżarzonego płomyka. Niech się sami, głupcy, domyślą, że nie chce i nie może. Nie chce, bo nie może. A choćby i - nie może, , bo nie chce.

- No dobrze, niech ci będzie. Nie mamy czasu, żeby się rozsiadać. Ten błąd uznajemy za- tem za niebyły, co?

Drab z tyłu zarechotał głośno. Kuc? Nie, już prędzej ten, co trzymał mu głowę w piecu. - Co do innych - pieniądze wzięte na tę dziwkę - zwrócisz. My nie szastamy złotem, mój panie. W każdym razie nie na dziwki.

Merde, pomyślał, spokojny, że nikt go na tej myśli nie pochwyci - nie wiesz, co mówisz, eunuchu. Na taką zdobycz warto wydać każde pieniądze. Wiedzą, że tam czeka na niego, że przyniosła złoto? Wiedzą, wszystko wiedzą. Astafow nie patrzyłby na niego tak spokojnie.

- A co do twojej wizyty u Repnina, ambasadora Repnina. . . Narobiłeś nam trochę kłopotu swoim gadulstwem. Ale - było, minęło. Tylko, że. . . - uznał, że cygaro jest także do palenia, zaciągnął się głęboko - następnym razem podobna nieostrożność będzie cię kosztować gardło. Zrozumiano?

Zrozumiano. Zrozumiano i to jeszcze, że tym razem wyjdzie z opresji cało. A już był prawie pewien, że policzone stały się nie tylko godziny i minuty, ale sekundy jego życia. Poczł znowu chłód, kamienna podłoga była tak lodowata, że ledwo mógł ustać. Chce do siebie, do niej, do rozpalonego pieca, do wybuchającego wulkanu.

- Wróćmy do spraw przyjemniejszych. . Zabiłeś Branickiego. I co dalej? - Nie chcę nikogo zabijać.

. - Zgoda. Ale, powiedzmy, Branicki ginie w pojedynku. Powiem ci, jakie będą w przybliżeniu skutki takiej sytuacji. Jego stronnicy, a ma ich wielu i to wpływowych, wywołują zamieszki, węsząc w tym intrygę obcych potęg, a pewnie i króla. Wojsko podnosi bunt przeciwko tronowi i nie chce tłumić rozruchów. Zawierucha robi się jeszcze większa niż jest. Jakie wyjście ma król? Jego królewska mość zmuszony jest prosić nas o pomoc wojskową. My jej oczywiście udzielimy niezwłocznie i, że tak powiem, bezpowrotnie. Rzecz jasna nie za

182 darmo. Ze złotem nie tylko u ciebie krucho, więc obejdzie się bez złota. Ceną będą pewne

ustępstwa, dajmy na to - terytorialne. . Nie boi się, że to ktoś usłyszy? Ale niby kto? Pijany jak bela Byk, Wasyl, którego sami na niego nasłali, może dziewczynki albo ledwie zmartwychwstały Jeremi? Nie ma co - świet-nych ma sojuszników. Pchły z nimi najwyżej łapać można. Nikt go nie obroni. Nawet Łaciaty zawieruszył się gdzieś od paru dni. Sam więc musi warzeć.

- Pójdę do króla. . Czł znowu oddech tego drugiego na karku. Przegryzie mu szyję czy huknie czołem w ciemność, aż echo poniesie się schodami na ulicę? Astafow końcem cygara wstrzymał rozwiązanie tej ponurej zagadki.

- Spróbuj. Ale - wie już przecież kim jesteś. Poszczuje cię strażą. A może i po prostu psami. Wszystkich jego psiarni chyba nie rozpuściłeś? Co?

Nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Wiedzą wszystko. I o psach Repnina, i pewnie o zadyabanych przez niego wartowniku. Przytrzymując się ściany, żeby gwałtownie nie upaść, osunął się na podłogę. Już nie było w nim buntu, tylko zmęczenie, śmiertelne, zatykające dech zmęczenie. I bolesne zdziwienie - tylko tyle potrafi?

? - Nie chcę nikogo zabijać.

. - Musisz. . Nie masz wyjścia. Wie, co mówi, bydlak. Zapędzili go w kozi róg, zagnali do jakiejś dziwnej pułapki. I bez nich przecież miał zamiar przedziurawić podgolonego pyszałka, a w każdym razie zdrowo dać mu po łbie, ale teraz nabierało wszystko innego znaczenia. Będzie aktorem w politycznej intrydze, diabeł machnie ogonem i on ruszy obalać trony, zmieniać granice, zabijać i kaleczyć niejednego Branickiego, ale tysiące Bogu ducha winnych ludzi.

- Będę mógł wyjechać? ? - A czemu by nie? Czy to zresztą tak naprawdę my cię tu trzymamy? Nie ktoś zupełnie in-ny? I nie coś zupełnie innego?

Pewnie by się nie zorientował, o czym mówi Astafow, z trudem docierały do niego te słowa, bo był przejęty myślą, że go mają i że nic na to poradzić nie może - ale ten z tyłu zarechotał tak oblesnie, że nie było wątpliwości. Catai! Biorą go za dwudziestoletniego półgłówka?

Niech biorą. Niech się śmieją. Niech wierzą w ten śmiech i w jego poniżenie. Co to za rechot trudny do zniesienia, jak terkotanie srok nad drzemiącym w trawie kotem. W piekle może się przyśnić! Dobrze, pokaże im jak poniżenie zmienić ma wywyższenie, jak się podnieść, wyprostować, dumnie zadrzeć głowę. Ale tam śmiech, paraliżujący wolę przekleństwami bez słów. . . Odechciało mu się wszystkiego. Wszystkiego. Posiedzi tu do rana. Przetrzyma najgor- sze. Byle niczego więcej nie musiał robić. Niech ich diabli porwą i to najbardziej rogaci! Schylił głowę między kolanami. Mogą go nawet zabić.

I nagle olśnienie. Catai! Prawdziwa przecież, żywa, ciepła. Czeka tam na niego, naga, rozłożona zachęcająco, gotowa go przyjąć. Wróci w miejsce, z którego uciekł, ponownie przeżyje cudowną chwilę, którą z innymi przeżywał tylko jeden jedyny raz. Weźmie ją jeszcze od tyłu, żeby lepiej poznała jego siłę. A potem? Może nie być żadnego potem. Nie - rozluźnił na brzuchu uwierające go coraz bardziej spodnie - bzdura. Zrobi, co do niego należy. Jutro. I szukaj wiatru w polu! Zwieje stąd choćby miał się czołgać do samego Paryża.

- Wstawaj! ! Dobrze, dobrze, sam doszedł do takiego wniosku. - Szybciej!

! Szkoda każdej chwili i każdego słowa na tych idiotów. - Wyprostuj się!

! Żebyś wiedział, dumniu, jak jestem wyprostowany, jak sztywny i gotowy do walki. - Nogi razem!

! Razem. Potem osobno, kiedy każe tamtej na sobie usiąść. A potem znowu - między jej nogami - razem.

.

183 - No już!

! Już. Zaraz. Za chwilę. - Szpada!

! Poczul nagle w dłoni chłodną rękojeść. Boże mój - szpada! Prawdziwa szpada. Zważył ją w ręku. Najprawdziwsza. Nie za ciężka, nie za lekka. Po mistrzowsku wyważona. Nie to, co pogrzebacz Kotuszki czy szpikulec Byka. Aż tak się o niego troszczą?

- Ostrożnie. . Wystarczy, że go draśniesz. Dotarły do niego te słowa, gdy już nie dbając o tamtych, marząc, by najpierw podłoga, a potem ziemia rozstały się i na zawsze pochłonęły pułkownika Astafowa i jego tysięczną kompanię, ruszył przed siebie, nastroszony cały do miłosnego boju. A więc to tak? Zatrute ostrze? Znowu - żart czy sen? Nie zatrzymał się, nie odwrócił. Ścisnął mocniej w dłoni rękojeść szpady. Głupi żart. Koszmarny sen. Niech ich piekło ugości!

Pchnął drzwi z takim impetem, że aż jęknęła ściana. W pokoju paliła się tylko jedna świeca, ale nawet przy jej mizernym świetle zrozumiał, że nie ma tu nikogo. Poszła, uciekła, nie zaczęła na jego tryumfalny powrót. Szturchnął szpadą w rozbebeszone łóżko. Wystarczy

drasnąć. Jemu nie wystarczy. Nigdy nie wystarczało. Dźgnie tak, że zatrzeszczy kręgosłup tamtego i oczy rozgorzeją wilczym blaskiem, wbije mu ostrze po szyję i poczeka aż zakotłuje się krew. Ale najpierw zakotłowało się w nim samym. Skoczył na korytarz, gotów kopać, gryźć, pluć, a przede wszystkim wypróbować na Astafowie mistrzowsko wyważoną szpadę. Ale i tu już był sam. Od strony kuchni nie dochodził żaden dźwięk, a schody trzeszczały cicho tylko ze starości. Łotry! Bezczelne łotry!

Wrócił w pośpiechu do pokoju, boleśnie potrącając kolanem krzesło. Jednak dziwka! Wielka, monstualna dziwka. I wielki, monstualny dureń! Łotry i dziwki, oto świat, w którym przy- szło mu żyć. Wielkie gratulacje, panie Casanova. Nigdy nie za późno na takie odkrycia.

Zobaczył swoje mdłe odbicie w lustrze. Coś miał na twarzy, krew, brud, początki ospy? Złapał świecę i podszedł bliżej. To nie na jego czole i policzkach coś tkwi, ale na lustrze. Jakiś napis. Szeroko, nerwowo namazany kredką do ust. Ale pismo piękne, wypracowane. Ona? Któż by inny, ale aż się nie chce wierzyć, że poświęciła kiedyś choć chwilę czemuś tak bezinteresownemu jak piękne pismo. Może w dzieciństwie. . . Cholerna świeca. Zbuntowała się przeciw knotowi akurat teraz. " Jutro " - tyle zdążył przeczytać zanim płomień zatonął we wrzącej stearynie. Jutro. Co - jutro, tak, czy nie, w lewo, czy w prawo. Przestraszyła się, czy nie chciała czekać? Ale przecież. . . Skrzesał szybko ogień. Już nie zapalał na nowo świecy. W nagłym rozblýsku zobaczył, co chciał zobaczyć.

" Jutro. Jeżeli będziesz grzeczny. . . " Idiotka. Sama idiotka i jego ma za idiotę. Tak sobie wszystko zaplanowała? To, co dostał, to miał być zadatek, tylko zadatek. Resztę zabrała mu sprzed nosa. " Jeżeli będziesz grzeczny " . Aż tak wierzy w siłę swojego brzucha? Było pięknie owszem, ale taki zadatek może nie wy- starczyć. Jutro. Ostatecznie, co innego ma teraz w głowie. Dobry kupiec zapłaciłby na jej miejscu z góry i z nawiązką. Kto by tak ryzykował, licząc na jego " grzeczność " . O mało nie parsknął śmiechem. On ma być dla niej " grzeczny " . Co to za słowo, do diabła! Chyba woli już kobiety przewrotne niż głupie.

W chwilę potem odechciało mu się śmiać. Prawie natychmiast podejrzenie zamieniło się w zimną, nienawistną pewność. Przesunął ręką po komodzie, rzucił się całym ciałem na stół - pieniądze nie było. O święta głupoto! Catai podejrzewał o naiwność!

Chciał rąbnąć szpadą o podłogę, ale zawahał się, a w końcu położył ją ostrożnie na stole, zważając, by odsunąć ostrze jak najdalej. Dobrze, będzie grzeczny. Nie pogna teraz za nią, nie znajdzie jej i nie zabije. A jutro - zwał się w pościel pełną ciągle jej zapachu, ledwie żywy

184 ze zmęczenia - jutro będzie jeszcze grzeczniejszy. Nie zrobi wielkiej krzywdy jej amantowi,

trochę go tylko, leciuteńko i jakby mimo woli - draśnie. . Konie ruszyły bez rozkazu, widać miejsce pojedynku było już ustalone. Milczeli, a kiedy Branicki spytał go o coś zdawkowo, zabrzmiało to jak nietakt. Czuł ucisk w brzuchu i szum w głowie, pofolgował sobie przy obiedzie jak głodomór. I głupiec, bo kto się najada przed pojedynkiem. Branicki zaśmiał się tylko, kiedy Giacomo mu o tym powiedział. Wszystko było chłodne, ciche i nierealne. Parskanie koni, żółć w ustach, kolano człowieka, którego jechał zabić, trącane jego kolanem, coraz biedniejsze domy za oknem powozu, świeży śnieg na polach.

Rzeczywistość wróciła, gdy zatrzymali się przed bramą parku. Wysiedli w pośpiechu, każdy po swojej stronie i już nie udając przyjaciół ani pewnych siebie zawadiaków, poszli ciężko przed siebie grabową aleją. Ścisnął oburącz szpadę, w niej najpewniejsza nadzieja. Ale i niepokój rósł coraz większy. Cóż miało znaczyć, że tamten miał u boku tylko zakrzywioną szablę? Ale może kto inny - rozejrzył się chyłkiem - niesie szpadę. Trudno powiedzieć. Cały orszak oficerów i służby ciągnęli za sobą. Nikogo z tych ludzi nie znał. Nawet siwowłosego generała, uśmiechającego się do niego życzliwie, widział po raz pierwszy. Na szczęście nie było tego ogolonego do gołej skóry awanturnika, przy którym doszło do zwady. Ten by się nie zawahał przed żadnym świństwem.

Aleją kończyła się ławką i kamiennym stołem zrytym jakimiś łacińskimi napisami. " Jutro. Jeżeli będziesz grzeczny ". Idiotyzm, skąd nagle przypomniany. Przystanęli w ciszy, zakłócaną jeszcze tylko przez chwilę chrzęstem żwiru pod stopami świty Branickiego. I zaraz - czuł tę nadchodzącą chwilę wszystkimi otrzeźwionymi naraz zmysłami, całym, jakby odartym ze skóry, ciałem - stało się. Któryś z oficerów położył na kamiennym blacie dwa potężne pistolety. Boże - po nim! ! Wszystko na nic.

- Wybrałeś pan przecież szpady. . Branicki nie zaszczyił go spojrzeniem, wzruszył tylko lekko ramionami. - Z nieznanymi pojedynkuję się tylko na pistolety.

. To było jak cios między oczy, coś wie, czy chce go tylko jeszcze raz obrazić. Nie zdążył odpowiedzieć - siwy generał zamachał gwałtownie rękami.

. - Cóż to, hrabio, chcecie się bić? - Nie inaczej.



. - To niemożliwe. Gardłem za to możecie zapłacić. To zabronione, surowo zabronione. Jesteście panowie w obrębie władzy marszałkowskiej, ostrzegam. Przedstawcie wasz spór Najjaśniejszemu Panu, niech rozsądzi, ale bić się - to niemożliwe.

. - Nie zatrzymuję cię, generale - Branicki ledwie hamował już nie irytację, a wybuch gniewu - ale żądam zachowania tajemnicy. Winien jestem satysfakcję panu Casanovie i dali- bóg, mam zamiar mu jej udzielić.

Generał był teraz błądliwy jak jego włosy. Odwrócił się do Casanovy. Skąd taka determinacja w oczach tamtego? Czyżby rzeczywiście groziła mu nie tylko kula Branickiego, ale jeszcze topór kata? Czy to już doprawdy nie przesada. Niech się tamci o to martwią. On nic nie wie o tutejszych prawach.

- Nie możesz się pan bić. . Nie mogę, ale muszę, nie widzi tego, pocziwiec? Lepiej coś by wymyślił zamiast jęczeć! - Skoro mnie tu przywieziono, będę się bił. Będę się bronił wszędzie, nawet w kościele. Chyba że hrabia wyrazi skruchę za wczorajszą zniewagę.

Słowa, słowa, co w nich za ozdrowieńcza siła. Od razu poczuł się lepiej. Branicki nie odpowiedział, zaklął tylko pod nosem i demonstracyjnie zaczął zdejmować płaszcz. Szkoda czasu. Podobno niczego dzisiaj nie jadł. Pewnie - jest się do czego, śpieszyć. Zastrzeli tylko je-

185 go, Casanovę, jakiegoś przybłądę diabli wiedzą skąd, splunie zawadiacko na rozżarzoną lufę i

będzie mógł zjeść i chlać do woli. Bydłę! Generał miał prawie łzy w oczach. - Miałem być pańskim świadkiem. . Ale, jak mi Bóg miły, nie mogę. Giacomo skłonił się, żeby nie zrobić przykrości pocziwemu staruszkowi, ale i on miał go już dość. Niech się dzieje, co się ma dzieć. Branicki niedbałym gestem dłoni znalazł Casanovie zastępcę - młodego oficera o twarzy drapieżnego ptaka. Gdyby się mógł teraz cieszyć z byle czego, powinien być zadowolony z trafności tego spostrzeżenia. W chwilę później, w nieoczekiwanym, krótkim jak przywidzenie chichocie swojego nowego sekundanta rozpoznał bowiem sroczy terkot, którym tej nocy terroryzował go niewidzialny kompan Astafowa. A więc to tak? To wszystko jedna banda. Ale przecież. . . Miało być zupełnie inaczej. Pozwolił tamtemu zdjąć sobie płaszcz.

- Nie umiem strzelać. . Zabije mnie i tyle. Co wtedy? Nie zrozumiał czy nie usłyszał? Oficer spojrzał mu obojętnie w oczy. - Radzę panu ustawić się bokiem, , wciągnąć brzuch i nie przesadzać z celowaniem. O, tak. Nic to nie da. Choćby nawet wciągnął brzuch do samych płuc. - Cała wasza intryga na nic. . Przynajmniej z tego mogę się cieszyć. Tamten nie udawał już głuchego. Nie zmienił jednak wyrazu twarzy, ta obojętność była al- bo udana, albo nieludzka. Ale czego miał się spodziewać po swoich prześladowcach - współ- czucia? W przyprawie nagłej desperacji zapragnął rozprawić się z nimi choć na koniec, niech go raczej popamiętają niż zapamiętają jako tchórza. Zedrże temu oficerkowi z gęby obojętną maskę.

- Wolę po sto razy zginąć niż się wam przysłużyć. Nigdy, słyszy pan, nigdy, niczego ode mnie nie dostaniecie.

- Muszę pana rozczarować. . Nam właściwie wszystko jedno, który z was zginie. Ten głos był jak syk skóry przypalanej ogniem. - Jeśli on - to już wiesz. Ale jeśli ty, też dobrze. Król będzie musiał aresztować Branickiego za jawne naruszenie prawa, bo już my się o to postaramy, żeby sprawa była głośna, zaczną się zamieszki, bunt wojska i tak dalej. Bez pomocy cesarzowej znowu się nie obędzie. Szczególnie że specjalny korpus naszych wojsk już dzisiaj rano przekroczył granicę i spieszy na ratunek królowi.

Co tak stuka? Rozpada mu się czaszka czy to tylko opadają na kamienny blat nabite już pistolety. Łotry, szatańskie łotry! Miał jeszcze szpadę. Leży za daleko. Nie zdąży jednym skokiem, a na drugi mu nie pozwolą. Matko święta, nie tylko chcą go zabić, ale i trupa użyć do świńskiej intrygi. Przeciw królowi! Niedoczekanie, niech się bawią w nekrofilie ze swoją cesarżową, ale nie z nim.

Złapał oficera za ramię, delikatnie jednak, żeby tamci niczego nie zauważyli. - Mogę im to wszystko powiedzieć.

. Znowu zaterkotała sroka, krótko, szyderczo. Branicki zbliżał się z pistoletami w dłoniach. - Spróbuj. . Wezmą cię za tchórza. Sam to wiedział. Puścił z obrzydzeniem ramię tamtego. Po co dotykał na koniec gówna. Już po wszystkim. Po nim. Zabójca ze spokojną miną podsuwał mu pistolet.

- Wybieraj. . Wziął pierwszy z brzegu. Co za różnica, z którego narobi huk. Przyjrzał się raczej temu drugiemu. Ze srebrzystej, mozolnie przez ludzkie ręce toczonej lufy wyleci wkrótce z rykiem śmierć, jego własna, nieodwracalna śmierć. A Bóg? Co na to Bóg i wszyscy

święci. Pozwolą mu tak umrzeć? Ileż ma rzeczy jeszcze do zrobienia, ile myśli do zapisania. Czy to jego wina, że wpadł w ręce zbrodniarzy.

- Celuj nisko, , te pistolety mocno przenoszą.

186 Nawet w piekle jest jakaś nadzieja. Matko, ta carska gnida, ten kumoter diabła, radzi mu

jak celować, troszczy się o niego. No, to nie wszystko stracone. Z takimi przyjaciółmi daleko zajdziesz, Giacomo. Więc naprzód, zaczynaj, nie daj się prosić. Wszyscy już czekają na ciebie. Branicki, Catai, król, cesarzowa, wszyscy święci. Nuże.

- Dobrą broń wybrałeś. . Te słowa oprzytomniły go. Banał, nawet w obliczu śmierci - banał. Spojrzał chłodno na Branickiego.

- Sprawdzę to na pańskim łbie. . Pięć kroków po żwirze alei. Dalej błoto stratowane kopytami, byle jakie krzaki. Dokąd by dotarł, gdyby nie zważając na nic, rzucił się nagle przed siebie? Głową w dół, do najbliższej sadzawki. Nie dalej. Odwrócił się, uniósł rękę z pistoletem. Pojaśniało jakby wszystko, na- brało wyrazistości. Widział gęste włosy mrowiące się na odkrytym torsie Branickiego, a na- wet kroplę potu na jego nosie. A przede wszystkim lufę pistoletu opuszczoną jeszcze w dół. Waha się, czyżby była ciągle jakaś szansa? Merde, on się nie waha, on już celuje, tylko że nie w łeb, nie w serce, ale w brzuch. Nie w brzuch nawet, skoro broń przenosi - ale w podbrzu- sze, między nogi, o święci pańscy, litości - w jaja! Chce go wykastrować przed śmiercią, potwór. O, nie, tylko nie to!

Nie było, na co czekać. Giacomo gwałtownie zasłonił brzuch ręką i dźgnął przed sobą powietrze pistoletem jak szpadą, zaciskając bezwiednie palce na spuście. Huknęło aż wrony zerwały się z wrzaskiem w koronach drzew. Poczul smagnięcie bólu w lewej dłoni, ale nie to było teraz najważniejsze. Coś się stało niezwykłego, Boże mój, trafił! Branicki zachwiał się i zaraz, jak marionetka, której przecięto sznurki, upadł. Były dwa strzały czy jeden? Dwa. Podniósł dłoń do ust. Krew. Dwa. Gdyby się sekundę wcześniej nie osłonił. . .

Ruszył instynktownie przed siebie, pierwszy dopadł nieruchomo leżącego Branickiego, szarpnął go za ramiona, chciał podnieść, cofnąć wszystko, co się stało, naprawić nagle pepsuty mechanizm. Ale krwawa plama na białych spodniach, skąd? Koszula. Rana niżej piersi. Zatoczył się, prawie upadł na tamtego, nie dał rady udźwignąć takiego ciężaru i wtedy zobaczył kątem oka jakiś ruch za plecami. Czterech ludzi Branickiego biegło z gołymi szablami w

ich stronę. Boże mój, jakże to tak. Usiekać go teraz, kiedy uszedł z życia. Barbarzyńcy, dzikusy, hołota, to był przecież pojedynek. Zadowolona mina carskiego agenta. Uciekać! Tyle jeszcze potrafił. Ale gdy chciał puścić Branickiego z powrotem na ziemię, hrabia otworzył nagle oczy.

- Umieram. . Chrapliwy szept wydobył się jakby spod pulsującej świeżą krwią rany. Ale nie szeptu tu teraz trzeba ani nie bladego uśmiechu, ale miny stanowczej i głosu jak dzwon. I to szybko, bo tamci byli coraz bliżej. Nawet szpady nie ma przy sobie. Nawet kawałka kija. Co z tego! Nie da się zmasakrować jak byle ciura. Złapał Branickiego pod pachy i natężając wszystkie siły, podciągnął go w górę. Dwa ciężkie kroki i za plecami miał pień potężnego drzewa. Niech teraz spróbują, świnię. Niech zobaczą, co wyciąga z gorsu koszuli, czym drapie szyję ich pa- na. Spinka jak mały sztylet. Dwa cale weneckiej stali, to nie byle co. Wystarczy, żeby skrócić każdy żywot, a cóż dopiero ten, ledwie się tłący.

- Stać! ! Branicki prawie mu się wyrwał, ale wydobył z siebie groźny, władczy ton. Tamci unosili już szable w górę.

- Wynosić mi się stąd, , zbójce! Zatrzymali się niepewnie, powieszali głowy jak psy siłą odciągane od zdobyczy, ale po- słuchali rozkazu hrabiego. Udało się! W ostatniej może chwili, bo Branicki osunął się znowu bezwładnie. Musi żyć, inaczej wszystko na nic. Dopadną go czy tak czy owak. Obaj muszą

187 żyć, na przekór tamtym spiskującym przeciw królowi wieprzom. Szybko, bo nie utrzyma sam

tego ciężaru dłużej. Podskoczył jeden z oficerów, podparł Branickiego z prawej strony. Ruszyli biegiem. Sto kroków od bramy parku była oberża, pewnie gorąca woda, bandaże, może nawet lekarz. Przecież chyba musieli się spodziewać czegoś takiego. . .

Opadał szybko z sił. Najpierw trzymał Branickiego za ramię, ale po kilkunastu krokach gwałtownego biegu, sam się już tego ramienia chciał przytrzymać. Zmienił go jeden z ludzi hrabiego, wielki, wąsaty typ, podobny do Wasyla. Giacomo nie dał się jednak całkiem odsunąć od rannego. Ci z tyłu ciągle mogli być groźni. Trzymał więc teraz nogę w lśniącym oficerskim bucie, zrobionym chyba z ołowiu, bo jak ołów ciężką. Gubił co chwila krok, noga wyslizgiwała mu się z rąk, to krew ze skaleczonej dłoni nie pozwalała niczego porządnie chwycić. Boże, bądź miłościw jeszcze trochę. Byle dobiec. Potem da sobie jakoś radę. Ale nie dobiegł, nie utrzymał długo śliskiego ciężaru. Byli już poza parkiem, na wyboistej drodze pokrytej płytkim, błotnistym śniegiem. Noga hrabiego, jak walące się ze starości drzewo, zgi-

nała się do ziemi i wreszcie - ku bezsilnej złości Casanovy - grzotnęła o nią, bryzgając błotem i krwią naokoło. Branicki jęknął, otworzył oczy. Odsunęli Casanovę, zasłonili go plecami, ale i tak było jasne, kogo tamten szuka wzrokiem.

- Uciekaj pan. . Hrabia powiedział to czy tylko lekki grymas bólu musnął jego wargi? Powiedział. Ale tyl- ko on usłyszał te słowa. Ktoś krzyknął, ktoś drugi wcisnął mu w ramiona ubłocony płaszcz Branickiego, ruszyli znowu ciężkim kłusem. Biegł z nimi, a potem za nimi, sam już, nie nie- pokojony przez nikogo. Zbyt słaby, zbyt otumaniony strachem i bólem, żeby cokolwiek zde- cydować. Opanował się dopiero w karczmie. Rozpierzchli się wszyscy po korytarzach, niski sufit huczał od kroków i wyzwick. Na niego nie zwracano żadnej uwagi. Uciekać. Teraz.

Jakaś postać rozkrzyżowała się w drzwiach. Chichot już nie sroki, a diabła unieruchomił go na moment. Carski pomiot, wysłannik piekieł. Ten nie zapomniał. Chce go zatrzymać? Błysnęło ostrze. Nie zatrzymać - zabić. Dobić rannego i bezbronniego. Tak to sobie obmyślili w swoich parszywych łbach?

To był ten moment. Czyż nie po to go szkolili tygodniami, nie po to wytopił z siebie litry potu, nie po to znosił połajanki kapitana Kuca, żeby teraz pokazać, co potrafi? Owinął płaszczem rękę i ruszył. Tamten także nie czekał, rzucił się naprzód, ufny w przewagę sztyletu. Pierwszy cios drasnął sukno, drugi rozharatał zwisający rękaw. Źle. Traci czas i siły. Ma jeszcze tylko kilka sekund, żeby nie przegrać, nie dać się dorżnąć temu, albo zatłuc tamtym. Tak jak go uczył Kuc, sam diabeł Kuc - zamarkował odwrót, a kiedy napastnik, pewny już swego, oderwał stopy od ziemi - gotów z tym swoim sroczym gdakaniem kłuć, dźgać, podrzynać gardło - z półobrotu strzelił go nogą w nachyloną głowę. Odskoczyła jak gumowa kukła, z którą ćwiczył. Drugim kopnięciem wytrącił sztylet z ręki, trzecim podciął mu nogi. Czaszka stuknęła głucho o kamienną podłogę. Giacomo zmacał dłońią sztylet. Będzie pojętnym uczniem szatana Kuca, wsadzi jego kompanowi to ostrze w gardło aż po rękojeść, niech się nim, bydlę, udławi. Podniósł rękę do ciosu, ale w co mógł trafić, skoro tamten pod nim zaczął się nagle wyginać w przerażającym ataku, walił głową i piętami o podłogę, rzeźić i pluć pianą naokoło. Jezu Chryste - diabeł, diabeł wcielony! Casanova przytulił się do ściany i nie wypuszczając sztyletu z prawej dłoni, ani płaszcz z lewej, ominął szalejące na podłodze ciało i rzucił się do drzwi.

Biegł, a potem szedł przed siebie coraz mniej przytomny, nie czując już chłodu ani bólu, kiedy dogoniły go chłopskie sanie.

- Warszawa - krzyknął, , wyciągając dukata w rozcapierzonych palcach - Warszawa! ! Miał jeszcze tyle siły, żeby zrobić dumnie kilka kroków, ale zwałił się na worek z sianem rzucony na dno sań już bez czucia w rękach i nogach, o mało sobie nie wybijając zębów. Na-

188 ciągnął na siebie płaszcz Branickiego i wyteżył wszystkie siły, żeby nie zemdleć. Catai, co jej

powie? Kto powie, co ma to wspólnego z Catai? Jej piersi warte każdej ceny. Lewa, z małym pieprzykiem, jakby mniejsza od drugiej. Lili, słodkie dziewczątko, nie opuści jej więcej, niech mu tylko teraz przytrzyma głowę, bo szyja nie chce jej dalej nosić, niech podeprze paluszkami powieki, bo opadają w ciemną otchłań. . . Otrzeźwił go kaszel rozsadzający gardło i płuca. Żyje. Będzie żył. Chwila po chwili dochodził do siebie. Z każdym cmoknięciem furmana, parsknięciem konia i jękiem płóz szorujących po błotnistym śniegu, był coraz przytomniejszy i coraz pewniejszy tego, że ocaleje, że nic złego już mu się stać nie może.

Prawie dojeżdżali do miasta kiedy postłyszał głośny tętent. Nie przestraszył się nawet, ani nie sięgnął po sztylet, hałas dochodził przecież nie z tyłu, a z naprzeciwka. Dopiero kiedy jeździec nie zwracając na nich uwagi, przemknął obok na spienionym siwku, w łysym szaleńcu wymachującym wściekle szablą rozpoznał najbliższego kompana Branickiego.

Teraz był już tylko pewien, że niczego być pewien nie powinien.

189

## FINALE

Życie to po prostu sztuka rezygnacji. To zdanie nie opuszczało go od kilku godzin. Skąd je wziął? Diabli wiedzą. Od Woltera? Chyba nie. Jaka rezygnacja przy tamtego niezmiernym apetycie na wszystko? Ale z drugiej strony - facecja bardzo w stylu naszego filozofa, jeszcze jeden okaz w jego kolekcji komunałów. Więc może Wolter. A może i nie. Mało to takich bezańskich mądrości hula po ludzkich głowach. Więc dobrze - spróbuje i rezygnacji.

. Nie poruszył się więc wcale, kiedy - który to już raz - usłyszał kroki na korytarzu. Nie drgnął na chrobot klucza w zamku i jęk cofającej się zasuw. Niczego ciekawego nie mógł się spodziewać. Pewnie to ten sam drab w habicie, który nie chciał go wtedy wpuścić do klasztoru i ustąpił dopiero, powalony na podłogę i spryskany krwią ze skaleczonej ręki. Skrada się teraz może, żeby się zemścić, słudzy Boży nie są przecież wolni od ziemskich pokus, a żyła-

stych łapsk mógłby mu pozazdrościć niejeden zawodowy dusiciel. Wszystko jedno. On, Casanova, nie będzie się bronił. Już nie potrafi, nie chce, nie może. Jak długo można móc? Czekać, nasłuchiwać kroków za drzwiami, rzucać się z nadzieją na każdego wchodzącego durnia, błaznować przed nim z zaciśniętym gardłem, wreszcie wysłuchiwać piętrowych obietnic i znowu czekać, jak jakiś zwierz, zatrzaśnięty bezterminowo w klatce. Ile to już tak trwa, nie dni, Jezu! - tygodni? ? Trzy, cztery?

Tracił powoli rachubę czasu, bo i po cóż ona, skoro i nadziei coraz mniej. Ale nagle cisza pod drzwiami zaskoczyła go teraz. Zdawało mu się? Słyszał to wszystko kiedy indziej, pięć, dziesięć razy dziennie, a teraz tylko wyśnił? Ale nie - chrobot powtórzył się, a nawet spotęgował o jakieś pokasywania, szepty, czy wręcz nie o chichoty. O, to nie mógł być żaden z wielmoży, zlatujących się tu w pierwszych dniach jak muchy do gnijącego gnata, huczących podniesionymi głosami w korytarzach, brzęczących orderami i bzyczących wstrzymywanym śmiechem, gdy po raz setny opowiadał jak Branicki z jękiem wali się w błoto.

Pewnie to jeden z tych mrukliwych skrybów, znoszących mu tu stosy książek i manuskryptów. A niech szlag trafi tę ich bezczelną gorliwość! Nie napisze ani słowa więcej. Miał, owszem, dobrą wolę, ale już nie ma. Skończyło się, szlus. Co napisał, to napisał. Swoją obietnicę spełnił, teraz niech Ciołek jemu coś obieca. Co najmniej parę koni pod wierzch, pełny trzos i eskortę do granicy, żeby mu któryś z tych, koczujących wokół klasztoru mścicieli Branickiego, nie zechciał zepsuć podróży. A nie, to nie. Niech mu piszą historię tego nieszczęsnego kraju mrukliwe dworskie beztalencia. Choćby ten, który teraz za drzwiami przebiera nogami z niecierpliwości, żeby mu rzucić na stół kolejne relacje o jakiejś ich narodowej klęsce, albo o zaprzepaszczonej tryumfie. Jezu, co to za ludzie! Co to za naród! Stulecie za stuleciem idą do zagłady, połykani przez sąsiadów i własną pychę. A jakby byli ślepi i głusi. Bóg z nimi! On w każdym razie nie będzie się już zajmował czyimiś nieszczęściami, wystarczy mu własne. I nie będzie im otwierał oczu tylko zamknie swoje, a słyszeć zacznie - jak oni - to jedynie, , co zechce.

Drzwi skrzypnęły głośno, jakby sekundując jego decyzjom. Ten ktoś był już w środku. A niech sobie będzie. On nie odezwie się odtąd ani słowem. Nie zerwie się więcej, o, nie, z twardego jak kamień łoża, nie polecą witać wielmożnego pana. Dosyć. Nie ruszy się z miej-

190 sca, odmówi posiłków, wszystkiego. Póki go stąd nie wypuszczą. Z królewskim glejtem i pod

królewską strażą, bo tu krzepka straż więcej znaczy niż jakikolwiek glejtm. Szurnęło coś po posadzce celi, szur czy kroki milkliwego przybysza, nie był pewien, bo drzwi ruszyły z powrotem z mozolnym jękiem, a kiedy znieruchomiały, nie było już nic - tylko cisza. Cisza. Klucz nie przekreślił się w zamku? Nie. Czyżby to więc ktoś znaczniejszy od królewskiego

bibliotekarza? Wszystko jedno. Kto by to nie był, źle trafił. Pana Casanovy nie ma. Wyjechał po zwycięskim pojedynku, żegnany łzami przyjaciół i zapewnieniami przyjaźni wrogów. Tu jest tylko więzień, bez twarzy i imienia, gotów czekać na sprawiedliwość aż do skutku. Dobrze. Pokaże tamtym sztukę rezygnacji. Aż im włosy staną dęba i odpadną nosy. Może tylko oddychać nie przestanie, choć i tego nie jest pewien. Nawet robić będzie pod siebie. Choćby mu się miały odnowić hemoroidy. Niech zobaczą, że jest gotów naprawdę na wszystko. Raczej zgnije żywcem niż będzie dalej zabawiał wszystkich swoim kosztem. Milczeniem ich zmusi do zastanowienia, a smrodem do czynu. Ot, co! Ustaną gro- madne wycieczki do " naszego dzielnego Casanovy " , ale może któryś z tych podstarzałych fircyków pomyśli, żeby go stąd naprawdę wydostać, a nie tylko pocieszać tymi samymi od tygodni facecjami, co Branicki, jak Branicki, z kim Branicki. A idźcież wy z tym Branickim do najbliższego diabła, a nie do mnie! Mnie nie interesują jego gojące się bebechy, tylko własne przewracające się dziesięć razy dziennie od tej niesprawiedliwości - która zwycięstwo zamienia w przegraną, a zwycięzcę w czekającego zmiłowania więźnia. Nasrać na takie porządki. I to już, zaraz. Dlaczego nie? Niech ten pierwszy, milczący ciągle śmiałek, poczuje, co ich tu odtąd czeka.

Nateżył się, nadał, ale działał niewiele albo zgoła nic. To tak? Nawet tego już nie potrafi? Połknął łąpczywie haust powietrza, ale zanim zdołał go przepchnąć przez skamieniałe nagle wnętrzości, cichutki głos zaszemrał od drzwi:

- To ja. . . . O, matko jedyna, świecie podły, wszyscy święci! Anioł najprawdziwszy mu się objawił - Lili! Zwiotczał natychmiast, dziękując losowi, że nie było za późno i zerwał się gwałtownie z posłania. W ciemnej opończy, z na wpół opuszczonym kapturem, odsłaniającym ledwie nos i usta, wyglądała w istocie jak wysłanniczka świata, który powabniejszą resztę obiecuje dopie- ro po śmierci. Ale gdzież tam. Któryż anioł miałby taki uśmiech? I takie ciekawe spojrzenie. Jezu, czy tak patrzy córka na ojca? I tak go - po chwili - obejmuje?

? Przysłała ją cioteczka, z listem i jedzeniem. Aha, piersi jej urosły, czy raczej przycisnęła się do niego jak nigdy? Co? A - koszyk. Ale cóż mogło się równać z tymi zapachami i wypukłościami, które miał teraz w ramionach. . . Jest chory? Nie, dlaczego, czyżby tak marnie wyglądał? Leżał? Leżał. A cóż tu można rozsądniejszego robić. Jeszcze tylko stać albo siedzieć. Ale to równie bezsensowne zajęcia w samotności. Kiedy się leży to chociaż wspominać można lepsze chwile. Ręka? Syknął, kiedy dotknęła bandaża, nie z bólu właściwie, ale z żalu, że wtedy, kiedy naprawdę potrzebował pomocy, nie było przy nim nikogo.

Słyszała, że chcieli mu ją obciąć? O, tak, całe tabuny miejscowych konowałów tylko o tym marzyły. Ale on dobrze wiedział, o co im chodzi naprawdę. Nie domyśla się, grzeczna panienka? Skąd by zresztą miała wiedzieć, że świat jest, no - bywa, tak podły. Chcieli, to jasne, z jego ręki odciętej aż po ramię, zrobić prezent Branickiemu. Wyrównać szale. Gdzie tam wyrównać - hrabia przecież dochodzi do zdrowia, więc przegranym byłby tylko on, z pustym



rękawem w miejscu, którego ona teraz dotyka. Ale co za okropności jej opowiada, to już nieważne, nie dał się, przepędził nieuków i intrygantów, odtąd już wszystko będzie dobrze. Niech się Lili rozgości, zdejmie pelerynę, usiądzie i opowie o wszystkim, co się dzieje na tym Bożym świecie.

Świeca, trzeba chyba zapalić świecę, półmrok gęstniał z każdą chwilą. Ale nie ruszył się. Tak było lepiej. Nie musiała widzieć jego nie mytej od kilku dni twarzy, podkrążonych oczu, zacieków brudu na koszuli. Zgłupiał chyba, żeby się tak zaniedbać. Życie to może sztuka re-

191 zygacji, ale czy musiał zaczynać od własnego wyglądu. Przecież przynieśli mu wczoraj

wczoraj czy może tydzień temu? - nowe paryskie ubranie, które zamówił jeszcze przed pokazem u króla. A koszule? Miał ich z tuzin w skrzyni pod oknem, przysłanych z wiankiem suszonych kwiatów przez Sarę i Etel. No, a pantofle rzucone niedbale w kącie, zakurzone i zabłocone, nawet w tym półmroku błyszczały atlasową skórą i świeciły blaskiem srebrnych klamer. Więc po co świeca? Żeby lepiej zobaczyła jego bosa nogi, nieogoloną gębę i nieświeżą koszulę, wyłazącą z gaci. Żeby szybciej odskoczyła od niego ze wstrętem?

Nie ruszył się więc z miejsca. I ona się nie ruszyła. Objęła go tylko mocniej i przywarła twarzą do tej nieszczęsnej koszuli. Wilgoć na piersiach uświadamiała mu, że płacze. Poderwał jej głowę - a cóż to - wtedy łzy trysnęły jeszcze mocniej.

. - To wszystko przeze mnie.

. Tylko tyle naprawdę zrozumiał. Reszta była nieopanowanym szlochem, strumieniem łez, westchnień, słów urwanych w połowie i zdań zaczynanych po wielekroć. Przez nią, wszystko przez nią, chciała się zabić, kiedy usłyszała, że jest ranny, kochany, jedyny, gdyby nie stanął w jej obronie, chciała już dawno, zaraz, tu przyjść, służyć mu jak tylko potrafi, ale nie puszczała jej, nawet dziś nie chcieli pozwolić, ale ona znalazła na to sposób, a teraz błaga, błaga, żeby jej nie odtrącał. . .

Boże, jakże miałby ją odtrącić, jego małą, cudną dziewczynkę, rzewnymi łzami wyznającą mu miłość, jego zapłakaną córeczkę, obejmującą go z rozpaczliwą czułością, jego krew z krwi, ciało z ciała, łzy z łez. Szatanie, jakże miałby jej jednak nie odtrącić skoro osunęła się przed nim na kolana i dalejże ścisnąć go, tulić i całować, niewinnie może, jak odzyskaną wła-

śnie zabawkę z gałganków, ale czyż trudno poczuć, że on nie jest zabawką z gałganków, ale z rozpalonego żelaza. Co najmniej trzy tygodnie nie miał kobiety. Mniejsza iskra wystarczyłaby, żeby mu o tym przypomnieć. Ale przecież to rozplamieniające go dziewczętko nie wie, kim jest i co robi. Ona nie wie. Ale on - potworność nad potwornościami - wie aż nadto.

. - Poczekaj. . . . dziecko. . . zapalę świecę. - Nie.

. To już był zalotny jęk, a nie łzawa prośba. Piekło przybliżyło się coraz wyraźniej. - Zapalę.

. - Nie, , proszę. Niech zostanie, tak jak jest. Zaśmiałyby się, gdyby się to przydarzyło komu innemu. Nie mogło zostać tak jak jest, już było na to za późno. Niech raczej będzie tak, jak było, córeczko. I lepiej, żebyś nie wiedziała dlaczego. Delikatnie podniósł ją za ramiona i przytrzymał w bezpiecznej odległości. Męż- czyźni to zwierzęta. Ogiery, byki, knury. Trzeba z nimi ostrożnie. Nikt jej jeszcze tego nie mówił? Może to i dla niego zadanie, ale na pewno nie teraz. Nie jest na tyle święty, żeby ze- psuć te niezwykle chwile komunałami. Ale jeśli to nie jest najgorsze wyjście - ojcem zagłu- szy to nie znające świętości zwierzę, moralami zmusi do zwieszenia łba? Bzdury. Jeśli nie chce zwymiotować, musi sobie poradzić inaczej. Podsunął jej jedyne krzesło, chciał coś po- wiedzieć o płaszczu, ale ugryzł się w język. O rozbieraniu lepiej teraz nie wspominać. Szcze- gólnie że coraz dotkliwszy chłód płynął od okna. Chłód i ciemność. To już nie był spokojny półmrok sprzed kilkunastu minut, zgęstniało wszystko, pokryło się grafitową pleśnią. Jeszcze tylko jej twarz świeciła blado i błyszczały loki wysypujące się z kaptura. Uśmiecha się? Pła- cze?

- A cioteczka, , co? Gniewa się na mnie? Aż sapnęła z przejęcia, gniewa, dlaczego, któż by się miał na niego gniewać, nawet pan hrabia Branicki mówi o nim z uszanowaniem. A cioteczka ma teraz dużo pracy w teatrze, może dlatego nie zdążyła go jeszcze odwiedzić. Akurat, pomyślał, ładnie mi podziękowała za to, co dla niej zrobiłem. Koniec końców ma tego swojego hrabiego z powrotem. A on co - cztery brudne ściany pod dobrą strażą. I sterty gładkich słów zamiast wolności. No, racja - jeszcze koszyk z jedzeniem.

192 Kobiety to też zwierzęta. Tylko innego rodzaju. Może ptaki. Tak, ptaki. Poza własnym

gniazdem nic ich więcej nie obchodzi. A dla intruzów mają tylko dzioby i pazury, i pogardliwy trzepot skrzydeł. No, tak, były i z Binetti przyjemniejsze chwile, gdy jej kuperek furkotał bardziej łaskawie, ale co to ma teraz za znaczenie. Już jej nie jest potrzebny. To tak jakby przestał istnieć. Głupia kura! No, może nie całkiem głupia, skoro przysłała mu Lili. Czy chociaż ma pojęcie, co w ten sposób ryzykuje?

Ptaszyska - rozrosłe i tęgozade gęsi, krogulce o skrzywionych gębach, nadęte sowy, indy o obwisłej i pomarszczonej skórze, szare kuropatwy czekające pod miedzą na swój los. Okropność! Ale przecież bywają i rozkoszne ptaszki. Choćby ten, który przysiadł tu teraz obok niego lekko i niepewnie, jakby w każdej chwili gotów do odlotu. Wyciągnął rękę w stronę Lili, pogładził ją uspokajająco po delikatnej i chłodnej jak atlas dłoni. Nie pozwoliła mu się cofnąć, nakryła jego dłoń swoją i uniosła do twarzy. Czy wie, jak jest kochany przez wszystkich, jak wszyscy nie mogą się go doczekać? Jacy wszyscy, chciał burknąć, ci, przez których tu siedzi już kilka tygodni, inni, którzy go dzień po dniu karmią pustymi obietnicami interwencji u króla, czy jeszcze inni, przyjaciele tych pierwszych, czekający z utęsknieniem na jego wyjście, żeby wpakować mu kulę w łeb, a na razie ćwiczący oko strzelaniem do wron, więc którzy wszyscy, chciał się zaśmiać szyderczo, ale stłumił w sobie i to pragnienie.

Przypomnienie hałastry koczującej pod klasztorem, gotowej urwać mu głowę przy pierwszej próbie ucieczki, było jak okład z lodu na brzuch. Mógł już teraz zapalić świecę bez obawy. Pochylił się nad koszem przyniesionym przez Lili trochę z ciekawości, a trochę by nie zrobić małej zawodu, bo po tym, co tu mu dzisiaj podano - rozgotowaną kapustę z kawałkami łożu - każda myśl o jedzeniu była torturą. Ale najpierw zauważył niedużą kopertę. A, prawda - list. List od Binetti. Mała poruszyła się niespokojnie, przyglądała mu się znowu z jakimś niejasnym oczekiwaniem.

" Oficer, który doręczy ci ten list. . . " Jaki oficer? Czytała chyba w jego myślach, bo odpowiedziała bez wahania.

- Tadé. . - Kotuszko?

? - Tak.

. - Nie chciał?

? - Ja chciałam.

. - I puścił cię? - On zrobi dla mnie wszystko.

. - A ty dla niego?

? - Nie wszystko.

. Zdziwiła go na równi jej rezolucyjność i własna bezrozumna gadatliwość. Co go to wszystko obchodzi? Chce mieć z nią jeszcze większy kłopot? Zmiał list w dłoni, dziwnie przekonany, że niczego dobrego w nim dla niego nie ma. Ale ciekawość była silniejsza od obaw, no, dobrze, tylko zerknie.

" Oficer, który doręczy ci ten list, ryzykuje swój honor. Do tego doszło, że każdy z tobą kontakt grozi utratą honoru i to z twojej, Giacomo, winy " .

Co to babsko wypisuje! Ona mu śmie prawić o honorze! Na swoim siedzi, to go nie może stracić. Podła dziwka! Niech no ją tylko jeszcze spotka na swojej drodze. Pogadają o honorze. Tylko, co mu ciekawego powie skoro gębę będzie miała zatkaną czymś zgoła niehonorowym.

" Wyjeżdżamy jutro z królem na polowanie, a później dalej, do Petersburga, gdzie zimy są ponoć niezrównane, a wyższe sfery złaknione sztuki. Tak w każdym razie uważa hrabia. Nie zobaczymy się zatem więcej i wcale tego nie żałuję. Kawał z ciebie - w gruncie rzeczy - skurwysyna, Giacomo. Ale żebyś nie wspominał mnie źle, posyłam ci kosz czegoś, co - po

sobie samym - kochasz chyba najbardziej na świecie. . . . "

193 Był przez moment wściekły. Jakby dostał na odlew i to wcale nie z kobiecej ręki. Coś tam

jeszcze było dopisane na odwrocie, ale miał już dość, wepchnął list do kieszeni, drugiego policzka nie będzie nadstawiał. Niech jedzie. Nie wspomni jej źle. W ogóle jej nie wspomni. To jest jedyny sposób na niewdzięczne potwory. A może - spojrzął na znieruchomiałą jak posąg Lili, wpatrzoną w niego z napięciem - może nie jedyny.

. - Ona - musiał przełknąć ślinę, żeby nie udławić się tym słowem - cioteczka, wie, że tu jesteś?

- Nie wie. . Myśli, że poszłam na lekcje. Ano, tak. To już coś. Lepiej być nie mogło. Gdyby tylko chciał. . . - A on?

? - On się nie liczy. . . . Do diabła, ta mała jest tak naiwna czy pojętna? Ale niech no nie będzie taka domyślna, bo nie urośnie.

- Ja. . . . O, nie, nie, nie. On też umie czytać w myślach. Żadnych wyznań w tej chwili, moja panno. Nie wiedziałby jeszcze, co z nimi począć.

- Ładne rzeczy. . Ale zobaczmy lepiej, co tam przydźwigałaś. Może piłkę do krat i kawał sznura. To by teraz - po sobie - najbardziej pokochał na świecie. Stracił wierzchem dłoni chustkę przykrywającą koszyk, uniósł powoli, bez prawdziwej ciekawości, wieko. Ani chybi sagan kapusty z łojem. Przez moment wpatrywał się niepewnie w pagórek szarych muszli. Musiał ich dotknąć, usłyszeć szurgot lodu na dnie kosza, poczuć palcami wypukłość cytryny, żeby uwierzyć naprawdę. Ostrygi! Prawdziwe ostrygi! Na Boga, królewski dar. Poczciwa Binetti, wiedziała, co robi. Chyba jej daruje tego " skurwysyna " . A kiedy znalazł jeszcze butelkę reńskiego wina - był już spokojny, , że daruje jej wszystko.

Wyciągnął spod stołu zydell, na którym sadzał drugorzędnych gości i rozsiadł się swobodnie. Znalazł się jakiś talerz, jakieś szklanki, serweta do otarcia ust. Czegoż chceć więcej od życia, kiedy ma się przed sobą kopiec ostryg, butelkę wina i dziewczynę. Nawet hemoroidy przestały mu nagle doskwierać. A, że ostrygi nie tak świeże jak lubił, wino nie dość zmrożone, a dziewczyna to jego własna córka - cóż to ma teraz za znaczenie. Żyje się raz i to zbyt krótko, żeby o tym zapomnieć.

Otrzeźwił go ból zranionej ręki. Nie mógł utrzymać muszli w palcach wystarczająco mocno, żeby ją drugą ręką otworzyć. Całe przedramię cofnęło się urażone. Spróbował zębami. Na nic. I wtedy ona, jego Lili, porzuciła pozę drzemającej kotki i szybko przesunęła się do niego. Tylko pierwszy raz im nie wyszło - ostryga pchnięta przez Casanovę zbyt gwałtownie poleciała pod stół, na zatracenie. Potem już było lepiej - trzymała krzepko muszle, a gdy tylko on dowiercił się nożem trzasku ustępującej skorupie, wpuszczała w środek kroplę cytryny i podstawiła mu wszystko pod usta. I - co za rozkosz - wślizgiwał się językiem do środka, wiercił, wysysał i podważał, aż wreszcie jędrna gruda wpadła mu do gardła. W głowie mogło się zakręcić. A wino. A ślina rozmazana na brodzie. A samczy zapach ostryg i potu. I jej próbował nieba przychylić, ale, że język - cudny języczek, przyczajony niepewnie między niemniej

cudnymi wargami - miała jeszcze nie wprawiony do tego rodzaju sztuki, druga muszla szurnęła pod stół. Tej już nie mógł odżałować, schylił się, a kiedy wyprostował znowu, z odzyskaną ostrygą w dłoni, Lili właśnie ściągała pelerynę. A zaraz, jakoś tak, nie wiadomo jak - znalazła się na jego kolanach.

Było to może trochę zaskakujące, ale przecież nie niemiłe. A czemuż zresztą, do stu tysięcy wiecznych dziewic, miałyby być niemiłe. Małoż to takich dziewczątek przeleciało przez jego łóżko. Jeszcze ten smak pamięta, aż tak na razie nie zdiadział. Że jego własna krew? Wielkie rzeczy. A Leonida? Miał je razem, matkę i córkę tej samej nocy. I świat się nie zawalił. Obie były mu wdzięczne. Zmurszały, godny gminu, przesąd.

194 Rozłupali razem kolejną muszlę, wyłuskał ostrygę i przytrzymując lekko językiem, przy-

bliżył twarz do Lili. Była gotowa. Z półprzymkniętymi oczami i wargami - jak ptak w gnieździe prawie oszalała w nadziei na rozkosz sytości - czekała. Wsunął jej małża w usta, lekko tylko musnąwszy mokry dziobek i zaraz się odsunął. Ale już - stało się. Lili objęła go kurczowo, a gdy poderwał jej głowę w górę, spojrzała śmiało i rozpaczliwie poważnie.

- Kocham cię, Giacomo, zawsze chciałam być twoja. Jednak trochę go zaskoczyła. Dziecinna powaga, paluszki przebierające wstydliwie po brudnym gorsie jego koszuli i to oświadczenie nagle - gołe i jednoznaczne. Uścisnął ją wzruszony i rozbawiony zarazem.

- I ja cię kocham. Uśmiechnął się ponad jej głowę i delikatnie pocałował odkryte, zimne czoło. - Nie tak.

. Nachyliła go do siebie, nie opierał się, bo miała wyraźnie zamiar zerwać mu perukę, a do tego przecież nie mógł dopuścić - i pocałowała go mocno w usta.

. - Tak.

. Była w tym raczej zawziętość niż namiętność, ale skąd to cielątko miało znać różnicę. To jednak nie to samo co z Leonią. Tamta była już kobietą, świadomą tego, co robi. Ale tam kobietą - tęgą dziwką, wiedzącą jak dogodzić chłopu. A to maleństwo tutaj, kruche jak trzcinka do odpędzania much. Przecież trzaśnie w niej coś raz na zawsze. Stracić cnotę w ponurej,

klasztornej celi, na stercie jakiś łachów, w smrodzie stęchlizny i przepoconego pudru, z czułym tatusiem rozmyślającym o hemoroidach. . .

Chciał ją odsunąć mimo wszystko, nawet ryzykując utratę peruki, ostryg i ponownego wzwodu, ale gdy zaatakowała jeszcze raz, języczkiem próbując rozerwać jego martwe wargi - brakło mu siły. Trudno. Ostatecznie, cóż ją lepszego może w życiu spotkać? Chociaż pozna smak prawdziwych czułości, a nie tych sprzedajnych umizgów, do których ją pewnie szykuje Binetti.

Okno otworzyło się nagle z hukiem, wionęło chłodem godnym jego petersburskich wspomnień. I zaraz, jakby tego było mało, dzwon klasztorny rozdzwierał się jak na trwogę. To nie był najlepszy akompaniament do tego, co robili, a cóż dopiero do tego, co mieli robić. Rozplątał się z jej czułości i złapawszy butelkę z winem, skoczył w stronę okna szarzejącego w szczytowej ścianie celi. Jakiś silniejszy powiew wiatru rozwarł je prawie na oścież. Casanova trzasnęła szybą aż zabrzęczała i chciał czym prędzej odskoczyć, ale coś go jednak zatrzymało. Może zapach mroźnego powietrza, może rozmazany już, ale ciągle widoczny kontur świata w oddali - domów, kościołów, skłębionych drzew nad Wisłą - a może po prostu zwykła ciekawość. Gdzieś tam przecież żyją jego prześladowcy. Kto wie, czy nie zobaczy kogoś. Nie jest przecież aż tak ciemno. Pewnie i jego ktoś w tej chwili obserwuje. O, tak - zebrali się całą grupą i celują w tę stronę z lunety: Branicki, usztywniony bandażem, spluwający przez zęby kapitan Kuc, tych dwóch szwargotliwych pseudo- kupców, Catai ze sztyletem ukrytym między piersiami, dziobaty malarz, wygrażający mu za Paulę, Binetti. Tam są. Tam są wszyscy jego prześladowcy, ale i tam jest wolność - nie tu, tam światło i życie - nie tu, w mrocznej norze, choćby nie wiem czym blaskiem rozświetlanej.

Nikogo nie zobaczył. Tylko znudzony patrol ułanów Branickiego grał w karty przy drodze. Dzwon bije - pomyślał odruchowo - niedługo zmienią się posterunki. Jak co dzień. I jak tydzień za tygodniem. Pilnują go niczym stado wilków rannego byka. Niedługo się zmienią. Ci nowi zaraz rozpalą ogniska i rozleżą się po okolicy. Mysz się później nie prześlizgnie. Czy chociaż wiedzą, na kogo polują? On - spojrzał przez ramię w głąb pokoju - przynajmniej wie.

. Czeka na niego czy zamarła z przerażenia? Jeśli tak - odprowadzi ją do drzwi i koniec. Nie jest jeszcze ludożercą.

- Chodź. .

195 Co za namiętność w tym głosie. Jak podmuch ognia po plecach. Idzie, już idzie. Sam się

sobie dziwi, że tak wolno. Boi się oparzenia? Coś trzasnęło pod stopą. Zawieruszona ostryga. Okropność, o mało się nie wyrwał. Co tej Binetti przyszło do głowy? Wolałby o wiele bardziej piłkę do krat i kawał sznura. O co jej właściwie chodziło? Chciała się z nim tylko podroczyć? Czy osłodzić rozstanie? Rozstanie? Ano prawda, wyjeżdżają przecież z królem. Zaraz, Boże. . . To znaczy - król wyjeżdża! Aż mu ciarki przeleciały po skórze. Przytknął butelkę do ust. Jeśli tamten wyjedzie, nikt i nic nie uchroni mnie przed tą hałastrą. Teraz ryzykują głowy, a potem? Mniej niż nic, parę siniaków i może rdzawe plamy na mundurze! Co za podstępne bydłę z tego Branickiego. Ledwie wyjadą z królem za rogatki, każe pewnie swoim psom zaatakować.

Jeszcze chwilę, chwilkę, chwileczkę. Tylko sprawdzi pewien drobiazg. Kiedy? Wyszarp- nął z kieszeni list od Binetti, jak to tam było napisane? Półmrok zamazywał słowa, ale przy samym oknie było trochę lepiej. " Co się zaś tyczy Lili ", to nie to, nie ta strona, ale zaraz - co się tyczy Lili? Papier tańczył mu w dłoni. " Oficer, który ci doręczy ten list ", nieważne, ważne kiedy wyjeżdżają, kiedy rozszarpia go tamci. " Sprawy mają się zupełnie inaczej niż ci się zdaje ". Co za sprawy, czyje sprawy, jego? Przycisnął prawie list do oczu.

" Nie jest wcale twoją córką i jeśli ci tego dotąd jasno nie powiedziałam, to tylko dlatego, żebyś jej nie wykorzystał. Wyjeżdżamy jutro. Nie zobaczysz już Lili więcej. Nie dla takich jak ty szykowałam ją całe życie, Giacomo!

Zaraz, zaraz. To znaczy - co? Kiedy? Lili nie jest jego córką. Król wyjeżdża jutro. Jeszcze raz. Wybałuszył oczy aż do bólu. Tak. Nie zmyślił tych słów, nie przekreślił sensu. Co robić? Śmiać się czy płakać? Starannie złożył kartkę i wepchnął za koszulę. Ostatni raz spojrzął w okno. Jak rozpalą ogniska mysz się nie prześlizgnie. A Lili?

Spojrzał za siebie z pewnym niepokojem, jakby to, o czym się dowiedział, mogło zbić z tropu i dziewczynę. Nic się nie zmieniło. Siedziała w tej samej pozie, co przed chwilą, ale - chwileczkę - płomień świecy zaskwiercał nagłym blaskiem i rozświetlił bladą plamę na jego posłaniu. To już nie była jasna sukienka Lili, porzucona teraz na krześle, ale jej białe, szczupłe ciało. Naga, wyciągała do niego ręce, wzbijając w górę niespodziewanie duże piersi. Kiedy zdążyła, diabolicznie. Niczego wcześniej nie zauważył, nie usłyszał żadnego ruchu. Nie do wiary.

Uwierzył dopiero, kiedy wziął te cudownie jędrne piersi w dłonie, kiedy poczuł w noz- drzach zapach żywej, cieplej skóry. Nie jest jego córką. Trudno. Niebiosa wołały nie ryzyko- wać. Ale jest jego, dla niego, z nim. Nie warto już tracić ani chwili. Zanotował wzrokiem wszystko - pelerynę na oparciu krzesła, , pantofle pod stołem, koszulę na haku przy drzwiach - i



zdmuchnął kopcając niemiłosiernie świecę. O, ręce, dłonie, skóro! Ileż rozkoszy w samym dotyku! Kilka krótkich ruchów i był gotów. Szelest odrzucanej pościeli - i ona była gotowa. Chociaż nie - peruka. Nie znosi tego w łóżku. Pomagał jej odpiąć przypudrowane włosy, resztą przytomności słysząc zza okna przeciągły gwizd zmieniających się patroli. Gdytrzymał już tego dorodnego, obwieszono go lokami, zwierza w rękę, huknęło głucho kilka bezładnych strzałów. Dodają sobie animuszu. Jak co wieczór. Zaraz zabiorą się do rozpalania ognisk. To będzie jego ogień piekielny. Zaraz. . . Zmartwiał cały na moment i nawet to przytulone, czekające na niego ciało, w żaden sposób nie mogło go rozruszać. Wiedział, co to za uczucie i że się tu od niego nie uwolni. Nakrył Lili szczelnie narzutą.

- Ja zaraz. . . . Chciał, żeby teraz każdy ruch był zręczny, celny i szybki. Ale gdzie tam - gołe pięty nie chciały się mieścić w pantoflach, spodnie nie dopinały się dobrą chwilę, trzaskały jedna po drugiej haftki przy koszuli. Tylko z peruką Lili nie było kłopotów, wjechała na jego głowę

196 jakby była robiona na miarę. A peleryna - czyż można wymyślić lepsze okrycie? Kłął w my-

ślach i modlił się zarazem, żeby niczego nie usłyszała. Usłyszała? - Chodź do mnie.

. Cholerna pięta wskoczyła wreszcie na miejsce. Podciągnął spodnie i otulił się szczelnie peleryną. Jeszcze tylko koszyk do ręki, głęboki oddech, żeby uspokoić głos. I ostatnie kłamstwo - Bóg jeden wie - jak ciężkie.

. - Idę już, kochana. Idę. I - myśląc ze ściśniętym sercem, że życie to rzeczywiście sztuka rezygnacji - ruszył cicho do drzwi.

Potem nie myślał już o Lili - przemknął koło niczego nie podejrzewającego furtiana, nie nawykłego przyglądać się odwiedzającym klasztor niewiastom i na uginających się ze strachu nogach, sztywno trzymając okoloną lokami głowę, szedł prosto na krzątających się koło drogi żołnierzy. Niczego nie widział i niczego nie słyszał. Tylko ostry smród końskiego nawozu przypomniawszy mu, że jeszcze żyje. A jego brak, że przeszedł, że ich minął nie zaczepiony. Za zakrętem nie wytrzymał - runął w dół trawiastego zbocza byle szybciej, byle dalej od tego przeklętego miejsca. Koszyk wyleciał mu z ręki, peleryna rozwinęła się jak skrzydła, ale zdążył. Ledwie schował się za grzbietem wzgórze, gdy tam, z tyłu, wybuchły w górę krwiste słupy ognia. Zdażył, święci pańscy, zdażył! Już nic go teraz nie zatrzyma. Nawet pantofel zerwany ze stopy o kamień. Potknął się w połowie zbocza, zrolował kilka razy w błotnistym

śniegu, a potem już sunął przed siebie na przemoczonych plecach i pośladkach, w dół, do rzeki, gdzieś tam, w zgęstniałej ciemności obiecującej ocalenie.

Wylądował w zamarzającej kałuży, gotów krzyknąć z radości i całować tę parszywą ziemię. Podniósł się jak niewyżęta gąbka i obejrzał za siebie, w górę.

Nikłym, prawie niewidocznym, blaskiem płonęła luna niegroźnych już teraz ognisk. Ale ponad nią, w prześwicie nocnych chmur, mignęło mu coś znajomego, czyjeś oko bacznie wpatrzone, znowu ten ciekawski wzrok, zezujący na jego damskie loki, bosą nogę i ociekającą błotem opończę. Wyprostował się dumnie i pogroził pięścią swojemu najwytrwalszemu prześladowcy.

Jak tylko wrócę do siebie, sam to wszystko opiszę. Sam, słyszysz? Sam. Po swojemu opowiem jak naprawdę było. I komu ludzie uwierzą? No, jak myślisz - komu?

? K o n i e c